PRZYWÓDZTWO I KONTEKSTY



KSIĘGA JUBILEUSZOWA
W SZEŚĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ URODZIN
PREZYDENTA ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKIEGO

REDAKCJA: DANUTA WANIEK, KRZYSZTOF JANIK

TOM II

PRZYWÓDZTWO I KONTEKSTY

Księga Jubileuszowa
w sześćdziesiątą rocznicę urodzin
Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego

PRZYWÓDZTWO I KONTEKSTY

Księga Jubileuszowa

w sześćdziesiątą rocznicę urodzin

Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego

tom 2

redakcja naukowa

Danuta Waniek, Krzysztof Janik

Warszawa–Kraków 2014

Część I
Na drodze ku socjaldemokracji. Przywództwo i partia

Jerzy J. Wiatr

Przywództwo polityczne lewicy: doświadczenie III RP

Niemal ćwierć wieku, które upłynęło od przełomowych lat 1989–1991, kiedy dokonywał się zmierzch światowego systemu socjalistycznego i rozpad Związku Radzieckiego, interesującą cechą życia politycznego europejskich państw pokomunistycznych jest rola, jaką odgrywa w nim lewica, najczęściej wywodząca się z reformatorskich nurtów dawnych partii komunistycznych. O ile ortodoksyjne ugrupowania komunistyczne niemal wszędzie znalazły się na marginesie życia politycznego[1], o tyle „pokomunistyczna" lewica okazała się trwałym elementem życia politycznego, wielokrotnie wygrywając wybory parlamentarne i prezydenckie oraz wywierając wpływ na kształt nowej demokracji.

W studium obecnym koncentruję uwagę na jednym tylko aspekcie tego zagadnienia: roli przywództwa politycznego polskiej lewicy w okresie Trzeciej Rzeczpospolitej. Nie twierdzę, że czynnik ten w pełni wyjaśnia losy lewicy polskiej w ostatnim ćwierćwieczu, ale jestem przekonany, że na tę stronę zagadnienia warto zwracać uwagę.

[1] Wyjątkiem jest Komunistyczna Partia Czech i Moraw, izolowana politycznie, ale nadal ciesząca się poparciem politycznym na poziomie 15–20 procent elektoratu. Por. M. Novak i T. Lebeda, *Electoral laws and Party Systems: The Czech Experience*, Aleś Cenek Publisher, Dobra Voda 2006, s. 69–71.

Przywództwo polityczne w okresie pokomunistycznej transformacji

W teoriach transformacji ustrojowej, przejścia od dyktatury do demokracji wiele uwagi poświęca się problemowi przywództwa politycznego. Samuel P. Huntington w zakończeniu swojej głośnej książki podkreślał, że los młodych demokracji zależy w pierwszym rzędzie od tego, jak działać będą przywódcy – zdecydowani, by umacniać demokrację, i zdolni to czynić[2]. Na istotną rolę przywódców kładli nacisk Juan J. Linz i Alfred Stepan, autorzy jednej z pierwszych komparatystycznych prac poświęconych procesom przechodzenia do demokracji w ostatnim ćwierćwieczu XX wieku[3]. Na rolę przywódców politycznych w Europie Wschodniej zwracali uwagę między innymi Thomas Baylis[4], Archie Brown[5], Jose Ciprut[6] i Anton Pelinka[7].

W swojej pracy o przemianach ustrojowych w Europie „pokomunistycznej" napisałem, że: „Zmiany ustrojowe dokonujące się w dawnych państwach komunistycznych pod koniec XX stulecia otworzyły wielkie szanse dla przywódców politycznych. Stare instytucje i normy upadały, nowe dopiero się tworzyły. Ludzie stojący na czele tych przekształceń otrzymali rzadko spotykaną szansę wyciśnięcia silnego piętna na biegu wydarzeń o historycznym znaczeniu"[8].

---

[2] S.P. Huntington, *Trzecia fala demokratyzacji*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995 (wydanie amerykańskie: 1991).

[3] J.J. Linz i A. Stepan, *Problems of Democratic Transition and Consolidation: Southern Europe, South America, and Post-Communist Europe*, The Johns Hopkins University Press, Baltimore–London 1996.

[4] Th.A. Baylis, *Elites, institutions, and political change in East Central Europe: Germany, the Czech Republic, and Slovakia*, [w:] *Postcommunist Elites and Democracy in Eastern Europe*, red., J. Higley, J. Pakulski, W. Wesołowski, Macmillan & St.Martin's Press, London–New York 1998, s. 107–130.

[5] A. Brown, *The Gorbachev Factor*, Oxford University Press, Oxford 1996.

[6] *Democratizations: Comparisons, Confrontations, and Contrasts*, red. J.V. Ciprut, The MIT Press, Cambridge. Mass 2008.

[7] A. Pelinka, *Politics of Lesser Evil: Leadership, Democracy & Jaruzelski's Poland*, Transaction Publishers, New Brunswick 1999.

[8] J.J. Wiatr, *Europa pokomunistyczna: przemiany państw i społeczeństw po 1989 roku*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2006, s. 274–275.

Dotyczy to wszystkich przywódców: tych wywodzących się z demokratycznej opozycji i tych, którzy działali w strukturach państwowych i partyjnych dawnego systemu. Pisałem o tym w pracy na temat przywództwa politycznego, gdzie zaproponowałem rozróżnienie czterech typów przywódców pokomunistycznej transformacji („reformatorzy", „budowniczy państwa narodowego", „kontrreformatorzy", „autorytety moralne") i zwracałem uwagę na szczególne wyzwania, przed którymi stanęli oni w okresie transformacji łączącej przemiany polityczne z ekonomicznymi i ze zmianami w pozycji międzynarodowej państwa[9]. W tym tekście koncentruję uwagę na przywództwie politycznym polskiej lewicy.

Teoria przywództwa politycznego wskazuje na to, że obok cech wspólnych charakteryzujących przywództwo polityczne występują godne uwagi różnice, które typologicznie można odnieść do: a) właściwości epoki politycznej, zwłaszcza do podstawowych cech sytuacji politycznej określonego okresu, b) narodowych cech kultury politycznej, c) ideologicznych uwarunkowań, w ramach których przywódcy działają, d) indywidualnych cech osobowościowych. Teoria przywództwa politycznego zwraca też uwagę na znaczenie przywództwa w okresach wielkich przesileń (wojny, rewolucje). W takich okresach szczególnie istotna okazuje się rola przywódców, zdolnych do wywarcia znaczącego wpływu na bieg wydarzeń.

Końcowe kilkanaście lat XX wieku to okres przełomu ustrojowego w Polsce i w innych państwach Europy Środkowej i Wschodniej, gdzie istniejące od kilkudziesięciu lat autorytarne systemy polityczne oparte na ideologii komunistycznej ulegały dezintegracji, a na ich miejsce pojawiały się albo systemy demokratyczne albo nowe systemy autorytarne. Na kierunek tych procesów istotny wpływ mieli przywódcy – zarówno ci, którzy stali na czele opozycji demokratycznej, jak i ci, którzy wyznaczali kierunek polityki władz państwowych we wczesnej fazie zmian politycznych. Dla lewicy problemem szczególnie istotnym było znalezienie swego miejsca w rodzącym się systemie demokratycznym, opartym na odmiennych niż dotychczasowe założeniach politycznych i na odbudowywanych fundamentach gospodarki kapitalistycznej.

Porównawcze studia nad przywództwem politycznym lewicy w okresie przemian demokratycznych wskazują na istnienie trzech modelowych rodzajów przywództwa: 1) konserwatywnego przywództwa

[9] J.J. Wiatr, *Przywództwo polityczne: studium politologiczne*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Humanistyczno-Ekonomicznej, Łódź 2008, s. 182.

neokomunistycznego usiłującego zachować, na tyle, na ile to możliwe, tradycyjne wartości i cele działania ruchu komunistycznego, 2) nacjonalistycznego przywództwa afirmującego wartości silnego państwa narodowego i szukającego legitymizacji w ideologii narodowej, 3) socjaldemokratycznego przywództwa zdolnego do przeformułowania celów i środków działania lewicy tak, by mogła ona odegrać znaczącą rolę w odbudowywanym systemie demokratycznym. Między dawnymi państwami socjalistycznymi wystąpiły interesujące różnice w tym zakresie. W większości państw Europy Środkowej przewagę uzyskała opcja socjaldemokratyczna. Socjaldemokratyczna lewica stosunkowo wcześnie stała się poważną siłą polityczną w kilku państwach tego regionu (Bułgaria, Czechy, Chorwacja, Litwa, Polska, Słowacja, Słowenia, Węgry). Stanowi to jedną z najważniejszych różnic między sytuacją polityczną tego regionu a sytuacją powstałą w większości dawnych republik radzieckich, gdzie lewica jest albo marginalizowana, albo reprezentowana głównie przez partie komunistyczne, niekiedy (na przykład w Federacji Rosyjskiej) o silnym zabarwieniu nacjonalistycznym.

Wybór przez polską lewicę wariantu socjaldemokratycznego dokonywał się w warunkach wysoce niekorzystnych, po klęsce poniesionej przez PZPR w wyborach parlamentarnych 1989 roku. Inaczej niż na Węgrzech zmiany w dawnej partii rządzącej dokonywały się nie przed, a po wyborach i faktycznej utracie władzy. W tych okolicznościach szczególnie ważna była jakość przywództwa politycznego w obozie lewicy.

Na doświadczenie polskie szczególnie istotny wpływ wywarły dwie okoliczności: głęboki ideologiczny kryzys dotychczasowego systemu i siła opozycji demokratycznej. Okoliczności te stawiały lewicę polską przed realną groźbą marginalizacji. Początkowe doświadczenia (katastrofalny dla PZPR wynik wyborów 1989 roku, słabość organizacyjna nowych partii lewicowych powstałych po rozwiązaniu PZPR, porażki lewicy w wyborach 1990 i 1991 roku) sugerowały, że formację tę czeka bardzo długi okres marginalizacji. Jednak już w 1993 roku zbudowana wokół SdRP lewicowa koalicja wygrała wybory i objęła (wraz z PSL) rządy, a w 1995 roku jej przywódca Aleksander Kwaśniewski został prezydentem Rzeczypospolitej.

Odrodzeniu lewicy polskiej sprzyjały okoliczności od niej niezależne (wysokie koszty transformacji ekonomicznej, rozłamy w obozie dawnej „Solidarności"), ale nie wyjaśniają one, dlaczego lewica („pokomunistyczna"), a nie jakiś inny ruch polityczny stała się głównym beneficjantem

kryzysu politycznego początku lat dziewięćdziesiątych. Czynnikiem o istotnym znaczeniu było przywództwo polityczne lewicy potrafiące nadać jej taki kierunek, który zapewnił jej sukces. W pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku sytuacja uległa niekorzystnej dla lewicy zmianie. W 2005 roku przegrała ona wybory parlamentarne i prezydenckie, a w następnych wyborach (2007, 2010, 2011) nie była w stanie tego stanu zmienić. Jak dalece było to konsekwencją kryzysu przywództwa? Jakakolwiek próba odpowiedzi na to pytanie wymaga analizy sposobu, w jaki kształtowało się przywództwo polityczne polskiej lewicy.

W tej analizie odróżniam trzy fazy. Pierwszą stanowią lata 1989––1993, gdy dokonywała się rekonstrukcja polskiej lewicy i jej pojawienie się jako liczącej się siły opozycyjnej. Drugi (najdłuższy) okres to lata 1993––2005, gdy lewica była albo partią współrządzącą (1993–1997 i 2001–2005) albo najsilniejszym ugrupowaniem opozycyjnym (1997–2001). W okresie tym mieści się dziesięcioletnia prezydentura Aleksandra Kwaśniewskiego, jak dotąd najdłużej trwająca prezydentura III Rzeczypospolitej. Trzeci okres to lata od 2005 roku do chwili obecnej, a więc okres wielkiego osłabienia lewicy i jej politycznej marginalizacji.

Koniec i początek

Sytuacja polskiej lewicy w pierwszym roku przemian demokratycznych była konsekwencją pewnych szczególnych cech transformacji w Polsce, różniących ją od zmian dokonujących się w innych państwach socjalistycznych.

Po pierwsze, zmiana systemu w Polsce poprzedzona była długim okresem kryzysu władzy. Kryzys ten miał trzy aspekty: ekonomiczny, polityczny i ideologiczny. Pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku gospodarka polska załamała się, zadłużenie zagraniczne przekroczyło możliwości jego obsługi, rynek był zdewastowany, a stopa życiowa ludności gwałtownie spadała. Wprawdzie od 1982 roku gospodarka stopniowo stawała na nogi, ale nie była w stanie przezwyciężyć kryzysu. W życiu politycznym ostatnie dziesięciolecie PRL to okres działania masowej opozycji demokratycznej, której podstawową siłą był wielomilionowy NSZZ „Solidarność". Natomiast Polska Zjednoczona Partia Robotnicza straciła około jednej trzeciej członków, a co ważniejsze, zatraciła zdolność ofensywnego politycznego działania. W ostatnich latach PRL to nie partia, lecz

wojsko było siłą, na której opierał się system rządzenia. W sferze ideologicznej kryzys wyrażał się zarzuceniem ideologicznego uzasadnienia systemu na rzecz argumentacji odwołującej się do polskiej racji stanu.

Po drugie, przemiany ustrojowe rozpoczęły się w Polsce najwcześniej ze wszystkich państw socjalistycznych i miały charakter uzgodnionego kompromisu między obozem rządzącym i „Solidarnością" – główną siłą opozycji demokratycznej. Jedną z konsekwencji tego kompromisu było pogłębienie podziałów w PZPR, gdyż znaczna część działaczy tej partii odnosiła się do zawartego kompromisu negatywnie. Tylko autorytet Wojciecha Jaruzelskiego i determinacja skupionych wokół niego wojskowych i cywilnych działaczy państwowych zapobiegły temu, by konserwatywne siły istniejące w PZPR pokrzyżowały plany uzgodnionej demokratyzacji.

Po trzecie, klęska PZPR i jej sojuszników w czerwcowych wyborach 1989 roku stworzyła klimat, w którym sama przyszłość lewicy stanęła pod znakiem zapytania.

Po czwarte, przyspieszenie zmian w innych państwach socjalistycznych, wyraźne już jesienią 1989 roku (upadek muru berlińskiego, aksamitna rewolucja w Czechosłowacji, krwawa rewolucja w Rumunii), a w następnym roku w innych państwach regionu (wygrane przez opozycję demokratyczną wybory na Węgrzech i w dawnej NRD, zjednoczenie Niemiec) spowodowały przyspieszenie zmian w Polsce, czego najważniejszym przejawem było skrócenie kadencji prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego i wybór Lecha Wałęsy na stanowisko prezydenta RP.

Całość tych zmian postawiła pod znakiem zapytania przyszłość lewicy polskiej i jej rolę w państwie. Nie było rzeczą oczywistą, czy i w jakiej formie lewica pozostanie realną siłą w polskiej polityce.

Okolicznością raczej zaskakującą było to, że lewicowe skrzydło dawnej opozycji demokratycznej nie było w stanie ukonstytuować się jako licząca się siła polityczna. Najbardziej prominentni przedstawiciele tego skrzydła (Jacek Kuroń, Bronisław Geremek) znaleźli się w skupionym wokół Tadeusza Mazowieckiego ugrupowaniu rządzącym. Inni (Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Jan Józef Lipski, Aleksander Małachowski, Karol Modzelewski) coraz wyraźniej odsuwali się od rządu i z pozycji lewicowych krytykowali jego politykę gospodarczą[10]. Większość z nich stworzy-

[10] Szczególnie znamienna była pod tym względem książka Karola Modzelewskiego *Dokąd od komunizmu?* (Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1993).

ła ugrupowanie Solidarność Pracy, a Zbigniew Bujak zorganizował Ruch Społeczno-Demokratyczny. Te dwa ugrupowania po paru latach połączyły się, tworząc Unię Pracy. Wcześniej (w 1987 roku) Jan Józef Lipski stanął na czele Polskiej Partii Socjalistycznej, którą kierował aż do śmierci w 1991 roku. Ani Solidarność Pracy, ani Ruch Społeczno-Demokratyczny, ani Polska Partia Socjalistyczna nie zdołały skupić wokół siebie lewicowych wyborców. Podobnie jak w innych państwach Europy Środkowej główną siłą lewicy stała się partia wyrastająca z demokratycznego nurtu dawnej partii rządzącej.

Nurt demokratyczny w PZPR miał długą historię, na którą składały się działania dawnych socjalistów (takich jak Julian Hochfeld, Oskar Lange, Adam Rapacki, Jan Strzelecki, Stanisław Szwalbe), demokratycznego i patriotycznego skrzydła w kierownictwie i aktywie PZPR w 1956 roku czy reformatorskiego kierunku w PZPR w czasie kryzysu 1980–1981 i w latach osiemdziesiątych[11]. W żadnym innym państwie socjalistycznym nurt taki nie był ani tak silny, ani tak długotrwały.

Ludzie nurtu demokratycznego inaczej niż większość działaczy PZPR przyjmowali zmiany polityczne w 1989 roku. Widzieli w nich nie klęskę, lecz szansę na taką reformę systemu, która odpowiadałaby ich socjalistycznym, zarazem demokratycznym przekonaniom, a była niemożliwa w warunkach zimnej wojny i dominacji radzieckiej. Opowiadali się za demokratycznym socjalizmem i odwoływali do idei socjalistycznego humanizmu w wersji przed laty reprezentowanej przez Juliana Hochfelda i Jana Strzeleckiego[12]. Organizacyjnym wyrazem tej orientacji był stworzony z inicjatywy Komitetu PZPR Uniwersytetu Warszawskiego Ruch 8 Lipca, zalążek późniejszego Bloku Socjaldemokratycznego na ostatnim (XI) zjeździe PZPR w styczniu 1990 roku[13].

Powstanie tego ruchu było w tym sensie czymś nowym, że po raz pierwszy reformatorzy zorganizowali się jako ugrupowanie w ramach

---

[11] Szerzej omawiam tę tematykę w pracy *Socjaldemokracja wobec wyzwań XXI wieku*, Fundacja im. Kazimierza Kelles-Krauza, Warszawa 2000, s. 60–66.

[12] Wyrazem takich właśnie przekonań była moja książka *Zmierzch systemu: historia a perspektywy demokratycznego socjalizmu w Europie Wschodniej*, Fundacja im. Kazimierza Kelles-Krauza, Warszawa 1991.

[13] Szerzej na temat genezy Ruchu 8 Lipca piszę na podstawie własnych wspomnień w *Życie w ciekawych czasach*, Europejska Wyższa Szkoła Prawa i Administracji, Warszawa 2012, s. 272–288.

partii, ale z własnym kierownictwem i ze strukturami budowanymi w całym kraju. W pierwszym spotkaniu tego ruchu wzięli udział członek Biura Politycznego PZPR Janusz Reykowski i minister Aleksander Kwaśniewski. Obaj odegrali kluczową rolę w obradach Okrągłego Stołu i byli jednoznacznie identyfikowani z demokratycznym nurtem w PZPR.

Stosunek kierownictwa PZPR do Ruchu 8 Lipca był życzliwy. Przedstawiciele tego ugrupowania weszli do Komisji Zjazdowej i byli zapraszani na posiedzenia Komitetu Centralnego. Gdy po wyborze Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta na czele PZPR stanął Mieczysław F. Rakowski, działacze Ruchu 8 Lipca liczyli na jego aktywne poparcie, a nawet włączenie się do podejmowanych przez nich działań.

Tak się jednak nie stało. Rakowski zachowywał w stosunku do Ruchu 8 Lipca dystans, którego motywację odsłania ostatni tom jego *Dzienników politycznych*[14]. Choć sam był jednym z najważniejszych przedstawicieli reformatorskiego nurtu w PZPR (zarówno w okresie, gdy – od 1958 roku – redagował „Politykę", jak i podczas pełnienia funkcji wicepremiera w latach 1981–1985 i premiera w latach 1988–1989), nie wierzył w sukces Ruchu 8 Lipca, a jego działaczy oskarżał o to, że swymi działaniami osłabiają partię.

Pozycja Rakowskiego jako ostatniego przywódcy PZPR była skomplikowana. Jego wybór na to stanowisko był przede wszystkim konsekwencją tego, że jego kandydaturę wysunął i forsował Wojciech Jaruzelski. W kierownictwie partii Rakowski miał otwartych przeciwników, z których najbardziej wpływowym był członek Biura Politycznego i przewodniczący klubu poselskiego PZPR Marian Orzechowski. Gdy zbliżał się ostatni zjazd PZPR, poparcie Lecha Wałęsy uzyskał wicemarszałek Sejmu Tadeusz Fiszbach, co zresztą zraziło do niego wielu działaczy partyjnych, obawiających się zwasalizowania nowej partii przez zwycięski obóz „Solidarności".

Rakowski początkowo nosił się z zamiarem kandydowania na przewodniczącego partii, która miała wyłonić się z PZPR, ale już na kilka dni przed zjazdem zdał sobie sprawę z tego, że nie będzie miał wystarczającego poparcia delegatów, i postanowił wysunąć kandydaturę Aleksandra Kwaśniewskiego[15]. Otwierając obrady zjazdu 27 stycznia 1990 roku,

[14] M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1987–1990*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2005, s. 513, 572, 608.

[15] Pod datą 24 stycznia Rakowski napisał: „Jeśli ja nie będę kandydował, a to już pewne, to największe szanse ma Olek Kwaśniewski" (*ibidem*, s. 611).

oświadczył, że nie będzie ubiegał się o przywództwo nowej partii i że powinno ono przejść w ręce ludzi z młodszego pokolenia. Ta druga część oświadczenia wymierzona była przeciw ewentualnym kandydaturom Mariana Orzechowskiego lub Tadeusza Fiszbacha. Inna rzecz, że żaden z nich nie miał jakichkolwiek szans na objęcie przywództwa nowej partii.

Odmłodzenie kierownictwa partii lewicy uwarunkowane było czynnikami politycznymi, a nie biologicznymi. Rakowski miał sześćdziesiąt trzy lata, Orzechowski pięćdziesiąt osiem, Fiszbach pięćdziesiąt cztery. Nie byli to więc ludzie starzy, a ich rówieśnicy należeli wtedy (i przez wiele następnych lat) do kierowniczego trzonu obozu wywodzącego się z „Solidarności". Zmiana pokoleniowa w głównej partii lewicy była następstwem politycznego zużycia się pokolenia kierującego PZPR w poprzednim dziesięcioleciu.

O ile zmiana pokoleniowa była następstwem klęski poniesionej przez PZPR, o tyle wybór Aleksandra Kwaśniewskiego był konsekwencją jego osobistych zalet. Jest znamienne, że kandydat na przewodniczącego nowej partii lewicy (Socjaldemokracji RP) nie miał rywala. Do wyborów stanęli wprawdzie obok niego dwaj inni kandydaci, ale uczynili to jedynie *pro forma*, by zachować pozory demokratycznej rywalizacji. W tajnym głosowaniu Kwaśniewski otrzymał 1049 głosów na 1170 głosujących. Miarą jego autorytetu było to, że w bardzo kontestowanych wyborach Rady Naczelnej SdRP wszyscy kandydaci zgłoszeni przez nowego przewodniczącego (w liczbie 60 na 150 miejsc w tym ciele) zostali wybrani.

Nowa partia zaczynała więc swą działalność pod kierownictwem polityka popularnego, ale o stosunkowo niewielkim doświadczeniu kierowniczym. Kwaśniewski był wprawdzie ministrem w dwóch ostatnich rządach PRL, ale nigdy nie piastował wysokiej funkcji partyjnej i nie był posłem na Sejm. Miał natomiast bardzo dobre notowania z okresu obrad Okrągłego Stołu, w których dał się poznać jako elastyczny negocjator i człowiek zdolny do budowania porozumienia ponad politycznymi podziałami.

Przed nowym przewodniczącym stały trzy wyzwania. Pierwszym było wyprowadzenie partii ze stanu głębokiego kryzysu, którego przejawami było odejście ponad 90 procent członków PZPR, w tym wielu dotychczasowych członków władz partyjnych szczebli centralnego i wojewódzkiego. Drugim było zdobycie dla tej partii liczącej się pozycji w życiu politycznym kraju, a zwłaszcza wygranie rywalizacji z innymi partiami

o pozycję głównej partii polskiej lewicy. Trzecim wreszcie było umocnienie własnej pozycji jako przywódcy nowej partii.

Budując Socjaldemokrację RP, Aleksander Kwaśniewski oparł się na dwóch środowiskach. Pierwszym był dawny Ruch 8 Lipca, z którego przede wszystkim wywodzili się kandydaci Kwaśniewskiego do Rady Naczelnej SdRP. Byli mu oni bliscy ideowo, a w większości także pokoleniowo[16]. Drugim środowiskiem byli ci działacze dawnego aparatu PZPR, którzy zdecydowali się aktywnie działać w nowej partii. Ich najważniejszym przedstawicielem był sekretarz generalny SdRP (a wcześniej członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR) Leszek Miller. Mimo różnicy wieku (osiem lat) i drogi życiowej ci dwaj przywódcy nowej partii chcieli i potrafili ze sobą dobrze współdziałać. Współpraca ta nie wykluczała różnic poglądów w poszczególnych kwestiach, ale różnice te nie prowadziły do frakcyjnych podziałów w partii. W odróżnieniu od wielu innych przywódców Kwaśniewski akceptował istnienie różnic zdań, a różnice te nie zakłócały przyjacielskich stosunków panujących w kierownictwie SdRP. Jednym z ważnych walorów wybitnych przywódców politycznych jest umiejętność skupiania wokół siebie ludzi o różnych osobowościach i zgodne współdziałanie z nimi. Takie partnerskie stosunki panowały w kierownictwie SdRP i były zaprzeczeniem wodzowskiego charakteru partii, w której przewodniczący jest wodzem, a wszyscy inni podkomendnymi.

Drugie wyzwanie wymagało przede wszystkim gotowości do współpracy z innymi działaczami lewicy, tymi oczywiście, którzy do takiej współpracy byli gotowi. Początkowo wydawało się, że SdRP może znaleźć się w politycznej izolacji na lewicy. Współpracę z nią odrzucała Polska Unia Socjaldemokratyczna, kierowana przez Tadeusza Fiszbacha i skupiająca około czterdziestu posłów wybranych z ramienia PZPR. Zdecydowanie niechętnie do SdRP odnosiła się Solidarność Pracy. Również PPS wykluczała współdziałanie z „pokomunistyczną" partią lewicy.

W tej sytuacji sprawą kluczową były stosunki SdRP z nowym Parlamentarnym Klubem Lewicy Demokratycznej powstałym po rozpadzie dawnego klubu PZPR i liczącego 110 członków. Członkowie SdRP stanowili około 20 procent PKLD, a na jego czele stał nienależący do SdRP poseł Włodzimierz Cimoszewicz. Z inicjatywy Kwaśniewskiego

[16] Mając wtedy pięćdziesiąt osiem lat, byłem najstarszym kandydatem z „listy Kwaśniewskiego" do Rady Naczelnej SdRP.

wspólnym kandydatem SdRP i PKLD na stanowisko prezydenta RP został Cimoszewicz, a jego dobry wynik w wyborach (czwarte miejsce i 9,21 procent głosów) stał się punktem wyjścia dla budowy szerszego porozumienia lewicy wokół SdRP.

Porozumienie to znalazło instytucjonalny wyraz w utworzeniu przed wyborami parlamentarnymi 1991 roku koalicji pod nazwą Sojusz Lewicy Demokratycznej. W jej skład wchodziły obok SdRP inne ugrupowania lewicowe, związki zawodowe i rozmaite lewicowe organizacje. Przed wyborami 1993 roku do SLD przystąpiła Polska Partia Socjalistyczna, kierowana (po śmierci Jana Józefa Lipskiego) przez Piotra Ikonowicza. Zbudowanie koalicji SLD oznaczało, że próby izolowania SdRP się nie powiodły.

Strategia zainicjowana przez Aleksandra Kwaśniewskiego dała wyniki. W 1991 roku lista SLD zdobyła 60 mandatów w Sejmie i cztery w Senacie, co dawało jej drugie (po Unii Demokratycznej) miejsce w polskim parlamencie. W kadencji 1991–1993 parlamentarzyści SLD potrafili łączyć ideową jednoznaczność (na przykład przeciwstawiając się uchwaleniu restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej czy oponując przeciw potępieniu przez Sejm decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego) z elastycznością i pragmatyzmem (na przykład poparcie kandydatury Waldemara Pawlaka na premiera w czerwcu 1992 roku), głosowanie za niektórymi reformami gospodarczymi. Konsekwencją takiej linii SLD był wyraźny wzrost jego autorytetu. Przewodnicząc klubowi SLD, Aleksander Kwaśniewski dał się poznać jako polityk otwarty na współpracę dla dobra państwa, a zarazem konsekwentnie broniący wartości i zasad ideowych lewicy.

Czas zwycięstw

Gdy powstawała SdRP, ani jej liczni przeciwnicy, ani nawet jej działacze nie sądzili, że partia ta w niedługim czasie stanie się najsilniejszym ugrupowaniem i obejmie władzę w państwie. Pasmo zwycięstw zapoczątkowanych wygranymi przez SLD wyborami parlamentarnymi we wrześniu 1993 roku było konsekwencją wielu czynników, ale w niemałym stopniu także wynikało z jakości przywództwa na lewicy.

Nie ulega wątpliwości, że tak szybka i korzystna dla lewicy zmiana sytuacji politycznej miała swe źródła w obiektywnej sytuacji kraju. Radykalna reforma gospodarcza pociągnęła za sobą pojawienie się

masowego bezrobocia i znaczny spadek poziomu życia większości obywateli. Niezależnie od tego, jak dalece tak radykalna reforma była uzasadniona, jej skutki społeczne i psychologiczne musiały działać na korzyść lewicowej opozycji.

Czynnik ten mógł jednak działać na korzyść innych niż SLD ugrupowań lewicy. Unia Pracy do pewnego stopnia skorzystała z tej koniunktury, zdobywając w wyborach do Sejmu 41 mandatów i 7,27 procent głosów. Był to wynik trzykrotnie (w głosach) słabszy niż wynik SLD. Inne ugrupowania lewicowe w ogóle się nie liczyły. Taki wynik wyborów oznaczał, że Sojusz Lewicy Demokratycznej stał się najsilniejszym ugrupowaniem Polski, a jego przewodniczący – politykiem, od którego w wielkiej mierze zależeć miała polityka polska w następnych latach.

Po zwycięstwie wyborczym Aleksander Kwaśniewski zainicjował rozmowy koalicyjne z trzema partiami, które weszły do Sejmu i z którymi istniała możliwość współpracy. W kolejności wyznaczonej przez siłę ich reprezentacji parlamentarnej były to Polskie Stronnictwo Ludowe, Unia Demokratyczna i Unia Pracy. Unia Demokratyczna na samym początku rozmów odrzuciła (wbrew stanowisku jej lewicowych działaczy, zwłaszcza Jacka Kuronia) koalicję z SLD, czego następstwem było także to, że z przystąpienia do koalicji zrezygnowała Unia Pracy. Polskie Stronnictwo Ludowe natomiast uzależniło stworzenie koalicji od tego, by premierem został prezes PSL Waldemar Pawlak.

Była to sytuacja o tyle osobliwa, że klub SLD miał 171 mandatów poselskich, a PSL – 132 (w Senacie odpowiednie liczby wynosiły 37 i 36). Aleksander Kwaśniewski zdecydował się zaakceptować warunki PSL, dzięki czemu powstał koalicyjny rząd SLD i PSL pod kierownictwem premiera Pawlaka. Sam Kwaśniewski do rządu nie wszedł i nie kandydował na zarezerwowane dla SLD stanowisko marszałka Sejmu, zadowalając się stanowiskiem przewodniczącego Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. W tej roli stał się jednym z najważniejszych twórców nowej konstytucji, a tym samym wywarł poważny wpływ na przyszły kształt ustrojowy Polski.

W 1995 roku Kwaśniewski rzucił wyzwanie urzędującemu prezydentowi Lechowi Wałęsie. Mało kto wierzył w jego wygraną. Pokonanie laureata pokojowej Nagrody Nobla, człowieka będącego symbolem ruchu „Solidarności", polityka popieranego przez Episkopat i (w drugiej turze) przez większość partii politycznych graniczyło z cudem. Sukces

Kwaśniewskiego nie wynikał z prostego rachunku poparcia politycznego dla partii politycznych, gdyż procent uzyskanych przez niego w drugiej turze głosów (51,72) zdecydowanie przewyższał procent głosów, które kiedykolwiek padły na listy Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

Był to więc sukces przywódcy, osiągnięty dzięki jego osobistej popularności. Wprawdzie sukcesowi temu sprzyjały błędy popełnione przez jego poprzednika (tak w okresie pełnienia urzędu, jak podczas samej kampanii), ale same te błędy nie przesądziłyby o wyniku wyborów. Czynnikiem decydującym było to, że kandydat lewicy trafiał do szerokiego kręgu wyborców widzących w nim polityka szukającego, jak się wtedy mówiło, „porozumienia ponad podziałami".

Wybór Aleksandra Kwaśniewskiego na najwyższe stanowisko w państwie miał dla lewicy poważne konsekwencje – pozytywne i negatywne. Najważniejszym pozytywnym efektem tego zwycięstwa było to, że na czele państwa stanął, wyposażony w silny mandat demokratyczny, polityk lewicy. Ten sukces umocniony i spotęgowany został pięć lat później, gdy (w 2000 roku) wyborcy – już w pierwszej turze – powierzyli mu prezydenturę na kolejne pięć lat. Na lata tej prezydentury przypadły trzy wydarzenia, których znaczenie wykracza poza bieżącą politykę: uchwalenie Konstytucji w 1997 roku oraz przyjęcie Polski do NATO (1999 rok) i do Unii Europejskiej (2004 rok). W każdym z nich Aleksander Kwaśniewski miał bardzo istotny udział. Dziesięć lat prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego dobrze zapisało się w pamięci rodaków, a on sam pozostał jednym z najbardziej popularnych polityków polskich.

Sukces ten miał jednak swą cenę. Socjaldemokracja RP oddała państwu swego przywódcę, a jego odejście z kierownictwa partii stworzyło sytuację, której konsekwencji początkowo nikt nie przewidział. Wbrew potocznemu powiedzeniu, że nie ma ludzi niezastąpionych, okazało się, że żaden polityk lewicy nie był w stanie wypełnić powstałej luki.

Kryzys przywództwa

Od 1995 roku, gdy prezydent-elekt pożegnał się z kierowaną przez siebie partią, Socjaldemokracja RP i jej następca, Sojusz Lewicy Demokratycznej, miały pięciu przewodniczących, z których dwaj (Leszek Miller i Józef Oleksy) dwukrotnie wybierani byli na to stanowisko. Tak więc w latach 1996–2012 siedmiokrotnie dokonywano wyboru przewodniczącego par-

tii, co oznacza znacznie większą płynność przywództwa, niż to ma miejsce w większości innych partii.

Częste zmiany przewodniczącego SdRP i SLD były przejawem i konsekwencją politycznych niepowodzeń, za które – słusznie lub niesłusznie – winiono przywódców. Niepowodzeniem dla lewicy były wybory parlamentarne 1997 roku, gdy utraciła ona władzę mimo znacznego zwiększenia odsetka uzyskanych głosów, a zwłaszcza wszystkie późniejsze wybory parlamentarne i do Parlamentu Europejskiego z wyjątkiem wyborów parlamentarnych w 2001 roku zakończonych imponującym zwycięstwem koalicji SLD i Unii Pracy, w wyniku czego powstał rząd Leszka Millera. Klęską okazały się wybory prezydenckie 2005 roku, w których kandydat SLD Włodzimierz Cimoszewicz brutalnie atakowany przez przeciwników (na podstawie sfałszowanego dokumentu) wycofał się przed pierwszą turą, a kandydat Socjaldemokracji Polskiej Marek Borowski zajął zaledwie czwarte miejsce. Stosunkowo lepszy wynik osiągnął kandydat SLD Grzegorz Napieralski w wyborach prezydenckich 2010 roku (trzecie miejsce i prawie 14 procent głosów), ale w następnym roku wybory parlamentarne przyniosły SLD klęskę (piąte miejsce i zaledwie 8,3 procent głosów).

Jedyny wielki sukces SLD, jakim było zwycięstwo w wyborach parlamentarnych w 2001 roku, okazał się krótkotrwały. Rząd Leszka Millera objął władzę w warunkach załamania finansów państwa i w krótkim czasie zdołał uporać się z tym problemem. Odniósł też sukces, doprowadzając do pomyślnego dla Polski zakończenia negocjacji akcesyjnych, podpisania traktatu o przyjęciu Polski do Unii Europejskiej i zaakceptowania tego traktatu w referendum 2003 roku. Nie uchroniło go to jednak od utraty poparcia politycznego. Już dwa lata po wyborach sondaże pokazywały, że rząd Leszka Millera i SLD traciły poparcie, a niespełna trzy lata po wyborach w SLD nastąpił rozłam, a premier podał się do dymisji. Wkrótce zrezygnował także ze stanowiska przewodniczącego partii.

Ta seria niepowodzeń była konsekwencją rozmaitych okoliczności, nie zaś wyłącznie popełnianych błędów. Do strukturalnych przyczyn niepowodzeń lewicy zaliczyłbym przede wszystkim dwa czynniki: pogodzenie się większości społeczeństwa polskiego ze społecznymi efektami transformacji ustrojowej i zmiana pokoleniowa powodująca, że szczególne znaczenie w życiu publicznym zyskiwało pokolenie, które aktywność polityczną zaczynało albo w ostatnich, kryzysowych, latach istnienia PRL

albo bezpośrednio po zmianie ustroju. Obok tych strukturalnych przyczyn w grę wchodziły także błędy i zaniechania, wśród których za najważniejsze uważam osłabienie ideowej tożsamości lewicy oraz tolerancyjny stosunek do korupcji i nepotyzmu, które dały o sobie znać w drugim okresie rządów lewicy (2001–2005).

Przyczyn tych nie można tłumaczyć wyłącznie błędami przywódców, ale jedną z zasad polityki jest to, że przywódca postrzegany jest jako odpowiedzialny zarówno za sukcesy, jak i za porażki. W tym sensie przewlekły kryzys przywództwa jest zarazem przejawem i konsekwencją sytuacji, w jakiej znalazła się lewica.

Elementem tej sytuacji jest wycofanie się Aleksandra Kwaśniewskiego z czynnego życia politycznego. Odchodząc ze stanowiska prezydenta, miał on tylko pięćdziesiąt jeden lat i był najbardziej popularnym polskim politykiem. W styczniu 2007 patronował powstaniu koalicji Lewica i Demokraci oraz sygnalizował gotowość aktywnego włączenia się do gry politycznej[17]. Nie miało to jednak praktycznych następstw. W wyniku rozpadu koalicji Prawa i Sprawiedliwości, Samoobrony RP i Ligi Polskich Rodzin rząd Jarosława Kaczyńskiego stracił większość, czego następstwem były przyśpieszone wybory parlamentarne. Dla Lewicy i Demokratów był to fatalny scenariusz, gdyż nowa koalicja jeszcze nie okrzepła, a jej wynik wyborczy okazał się nieco słabszy niż ten, który dwa lata wcześniej uzyskała lista samego tylko SLD. Przekonany jestem, że jedyną szansą LiD-u w wyborach 2007 roku było pełne zaangażowanie się byłego prezydenta, otwieranie przez niego listy wyborczej w Warszawie i prowadzenie kampanii pod hasłem „rządu Aleksandra Kwaśniewskiego". Tak jednak się nie stało.

* * *

Koalicja Lewica i Demokraci została rozwiązana w 2008 roku decyzją ówczesnego przewodniczącego SLD Wojciecha Olejniczaka spowodowaną rosnącymi rozdźwiękami w łonie koalicji. Jej rozpad pogłębił kryzys na lewicy. Raz jeszcze okazało się, jak ważne w polityce jest to, kto, z jakim programem i z jakimi cechami osobistymi stoi na czele ruchu politycznego. W tym znaczeniu dzieje przywództwa lewicy w III Rzeczypospolitej potwierdzają słowa Maksa Webera, który pisał:

[17] Por. zwłaszcza: A. Kwaśniewski, *Kurz opadł i co się wyłania*, „Polityka", 6 stycznia 2007 r. oraz *Ja tu wracam*, „Gazeta Wyborcza", 24–25 marca 2007 r.

„Polityka jest jak żmudne wiercenie w twardych deskach, a do tego potrzeba jednocześnie i namiętności, i dobrego oka (…) Tylko ten, kto jest pewien, że nie załamie się w sytuacji, gdy świat widziany jego oczyma, okaże się zbyt głupi lub zbyt podły, by przyjąć to, co chce on światu ofiarować, że wbrew wszystkiemu potrafi powiedzieć »mimo wszystko« – tylko ktoś taki ma »powołanie« do polityki"[18].

Przyszłość polskiej lewicy zależy w wielkiej mierze od tego, czy i jak szybko przełamie ona kryzys przywództwa. Pamięć o „złotych latach" lewicy powinna pomagać w przełamaniu tego kryzysu. Były to bowiem lata, gdy przywódcy lewicy chcieli i potrafili współdziałać mimo istniejących między nimi różnic.

[18] M. Weber, *Polityka jako zawód i powołanie*, Społeczny Instytut Znak i Fundacja im. Stefana Batorego, Kraków–Warszawa 1998, s. 110.

Janusz Reykowski

O naturze ideologicznego konfliktu

Jednym z głównych celów, do których dążyli autorzy zmian systemowych realizowanych w Polsce w 1989 roku, było zastąpienie autorytarnego systemu władzy przez system demokratyczny. Cel ten był sztandarową ideą Opozycji Demokratycznej i ruchu „Solidarność". Był to również cel, jaki stawiała sobie reformatorska część obozu rządzącego i w tej intencji przystępowała do rozmów Okrągłego Stołu. Różnice między stronami tych rozmów dotyczyły nie tego „czy", ale tego „jak" i „jak szybko". Tak zwana strona rządowa uważała, że sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa nakazuje ostrożność przy wprowadzaniu zmian, natomiast obóz solidarnościowy dążył do tego, aby zmiany były szybkie i gruntowne.

Ale w tej sprawie występowały różnice także między partyjnymi reformatorami. Za najśmielszego z nich można uznać Aleksandra Kwaśniewskiego. To właśnie jego inicjatywa przyczyniła się znacząco do przyśpieszenia zmian, bo to dzięki niemu doszło do wprowadzenia do projektu reform zasady wolnych wyborów do senatu. Ogromne zwycięstwo obozu „Solidarności" w tych wyborach nadało nową dynamikę politycznym przeobrażeniom w Polsce.

Aleksander Kwaśniewski nie tylko przyczynił się do przyśpieszenia reform demokratycznych, ale też odegrał, jako prezydent III RP dwóch kadencji, istotną rolę w budowie i konsolidacji ładu demokratycznego w Polsce. Mówiąc o tej roli, należałoby zwrócić uwagę na co najmniej dwa

jej aspekty. Jeden to doprowadzenie do uchwalenia konstytucji RP i znaczący wpływ na jej kształt. Dokument ten sprawdza się jako fundament demokratycznego systemu rządzenia. To, że powstał, jest wielkim dokonaniem A. Kwaśniewskiego i innych jego autorów reprezentujących różne siły w Polsce, wymagało to bowiem przezwyciężenia ogromnych politycznych, ideologicznych i światopoglądowych różnic, jakie panowały wśród elit politycznych i wśród obywateli.

W pracach nad konstytucją i w innych działaniach Kwaśniewskiego ujawniła się też jego zdolność do radzenia sobie z sytuacjami konfliktowymi i umiejętność zmniejszania napięć wynikających z panujących w społeczeństwie różnic i sprzeczności. Zresztą nie tylko na forum krajowym, ale także międzynarodowym. Dzięki temu zdobył on tak dużą popularność i tak duży autorytet w społeczeństwie. Różnił się pod tym względem w sposób istotny od swego następcy, który czy to ze względu na osobiste właściwości, czy ze względu na swoje polityczne uwikłania nie był w stanie oderwać się od swego politycznego obozu i odegrać roli „prezydenta wszystkich Polaków". Sprawiło to, że w roku wyborczym niedługo przed swoją tragiczną śmiercią, uzyskiwał niski poziom społecznego poparcia.

W trakcie prezydentury Lecha Kaczyńskiego i rządów Jarosława Kaczyńskiego doszło do zaostrzania konfliktów ideologicznych w Polsce. Poprzednio, w pierwszych kilkunastu latach III RP główny konflikt miał charakter historyczno-tożsamościowy między obozem „postsolidarnościowym" i tak zwanym „obozem postkomunistycznym". Prezydentura Kwaśniewskiego przyczyniała się do osłabiania tego konfliktu. Zdobycie władzy przez PiS, a później uzyskanie przez tę partię roli głównej siły opozycyjnej nadało wielkie znaczenie konfliktowi ideologicznemu: przeciwieństwu między konserwatywną prawicą a siłami mniej lub bardziej liberalnymi lub lewicowymi. Konflikt tożsamościowy nie zniknął, ale przesunął się na dalszy plan. Charakter tego ideologicznego konfliktu zasługuje na gruntowniejszą analizę.

Istota ideologicznego konfliktu

Konflikty ideologiczne, z którymi spotykamy się na co dzień, dotyczą różnych, czasami merytorycznie odległych problemów. W naszym kraju spotykamy się z konfliktami dotyczącymi takich kwestii jak stopień z religii na maturze, wprowadzenie do programu szkolnego zajęć na temat

wychowania seksualnego, obecność symboli religijnych w urzędach państwowych, prawo do aborcji, prawo do eutanazji, prawa małżeńskie osób homoseksualnych, miejsce kobiet w rodzinie i ich pozycja w życiu społecznym, stosunek do innych kultur, innych narodowości, do imigrantów, stosunek do kary śmierci, stosunek do postępu nauki – do ewolucjonizmu, do badań nad komórkami macierzystymi, do eksperymentów z klonowaniem, ujmowanie prawa do wolności osobistych i obywatelskich itp.

Konflikty ideologiczne mają to do siebie, że dotyczą sprzeczności, które mają znaczenie nie tylko praktyczne, ale także symboliczne. Bardzo często ogniskują się wokół takich spraw i zdarzeń, których symboliczne znaczenie ma charakter pierwszoplanowy. Takim zdarzeniem stała się w Polsce katastrofa smoleńska. Wokół interpretacji przyczyn tej katastrofy wyłoniły się dwa obozy, które różnią się zasadniczo w takich sprawach, jak sposób interpretowania wspólnoty narodowej i sensu narodowej solidarności, sposób rozumienia prawdy i dochodzenia do niej, ujmowanie relacji swoi–obcy i in.

Konflikty ideologiczne różnią się pod względem intensywności i zdolności do wywoływania silnych emocji. Niektóre z nich – jak na przykład te dotyczące aborcji, miejsca religii w życiu publicznym albo praw obywatelskich – wywołują gwałtowne spory i wrogie reakcje. A już szczególnie toksyczny okazał się konflikt wokół katastrofy smoleńskiej. Ale niemal każdy konflikt jest potencjalnym źródłem wielkich antagonizmów, które, jeśli nie wykaże się należytej ostrożności, mogą doprowadzać do niebezpiecznych konfrontacji.

Wymienione wyżej konflikty ideologiczne z pozoru dotyczą spraw bardzo różnych. Ale jeśli przyjrzeć się im nieco bliżej, to można dostrzec, że są one ze sobą jakoś powiązane – postawy, jakie ludzie wobec nich przyjmują, tworzą dość spójne konstelacje. Konstelacje te można opisać jako przeciwstawne ideologicznie orientacje. Orientacje te bywają określane w różny sposób, ale najczęściej mówi się o takich przeciwstawieniach jak konserwatyzm – liberalizm, tradycjonalizm – nowoczesność (modernizm), prawica – lewica (w ideologicznym, a nie ekonomicznym znaczeniu) czy jeszcze jakoś inaczej.

Jest sprawą zastanawiającą, że niezależnie od znacznych różnic kulturowych między krajami, natura ideologicznych konfliktów, jakie w nich występują, wykazuje wiele istotnych podobieństw. Można to zaobserwować, porównując, na przykład, konflikty ideologiczne w Polsce i w Stanach

Zjednoczonych. Treści, o które toczy się spór ideologiczny, są bardzo podobne (aborcja, prawa osób homoseksualnych, zakres wolności obywatelskich, prawa mniejszości, obecność religii w życiu publicznym itp.), natomiast różni je stopień mobilizacji radykałów po obu stronach oraz, przynajmniej dotychczas, radykalizm używanych środków. W Polsce prawicowi radykałowie nie wysadzili w powietrze obiektu publicznego (choć zdaje się, że były takie plany), a także nie mordowano lekarzy, którzy dokonali aborcji, jak to się działo w Stanach Zjednoczonych.

W Europie Zachodniej gwałtowne konflikty ideologiczne dotyczą stosunku do mniejszości narodowych i obyczajowych. Są one wzmagane przez prawicę nacjonalistyczną wyraźnie dającą o sobie znać w Niemczech, we Francji, w Holandii, w Belgii, we Włoszech. Z kolei w różnych krajach muzułmańskich występuje podobny konflikt między bardziej lub mniej świeckim państwem a islamskim fundamentalizmem, albo jak w Turcji między państwem znajdującym się pod znacznym wpływem religii muzułmańskiej, a częścią społeczeństwa nastawioną świecko i demokratycznie.

Różnice przekonań ideologicznych prawie nigdy nie ograniczają się do jakiejś pojedynczej kwestii – z reguły obejmują pewien system przekonań. Przekonania ideologiczne opierają się zwykle na pewnych trwałych założeniach dotyczących natury świata społecznego i związanych z nimi podstawowych wartości. Te trwałe założenia stanowią fundament, na którym jednostka buduje swój stosunek do różnych spraw. Według Miltona Rokeacha są to centralne przekonania[1].

Dokładniejsza analiza tych światopoglądowych założeń pozwala wyodrębnić dwie ich prototypowe formy występujące w wielu społeczeństwach. Podstawowe różnice między tymi formami dotyczą sposobu ujmowania relacji jednostki i wspólnoty oraz związanego z tym sposobu ukształtowania ludzkiej tożsamości. Tak więc z jednej strony jest to system założeń światopoglądowych, którego fundamenty sięgają pradawnych doświadczeń ludzkich społeczeństw – okresu, gdy życie ludzkie przebiegało w ramach ograniczonych wspólnot, a losy poszczególnych jednostek były bezpośrednio determinowane przez los wspólnoty. Można go określić jako tradycyjny. Z drugiej strony jest to system, który kształtował się jako rezultat postępującej emancypacji ludzkich jednostek. Prawa i wolności jednostek odgrywają w nim centralną rolę. Jest to zatem uniwersalna

[1] M. Rokeach, *The open and closed mind*, New York 1960.

sprzeczność między tradycją a nowoczesnością w sferze światopoglądowej i moralnej. Sprzeczność ta znajduje polityczny wyraz jako przeciwieństwo dwóch orientacji: orientacji konserwatywnej i orientacji liberalno-demokratycznej[2]. Mimo że we współczesnych krajach demokratycznych orientacja konserwatywna różni się pod wieloma ważnymi względami od form historycznie wcześniejszych, to jej podstawy sięgają głęboko w przeszłość. Stanowi ona mniej lub bardziej zaawansowaną transformację pewnych archaicznych form ujmowania rzeczywistości, podczas gdy orientacja liberalno-demokratyczna im się przeciwstawia.

Podstawowe różnice między tymi dwoma orientacjami dotyczą pojmowania wspólnoty i wyobrażeń o zasadach, na których ład społeczny jest i powinien być budowany. Różnice te są potencjalnym źródłem poważnych ideologicznych konfliktów.

Pojmowanie wspólnoty

Wspólnota jako podstawa tożsamości

Orientacja konserwatywna opiera się na pojmowaniu wspólnoty jako pewnej całości moralnej wyodrębnionej na podstawie więzów krwi, wspólnoty wierzeń języka, terytorium. W odległej przeszłości był to klan, ród czy plemię zamieszkujące wspólne terytorium, mające wspólny język (narzecze), wspólne wierzenia i wyobrażenia o świecie (mity), wspólne obyczaje i tradycje (kulturę). Obecnie jest to grupa etniczna lub naród połączony wspólnotą języka, religii (na ogół) terytorium, obyczajami, wspólnie interpretowaną historią itp. Wspólnotą taką jest także rodzina ujmowana jako część większej, narodowej całości. Naród to wspólnota rodzin. Wielkie znaczenie ma wspólnota wiary, bo zbudowany na niej światopogląd nadaje sens temu, z czym człowiek ma do czynienia. Z reguły (choć nie zawsze) jest to wiara religijna. Tak rozumiana wspólnota ma prymat nad jednostką.

Rozwój liberalno-demokratycznego kapitalizmu wiązał się z głębokimi przekształceniami sposobu ujmowania wspólnoty. Przekształcenia te mają różne formy.

---

[2] Termin „liberalny" bywa źródłem nieporozumień, ponieważ używa się go w różnych i to przeciwstawnych znaczeniach (por. sens pojęcia „partia liberalna" w Europie i w Stanach Zjednoczonych). W tym tekście posługuję się terminem „liberalny" w znaczeniu, jakie nadaje mu Andrzej Walicki, zob. *idem*, *Pojęcie neoliberalizmu: od „nowego liberalizmu" do „neoliberalnego" konserwatyzmu*, „Myśl Socjaldemokratyczna" 2012, nr 1–2.

Przede wszystkim następują zmiany kryteriów, na podstawie których wspólnota jest budowana – nie sprowadza się ona do współwyznawców czy współplemieńców. Zamiast „wspólnoty krwi" powstają wspólnoty obywatelskie. We wspólnotach obywatelskich jednostka i jej prawa nabierają autonomicznego znaczenia. Wspólnota nie ma bezwzględnej przewagi nad jednostką.

Człowiek współczesny należy do wielu wspólnot. Ważne dla niego są więzi wynikające z przynależności do zawodowych, politycznych i społecznych organizacji. Wspólnoty takie mogą przekraczać ramy państw i narodów (na przykład międzynarodowe organizacje naukowe, społeczne, polityczne).

Zmiany w sposobie ujmowania wspólnoty są niekiedy bardzo daleko idące. Dochodzi do wyolbrzymiania znaczenia jednostki i zakwestionowania wspólnoty jako pewnej moralnej wartości. Więzi międzyludzkie przybierają wtedy formę kontraktu opartego na wspólnych interesach. Zanikają, jak tylko zanikną wspólne interesy.

To stanowisko dobrze wyraziła Ayn Rand (1962), przez zwolenników wolnego rynku uznawana za wybitny autorytet. Jak twierdziła, człowiek – każda jednostka ludzka – jest celem samym w sobie, a nie środkiem do czyichś celów. Istnieje dla siebie, a nie dla innych. Nie ma więc poświęcać się dla innych ani innych poświęcać dla swoich celów. Dążenie do realizacji własnego, racjonalnie rozumianego interesu i własnego szczęścia jest najwyższym moralnym celem jego życia. Idealnym systemem polityczno-ekonomicznym, w którym człowiek te cele może realizować, jest *laissez-faire* kapitalizm. W systemie tym ludzie wchodzą ze sobą w relacje nie jako ofiara i oprawca, pan i niewolnik, lecz jako „handlowcy" (*traders*) – wolne jednostki dokonujące swobodnej wymiany dóbr dla wzajemnych korzyści[3].

Ujęcie wspólnoty wiąże się z ukształtowaniem tożsamości człowieka. Tradycyjne ujmowanie wspólnoty opiera się na silnej i trwałej identyfikacji z podstawowymi wspólnotami. Znaczy to, że przynależność narodowa, wyznaniowa, a także przynależność do określonej rodziny odgrywa centralną rolę w określeniu własnego ja[4]. To nie interes, ale mocna

[3] *Introducing Objectivism by Ayn Rand*, „Kostis Velonis", 21 August 2011.

[4] Trzeba jednak dodać, że w czasach nowożytnych powstawały też wspólnoty moralne oderwane od religii. Religia zastąpiona była przez odpowiednio

więź emocjonalna determinuje związek ze wspólnotą. Jednostka definiuje siebie jako członka określonej wspólnoty. W konsekwencji pomyślność wspólnoty staje się dla człowieka ważnym warunkiem zadowolenia z życia. Ma też istotny wpływ na poczucie własnej wartości[5]. Sukces wspólnoty (na przykład sportowy, militarny ekonomiczny) przyczynia się do jego podwyższenia, a klęska – może je obniżać. Obrona dobrego imienia własnego narodu czy też wykazywanie jego wyższości nad innymi narodami traktowane jest jako ważny obowiązek moralny.

Dążenia do wykazywania wyższości własnego narodu przybierają niekiedy karykaturalne formy. Przykładem tego może być transparent, jaki zwolennicy klubu sportowego Lech Poznań wywiesili w trakcie meczu z reprezentacją Litwy: „Litewski chamie, klęknij przed polskim panem"[6].

Tożsamość społeczna ludzi kształtowanych w demokratycznych społeczeństwach może być bardziej złożona, bo te same osoby mogą identyfikować się z różnymi grupami. Ich więź z tymi grupami może opierać się na zasadach koleżeństwa, lojalności, odpowiedzialności itp. Ale może też ograniczać się do powierzchownych gestów, które nie mają głębszego znaczenia.

Sposób ujmowania wspólnoty ma zasadnicze znaczenie dla pojmowania moralności, czyli rozróżnienia między dobrem a złem, dla rozróżnienia swoi–obcy, a także dla rozróżnienia prawdy i fałszu.

Ujmowanie moralności – wspólnota jako całość moralna?

Stwierdzenie, że wspólnota to „całość moralna", odnosi się do sytuacji, gdy członkowie wspólnoty traktują troskę o jej dobro jako fundamentalną zasadę moralną, stojącą ponad wszystkimi innymi, a normy obowiązujące w niej za jedyne źródło moralnych obligacji. To ona określa zatem, co jest dobrem, a co złem. Najcięższym grzechem moralnym jest akt nielojalności wobec wspólnoty: odstępstwo czy zdrada.

Nakaz bezwzględnej lojalności wobec własnej wspólnoty zawarty jest *implicite* w pierwszym przykazaniu Dekalogu („Nie będziesz miał

---

rozbudowaną ideologię. Przykładem najbardziej zaawansowanych form tego rodzaju wspólnot był komunizm i faszyzm.

[5] H. Tajfel, J. Turner, *An integrative theory of intergroup conflict*, [w:] *The social psychology of intergroup conflict*, red. W.G. Austin, S. Worchel, Monterey, Cal. 1979, s. 33–49.

[6] „Gazeta Wyborcza", nr 188, 2013.

bogów cudzych przede mną"), ponieważ wiara w „cudzych bogów" to to samo co wyłamanie się ze wspólnoty.

Uznanie, że najwyższym nakazem moralnym jest dobro własnej społeczności – religii i własnego narodu, znaczy, że dobro tych, którzy do wspólnoty nie należą, ma znaczenie podrzędne, a czasami nie liczy się wcale.

Przejawy takiej orientacji można spotkać między innymi w wydawanym w Polsce konserwatywnym czasopiśmie „Fronda". Przykładowo poświęciło ono niemal cały numer na opis przypadków prześladowania chrześcijan we współczesnym świecie i na krytykę islamu jako religii odpowiedzialnej za te prześladowania. Nie można tam znaleźć najmniejszej wzmianki o nietolerancyjności chrześcijan i prześladowaniach, którym poddawani bywają ludzie innej wiary niż chrześcijańska.

Drugorzędne znaczenie mają też inne wymogi moralne, takie jak wierność prawdzie obiektywnej. Prawdy, które mogłyby zaszkodzić „naszej wspólnocie", nie mogą być zaakceptowane.

W sporze, który wybuchł w Polsce po ogłoszeniu rosyjskiego raportu o przyczynach katastrofy pod Smoleńskiem, zderzyły się dwa stanowiska moralne: tych, którzy na pierwszym miejscu stawiali sprawę „obrony honoru Polski", i tych, dla których najważniejsza była kwestia prawdy obiektywnej – zgodność czy niezgodność z faktycznym stanem rzeczy. To pierwsze stanowisko jest ilustracją postawy moralnej, która dobro własnej wspólnoty traktuje jako nakaz moralny najwyższego rzędu. Z tej perspektywy nie do zaakceptowania były twierdzenia, że istotną część winy za katastrofę ponosi polska strona. Ci, którzy je wygłaszali, spotkali się z zarzutem zdrady narodowej i zaprzaństwa.

Podobną postawę ujawniali ci Amerykanie, którzy potępili i grozili śmiercią amerykańskiemu wojskowemu za to, że doprowadził do ujawnienia okrucieństw żołnierzy amerykańskich wobec więźniów w Abu Ghraib.

Jeśli jednostka czuje się członkiem różnych wspólnot, jeśli więzi z tymi wspólnotami mogą ulegać zmianie, to konkretna wspólnota przestaje być „całością moralną". W różnych wspólnotach mogą obowiązywać różne zasady. Ale sprzyja to wytwarzaniu zasad nadrzędnych, które odnoszą się nie do poszczególnych wspólnot, a do większych społecznych całości. W swej najbardziej rozwiniętej formie jest to moralność oparta na zasadach uniwersalnych. Zakłada ona uznanie praw jednostki, których

wspólnota nie może zakwestionować. Pojęcie dobra moralnego nie sprowadza się do dobra „wspólnoty krwi", lecz opiera się na normach dotyczących w jednakowy sposób wszystkich ludzi, a nie tylko członków własnej grupy. Te normy moralne chronią zarówno „swoich", jak i „obcych". Dobro moralne ujmowane jest w kategoriach ogólnoludzkich.

Przejawem uniwersalizacji moralności jest idea praw człowieka, która odgrywa coraz większą rolę w życiu społeczeństw. Wiąże się z tym sprzeciw wobec wszelkich form dyskryminacji. Wyrazem tej orientacji jest postkonwencjonalny poziom myślenia moralnego[7].

W Europie punktem zwrotnym w przechodzeniu od tradycyjnej moralności „wewnątrzgrupowej" do uniwersalnych norm moralnych był Proces Norymberski. Opierał się on na założeniu, że prawa państwa narodowego nie usprawiedliwiają czynów, które gwałcą normy ogólnoludzkie.

Perspektywa moralna charakterystyczna dla orientacji liberalno-demokratycznej wykracza poza konkretne narodowe, religijne czy państwowe wspólnoty. Opiera się na pewnych abstrakcyjnych zasadach moralnych, takich jak sprawiedliwość, prawda obiektywna, miłosierdzie, prawa człowieka i obywatela, które odnoszą się do ludzi w ogóle, a nie do jakichś ich wyodrębnionych kategorii. Ale równocześnie uwzględnia moralne znaczenie zasad obowiązujących w różnych wspólnotach konkretnych – na przykład takie wspólnoty, jak organizacje naukowe, polityczne czy zawodowe wypracowują własne kodeksy etyczne, których przestrzeganie jest warunkiem przynależności do danej wspólnoty.

Pojęcie wspólnoty a podział na swoich i obcych

Podział swoi–obcy to niesłychanie istotny wymiar stosunków społecznych w tradycyjnych społeczeństwach. Wprawdzie rozróżnienie między członkami własnej grupy i członkami grup obcych jest ważne we wszystkich społeczeństwach, ale w społeczeństwach tradycyjnych ma ono bardzo daleko idące konsekwencje. Główne różnice między tradycyjnym – konserwatywnym – a współczesnym, liberalno-demokratycznym ujęciem tego rozróżnienia można ująć następująco:

- Po pierwsze, w społeczeństwach tradycyjnych podstawą podziału na swoich i obcych była rodzinna lub plemienna przynależność,

[7] L. Kohlberg, *Moral stages and moralization: The cognitive-developmental approach*, [w:] *Moral development and behavior*, red. T. Lickona, New York 1976, s. 31–54.

a później – przynależność narodowa czy etniczna. Był to zarazem podział według wierzeń: na wierzących w tych samych i wierzących w innych (obcych) bogów. W społeczeństwie liberalnym występują różne kryteria podziału (według poglądów politycznych, ról zawodowych, miejsca zamieszkania, przynależności państwowej), ale nie są one uznawane za niezmienne i nie jest im przypisywana wartość moralna, choć często traktowane są w kategoriach wyższości (lepszości) / niższości (gorszości).

- Po drugie, w społeczeństwach tradycyjnych prawa dla swoich i prawa dla obcych zasadniczo się różnią. Swoich mają chronić przed złym traktowaniem i zapewniać im pierwszeństwo w stosunku do obcych. Przywileje przynależne członkom grupy własnej nie odnoszą się do członków obcych grup, także tych, którzy zamieszkują wspólne terytorium. W ujęciu liberalnym te same prawa powinny odnosić się do wszystkich obywateli.

W tym kontekście można przypomnieć, że zasady Dekalogu, obecnie traktowane jako uniwersalny kodeks moralny rozumiane były przez plemiona izraelskie jako wymogi dotyczące stosunków wewnątrzplemiennych. Na przykład przykazanie „Nie zabijaj" nie odnosiło się do postaw wobec obcych. Ilustruje to następujący fragment z Księgi Liczb:

> (...) przyprowadzili jeńców [Madianitów], zdobycz i łup do Mojżesza, (...) Rzekł do nich: „Jakże mogliście zostawić przy życiu wszystkie kobiety? (...) Zabijecie więc spośród dzieci wszystkich chłopców, a spośród kobiet te, które już obcowały z mężczyzną. Jedynie wszystkie dziewczęta, które jeszcze nie obcowały z mężczyzną, zostawicie dla siebie przy życiu" (Lb 31, 12–18, cyt. za: Biblia Tysiąclecia).

- Po trzecie, w tradycyjnych społeczeństwach granice między swoimi i obcymi były ostre, wyraźnie zaznaczone (w stroju, języku, obyczaju) i ujmowane w kategoriach moralnych (obcy, innowiercy są w założeniu gorsi).

Prof. Tazbir cytuje wybitnego socjologa Floriana Znanieckiego, który pisał: „niezliczone przykłady z dziejów różnych kultur ilustrują powyższą postawę [chodzi o ksenofobię – przyp. J.R.]. Cudze słowo jest złem, cudze piękno brzydotą, cudza prawda fałszem lub błędem, cudza mowa

dźwiękami bez sensu, (…) cudza świętość nieczystością, cudze bogi – szatanami (…)"[8].

Ta ksenofobiczna tendencja charakterystyczna dla tradycyjnej orientacji była ograniczona przez „zasadę gościnności". Zasada ta wymagała troski o dobrostan gościa nawet kosztem wielkich osobistych wyrzeczeń.

Księga Rodzaju opisuje determinację Lota, który za wszelką cenę starał się ochronić dwóch wędrowców, którzy go odwiedzili, przed atakami tłumu mieszkańców Sodomy. Dla ich ratowania gotów był nawet poświęcić swoje córki.

W czasach współczesnych przekonanie o gorszości obcych wyraża się na przykład w takich formach jak megalomania narodowa, nacjonalizm, niechęć do obcych i lęk przed nimi, uprzedzenia narodowe i etniczne, rasizm, antysemityzm itp. Demokratyczno-liberalne stanowisko wiąże się z odrzuceniem wszystkich form dyskryminacji obcych.

Rozpowszechnienie idei demokratycznych doprowadziło do znacznego ograniczenia przejawów rasizmu, ksenofobii, nacjonalizmu. We współczesnych liberalno-demokratycznych społeczeństwach te tendencje są tłumione, ale i tak dają o sobie znać w różnych formach.

Po czwarte, w tradycyjnych społeczeństwach ci, którzy nie należeli do wspólnoty, bywali traktowani przede wszystkim jako zagrożenie lub źródło korzyści. Aby zabezpieczyć się przed obcymi lub osiągać z nich korzyści, trzeba dysponować siłą i umieć jej użyć w interesie własnej społeczności. Dlatego też w tradycyjnych społecznościach panuje na ogół kult siły, apoteoza czynu orężnego, nieugiętości w walce itp. Tradycyjna kultura wypełniona jest symbolami i narracjami odnoszącymi się do czynów bohaterskich, ofiary na rzecz wspólnoty, triumfu nad wrogami itp. Zdobywanie przewagi nad „obcymi" i umiejętność ich wykorzystania jest ważną cnotą moralną.

Współczesny konserwatyzm zachowuje wiele tradycyjnych tematów, choć w zmienionych formach. Postrzeganie obcych grup (państw, narodów) jako zagrożenia (w szczególności dotyczy to silnych sąsiadów), ujmowanie stosunków z innymi (w tym polityki międzynarodowej) głównie czy jedynie jako areny walki politycznej o maksymalizację własnych

[8] J. Tazbir, *Pięć wieków polskiej ksenofobii*, „Przegląd", 5–11 sierpnia 2013 r., s. 40.

korzyści, skłonność do posługiwania się argumentem siły, militaryzm, czyli nadawanie szczególnej wagi siłom zbrojnym i poświęcanie znacznych środków na zbrojenia to wyróżniki konserwatywnego myślenia o stosunkach z obcymi grupami. Wszakże obecnie walka o przewagę przybiera częściej formy ekonomiczne niż militarne. Niemniej, we współczesnych społeczeństwach można spotkać „czyste" formy tradycyjnego myślenia o stosunkach swoi–obcy. Są one kultywowane przez ruchy faszystowskie, które przemoc fizyczną traktują jako uprawniony sposób realizacji celów politycznych.

Konserwatywna orientacja we współczesnych rozwiniętych krajach demokratycznych na ogół odrzuca przemoc fizyczną (militarną) jako sposób rozwiązywania konfliktów politycznych. Ale wśród jej zwolenników można spotkać osoby, które ją mniej lub bardziej jawnie aprobują (na przykład poeta Jarosław Marek Rymkiewicz czy też polscy zwolennicy generała Pinocheta).

W społeczeństwach liberalno-demokratycznych szacunek dla innych i uznanie cudzych praw zmniejsza ostrość konfliktu interesów, a w sytuacjach konfliktowych osłabia gotowość do uciekania się do przemocy – z przeciwnikami walczy się przede wszystkim środkami politycznymi i symbolicznymi.

Przekonania na temat źródeł prawdy

W ujęciu konserwatywnym podstawowymi źródłami prawdy są tradycja i tradycyjne społeczne autorytety – najważniejszą ich ostoją jest religia, jej święte księgi i kapłani. W społecznościach, w których religia została zastąpiona polityczną ideologią, źródłem prawdy staje się ideologiczna doktryna, jej główni twórcy i interpretatorzy.

Światopogląd dawnych wspólnot wyrażał się w jej wierzeniach, mitach, tradycjach, obrzędach, a w bardzo prymitywnych grupach miał charakter magiczny. Zasady rządzące światem ujmowane były w formach narracyjnych jako mity czy opowieści o zdarzeniach z historii wspólnoty (plemienia). Wierzono, że wiedza o bóstwach i prawach, które rządzą światem, została przekazana ludziom przez siły wyższe za pośrednictwem specjalnych posłanników – osób świętych, proroków, wcielonego bóstwa.

Plemienne mity i wierzenia zostały stopniowo wyparte przez wielkie systemy religijne (takie jak chrześcijaństwo, judaizm, islam), które obok form narracyjnych zawierają też pojęciowe modele świata społecznego i świata przyrody umożliwiające rozumienie go w kategoriach

abstrakcyjnych. Wszakże ludzie wierzący nadal spierają się o to, czy narracje zawarte w księgach świętych mają być interpretowane dosłownie, czy też jako formy metaforyczne.

W ujęciu liberalnym jednostka jest autonomicznym poszukiwaczem prawdy, a jednym z głównych źródeł pomocy w tym poszukiwaniu jest nauka. Od czasu Oświecenia rozwija się tendencja do odrzucania religijnych założeń światopoglądu i budowania go na zasadach naukowych.

Zasady, na których opiera się ład społeczny

Normy (prawa) i ich źródła

Każda grupa społeczna, nawet najmniejsza, wytwarza normy, które regulują zachowanie członków grupy i ich wzajemne stosunki: są to obyczaje, kodeksy etyczne, zasady moralne, prawa itp. W dawnych społeczeństwach za podstawowe źródło norm uznawano tradycje oraz orzeczenia grupowych autorytetów. Przypisywano im boskie pochodzenie, co normom czy prawom grupowym nadawało cechę świętości. Święte prawa muszą być bezwzględnie przestrzegane. Nie podlegają dyskusji ani rewizji.

Tradycyjne społeczeństwa na ogół bardzo szczegółowo regulowały całe życie członków wspólnoty – sposób odżywiania się i przygotowywania pokarmów (co i kiedy jedzą, a czego jeść im nie wolno), życie seksualne, sposób wykonywania pracy, stosunki między krewnymi i inne. W tak skrajnych formach regulacje tego rodzaju utrzymują się tylko w pewnych grupach wyznaniowych, takich jak na przykład chasydzi.

Współczesne ideologie konserwatywne są mniej restryktywne niż dawniejsze, ale uznając, że pewne podstawowe prawa (normy, zasady) mają pochodzenie nadprzyrodzone, domagają się, aby były one powszechnie przestrzegane i egzekwowane przez aparat państwa (na przykład w takich sprawach jak aborcja, zapłodnienie *in vitro*, praca w dni świąteczne, prawa osób homoseksualnych itp.).

Przykładem tego rodzaju nastawienia była aprobata prawicowych polityków dla stwierdzenia jednego z polskich katolickich biskupów, który publicznie wyraził przekonanie o wyższości „prawa bożego" nad prawem stanowionym przez ludzi.

Ideologia liberalno-demokratyczna traktuje normy jako wytwór życia społecznego. Ich legitymizację uzależnia od ich demokratycznego

pochodzenia: za bezwzględnie obowiązujące uznaje te, które powstały w wyniku działań prawodawczych podejmowanych przez uprawnione do nich demokratyczne instytucje, takich jak parlamenty. Ale uznaje także ważność norm, które społeczeństwa spontanicznie wypracowały w wyniku kolektywnej moralnej refleksji. Powstały w ten sposób normy uniwersalne, które odnoszą się do wszystkich ludzi. Opierają się one na założeniu, że jednostka ma prawo do autonomii moralnej – do krytycznej oceny panujących norm i do czynnego uczestnictwa w kształtowaniu zasad obowiązujących społeczność. Ideologia ta pozostawia jednostkom bardzo szerokie pole do układania swego życia i postępowania w sposób, który one same uznają za słuszny. Odrzuca na przykład prawo wspólnoty do wtrącania się do życia seksualnego członków społeczności, chyba że przybiera ono formy szkodliwe dla innych (jak pedofilia).

Ideologia tradycyjna i ideologia liberalna opierają się na innych kryteriach różnicowania ludzi (określania ich znaczenia oraz ich praw, obowiązków i przywilejów), na innych kryteriach prawomocności władzy, a także różnią się co do sposobów egzekwowania norm, czyli sposobów sprawowania społecznej kontroli. Mają też inny stosunek do społecznych zmian.

Zasady różnicowania ludzi

Dawne społeczeństwa w większości budowane były na zasadach hierarchicznych. Do najważniejszych kryteriów hierarchicznego zróżnicowania ludzi należały wiek, płeć, przynależność do kategorii ludzi wolnych lub niewolników (albo pół-niewolników), dziedziczne funkcje (wodza, kapłana), dziedziczne tytuły i in. Ludzie należący do różnych kategorii mieli „z przyczyn naturalnych" różną wartość moralną i społeczną, a więc różne prawa i różne obowiązki, w tym także różne prawa do szacunku. Zakładano, że takie zróżnicowanie ludzi ma charakter naturalny, że świat tak został urządzony przez Boga czy przez Naturę.

Pierwszy spisany zbiór praw, Kodeks Hammurabiego, określał inne zasady ochrony ludzi wolnych, a inne dla ludzi o niższym statusie.

„Jeżeli wybije zęby awilu połamie mu się zęby". Natomiast jeżeli „wybije zęby muszkemu (człowiekowi półwolnemu) zapłaci mu jedną trzecią miny srebra. Jeśli obywatel »albo« bydło albo owcę, albo osła, albo świnię, albo barkę skradł, a jeśli (było) to boga, albo pałacu, (aż) po trzydziestokroć to odda; jeżeli (było) to muśkena po dziesięciokroć to zwróci".

W świecie współczesnym równość ludzi traktowana jest dość powszechnie jako zasada obowiązująca. Mimo to nadal w różnych społeczeństwach utrzymuje się przekonanie, że pewnym kategoriom ludzi przysługuje wyższa wartość niż innym. Zasada hierarchicznego zróżnicowania ludzi według kategorii, do której są zaliczeni okazuje się nader powszechna[9]. Społeczeństwa różnią się jednak co do kryteriów, według których ta hierarchia jest budowana. Wprawdzie niewiele jest takich, które oficjalnie uznają, że status człowieka zależy od społecznego pochodzenia, ale płeć, wiek, pochodzenie etniczne nadal odgrywają rolę w hierarchizowaniu ludzi[10]. Do niedawna zjawiskiem niemal powszechnym było przekonanie, że mężczyznom należy się wyższy status niż kobietom. Ruchy feministyczne przyczyniły się do osłabienia tego przekonania.

Systematyczne badania pokazują, że znaczna część Amerykanów uznaje naturalną hierarchię „ras", według której najwyższą pozycję przypisuje się białym Euroamerykańskiego pochodzenia, a kolejne osobom pochodzenia azjatyckiego, Latynosom, a na końcu Afroamerykanom[11]. W różnych państwach Europy imigrantom z krajów afrykańskich czy azjatyckich przypisuje się naturalną „gorszość" w porównaniu z emigrantami z innych krajów europejskich, a tym ostatnim gorszość w stosunku do ludności miejscowej.

Spotyka się też inne kryteria hierarchii grup, na przykład w społeczeństwie Izraelskim Żydów aszkenzyjskich uważa się za „stojących wyżej" od Żydów sefardyjskich, a tych ostatnich wyżej niż Palestyńczycy.

Współczesna mutacja wyobrażenia o tym, że różnice statusu są wyrazem porządku ustanowionego przez Siłę Wyższą lub przez Naturę przybiera formę założenia, że o różnicach tych decydują pewne stałe (wrodzone?) cechy jednostek – talenty, poziom inteligencji, zdolność do podejmowania ryzyka, przedsiębiorczość, gotowość do przyjmowania odpowiedzialności itp. Na mocy tego założenia różnice statusu związane z przynależnością do określonej klasy czy warstwy społecznej są interpretowane jako konsekwencje zróżnicowania talentów i charakterów. Tak więc członkowie klas

---

[9] J. Sidanius, F. Pratto, *Social dominance*, Cambridge 1999.

[10] S.T. Fiske, *Interpersonal stratification. Status, power, and suboridination*, [w:] *Handbook of social psychology*, red. S.T. Fiske, D.T. Gilbert, G. Lindzey, t. 2, Hoboken, New Jersey 2010, s. 941–982.

[11] J. Sidanius, F. Pratto, *Social dominance*, *op. cit*.

czy narodów „niższych" są po prostu gorsi. Innymi słowy: „każdy uzyskuje to, na co zasłużył". Przekonanie takie jest podstawą uzasadnienia roszczeń pewnych grup społecznych do uprzywilejowanej pozycji.

Jak pisze Chrystia Freeland, publicystka mająca wiele bliskich kontaktów z kategorią ludzi superbogatych, nader powszechne stało się w tej grupie przekonanie o swojej wyższości nad resztą społeczeństwa. Przytacza wypowiedź jednego z nich: „Jeśli człowiek nie jest oligarchą, to znaczy, że jest z nim coś nie w porządku (…) Każdy ma te same warunki początkowe, każdy może osiągnąć taką pozycję"[12].

Takie roszczenia występują nie tylko wśród superbogatych – także w kręgach ludzi biznesu, wśród inteligencji, celebrytów itp. W Polsce pewni ludzie uznają pochodzenie miejskie za lepsze od pochodzenia wiejskiego.

Ideologia konserwatywna uznaje tego rodzaju hierarchiczne zróżnicowanie ludzi za uzasadnione. Natomiast stanowisko liberalno-demokratyczne przeciwstawia się wszelkim zróżnicowaniom, które mają kategorialny charakter, a więc zakładają hierarchię opartą na przynależności do określonej kategorii społecznej. Zakłada się, że hierarchia statusu ma opierać się na kryteriach merytokratycznych. Uznawane są różnice statusu związane z osiągniętą pozycją zawodową i stanowiskiem, z pozycją materialną, szczególnymi dokonaniami, wykształceniem itp. Ale różnic tych nie traktuje jako absolutne. Uwzględnia się, że istotną rolę w ich powstawaniu mogą odgrywać warunki społeczne, w których ludzie wzrastali i w których się znaleźli. Akceptując merytokratycznie uzasadnione różnice statusu, kwestionuje związaną z nimi skalę różnic w zakresie przywilejów, władzy i bogactwa. Zakłada się, że niezależnie od różnic statusu wszyscy ludzie są równi wobec prawa i mają równą wartość moralną.

Prawomocność władzy

Założenie, że hierarchiczny porządek jest stanem naturalnym, określa charakter władzy. W tradycyjnych wspólnotach była to najczęściej jednoosobowa władza o cechach paternalistycznych – ideałem był silny, mądry, sprawiedliwy władca (wódz, książę, król, cesarz), którego władza miała boskie pochodzenie lub boską sankcję: dobry dla poddanych, a twardy

[12] Ch. Freeland, *The rise of the new global elite*, Atlantic 2011, t. 307, nr 1, s. 44–55.

dla wrogów. Taka koncepcja jednoosobowej władzy – monarchy, którego władza pochodzi od Boga – nie jest dziś akceptowana, ale wizja silnego, charyzmatycznego przywódcy, który umie przeciwstawiać się „obcym", pozostaje ważnym składnikiem tradycyjnego światopoglądu. Przywódca, który nie umie zademonstrować swojej nieugiętości wobec „wrogich sił" i „dogaduje się z wrogiem", naraża się na potępienie. Wiara w silnego, charyzmatycznego przywódcę, sceptycyzm co do procedur demokratycznych jest często spotykanym składnikiem konserwatywnej ideologii.

Jednym z powodów niechęci czy wrogości środowisk konserwatywnych wobec Donalda Tuska był jego przyjazny kontakt z prezydentem Rosji Władimirem Putinem w Smoleńsku i rzekoma „ustępliwość" wobec Rosji w sprawie badania przyczyn katastrofy smoleńskiej.

Założenie o fundamentalnej równości ludzi implikuje demokratyczny charakter władzy. Jej kardynalną zasadą jest uznanie, że władza ma wyrażać wolę większości przy poszanowaniu stanowiska mniejszości. Realizacja tej zasady wymaga szacunku dla stanowiska różnych stron i gotowości do porozumiewania się dla uzgodnienia różnic. Taki sposób rozumienia władzy należy do fundamentów liberalno-demokratycznego myślenia.

Społeczna kontrola

Utrzymanie hierarchicznego ładu, ochrona wspólnoty przed wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami, zapewnienie, by wszyscy członkowie wspólnoty przestrzegali obowiązujących w niej norm są dla tradycyjnych wspólnot wymogami najwyższej wagi. W tym wypadku zasada bezwzględnego prymatu wspólnoty nad jednostką wyraża się w tendencji do stosowania najbardziej surowych środków zawsze wtedy, gdy jednostka narusza w jakiś sposób prawa obowiązujące we wspólnocie. Surowa kara, bezwzględna i okrutna, była w dawnych społeczeństwach naturalnym sposobem zapewniania społecznej kontroli.

Współczesne społeczeństwa znacznie ograniczają stopień okrucieństwa kar, ale utrzymuje się znacząca różnica między konserwatywnym i liberalnym pojmowaniem sposobów utrzymywania społecznej kontroli. To pierwsze preferuje politykę represyjną i wyraża wiarę, że metodami nadzoru i policyjnej kontroli można dobrze poradzić sobie ze wszystkimi społecznymi patologiami.

Na przykład środowiska konserwatywne domagają się zaostrzenia kar dla przestępców, bronią kary śmierci, postulują poszerzanie zakresu policyjnej kontroli. Wykazują też znacznie większą tolerancję dla zastosowania przemocy, w tym dla torturowania niebezpiecznych więźniów. Środowiska liberalne bronią resocjalizacyjnych funkcji kar i przeciwstawiają się ich nadmiernej eskalacji. Potępiają tortury. Są w związku z tym oskarżane o pobłażliwość dla zła.

Założenie, że wszyscy ludzie mają równą wartość moralną, nakłada ograniczenia co do sposobów zapewnienia bezpieczeństwa i ładu społecznego. Przymus i kara traktowane są jako środki, których należałoby unikać – stosować w ostateczności. Największe znaczenie mają perswazja, porozumienie, tworzenie zachęt, tolerancja. Uznaje się konieczność liczenia się z prawami także tych, którzy naruszyli społeczny porządek.

Stosunek do społecznych zmian

Konserwatywne nastawienie charakteryzuje się tendencją do zachowania i ochrony istniejących społecznych stosunków jako mających sankcję Siły Wyższej (ustanowionych przez Boga) i „zgodnych z naturą". Ujęcie liberalne zakłada konieczność zmian, które powinny prowadzić do zwiększania wolności jednostki, jej praw osobistych i obywatelskich. Stosunek do zmian społecznych jest jednym z głównych kryteriów różniących nastawienie konserwatywne i liberalno-demokratyczne. Jest to zarazem różnica między lewicą a prawicą.

Polityczne znaczenie sprzeczności między orientacją konserwatywną i liberalno-demokratyczną

Psychologiczny wymiar ideologii

Ideologia jako system wyartykułowanych, abstrakcyjnych twierdzeń nie jest tym samym co ideologia w umysłach poszczególnych ludzi. Ta pierwsza to pojęcie prototypowe (w rozumieniu psychologii poznawczej), w stosunku do którego ideologie poszczególnych członków społeczeństwa są w różnym stopniu podobne. A przy tym nie tworzą one na ogół większych spójnych całości. Mogą w nich współwystępować przekonania właściwe dla różnych ideologicznych orientacji. Tak na przykład stwierdzano, że znaczny stopień ideologicznej spójności ujawniało zaledwie 7 procent

Amerykanów[13]. Bardziej koherentne przekonania występują w umysłach członków elit politycznych i aktywistów poszczególnych partii[14].

Niespójność przekonań ideologicznych wynika z faktu, że ludzie współcześni poddawani są różnorodnym sprzecznym oddziaływaniom. Z jednej strony działają czynniki kształtujące identyfikację z podstawowymi wspólnotami (związek z rodziną, z kościołem, z narodem), z drugiej zaś okoliczności życiowe mogą „wyrywać" jednostkę z jej naturalnego otoczenia, przyczyniając się do osłabienia więzi z pierwotnymi wspólnotami i sprzyjając wyodrębnieniu autonomicznego ja. Można więc spodziewać się, że najbardziej do ideologii opartej na tradycji będą zbliżać się ludzie, których życie przebiega w stabilnym otoczeniu, których kontakt z różnorodnością współczesnego świata jest dość ograniczony. Ale także tacy, dla których silna identyfikacja z podstawowymi wspólnotami jest podstawą psychologicznego bezpieczeństwa.

Jest wiele badań psychologicznych, które wskazują, że identyfikacja z podstawowymi wspólnotami stanowi swego rodzaju bufor bezpieczeństwa wobec poważnych egzystencjalnych zagrożeń. Wiele z tych badań realizowane było w paradygmacie „wyrazistości śmierci" (*mortality salience*). Okazało się między innymi, że osoby, których uwagę koncentrowano na własnej śmiertelności, demonstrowały zwiększoną skłonność do pozytywnych reakcji wobec tych, którzy popierali ich światopogląd i zwiększoną niechęć wobec tych, którzy wyznawali odmienny światopogląd. Tak np. w warunkach „wyrazistości śmierci" studenci chrześcijanie wykazywali zwiększoną niechęć do innowierców (np. Żydów). Reakcje te tłumaczy się tym, że w sytuacjach egzystencjalnego zagrożenia ludzie dążą do umocnienia swoich wspólnych światopoglądowych przekonań, bo identyfikacja z większą społeczną całością zmniejsza lęk przed śmiercią[15].

Przekonania ideologiczne ludzi mogą się zmieniać, jeżeli zmienia się forma ich tożsamości. Zmiany tożsamości wiążą się z działaniem

---

[13] P.E. Converse, *The nature of belief system in mass publics*, [w:] *Ideology and discontent*), red. D.E. Apter, London 1964, s. 206–261.

[14] D.R. Kinder, D.O. Sears, *Public opinion and political action*, [w:] *Handbook of social psychology*, red. G. Lindzey, E. Aronson, t. 2, New York 1985, s. 659––742.

[15] T. Pyszczynski, J. Greenberg, S. Koole, S. Solomon, *Experimental existential psychology*, [w:] *Handbook of social psychology*, red. S.T. Fiske, D.T. Gilbert, G. Lindzey, t. 1, Hoboken, New Jersey 2010, s. 724–757.

dwóch procesów – identyfikacji i indywiduacji. Proces identyfikacji prowadzi do wykształcenia społecznej tożsamości, której podstawą jest przynależność do określonych społecznych grup. Wyraża się ona w poczuciu więzi z daną grupą i myśleniu w kategoriach „my". Indywiduacja polega na wykształceniu poczucia własnej odrębności z grupy (wspólnoty) i myśleniu w kategoriach „ja". Te dwa procesy występują u większości ludzi, ale z różnym natężeniem.

Natężenie tych procesów może zmieniać się pod wpływem czynników sytuacyjnych. Tak np. stwierdzono, że poczucie zagrożenia zmniejsza tendencje do indywiduacji, a zwiększa do identyfikacji. Przeciwnie, poczucie pewności siebie może sprzyjać indywiduacji[16].

Według teorii Optymalnej Różnicy[17] u ludzi występuje stale napięcie między potrzebą upodabniania się do innych a potrzebą odrębności i wyjątkowości. Jak wynika to z różnych badań ludzie potrzebując i jednego i drugiego starają się znaleźć pewien, dla siebie optymalny poziom podobieństwa do innych i odróżnienia od innych. Ten optymalny poziom może się zmieniać w zależności od sytuacji.

Zjawiska powyższe dotyczą nie tylko jednostek, ale też całych grup społecznych. Wiele danych wskazuje, że w okresach społecznych zagrożeń, kryzysów, niepokojów zwiększa się skłonność do identyfikacji z podstawowymi wspólnotami, co wyraża się m.in. we wzroście nacjonalizmu, etnocentryzmu i autorytaryzmu[18]. Z tym wiąże się nasilenie postaw konserwatywnych.

Zmiany tego rodzaju tłumaczone są dążeniem do zwiększenia poczucia bezpieczeństwa dzięki umocnieniu więzi z większą społeczną całością. W okresach, w których społeczność czuje się bezpieczna, pojawia się u ludzi tendencja do wyodrębnienia (indywiduacja), czemu towarzyszy zwiększony poziom poczucia wolności.

---

[16] M. Jarymowicz, A. Sikorzyńska, G. Waszuk, *Poznawcze wyodrębnienie ja a społeczne funkcjonowanie*, [w:] *Studia nad spostrzeganiem relacji ja–inni: tożsamość, indywiduacja, przynależność*, red. M. Jarymowicz, Wrocław 1988, s. 179–180.

[17] M.B. Brewer, *The social self: On being the same and different at the same time*, „Personality and Social Psychology Bulletin" 1991, t. 17, s. 475–482.

[18] H. Thorisdottir, J.T. Jost, *Motivated close-mindedness and effects of threat on political conservatism*, „Political Psychology" 2011, t. 32, nr 5, s. 785–812.

Wysoki poziom poczucia wolności charakterystyczny dla skrajnego indywidualizmu może przekształcić się w stan wyobcowania i anomii.

Konflikty ideologiczne a demokracja

Jednym z głównych zadań demokratycznego systemu politycznego jest zapewnienie pokojowego współistnienia i współdziałania ludzi, których dzielić mogą ideologiczne przekonania oraz sprzeczne polityczne i ekonomiczne interesy. Koordynacji sprzecznych politycznych interesów mają służyć demokratyczne instytucje, a koordynacji sprzecznych ekonomicznych interesów, w pierwszym rzędzie instytucje wolnego rynku. Demokracja musi także radzić sobie ze sprzecznościami ideologicznymi.

Sprzeczności ideologiczne występują w prawie każdym społeczeństwie, ponieważ w prawie każdym wyodrębniają się ludzie, dla których głównym układem odniesienia są podstawowe wspólnoty i tacy, którzy osiągnęli pewien stopień emancypacji od podstawowych wspólnot. Tak więc w prawie każdym można zaobserwować przeciwieństwo między orientacją na tradycję (konserwatywną) a orientacją na społeczną zmianę.

Sprzeczności ideologiczne są potencjalnym zagrożeniem dla równowagi politycznej demokratycznego państwa. Mogą prowadzić do permanentnych konfliktów niszczących stosunki międzyludzkie i hamujących rozwój. Konfliktom takim mogą zapobiegać lub im sprzyjać działania polityczne podejmowane przez głównych aktorów sceny publicznej – polityków i media.

Sprzeczności ideologiczne same przez się nie generują poważnych społecznych konfliktów, dopóki nie są politycznie zorganizowane. Tak więc o tym, jakie konsekwencje będą miały ideologiczne sprzeczności, w znacznym stopniu będzie decydować sposób uprawiania polityki. Patrząc od tej strony, można wyodrębnić takie sposoby uprawiania demokratycznej polityki, które poważnym konfliktom ideologicznym mają zapobiegać oraz takie, które nastawione są na ich podsycanie.

Konfliktom politycznym sprzyjają wszelkie te działania, które uwypuklają różnice ideologiczne i podkreślają ich pierwszoplanowe znaczenie w życiu publicznym. Takie działania sprawiają, że przy ocenie jakichś społecznych praktyk przestaje być ważny ich praktyczny sens, a najważniejszy staje się ich sens ideologiczny. Wtedy bardzo trudno o zgodę, bo zaczynają wchodzić w grę wartości traktowane jako święte. Trudno o nich dyskutować i trudno zawierać co do nich kompromisy.

W ten sposób ujmuje się w publicznych dyskusjach na przykład taką kwestię jak prawo do aborcji czy do zapłodnienia *in vitro*. Kiedy mowa jest z jednej strony o „ochronie życia i zabijaniu nienarodzonych", a z drugiej o „prawie do wolności", to różne praktyczne kwestie ważne dla ludzkiego życia przestają być przedmiotem rozważań.

Działania takie mają zwykle pewien konkretny cel – chodzi o to, by przekształcić różne mniej lub bardziej luźne ideologiczne przekonania w sprecyzowane ideologiczne orientacje i zorganizowanie na tej podstawie ruchu politycznego. Wskutek tego proces polityczny, którego celem jest uzgadnianie sprzecznych ekonomicznych i politycznych interesów obecnych w społeczeństwie, przekształca się w wojnę ideologiczną. Wojny takie bywają toczone „na śmierć i życie", ponieważ sprzeczności ideologiczne dotyczą wartości absolutnych, a więc wydają się nie do pogodzenia.

W ramach demokracji owa walka toczona jest środkami politycznymi, ale zaciekła wrogość, jaka charakteryzuje przeciwne ideologicznie obozy, może doprowadzać do zmiany jej charakteru. Pojawia się tendencja do użycia bezpośredniej przemocy lub do wykorzystania metod administracyjnych i pozycji w systemie władzy dla zwalczania ideologicznych przeciwników.

Użycie przemocy fizycznej w imię celów ideologicznych można zaobserwować w różnych krajach świata. W ostatnich latach z przemocą jako sposobem realizacji celów ideologicznych mamy do czynienia także w Europie, choć na szczęście są to na ogół izolowane przykłady (w Holandii, w Niemczech, w Grecji i in.). W niektórych przypadkach mamy do czynienia z dużym natężeniem przemocy, jak np. w Hiszpanii, we Francji, w Anglii. Od pewnego czasu zaczyna się one pojawiać w Polsce.

Zapobieganie ideologicznym konfliktom

Są różne sposoby zapobiegania ideologicznym konfliktom. Jeden z nich polega na usuwaniu z przestrzeni publicznej spraw, które mają znaczny konfliktowy potencjał. Chodzi o to, aby sprawy te pozostawały w sferze prywatnej. Jest to rozwiązanie dobrze wypróbowane w państwach europejskich.

Kraje europejskie miały wiele okazji, aby przekonać się, że sprzeczności ideologiczne, ujmowane dawniej głównie jako sprzeczności wierzeń religijnych, doprowadzają społeczeństwa do destruktywnych konfliktów. Następstwem tych konfliktów były wojny religijne, prześladowania tych,

którzy wierzą inaczej niż większość, masowe okrucieństwa, wielkie zniszczenia, ogrom ludzkich cierpień. Aby ich uniknąć, wypracowano normy współżycia zakładające zasadę tolerancji dla różnic ideologicznych oraz oddzielenie (w miarę możności) procesów politycznych od sfery religijnych przekonań. Rezultatem tego doświadczenia jest zasada rozdzielenia Kościoła od państwa.

Jak pokazuje doświadczenie, rozwiązanie takie ma ograniczoną skuteczność. Nie sprawdza się, kiedy wymogi pewnej religii czy ideologii nakładają na członków danej wspólnoty obowiązek takich zachowań w sferze publicznej, których inni nie akceptują. Dochodzi wtedy do konfliktów, na przykład o ubiór muzułmanek, o wieszanie krzyży w miejscach publicznych itp. Jeszcze większy problem powstaje wtedy, gdy określona formacja ideologiczna, opierając się na swych moralnych przekonaniach, domaga się, aby stały się one obowiązującym w państwie prawem, przez to państwo egzekwowanym. Przykładem jest tu spór o dopuszczalność aborcji.

Innym sposobem unikania ideologicznych konfliktów jest przeniesienie sporów z płaszczyzny ideologicznej na płaszczyznę pragmatyczną. Chodzi więc o to, by przy poszanowaniu różnic ideologicznych koncentrować proces polityczny na rozwiązywaniu problemów związanych z ekonomicznymi, społecznymi i politycznymi zadaniami, jakie stają przed każdym społeczeństwem. Taki sposób postępowania może być stosowany nie tylko dla problemów w skali makro, ale także dla problemów, z którymi ludzie spotykają się w życiu codziennym.

Takie podejście do sytuacji konfliktowych zaobserwowaliśmy w trakcie przeprowadzanych przez nas badań nad deliberatywnym rozwiązywaniem konfliktów ideologicznych w małych grupach. W tych badaniach grupy rodziców dzieci szkolnych lub grupy polityków prawicowych i lewicowych miały za zadanie opracowanie wspólnego projektu zasad programowych dla zajęć z zakresu wychowania seksualnego w szkołach. Jak się okazało, mimo zasadniczych różnic ideologicznych, większość grup była w stanie wykonać to zadanie. Jednym z ważnych warunków sukcesu była koncentracja na problemach praktycznych, które wszyscy niezależnie od różnic ideologicznych uważali za ważne. Wszystkim zależało na tym, aby zapobiegać negatywnym konsekwencjom uświadamiania dzieci przez niepowołane osoby[19].

[19] J. Reykowski, *Rozwiązywanie sprzeczności ideologicznych i sprzeczności interesów w grupach społecznych – teoria i badania*, [w:] *Konflikt i porozumienie.*

Bardzo ważnym warunkiem ograniczania czy osłabiania konfliktów ideologicznych jest sposób interpretacji różnic ideologicznych. Ludzie należący do przeciwnych obozów ideologicznych, tak jak wyznawcy różnych religii, uważają na ogół, że ich moralne i światopoglądowe przekonania są nie do pogodzenia z przekonaniami tych, którzy myślą i wierzą inaczej.

Wszakże nie zawsze to jest prawdą. Mamy powody, by sądzić, że dla dobrostanu ludzi może być ważne osiąganie pewnego stopnia indywiduacji, ale także zachowanie pewnego poziomu identyfikacji z określonymi grupami społecznymi. Tezę, że wartości reprezentowane przez wrogie wobec siebie ideologiczne obozy są w jakiś sposób dla społeczeństw ludzkich niezbędne, rozwijał Leszek Kołakowski w tekście pod znamiennym tytułem *Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą?*

Stwierdził w nim między innymi, że

> nie wiemy, w jakich rozmiarach rozmaite z tradycji odziedziczone formy życia – rodzina, naród, społeczności religijne, rytuały – są ważne i są nieodzowne dla trwania i dla jakości trwania społeczeństw. Nie mamy żadnych racji do mniemania, że niszcząc te formy lub piętnując je jako irracjonalne, mnożymy szanse zadowolenia z życia, pokoju, bezpieczeństwa i wolności; są natomiast liczne racje, by oczekiwać czegoś przeciwnego (…) W rzeczy samej, możemy racjonalnie spodziewać się jak najgorszych skutków[20].

Tekst ten zawiera myśl, że pomyślność ludzkich społeczeństw nie może być osiągnięta, jeżeli jakaś jedna orientacja ideologiczna zdobędzie całkowitą przewagę nad innymi. Różne orientacje są wyrazem potrzeb różnych członków społeczeństwa, a też i różnych potrzeb tych samych członków. Dlatego obecność w społeczeństwie odmiennych perspektyw ideologicznych jest dla życia społecznego pożądana. Rzecz w tym, aby rywalizacja między tymi perspektywami nie przekształcała się w destruktywne konflikty.

W przeciwdziałaniu tym konfliktom może pomóc zrozumienie, że wartości reprezentowane przez odmienne ideologie mogą dotyczyć ważnych wymiarów ludzkiego życia, a więc ich wzajemne relacje nie powinny być ujmowane wyłącznie w kategoriach rywalizacji i walki. Ważnym celem

---

Psychologiczne podstawy demokracji deliberatywnej, red. J. Reykowski, Warszawa 2007, s. 36–76.

[20] „Gazeta Wyborcza", 20–21 października 2007 r.

może być koordynacja wartości. Można wykazać, że cel taki rzeczywiście daje się realizować[21].

Ilustracją takiego sposobu podejścia może być ruch ekumeniczny. Poszukuje on nie tego, co dzieli poszczególne wyznania religijne, a tego, co je łączy. Wymaga to ujęcia różnic światopoglądowych z metaperspektywy, a więc rozpatrywanie ich jako różnych sposobów osiągania podobnych celów. W tym przypadku jest to rozpatrywanie odmiennych wyznań religijnych jako różnych dróg do jednego Boga. Takie podejście do różnic wiary religijnej reprezentował między innymi Jan Paweł II.

Wprowadzenie szerszej (meta)perspektywy w stosunku do odmiennych ideologicznych orientacji wiąże się z otwarciem na wartości, które w każdej z nich są zawarte. Ale nie zawsze to jest możliwe. Ideologia oparta na zasadach humanizmu nie da się pogodzić z ideologiami, które mają uzasadniać używanie przemocy w celu zniewolenia jakichś grup lub ich eksterminacji. A choćby takich, które apoteozują przemoc, usprawiedliwiają dyskryminację, propagują wrogość wobec inności.

Ilustracją tezy, że sprzeczności ideologiczne nie muszą być traktowane jako absolutne przeciwieństwa, jest pojawianie się formacji ideologicznych o charakterze „pośrednim", to jest takich, które nie odrzucają całkowicie norm i wartości właściwych orientacji przeciwnej. W Stanach Zjednoczonych na przykład była obecna przez dłuższy czas pewna forma konserwatyzmu, która w jakimś stopniu uwzględniała wartości liberalne. Adam Wolfson (2004) określił jej zwolenników jako libertarian[22]. Jej podstawową ideą jest wolność jednostki, ale chodzi tu głównie o wolność ekonomiczną i opozycję wobec „Wielkiego Rządu". Opisując ten nurt (ale nie stosując terminu liberterianizm), Louis Menand (2012) zauważa, że do głównych jego pryncypiów należy tolerancja, wolny handel, wiara w Amerykańską Drogę (American Way), patriotyzm, zachowanie społecznego *status quo*. Towarzyszy temu przywiązanie do religii. Ale zwolennicy tej orientacji wykazywali postawę liberalną wobec takich problemów jak prawo aborcyjne, małżeństwa homoseksualne, uniwersalna opieka zdrowotna, otwarte granice itp. Nurt ten miał duże znaczenie w amerykańskiej

---

[21] P.E. Tetlock, *A value pluralism model of ideological reasoning*, „Journal of Personality and Social Psychology" 1986, t. 50, s. 819–829.

[22] A. Wolfson, *Konserwatyści i neokonserwatyści*, [w:] *Neokonserwatyzm*, red. I. Stelzer, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2007, s. 251–271.

polityce. Jak pisze Wolfson: „Od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku (…) liberterianizm stanowił ważny i wpływowy – można założyć, że najbardziej wpływowy – nurt myśli prawicowej (…)"[23].

Jednym ze zwolenników tego nurtu był Mitt Romney, republikański kandydat na prezydenta w 2012 roku. Ale obecnie, jak się okazało w trakcie kampanii, zmienił zapatrywania. Łączy się to z faktem radykalizacji ideologicznej w obozie konserwatywno-prawicowym, co może wiązać się z kryzysem ekonomicznym, jaki dotknął miliony amerykańskich obywateli[24].

Konflikty ideologiczne w Polsce

W Polsce mamy do czynienia z wieloma różnymi przejawami ideologicznych konfliktów. Niemałą rolę w ich podsycaniu odgrywają niektórzy przedstawiciele Kościoła katolickiego, w tym osoby wysoko postawione w jego hierarchii, a także media i politycy różnych partii.

Wśród polskich polityków można obserwować dwojakie tendencje. Z jednej strony są tacy, którzy starają się zdobyć polityczną przewagę, stosując politykę świadomego rozbudzania ideologicznych antagonizmów. Uznają ten sposób postępowania za dogodny środek politycznej mobilizacji. Strategią taką posługuje się przede wszystkim partia Prawo i Sprawiedliwość, ale nie tylko ona.

Z drugiej strony są tacy, którzy szanując ideologiczne zróżnicowania w społeczeństwie, kładą nacisk na możliwość ich przezwyciężania. Chodzi im o zapewnienie zdolności do współdziałania różnych sił politycznych wobec celów dla kraju nadrzędnych. Tak swoją rolę polityczną rozumiał Aleksander Kwaśniewski. Jego podejście do zasad rządzenia państwem było dokładnie odwrotne niż to, które realizuje obóz Jarosława Kaczyńskiego.

Kwaśniewski dawał temu wyraz już wtedy, gdy jako Przewodniczący Komisji Konstytucyjnej zwracał się do Zgromadzenia Narodowego w związku z pierwszym czytaniem projektów Konstytucji: „(…) konstytucja musi być stworzona ponad podziałami. To nie może być konstytucja ani lewicy, ani prawicy, ani centrum. To musi być konstytucja

[23] *Ibidem*, s. 258. A. Wolfson, *Konserwatyści i neokonserwatyści*, [w:] *Neokonserwatyzm*, red. I. Stelzer, Warszawa 2007, s. 251–271.

[24] L. Menand, *Money pol*, „The New Yorker" 2012, March 19, s. 72.

obywateli (…)”[25]. Jako prezydent miał świadomość, że ostre antagonizmy ideologiczne szkodzą Polsce. Pisał w 1996 roku: „Choroba tocząca nasze życie publiczne, wyrażająca się dążeniem do zniszczenia politycznego rywala, do ideologizowania każdej dyskusji publicznej, niezdolnością do osiągania kompromisu – jest faktem już dziś”[26]. Przeciwstawiał jej inną perspektywę: „Moja idea »wspólnej Polski« nie oznacza dążenia do zjednoczenia narodu wokół jednego politycznego programu, siły politycznej czy lidera. Jestem jednak przekonany, że istnieje obszar spraw nadrzędnych i wspólnych, które przesądzają o realizowaniu interesu narodowego”[27]. A w innym miejscu dodawał: „(…) ekumenizm rozumiany jako współpraca, tolerancja, gotowość do współdziałania, staje się rzeczywistym wyzwaniem współczesnych czasów (…) Jestem przekonany, że to, czego uczą nas od wielu lat wybitni ludzie Kościołów, którzy potrafią pokonać wszelkie historyczne trudności i spotkać się na wspólnej modlitwie, nieważne czy w kościele, synagodze czy meczecie – musimy przenieść do codziennego współistnienia ludzi”[28].

Nie były to tylko deklaracje. Jego dziesięcioletnia kadencja jako prezydenta III RP i późniejsze działania w sferze publicznej miały wspólną cechę – dążenie do tego, aby w życiu publicznym nie koncentrować się wyłącznie na tym, co dzieli ludzi, ale także na tym, co ich łączy. Tylko dzięki temu różnice i sprzeczności, jakie w sposób naturalny występują w każdym społeczeństwie, nie będą przekształcały się w groźnie destruktywne konflikty.

---

[25] A. Kwaśniewski, *Wygraliśmy przyszłość*, Warszawa 2008, s. 49.

[26] *Ibidem*, s. 221.

[27] *Ibidem*.

[28] *Ibidem*, s. 307.

Krzysztof Janik

Korzenie współczesności – esej o pokoleniowej tożsamości

1

Pokolenie – i odpowiadające mu słowo generacja – jest terminem na dobre zadomowionym w polskiej nauce, a może jeszcze bardziej w publicystyce, a nawet reklamie[1]. Jak każde nadużywane pojęcie straciło ono na ostrości i jednoznaczności co do zakresu, a także desygnatów. Stało się słowem wytrychem dla oznaczenia zjawiska biologicznej ciągłości i wymiany pokoleń (młode, średnie, stare pokolenie), postępu technicznego („komputery nowej generacji"), a nawet zmiany w estetyce („meble nowej generacji"). Nawet socjologowie często go nadużywają, chcąc opisać pewną wspólnotę, choć niewiele ma ona ze wspólnotą generacyjną, a bardziej ze wspólnotą ideową, polityczną lub światopoglądową (pokolenie „Solidarności" czy Jana Pawła II). Najczęściej zresztą pojęcia tego używa się w odniesieniu do zjawisk kultury masowej, zarówno duchowej, na przykład muzyki (pokolenie rocka czy jazzu), jak i konsumpcyjnej (pokolenia IKEA, smartfonów itp.). Odnoszę wrażenie, że jeśli nie wiemy, jak podmiotowo zdefiniować jakieś zjawisko społeczne, to używamy pojęcia „pokolenie".

[1] A. Kamińska, *Kategoria pokolenia w badaniach nad społeczeństwem i kulturą*, „Kultura i Historia" 2007, nr 11.

Widać wyraźnie, że termin ten zrósł się ze wspólnotowością, zaś osłabł jego wymiar generacyjny. Niesłusznie. Pokolenie wszak (w liczbie pojedynczej) to nic innego, jak grupa społeczna połączona niezamierzoną wspólnotowością losu. Datą urodzenia, ale i podobnymi doświadczeniami społecznymi, kształtowana przez takie same warunki historyczne i takie same determinanty dojrzewania i rozwoju. Najbliższy jestem tu definicji tego pojęcia sformułowanej na gruncie polskiej socjologii. Przykładowo Jerzy Mikułowski Pomorski pisze, że pokolenie jest kategorią rówieśniczą, która „w okresie dojrzewania psychicznego przeżyła pewne wydarzenia historyczne lub przeszła przez wspólne warunki, które obiektywnie ukształtowały jej życie"[2].

Podobnie rzecz ujmuje Jacek Raciborski[3]. Przywołuję go tu z dwóch powodów. Po pierwsze, aprobatywnie – na kartach cytowanej książki zawarł najkrótszą historię tego pojęcia[4]. Przypomina, że pojęcie to wprowadził Karl Mannheim, a na grunt polski przeniosła je i wzbogaciła Maria Ossowska. Przywołuje także dorobek Barbary Skargi (pojęcie „formacji intelektualnej") i definicję Jana Garewicza. Ale warto zwrócić tu uwagę, o czym Raciborski już nie pisze, że na gruncie polskim tradycja tego pojęcia jest dłuższa. Nie wolno zapomnieć o dorobku Józefa Chałasińskiego (pomnikowe *Młode pokolenie chłopów* wydane w 1938 roku), a z nowszych publikacji trzeba wymienić opracowania Ryszarda Dyoniziaka, Bronisława Gołębiowskiego czy Franciszka Jakubczaka[5]. Jacek Raciborski może nie pamiętać o istniejącym w PRL Towarzystwie Przyjaciół Pamiętnikarstwa, które gromadziło młodych, ale i dojrzałych badaczy, skoncentrowanych na badaniu świadectw osobistych (pamiętniki, dokumenty) przez pryzmat pokoleniowej tożsamości.

---

[2] J. Mikułowski Pomorski, *Pokolenie jako pojęcie socjologiczne*, „Studia Socjologiczne" 1968, nr 3–4, s. 267. Zob. też przywoływany niżej: J. Garewicz, *Pokolenie jako kategoria socjofilozoficzna*, „Studia Socjologiczne" 1983, nr 1.

[3] *Elity rządowe III RP 1997–2004. Portret socjologiczny*, red. J. Raciborski, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2006.

[4] *Elity rządowe…*, *op. cit.*, s. 228–229.

[5] Przykładowo wymieńmy: R. Dyoniziak, *Młodzież epoki przemian*, Warszawa 1965; B. Gołębiowski, *Dynamika aspiracji; studium przemian świadomości społecznej młodzieży polskiej w latach 1945–1975*, Warszawa 1977; *idem*, *Społeczeństwo i polityka, studia pamiętnikoznawcze*, INP UW, Warszawa 2001; B. Gołębiowski, Z. Grzelak, F. Jakubczak (red.), *Odzyskanie młodości: pamiętniki*, Warszawa 1980.

Ale mam i drugą – bardziej krytyczną uwagę – do rozważań Jacka Raciborskiego. Dotyczy ona elit III Rzeczypospolitej. Na podstawie wyników swoich badań (wywiady) stawia on tezę, że o ile w przypadku działaczy „postsolidarnościowych" możemy mówić o tożsamości pokoleniowej, przynależności do tej formacji konotowanej wspólnym doświadczeniem historycznym, o tyle w przypadku ludzi lewicy tak nie jest. To raczej – zdaniem Raciborskiego – „jednolita formacja intelektualna" niż wspólnota doświadczeń generacyjnych[6]. Argumentacja – w największym uproszczeniu – jest następująca: w przeprowadzonych wywiadach badani członkowie rządu SLD-UP-PSL nie potrafią wskazać wydarzeń z ostatnich 50 lat polskiej historii (badania przeprowadzono w 2004 roku), które ukształtowały ich poglądy. Natomiast badani członkowie rządu AWS-UW jednoznacznie wskazywali na wydarzenia kreujące ich postawy: marzec 1968, powstanie KOR, wybór papieża itd.

Obawiam się, że w tym rozumowaniu tkwi błąd. Otóż sądzę, że tożsamość polityków lewicy kształtowała całość spuścizny Polski Ludowej. Był marzec '68, ale i był awans społeczny milionów ludzi, w tym późniejszych działaczy „Solidarności". Były tragiczne wydarzenia grudnia 1970 roku, ale i industrializacja kraju i tak dalej, i tak dalej. Wszystko to kształtowało moją (też do niej należę) generację i nie mam wątpliwości, że bilans PRL – funkcjonującego wszak w określonych warunkach zewnętrznych – jest bardziej złożony niż proste wyliczenie tragicznych dat, które tworzą dziś rusztowanie obowiązującej wersji historii.

Ale to nie unieważnia tożsamości pokoleniowej. Jeśli spojrzymy na skład rządowej ekipy Leszka Millera (a ona była przedmiotem analizy), to dominuje w niej pokolenie urodzone w latach 50. ubiegłego wieku, a wyjątki są tu nieistotne statystycznie, zarówno jeśli chodzi o lata czterdzieste (10 osób), jak i lata 60. i 70. (12 osób). Łącznie zatem, przez szeroko rozumiany rząd Leszka Millera (ministrowie, wiceministrowie, kierownicy urzędów centralnych, wojewodowie) przewinęły się 202 osoby, z czego 90% stanowili pięćdziesięciolatkowie. Śmiem twierdzić, że oprócz tego, że stanowili oni jednolitą formację intelektualną, to także pokoleniową.

Pogląd ten znajduje – jak mi się wydaje – potwierdzenie w rozważaniach Krystyny Skarżyńskiej[7]. Relacjonuje ona rozmaite nurty badań nad

[6] *Elity rządowe…*, *op. cit*., s. 229–231.

[7] K. Skarżyńska, *Człowiek a polityka. Zarys psychologii politycznej*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2005.

kształtowaniem się postaw i przekonań politycznych obecne w literaturze światowej, głównie amerykańskiej. Prezentuje nurt trzeci, który można nazwać pokoleniowym. Badacze tego nurtu podkreślają, że polityczna orientacja jednostki może ulegać zmianie w zależności od czasów, w których ona żyje, od dominujących wydarzeń, procesów itp., które kreują rzeczywistość, czynią ją stabilną i przewidywalną bądź przeciwnie: wywołują zagrożenia, obawy, lęki lub euforię[8]. Skarżyńska przywołuje przykład badaczy amerykańskich, którzy wyraźnie wyróżniają w XX wieku pokolenie „wielkiego kryzysu", urodzone na początku wieku, pokolenie „dzieci kwiatów" urodzone po II wojnie światowej i wreszcie pokolenie ich dzieci. Dodajmy za badaczami, których cytuje Skarżyńska, że o ile pierwsze spośród tych pokoleń było konserwatywne i autorytarne, drugie lewicowo-liberalne, to trzecie wykazuje „spadek zaangażowania, wzrost cynizmu politycznego oraz zmianę formy aktywności – od *stricte* politycznej do społecznej (…)". I dalej: „Mimo, że młodsze kohorty wiekowe są lepiej wykształcone niż starsze, mają one słabszy poziom wiedzy o polityce oraz niższą partycypację w organizacjach politycznych i niższy udział w wyborach"[9].

To tak, jakby o Polsce, tylko z dziesięcioletnim opóźnieniem. Popatrzmy zatem na losy polskich, dwudziestowiecznych generacji.

2

Wiek XX, z punktu widzenia potencjału demograficznego Polaków, przyniósł dwa kataklizmy wojen światowych. Spowodowały one ogromne straty ludzkie, eliminując głównie ludzi młodych. W jednym i drugim przypadku Polacy stanęli przed koniecznością odbudowy tego potencjału, zarówno w wymiarze ilościowym, jak i jakościowym. Nic tedy dziwnego, że możemy – w pewnym uproszczeniu – mówić o dwóch wyżach demograficznych w historii XX-wiecznej Polski[10]. Oczywiście, możemy to odnieść tylko do okresu po I wojnie światowej, bo wcześniejsze statystyki nie są dostępne, a pierwsze dane pochodzą z 1921 roku. Naturalne jest tu

[8] K. Skarżyńska, *op. cit.*, s. 137 i nast.

[9] *Ibidem*, s. 138.

[10] Wszystkie dane statystyczne pochodzą z: Główny Urząd Statystyczny, *Ludność – bilans opracowany w oparciu o wyniki Narodowego Spisu Powszechnego 2010*, www.gus.gov.pl i www.stat.gov.pl.

zastrzeżenie, że ówczesna Polska była krajem wielonarodowym, a więc nie potrafimy odpowiedzieć, jaka część obywateli II Rzeczypospolitej znalazła się w nowych granicach po 1945 roku. W konsekwencji nie wiemy też, jaki był stopień zastępowalności pokoleń po II wojnie światowej.

Nie ma natomiast wątpliwości, że pierwsze lata II Rzeczypospolitej są latami eksplozji demograficznej. W latach 1922–1930 przyrost naturalny przekroczył 15%, co w liczbach bezwzględnych oznacza, że corocznie rodzi się około miliona ludzi. Jeśli zestawić zgony z urodzeniami, to roczny przyrost naturalny oscyluje pomiędzy 490 tysięcy (rok 1930) a 555 tysiącami (rok 1922). Nawet, jeśli uwzględnimy dość wysoki poziom śmiertelności dzieci i widoczną w niektórych regionach emigrację, to w ciągu tych lat ludność Polski wzrosła o 3,6 miliona obywateli, czyli o mniej więcej 400 tysięcy rocznie. Omawiany okres Polska rozpoczynała z ludnością liczącą 27 860 tysięcy obywateli, a kończyła, licząc 31 440 tysięcy ludzi.

Rodzi się wtedy pokolenie niespełnione.

Po pierwsze dlatego, że II Rzeczpospolita nie miała dla niego wystarczającej oferty edukacyjnej, a także atrakcyjnej propozycji kariery zawodowej. Nie jestem historykiem, ale z dostępnych opracowań i świadectw wynika, że pomimo budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego i swoistej propagandy sukcesu, spora część ówczesnej młodej generacji nie widziała dla siebie perspektyw poprawy swego statusu materialnego, edukacyjnego i zawodowego. Zapis tych oczekiwań i rozczarowań znajdujemy w literaturze pięknej tego okresu, ale także w innych świadectwach historycznych. W moim przekonaniu najlepiej ilustrują tę kwestię przywoływane już pamiętniki *Młodego pokolenia chłopów* zredagowane przez profesora Józefa Chałasińskiego. Szanując wysiłek przedwojennej Polski, nie sposób postawić tezy, że był to okres masowego awansu młodzieży z niższych warstw społecznych.

Po drugie dlatego, że pokolenie to zamknęło swoją historię bohatersko i tragicznie. Jego najlepsi przedstawiciele zginęli na wszystkich frontach II wojny światowej, a unikając wartościowania i towarzyszących mu emocji politycznych, dodać trzeba tu ofiary Powstania Warszawskiego i stalinowskich metod rozprawiania się z przeciwnikami politycznymi.

Następny wyż demograficzny przypada na lata 1947–1958. Polska odnalazła się w nowych granicach i nowej strukturze narodowościowej. Dzieci rodzi pokolenie poprzedniego wyżu i to wyraźnie widać. Wskaźnik przyrostu naturalnego nie spada poniżej 18%, co oznacza w liczbach

bezwzględnych od 423 tysięcy (rok 1947) do 532 tysięcy (rok 1955). W roku 1947 Polska liczy 23 750 tys. obywateli, a w roku 1958 – 29 milionów, co oznacza roczny przyrost netto o około 480 tysięcy ludzi. Nigdy wcześniej ani później takiego wyniku nie osiągniemy[11].

Urodziła się wówczas pierwsza od wielu lat generacja, która nie ma w swoim życiorysie bezpośredniego udziału w jakichkolwiek konfliktach zbrojnych. Pierwsze od wielu wieków pokolenie Polaków, które nie musiało iść na front, nie musiało walczyć o honor i wolność Polski.

Ale to zarazem wielkie wyzwanie dla kraju i jego władz. Trzeba było odpowiedzieć na rosnące aspiracje tego pokolenia i sprząc je – z niemałymi przecież – potrzebami kraju. I tu pojawia się kluczowe pytanie: czy to się udało? Czy możemy powiedzieć, że oto socjalistyczna Polska sprostała oczekiwaniom nowych generacji, że odpowiedziała na rosnące aspiracje i potrzeby życiowe pokolenia wchodzącego w dorosłe życie w latach siedemdziesiątych XX wieku?

3

Odpowiedź na to pytanie wydaje się prosta. W tym duchu odczytywać można znane hasło „drugiej Polski". Można je interpretować jako ofertę dla tego właśnie pokolenia. Oto kończy się pierwsza Polska – ta z koniecznością walki klasowej, przesiąknięta pamięcią o II wojnie światowej, gomułkowskiego zaciskania pasa i doktrynerskich zależności. Zaczynamy nowy etap – powiadają ówczesne władze – unowocześniania gospodarki, otwarcia na świat, konsumpcji. Zaczynamy gonić Zachód – cokolwiek by to hasło znaczyło, było atrakcyjne dla wielu ludzi, zwłaszcza młodych.

Początek realizacji tego programu wydaje się nadzwyczaj pozytywny. Nie wnikając w szczegóły, warto przypomnieć w największym skrócie, co okres ten przyniósł z punktu widzenia młodej generacji:

[11] Dla porządku trzeba dodać, że demografowie mówią także o trzecim wyżu demograficznym lat osiemdziesiątych. Rzeczywiście w latach 1974–1983 wskaźnik przyrostu naturalnego przekracza 10%, aby potem spaść gwałtownie do 4% w roku 1990 i do wartości ujemnych w roku 2013. Na tym tle lata, o których wyżej mowa wydają się latami wyżowymi. Ale to zasługa pokolenia, które jest głównym bohaterem tego tekstu. Dzieci tego pokolenia nie okazują się już tak żywotne.

1) edukacja: tu głównym celem był powszechny dostęp do nauki na poziomie podstawowym i średnim. Temu służyć miała tzw. reforma Kuberskiego i powstanie gminnych szkół zbiorczych, które miały skoncentrować najlepszy potencjał edukacyjny i wyrównać poziom nauczania w rozmaitych środowiskach[12]. Do tego należy dodać powołanie wielu nowych uczelni, w tym w ośrodkach mniejszych, będących do tej pory poza mapą edukacyjną kraju. To w sposób naturalny buduje aspiracje życiowe młodzieży, podsycane dodatkowo przesłaniem propagandowym, że wszystko: dostatnie życie, wolność osobista, rozmaitość wyboru dróg życiowych jest w zasięgu ręki, „trzeba tylko chcieć". Spełnienia tych oczekiwań zażądają robotnicy w 1980 roku;
2) miejsca pracy – szybkie uprzemysłowienie i rozwój infrastruktury spowodowały powstanie setek tysięcy nowych miejsc pracy. W samym przemyśle przybyło 1,1 miliona miejsc pracy; zbudowano lub zmodernizowano 557 zakładów produkcji przemysłowej. Setki tysięcy ludzi zmieniło miejsce zamieszkania – przeniosło się do miast, co naówczas było symbolem awansu cywilizacyjnego i kulturowego. Jako ciekawostkę odnotujmy, że w roku 1974 po raz pierwszy w historii Polski liczba zatrudnionych w przemyśle przekroczyła liczbę zatrudnionych w rolnictwie (4,6 miliona do 4,5 miliona)[13]. Można w tym miejscu dodać nową politykę urbanizacji kraju, a reforma administracji publicznej z 1973 roku (powstanie gmin) i 1975 roku (przebudowa struktury województw) spowodowały rozwój małych i średnich ośrodków miejskich. Przeorało to mapę zaludnienia kraju, stworzyło szanse rozwojowe dla nowych centrów administracji, owocowało powstaniem nowych elit intelektualnych tam, gdzie ich do tej pory nie było;
3) bezpieczeństwo socjalne – emerytury i ubezpieczenie społeczne dla wsi uważam tu za rzecz najważniejszą. To była rewolucyjna zmiana w losach mieszkańców wsi, której konsekwencją było wciągnięcie ich do państwowego systemu zabezpieczeń socjalnych, a tym samym upodobniła ich sytuację socjalną do innych grup społecznych.

---

[12] Zob. Cz. Banach, *Oświata i szkolnictwo wyższe w latach 1945–1989*, [w:] *Zrozumieć PRL*, red. W. Żółtkowski, Warszawa 2012, s. 150 i nast.

[13] A. Karpiński, *PRL a uprzemysłowienie i urbanizacja Polski*, [w:] *Zrozumieć PRL*, *op. cit.*, s. 45.

W sferze polityki zaowocowało to potem poczuciem solidarności z innymi grupami społecznymi, które objawi się na przełomie lat 1980/1981. To będzie zmiana, której konsekwencji nikt wtedy nie przewidział. Do tego dodać trzeba politykę budowy mieszkań, także w systemie spółdzielni młodzieżowych, banałem jest przypomnienie, że budowano średnio 270 tys. mieszkań rocznie. Nie było to wiele wobec masowej migracji i rozbudzonych potrzeb społecznych, na mieszkanie czekano długo, ale i też dostępne ono było dla kieszeni przeciętnego obywatela. Wreszcie dodać tu trzeba, że lata siedemdziesiąte to rozwój innych elementów systemu świadczeń socjalnych, zwłaszcza dla młodych małżeństw. Buduje to w społecznej świadomości przekonanie, że bezpieczeństwo socjalne jest rzeczą oczywistą i niezmienną, jego wzmacnianie jest obowiązkiem władz państwowych realizowanym niezależnie od sytuacji gospodarczej kraju;

4) poziom życia – płace wzrosły o 40%, poprawiła się efektywność finansowa rolnictwa, wdrożono masowy system kredytowania konsumpcji, w tym uprzywilejowane kredyty dla młodych małżeństw. Wartość konsumpcji jako przymiotu życia społecznego (po ascetycznej polityce Władysława Gomułki) niezmiernie wzrosła i została oderwana od innych wartości życia społecznego. Poziom konsumpcji, dostęp do towarów zostały w świadomości społecznej oderwane od realnego pieniądza i zaliczone do sfery decyzji politycznych, a nie wyniku ekonomicznego;
5) otwarcie na świat – wyzwolenie się z nurtu narodowego właściwego dla epoki Władysława Gomułki – świat widział Polskę (liczne wizyty przywódców światowych), Polska zobaczyła kawał świata. Najpierw w wymiarze konsumpcyjnym: papierosy Marlboro, coca-cola, kolorowy telewizor i magnetofon Grundig. Potem osobiście: w 1970 roku za granicę wyjechało 870 tysięcy osób, w roku 1979 – ponad 9,5 miliona. Wśród wyjeżdżających była cała późniejsza elita III RP.

Powiada się, że to było życie na kredyt. Zapewne, ale dla ówczesnej młodzieży nie miało to większego znaczenia. Ważniejsze było poczucie sukcesu osobistego i zbiorowego. I choć w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ta polityka dostaje zadyszki, to rozbudzonych aspiracji już nie da się ograniczyć. Jak to zwykle bywa w systemach autorytarnych, szwankuje

zaufanie, nie ma procedur dialogu władzy ze społeczeństwem, nie ma możliwości korekty kursu z udziałem podstawowych grup społecznych. Obok żądań ekonomicznych i socjalnych pojawia się postulat reform politycznych i wymiany władzy. To naturalne, w dziejach PRL zmiana ekipy rządzącej zawsze prowadziła do poprawy losu ludzi. Ten mechanizm zadziałał także wówczas.

Nie zdała egzaminu polityka kompensacji. W zamian za wolność religijną (stosunki państwo–kościół należą do wzorowych) oraz swobodę życia kulturalnego i osobistego (muzyka, film, rodzina) żądano dyscypliny politycznej. Sądzę, że przyjęcie zmian w Konstytucji w 1976 roku miało udowodnić pozostałym partiom krajów realsocjalizmu efektywność tego kursu. Podobne cele miały zrealizować przekształcenia w ruchu młodzieżowym z lat 1973–1976, mające upodobnić model polskich organizacji młodzieżowych do tego, który panował w innych krajach socjalistycznych. Nie były to jednak przedsięwzięcia, które głęboko zmieniły świadomość społeczną. Nie zdawano sobie sprawy z długofalowych konsekwencji takiej właśnie polityki, że raz uruchomionych tendencji wolnościowych nie da się ani zatrzymać, ani ograniczyć.

Pojawiło się nowe zjawisko. Młodzi Polacy – wolni od troski o naukę i pracę, świadomi swojego socjalnego i narodowego bezpieczeństwa – budowali swoje aspiracje wedle tego, co widzieli u swoich rówieśników, co widzieli na Zachodzie, ale także w ówczesnej telewizji. Dostęp do informacji, łatwość przepływu idei i wzorów życia obudził nowe pragnienia i nowe aspiracje.

Jest kwestią do dyskusji, czy socjalistyczny system ekonomiczny i polityczny był w stanie je zaspokoić. Powszechnie dziś uważamy, że nie. Przyczyny tego stanu rzeczy są powszechnie znane[14]. Konfrontacja dwóch światowych obozów politycznych, konserwatywny gorset ideologiczny, niewydolność ekonomiczna socjalizmu – co do tego wydaje się obowiązywać powszechna zgoda. Pytanie brzmi: czy w ramach granic, które wyznaczały powyższe determinanty, można było prowadzić inną politykę? Przykłady innych krajów obozu, ich losy po 1989 roku, dają pewne, ostrożne, przesłanki do twierdzenia, że polityka Edwarda Gierka w tym czasie była prawie optymalna.

[14] Zob. A. Karpiński, *Wnioski z doświadczeń 40-lecia PRL 1949–1989*, [w:] *Zrozumieć PRL*, *op. cit*.

Inaczej zaś brzmi odpowiedź na pytanie, czy była to – zwłaszcza w drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku – polityka odpowiadająca aspiracjom i wartościom młodego pokolenia? Wydaje mi się, że nie doceniono wówczas zmian świadomościowych, które zostały uruchomione w pierwszej połowie tej dekady. Nie zauważono, że wchodzący w dorosłe życie wyż demograficzny niesie zupełnie inny system wartości. Nie przemawia już do niego skala powojennego dorobku Polski, przemiany społeczne i ekonomiczne, których doświadczyliśmy. Młodzi pragnęli innego modelu ustrojowego i politycznego. Zapragnęli być wolnymi ludźmi, chcieli wzbogacenia swojego życia o standardy demokracji. Uwierzyli w siebie i uwierzyli w demokratyczną przebudowę socjalizmu. Jak zgryźliwie powiedział kiedyś prof. Andrzej Rychard, chcieli mieć socjalistyczne bezpieczeństwo socjalne i demokratyczne standardy wolności.

I kiedy zaostrzył się spór w 1980 roku, naprzeciw siebie stanęli trzydziestolatkowie z umownie tu określonej opozycji i sześćdziesięciolatkowie z obozu władzy, wspierani przez część młodego pokolenia. Ci młodzi-partyjni chyba lepiej rozumieli protestujących. Powiedziałbym, że jedni i drudzy chcieli tego samego. Jedni i drudzy pragnęli samodzielności w określaniu swojego losu, jedni i drudzy uważali, że suwerenność demokratyczna jest w zasięgu ręki i trzeba ją tylko praktykować. Warto przypomnieć choćby z dziejów ruchu młodzieżowego, że powstało wtedy ZMW, a konflikty między ZSMP czy SZSP a instancjami partyjnymi były na porządku dziennym. Spory dotyczyły nie kwestii ideologicznych czy światopoglądowych. Chodziło o zakres kurateli dorosłych nad młodymi, o „kierowniczą rolę partii", w sytuacji, kiedy różnice w doświadczeniu życiowym, w hierarchii wartości i kulturze życia społecznego stały się już wyraźne i dla młodzieży nieznośne.

Rok 1980 to przede wszystkim bunt młodych. Jedni się buntują w ramach systemu (tzw. „socjalistyczna odnowa" w ruchu młodzieżowym), inni obok niego, jeszcze inni przeciw systemowi. Stan wojenny niewiele tu zmienił. Cichy, choć rzeczywisty, sojusz potrzeb i aspiracji młodego pokolenia z obydwu stron barykady także przyczynił się do obalenia realnego socjalizmu. Klaus Bachmann pisze, że istotą tego rodzaju zmiany jest nie tyle rozliczenie starych elit, ile otwarcie systemu politycznego, rynku pracy i administracji publicznej dla następnego pokolenia[15]. To właśnie stało

[15] K. Bachmann, *Lustracja – powtórka z lat 60.*, „Gazeta Wyborcza", 8 maja 2007 r.

się w 1989 roku i było dziełem bardziej pokoleniowym, owocem hasła zastosowanego w polityce, w innych okolicznościach, w roku 1993: „tak dłużej być nie może"[16].

Młodych z obydwu obozów różnił tylko pogląd na tempo przemian. Jedni chcieli natychmiast, „od ręki", inni rozumieli, że czas zmian nie zamknie się w tygodniach czy miesiącach. „Socjalizm tak – wypaczenia nie" – to hasło było wspólne.

I wspólne było pokoleniowe parcie do władzy. Wszak PRL-em rządziło pokolenie pierwszego wyżu, o którym pisałem wcześniej. Tożsame co do dat urodzenia i podobne w doświadczeniu politycznym. Gdy spojrzymy na przywódców PRL-u, ich życiorysy i fazy awansu politycznego, to jedna rzecz zwraca na siebie uwagę. Otóż, pomiędzy Władysławem Gomułką a Wojciechem Jaruzelskim jest 18 lat różnicy. Jednego i drugiego politycznie ukształtowała II wojna światowa. Najogólniej rzecz biorąc, właśnie ta wojna miała największy wpływ na kolejnych przywódców PZPR, stanowiła punkt odniesienia w ich myśleniu o państwie polskim i jego miejscu w Europie. Podobnie jest w ich otoczeniu, kooptowanym, a nie wybieranym, wedle kryterium zgodności mentalnej, doświadczenia życiowego, a tym samym lojalności politycznej. Kolejne zmiany pierwszych sekretarzy nie stanowią o zmianie generacyjnej (w znaczeniu mentalnym, doświadczenia politycznego).

W 1980 roku przyszedł czas też na zmianę generacyjną. To właśnie blokowanie tej zmiany przez władze PZPR było jedną z przyczyn procesu, który rozpoczął się w sierpniu 1980 roku. Gdy przypomnimy sobie wielkie, narodowe osiągnięcie: Okrągły Stół, to dziewięć lat później – w niczym nie ujmując starszej generacji – przy podstolikach, tam gdzie wypracowywane będą konkretne propozycje i rozstrzygnięcia, siądą jednak czterdziestolatkowie, ci, którym rok 1980 i wydarzenia po nim otwarły drzwi do polityki.

4

To właśnie pokolenie, metrykalnie zrodzone z lat 50., a politycznie – w sierpniu 1980 roku, rządzi dziś Rzecząpospolitą. Na lewicy: Leszek

[16] Zob. W. Gadomski, *Kto zastąpi starych?*, „Gazeta Wyborcza", 20–21 marca 2010 r. Samo sformułowanie było hasłem wyborczym koalicji SLD w wyborach parlamentarnych 1993 roku.

Miller (rocznik 1946) i Aleksander Kwaśniewski (rocznik 1954). Na prawicy Jarosław Kaczyński – urodzony w 1949 roku i tylko osiem lat od niego młodszy Donald Tusk. Wszyscy oni otrzymali szansę na awans życiowy w latach 70., a na polityczny dekadę później. Ich aspiracje i hierarchię wartości życiowych ukształtowała polityka tamtych lat.

Oczywiście, nie wszyscy ten pogląd w całości podzielają. Jeden z liderów tej grupy wiekowej Mirosław Czech, pisząc o pokoleniu „Solidarności", zastrzega się: „Socjologowie mówią też o wspólnocie pokoleniowej z generacją Aleksandra Kwaśniewskiego. To jednak zupełnie inna bajka, rewers doświadczenia przywódców i działaczy dawnej »Solidarności«". Dalej jednak lekko modyfikuje swoje stanowisko: „Dla generacji postkomunistycznej »przeżyciem generacyjnym« był rok 1989 i Okrągły Stół, który współtworzyła. Wówczas przyłączyła się do solidarnościowej wizji Polski – wolnej, zakorzenionej w Europie i przyjaznej wobec wszystkich sąsiadów. Z wahaniami, oporami i nie od razu, lecz – jak pokazały późniejsze wydarzenia – na całość". Rozważania puentuje: „Członkostwo w NATO i EU to wspólne dzieło pokolenia »Solidarności« i postkomunistycznej generacji »roku 1989«"[17].

A więc jednak. Tę generację różni punkt startu politycznego, lecz łączy coś znacznie ważniejszego: aspiracje i cele życiowe (w tym polityczne), wspólnie wykonana praca[18]. Co prawda, Czech, wyodrębniając pokolenie solidarnościowe, zalicza do niego Tadeusza Mazowieckiego, Jacka Kuronia i ich rówieśników. Powinien jeszcze dodać Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego i ich politycznych przyjaciół, bez względu na datę urodzenia. Także bowiem obecni 30-latkowie należący do PiS czy Platformy Obywatelskiej, pomimo daty urodzenia, swoją legitymację polityczną wywodzą z wydarzeń kreujących III RP. To na przeszłości, a nie wizji odnoszących się do przyszłości, budują swoją identyfikację polityczną. Z punktu widzenia realnej odpowiedzialności za Polskę to wszystko jest generacja roku 1989. Od tego roku zaczynają rządzić i w tym procesie się zużywać. To, co robili do roku 1989 to zupełnie coś innego: inny kraj, inna odpowiedzialność i inny – miniony – etap polityczny.

---

[17] M. Czech, *Wygrane pokolenie „Solidarności"*, „Gazeta Wyborcza," 28–29 sierpnia 2010 r.

[18] Takie stanowisko w odniesieniu do terminu „pokolenie" zajmuje J. Garewicz, *op. cit*.

To druga generacja rządząca Polską po II wojnie światowej. Pokolenie coraz bardziej zmęczone i wyczerpane – jest już w polityce po trzydzieści kilka lat. Niezwykle pragmatyczne, które często uwiera ideologiczny gorset, jaka by to nie była ideologia. Niechętnie oddająca władzę, traktująca młodzież jako ozdobnik, a nie podmiot polityki. Co prawda, młodzież dała o sobie znać przy okazji ACTA, ale rzecz szybko spacyfikowano i nikt poważnie nie przeanalizował tego sygnału, nie wyciągnął z niego politycznych wniosków.

Ale – jak mi się wydaje – są również różnice. Generacja, która rządzi, nie umiała i nie umie (z wyjątkiem przystąpienia do Unii Europejskiej) zaproponować młodzieży wizji państwa i społeczeństwa na tyle atrakcyjnej i ambitnej, aby młodzież zechciała wziąć na siebie współodpowiedzialność za jej realizację. Być może to rzecz naturalna, że w obecnej polityce dominuje praktyczny kurs na upodobnienie się do zachodnich demokracji i dominującego w Europie modelu gospodarczego. Niepokojące jest co innego. Nikt w III RP nie wypracował zinstytucjonalizowanych ścieżek socjalizacji politycznej, nikt nie uczy młodzieży, jak wchodzić do polityki i ją uprawiać. A konieczność wymiany pokoleniowej zdaje się nie ulegać wątpliwości. Wybory lat 2014/2015 będą „łabędzim śpiewem" pokolenia '89, nawet jeśli poszczególne nazwiska zyskają mandat wyborczy do obecności w polityce.

Kwestię wymiany pokoleniowej w polityce możemy zilustrować na przykładzie innych krajów. Gdy przyjrzymy się biografiom polityków, okaże się, że okres ich największej aktywności politycznej mieści się w przedziale 10–20 lat. Nie dotyczy to drugiej ligi polityki (np. parlamentarzystów, polityków samorządowych). Myślę tutaj o „frontmenach": ministrach, premierach, prezydentach czy równorzędnych. Pełniąc te funkcje, polityk bardzo szybko się zużywa, nie tylko wizerunkowo, ale także intelektualnie, politycznie i – co tu dużo mówić – także fizycznie. Gdyby pominąć funkcje kadencyjne (na ogół z ograniczeniem do dwóch kadencji), to najsławniejsi przywódcy europejskich państw demokratycznych w II połowie XX wieku dość długo rządzili swoimi krajami. Rekord należy do Helmutha Kohla (16 lat), a w czołówce mieszczą się także Konrad Adenauer (14 lat) i Margaret Thatcher (11 lat). Także następne miejsca należą do polityków z krajów o ustabilizowanym systemie politycznym, zwłaszcza partyjnym. To rzecz oczywista.

Polsce daleko do tego rodzaju stabilności kadrowej. W ciągu dwudziestu pięciu lat III Rzeczypospolitej zmieniło się czternastu premierów,

tylko jeden prezydent wyczerpał konstytucyjną możliwość dwukadencyjności. Ale nie to jest w tym istotne. Jeśli przyjrzymy się kolejnym premierom brytyjskim czy kanclerzom RFN, to zmiana partii rządzącej prawie zawsze (a zmiana szefa rządu często) oznacza wymianę generacyjną. W Niemczech Willy Brandt był młodszy od Adenauera o 37 lat, od Erharda o lat 16, Kohl od Brandta o lat 17, a Schroeder od tego ostatniego o prawie 15 lat. Angela Merkel jest młodsza od Helmuta Kohla o 24 lata. W Wielkiej Brytanii Macmillan był młodszy od Churchilla o lat 20, a Harold Wilson od tego pierwszego o 22 lata. John Major był młodszy od Margaret Thatcher o 18 lat, David Cameron od Majora o 23 lata. Tony Blair od swego poprzednika z Partii Pracy Jamesa Callaghana był młodszy o 41 lat, a Ed Miliband jest od niego młodszy o 16 lat. I tak dalej, i tak dalej. A więc każda zmiana polityczna elity rządzącej, wymuszona wolą wyborców, oznacza na ogół także wymianę generacyjną. Nie tylko metrykalną, także w sensie doświadczeń pokoleniowych. Kiedy indziej, w innych okolicznościach historycznych, z innym doświadczeniem życiowym, wchodzi do polityki pokolenie Adenauera i Churchilla, potem Brandta i Wilsona, a następnie Schroedera i Blaira. Rytm wymiany pokoleniowej przywódców odzwierciedla nowe zjawiska generacyjne i procesy społeczne.

Nie widzę powodów, dla których w Polsce nie mogłoby być tak samo. O ile tak długie rządy dwóch pokoleń w powojennej Polsce można tłumaczyć nadzwyczajnymi okolicznościami, o tyle tych okoliczności już nie ma. Możemy być z tego niezadowoleni, ale struktura społeczna się ustabilizowała, system ustrojowy i rozwiązania konstytucyjne się bronią, gospodarka coraz bardziej przypomina stabilną gospodarkę współczesnego kapitalizmu. Można patetycznie powiedzieć, że świat już nam nie ucieka, a wyzwania stojące przed Polską mają głównie charakter globalny, a nie lokalny. Potrzebna jest zatem inna polityka, mówiąc ogólnie, adresowana w przyszłość.

Jeśli tak, to droga polityczna generacji obecnie rządzącej Polską dobiega końca. Najszybciej zużyła się lewica. W ciągu pierwszych lat III RP przez dziesięć lat miała prezydenta, przez osiem wykonywała władzę rządową, a będąc w opozycji była znaczącą siłą polityczną. Bez jej przyzwolenia nic w kraju nie było możliwe. Cały czas była to ta sama ekipa sygnowana znanymi powszechnie nazwiskami. Potem zużyła się ekipa prawicy narodowej. Jej projekt dla Polski i metody jego wdrażania okazały się nie do przyjęcia dla Polaków. Obecnie obserwujemy stopniowe zużywanie się

ostatniej ekipy postsolidarnościowej: prawicy liberalno-konserwatywnej. Wiedzą o tym media opanowane przez rówieśników politycznych tejże, ostatniej, ekipy. Stąd ich sympatia dla rządzących.

Ale nie ma już wątpliwości: pokolenie 1989 roku, które tak wiele znaczyło w polskiej polityce na przełomie wieków, jest skazane na odejście. Razem z nim odejdą wektory polityczne oraz linie podziałów, tak jeszcze dziś obecne. Co zajmie ich miejsce? Nie wiadomo.

Nie ma teorii mówiącej o tym, jak się zostaje prezydentem. Ale są teorie wyjaśniające, jak zajmuje się najwyższe pozycje w strukturze społecznej.

Człowiek z SZSP
Rozmowa z prof. Jackiem Raciborskim

ROBERT WALENCIAK: Pamięta Pan swoje pierwsze spotkanie z Aleksandrem Kwaśniewskim?

JACEK RACIBORSKI: O, tak! To był luty lub styczeń 1980 roku, byłem wtedy kierownikiem studenckiego klubu Sigma na Uniwersytecie Warszawskim i koordynowałem prace nad spektaklem/happeningiem stanowiącym rekonstrukcję X Zjazdu RKP(b) (później WKP(b), tak zwanego zjazdu kronsztadzkiego. Na tym zjeździe doszło od wielkiego konfliktu między frakcjami w partii bolszewików, między innymi o stosunek partii komunistycznej do związków zawodowych, o samą koncepcję związków zawodowych, o demokrację wewnątrzpartyjną. Z przygotowań do tej rekonstrukcji, i z samego spektaklu, który odbył się w marcu 1980 roku, Piotr Bikont zrobił film dyplomowy. Wspominam ten spektakl, bo on pokazuje pewien klimat, jaki w tamtym czasie zrodził się w SZSP. Kwaśniewski był wtedy kierownikiem wydziału kultury lub zastępcą kierownika, a więc działał w sferze, w której często kontestowano ówczesny ład polityczny. I dostał polecenie od Gabrielskiego, by nam pomógł. Ale coś zawalił, już wtedy miał opinię luzaka.

– I tak się poznaliście…

– Nigdy nie przynależałem do jego grupy, ale znałem go jako naczelnego tygodnika „Itd", do którego zdarzało mi się pisać, a potem naczelnego „Sztandaru Młodych", i on mnie znał. Jako naczelny musiał już być

bardziej politycznie poprawny, ale zarazem trochę kontestował, uchodził za reformatora. Bardzo sprawnie poruszał się na styku dwóch kultur: biurokratycznej kultury partyjnej i rodzącej się właśnie kultury yuppies. Był popularny, nie powielał sztampy młodzieżowego działacza, cechował go luz, a w kuluarach studenckich narad i zjazdów bywał krytyczny wobec towarzyszy z KC.

– *Dlaczego więc awansował?*

– Nie on jeden. Przez ruch młodzieżowy wiodła wówczas główna droga do stanowisk w aparacie partyjnym i państwowym. Ale kariera Kwaśniewskiego była wyjątkowo szybka i pozbawiona okresu terminowania na niskich i średnich szczeblach aparatu władzy. Sądzę, że reformatorsko nastawiona część kierownictwa partii szukała dość świadomie jakichś innowatorów, nowych twarzy. Kwaśniewski wyjątkowo dobrze odpowiadał na potrzeby czasu kryzysu władzy. Trzeba było szukać jakichś pomysłów. A on miał spore wyczucie nowych czasów. Jako naczelny „Sztandaru Młodych" otworzył gazetę na środowisko hobbistów komputerów, wydawał adresowane do nich pismo „Bajtek", wszczynał ważne debaty o cywilizacyjnych wyzwaniach stojących przed Polską. To go pozycjonowało jako tego, który patrzy do przodu. Stronił jednak od stanowisk partyjnych. Przyjął dopiero stanowisko ministra w rządzie Messnera.

– *Na tamte czasy – awans błyskawiczny. Jak system nomenklatury, patologiczny, jak się wydaje, mógł nie zgubić takiego talentu, nie wepchnąć go w biurokratyczne koleiny?*

– Odpowiem, wskazując w punkcie wyjścia na pewien przykład. Wybrany na III Zjeździe SZSP Komitet Wykonawczy Rady Naczelnej składał się z osiemnastu osób. Przyjrzałem się ich losom w III RP. Oto zestawienie funkcji, do których doszli: (1) prezydent RP (dwie kadencje), (2) minister skarbu, (3) wiceminister w URM i MSZ, ambasador w USA, (4) prezes PZU „Życie", (5) przewodniczący Rady Nadzorczej TVP, (6) Redaktor Naczelny „Trybuny", (7) wiceprezes zarządu PGNiG, (8) wysoki urzędnik w Kancelarii Prezydenta, ambasador w Kijowie, (9) prezes Związku Banków Polskich, (10) dyrektor gabinetu politycznego ministra. Z pozostałych ośmiu – trzech zostało właścicielami sporych firm, dwóch dyrektorami, jeden zmarł przed 1989 rokiem i tylko dwóch nie osiągnęło znaczących pozycji. Zdumiewające nagromadzenie karier. Takich przypadków znalazłem wśród elit ówczesnego ruchu młodzieżowego więcej. Nie tylko z Ordynackiej, ale też ze Smolnej.

– *Wygląda to na klikę.*

– Tak wygląda, ale mechanizm koterii w małym stopniu wyjaśnia zjawisko awansu tej grupy. Bliżej ten problem opisałem w książce *Elity rządowe III RP*. Tu jedynie skrótowo. Nie ma teorii mówiącej o tym, jak się zostaje prezydentem. Ale są teorie wyjaśniające, jak zajmuje się najwyższe pozycje w strukturze społecznej. Gdy idzie o sferę polityki, to najlepiej jest odwołać się do kategorii kapitału społecznego i kapitału kulturowego. Otóż ruch studencki w latach 70. i 80. stanowił niesłychanie wydajny inkubator tych kapitałów. Formował grupy ludzi blisko ze sobą współpracujących, doświadczających polityki jako gry kolektywnej, oswajał z hierarchią i koordynowaniem zadań o dużej skali. Wielu osobom organizacje młodzieżowe dały więc doświadczenie menedżerskie. Kierowanie Almaturem, Juventurem czy dużą spółdzielnią studencką to była poważna praca i intratna we wszelkich wymiarach. Równie ważny był trening kompetencji komunikacyjnych, w tym zmiany kodów komunikowania, skoro w ramach tej samej roli trzeba przekonywać do czegoś studentów i występować na plenum KC. Istotne dla grupy, o której mówimy, było doświadczanie konfliktów politycznych i funkcjonowania w nieprzyjaznym środowisku. Stąd pewien trening walki politycznej i demokratycznej gry wyborczej, bo w organizacjach młodzieżowych, zwłaszcza w SZSP/ZSP odbywały się demokratyczne wybory. Za bardzo ważny element przygotowania tej formacji do władzy uważam rozwinięcie pewnych umiejętności kulturowych, w tym zdobycie ogólnej orientacji w kwestii gustu i dobrego smaku. Ruch studencki stwarzał znakomite okazje do uczestnictwa w życiu kulturalnym – tworzył wręcz organizacyjną ramę dla awangardy artystycznej. Dla treningu etykiety duże znaczenie miała młodzieżowa dyplomacja.

Mogę każdy element tego wywodu ilustrować, odwołując się do życiorysu Kwaśniewskiego i życiorysów innych osób z tej listy. Skądinąd znakomity przykład kumulacji wysokiego kapitału kulturowego stanowi Jerzy Koźmiński – trójka na podanej liście.

– *Które doświadczenia i wyrosłe z nich umiejętności Aleksandra Kwaśniewskiego okazały się najważniejsze, najlepiej trafiły w potrzeby czasu?*

– Myślę, że ogół tych doświadczeń oraz doświadczenie sierpnia 1980 roku, doświadczenie klęski partii, która musiała odwołać się do stanu wojennego, doprowadziły do dezideologizacji większości liderów tej grupy i uformowania ich pragmatycznej, nieco cynicznej postawy (toast

z wieczornych imprez działaczy ZSP przypisywany Kwaśniewskiemu: „wypijmy, aby Pershingom nie zabrakło paliwa nad Polską"). Komponentem tej postawy była postawa otwartości, zdolność do dialogu z przeciwnikami. Szczególne cechy tej grupy zauważono już dawno. Jadwiga Staniszkis nazwała ją dziećmi Andropowa.

– *Czy to jednak nie są zbyt wątłe przesłanki, aby mówić o jakimś pokoleniu politycznym?*

– Tych przesłanek jest sporo, o wiele więcej. Uderzał w postawie wielu działaczy, a zwłaszcza u Kwaśniewskiego, realizm w ocenie sytuacji, elastyczność, otwartość na innych, i pewien luz. Umiejętność zamazywania dystansu. Zdarzyło mi się, gdy byłem w pierwszej połowie lat 80. przewodniczącym Ogólnopolskiej Rady Młodych Pracowników Nauki, obserwować go w relacjach hierarchicznych, kiedy jeszcze nie był bardzo ważny, był redaktorem naczelnym „Itd", a miał do czynienia z sekretarzami, członkami Biura Politycznego. On potrafił czynić tę sytuację prawie że symetryczną, czyli umiejętnie zamazywać dystans… A zarazem tak, żeby ten rozmówca się nie obraził.

– *Zatrzymajmy się przy „realizmie w ocenie sytuacji". Dlaczego ta formacja jest tak bardzo realistyczna? Otwarta? Oni byli opluwani przez NZS, przez „Solidarność", wołano, że to bezideowi karierowicze. Mimo to nie dali zepchnąć się na margines, nie popadli w sekciarstwo, nie zgorzknieli…*

– Otwartość poniekąd wynika z doświadczenia konfliktu lat 1980––1981. Konflikty, strajki, bardzo wiele zmieniły w ich sposobie widzenia rzeczywistości. Oto realny socjalizm tracił przymiot bezalternatywności. Nic już nie było pewne. Ich kariery też. Pewna kontestacja systemu narastała w PZPR już przed sierpniem, a w ruchu studenckim przybierała postać względnie otwartą. Przywołana na początku rekonstrukcja zjazdu kronsztadzkiego jest tego przykładem. Wcześniej uznano by to za czysty rewizjonizm, ale wiosną 1980 roku już tak nie uczyniono. Reformatorskość – bo taki termin był wówczas w obiegu – była też jedną z reakcji na wspomniany przez pana nacisk otoczenia. A wypchnąć ta grupa nie dała się ze sceny politycznej, bo dysponowała poważnymi zasobami, które tylko przejściowo nieco się zmniejszyły. NZS-owi przeciwstawiano realne działania na rzecz studentów: wycieczki i turystykę, wsparcie dla kół naukowych, kluby studenckie itp.

– *Kwaśniewskiemu było zapewne łatwiej, bo był związany z kulturą studencką.*

– To początkowo, bo później jako naczelny „Itd" oraz „Sztandaru Młodych" był na pierwszej linii walki politycznej. Sytuacja działaczy kultury studenckiej też nie była łatwa, bo trzymanie politycznego parasola nad kulturą studencką rodziło niebezpieczeństwa z obu stron. Artyści często patrzyli na działaczy kultury wrogo, jak na cenzorów, a partia upominała z przeciwnych powodów.

– *Ostracyzm narzucany przez „Solidarność" i NZS był nieskuteczny?*

– Ludziom z Ordynackiej było niełatwo, ale i łatwo zarazem. Bo getta tworzyły się po obu stronach. Więc owszem, na większych uczelniach w latach 80. dominował klimat opozycyjny, ale to nie było tak, by ten ostracyzm mógł być totalny. Na uczelniach była przecież PZPR, wielu dotychczasowych towarzyszy znalazło się w „Solidarności", podziały polityczne były rozcieńczane przez związki towarzyskie i naukowe, bo funkcjonował etos akademicki, który tłumił agresywne zachowania z obu stron. ZSP dysponowało rozbudowaną infrastrukturą materialną, podtrzymującą egzystencję grup studentów prosystemowo nastawionych. Było się wśród swoich.

– *Skąd więc akceptacja zmiany?*

– Końcówka lat 80. w planie makrospołecznym to był obraz ponury, po prostu się już nic nie udawało. I ten czas takiego jałowienia tworzył dogodne tło kontrastowe dla Kwaśniewskiego i jemu podobnych. On niósł prosty przekaz: imitowanie Zachodu, ostrożne, liczące się z okolicznościami. Odpowiadał na silne napięcie aksjologiczne, jakie pojawiło się w całym młodym pokoleniu, że wolność słowa, wolność stowarzyszania się, swobodna przedsiębiorczość… te wartości nagle przesunęły się do sfery realistycznych postulatów. Wielką rolę odegrała w tym zmiana geopolityczna. Pojawienie się Gorbaczowa i jego polityka głasnosti oraz pierestrojki osłabiła niektóre obawy i nadwątliła pokłady konformizmu.

– *A w pewnym momencie okazało się, że realizm podpowiada zmianę…*

– A Kwaśniewski był już w głównym nurcie, blisko centrum władzy. I Okrągły Stół to ten moment, kiedy Kwaśniewski naprawdę rośnie, kiedy staje się jedną z najważniejszych postaci w tym procesie.

– *Dlaczego?*

– On świetnie się odnalazł w czasach niepewności, kiedy nie ma prostych reguł, kiedy zawiera się porozumienie, które za chwilę musi być modyfikowane, gdyż obie strony nie wiedzą, co jest możliwe, tak szybko

wszystko się zmienia. To jest sytuacja nie do zniesienia dla ludzi wytrenowanych do hierarchii, mających swoje święte przekonania, co jest możliwe, co niemożliwe, i działających rutynowo.

– *Ta niepewność…*

– Ale można się w niej odnaleźć. Okres od stycznia 1989 roku do ustanowienia rządu Mazowieckiego to czas ogromnego spiętrzenia się i zapętlenia czynników wywołujących niepewność. W takim czasie, który można określić mianem ładu doraźnych uzgodnień, nie ma znanych standardów, nie ma rutynowych procedur. Decyzje muszą być negocjowane na bieżąco i muszą one obowiązywać, choćby krótko, ale obowiązywać. I jeżeli politycy są sprawni i otwarci na negocjacje, i przynajmniej przejściowo szanowane są ich decyzje, to ten proces jest jakoś kontrolowany, nie następuje ześlizgnięcie się w anarchię. Weźmy wybory czerwcowe – zawarto pewien kontrakt, tymczasem strona solidarnościowa przekształciła je w konfrontację. A wcześniej miano nadzieję, że obie strony podzieliły się mandatami do Sejmu i że wybory to będzie co najwyżej personalna rywalizacja w zamkniętych kuriach, z wyjątkiem 35-procentowej puli mandatów dostępnej dla kandydatów „Solidarności", ale nie tylko dla nich. Okazało się więc, że, wbrew początkowym nadziejom strony rządowej, były to wybory konkurencyjne, konfrontacyjne, to były w istocie wolne wybory. Ich rezultat był przesądzony w znacznej mierze, ale rezultat rozumiany wąsko – jako wynik w mandatach. Nawet te proporcje się nie utrzymały wobec upadku listy krajowej. Ale rezultat polityczny – liczony siłą poparcia, jakie uzyskał obóz „Solidarności", był inny niż zakładany i jednoznacznie wskazał zwycięstwo „Solidarności". Uruchomiony został prawie rewolucyjny proces. I jak na to zareagowano? Nowymi negocjacjami, które były przecież gwałtem na ledwie co przyjętym prawie…

– *Nie można zmieniać ordynacji w trakcie wyborów, między jedną a drugą turą!*

– A zmieniono. Kto się nadaje do takiej sytuacji? Ktoś, kto ma wyobraźnię, i przesadnie się nie przejmuje stanami przeszłymi. Trzeba mieć nieprawdopodobną elastyczność, by nie zareagować na zasadzie – „oni nas załatwili w ten sposób, to my im odpowiemy w inny… Jeszcze mocniej!". Zamiast tego, na nowo definiowano sytuację. Myślę, że takie okoliczności niosły Kwaśniewskiego, choć nie był on jedyny, bo wielką rolę odgrywali też Ciosek, Reykowski, Kiszczak i patronujący całej operacji Wojciech Jaruzelski.

– Aleksander Kwaśniewski wybił się, bo szybko potrafił znaleźć odpowiedzi na kolejne, pojawiające się problemy? Jak napoleoński oficer, który zostaje generałem?

– Ważne dla jego pozycji stało się również uznanie drugiej strony. W negocjacjach strony budują się wzajemnie poprzez akty uznania bądź nieuznania. I Kwaśniewski został szczególnie uznany. Pamiętam jego pokazane w telewizji dyskusje z Michnikiem przed czerwcowymi wyborami. One nie były inscenizowane, ale były prowadzone w takim stylu, by obaj wygrali, każdy u swoich. Dyskutowali zgodnie ze schematem zawartym w teorii czterech graczy.

– Nie rozumiem…

– To dość popularna w literaturze „teoria" wyjaśniająca sukces polskiej tranzycji do demokracji. Mianowicie są dwa obozy, i w każdym są frakcje reformatorów i twardogłowych. Dogadanie się reformatorów z obozu solidarnościowego z reformatorami obozu pezetpeerowskiego jest możliwe tylko dzięki istnieniu owych twardogłowych. Bo ci z obozu solidarnościowego widzą, że jak się nie dogadają z reformatorami partyjnymi, to do głosu dojdzie beton. Z kolei reformatorzy partyjni obawiają się, że w przypadku braku porozumienia z umiarkowanymi z obozu solidarnościowego opozycja zostanie zmajoryzowana przez fundamentalistycznych antykomunistów. I zamiast ugody konflikt wejdzie w ostrą fazę.

– A osoby dogadujące się, prowadzące rozmowy, rosły w oczach swego obozu. Jako ci, którzy mają inicjatywę, otwierają nowe możliwości…

– Nie zawsze definicje, kto jest reformatorem, a kto fundamentalistą, bywały trafne… W roku 1988 zdefiniowano w obozie władzy, że można rozmawiać z Wałęsą, ze Stelmachowskim, ale na pewno nie z Kuroniem i nie z Michnikiem… I że ich obecność to prowokacja. Odchodzenie od tego jakiś czas trwało. Po Okrągłym Stole, a nawet w jego trakcie Michnik bardzo wsparł Kwaśniewskiego, czym mu pomógł. Z drugiej strony, też wyniósł z tego korzyść, bo niepomiernie poszerzył się krąg jego zwolenników, został zdefiniowany jako realista, przekraczający podziały, sprawiedliwy.

– A potem ci umiarkowani z PZPR przejęli partię, przekształcając ją w SdRP.

– Trzeba dostrzec siłę tej partii nawet w końcowej fazie. W wyborach delegatów na XI Zjazd, ten ostatni, który odbył się w styczniu 1990 roku, wzięło udział około miliona członków PZPR (to są dane z wydziału

organizacyjnego KC, sądzę, że to dane tylko nieco zawyżone). To masa ludzi, która pytała – co dalej? To nie było tak, że Kwaśniewski był jedyną możliwością. Były też inne jeszcze koncepcje, bardziej radykalne – Fiszbacha. Były bardziej zachowawcze. Były setki aktywistów, którzy szukali swego miejsca. Nurt zachowawczy nie miał swego wyraźnego lidera, gdyż Miller nie chciał obsadzić się w tej roli. Gdyby jednak nie doszło do porozumienia między Millerem a Kwaśniewskim, to w demokratycznej procedurze Kwaśniewski mógłby przegrać.

– *Dlaczego Miller na to poszedł?*

– Bo Kwaśniewski był wielką szansą spokojniejszego przejścia. Był znacznie szerzej akceptowany. Stanowił emblemat reformatorów. A Miller miał wtedy etykietę reprezentanta aparatu, betonu. Tak naprawdę był realistą i zwracał się przeciwko – jak to wówczas mówił – mitowi niepokalanego poczęcia, co miało oznaczać pogodzenie się z tym, że SdRP poczęła się z PZPR. Z faktu tego płynęła siła i słabość tej partii. Organizacyjną siłę spersonifikował Miller, a Kwaśniewski rozpoczął walkę o nowy wizerunek, o przezwyciężenie dramatycznej słabości tej formacji w sferze symbolicznej, walkę o uznanie, w tym międzynarodowe. To był czas dla tej partii bardzo trudny. Groziło wprowadzenie represyjnych ustaw dekomunizacyjnych i lustracyjnych. One musiałyby naruszyć świeże jeszcze fundamenty demokracji. I Kwaśniewskiego zdolność do porozumiewania się z obozem Mazowieckiego, Michnika, Geremka, Kuronia była nie do przecenienia.

– *I szable w Sejmie…*

– A także wsparcie dla „planu Balcerowicza" oraz kadry, które SdRP mogła zaoferować. Część tych kadr była bardzo rynkowo nastawiona. Kwaśniewski nie był Mesjaszem, nie jest tak, że on zorganizował SdRP, że ją przeprowadził przez Morze Czerwone itd. On był charyzmatycznym liderem tej formacji, ale to była partia od początku dobrze zinstytucjonalizowana. Partia miała ważne zasoby. I pierwsze sukcesy odniosła już w roku 1990 – w wyborach samorządowych około 8 procent mandatów (często pod innym szyldem) i ponad 9-procentowy wynik Cimoszewicza w wyborach prezydenckich. Pamiętać trzeba o całkowitej wówczas delegitymizacji starego systemu.

– *Mówił Pan, że elastyczność i pewna bezideowość to był atut w momencie przejścia. Ale w czasach bardziej dojrzałej demokracji to raziło. Los*

SLD dowodzi, że partia, która jest maszynką do wygrywania wyborów i zapewniania posad kolegom, nie wpada w serca Polaków.

– To trafna uwaga. Dlatego podkreślałem, że elastyczność polityczna procentuje tylko w pewnych warunkach. Dodajmy też, że początkowo SdRP była zdecydowanie bardziej ideowa niż PZPR. Ale to prawda, że nowe pozycje, nowe posady, dość szybko utrwaliły manierę lekceważenia pewnych aspektów programowych, nierzadkie były też przypadki demoralizacji. I nie chodzi tu o jakąś szczególnie głęboką ideowość, tylko o przywiązanie do niewielkiego zespołu wartości, wyobrażenie warunków, w których ważne potrzeby ludzi będą lepiej zaspokajane, i posiadanie jakichś projektów realizacji celów partii. Wartości mają więc znaczenie; są granice cynizmu politycznego.

– Tę formację zgubiło jeszcze jedno – gdy już wygrała wszystko, podzieliła się, skłóciła. Tak musiało być?

– Tej wojny pałaców być nie musiało. Choć rzeczywiście, w polskich warunkach premier i prezydent, o ile są ambitni, są wpychani przez rozwiązania instytucjonalne w sytuację konfliktu; udział w tym mają też pewnie ich „dwory", ale nie chcę na ten temat spekulować, gdyż boję się zarzutu hołdowania kamerdynerskiej wizji historii.

Sprzyjały mu cechy szczególne: zdolność mobilizowania ludzi, publicznego występowania ze swadą, rzutkość, talenty organizatorskie. Już wtedy był wybitnym liderem.

Zawsze o krok do przodu
Rozmowa z Jerzym Koźmińskim

ROBERT WALENCIAK: Jest takie zdjęcie, zrobione w lipcu 1980 roku. Edward Gierek rozmawia z dwoma studentami, oni stoją obok siebie, uśmiechnięci… Pierwszym jest Aleksander Kwaśniewski, drugim – Jerzy Koźmiński… Byliście kwiatem młodzieży komunistycznej…

JERZY KOŹMIŃSKI: Hm… To dzisiejszy język. Gdyby wtedy ktoś nas tak nazwał, czulibyśmy się dotknięci… Uważaliśmy, że komunizm to nie u nas… Że w Polsce jest socjalizm, z narastającymi od lat problemami, ale wciąż z szansami na głębokie reformy.

– *Wierzyliście w to?*

– Rozróżnialiśmy dwie rzeczy. Pierwsza to stosunek do ustroju w kraju, do jego instytucji i konkretnych rozwiązań. A druga – do porządku międzynarodowego. Powszechnie sądzono, że porządek ten jest oparty na nienaruszalnym geopolitycznym paradygmacie. I że, w przypadku naszego regionu, decyduje o istocie wewnętrznego systemu państwa. Wierzyliśmy jednak, że wewnętrzny system może ulec daleko idącym zmianom; nasze szkolne i studenckie lata przypadły bowiem na pogrudniowe otwarcie – ułatwienia w podróżach na Zachód, próby reform gospodarczych, liberalizację w kulturze. Od połowy lat siedemdziesiątych nasz optymizm zaczął ustępować miejsca krytycyzmowi, ale nadal byliśmy przekonani, że w ramach systemu jest duże pole do zmian. I że trzeba działać, by je

maksymalnie wykorzystać. A to zdjęcie ze studenckiego zlotu w Chełmie uchwyciło początek naszej kuluarowej rozmowy z Edwardem Gierkiem, której finał był dość napięty; Aleksander Kwaśniewski był uprzejmy, ale bardzo krytyczny, punktując oderwanie ówczesnych władz od rzeczywistości. Co się zaś tyczy układu międzynarodowego, to instynktownie opowiadaliśmy się za odprężeniem między Wschodem a Zachodem, wierząc, że będzie to korzystne dla Polski; także w wymiarze wewnątrzkrajowym, tworząc przesłanki sprzyjające liberalizacji i reformom.

– *Wy, studenci przecież, tak rozumowaliście?*

– Tak było w środowisku, w którym się poruszałem, przede wszystkim na Wydziale Handlu Zagranicznego SGPiS; podobnie myślał Olek Kwaśniewski, który studiował pokrewny kierunek na Uniwersytecie Gdańskim. Bardzo dobrze pamiętam go z tamtych czasów. Prowadziliśmy częste rozmowy, zwłaszcza kiedy przeniósł się już do Warszawy. Blisko współpracowaliśmy, głównie na forum SZSP, byliśmy związani także z innymi organizacjami, takimi jak AIESEC, SSPONZ, AZS, koła naukowe, studenckie instytucje kultury. Od początku wyróżniał się szerokością horyzontów, ogromną ciekawością świata i ludzi, zdolnością do nawiązywania kontaktów. Mówiąc dzisiejszym językiem: wyjątkową inteligencją emocjonalną. Posiadał umiejętność budowania konsensusu, przełamywania nieufności, unikania niepotrzebnej konfrontacji, co nie oznacza, że nie potrafił z pasją angażować się w polemiki. Poza tym, dużo jeździł po świecie. Dobrze go poznał, zwłaszcza Zachód, przez dwa miesiące był w Ameryce... Dużo czytał.

– *Jerzy Koźmiński też był ciekawy świata…*

– Całe nasze środowisko takie było. Gdybym miał odtworzyć myślenie Olka z tamtego okresu, sprzed roku 1980, to na pewno był przekonany, że świat Zachodu jest bardziej racjonalnie zorganizowany, że dominuje w nim normalność, że dzięki temu społeczeństwom żyje się lepiej. A jednocześnie było jasne, że istnieją uwarunkowania geopolityczne, które wyznaczają nasze miejsce i nie da się ich zmienić, przynajmniej za naszego życia, trzeba jednak podpatrywać ten lepszy świat, przejmować dobre rozwiązania, dążyć do ewolucyjnego przekształcania systemu. W wymiarze gospodarczym – żeby system był coraz bardziej efektywny, oraz w społecznym – aby wprowadzać coraz więcej różnorodności. Bo pluralizm miał dwa walory – jako wartość sama w sobie, bo człowiek chce być wolny, a po drugie – jako instrument osiągania wyższego poziomu racjonalności.

Przez wymianę myśli, ścieranie poglądów, szukanie jak najlepszych rozwiązań. Wolność idzie w parze z efektywnością. W postawie Aleksandra Kwaśniewskiego takie podejście było zawsze sprzężone z krytyczną analizą sytuacji politycznej w kraju. Pamiętam to zarówno z naszych rozmów prywatnych, jak i z jego wystąpień na forum ruchu studenckiego. Niezgodę na rosnącą sprzeczność między oficjalnie deklarowanymi celami i wartościami a rzeczywistością. Jednocześnie dążność do wprowadzania zmian, do otwierania systemu.

– *Prawie jak „Solidarność"…*

– Kierunek dla wielu wydawał się wówczas oczywisty, było natomiast pytanie o wielkość pola manewru, a także o konkretne rozwiązania i tempo zmian. Byliśmy przekonani, że są granice, wyznaczone choćby sojuszami wojskowymi, których nie da się przekroczyć. Ale życie publiczne w kraju i jego gospodarkę można i trzeba przekształcać, krok po kroku.

– *Po centymetrze…*

– I być może, w warunkach sprzyjających, dojdziemy do szczególnego statusu, tolerowanego przez ZSRR.

– *Takiej Finlandii...?*

– Tak daleko chyba nie posunęliśmy się wówczas w naszej wyobraźni... Dziesięć lat wcześniej była przecież interwencja w Czechosłowacji, a za naszych czasów zaczęła się w Afganistanie. Ale pamiętam dyskusje o możliwych formach jakiejś finlandyzacji, bez kwestionowania członkostwa PRL w Układzie Warszawskim.

– *Uśmiecham się, bo z jednej strony taki horyzont marzeń, jeśli spojrzy się na dzisiejszą Polskę, to coś bardzo zachowawczego, z drugiej – jeśli pamięta się tamten świat, z Husakiem, Honeckerem, Ceausescu – to rewizjonistyczna herezja!*

– Widzieliśmy, że Polska to nie NRD czy Rumunia. Co z jednej strony dawało poczucie, że u nas jest lepiej, a z drugiej – pokusę, by iść dalej. Że jest dla Polski droga.

– *I tak myślał Aleksander Kwaśniewski...?*

– Tym bardziej on; z szerokimi horyzontami, znający świat, pragnący zmieniać kraj, niezwykle aktywny. Sprzyjały mu cechy szczególne – zdolność mobilizowania ludzi, przekonywania, publicznego występowania ze swadą, rzutkość, talenty organizatorskie, a na dodatek konsekwencja w działaniu. Już wtedy był wybitnym liderem.

– *A jak przeżyliście okres „Solidarności"?*

– Pamiętam, że na samym początku września, dzień po podpisaniu umów sierpniowych napisaliśmy we dwóch projekt rezolucji, którą potem przyjęła Rada Naczelna SZSP, a która zaczynała się od słów „wróciliśmy z wakacji odmienieni…"

– *Odmieniło was?*

– Pisaliśmy ten projekt ogromnie poruszeni, tuż po wielkich przeżyciach związanych ze strajkami na Wybrzeżu. Olek wyjątkowo dobrze rozumiał, co tam się działo, jeździł między Gdańskiem a Warszawą, z przejęciem opowiadał o swoich wrażeniach. Przełom powitaliśmy z wielką nadzieją, optymizmem i wiarą, że w Polsce otwiera się nowy rozdział. I z przekonaniem, że powinniśmy aktywnie uczestniczyć w jego zapisywaniu. Potem, kiedy w kraju narastały napięcia, także i w naszym środowisku dyskusje były coraz gorętsze, nastroje ulegały radykalizacji. Pamiętam, że jedna z rezolucji wzywała do utworzenia rządu jedności narodowej, który miał się składać z przedstawicieli ówczesnych władz, „Solidarności" i Kościoła... Dość daleko idące postulaty jak na organizację, która miała w nazwie „socjalistyczny".

– *Byliście jednak wtedy mocno atakowani przez NZS…*

– Tak, a ówczesne kierownictwo SZSP, w którym był Aleksander Kwaśniewski, reagowało na to powściągliwie, deklarując gotowość do współpracy. Można było zrozumieć tamte ataki. Po pierwsze, działacze NZS postrzegali SZSP jako część kontestowanego systemu. Po drugie, oficjalna platforma polityczna SZSP sprzed jesieni 1980 roku mogła budzić uzasadnioną krytykę; zresztą surowo ocenił ją zjazd nadzwyczajny samego SZSP. Inna rzecz, że wcześniej zdecydowana większość działaczy i członków SZSP nie przywiązywała dużej wagi do oficjalnych deklaracji politycznych, traktując je jak jakiś wymagany rytuał; wykorzystywała natomiast ramy organizacji do podejmowania działań powszechnie akceptowanych i społecznie pożytecznych, zwłaszcza w kulturze, turystyce, sporcie, wymianie zagranicznej, działalności naukowej, pomocy stypendialnej. Po trzecie, w grę wchodziły także specyficzne uwarunkowania na różnych uczelniach, w tym nierzadko animozje osobiste i środowiskowe czy też działała logika zwykłej konkurencji. Ale były też przykłady współpracy; najbardziej znanymi i skutecznymi studenckimi strajkami, zimą 1981 roku w Łodzi, współkierowali koledzy z NZS i SZSP. Warto odnotować, że na forum międzynarodowym SZSP skutecznie blokował podejmowane

wówczas przez radziecki Komsomoł oraz inne organizacje z krajów socjalistycznych próby przeforsowania uchwał krytykujących polski NZS oraz „Solidarność". Tego typu doświadczenie miał na swoim koncie Aleksander Kwaśniewski. Generalnie, okres 1980–1981 był dla niego ogromnie ważny, silnie wpłynął na jego dalsze decyzje i postawę. A finał tego okresu był symboliczno-dramatyczny: tuż przed stanem wojennym Olek został redaktorem naczelnym „Itd".

– *I nie zdążył go wydać…*

– Wszystkie organizacje studenckie zostały zawieszone, także tygodnik „Itd", którego wydawcą był SZSP.

– *Ponownie spotkaliście się w roku 1989.*

– Spotykaliśmy się towarzysko wcześniej, a kiedy został członkiem rządu Mieczysława Rakowskiego, a później otwarła się perspektywa zmian, zaproponował mi współpracę; był wtedy ministrem sportu i młodzieży, a zarazem przewodniczącym Komitetu Społecznego Rady Ministrów.

– *De facto* wicepremierem.

– Z każdym miesiącem odgrywał coraz istotniejszą rolę, przede wszystkim jako współtwórca ustaleń Okrągłego Stołu. Pracę w Urzędzie Rady Ministrów rozpocząłem na tydzień przed zakończeniem okrągłostołowych obrad. To było 1 kwietnia. Aleksander uznał, że to dobra data, bo daje mi mandat do niekonwencjonalnych działań i z góry usprawiedliwia ich niepożądane skutki. Wcześniej byłem w szpitalu w Krakowie, leżałem kilka tygodni po ciężkim wypadku.

– *Pan leżał, a wiele ważnych osób, jak wojewoda i ministrowie, pytali się ordynatora o Pana zdrowie. Aż pewnego dnia przyszedł do Pana i zapytał: Panie, kim pan jest?*

– To dzięki Olkowi; będąc w rządzie, skutecznie otoczył mnie opieką na odległość. Wysyłał ludzi, telefonował.

– *Wyszedł Pan ze szpitala, i miejsce w URM czekało.*

– Początek był osobliwy, nie byłem jeszcze w pełni sił, miałem kłopoty z czytaniem, a tu działo się coś wyjątkowego, kończył się Okrągły Stół, zaczynał jakiś nowy etap. Po kilku tygodniach, wraz z czerwcowymi wyborami, wydarzenia nabrały jeszcze większego tempa. Dla wielu były one niezrozumiałe i niepokojące. Jak pamiętam, w tamtym ciągu wydarzeń Aleksander Kwaśniewski był zawsze o krok do przodu. W rozumieniu sytuacji i formułowaniu propozycji. Był jednym z pierwszych, którzy wkrótce po wyborach 4 czerwca uważali, że powinno dojść do zmiany

rządu, że ster władzy powinna objąć „Solidarność", jako siła, która ma legitymację społeczną do przeprowadzenia niezbędnych zmian. Taki pogląd wyraził w obecności Adama Michnika i Jacka Kuronia. Wtedy wydawało się, że to nieprawdopodobne.

– *Potem był artykuł „Wasz prezydent, nasz premier".*

– Adam Michnik był także jednym z pierwszych, którzy uznali, że to dla Polski najlepsze rozwiązanie. Pamiętam również, że przed czerwcowymi wyborami i tuż po nich, kiedy rozważano możliwe scenariusze dalszego rozwoju wydarzeń, niektórzy przedstawiciele „Solidarności" na stanowisku premiera widzieli Aleksandra Kwaśniewskiego. Zakładali, że takie nowe otwarcie tworzyłoby szansę na kooperatywne ułożenie relacji między władzą a opozycją, a sama władza korzystnie ewoluowałaby. Ale nim tego typu pomysły uległy krystalizacji, historia potoczyła się znacznie szybciej. Czego nawet niektórzy nie zauważyli...

– *Parę tygodni tworzył się rząd Kiszczaka.*

– Czesław Kiszczak chciał włączyć przedstawicieli opozycji, ale oni się nie kwapili. Już wkrótce było oczywiste, że ten rząd nie powstanie. Musiała przyjść władza, która by miała legitymację społeczną. I Aleksander był jednym z pierwszych, który to dostrzegł.

– *A dostrzegł, że z wami może być źle? Że przyjdzie „Solidarność" i będzie rewanż?*

– Jak tylko było wiadomo, jakie są wyniki wyborów, Aleksander natychmiast podjął dwojakiego typu działania; żeby wpłynąć na wytłumienie po stronie „Solidarności" postawy triumfalizmu, a jednocześnie, aby po stronie kierownictwa partii nie doszło do reakcji osaczonej twierdzy, co mogłoby skutkować próbami unieważnienia wyborów. W takim duchu aktywnie współdziałał z Adamem Michnikiem oraz innymi przedstawicielami kierownictwa „Solidarności". Odegrał także istotną rolę w wypracowaniu rozwiązania problemu, jaki powstał po odrzuceniu przez wyborców listy krajowej.

– *W trakcie wyborów zmieniono ordynację!*

– Tak, z dzisiejszej perspektywy wydaje się to nieprawdopodobne... Wtedy było to wyrazem uznania realiów ze strony kierownictwa „Solidarności", pomogło władzy pogodzić się z nową sytuacją, służyło tworzeniu warunków do dalszych zmian.

– *Nie baliście się, że wam świat się zawali?*

– Pamiętam, że była wtedy wielka niepewność, ale dotyczyła ona całości spraw, a nie obawy o losy osobiste. Aleksander był skoncentrowany

na współuczestnictwie w tworzeniu rozwiązań służących krajowi; nie przypominam sobie żadnej rozmowy, w której zastanawiałby się nad własną przyszłością. Pojawiały się natomiast ogólniejsze pytania; czy nie dojdzie do prowokacji, do konfrontacji siłowej, do reakcji ze strony aparatu władzy. Czy nie będzie ingerencji zewnętrznej – choć na tamtym etapie wydawała się mniej prawdopodobna ze względu na postawę Gorbaczowa i słabość ZSRR.

– *A Pan się nie bał?*

– O siebie...? Nie.

– *Że przyjdzie nowa ekipa, i powiedzą – do widzenia!*

– Wobec skali zmian to nie miałoby znaczenia. Tym bardziej, że byłem w URM dopiero trzy miesiące; trudno w tak krótkim czasie przywiązać się do miejsca pracy... A czas był niezwykły, czuło się początek wielkiej zmiany. Widzieliśmy dwie rzeczy – z jednej strony ogromny dramatyzm sytuacji, która miała dwa powiązane ze sobą źródła: degradację gospodarki i całkowicie rozchwianą równowagę makroekonomiczną, a także niestabilność społeczną i polityczną. Ale z drugiej – coraz bardziej trafiało do nas, że stajemy przed wielką szansą. To było już w okresie formowania rządu Tadeusza Mazowieckiego. We wrześniu uświadomiliśmy sobie, że Polska będzie mogła po swojemu kształtować swoją przyszłość, taką, o jakiej wcześniej nie moglibyśmy sobie nawet pomarzyć w nocnych studenckich rozmowach. Że kraj może stać się w pełni wolny, samostanowiący i demokratyczny.

– *Ta bezkrwawa rewolucja was wkręciła.*

– Pamiętam, że taka atmosfera coraz bardziej udzielała się w kręgach, z którymi miałem najbliższe kontakty, zwłaszcza wśród moich rówieśników, absolwentów SGPiS i innych warszawskich uczelni. Wielu z nich pracowało już w centralnych urzędach, zwłaszcza w resortach gospodarczych. Byli to ludzie dobrze wykształceni, znający świat, chętni do uruchomienia swoich potencjałów – i rok 1989 otworzył pod tym względem wyjątkowe możliwości. Zresztą już druga połowa lat 80. sprzyjała profesjonalizacji np. Ministerstwa Finansów – coraz bardziej liczyły się w tego typu instytucjach wiedza i kompetencje.

– *Pan nie utożsamiał się z odchodzącą władzą? Z PZPR?*

– Ani ja, po niedługim czasie pracy w urzędzie centralnym, ani moi znacznie starsi stażem koledzy. Oczywiście Aleksander Kwaśniewski pozostawał w stałych, bezpośrednich kontaktach z czołowymi przedstawicielami władzy, ale zawsze był bardzo samodzielny i krytyczny, zawsze

zwrócony ku przyszłości. Nie lekceważył realiów władzy, dobrze je rozumiał, także nastroje panujące w tamtych kręgach, ale koncentrował się na tym, co przed krajem, jak maksymalizować szanse i minimalizować zagrożenia.

– *Dyskusje o PRL, o ludziach, którzy byli w PZPR, były gdzieś obok?*

– Wtedy nie było w ogóle czasu na tego typu dyskusje, zwłaszcza od połowy września – praca non stop...

– *Z Leszkiem Balcerowiczem.*

– Tak. Wcześniej byłem studentem Leszka Balcerowicza, we wrześniu 1989 roku zaprosił mnie do współpracy; dzięki temu przeżyłem najbardziej niezwykłe doświadczenie zawodowego życia – przeszło 800 dni u boku autora programu stabilizacji i przebudowy polskiej gospodarki. W 1989 roku kraj stał przed gigantycznym wyzwaniem, musiał się z nim zmierzyć rząd Tadeusza Mazowieckiego, a ekipa gospodarcza dźwigała szczególny ciężar. Pierwsze miesiące, do końca roku, były jak na froncie... Pełne napięć, niepewności, setek decyzji, presji z każdej strony. Ale i kolejne dwa lata pochłaniały ekipę gospodarczą bez reszty.

– *A Kwaśniewski?*

– Nie miał wątpliwości, że „plan Balcerowicza" to konieczność. Że idzie o uporanie się z katastrofalną sytuacją, głównie z galopującą inflacją, a zarazem o budowę nowej gospodarki opartej na dominującej własności prywatnej, z konkurencją wewnętrzną, otwartą na świat i mającą stabilny pieniądz. Zresztą wolność gospodarcza została zadeklarowana jeszcze w tak zwanej ustawie Wilczka za rządu Mieczysława Rakowskiego, w którego skład wchodził Aleksander Kwaśniewski.

– *A nie było zaskakujące, że zaangażował się w budowę SdRP? Że wybrał tak a nie inaczej? Został liderem formacji bezpośrednio wywodzącej się z PZPR?*

– To ciekawa historia; moim zdaniem, on się do tego nie palił. Wcale nie było przesądzone, że tak się potoczą jego losy; gdybym miał prognozować jesienią 1989 roku, co za kilka miesięcy uczyni, to raczej widziałbym alternatywne scenariusze. Mógł wybrać różne drogi.

– *Wybrał SdRP…*

– Z pewnością jego partyjni i rządowi koledzy namawiali go, żeby to on, jako człowiek młody, bez obciążeń z przeszłości, sprawny, rozumiejący drugą stronę, poprowadził ich bezpiecznie dalej. Na pewno też istotne było dla niego, żeby wykorzystać część potencjału partyjnego, zwłaszcza

młodych ludzi i profesjonalistów, w budowie nowego, demokratycznego państwa. Mógł wybrać inaczej; rodziły się wówczas różne inicjatywy, dla których jako lider byłby bardzo silnym atutem i zacząłby zapisywać zupełnie nową kartę. Sądziłem, że taki wariant jest bardziej prawdopodobny, ale gorącą jesienią '89 nie miałem już okazji śledzić z bliska związanych z tym wydarzeń. Potem jednak, po dokonaniu przez niego zasadniczego wyboru w styczniu 1990 roku, jego dalsze decyzje były dla mnie zrozumiałe i przewidywalne.

– Nie był Pan zaskoczony, gdy bardzo dyskretnie wspierał rząd Hanny Suchockiej? Pan wtedy był podsekretarzem stanu w URM…

– Nie, nie byłem... Rozumiał, że ten rząd ma przed sobą ważne zadania; kontynuację reform gospodarczych i dalszą przebudowę państwa, co nie było łatwe, bo rząd składał się z przedstawicieli aż siedmiu partii… Jednocześnie sądził, że to jeszcze za wcześnie, aby siły polityczne zakorzenione w poprzedniej epoce brały się do rządzenia. Stąd między innymi przyczynił się do przyjęcia przez Sejm oczekiwanych przez gabinet Hanny Suchockiej decyzji budżetowych na rok 1993. Do poważnego problemu i napięcia doszło w maju, kiedy jeden z działaczy Solidarności postawił wniosek o wotum nieufności dla rządu; Aleksander nie chciał, żeby ten rząd upadł. Ale z drugiej strony musiał się zachować wiarygodnie przed swoim klubem i środowiskiem. Miał trudną sytuację.

– A klub SLD był przeciwny rządowi Suchockiej.

– Taka postawa generalnie wynikała z logiki konkurencji politycznej; czas, w którym główne partie działały wspólnie na rzecz reform, trwał bardzo krótko… Ale był i dodatkowy czynnik – wchodzący w skład klubu SLD działacze OPZZ argumentowali, że byłoby niezrozumiałe, gdyby mieli bronić rządu, na przykład nie uczestnicząc w głosowaniu, w sytuacji gdy wniosek o wotum nieufności wobec solidarnościowego rządu zgłosił przedstawiciel „Solidarności". Aleksander Kwaśniewski najpierw zaangażował się na rzecz przyjęcia przez klub SLD postawy neutralnej, a później, kiedy okazało się, że to natrafia na rosnący opór w klubie – próbował nie dopuścić do skonsolidowania oporu, który skutkowałby wysoką frekwencją posłów lewicy i głosowaniem wszystkich na nie. W dniach poprzedzających głosowanie doszło do oficjalnego spotkania premier Hanny Suchockiej z przewodniczącym Kwaśniewskim, co w tamtych czasach było wydarzeniem szczególnym. Ze strony rządowej została wówczas sformułowana oferta współpracy w kilku kwestiach, na których SLD programowo zależało.

– *To się nie powiodło.*

– Bo już wcześniej została uruchomiona inna dynamika. Zmobilizowany SLD zagłosował przeciw, a jeden z przedstawicieli obozu rządowego nie przyszedł na czas. I jednym głosem tamten rząd zakończył działalność.

– *Minister Dyka przeszedł do historii, gdyby nie jego spóźnienie, nikt by o nim dziś nie pamiętał…*

– Kolejny ważny moment miał miejsce tuż po wyborach we wrześniu 1993 roku. Aleksander Kwaśniewski, w pierwszym odruchu, o czym chyba wtedy nie było szerzej wiadomo, zaproponował pani premier Suchockiej, aby pozostała na czele rządu. I żeby tworzyć rząd, który miałby większość parlamentarną.

– *Czyli z poparciem SLD.*

– Musiałoby to oznaczać jakąś formę poparcia ze strony SLD. Inicjatywa Aleksandra wynikała z pierwszej jego oceny, że najlepiej byłoby dla kraju, a zarazem dla SLD, gdyby na stanowisku szefa rządu utrzymać *status quo*. SLD – a właściwie SdRP – było jeszcze silnie obciążone swoją genezą, a jednocześnie istniała konieczność kontynuacji niełatwych zmian w gospodarce i państwie, choć już wtedy było wiadomo, że Polska wyraźnie wchodzi na ścieżkę wzrostu.

– *To byłby ten historyczny kompromis…*

– W roku 1993 nie było gotowości kierownictwa Unii Demokratycznej do otwarcia, które później nazywano historycznym kompromisem. Po stronie SLD też mogłoby to wówczas rodzić problemy, choć innej natury. Mówiąc o postawie i roli Aleksandra Kwaśniewskiego w tamtym czasie, trzeba jeszcze podkreślić ogromnie istotne wydarzenie. Otóż wkrótce po wyborach odbyła się głośna konferencja prasowa, podczas której kierownictwo SDRP opowiedziało się za opcją atlantycką. Nie ulega wątpliwości, że kluczową rolę w przestawieniu strategicznej zwrotnicy odegrał Aleksander Kwaśniewski. To było bardzo ważne, bo jesienią tego roku, kiedy ministrem spraw zagranicznych został Andrzej Olechowski, Polska rozwinęła na forum międzynarodowym, głównie w USA, szeroką kampanię na rzecz integracji z NATO. Decyzja SLD oznaczała konsensus wszystkich głównych sił politycznych w Polsce w sprawie członkostwa w Sojuszu Atlantyckim. To był naturalny i pożądany kierunek dla kraju – i dobrze się stało, że kierownictwo SLD podjęło taką decyzję szybko i jednoznacznie. Z góry przecięło dyskusje na temat determinacji i wiarygodności Polski

w działaniach na rzecz członkostwa w NATO. Za granicą wskazywano, że owszem, to rząd postkomunistyczny, ale bez wątpliwości kieruje się opcją prozachodnią. To był kolejny ważny wybór Aleksandra Kwaśniewskiego. Dla niego naturalny, choć wówczas nie tak oczywisty dla dużej części środowiska, z którym był związany. Zwieńczeniem symbolicznym tego wyboru był udział Aleksandra Kwaśniewskiego, już jako prezydenta RP, w jubileuszowym szczycie NATO w Waszyngtonie, w kwietniu 1999 roku, kiedy to Polska, Czechy i Węgry zadebiutowały w roli nowo przyjętych członków Sojuszu. W waszyngtońskim spotkaniu wziął także udział historyczny przywódca „Solidarności" Lech Wałęsa, podczas którego prezydentury Polska rozpoczęła kampanię na rzecz poszerzenia NATO.

Zbigniew Siemiątkowski

Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej – partia postkomunistyczna czy neokomunistyczna?

Powstała w styczniu 1990 roku Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej w zamierzeniach jej założycieli miała zrywać z ortodoksją komunistyczną, dziedzictwem władzy biurokracji partyjno-państwowej, nawiązywać miała natomiast do tradycji socjalizmu demokratycznego i humanizmu socjalistycznego jako podstawy teoretycznej doktryny socjaldemokratycznej nowej partii. SdRP akceptowała budowę w Polsce gospodarki rynkowej opartej na zasadach wolnej konkurencji podmiotów gospodarczych oraz liberalnej demokracji, w której pragnęła walczyć o poparcie społeczne i polityczne w wolnej rywalizacji z innymi podmiotami politycznymi. „Naszą naczelną wartością jest Polska – stwierdzano w przyjętej na kongresie deklaracji programowej SdRP. – Jej służymy. Za jedyne źródło władzy uznajemy wolę narodu, wyrażoną w demokratycznych i proporcjonalnych wyborach. Pomyślność Polski wiążemy z postępem, otwarciem na świat i udziałem w jego cywilizacyjnym dorobku".

SdRP przyjmowała ten program z pełną świadomością posiadanych obciążeń historycznych, niechęci społecznych z tego wynikających

i trudności politycznych czynionych jej przez ugrupowania i środowiska wywodzące się z demokratycznej opozycji. „Chcemy wraz z innymi partiami – deklarowała mimo to – przy zachowaniu własnej tożsamości, współtworzyć nowoczesną kulturę polityczną, której fundamentami są szacunek dla odmiennych racji oraz zdolność do poszukiwania kompromisów w podstawowych dla narodu sprawach". Moment powstania nowej-starej partii został zignorowany przez opinię polityczną. Nie dostrzeżono wysiłku programowego włożonego w końcówce historii PZPR przez tych, którzy chcieli na jej gruzach budować nową lewicę. Zadowolono się powierzchowną krytyką kongresu założycielskiego nowej partii niewychodzącą poza slogan o „przemalowanych". Dopiero po latach Jan Rokita przyznał, że kongres ze stycznia 1990 roku miał się okazać najbardziej kluczowym faktem w najnowszej historii lewicy[1].

Przeciwnicy dawali nowej partii trzy miesiące działalności. „Atmosfera wokół SdRP – zanotował w swoim dzienniku jeden z jej założycieli Jerzy Wiatr – była lodowata. 1 lutego Wiadomości TV pokazały Lecha Wałęsę z ogromną dawką nienawiści atakującego nową partię i jej przewodniczącego i grożącego procesami. (…) Na atak Wałęsy Kwaśniewski odpowiedział spokojnym i godnym listem otwartym. Jego istotą było stwierdzenie, że SdRP nie chce konfliktu z »Solidarnością«, ale zwasalizować się nie da"[2].

W zamyśle jej twórców, SdRP miała być partią postkomunistyczną cierpliwie budującą nową socjaldemokratyczną tożsamość, wyprowadzającą swoich zwolenników i sympatyków z okopów starych dogmatów i uwarunkowań geopolitycznych. Nowa partia miała być emanacją reformatorskiego i demokratycznego nurtu w PZPR[3]. „Nasze ideały – podkreślano w deklaracji założycielskiego kongresu – wiążemy z polską tradycją socjalistyczną, ze współczesnymi poszukiwaniami polskiej lewicy oraz dorobkiem Międzynarodówki Socjalistycznej". SdRP wyraźnie nie chciała być partią neokomunistyczną totalnie opozycyjną wobec nowych rządów i wprowadzanego nowego ustroju. Partią nostalgii i rewanżu zapatrzoną w przeszłość, nieakceptującą tego wszystkiego, co się zdarzyło w Polsce po czerwcu 1989 roku. „Jesteśmy za wykorzystaniem w polskich warunkach zasad gospodarowania sprawdzonych w świecie – podkreślano – za

[1] J. Rokita, *Anatomia przypadku*, Warszawa 2013, s. 121.

[2] J. J. Wiatr, *Życie w ciekawych czasach*, Warszawa 2008, s. 237.

[3] *Ibidem*, s. 236.

gospodarką rynkową wraz z elementami interwencjonizmu i odpowiedzialnością socjalną państwa". „Jesteśmy – dodawano – za silnym praworządnym państwem polskim, za demokracją parlamentarną i systemem wielopartyjnym. Jesteśmy zwolennikami samorządności terytorialnej i pracowniczej oraz swobodnego samoorganizowania się społeczeństwa".

Jeśli PZPR w ostatnich dekadach swojego istnienia była ugrupowaniem głównie koniunkturalistów, to jego prawna, ale nie ideowa, następczyni miała być partią nonkonformistów, którzy w trudnych czasach dla lewicy decydowali się budować partię postkomunistyczną. Miał to być z ich strony swoisty eksperyment historyczny. Próba powrotu do źródeł. Ruch komunistyczny powstawał po I wojnie światowej na skutek rozłamów w partiach socjalistycznych i socjaldemokratycznych II Międzynarodówki. Powstające wówczas partie komunistyczne porzucały doktrynę demokratycznego socjalizmu na rzecz doktryny rewolucyjnej dyktatury proletariatu i utopii komunistycznej. Po upadku państw realnego socjalizmu w wielu partiach komunistycznych Europy Środkowo-Wschodniej nastąpił powrót do źródeł, rozpoczął się proces emancypacji ideowej i politycznej nurtu reformatorskiego, który wybierał trudną drogę pracy na rzecz pozyskiwania społecznego poparcia na podstawie programu demokratycznego socjalizmu w nowych socjaldemokratycznych ramach organizacyjnych. Proces ten był łatwiejszy w krajach takich jak Polska czy Czechy, gdzie istniała tradycja historyczna, do której można było się odwołać. Możliwa też była do obrania inna droga. Neokomunistyczna droga wydawała się, z jednej strony, łatwiejsza, bo niewymagająca żmudnej pracy ideowej, z drugiej rokowała większe nadzieje na przyszłość ze względu na postępujący proces frustracji coraz szerszych grup społecznych rozczarowanych kosztami transformacji ustrojowej. Ta „komunonostalgia" opierała się na dwóch psychologicznych założeniach: „puszczenia w niepamięć trudności i nędzy czasów komunistycznych oraz frustracji wywołanej kosztami przejścia do gospodarki wolnorynkowej"[4]. Ta nostalgia była tym groźniejsza dla nowych demokracji w Europie Środkowo-Wschodniej, że towarzyszyła jej „eksplozja nacjonalizmów" będąca skutkiem rewolucyjnych zmian wyzwolonych przez zdarzenia lat 1989–1991[5]. Najkrwawszy wyraz przybrała ona na Bałkanach. Najłagodniejszy w Polsce, Czechach i na

[4] V. Tismaneanu, *Wizje zbawienia. Demokracja, nacjonalizm i mit w postkomunistycznej Europie*, Warszawa 2000, s. 242.

[5] *Ibidem*, s. 169.

Węgrzech. Ale wszędzie dawał o sobie znać wzrost nastrojów nacjonalistycznych, populistycznych i antysemickich. Było to dziedzictwo historii, ale też następstwa polityki partii komunistycznych, które w schyłkowym okresie swoich rządów próbowały legitymizować je odwołaniem się do treści narodowych.

W warunkach Polskiej transformacji nowe solidarnościowe otoczenie oczekiwało od przegranego PZPR całkowitego zniknięcia ze sceny politycznej, byłby to scenariusz najbardziej pożądany przez „Solidarność" lub wyłonienia się z ostatniego zjazdu PZPR partii dogmatycznie trzymającej się przegranej ideologii. Taki „betonowy" przeciwnik byłby dla „Solidarności" wygodniejszym celem ataku, wziąłby na siebie całe zło minionego czasu. W innym scenariuszu stawiano na powstanie partii całkowicie podporządkowanej. Taki „*neopax*" nowych czasów legitymizowałby swoim istnieniem spluralizowany system partyjny rodzącej się właśnie III RP. Odnowiona zaś partia mogła być potencjalnie groźnym przeciwnikiem. Również dla lewicy solidarnościowej obecność samodzielnej postkomunistycznej socjaldemokracji stawała się poważnym problemem i jak pokazała najbliższa przyszłość, okazała się zagrożeniem odbierającym jej przestrzeń do politycznego działania. Stawiała ona bowiem na rozbicie PZPR i wyciągnięcie z niej „posłusznych" komunistów" skłonnych się „przefarbować", których dokooptowałoby się do zwycięskiego obozu i użyłoby się w razie czego do walki z opcją nacjonalistyczną wewnątrz „Solidarności"[6].

Na odmienną niż SdRP drogę ortodoksyjnej lewicy neokomunistycznej zdecydowało się wiele partii komunistycznych dawnego bloku wschodniego. Zaprowadziła je ona w konsekwencji na margines życia politycznego. Wybrały tę opcję zreformowanego komunizmu z zachowaniem nawet starych nazw komunistyczne partie Słowacji, Ukrainy, Rosji, Czech i Moraw czy też Bułgarska Partia Socjalistyczna, Partia Demokracji Społecznej w Rumunii oraz Partia Demokratycznego Socjalizmu w dawnej NRD[7]. Żadna z nich nie wróciła do władzy, nie wygrała demokratycznych wyborów, a ich liderzy nie zdobyli stanowiska prezydentów swoich krajów.

---

[6] J. Rokita, *Anatomia przypadku*, *op. cit*., s. 34–35.

[7] A. Antoszewski, *Lewica postkomunistyczna w procesie demokratyzacj*i, [w:] P. Żuk, *W poszukiwaniu innych światów. Europa, lewica, socjaldemokracja wobec zmian globalnych*, Warszawa 2003, s. 75–76.

SdRP, podobnie jak Węgierska Partia Socjalistyczna, słowacka Partia Demokratycznej Lewicy, słoweńska Zjednoczona Lista Socjaldemokratów, Litewska Partia Socjaldemokratyczna, wybrała drogę zreformowanej lewicy postkomunistycznej. Partie te wywodziły się z rządzących do niedawna partii komunistycznych. Straciły władzę na skutek następstw Jesieni Ludów 1989 roku lub, jak PZPR, po przegranych wyborach czerwcowych. Wszystkie one, włączywszy się w nurt reform, w niedługim czasie odniosły sukcesy w swoich krajach[8]. W ich przypadku potwierdziła się pewna prawidłowość. Sukcesu w tych krajach nie odniosły „historyczne" partie lewicowe wyłonione z ruchów dysydenckich. Przyczyną ich niepowodzeń była silna konkurencja ze strony partii, które wyłoniły się z dawnych partii komunistycznych i obrały drogę demokratycznego socjalizmu[9].

Co było przyczyną wyboru przez SdRP tej, a nie innej drogi? Czy istniały przesłanki obrania innej opcji? Czy z kongresu założycielskiego mogła wyjść inna partia, z innym niż socjaldemokratyczny programem, z zachowawczym, a nie proreformatorsko nastawionym zespołem przywódczym, który konsekwentnie budował nową tożsamość partii, przystosowując ją do nowej demokratycznej i wolnorynkowej rzeczywistości? Pytania te są o tyle istotne, że trzy lata po kongresie założycielskim SdRP wygrała w pełni wolne demokratyczne wybory i stała się główną partią współrządzącą, a pięć lat później jej przewodniczący został wybrany w powszechnych wyborach na prezydenta Polski. Czy byłoby to możliwe, gdyby w styczniu 1990 roku po rozwiązaniu PZPR z ostatniego zjazdu wyłonił się „neopezetpeer" z lekko zmodyfikowanym zespołem przywódczym lub gdyby ewolucja SdRP polegała nie na pogłębianiu programu socjaldemokratycznego, lecz na odchodzeniu od niego?

Po klęsce wyborczej 4 czerwca 1989 roku PZPR, używając słów jej ostatniego I sekretarza Mieczysława F. Rakowskiego, przestała być siłą polityczną. Partia pogrążyła się w rozpamiętywaniu klęski i czarnowidztwa. „Zostałem przywódcą – zanotował w dzienniku – śpiącej, obolałej, sfrustrowanej, pobitej w wyborach partii"[10]. „PZPR jako organizacja masowa

[8] J.J. Wiatr, *Europa pokomunistyczna. Przemiany państw i społeczeństw po 1989 roku*, Warszawa 2006, s. 281–287.

[9] *Idem*, Socjaldemokracja wobec wyzwań XXI wieku, Warszawa 2000, s. 48.

[10] A. Materska-Sosnowska, *Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej. Dostosowanie syndykatu władzy do zasad demokracji parlamentarnej*, Warszawa 2006, s. 38.

umierała w milczeniu – ocenia badacz tego okresu. – Już we wrześniu [1989 roku] niektóre posiedzenia plenarne Komitetów Wojewódzkich PZPR, m.in. w Łodzi, Olsztynie i Przemyślu, trzeba było przekształcać w »narady aktywu« z powodu zbyt niskiej frekwencji"[11]. Według przeprowadzonych badań wśród członków partii i jej aktywu dominującą postawą była apatia i zniechęcenie, pogłębiał się też lęk przed przyszłością[12]. Coraz powszechniejsze stawało się przekonanie nie tylko o końcu socjalizmu w Polsce, co było oczywiste, ale i o końcu aktualnej lewicy. Świadomość konieczności rozwiązania PZPR i powstania na jej gruzach nowej partii lewicowej docierała nawet do najbardziej konserwatywnych działaczy.

W kręgach partyjnych kreślono różne scenariusze rozwoju sytuacji, które sprowadzały się do próby odpowiedzi na pytanie: co dalej? W dyskusji zaostrzającej się w miarę uświadamiania sobie przez aparat partyjny i związaną z nim nomenklaturę partyjną faktu, co to znaczy w warunkach demokracji parlamentarnej stracić władzę, wykrystalizowały się poglądy i postawy, które zaczęły z czasem przybierać postać wewnątrzpartyjnych platform programowo-politycznych. Powstawaniu platform sprzyjał przyjęty przez Komitet Centralny PZPR tryb bezpośrednich wyborów delegatów na ostatni zjazd partii[13].

Można wyodrębnić cztery zasadnicze platformy polityczne działające w schyłkowym okresie istnienia PZPR. Różniły się one między sobą nie tylko programowo, ale też stopniem samodzielności, zorganizowania oraz podejmowanej aktywności. Platforma „robotnicza" była najbardziej fundamentalistyczna, wierna ortodoksji partyjnej, negatywnie reagująca na dokonujące się w Polsce zmiany. Coraz śmielej oskarżająca generała Jaruzelskiego i jego otoczenie o zdradę „interesów klasy robotniczej", „wyprzedaż socjalizmu", „oddanie władzy kontrrewolucji". Sympatyzowała z nią znaczna część aparatu partyjnego przerażonego widmem utraty nie tylko władzy, ale i podstaw swojej egzystencji materialnej. Dali o sobie znać też w tym okresie narodowi komuniści, postmoczarowcy, którzy nie odegrali właściwie większej roli poza pojedynczymi wystąpieniami i wyborem lidera tego środowiska Bohdana Poręby na XI Zjazd. Bardziej

[11] A. Dudek, *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej 1988–1990*.

[12] M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1987–1990*, Warszawa 2005, s. 482, 571–572.

[13] Por. T. Kisielewski, *Partii portret własny. Polityka i świadomość w PZPR. Studium upadku*, Warszawa 2011.

aktywne były grupy powiązane z OPZZ, które ostatecznie przybrały postać Ruchu Ludzi Pracy. Najbardziej zorganizowane i aktywne były platformy tzw. demokratycznego socjalizmu, chcące, aby nowa partia wyłoniona na zjeździe miała postać zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji. Najliczniejszą jednak platformą była niezinstytucjonalizowana platforma aparatu partyjnego, koniunkturalnie popierająca tych, którzy byli silniejsi i mieli największą szansę wygrać[14].

Najwcześniej z traumy czerwcowych wyborów otrząsnęli się reformatorzy partyjni. „Po czerwcowej klęsce wyborczej – pisze jeden z nich – bardziej ruchliwi okazali się reformatorzy, którzy lepiej czuli się w tężejącej w kraju atmosferze autentycznej rywalizacji politycznej. Gorzej służyła ona rozpychającym się wcześniej dogmatykom, zaprawionych w typowych dla PRL wewnętrznych grach i podchodach, ale świadomym swojej słabości w bezpośrednich kontaktach ze społeczeństwem"[15]. Trzeba zaznaczyć, że ruch ten pomimo dużej ruchliwości niektórych przedstawicieli tego środowiska był stosunkowo słaby. Daleko mu było do siły i znaczenia fermentu ideowego i politycznego z 1956 i 1980 roku. Było to rezultatem konsekwentnie prowadzonej od lat przez władze PZPR polityki wypłukiwania reformatorów z szeregów partii. Prawdziwy *exodus* reformatorów nastąpił po stanie wojennym. „Ekipie stanu wojennego żywa partia nie była potrzebna. O wiele poważniejszym zapleczem władzy stały się wojsko, służby specjalne i cała siłowo-represyjna struktura państwa"[16].

Przywódcy partyjni świadomie tolerowali, a nawet kokietowali partyjnych dogmatyków, częściej uderzali w tony patriotyczne, niż podkreślali znaczenie wolności i demokracji. Wskutek wprowadzenia stanu wojennego system władzy w Polsce zatracił swój ideowo-polityczny sens. Nie tylko rozbita została opozycja, ale ograniczeniu uległa rola partii, system dyktatury partii imitujący wypływającą z doktryny dyktaturę proletariatu został zastąpiony reżimem wojskowo-biurokratycznym, w którym centrum władzy znajdowało się nie w instancjach partyjnych, a w wojsku i aparacie biurokratycznym[17].

---

[14] A. Materska-Sosnowska, *Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej…*, *op. cit*., s. 41–42.

[15] T. Nałęcz, *Ruchy odśrodkowe w PZPR*, [w:] *Polski rok 1989. Sukcesy, zaniechania, porażki*, red. nauk. M. Jabłonowski, S. Stępka, S. Sulowski, Warszawa 2009, s. 112.

[16] *Ibidem*, s. 106.

[17] J.J. Wiatr, *Europa pokomunistyczna…*, *op. cit*., s. 51.

Polityka partii nastawiona była na realizację celów krótkookresowych związanych z interesami rządzącej oligarchii, która frazeologią ideologiczną osłaniała swoje egoistyczne cele. Z oczywistych względów taka partia nie mogła sprostać wyzwaniom społecznym, naturalnym dążeniom społeczeństwa polskiego do wolności i demokracji. Eliminując ze swoich szeregów reformatorów PZPR, pozbawiała się możliwości nawiązania dialogu z tymi dążeniami. Skostniała i biurokratyczna PZPR nie mogła wygrać z młodym, prężnym ruchem, jakim była w 1989 roku „Solidarność", ogniskująca wokół siebie energię i nadzieję Polaków. Zwrot w 1989 roku nie był rezultatem poszukiwań przez całą partię dróg wyjścia z kryzysu. Nie towarzyszyła mu ogólnopartyjna dyskusja, nie był efektem głębokich programowych przemyśleń, lecz „rozpaczliwą próbą ratowania swojej władzy przez partyjną biurokrację, zdającą sobie sprawę z rozpaczliwego stanu państwa i gospodarki"[18]. Przegranymi wyborami czerwcowymi i utratą władzy członkowie partii byli zaskoczeni w równym stopniu co przywódcy PZPR, którzy zasiadając do rozmów z opozycją, nie spodziewali się takiego obrotu sprawy.

Stosunkowo najaktywniejsze w poszukiwaniu dróg wyjścia z kryzysu i upadku, w jakim znalazła się partia, okazały się środowiska akademickie grupujące resztki inteligencji partyjnej. Z ich inicjatywy wyrosły najbardziej dojrzałe programowo działania skierowane na wyprowadzenie PZPR z kryzysu. Tam też powoli dojrzewał program socjaldemokratycznej przebudowy PZPR[19]. Najpełniejszy wyraz tego programu można znaleźć w deklaracjach i działalności powstałego na Uniwersytecie Warszawskim Ruchu 8 Lipca, który w przededniu XI Zjazdu stanowił trzon Bloku Socjaldemokratycznego skupiającego delegatów zdecydowanych na budowę w Polsce partii socjaldemokratycznej.

Ruch 8 Lipca powstał jako inicjatywa oddolna różnych, rozproszonych dotąd środowisk inteligencji partyjnej Warszawy i Krakowa, jako wyraz ich niewiary w skuteczność podejmowanych przez kierownictwo reform, grup gotowych od dołu budować nową partię. „PZPR spełniła – pisał jej rzecznik – swą historyczną rolę, musi ją zastąpić nowa struktura polityczna, skuteczniej wypełniająca funkcję ośrodka integrującego polską lewicę (…). Polsce potrzebna jest partia demokratycznego socjalizmu, opowiadająca się za demokratyczną drogą walki o socjalizm, kierująca się

[18] T. Nałęcz, *Ruchy odśrodkowe w PZPR*, *op. cit*., s. 106–107.

[19] *Ibidem*, s. 114–115.

zasadą, tyle socjalizmu, ile społecznego przyzwolenia wyrażonego w demokratycznych wyborach"[20]. W miarę radykalizacji swoich poglądów Ruch zaczął dopuszczać myśl rozłamu, jeśli na ostatnim zjeździe nie dojdzie do utworzenia partii socjaldemokratycznej. Nie chciał być w jednej partii ze zwolennikami „starej skompromitowanej wersji socjalizmu" broniącymi „dotychczasowego układu społeczno-ekonomicznego" godzącymi się jedynie na pewne modyfikacje w dotychczasowym sposobie sprawowania władzy[21].

Słabością ruchów reformatorskich był brak autorytetów w wymiarze ogólnopolskiej polityki. Wielu działaczy Ruchu widziało w nowym, wybranym 29 lipca 1989 roku, I sekretarzu Mieczysławie F. Rakowskim naturalnego lidera przemian socjaldemokratycznych w partii. Sprawił im on spory zawód. Rakowski wybrał drogę swojego poprzednika lawirowania pomiędzy „skrzydłami" partii. „Namawiałem go – wspomina Wiatr – bezskutecznie, by zerwał z dotychczasową polityką utrzymywania dystansu wobec obu skrzydeł w partii i zaangażował się po naszej stronie. Myślę, że hamowała go obawa, że sprowokuje w ten sposób rozłam w partii. Nie wykluczałem tego, ale taki rozłam uważałem za nieunikniony, a także korzystny. (…) [Rakowski] dowodził, że skrzydło reformatorskie jest zbyt słabe, by było w stanie zmienić charakter partii"[22]. W wąskim kręgu członków Biura Politycznego pozwalał sobie na kąśliwe uwagi pod adresem liderów Ruchu 8 Lipca. „Obudzili się, notował w swoim dzienniku, dość późno. Gdy reformatorzy stanowili w KC nikczemną mniejszość, to z tej strony wyraźnego wsparcia nie odczuli. Teraz, gdy przyszłość PZPR jest nieznana, obudzili się"[23].

Aleksander Kwaśniewski pozostający w tamtym okresie w bliskich relacjach z Rakowskim tak wyjaśniał ówczesne wahania i kluczenie swojego patrona: „Rakowski miał długi czas nadzieję, że to właśnie on będzie tym człowiekiem, który otworzy nową kartę w historii polskiej lewicy, tym bardziej, że przecież to on przez całe lata był oskarżany przez rodzimych dogmatyków oraz Rosjan o socjaldemokratyzm i liberalizm. Okazało się jednak, że tutaj już nic zrobić nie można, że jego pozycja jest za słaba.

[20] Z. Siemiątkowski, *Czego chce Ruch 8 Lipca?*, „Kultura", 11 października 1989 r.

[21] *Ibidem*.

[22] J.J. Wiatr, *Życie…*, *op. cit*., s. 118–119.

[23] M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1987–1990*, *op. cit.*, s. 513.

A potem ujawniła się jeszcze jedna rzecz dużo ważniejsza, co było dla mnie najbardziej istotne. Mianowicie Rakowski w pewnym momencie okazał się już tak uwikłany w te układy swojej generacji, że z tego też nie mogło się nic urodzić. Bo jak on proponował różne układy personalne, to było już wiadomo, że kierownictwo będzie prawie takie, jak było"[24].

Rakowski, jakby zaprzeczając swojej biografii, czynił zdumiewające gesty w stosunku do najbardziej konserwatywnych kręgów partyjnych. Firmował różne pomysły rodzące się w gmachu Komitetu Centralnego. Były to koncepcje przetrwania, unikające jednoznacznych wyborów, deklaracji i samookreśleń. W kierownictwie liczono na szybką erozję społecznego poparcia dla rządu Tadeusza Mazowieckiego. Na tym budowano szansę dla odnowionej po zjeździe partii. „Dla ograniczenia odpływu z partii po zjeździe członków – pisano w jednym z dokumentów w listopadzie 1989 roku – należy przyjąć, że do nowej partii przechodzą wszyscy członkowie PZPR, którzy nie wystąpili z niej po zjeździe". „Do leninizmu należy odnieść się w sposób krytyczny – pisano – tzn. ani mechanicznie odrzucić, ani też zachować na wyposażeniu ideologicznym". „Partia nie powinna silić się – podsumowywano – na jednoznaczną ocenę swojej PZPR-owskiej przeszłości".

Na siłę chciano natomiast zachować jedność partii. Próbowano starych sprawdzonych w przeszłości metod, czyniono więc różne gesty wobec pojedynczych osób ze środowiska reformatorów, licząc, iż za pomocą metody kooptacji uda się rozładować radykalizujący się ruch odśrodkowy w PZPR. Rakowski tłumaczył, iż tylko zjednoczona lewica jest w stanie sprostać zagrożeniom, jakie stanowią dla niej rządy „Solidarności". Postulował więc zachowanie jedności za wszelką cenę. Rozbicie partii podczas ostatniego zjazdu oznaczać miało według jej ostatniego I sekretarza rozbicie klubu parlamentarnego PZPR w Sejmie, a to doprowadzić mogło do zerwania umów okrągłego stołu i przedterminowych wyborów, po których lewica zeszłaby na długie lata ze sceny politycznej. Groziłoby to też dymisją gen. Jaruzelskiego i przedterminowymi wyborami prezydenckimi, które wygrałby bezapelacyjnie Lech Wałęsa[25].

W kierownictwie PZPR toczyła się też skomplikowana gra o to, kto stanie na czele nowej partii. Nie ukrywało swoich ambicji wielu członków

[24] J. Machejek, J. Olczyk, A. Machejek, *Kwaśniewski: nie lubię tracić czasu*, Łódź 1995, s. 59.

[25] T. Kisielewski, *Partii portret własny…*, *op. cit*., s. 403.

kierownictwa partii. Wysuwano nierealistyczne pomysły programowe i organizacyjne w żadnym stopniu niebiorące pod uwagę grozy sytuacji, w jakiej znalazła się partia, stopnia zradykalizowania szeregów partyjnych i jej aparatu, narastającej izolacji społecznej PZPR oraz zmieniającego się otoczenia międzynarodowego. „Późną jesienią 1989 roku Rakowski zaprosił mnie, jako szefa grupy statutowej [Centralnej Komisji Zjazdowej] na posiedzenie kierownictwa PZPR – wspomina Kwaśniewski – i pamiętam, jak Marian Orzechowski zupełnie poważnie proponował, żeby nowa partia nazywała się PSPR, czyli Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza. Tyle chciał zmienić. No, więc jak ja usłyszałem, że to ma być wielka zmiana, użyłem w dyskusji tylko jednego argumentu: że dla osoby, która sepleni, to nie będzie żadna różnica"[26].

Problemem ruchów demokratycznych w PZPR był brak jednolitego pomysłu na przywództwo nowej partii. O ile, co do przyjętych koncepcji ideowych panowała w Ruchu 8 Lipca oraz pokrewnych mu platformach programowych jedność poglądów, o tyle nie było pomysłu, kto ma stanąć na czele nowej socjaldemokratycznej partii. „Osobiście wyobrażałem sobie coś w rodzaju triumwiratu – Rakowski, Fiszbach, Kwaśniewski, – w którym ten ostatni skupiłby w swym reku organizacyjne kierownictwo partii. Byłoby to możliwe tylko pod warunkiem (…) zaakceptowania przez Rakowskiego innej niż dotychczasowa rola pierwszego sekretarza"[27]. Zdaniem Wiatra, podzielanym przez wielu działaczy platformy socjaldemokratycznej, Rakowski posiadał w pełni zasłużoną opinię reformatora oraz liczącą się pozycję międzynarodową. Było to jego niebagatelnym atutem, na który nie mógł się powołać żaden z jego potencjalnych rywali. Jego słabością było jednak to, że „idąc tradycyjną drogą dotychczasowych szefów PZPR unikał jednoznacznego opowiedzenia się po stronie socjaldemokratów (…). W konsekwencji wśród delegatów z naszego ruchu jego pozycja wyraźnie słabła. W jakiejś mierze przeciw Rakowskiemu działało to, że wielu delegatów domagało się radykalnego odmłodzenia nowej partii"[28].

Drugiemu potencjalnemu liderowi nowej partii zaszkodziło lansowanie jego osoby przez Mariana Orzechowskiego, polityka źle widzianego w środowisku reformatorów, który przeciwstawiając go Rakowskiemu,

---

[26] J. Machejek, J. Olczyk, A. Machejek, *Kwaśniewski: nie lubię tracić czasu*, *op. cit*., s. 57.

[27] J.J. Wiatr, *Życie…*, *op. cit*., s. 233.

[28] *Ibidem*, s. 232.

argumentował, że tylko Fiszbach może uwiarygodnić nową partię w oczach „Solidarności". „W kilku rozmowach próbowałem Tadeuszowi – wspomina Wiatr – uświadomić, że jest to dla niego pocałunek śmierci, gdyż delegaci na zjazd nie chcą tworzenia partii, która byłaby koncesjonowana przez obóz czerwcowych zwycięzców, a sam Orzechowski jest skompromitowany tym, iż z twardego obrońcy partyjnej ortodoksji przeistoczył się raptownie w rzecznika demokratycznych zmian"[29]. Fiszbach, usilnie namawiany przez różne osoby nie zdecydował się na odcięcie od Wałęsy, który w przededniu otwarcia ostatniego zjazdu PZPR namaścił go na przywódcę nowej partii. Na zjeździe, jeszcze przed rozpoczęciem dyskusji programowej, Fiszbach z grupką delegatów, głównie posłów Klubu Parlamentarnego PZPR, opuścił salę obrad. Nie wyszedł za nim Blok Socjaldemokratyczny niegodzący się na budowę w Polsce lewicy koncesjonowanej. Utworzona przez Fiszbacha Polska Unia Socjaldemokratyczna nie odegrał żadnej roli, poza tym, że osłabiła reformatorów, znikła po kilku miesiącach ze sceny politycznej, a sam jej lider odszedł z polityki.

Zastanawiając się po latach nad motywami decyzji Fiszbacha, warto przytoczyć opinię Kwaśniewskiego, który uważa, że Fiszbach nie posiadał cech charakterologicznych predysponujących go do odegrania roli przywódcy. „On nie ma – zdaniem Kwaśniewskiego – politycznej dynamiki i politycznej wizji, która jest niezbędna, żeby taki okres przemian przejść. (…) Uchylił się od ryzyka i ciężaru pociągnięcia za sobą kogoś więcej niż trzydziestu–czterdziestu posłów. Gdyby się tego podjął, musiałby prędzej czy później określić się wobec politycznych koncepcji Wałęsy – przyśpieszenia, siekierki, wobec stylu »wojny na górze« między Wałęsą a Mazowieckim. A on tego nie chciał uczynić i nigdy nie uczynił". Dał się też wykorzystać swojemu otoczeniu. Grupie pezetpeerowskich posłów, którzy chcieli zapomnieć o przeszłości. Uwierzyli, że na długie lata zapanowała w Polsce era „Solidarności", w której nie ma miejsca na samodzielne byty polityczne odwołujące się do innej tradycji historycznej. Sądzili, że przy Fiszbachu akceptowanym przez Wałęsę otworzą nową kartę w swojej biografii politycznej[30]. Dalej w swoich rozważaniach idzie Jerzy Wiatr, który sugeruje, iż Fiszbach odegrał rolę dywersyjną. „Inicjatywa polityczna Fiszbacha – pisze – spaliła na panewce. Polska Unia Socjaldemokratyczna rozpadła się pod koniec 1990 roku, gdy Fiszbach udzielił poparcia Wałęsie

[29] *Ibidem*.

[30] J. Machejek, J. Olczyk, A. Machejek, *Kwaśniewski…*, *op. cit*., s. 60–61.

w wyborach prezydenckich. Jej resztki weszły następnie do tworzonej wraz z lewicą solidarnościową Unii Pracy, a sam Fiszbach otrzymał stanowisko ambasadora. Po latach Lech Kaczyński w długiej rozmowie odbytej w 1999 roku w pociągu, opowiadał mi, jak razem z bratem pomagał Fiszbachowi w pisaniu deklaracji programowej i innych dokumentów nowej partii. Mimo tak wyraźnego poparcia udzielonego mu przez ówczesne otoczenie polityczne Lecha Wałęsy Fiszbach poniósł polityczną klęskę, gdyż mylnie ocenił stan nastrojów panujących w PZPR, a jeszcze bardziej – perspektywy polityczne lewicy"[31].

Wyjście ze zjazdu Fiszbacha skomplikowało sytuację Bloku Socjaldemokratycznego. Reformatorzy mieli właściwie w tej sytuacji do wyboru dwie drogi. Opuścić zjazd i utworzyć drugą już partię socjaldemokratyczną, co w praktyce oznaczało ich marginalizację, lub pozostać i spróbować przeciągnąć na swoją stronę większość zjazdową. Narzucić swój program nowej partii za cenę przyłączenia się do niej konserwatystów. W zaistniałej atmosferze na zjeździe, po tym jak Rakowski zrezygnował z ubiegania się o przywództwo w nowej partii, a Fiszbach opuścił salę, a poza salą obrad odbywały się podsycane relacjami telewizyjnymi demonstracje przeciwników lewicy, nikt nie chciał pozostać przy starej nazwie, starym programie, ze starymi przywódcami, wszyscy zapragnęli być socjaldemokratami, nawet ci, którzy na konferencjach przedzjazdowych najgłośniej zwalczali Ruch 8 Lipca. Nikt nie chciał mieć w talii Czarnego Piotrusia, którym w tym wypadku była PZPR. Potrzebowano przywódcy, który w tej sytuacji wziąłby na siebie odpowiedzialność i uwiarygodnił ich przemianę.

Powstało naturalne zapotrzebowanie na charyzmatycznego przywódcę. W takim momencie, w jakim znalazła się większość delegatów, gdy opanowało ich poczucie alienacji i bezradności, narodził się Aleksander Kwaśniewski. Wiara w przywódcę daje wspólnocie poczucie stabilizacji i siły, pozwala przezwyciężyć lęki i niepokoje. Wspólnota gotowa jest powierzyć mu swój los. Rolą przywódcy jest zdefiniowanie misji i strategicznych celów wspólnoty, wbudowanie celów i wartości spajających organizację w jej społeczną strukturę, podtrzymywanie kulturowej i strategicznej tożsamości organizacji oraz rozwiązywanie wewnętrznych konfliktów[32]. Z tej roli Kwaśniewski wywiązał się w pierwszej fazie istnienia

[31] J.J. Wiatr, *Życie…*, *op. cit*., s. 234.

[32] J. Szczupaczyński, *Władza a moralny wymiar przywództwa*, Warszawa 2013, s. 122.

SdRP znakomicie. Przed nową partią postawił do zrealizowania trzy zasadnicze cele. Przetrwać. Pozyskać uznanie społeczne. Zdobyć poparcie polityczne. Docenili to nawet jego wrogowie. Na dramatycznie stawiane jesienią 1989 roku pytanie: czy jesteśmy jeszcze komuś potrzebni, lewica pod wodzą Kwaśniewskiego potrafiła pozytywnie odpowiedzieć. „Trzeba przyznać – pisał po latach Jan Rokita – Kwaśniewski był wtedy bardzo precyzyjny. Odpowiadał na to pytanie w dwóch punktach, którymi zdefiniował całą defensywną strategię polityczną SdRP, aż do września 1993 roku. Po pierwsze – mówił – musimy obronić naszą przeszłość. A po drugie – uratować licznych naszych fachowców na państwowych posadach. (…) I dla tych celów w styczniu zachowują pod zmienionym szyldem partię"[33].

W literaturze przedmiotu i publicystyce rozpowszechniony jest pogląd, iż SdRP powstała w wyniku starannie wyreżyserowanego planu, w którym „starzy" oddali władzę „młodym", aby móc zza ich pleców kierować nadal partią. „Scenariusz – wyłonienia na zjeździe SdRP, jako sukcesorki PZPR z »namaszczeniem« jej młodych przywódców, Kwaśniewskiego i Millera, przez Jaruzelskiego i Rakowskiego, okazał się (…) najlepszym z możliwych dla upadającej formacji komunistycznej (…)"[34]. Taki scenariusz zaplanowany został, zdaniem Ludwika Dorna, gdzieś między wrześniem i październikiem, gdy „wśród postkomunistów zapadła decyzja o cofaniu się w szyku uporządkowanym". Ustąpienie Rakowskiego i wybór Kwaśniewskiego na szefa nowej partii wymuszony został, zdaniem prominentnego polityka prawicy, przez swoiste ultimatum złożone starym przywódcom PZPR, przez Michnika i Geremka. „Kwaśniewski – twierdzi Dorn – wziął się z oporu Michnika wobec starców: „to nie moje pokolenie, nie moi partnerzy, konieczne jest nowe rozdanie"[35]. Dor i Rokita przekonani są, że środowisko Michnika, stawiając na Kwaśniewskiego i związany z nim „nurt patriotyczny w PZPR", widziało w nim przyszłego partnera politycznego, dlatego też utrąciło inicjatywę Fiszbacha oraz inne lewicowe pomysły wychodzące z „Solidarności"[36].

Autorzy tych poglądów nie biorą pod uwagę kontekstu historycznego, w jakim rodziła się nowa partia. Wiele było w tym przypadkowości,

[33] J. Rokita, *Anatomia przypadku*, *op. cit*., s. 122–123.

[34] T. Kisielewski, *Partii portret własny*…, *op. cit*., s. 400.

[35] L. Dorn, *Anatomia słabości*, Warszawa 2013, s. 80–81.

[36] J. Rokita, *Anatomia przypadku*, *op. cit*., s. 119–120.

chaosu i spontaniczności. W historii prawie nic nie można zaplanować. To sytuacja tworzy plan, a nie odwrotnie. Zaplanowane scenariusze przy wprowadzaniu w czyn nabierają własnej dynamiki, zaczynają żyć własnym życiem, tworzą nowe sytuacje i na koniec ostatecznie zaskakują autorów swoimi rezultatami. Jeśli nawet były takie scenariusze, o których piszą Dorn i Rokita, to mogły się zmaterializować tylko dlatego, że padły na podatny grunt w partii i znalazły się w PZPR siły gotowe przyjąć takie rozwiązanie.

Podczas zjazdu żadna ze stron ówczesnego konfliktu nie mogła być do końca usatysfakcjonowana jego rezultatami. Plan ustępującego kierownictwa był inny. Powstać miała partia odnowionego Pezetpeeru z kooptacją elementów programu platform demokratycznych i z niektórymi jej liderami we władzach, o czym z kierownictwem Ruchu 8 Lipca rozmawiał Rakowski na kilka tygodni przed zjazdem. Celem reformatorów zaś było doprowadzenie do sytuacji, w której z ostatniego zjazdu wychodzą dwie partie: postkomunistyczna socjaldemokracja z Fiszbachem i Kwaśniewskim na czele, oraz kierowana przez któregoś z sekretarzy PZPR partia neokomunistyczna. W rzeczywistości zrealizowano z niewielkimi modyfikacjami scenariusz, przed którym przestrzegał Jerzy Urban. „Te scenariusze transformacji PZPR w nową partię – pisał do Rakowskiego – które dotychczas zaprojektowano, tworzą realne niebezpieczeństwo ośmieszenia zmiany jako nieudolnej przebieranki z jednego kostiumu w drugi. (…) Nie może być bowiem tak, że w Sali Kongresowej Rakowski ogłasza zgon PZPR, po czym na ścianie zmienia się napis i w tej samej sali, ten sam Rakowski, z tym samym Millerem u boku, ogłasza, że oto jesteśmy zupełnie inną partią”[37].

Reformatorzy zmuszeni byli zawrzeć kompromis z konserwatywną częścią zjazdu oraz najliczniejszą jej częścią, jaką stanowili koniunkturaliści, którzy zawsze w takich sytuacjach wybierali tych, którzy wygrywają. Kongres przyjął bez większych oporów zaproponowany przez Tomasza Nałęcza, przewodniczącego Komisji Uchwał i Wniosków, program oraz nazwę nowej partii. Przyjęta została też uchwała autorstwa rzecznika Ruchu 8 Lipca o zakończeniu działalności PZPR. W tym zakresie cele Platformy Socjaldemokratycznej zostały zrealizowane za cenę sklejenia dwóch nurtów: reformatorskiego i zachowawczego. Liderem tego drugiego nurtu został Leszek Miller, trochę z przypadku, gdyż ze swoją postawą

[37] M.F. Rakowski, *Dzienniki…*, *op. cit*., s. 568–569.

z okresu końcówki PZPR oraz okazywanymi sympatiami do ruchów demokratycznych w partii mógł się spokojnie znaleźć w obozie reformatorów. Stał się natomiast reprezentantem tych sił w SdRP i jego elektoracie, które niechętne „Solidarności" z rezerwą podchodziły do prowadzonej przez nią polityki transformacyjnej.

Nowa partia opuszczała kongres z wiarygodnym programem oraz z przewodniczącym gwarantującym jego realizację. Gwarantem socjaldemokratycznego kursu miała być nowo wybrana Rada Naczelna SdRP, w której Kwaśniewski posiadał sześćdziesięciu wskazanych przez siebie członków. „Mnie bardzo zależało – argumentował przewodniczący SdRP – na tym, żeby wprowadzić nowych ludzi do Rady Naczelnej po to, żeby oni właśnie stanowili ten filar myślenia o przyszłości. (…) Jeżeli ta partia miała pójść naprzód, to musiała znaleźć ludzi, którzy wymyślą, znajdą dla niej nową formułę. I tę sześćdziesiątkę potraktowałem jako niezbędny warunek, żeby się powiodło. (…) Oni stworzyli tę masę krytyczną, wyprowadzili partię ze starych dekoracji. Szukałem ludzi, którzy nie będą tęsknić za dawnymi czasami, którzy bez żadnych zastrzeżeń akceptują demokratyczny i suwerenny charakter państwa, którzy rozumieją konieczność głębokich reform politycznych i gospodarczych, a zarazem pozostają wierni prospołecznej, lewicowej orientacji". Kwaśniewski zamierzał wraz z nimi „szlifować" partyjny beton i zapewnić sobie sterowność nowej partii. Chciał przy ich pomocy przełamać „stare układy partyjne" i zapobiec odradzaniu się, w SdRP tendencji rodem z monopartii[38].

Pomiędzy przewodniczącym SdRP a jej sekretarzem generalnym od początku rysowały się kontury konfliktu, który trwał przez cały okres istnienia partii, a następnie został przeniesiony do powstałego w 1999 roku Sojuszu Lewicy Demokratycznej oraz na lata następne. Według polityka, który starał się zawsze zachować równy dystans do stron konfliktu, spór ten miał trzy warstwy. Po pierwsze, historyczną. Miller otaczał się ludźmi z dawnego aparatu partyjnego i młodzieżowego, Kwaśniewski skupił wokół siebie tych nielicznych inteligentów partyjnych, którzy opowiedzieli się po stronie SdRP. Drugą warstwą sporu były różnice programowe. Skupieni wokół Kwaśniewskiego działacze wyraźniej i bardziej konsekwentnie opowiadali się za socjaldemokratycznym charakterem nowej partii. Środowisko Millera starało się uczynić SdRP wspólnym domem dla różnych kierunków lewicy, nie wykluczając z niego nikogo, nawet

[38] J. Machejek, J. Olczyk, A. Mchejek, *Kwaśniewski…*, *op. cit*., s. 61–62.

neokomunistów. Do tego dochodził, częsty w polityce, element rywalizacji osobistej[39].

Za podstawę konfliktu Miller uważa „zauroczenie" Kwaśniewskiego środowiskiem Unii Wolności. To zauroczenie miało wynikać, jego zdaniem, z głębokiego przekonania Kwaśniewskiego, że z powodu przeszłości obozu postkomunistycznego SdRP potrzebuje dodatkowej specjalnej legitymizacji. Kwaśniewski miał uważać, że głosy zdobyte przez SdRP w wyborach to za mało i że partia potrzebowała czegoś więcej, swego rodzaju „szlacheckiego tytułu". Ten tytuł środowisko postkomunistyczne może uzyskać, jego zdaniem, wyłącznie dzięki „mariażowi" z Unią Demokratyczną, a później Unią Wolności. Leszek Miller i jego zwolennicy w partii stali zaś na stanowisku, że o realnej sile i znaczeniu SdRP decydują wyłącznie wyborcy, i jest to jedyny sposób na legitymizację partii. Miał też Kwaśniewskiemu za złe jego ciągłe przepraszanie za PRL, za grzechy minionego systemu, poszukiwanie „trupa w szafie" i odcinanie się od ludzi pezetpeerowskiego aparatu[40]. Jan Rokita, co ciekawe, podobnie definiuję politykę Kwaśniewskiego, jako nieodwzajemnione „marzenie o wypłukaniu powalanych komunizmem rąk w solidarnościowym wiaderku". Unia Demokratyczna miała być tym „wiadrem dla postkomunistycznego kota", w którym mógłby się on wybielić. Zdaniem tego prawicowego polityka Kwaśniewski traktował SdRP jako byt przejściowy, niedoskonały. Jego celem miało być razem z Kuroniem, Michnikiem i Geremkiem zbudowanie „prawdziwej socjaldemokracji"[41].

Co ciekawe, z czasem i sam Miller zaczął traktować SdRP jako byt przejściowy. Po wygranych przez Kwaśniewskiego wyborach prezydenckich Miller jako nowy szef partii zapragnął uczynić z SdRP sprawny mechanizm wyborczy, zrobić z niej partię zdyscyplinowaną, w pełni sobie podporządkowaną, dobrze zorganizowaną, zaprogramowaną na wygrywanie wyborów. Partia-społeczność, jaką była SdRP, nie do końca nadawała się do tej roli. Było to ugrupowanie żywe intelektualnie, z wieloma indywidualnościami, niechętnie poddające się poleceniom nowego przewodniczącego. Miller, jak sam przyznawał po latach, miał dość „pospolitego ruszenia i mitręgi ciągłych konsultacji z ludźmi o wielkim ego,

[39] J.J. Wiatr, *Życie*…, *op. cit*., s. 237.

[40] L. Miller, *Anatomia siły*, Warszawa 2013, s. 65–66.

[41] J. Rokita, *Anatomia przypadku*, *op. cit*., s. 123–124.

ale bez większego politycznego znaczenia"[42]. Potrzebował partii silnej i zwartej. Nie brał pod uwagę ostrzeżeń wysuwanych przez niektórych członków kierownictwa partii obawiających się, iż proces przekształcania Komitetu Wyborczego SLD w partię polityczną nastawioną na mobilizację wyborczą może w konsekwencji doprowadzić do napływu do nowej partii masy koniunkturalnie nastawionych członków, uczynić z niej partię typu wodzowskiego. Zastrzeżenia te Miller kwitował stwierdzeniem, że obawy Józefa Oleksego, Danuty Waniek, Izabelli Sierakowskiej oraz wątpliwości Marka Borowskiego i Jerzego Szmajdzińskiego podyktowane są ich osobistymi obawami zmarginalizowania w nowej partii[43]. Liczył, że nowe rozdanie przyciągnie do partii mnóstwo wartościowych członków, w rezultacie uczyni z niej sprawny organizm polityczny. W rzeczywistości przekształcenie to otworzyło bramy dla rzeszy koniunkturalistów rekrutujących się ze średniego aparatu PZPR, którzy stali u początku lat dziewięćdziesiątych z boku, nie wierząc w powodzenie projektu nowej partii. Teraz ruszyli ławą do zwyciężającego SLD. W SdRP nie mieli szansy zaistnieć, tam bowiem, jak w każdej partii kadrowej, role były rozpisane. W nowej partii wszystko zaczynało się od początku. Wystarczyło tylko dobrze zorganizować konferencje partyjne, gdzie bez trudu „nowi" wycinali stare kadry SdRP. W SLD na dobre zadomowiła się polityka ciasnego pragmatyzmu, w której nie było czasu na pogłębianie socjaldemokratyzmu nowej partii.

Polityka Kwaśniewskiego polegała zaś na stałym pogłębianiu socjaldemokratyzmu SdRP. Nie rozumieli tego jego krytycy, którzy proces socjaldemokratyzacji partii i jej sympatyków uważali za zakończony. Jeśli chcieli rozwijać program SdRP/SLD, to jedynie w jego warstwie pragmatycznej. W sporze, czy partia lewicy ma być partią interesu, czy wartości, stawiali na interes. Kwaśniewski pragnął rozwijać partię programowo, a jej socjaldemokratyzm miał znaleźć odzwierciedlenie w bieżącej działalności. Służyć temu miało wspieranie w Sejmie kontraktowym reform ekonomicznych Leszka Balcerowicza, potępienie puczu Janajewa w Rosji, a w Sejmie I kadencji polityka selektywnej opozycyjności, w tym głosowanie za programem Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Po wygranych przez SdRP w 1993 roku wyborach Kwaśniewski przeprosił z trybuny sejmowej za „niegodziwości" minionego systemu oraz wyhamowywał ekspansjonizm kadrowy zwycięskiej lewicy, czym naraził się konserwatywnej

[42] L. Miller, *Anatomia siły*, *op. cit.*, s. 161.

[43] *Ibidem*, s. 160–161.

części SdRP żądnej rewanżu na przegranej „Solidarności". Nie opuszczała go też myśl o jedności polskiej lewicy. Nie odrzucał perspektywy połączenia z lewicą solidarnościową.

Na II kongresie SdRP obradującym w marcu 1993 roku został przyjęty nowy program partii pod nazwą „Socjaldemokratyczna alternatywa: Polska demokratyczna, sprawiedliwa, bezpieczna", w którym jeszcze wyraźniej ustosunkowano się do przeszłości, stwierdzając, że „w podziale, który nastąpił w ruchu robotniczym na początku tego stulecia, historyczną rację miał nurt socjaldemokratyczny, opowiadający się za stopniową realizacją idei socjalistycznych w warunkach demokracji parlamentarnej". Na kolejnym kongresie obszernie odniesiono się do doświadczeń okresu PRL. Potępiono jednoznacznie zbrodnie okresu stalinowskiego. Jednocześnie z uznaniem i szacunkiem odniesiono się do „wszystkich, którzy uczciwie pracowali dla Polski". Opowiedziano się jeszcze raz za rynkiem, za odpowiedzialnością społeczną państwa. Opowiedziano się też bez wahania za wejściem Polski do NATO i Unii Europejskiej. Ukoronowaniem ewolucji programowej SdRP było przyjęcie jej do Międzynarodówki Socjalistycznej, co potwierdzało fakt uznania jej za partię autentycznie socjaldemokratyczną przez wspólnotę międzynarodową. Zachodni badacze w analizach porównawczych dróg przebytych przez partie lewicy postkomunistycznej wskazują, że trzy z tych partii: SdRP w Polsce, Partia Lewicy Demokratycznej na Słowacji i Węgierska Partia Socjalistyczna osiągnęły najwyższy poziom socjaldemokratyzacji[44].

Dokonany w 1990 roku zwrot w kierunku demokracji, rynku i europejskości przyniósł pożądany rezultat. Socjaldemokracja Rzeczpospolitej Polskiej zakończyła działalność w 1999 roku, pozostawiając swojemu następcy Sojuszowi Lewicy Demokratycznej pozytywny bilans i niezaprzeczalny dorobek. Nie byłoby tego dorobku, gdyby SdRP wybrała drogę neokomunistycznej nostalgii, rewanżu i populizmu.

[44] J.J. Wiatr, *Socjaldemokracja wobec wyzwań…*, *op. cit*., s. 72.

Andrzej Werblan

Generacje polityczne Polski Ludowej

Polska Ludowa trwała czterdzieści pięć lat. Jej polityczna historia obejmuje kilka faz, pod wieloma względami różnych. Zazwyczaj przejście od fazy do fazy odbywało się burzliwie, w atmosferze kryzysu. Spowodowane to było autorytarnym systemem politycznym, który nie miał wbudowanych integralnych reguł sukcesji oraz rywalizacji i wymiany ekip. Mimo to taka rywalizacja nieustannie trwała, tyle że w formach ukrytych, zdegenerowanych, a do rozwiązania dochodziło w kryzysie, często w wyniku *quasi*-zamachu stanu. Zazwyczaj dopiero w toku takiego kryzysu sukcesyjnego ujawniały się rzeczywiste różnice koncepcji politycznych rywalizujących ze sobą nieformalnych frakcji partii rządzącej, różnice uprzednio słabo czytelne. Najważniejszą cezurą był październik 1956 roku, kiedy na trwałe proklamowano autonomię Polski wobec radzieckiego hegemona, w wielu obszarach znacznie wykraczającą poza „normalność" właściwą dla regionu. Nie bez znaczenia były też następne cezury: 1968–1970 oraz 1980–1982. Każda z nich wyznaczyła istotną zmianę kursu politycznego formalnie tej samej rządzącej partii.

Zmiany polityki w poszczególnych fazach rozwoju PRL zostały dość dobrze rozpoznane, o wiele gorzej przedstawia się rozpoznanie formacji rządzących, które za tymi zmianami optowały i następnie je realizowały. Nie prowadzono w tym zakresie wystarczających badań, można zatem pokusić się jedynie o wstępne refleksje i hipotezy, oparte również

na osobistych obserwacjach. Z dużą dozą wiarygodności, jak sądzę, można twierdzić, że za każdą istotną zmianą kursu politycznego w PRL stała formacja polityczna, mniej lub bardziej, ale zawsze różniąca się od poprzedniej doświadczeniem, genealogią społeczną, wyposażeniem intelektualnym, a częściowo także systemem wartości. Nie bez znaczenia były różnice pokoleniowe, w zwrotnych momentach dziejów PRL na sceny wkraczały nowe generacje. Jak scharakteryzować te polityczne formacje? W tych rozważaniach ograniczę się do wycinka problemu, mianowicie do warstwy rządzącej w węższym tego słowa znaczeniu, czyli zbiorowości, która systematycznie uczestniczy w politycznym procesie decyzyjnym i realizacyjnym, wywierając zauważalny wpływ na bieg spraw państwowych. Zbiorowość, która stanowi zarówno oparcie, jak też bazę rekrutacyjną dla ekip bezpośrednio rządzących. W systemie autorytarnym, a taki panował w PRL, jest to zazwyczaj nie więcej niż kilka tysięcy osób. Jedynie bardzo pobieżnie zdołam odnieść się do ważniejszego skądinąd zagadnienia bazy społecznej, w której ta rządząca warstwa znajduje oparcie i której interesy wyraża. To odrębny i jeszcze mniej zbadany temat, w czasach Polski Ludowej zbywany ideologicznymi odwołaniami do „klas" pracujących, a po restauracji kapitalizmu uchylany równie ideologicznym i fałszywym twierdzeniem, że „komunistyczne" rządy z natury rzeczy żadnego społecznego oparcia nie mogły mieć i nie miały. Zatem poruszać się będziemy po swoistej *terra incognita*.

Zauważę jeszcze, że pod nieobecność wyborczej rywalizacji i wymiany partii politycznych u władzy, granice między formacjami politycznymi nie są ostre, gdyż wszystkie mieszczą się w tej samej partii. Nowa formacja zazwyczaj kształtuje się w łonie starej i przez pewien czas występuje z nią w pewnej symbiozie. Dla ułatwienia startu i zmniejszenia napięć sukcesyjnych oraz dla zachowania ciągłości systemu jako takiego nowa formacja często znajduje „wodzów" w starej. Mimo to zmiana jest rozpoznawalna zarówno w cechach realizowanej polityki, jak i w składzie ekip rządzących.

* * *

Wiele przemawia za tym, że w pierwszym ćwierćwieczu Polski Ludowej początkowo decydujący, a zawsze silny wpływ na decyzje polityczne mieli członkowie byłej Komunistycznej Partii Polski. W grudniu 1945 roku, gdy obradował I zjazd Polskiej Partii Robotniczej, liczyła ona

ponad 240 tysięcy członków (we wrześniu 1944 roku tylko 35 tysięcy!). Co najwyżej cztery–pięć tysięcy członków PPR, czyli około 2 procent, mogło wywodzić się z KPP i jej przybudówek, takich jak KZMP. Jednak Komitet Centralny partii przed I zjazdem składał się wyłącznie z byłych kapepowców i po zjeździe to się nie zmieniło. Na 23 członków KC tam wybranych tylko jeden, Eugeniusz Iwańczyk-Wiślicz, nie miał kapepowskiego rodowodu, a wśród 18 zastępców członków – tylko czterech. Na 1087 delegatów zjazdu 659 (61 procent) legitymowało się przynależnością do KPP. 400 spośród nich nie należało w czasie okupacji do PPR, można więc przyjąć, że przebywali na emigracji w ZSRR. W przedzjazdowych konferencjach powiatowych i miejskich uczestniczyło 1759 byłych członków KPP i KZMP, stanowili oni 15 procent delegatów tych konferencji. W listopadzie 1945 roku w aparacie partyjnym pracowało 881 osób, w tym 467 byłych kapepowców. Do „aktywu partyjnego" objętego specjalną ewidencją KC zaliczono w tym czasie 6568 osób, wśród nich 2167 byłych kapepowców[1]. Można zatem przyjąć, że około dwóch tysięcy byłych członków KPP sprawowało rzeczywistą władzę w PPR i za jej pośrednictwem w państwie w pierwszych latach Polski Ludowej. Tworzyli oni coś w rodzaju wewnętrznego zakonu lub kręgu wtajemniczenia połączonego więzią po trosze koteryjną, znali się osobiście ze wspólnej działalności przed wojną, z więzień, mieli do siebie więcej zaufania, respektowali autorytety umocowane w dawnej działalności, nad otoczeniem górowali doświadczeniem politycznym. Poza samą partią objęli kontrolą resorty siłowe, sprawowali kierownictwo wszystkich departamentów MBP, głównych agend MON, zajmowali czołowe stanowiska w prasie i radiu.

Jacy byli? Przede wszystkim ideowi, gotowi do poświęceń dla sprawy, niekoniunkturalni. Przystępowali do ruchu wówczas, kiedy nie rokowało to żadnej kariery, zapowiadało tylko prześladowania. Był to jednak rodzaj ideowości *quasi*-religijnej, fanatycznej i nietolerancyjnej, typowej dla ugrupowań rewolucyjnych, zorientowanych na akcję bezpośrednią, a więc połączonych na wpół militarną dyscypliną. Byli z przekonania marksistami w leninowskim sensie. Afirmowali rewolucyjną przemoc i skłaniali się ku zasadzie: cel uświęca środki. W polityce gospodarczej byli zorientowani na skrajny etatyzm, antyrynkowo. Reprezentowali zatem etos niedemokratyczny, choć równościowy. Było wśród nich niemało

[1] N. Kołomejczyk, *PPR 1944–1945 (Studia nad rozwojem organizacyjnym partii)*, Książka i Wiedza, Warszawa 1963.

inteligentów z dobrym wykształceniem, przeważali jednak samoucy, jako zbiorowość reprezentowali niezły poziom. W tej kapepowskiej formacji było sporo zasymilowanych Żydów, uratowanych od Zagłady dzięki emigracji do ZSRR. Ich obecność różniła PPR od innych partii, narażała też na ataki o podłożu antysemickim („żydokomuna"), w samej partii na tym tle pojawiały się też podziały prowadzące do napięć i konfliktów. W deklaracjach kapepowska formacja mieniła się reprezentacją klasy robotniczej, w rzeczywistości realizowaną polityką uprzemysłowienia, urbanizacji i rewolucji oświatowej, a także woluntaryzmem i etatyzmem. O wiele mocniej apelowała do uboższej części przeludnionej polskiej wsi, która na rodzinnych gospodarstwach nie miała perspektyw, szukała pracy i awansu społecznego.

Formacja kapepowska rządziła w Polsce Ludowej w dwu odmianach: internacjonalistyczno-serwilistycznej i narodowo-komunistycznej, czyli bierutowskiej i gomułkowskiej. Polityka, którą w pewnym uproszczeniu nazywam internacjonalistyczno-serwilistyczną, ujawniła się z pełną wyrazistością w latach 1948–1954. Najistotniejszą jej cechą było traktowanie hegemonii radzieckiej partii i państwa jako naturalnej i w pełni uprawnionej, a zatem akceptacja zależności od ZSRR w polityce międzynarodowej, a także wysoki stopień gotowości do naśladownictwa radzieckiego modelu w polityce wewnętrznej. Uzależnienie polityki międzynarodowej było w tym czasie raczej nie do uniknięcia, stanowiło bowiem konsekwencję układu w Jałcie. Uniformizacja polityki wewnętrznej szła jednak dalej, niż dyktowała sytuacja geopolityczna, i świadczyła o ideologicznej gorliwości rządzącej formacji. Nastrój tej gorliwości dobrze wyraził Władysław Dworakowski na plenum sierpniowo-wrześniowym KC PPR, gdy zarzucał Gomułce, że sprzeciwiając się Stalinowi, tak nieopatrznie marnuje dorobek partii, która już prawie odzyskała zaufanie WKP(b) utracone w 1938 roku[2]. Wywodzący się z KPP aktyw PPR przeciwstawił się w 1948 roku Gomułce nie z oportunizmu, lecz z przekonania, w żarliwym uniesieniu. Mimo to nawet w okresie stalinizmu kapepowska formacja kierowała się specyficzną wizją dobra publicznego, w której zawierało się kilka projektów modernizacyjnych zgodnych z interesami narodowymi. Umiała też w pewnych sprawach zachować samodzielność (choćby zawierając w 1950 roku porozumienie z Kościołem), jednak w całości jej polityka w latach 1948–1954 kolidowała z narodową racją Polski, również w tym sensie, że

[2] CA KC PZPR 295/II-12, k. 134.

w dostosowaniu się do radzieckich wskazówek wykraczała poza konieczności dyktowane przez geopolitykę. Grzeszyła nie tylko przeciw niepodległościowemu maksymalizmowi, lecz także przeciw realizmowi.

* * *

Zwrot polityczny w 1956 roku w istocie polegał na zręcznym wykorzystaniu w interesie Polski okoliczności o charakterze geopolitycznym. Hegemoniczne mocarstwo znalazło się w sporych kłopotach spowodowanych z jednej strony walkami sukcesyjnymi po śmierci Stalina, a z drugiej trudnymi do dalszego ponoszenia ciężarami zimnej wojny i podwójnych zbrojeń, konwencjonalnych i rakietowo-nuklearnych. Powstała szansa autonomizacji i częściowego uniezależnienia się państw zwasalizowanych, wykorzystana skutecznie przede wszystkim przez Chiny w Azji i Polskę w Europie. Ekipa Gomułki na trwałe poszerzyła zakres autonomii wobec ZSRR, znacznie w polityce wewnętrznej, a częściowo także w zagranicznej. Uchroniła chłopskie rolnictwo przed kolektywizacją, wycofała ingerencję państwa z wielu niepolitycznych sfer życia, przez co powstały dogodniejsze warunki dla nauki i kultury, zredukowała ekscesy państwa policyjnego, wprowadziła więcej pragmatyzmu w miejsce ekspansji ideologicznej. Według wielu autorów, których opinię podzielam, system *quasi*-totalitarny przekształciła w autorytarny[3]. W obszarze stosunków międzynarodowych kluczowym osiągnięciem tej ekipy była normalizacja relacji z RFN, od tego momentu bowiem polska granica na zachodzie przestała być jednostronnie uzależniona od poparcia Związku Radzieckiego.

Określenie „formacja narodowo-komunistyczna" dla ekipy Gomułki wydaje się stosowne dlatego, że pozostając w sprawach ustrojowych na pozycjach doktrynalnie komunistycznych (marginalizująca rynek gospodarka nakazowa, wysoki poziom nieufności do świata kapitalistycznego itp.), broniła autonomii Polski wobec ZSRR, odrzucała uniformizm ustrojowy i polityczny, poszukiwała własnych rozwiązań. Ponadto politykę tej ekipy cechował liberalizm, pojmowany jako wycofanie się państwa i partii z ingerencji w niepolityczne dziedziny życia i poszerzenie respektowanego zakresu prywatności. Jedynie demokratyzację polityczną, pojętą jako rozszerzanie partycypacji w życiu politycznym, Gomułka odrzucał ze względów pragmatycznych, obawiał się bowiem, że taka demokratyzacja

[3] A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Universitas, Kraków 2013, s. 83–106.

wywoła nieuchronnie pojawienie się silnego nurtu kwestionującego ład pojałtański, co pchnie Polskę ku pozbawionej szans kontestacji realiów geopolityki i zagrozi jej żywotnym terytorialnym interesom.

Polityka ta, w istotnym stopniu odmienna od przedpaździernikowej, była realizowana przez prawie identyczne zespoły ludzi. Dwie trzecie składu KC PZPR pozostawało bez zmian przez czternaście lat, od II do V zjazdu PZPR utrzymała się też w centralnym aktywie partii wysoka pozycja formacji kapepowskiej. Formacja ta podzieliła się jednak na dwie frakcje. Pod wpływem chruszczowowskiej destalinizacji znakomita większość kapepowskiego środowiska przeszła na pozycje bliskie narodowym komunistom typu Gomułki, jeśli chodzi o relacje z ZSRR, a w odniesieniu do polityki wewnętrznej zbliżyła się nawet do koncepcji demokratyzacyjnych odrzucanych przez Gomułkę. W politycznym żargonie nazywano tę frakcję „puławianami" (od nazwy ulicy w Warszawie, przy której część jej prominentów zamieszkiwała). Trafniejsze byłoby określenie „rewizjoniści", gdyż ta grupa miała inklinacje do rewidowania leninowskiej wersji marksizmu w kierunku socjaldemokratycznym. Przeciwstawiająca się jej część formacji kapepowskiej, potocznie zwana „Natolinem" (w tym przypadku od nazwy administrowanego przez rządową agencję podwarszawskiego pałacyku, w którym jej przywódcy lubili się spotykać), wyrażała w istocie stanowisko neostalinowskie. W 1956 roku cieszyła się radzieckim poparciem i na tym budowała swoje plany polityczne.

Ściśle gomułkowska grupa była nieliczna, mogła rządzić tylko w sojuszu z większością środowiska kapepowskiego, starała się więc utrzymywać zrównoważone relacje z obu frakcjami tego środowiska i korzystać z ich poparcia, sięgała też do innych zasobów kadrowych. Umocniła się wtedy pozycja byłych działaczy PPS. Ich obecność w życiu politycznym, głównie dekoracyjna w czasach stalinizmu, po Październiku staje się rzeczywista i znacząca, zarówno w centrali (Józef Cyrankiewicz, Adam Rapacki, Henryk Jabłoński, Oskar Lange, Stefan Arski, Wacław Tułodziecki), jak i w terenie (Lucjan Motyka, Władysław Machno i inni). Umacniają też udział we władzy członkowie krajowej PPR z czasu okupacji, stopniowo coraz liczniej pojawiają się też reprezentanci zbiorowości, która do obozu nowej władzy dołączyła w pierwszych latach powojennych.

* * *

W drugiej połowie lat 60. XX wieku polityka ekipy Gomułki znalazła się w impasie, dotychczasowe jej atuty już nie wystarczały. Gospodarka potrzebowała świeżych bodźców, na arenie międzynarodowej też otwierały się nowe możliwości. Jak zwykle w takiej sytuacji ożywiły się istniejące i formowały się nowe frakcje czy też grupy nacisku w warstwie rządzącej i wyłaniały się propozycje politycznych alternatyw. Wywodząca się jeszcze z przesilenia 1956 roku orientacja rewizjonistyczna lansowała propozycje demokratyzacyjne i z nimi wiązała nadzieje. Oddziaływała na część inteligencji oraz na aktywne politycznie środowiska studenckie. Dawna z kolei frakcja konserwatywna, neostalinowska, skierowała się w stronę nacjonalistyczno-komunistyczną. Lojalność proradziecką przeniosła na sympatie maoistowskie, w retoryce odwoływała się do wątków nacjonalistycznych, wręcz ksenofobicznych, nie stroniła od populistycznej demagogii socjalnej, a jednocześnie optowała za rządami twardej ręki i państwem w istocie policyjnym. Szukała „narodowego" uwiarygodnienia w przymierzu kombatantów z II wojny światowej. Zyskała miano „partyzantów", a wodza w generale Mieczysławie Moczarze, niegdyś stronniku Gomułki, aktualnie ministrze spraw wewnętrznych.

W połowie lat 60. „partyzanci" parli do konfrontacji z frakcją rewizjonistyczną. Liczyli na to, że w walce z nią zyskają wsparcie Gomułki, a umocnieni sukcesem i utuczeni posadami odebranymi pokonanym, zdobędą kontrolę nad całością sceny politycznej. Wykorzystywali w tej walce aparat policyjny, donosy, pomówienia i intrygi. Sięgali do arsenału agitacji nacjonalistycznej i coraz częściej antysemickiej. Oskarżali Polaków żydowskiego pochodzenia, dość licznie obecnych we frakcji rewizjonistycznej o to, że po powstaniu państwa Izrael zachwiała się ich lojalność wobec Polski.

Słabnący politycznie Gomułka usiłował bronić *status quo* jako układu, który w danych warunkach geopolitycznych uważał za najbardziej bezpieczny, społecznie zaś optymalny. Nad walkami frakcyjnymi tracił jednak kontrolę. Przesileniem okazały się zamieszki na uczelniach, wywołane splotem nieopatrznych decyzji władz lub – według niektórych autorów – zostały rozmyślnie sprowokowane. „Partyzanci" rozpętali przeciw części przywódców ruchu studenckiego i sprzyjających im profesorów nagonkę antysemicką, która rychło przerodziła się w czystkę aparatu państwowego i gospodarczego z „syjonistów". Gomułka początkowo przyzwolił na tę nagonkę, licząc, iż zapobiegnie ona przeniesieniu się protestów do zakładów

pracy. Sądził, że bez trudu zdoła pohamować ekscesy antysemickie, kiedy tylko zamieszki wygasną. Próbował to zrobić jeszcze w marcu, ale okazało się, że nie ma już wystarczającej siły politycznej. Musiał zawierać układy z frakcją partyzancką i z innymi grupami nacisku w aparacie partyjnym. Z trudem zdołał pohamować retorykę antysemicką, ale czystki nie mógł i nawet nie próbował odwrócić. Ta rozgrywka, choć zapoczątkowana wewnątrz środowiska kapepowskiego, wymknęła się spod kontroli, obudziła upiory, a w konsekwencji zmiotła ze sceny politycznej całą kapepowską, starokomunistyczną formację, wszystkie jej frakcje i odmiany. Z nostalgią, ale trafnie charakteryzował ten proces w swoich ostatnich pracach Adam Schaff[4]. „Rewizjonistów" wyeliminował bezpośrednio Marzec 1968, ale sukces „partyzantów" okazał się krótkotrwały. Od początku był pod znakiem zapytania, gdyż Gomułka, chociaż w Marcu '68 na wiele im pozwolił, to potem natychmiast starał się ograniczyć wpływy „partyzantów" w resortach siłowych. Ponadto, na przywódcę tej frakcji gen. Mieczysława Moczara podejrzliwie patrzyli władcy Kremla, którzy po secesji Nicolae Ceaușescu obawiali się nacjonalistycznych ambicjonerów.

* * *

Za plecami rywalizujących u schyłku epoki Gomułki frakcji wyrosła inna formacja o dużej sile i dynamice, początkowo niedostrzegana i niedoceniana – pokolenie ZMP. Jej reprezentacją i emanacją zarazem okazała się ekipa Edwarda Gierka. Liderami ekipy byli Gierek i Jaroszewicz.

Wprawdzie w składzie kierownictwa PZPR ostało się kilku przedstawicieli poprzedniej ekipy, ale główną siłę i oparcie dawało młodsze pokolenie działaczy, które inicjację polityczną przeszło w latach stalinizmu, a pierwsze wielkie uniesienia przeżyło w 1956 roku. Połowa gierkowskiego biura politycznego i większość Komitetu Centralnego PZPR rekrutowała się z tej generacji. Sporo tam było współpracowników i kolegów z dawnego ZG ZMP. Co ważniejsze, pokolenie absolwentów wielkiego boomu edukacyjnego lat 50. XX wieku w tym czasie zdecydowanie już przeważało w aktywie PZPR, w aparacie państwowym i w zarządach gospodarczych. Inny zaś odłam „pokolenia ZMP" (Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Bronisław Geremek) nadawał ton pozasystemowej opozycji.

[4] Por. A. Schaff, *Notatki Kłopotnika*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1955.

W pracy państwowej i szerzej na scenie politycznej do głosu doszła zatem generacja, która dorastała już w Polsce Ludowej. Nie ustanawiała władzy „ludowej" ani reguł systemu, jedynie je zastała i zaakceptowała realia. Nie nabyła gorliwości ideologicznej ani pamiętliwości z czasu powojennych walk o ustrój. Miała skłonności pragmatyczne i realistyczne. Ponadto górowała nad poprzednikami wykształceniem zdobytym już w powojennych szkołach i uczelniach. Była to inteligencja pierwszego pokolenia, w większości wywodząca się ze wsi, jej horyzonty kulturowe nie były zbyt rozległe, ale w porównaniu z „wydwiżencami" lat powojennych reprezentowała znacznie wyższy poziom kompetencji. Choć w marcu 1968 roku wsparła „partyzantów" w antysemickich działaniach i odniosła z tego polityczne profity, to po dojściu do władzy natychmiast zmarginalizowała wpływy niezbyt chlubnych sprzymierzeńców, uchyliła też pomarcowe represje sądowo-policyjne.

Główną ideą pokolenia ZMP była modernizacja o charakterze technokratycznym. Żywiło ono przekonanie, że odnowienie gospodarki poprzez import technologii, głównie z Zachodu, pozwoli zrealizować społeczne ambicje, wzbogacić rynek, podnieść standard życia, a ponadto odświeży legitymizację reżimu wyblakłą wskutek upływu znacznego czasu od renowacji w 1956 roku. Ta koncepcja modernizacyjna zyskała wielką popularność, z ogromnym entuzjazmem mówili o niej luminarze polskiego życia naukowego na Kongresie Nauki w 1972 roku[5]. Trafiła też celnie w koniunkturę międzynarodową, w helsiński rozejm w zimnej wojnie, w tani i łatwo dostępny kredyt itp. Legła u podstaw głębokiej korekty polityki państwa, której efektem były trwałe i ważne przemiany w strukturze społecznej (nowa faza uprzemysłowienia, urbanizacji i scholaryzacji), inwestycje w zakresie infrastruktury komunikacyjnej, energetycznej i komunalnej, a przede wszystkim setki nowych lub zmodernizowanych przedsiębiorstw przemysłowych, których prywatyzacja przez dwa ostatnie dziesięciolecia ratowała budżet państwa. Zniesiono ograniczenia dla inwestycji w chłopskich gospodarstwach i uwolniono je od anachronicznych dostaw „obowiązkowych", czyli podatku w naturze.

Doniosłe skutki społeczne przyniosło złamanie kilku tabu ideologicznych i obyczajowych. Zerwano z ascetyzmem właściwym rządom Gomułki. Prawie rewolucyjne znaczenie miała zgoda na wykup mieszkań

[5] *II Kongres Nauki Polskiej: materiały i dokumenty (Warszawa, 28–29 czerwca 1973 r.)*, t. 1 i 2, Ossolineum, Wrocław 1974.

komunalnych na ulgowych warunkach przez ich mieszkańców oraz rozwój własnościowych spółdzielni mieszkaniowych. Ta forma użytkowania mieszkań w ciągu następnych dziesięcioleci szybko się upowszechniła. Podjęto na skalę masową produkcję małolitrażowego samochodu osobowego. Poniechano sporów z Kościołem, nie szczędzono gestów w stronę opinii publicznej, takich nawet, jak odbudowa zamku królewskiego w Warszawie. We wszystkich tych poczynaniach pragmatyzm górował nad ideologią.

Blokowe usytuowanie Polski pozostało, ale dokonano istotnego otwarcia ku Zachodowi, nie tylko gospodarczego, ale także społecznego. To otwarcie wyraziło się między innymi w kulturze, w turystyce, w wymianie naukowej, w otwarciu granic dla emigracji, głównie w stronę Niemiec. Wobec ZSRR zachowano rytualne demonstracje, poniechano sporów typowych dla Gomułki, nie szczędzono orderów dla Breżniewa, przyjaźń wpisano nawet do konstytucji, ale prawdziwego i ważniejszego otwarcia dokonano w stronę Zachodu, który to dostrzegł, zrozumiał i docenił.

* * *

Pod koniec lat 70. pokolenie ZMP zostało skonfrontowane z najpoważniejszym kryzysem w dziejach PRL, załamaniem gospodarczym połączonym z gwałtowną społeczną rebelią. Kryzys został wywołany głównie przyczynami od Polski niezależnymi, załamaniem się światowej koniunktury gospodarczej i drastycznym wzrostem kosztów obsługi zadłużenia, przy zbyt szeroko zakrojonym programie inwestycyjnym. Ponadto odprężenie ustąpiło nawrotowi zimnej wojny, co zmieniło postrzeganie spraw polskich na Zachodzie, z prymusa współpracy ponad ustrojami Polska stała się „słabym ogniwem" radzieckiego bloku i pokusą do jego osłabiania. Te zewnętrzne czynniki kryzysogenne zostały pogłębione wielu błędami i niekonsekwencjami polityki wewnętrznej. Formacja rządząca w szerokim tego słowa znaczeniu w czasie kryzysu lat 1980–1982 uległa silnym podziałom, wywołanym walkami wewnętrznymi oraz rugami personalnymi wymuszonymi sytuacją, a także naciskiem populistycznym. Wyjście z kryzysu poprzez stan wojenny, podyktowane pragmatyzmem i *Realpolitik*, spowodowało istotną korektę systemową. W politycznym procesie decyzyjnym wyraźnie zmalała rola instancji partyjnych, umocniła się samodzielna pozycja aparatu państwowego. W rezultacie część establishmentu związana dawniej z aparatem partyjnym ustawiła się opozycyjnie

wobec nowej sytuacji. Przyśpieszyło to procesy formowania się nowego zaplecza kadrowego i społecznego obozu rządzącego.

Na scenie politycznej pojawia się nowa generacja, która w czasach Gierka jeszcze studiowała lub co najwyżej debiutowała w organizacjach młodzieżowych. Będzie to ostatnia już formacja wspierająca rządy PRL, nazwijmy ją formacją Okrągłego Stołu. Wywrze wpływ na bieg spraw w ostatnich latach państwa ludowego i odegra kluczową rolę w budowaniu lewicy w okresie restauracji kapitalizmu. Z niej wyszło czterech premierów III RP: Józef Oleksy, Włodzimierz Cimoszewicz, Leszek Miller, Marek Belka oraz jedyny jak dotąd prezydent dwu kadencji – Aleksander Kwaśniewski. Formacja ta wciąż jest w życiu politycznym obecna, nie należy jeszcze do historii, nie ma zamkniętej „biografii". Ograniczę zatem rozważania o tej formacji do kilku spostrzeżeń: najpierw, jeszcze w PRL, skupiała się wokół Mieczysława Rakowskiego, ale szybko wybiła się na samodzielność. Na ostatnim zjeździe PZPR pożegnała nie tylko sztandar, ale też swego protektora. Była to formacja zdecydowanie bardziej pragmatyczna i aideologiczna. Nie oznacza to oportunizmu czy bezideowości. Jej wizja dobra publicznego wiązała się z wykorzystaniem szans, jakie otwierały się po zakończeniu zimnej wojny, odzyskania pełni suwerenności w układzie międzynarodowym oraz ustanowienia pluralistycznej demokracji. Pracowała dla pokojowego przejścia od sytuacji zimnowojenno-blokowej do nowej. Śmiało stawiała na gospodarkę wolnorynkową i demokrację polityczną. Nie wyrzekała się socjalistycznego etosu, ale fascynowała się raczej jego socjaldemokratyczną, zachodnioeuropejską odmianą. Ludzie tej formacji byli w tym nastawieniu szczerzy, nawet neoficko ufni. Znana dziennikarka „Gazety Wyborczej" napisała o nich, że im „mniej wolno", wymagają kwarantanny, gdyż wywodzą się z PZPR, z pnia autorytarnego. Były to nieuzasadnione uprzedzenia. Ze strony tej formacji w całym okresie transformacji nie wyszło ani jedno zagrożenie dla demokracji czy suwerenności. Natomiast ze strony postsolidarnościowej takie zagrożenia wystąpiły kilkakrotnie. Groźbą antydemokratycznego przewrotu powiało w noc „ubeckich teczek" Macierewicza i Olszewskiego, później w związku ze sprawą „Olina", a następnie w czasie dwulecia rządów Kaczyńskiego. Paradoksalnie tak zwani postkomuniści okazali się bardziej niezawodni w służbie demokracji od jej solidarnościowych bojowników. Ci postkomuniści chcieli bowiem „wyjść z butów" PZPR, a postsolidarnościowcom marzyło się wejście w te buty i rządzenie z pozycji „kierowniczej",

z powołania niejako historycznego. Formacja Okrągłego Stołu sprawdziła się na polu narodowym, urządzając Polskę w nowych warunkach geopolitycznych, w NATO i UE. Dodatkową ich zaletą był brak „genetycznych" uprzedzeń wobec proradzieckiego Wschodu, który był lepiej dopasowany do realiów niż hołubienie starych antyrosyjskich fobii. Tej formacji Polska zawdzięcza też w miarę nowoczesną i sprawdzającą się w praktyce konstytucję.

Gorzej sprawdza się ona w obszarze powinności lewicowych. O wiele za mało zrobiła (zwłaszcza wtedy, gdy rządziła) dla ochrony i zachowania ważnych dla ludzi pracy instytucji bezpieczeństwa socjalnego oraz równości szans. Popisała się przy różnych okazjach neofickim zachwytem dla liberalizmu ekonomicznego. Ponosi sporą dozę odpowiedzialności za to, że dzisiejsza Polska wyróżnia się niekorzystnie wśród krajów regionu stopniem nierówności społecznych i społecznej dyskryminacji. Także za to, że hasła obrony interesów i praw pracowniczych zaanektowała populistyczna prawica. Ta postpeerelowska formacja była wystarczająco demokratyczna i narodowa, a niestety za mało lewicowa.

Tak więc jako formacja socjaldemokratyczna kuleje i aby rozwinąć wszystkie swe możliwości, musi zapewne stanąć na obu nogach. Być może jednak z tym upora się dopiero następna generacja.

Mariusz Gulczyński

Lewica wobec zadań trzeciej transformacji industrialnej cywilizacji

> …nigdy się nie uda do końca zrealizować utopii socjalizmu… ale można się do tego po troszeczku zbliżać i świat się będzie powolutku zbliżał, przez to się będzie polepszać życie
>
> Tadeusz Konwicki, *W pośpiechu. Rozmowa z Przemysławem Kanieckim*

Wiele wskazuje na to, że współczesny konflikt ekologiczny i kryzys ekonomiczny wymuszają, a jakościowe zmiany technologiczne umożliwiają kolejną – trzecią[1] – transformację cywilizacji industrialnej, polegającą na kojarzeniu informatycznego postępu w wynalazczości, produkcji i konsumpcji z wymogami zharmonizowania społeczno-przyrodniczej kohabitacji[2].

By to dostrzec, docenić i wykorzystać, trzeba wyjść mentalnie poza tchnące pesymizmem borykanie się z kryzysowymi dolegliwościami i zrezygnować z beznadziejnych prób przywrócenia przedkryzysowej

[1] Pierwszą było przejście z dominującej w zaraniu kapitalizmu produkcji manufakturalnej na przemysłową. Drugą – wykreowanie i upowszechnienie produkcji taśmowej zaspokajającej konsumpcyjne potrzeby masowego nabywcy.

[2] Szerzej zob.: J. Rifkin, *The Third Industrial Revolution: How Lateral Power is Transforming Energy, the Economy, and the World*, New York 2011.

koniunktury. Spojrzeć szerzej – z historiozoficznej perspektywy – na głębiej skryte sedno trendów rozwojowych współczesnej cywilizacji. Dostrzec szanse w generowanych przez trzecią transformację industrialnej cywilizacji zmianach rokujących jakościową poprawę egzystencji społeczeństw. Zarówno w sferze stosunków pracy – przez wykorzystanie technologicznej wydajności do uwalniania od przeciążeń przez skracanie czasu pracy i od wzrostu bezrobocia. Jak i w sferze konsumpcji – przez skoncentrowanie na zaspokajaniu racjonalnych potrzeb bytowych i wyzwalaniu z uzależnień od irracjonalnych pragnień i zakupoholizmu[3].

Wspólnym mianownikiem każdej z uprzednich transformacji było skojarzenie zwiększanej przez postęp techniczny możności adaptowania przyrody do egzystencjalnych ludzkich potrzeb z postępem społecznym, co spowodowało zwiększanie szans przeżycia i osiągania satysfakcji z życia coraz szerszych kręgów społecznych. Tak definiuję sedno humanitarnie pojmowanego postępu w każdej epoce, cywilizacji i systemie społecznym – w odróżnieniu, a także w opozycji wobec wartościujących postęp wedle innych kryteriów, w tym i takich, których postępowość jest wątpliwa, bo fundowana na górowaniu elit kosztem dołowania większości członków współzależnych społeczności.

Tak pojmowany postęp nie dokonywał się samoczynnie, oznaczał bowiem przezwyciężanie uprzednich elitaryzacji przez egalitaryzację nie tylko w konsumpcji, ale i w całokształcie stosunków społecznych. Stąd nieuchronne każdorazowo skonfliktowanie sił opowiadających się za egalitaryzacją – z zainteresowanymi w elitaryzacji.

Można zasadnie domniemywać, że podobnie będzie i tym razem.

Kolejna, trzecia transformacja cywilizacji industrialnej staje się zatem – podobnie jak uprzednie – probierzem skłonności i zdolności dostrzeżenia szans cywilizacyjnego postępu przez siły polityczne aspirujące do odgrywania ról przywódczych.

Za egalitaryzującym postępem opowiadały się zazwyczaj siły ideologiczne i polityczne określane jako lewica – o wielorakim rodowodzie i ideologicznej orientacji, acz konsekwentnie związane ze światem pracy

[3] Taki kierunek zmian prognozował John Maynard Keynes – nie tylko twórca teoretycznych podstaw wygrania Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych XX wieku, lecz i trafny prognosta możliwości i konieczności po stu latach następnej postępowej cywilizacyjnej modyfikacji, zob.: J.M. Keynes, *Economic Possibilities for Our Grandchildren*, 1930 [online:] www.econ.yale.edu.

najemnej i ideałami socjalistycznymi. Współczesna, trzecia transformacja cywilizacji przemysłowej może i winna być zatem czasem żniwnym i pożywnym dla lewicy w ogóle, a polskiej – identyfikującej się jako socjaldemokratyczna – w szczególności.

A – póki co – tak nie jest. Lewicowa formacja ewidentnie się pogubiła. Mała pociecha, że nie tylko polska, ale i europejska. Bezspornym na to dowodem jest fakt, że traci poparcie elektoratów. Ważniejszym, bo perspektywicznie istotnym czynnikiem jest, iż wytraciła to, co było jej siłą i racją istnienia: ideową i programową postępowość – zdolność kreowania zmiany zwiększającej szansę przeżycia i osiągania satysfakcji z życia całych i wszystkich społeczeństw, w opozycji do prawicowych orientacji, opowiadających się za konserwacją uprzywilejowujących mniejszość systemów. Dramatycznym paradoksem jest to, że w trakcie trzeciego w dziejach kapitalizmu Wielkiego Kryzysu, stwarzającego konieczność i możliwość wielkich cywilizacyjnych zmian, lewicowe orientacje poprzestają w najlepszym wypadku na wspieraniu defensywnych ruchów Oburzonych; w gorszych i częstszych – opowiadaniu się za odgrzewaniem przestarzałych „reperowanek" z czasów zeszłowiecznego, istotnie odmiennego Wielkiego Kryzysu.

By się odnaleźć i odbudować w czasie współczesnego trzeciego wielkiego kryzysu i trzeciej industrialnej transformacji prosocjalistyczna lewica musi: rozliczyć się z doświadczeń przeszłości, zdefiniować wnikliwiej niż prawicowe orientacje wyzwania przemian cywilizacyjnych teraźniejszości i przyszłości, zaangażować się samodzielnie ideowo i programowo w te przemiany.

Lewica nie dziewica

Współczesna socjalistyczna lewica to już nie idealistyczna dziewica, jest bowiem po przejściach – mariażach z praktyką polityczną i ekonomiczną oraz zarówno pozytywnych, jak negatywnych doświadczeniach.

Po stronie plusów zasługą zaangażowania politycznego lewicy w przeszłości jest wywalczenie i wymuszenie upodmiotowienia politycznego i ekonomicznego mas pracujących. Młodym to godzi się przypomnieć, a chwalcom kapitalizmu wypomnieć, że kapitalistyczne demokracje dość długo zwały się zasadnie burżuazyjnymi, bo cenzus majątkowy wykluczał większość społeczeństw ze współdecydowania, a bezwzględ-

ność eksploatacji siły roboczej sprawiała, iż jej reprodukcja brała się głównie ze wsi i imigracji, bo „robotnik nie rodził robotnika".

Współczesne powszechne upodmiotowienie polityczne oraz uprawnienia socjalne są stosunkowo świeżej daty (z reform zapoczątkowanych w drugiej połowie XIX wieku) po kilku wiekach bezwzględnego zniewalania i wyzyskiwania proletariatu przez burżuazję. Główną ich determinantą było wymuszanie przez coraz bardziej świadomy swych interesów i organizujący się do walki o poprawę własnego losu proletariat.

Humanizowanie industrialnej formacji okazywało się korzystne *per saldo* także dla burżua. Rzadziej dla kapitalisty indywidualnego, goniącego *per fas et nefas* za pomnażaniem swej siły kapitałowej. Częściej i konsekwentniej dla kapitalisty zbiorowego: klasy zainteresowanej spokojem społecznym oraz wykwalifikowanym i popytnym salatariatem wewnątrz, zaś żołnierskim zaangażowaniem w obronę i ekspansję na zewnątrz. To wniosek istotny na przyszłość – rokujący możliwość kojarzenia humanitarnych wartości socjalizmu – z pobudzającymi inicjatywność i innowacyjność walorami kapitalizmu we współczesnej fazie cywilizacyjnych przeobrażeń ludzkości.

Determinantami takich reform w wyżej rozwiniętych państwach kapitalistycznych były trzy czynniki:

1) strach przed zrewoltowaniem świata pracy i zapotrzebowanie na spokój społeczny,
2) zapotrzebowanie na sprawnego wykwalifikowanego robotnika i żołnierza armii z powszechnego poboru,
3) zapotrzebowanie na masowego nabywcę wytwarzanych przemysłowo towarów.

Rosnące zaangażowanie w te reformy lewicowych reprezentacji skutkowało zyskiwaniem przewagi wpływów i skuteczności socjaldemokratycznych partii, doprowadzając do koalicyjnego współrządzenia z reprezentującymi burżuazję, a niekiedy i do przejmowania przez socjaldemokrację zarządzania kapitalizmem. Pozytywnym tego efektem było wzbogacanie funkcji państwa jako stróża kapitalistycznych porządków o funkcję państwa socjalnego. Upowszechnieniu tego modelu sprzyjał zarówno Wielki Kryzys lat trzydziestych XX wieku, stwarzający zapotrzebowanie na nakręcanie koniunktury gospodarczej pobudzaniem masowego popytu konsumpcyjnego, jak i konieczność wykreowania po II wojnie światowej alternatywy wobec rosnących ówcześnie wpływów

państw i partii komunistycznych. Rezultatem było ukształtowanie i upowszechnianie efektywnego i atrakcyjnego modelu państwa dobrobytu; najpierw na kapitalistycznym Zachodzie, a po bankructwie realnego socjalizmu i rozpadzie radzieckiego systemu również na postkomunistycznym Wschodzie[4].

Do minusów działalności socjalistycznej lewicy w przeszłości zalicza się z dzisiejszej perspektywy próbę wykreowania alternatywnego wobec kapitalizmu systemu. Zwanego różnie: komunizmem, socjalizmem, realnym socjalizmem, rozwiniętym socjalizmem. W jednoznacznie negujących ocenach tych dramatycznych procesów pomija się bezsporne ich pozytywy, jakimi były:

1) przezwyciężenie postfeudalnych ostałości w stosunkach społecznych i mentalności – silnych szczególnie w Rosji i Chinach, ale i w naszym kraju;
2) wsparcie ruchów antykolonialnych skutkujące wyzwoleniem niemal setki zniewolonych przez kapitalistyczne metropolie nacji (postkolonialne imperia zrewanżowały się wsparciem prodemokratycznych ruchów, skutkującym upadkiem i rozpadem radzieckiego imperium;
3) wymuszenie groźbą rewolucji humanizacji kapitalistycznego systemu – przezwyciężanie ekonomicznej deprywacji oraz klasowych i rasowych ograniczeń demokracji (niedostatek takiego nacisku daje się odczuć współcześnie – w czasach trzeciego wielkiego kryzysu).

Sporne w tej materii są trzy kwestie:

- czym był tak zwany realny socjalizm: doktrynerską próbą wcielenia utopijnych pomysłów przez ambicjonerskich polityków czy dramatyczną próbą wykreowania alternatywnej wobec imperialnego kapitalizmu formacji, determinowaną przez bunt zdołowanych nim ludowych mas;
- dlaczego upadł: jakie wnioski na przyszłość wynikają z tego ustrojowego eksperymentu, doświadczonego *volens nolens* w szczytowym okresie przez jedną trzecią ludzkości;
- czy socjalistyczna alternatywa kapitalizmu odeszła bezpowrotnie, a wraz z tym kończy się historia, czyli celowość i możliwość

[4] Szerzej zob.: S. Zawadzki, *„Państwo dobrobytu" – doktryna i praktyka,* Warszawa 1970; W. Lamentowicz, *Reformizm szwedzki,* Warszawa 1977.

systemowych zmian cywilizacyjnych, uwzględniających humanitarne wartości, identyfikowane z socjalizmem.

Odpowiedź na pierwsze z tych pytań jest raczej oczywista. Przekonanie, że ambicjonerscy doktrynerzy mogą samowolnie i dowolnie powodować zmiany ustrojowe, angażujące wielosetmilionowe społeczności, jest raczej absurdalne. Ideolodzy socjalizmu nie przeceniali roli wpływów idei na procesy społeczne, stwierdzając jednoznacznie, że „teoria urzeczywistnia się w narodzie zawsze tylko o tyle, o ile stanowi urzeczywistnienie jego potrzeb"[5].

O destruktywnym bardziej niż konstruktywnym charakterze antykapitalistycznych rewolucji i wykreowanego z nich ustroju przesądził fakt, iż były one reakcją najbardziej zdołowanych przez kapitalizm mas plebejskich, skłonnych do totalnego odrzucania i gruzowania wszystkiego co kapitalistyczne, miast cywilizowanego kontynuowania wszystkiego co funkcjonalne z przeszłości. Ewentualność taką przeczuwał Engels, pisząc do przyjaciela, że może się zdarzyć, iż „przynaglani przez proletariacki *populus* (…) będziemy musieli robić komunistyczne eksperymenty i skoki, o których sami wiemy najlepiej, jak bardzo są nie na czasie"[6]. I tak się stało. Lecz – czego Engels nie dostrzegł i nie uwzględnił z doświadczeń przeszłości – nic w tym nowego, tak samo bowiem startowały wszystkie uprzednie ustroje. Nie w najwyżej rozwiniętych centrach starej formacji, lecz na obrzeżach – gdzie stary ustrój jawił się jako dokuczliwość, był zatem totalnie negowany i gruzowany. I siłą obalającą uprzedni i kreującą nowy były nie najwyżej wyedukowane odłamy tamecznych społeczności, lecz masy plebejskie – skłonniejsze i zdolniejsze do destrukcji niż do konstrukcji.

Z powyższej konstatacji wynika odpowiedź na drugie pytanie: dlaczego realny socjalizm upadł. Zawrzeć ją można najkrócej w twierdzeniu: dlatego że zamiast cywilizowanego kreowania lepszej formacji na fundamencie wszystkiego, co funkcjonalne z uprzednich (z kapitalizmem włącznie), tworzył nowy ustrój metodą barbarzyńską na gruzach przeszłości.

---

[5] K. Marks, *Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa. Wstęp*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła,* t. 1, Warszawa 1960, s. 467, a „idea zawsze się blamowała, gdy różniła się od interesu"; F. Engels, K. Marks: *Święta rodzina*, [w:] *iidem*, *Dzieła,* t. 2, Warszawa 1979, s. 100.

[6] *Engels do Józefa Weydemeyera* [w:] K. Marks, F. Engels, *Listy wybrane*, Warszawa 1951, s. 93.

Wyraziste przejawy takiej samej skłonności w zaczątkach uprzednich formacji odnotowała historia w niszczeniu dorobku starożytnych cywilizacji u zarania feudalizmu oraz w początkach kapitalizmu. Współcześni krytycy realnego socjalizmu, potępiający – zasadnie! – barbarzyńskie ekscesy i zbrodnie, popełnione w totalitarnym stadium tej formacji, zwykli świadomie przeoczać bądź przemilczać nie mniej drastyczne skutki barbarzyńskiej fazy kapitalizmu, towarzyszącej początkom tej formacji, hekatomb ofiar i zniszczeń dóbr kultury we własnych krajach oraz w podbijanych i rabowanych bezwzględnie koloniach. Rewolucje socjalistyczne i pierwociny wykreowanego przezeń ustroju nie były niczym nowym, lecz potwierdzeniem ogólnodziejowej prawidłowości.

W rezultacie miast tworzyć lepszy ustrój – powstał gorszy niż kapitalizm, bo przywracający łagierną pracę niewolniczą i kołchozową pańszczyznę. Ustrój ten okazał się mniej wydolny niż demokratyzujący się kapitalizm. Zarówno politycznie, ponieważ monokratyzm skutkował negatywnym doborem ekip rządzących, wyłanianych i wymienianych nie w drodze demokratycznej rywalizacji, lecz biologicznych i politycznych kryzysów. Jak i ekonomicznie, ponieważ upaństwowienie blokowało swobodę przedsiębiorczości i innowacyjności, a legitymizowanie rządzących tym, iż „władza daje", potęgowało niedobór, uzależnianie bowiem społeczeństwa od rządzących było możliwe tylko w warunkach „gospodarki niedoboru"[7].

Teza, że realny socjalizm upadł, bo był barbarzyńską próbą tworzenia nowej formacji niejako od zera; na gruzach zamiast na fundamentach wszystkiego, co funkcjonalne z uprzednich epok – jest istotna nie tylko dla osądu, lecz i prognozowania szans socjalistycznej alternatywy w przyszłości. Pomocne i konieczne w tym przypomnienie, że to, co zdarzyło się z realnym socjalizmem nie jest wyjątkiem, lecz przejawem szerszej, ogólnodziejowej prawidłowości. Realny postęp dokonywał się zazwyczaj po przezwyciężeniu destrukcyjnych tendencji, częstokroć dopiero za drugim podejściem, prowadzącym do kreowania alternatywnej formacji, po skojarzeniu tego, co funkcjonalne w przeszłości, z innowacjami tworzonymi dzięki eliminowaniu skostnień właściwych epoce uprzedniej.

---

[7] Szerzej zob. M. Gulczyński, *Dlaczego krach socjalizmu i restauracja kapitalizmu*, „Dziś – Przegląd Społeczny" nr 6, czerwiec 1991; *idem*, *Kreowanie demokracji – z dysput o celach i metodach polskiej transformacji*, Warszawa 2008.

Upadek realnego socjalizmu zatem nie jest czymś wyjątkowym i nie musi być ostatecznym. Skompromitował i zdezawuował barbarzyńskie potraktowanie walorów demokracji rynkowych, zaakcentował konieczność kojarzenia ich z humanitarnymi walorami socjalizmu w następnych próbach kreowania istotnie lepszej formacji.

Wielki kryzys wymusza wielkie zmiany – trzecia transformacja je umożliwia

By zrozumieć i docenić tę szansę – i pójść do przodu, trzeba cofnąć się myślą do doświadczeń przeszłości. Istotną zeń nauką jest wniosek, że cywilizacje i ufundowane na ich bazie formacje poddawane są bezwzględnej próbie przez konflikty ekologiczne i współzależne z nimi kryzysy ekonomiczne i polityczne.

Z dziejów ludzkości wiadomo, że cywilizacje ginęły, gdy nadmiernie wyjaławiały środowisko ekologiczne i wyniszczały siłę roboczą wprzęganą w nadmierną obsługę uprzywilejowanych i budowę pomników ich potęgi[8]. Demokracje rynkowe okazały się szczególnie skłonne i zdolne do progresywnego pokonywania tej rangi progów. O formacji tej można powiedzieć – trawestując przekorną opinię Winstona Churchilla o demokracji – że jest najgorszą formacją, jeśli nie liczyć wszystkich innych, których próbowano od czasu do czasu. O przewagach kapitalizmu wobec wszystkich dotychczasowych formacji przesądził fakt, iż okazywał się reformowalny – potrafił swe ułomności i ograniczenia przezwyciężać. Reformowalność kapitalizmu determinowana jest przez trojakie czynniki:

1. Właściwą zarówno gospodarce rynkowej, jak i demokracji swobodę aktywności i rywalizacji ekonomicznej i politycznej. Sprzyja to wygrywaniu w równoprawnej konkurencji lepszych produktów i producentów oraz lepszych programów i sprawniejszych ekip politycznych. Lepszych – nie znaczy doskonałych, kapitalizm bowiem był od zarania i jest nadal wielorako ułomny. Ważne, że – w odróżnieniu od innych formacji, w szczególności socjalizmu – wolność słowa umożliwia definiowanie ułomności, a demokratyczno-rynkowe reguły sprzyjają ich przezwyciężaniu.

[8] Zob. J. Diamond, *Upadek. Dlaczego niektóre społeczeństwa upadły, a innym się udało*, 2005; *idem*, *Strzelby, zarazki, maszyny – Losy ludzkich społeczeństw*, Warszawa 2010; F. Fernández-Armesto, *Cywilizacje. Kultura, ambicje i przekształcanie natury*, 2008.

2. Zdolność poszerzania prokapitalistycznej bazy społecznej przez przejmowanie i absorbowanie sedna idei i ruchów antykapitalistycznych – zarówno socjalistycznych, jak antykolonialnych. Umożliwiło to przezwyciężenie dwu najbardziej zagrażających tej formacji w przeszłości ograniczeń – tego, iż był to system wprawdzie bardziej niż wszystkie inne efektywny ekonomicznie, lecz korzystny, po pierwsze, nie dla całych narodów oraz, po drugie, nie dla wszystkich narodów. Pozwoliło to na przezwyciężenie głównego zagrożenia, jakim była próba wykreowania socjalizmu jako alternatywy kapitalizmu oraz na upowszechnienie gospodarki rynkowej na cały świat.
3. Przemieszczanie się wzorcotwórczego centrum kapitalizmu w coraz to nowe regiony świata; zastępowanie centrów wytracających innowacyjność przez skłonne i zdolne do wykreowania wzorców produkcji i konsumpcji powszechniej dostępnych, zwiększających szanse przeżycia i osiągania satysfakcji z życia coraz szerszych kręgów społecznych. Pierwotnie centrum było zlokalizowane w miastach północnych Włoch, Francji i Niderlandów, wytwarzających w manufakturach przedmioty zbytku dla ówczesnej „klasy próżniaczej". Następnie wzorcotwórcze centrum przemieściło się do Anglii, produkującej już maszynowo powszechniej dostępne tekstylia i utensylia. Kolejnym centrum stały się Stany Zjednoczone, dzięki oferowaniu taśmowej produkcji samochodów, dżinsów, coca-coli, westernów i podobnie egalitaryzujących wzorców *american way of life*. Uprawdopodobnia to domniemanie, że współcześnie dokonuje się kolejne przemieszczanie wzorcotwórczego centrum. Najprawdopodobniej do Chin, inwestujących to, co zarobiły w uprzednich dekadach w roli „taniej fabryki świata", we wzrost gospodarczy oparty na odnawialnych źródłach energii, recyklingu, innowacyjnych technologiach, bo – wedle trafnej konstatacji Joschki Fischera – muszą to zrobić. Zwiększając produkcję i konsumpcję metodami surowcowo chłonnymi i dewastującymi ekologię, dość szybko – ze względu na skalę potencjału ludnościowego – natknęłyby się na barierę wzrostu gospodarczego, ze straszliwymi ekologicznymi, społecznymi i politycznymi konsekwencjami[9]. I mogą – bowiem nie są, jak USA i Europa, uwikłane technologicznie,

[9] J. Fischer, *China as Superpower*, Project Syndicate, 2010.

ekonomicznie i mentalnie w uprzedni sposób produkcji i konsumpcji.

Historia dostarcza zarówno pozytywnych, jak i negatywnych dowodów efektywności zdefiniowanych wyżej determinant kapitalistycznego postępu.

Pozytywne to ewolucyjne przezwyciężanie pierwszoplanowych pierwotnie ułomności kapitalizmu, zagrażających jego rozwojowi, a nawet istnieniu: bezwzględnej eksploatacji robotników, korzystności wzrostu gospodarczego nie dla całych kapitalistycznych społeczeństw, lecz dla dominujących posiadaczy kapitału oraz monopolizacji sprzecznej z wymogami konkurencyjności i blokującej postęp techniczny.

Negatywne to nieuchronność rewolt i rewolucji społecznych, wymuszających zmiany tam, gdzie niedostatek demokracji i swobody przedsiębiorczości uniemożliwiał pokojowe przeobrażenia. Te procesy są znane nie tylko z przeszłości, lecz trwają nadal. Determinowane zarówno przez skłonności do recydywy negatywów kapitalizmu – w szczególności do koncentracji kapitału i względnego ubożenia mas, jak i przez fakt, iż upowszechnianiu gospodarki rynkowej w erze globalizacji nie towarzyszy równorzędne upowszechnianie demokracji.

Pytanie, czy kapitalizm zdoła współcześnie wyjść wzmocniony z trzeciego wielkiego kryzysu i trzeciej transformacji industrialnej cywilizacji, przezwyciężyć to, co kryzysogenne i konfliktogenne w tym systemie, jest zadawane nie tylko przez antykapitalistycznych zacietrzewieńców. O to, jakie będzie „życie po kapitalizmie", pyta profesor lord Robert Skidelsky[10]. Z kolei Lech Wałęsa – nie teoretyk wprawdzie, lecz polityk z niezwykłą zdolnością wyczuwania i odzwierciedlania niepokojów i nastrojów społecznych pisze w Wirtualnej Polsce: „Czas na komunizm XXI wieku". Apeluje przy tym o zmiany systemowe, rokujące planowe „wyrównanie przepaści międzyludzkich i nierówności poziomów życia. W innym wypadku – uważa Wałęsa – wszyscy wpadniemy w przepaść, cała cywilizacja, bez różnicy – biedni i bogaci"[11].

Socjalizm – w wersji etatystycznych autokracji – przestał być po rozpadzie systemu radzieckiego realną alternatywą dla kapitalizmu. Skompromitował się i zdewaluował z wyżej zdefiniowanych powodów. Lecz pozostawił w spadku idee postępu nastawionego na – zdefiniowane

[10] R. Skidelsky, *Life after Capitalism,* Project Syndicate, 2011.

[11] L.Wałęsa, *Czas na komunizm XXI wieku*, wiadomosci.wp.pl.

przez Marksa – wykreowanie ładu społecznego rokującego „prawdziwe rozwiązanie konfliktu między człowiekiem a człowiekiem oraz człowiekiem a przyrodą"[12]. Idee konsekwentniej wdrażane w społecznościach o silnych wpływach formacji socjaldemokratycznych, kojarzących kapitalistyczne reguły z wartościami humanistycznie pojmowanego socjalizmu. Konieczne są do „odkurzenia" i upowszechniania po to, by przezwyciężyć to, co współcześnie kryzysogenne i konfliktogenne w kapitalizmie.

To, czy wyłaniający się z takiej korekty system będzie się zwał komunizmem – jak sugeruje Wałęsa, czy socjalizmem – co domniemywa Skidelsky – jest nieistotne. Przypomnę, że w przedwiośniu polskiej demokratyczno-rynkowej transformacji wyrażałem podobną opinię. Twierdziłem, że nie jest ważna nazwa – ustrój może się nazywać w sposób dowolny – byle się w nim ludziom lepiej żyło[13].

„Wielu ludzi myśli, że jesteśmy świadkami końca historii. Nic z tych rzeczy" – uogólnia doświadczenie ludzkich dziejów hiszpański myśliciel Jose L. Sampedro. „Kiedy kryzys sięga dna, następuje reaktywacja. Nie ma co włożyć do garnka, więc ktoś zaczyna uprawiać pola. Nie ma gdzie mieszkać, więc ktoś zaczyna produkować cegły, bo zwęszył w tym interes. Chory nie ma wyjścia, musi żyć dalej. Ludzie po raz kolejny wymyślą system, który zastąpi kapitalizm. Dlatego jestem pewien, że z tego wyjdziemy, zobaczymy tylko, z jakimi stratami i porządkiem światowym"[14].

Cele trzeciej transformacji

Sednem postępu technicznego determinującego pierwszą transformację industrialnej cywilizacji było spotęgowanie mocy wytwórczych przez uprzemysłowienie. Pierwszoplanowym zadaniem socjalnym w tym stadium było urynkowienie gospodarki i reprodukcja kwalifikowanej siły roboczej oraz wygaszanie rewoltujących tendencji. Kapitalizm w tej fazie rozwijał się najskuteczniej tam, gdzie panujące w nim siły potrafiły skojarzyć postęp techniczny z wymogami postępu socjalnego, reformując i konstytuując system demokratyczno-rynkowy. Głównym profitentem tej

[12] K. Marks, *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.,* [w:] K. Marks, F. Engels: *Dzieła,* t. 1, Warszawa 1960, s. 577.

[13] M. Gulczyński: *Kreowanie demokracji*…, s. 117.

[14] J.L. Sampedro, *Koniec kapitalizmu! To będzie lepszy Świat,* „Gazeta Wyborcza" z 21–22 kwietnia 2012.

transformacji była Wielka Brytania, wysuwająca się na pozycję czołowego wzorcotwórczego imperium. Tam, gdzie tego skojarzenia zabrakło, zwyciężały plebejskie rewolucje i pierwotne – barbarzyńskie – próby kształtowania alternatywnych socjalistycznych formacji.

Sednem postępu technicznego determinującego drugą transformację industrialnej cywilizacji było dalsze spotęgowanie mocy wytwórczych. Generowało to sprzeczność między rolą proletariatu jako siły roboczej, a ich rolą jako konsumentów, czyli nabywców masowej produkcji przemysłowej (im zasobniejszych, tym w ostatecznym rachunku dla burżuazji zyskowniejszych). Skutkiem sprzeczności między masową ofertą dóbr konsumpcyjnych na rynku zbytu a pustką proletariackich kieszeni był Wielki Kryzys lat 30. ubiegłego wieku. Wymusił on postępowe przezwyciężenie tej sprzeczności w formie socjalnego „państwa dobrobytu", co skutkowało wykreowaniem bardziej „ludzkiej twarzy" kapitalizmu, a zatem spuentowaniem drugiej transformacji upadkiem socjalistycznej alternatywy; restauracją w postkomunistycznych państwach politycznego systemu kapitalizmu, a zatem globowym upowszechnieniem systemu rynkowego. Głównym profitentem tej fazy stały się Stany Zjednoczone – zarówno jako wzorzec *american way of life*, jak i czołowe supermocarstwo.

Wynaturzeniem tej fazy stało się rozrzutne „społeczeństwo obfitości", bardziej na kredyt niż z realnych dochodów większości, skutkujące kolejnym wielkim kryzysem, trudniejszym do przezwyciężenia na skutek skojarzenia kryzysu ekonomicznego z konfliktem ekologicznym, stawiającym industrialną cywilizację wobec „być albo nie być" podobnie, jak zdarzyło się to wielu wcześniejszym, które z przesytu bezpowrotnie upadły.

Trzecia transformacja nie jest zatem idealistycznym zadaniem teoretycznym, lecz kategorycznie praktycznym. Determinanty konieczności i możliwości trzeciej transformacji industrialnej cywilizacji są bardziej niż uprzednich złożone. I tak:

- Podobne w spotęgowaniu technicznych możliwości adaptowania przyrody do ludzkich potrzeb bytowych, tym razem dzięki informatyce i głębszemu wniknięciu w atomową i komórkową strukturę materii. Umożliwiające łatwiejsze i intensywniejsze przetwarzanie i wytwarzanie dóbr wyzwalających od niedostatków i wzbogacających o rozliczne dostatki.
- Różne w skali potrzeb, spotęgowanych przez aspirowanie dostępu do profitów postępu cywilizacyjnego szerokich społeczności,

uwolnionych od ograniczeń kolonializmu i siermiężnego socjalizmu.

- Bardziej niż w uprzednich transformacjach konfliktogenne – bo charakteryzujące się nie tylko nadmiernym rozwarstwieniem zamożności, lecz i wymogami reprodukcji ekologicznych warunków bytu ludzkości.

Groźba upadku cywilizacji na skutek nadmiernego wyeksploatowania i zdewastowania ekologicznych podstaw ludzkiej egzystencji była znana od dość dawna. Za realnością tej groźby przemawiały świadectwa upadku wielu uprzednich wspaniałych cywilizacji, spowodowane nadmiernym wyeksploatowaniem ich naturalnego środowiska.

W przeszłości cywilizacje miały wszelako charakter ograniczony do jednej wyspy, fragmentu kontynentu, jednego morskiego, czy oceanicznego basenu. Po ich upadku odradzały się zatem kolejne cywilizacje w innych, mniej wyeksploatowanych miejscach.

Nasza współczesna cywilizacja ma wymiar globowy. Nadmierne wyeksploatowanie i zdegradowanie środowiska przyrodniczego nie rokuje odrodzenia w innym miejscu. Jej upadek mógłby zagrozić losom całej ludzkości – cofnięciem do ery przedprzemysłowej. Właściwe współczesności upowszechnianie masowej produkcji przemysłowej i wzorców konsumpcji, definiowanych jako *american way of life* bądź „społeczeństwo obfitości" – a ściślej „rozrzutności"[15] i napędzanej przez nachalność wszechobecnych reklam „wyrzutności" (*throwaway consumer society*, jak nazwała to amerykańska uczona Regina Lee Blaszczyk[16]) sprawia, że dla tego sposobu produkcji i konsumpcji zasobów Ziemi po prostu nie starczy. Do upowszechnienia standardu produkcji i konsumpcji Amerykanów na całą ludzkość trzeba by co najmniej czterech i pół planet. Amerykańska indywidualna konsumpcja była przed kryzysem siedmiokrotnie większa niż w Chinach. Upowszechnianie tego modelu i poziomu konsumpcji na całą ludzkość jest ekonomicznie nierealne i ekologicznie grożące katastrofą skutkującą upadkiem globowej cywilizacji.

Przez dziesięciolecia narastały praktyczne przesłanki reorientacji z właściwej „społeczeństwu obfitości" nadkonsumpcji, „rozrzutności"

[15] Wedle trafnej definicji A. Małkiewicza, *Kryzys. Polityczne, ekologiczne i ekonomiczne uwarunkowania*, Warszawa 2010, s. 15.

[16] R.L. Blaszczyk, *American Consumer Society, 1865–2005: From Hearth to HDTV*, 2009.

i „wyrzutności", generującej i potęgującej kryzys ekologiczny – na ekonomikę przyjazną współczesnym i przyszłym pokoleniom oraz przyrodzie. Konieczność szerszego wykorzystania tych możliwości stworzyła dopiero współczesna Wielka Depresja. Dla jej przezwyciężenia bowiem coraz bardziej bezskuteczne okazuje się zwiększanie produkcji i popytu w starym, dotychczasowym stylu – zarówno cywilnego, jak militarnego. Konieczna i profitująca – kapitałowo, politycznie i społecznie – okazuje się proekologiczna reorientacja zarówno przedsiębiorstw, jak i państw. Zaczyna to stymulować zmiany w ekonomicznym modelu i krajobrazie, z których wydedukować można, że zaczynamy wkraczać w jakościowo nowe stadium postępu globowej cywilizacji. Stadium, które można zdefiniować jako społeczeństwo racjonalnego dostatku. Dostatku niedegradującego przyrody i możliwego do upowszechniania na całą ludzkość. Takie bowiem są warunki *sine qua non* przetrwania i pokojowego rozwoju globowej cywilizacji.

Jak transformować?

W prognozie trzeciej transformacji industrialnej cywilizacji ustrzec się przed błędami pozwoli diagnoza nie tylko zadań, ale i zwiastunów kreowania oraz wdrażania koniecznych i możliwych zmian. Spisałem je w upublicznionym zarówno w druku, jak i w internecie tekście[17].

Treść i formę zaczynających się zmian można wydedukować z wielorakich, rozproszonych w różnych państwach i firmach przejawów praktycznego nowatorstwa. A zgodnie z właściwościami systemu demokratyczno-rynkowego, jego dotychczasowa żywotność i siła wynika między innymi z pragmatyzmu. To, co nowe, funkcjonalne i postępowe, wyrasta z efektywności praktycznych innowacji.

Twierdzę, że strategiczne kierunki wygrywania współczesnego kryzysu ekonomicznego i przezwyciężania konfliktu ekologicznego oraz kreowania społecznego postępu wyznaczać może i winno dziesięć najistotniejszych nurtów nowatorskiego rozwiązywania problemów ekologicznych, ekonomicznych, politycznych i socjalnych. Realnych, bo zyskow-

[17] Szerzej zob.: M. Gulczyński: *Harbingers of the Civilization of Rational Prosperity*, „ATHENÆUM Polish Political Science Studies" 2011, t. 29; www.gulmar28.wordpress.com.Wielki Kryzys wymusza wielkie cywilizacyjne zmiany.

nych, generujących zatrudnienie, profitujących wzrostem racjonalnego dostatku społeczeństw, pokojowych. Pomocnych nie tylko w reanimacji zdepresjonowanej gospodarki, lecz i w wykreowaniu wyższego – z punktu widzenia reprodukcji warunków ludzkiej egzystencji – stadium postępu globowej cywilizacji. Definiuję te działania i projekty jako dziesięć innowacyjnych R:

1) REGENERACYJNE – odnawialne źródła „zielonej" energii (wiatrowej, słonecznej i wodnej, z biomasy). To już nie eksperyment, lecz duże inwestycje (głównie w Chinach, które przodują w skali światowej – chiński rząd zainwestował w 2010 roku 54,4 miliarda dolarów w odnawialną energię. Wedle prezydenta Obamy, stwarza to dla USA wyzwanie tożsamej rangi, jak przed półwieczem wystrzelenie przez ZSRR Sputnika. Stąd proklamowany w orędziu o stanie państwa na rok 2011 program konwersji źródeł energii tak, by w 2035 roku 80 procent pochodziło z wiatru, wody, słońca i biomasy kosztem obcięcia dotacji dla koncernów naftowych, a już w 2015 roku milion samochodów byłoby napędzanych nie benzyną, lecz elektrycznością[18]. Na drugim miejscu – z inwestycjami w wysokości 41,2 miliarda dolarów są Niemcy; następne – Włochy – 13,9 miliarda dolarów, kolejne to Brazylia, Kanada, Hiszpania, Francja, Indie[19].

2) RECYKLING – wtórną przeróbkę zużytych produktów zamiast eskalacji przerabiania przyrody na towary. To też staje się coraz zyskowniejsze – przemysłowe odzyskiwanie plastiku z odpadów okazuje się wielokrotnie tańsze, bo wymagające poniżej 10 procent energii wymaganej do wytworzenia tego produktu z ropy naftowej. Znamienne, że technologia wprawdzie powstała w Ameryce, lecz tam funkcjonuje tylko zatrudniające 25 osób laboratorium – przemysłowe jej zastosowanie okazało się możliwe w krajach Unii Europejskiej – Austrii i Wielkiej Brytanii oraz w Chinach. Tam, gdzie istnieją już prawne regulacje stymulujące zbieranie i przetwarzanie tego typu odpadów. W USA dopiero się lobbuje za tym, by Kongres skopiował stymulujące recykling regulacje z Unii Europejskiej,

[18] *Ibidem*.

[19] O tym, że można to nie tylko zrobić, lecz i zarobić, świadczy fakt, iż Google inwestują 5 miliardów dolarów w budowę 500-kilometrowej linii elektrowni wiatrowych w atlantyckim szelfie, z rachubami na zysk z zaopatrywania w energię elektryczną 1,9 miliona domów od Nowego Jorku po Norfolk. Skromnym wprawdzie, lecz istotnym symptomem, że ten sposób „rachunku ekonomicznego" trafia także do Polski, są pojawiające się i w naszym krajobrazie energotwórcze wiatraki.

Japonii i Chin[20]. Program ONZ zakłada, że upowszechnianie recyklingu we wszystkich możliwych sferach wytwórczości, upowszechnianie odnawialnych źródeł energii oraz energooszczędnej produkcji i konsumpcji winno doprowadzić do rozwoju „zero-wyjaławiającego Ziemię". To nie tylko może, ale musi być możliwe – efektem eskalacji upowszechniania „cywilizacji rozrzutności i wyrzutności" byłoby bowiem nie tylko wyjałowienie, ale przekształcanie planety w wyeksploatowane i zaśmiecone odpadami produkcji i konsumpcji śmietnisko, a zatem grożące śmiercią cywilizacji globowej.

3) REKULTYWACJA przyrody – motywowana jest coraz częściej także wymogiem zyskowności, wyniszczenie ekosfery zwiększa bowiem zachorowalność ludzi, a więc i koszty leczenia oraz zmniejsza plony roślin, wymagających zapylania przez owady i zwalczania szkodników przez ptaki. Ten kierunek postępu zakłada nie tylko powstrzymywanie od wyjaławiania i zaśmiecania Ziemi, lecz przywracanie jej bujnej, przyrodniczej różnorodności i żywotności. To w istocie powtórzenie strategicznej zmiany, jaka dokonała się w początkach industrializacji w sferze uprawy gleby – zastąpienia prymitywnego wyjaławiania przez odnawianie żyzności wedle zasady „tyle wydajności, ile zasilania". Oznacza wyciągnięcie praktycznych i konsekwentnych wniosków ze zrozumienia, że Ziemia, niezastępowalna żywicielka ludzkości – niczym przysłowiowa chłopska krowa – „pyskiem doi". Że potęgowanie przerabiania przyrody na towary, do czego sprowadza się eskalacja rozwoju wedle reguł „społeczeństwa obfitości", a w praktyce „*warfare/welfare state*"[21] – spowoduje, że Ziemia nie tylko przestanie „doić", ale wręcz „zdechnie".

4) RACJONALIZACJA zaspokajania potrzeb na przykład przez usprawnianie komunikacji publicznej czy ograniczanie dostępu do kolidujących z interesem społecznym luksusów, takich jak posiadania przez jedną rodzinę wielu mieszkań w zagęszczonych regionach.

5) REDYSTRYBUCJA dochodów. Drastyczne zróżnicowanie dochodów jest powtarzalnie źródłem niestabilności systemów[22]. Koncentracja bogactwa okazuje się powtarzalnie kryzysogenna, najbogatsi bowiem

[20] T.L. Friedman: *Aren't We Clever?*, „The New York Times", Sept. 18, 2010.

[21] Tak definiuje amerykański system Lawrence Glickman: *Buying Power: A History of Consumer Activism in American*, Chicago–London 2009.

[22] N. Roubini, *The Instability of Inequality*, Project Syndicate, 2011.

nie tworzą popytu konsumpcyjnego na dobra wielkoseryjnej produkcji, a argument, że inwestują nadwyżki, okazuje się nieprawdziwy, gdyż inwestują coraz częściej tam, gdzie jest tańsza siła robocza, czyli za granicą, bądź w spekulacyjnym kapitale finansowym. Dowodem na to jest fakt, że w USA kryzysy wybuchały – zarówno w 1929, jak i 2008 roku – gdy górne 1 procent koncentrowało jedną czwartą dochodów, a górne 10 procent – połowę; czasy wysokiej koniunktury przypadły na lata, gdy dominujący udział w bogactwie miała średnia klasa dochodowa. W Europie Zachodniej udział dochodów z tytułu zatrudnienia spadł z 60 procent PKB w 1960 roku do 35 procent w 2010 roku – wzrosły odpowiednio dochody z zysków od przedsiębiorczości i operacji finansowych[23]. Właściwym na to remedium może być progresywne opodatkowywanie – z inwestowaniem środków publicznych nie w demobilizującą nadopiekuńczość (zbyt szczodrze rozdawane zasiłki, przedwczesne emerytury), lecz w pilotowanie inwestycji w nowatorskie technologie, edukację oraz postęp naukowy. Taka reorientacja staje się konieczna także ze względów politycznych. W Chinach, gdzie koncentracja bogactwa osiągnęła poziom jeszcze bardziej skrajny niż w USA, 1 procent najbogatszych rodzin dysponuje 41,4 procent prywatnego majątku, a potęgowanie nierówności dochodów traktowane jest jako główne potencjalne zagrożenie pokoju społecznego. Stąd przezwyciężanie antyegalitarnych tendencji uznano za jedno z głównych zadań programu państwowego na lata 2011–2015[24].

6) REDUKCJA popytu militarnego i zaangażowań wojennych. To istotne novum w sposobach przezwyciężania kryzysów, czego uprzednio dokonywano, kojarząc nakręcanie koniunktury przez popyt cywilny z popytem wojennym. Współcześnie, na skutek wielu zmian, powodowanych między innymi przez to, iż wojny toczą nie armie składające się z obywateli z powszechnego poboru, lecz wąskie grupy zawodowców; że mocarstwa – zarówno Rosja, jak i USA – powtarzalnie i sromotnie przegrywają z ochotniczą partyzantką wietnamską, afgańską, iracką, czeczeńską; że w czasie tej Depresji spada popyt na zbrojenia (w handlu światowym odnotowano w 2009 roku spadek o jedną trzecią w stosunku do roku poprzedniego). To łącznie sprawia, że problematyka militarna staje się – po raz pierwszy

[23] E. Hillebrandt, *Lewica szuka lewicowości,* „Gazeta Wyborcza" z 12–13 marca 2011.

[24] Chen Weihua, *Income gap, a woe for China and US*, „China Daily" 12 października 2010 r.

od dziesięcioleci – dalszoplanową wśród głównych kwestii absorbujących Amerykanów, Rosjan, Hindusów czy Chińczyków. A i Europejczyków oraz Polaków też – na szczęście.

7) REORIENTACJA celów aktywności gospodarczej przez zastępowanie „fetyszyzmu" miernika PKB (mierzącego całościowo wartość produkcji i usług – w tym zarówno cywilnej jak militarnej) – przez miernik Pożytku Społecznego Netto, PSN (taki jest sens propozycji zmiany miernika efektywności gospodarczej noblistów Josepha E. Stiglitza i Amartii Sena). Miernik uwzględniający nie tylko to, ile się wytwarza, ale jakie są ekologiczne koszty oraz jaki jest pożytek z racjonalnego zaspokojenia społecznych potrzeb. Uwzględniający rozróżnienie konsumpcji pozytywnej – racjonalnych potrzeb, od konsumpcji negatywnej – irracjonalnych pragnień, sztucznie kreowanych przez reklamę. Podobny jest sens zamiany miernika PKB na wskaźnik „Szczęścia Społecznego" w himalajskim państewku Bhutan[25]. Taki też postęp zakłada program chińskiej partii rządzącej, zdefiniowany – wedle tradycyjnych zwyczajów konfucjańskiej cywilizacji – jako kreowanie „społeczeństwa umiarkowanie dostatniego" (*xiaokang – moderately well-off society*). Dalszy rozwój Chin jest interpretowany tam nie jako „płynięcie z falą", naśladowanie cudzych i dewaluujących się wzorców postępu, lecz jako ostra rywalizacja z innymi nacjami współzawodniczącymi w dostosowywaniu się do głębokich zmian w globowej ekonomice, przez „płynięcie przeciw fali – ze świadomością, że alternatywą jest regres"[26]. To nie doraźna polityczna konstatacja, lecz przejaw zakorzenionego od tysiącleci w chińskiej tradycji ofensywnego pojmowania pojęcia „kryzys" – odzwierciedlanego zapisywaniem go dwoma ideogramami, oznaczającymi oddzielnie *wēj* (zagrożenie) i *jīn* (szansa na rozwój i postęp).

8) REWITALIZACJA demokracji. Przywracanie właściwego istocie tego systemu skojarzenia uprawnień do współdecydowania z obowiązkiem współodpowiedzialności za skutki tej formy uzgadniania społecznych zachowań. Ograniczenie uwagi do ekonomicznych aspektów

[25] P. Singer, *Can We Increase Gross National Happiness?* Project Syndicate, 2011; J.D. Sachs, *The Economics of Happiness,* Project Syndicate, 2011; Dasho Karma Ura, *An Introduction to Gross National Happiness (GNH)*, , www.schumachercollege.org.uk

[26] Zheng Quinyan, *Strive for a brighter future*, „China Daily" 23 października 2010.

konfliktu ekologicznego i trzeciej „wielkiej depresji" powoduje przegapianie, że istotnym ich źródłem jest erozja sedna demokracji. Procesy globalnego upowszechniania demokratycznych stosunków w minionym półwieczu koncentrowały się – w sferze politycznej nie na treści, lecz tylko bądź głównie na formie – prawie wyboru rządzących. W sferze ekonomicznej zaś na zastępowaniu właściwego autokratycznym systemom legitymizowania się rządzących przez „dawanie" środków egzystencji – właściwym dla demokratyczno-rynkowych stosunków „głosowaniem" poprzez zakup dóbr i usług. To był postęp istotny, lecz połowiczny. Powodujący dwojaką degenerację demokracji, a zatem i kryzys systemu. Sprzyjał bowiem wysferzaniu i oligarchizacji władzy politycznej i ekonomicznej – koncentrowaniu się elit na własnych interesach i problemach, zamiast na służbie interesom społecznym.

Taka forma postępu nie skłaniała ogółu do obywatelskiej współodpowiedzialności – zarówno za wybór i kontrolę rządzących, jak i za skutki swych ekonomicznych decyzji. Stąd zarówno spadek frekwencji wyborczej, jak i skłonność do nieodpowiedzialności nabywców za skutki konsumpcji nadmiernej, dewastującej i zanieczyszczającej środowisko, czego najwyrazistszym przejawem są współcześnie konflikty dotyczące wysypisk i utylizacji śmieci. Zapowiedzią przezwyciężania tej kryzysogennej dewiacji demokratycznych systemów są nie tylko przejawy intelektualnego uświadamiania jej przyczyn i natury, lecz i praktyczne przejawy kształtowania struktur społeczeństwa obywatelskiego, proekologiczne ruchy społeczne oraz postulaty i projekty wzrostu wpływów obywateli na decyzje władcze i ich egzekwowanie nie tylko przez wybory rządzących, ale i referenda w istotnych, kontrowersyjnych kwestiach.

Istotne szanse na zrewitalizowanie demokracji daje skojarzenie walorów postkonfucjańskiego etosu zespołowości – z pobudzającymi innowacyjność wartościami właściwymi demokracji w Chinach. To zadanie – określane jako „piąta modernizacja" – będzie zapewne trudniejsze i dłużej trwające niż transformacja z gospodarki rozdzielczej w rynkową[27]. Ujawniające się w tym państwie opory przeciw adaptowaniu demokratycznych wzorców mają bowiem źródła nie tylko w silnych tradycjach monokratycznych. Bardziej tam akceptowalnych przez społeczeństwo, bo wolnych od tendencji do gerontokracji, z przekazywaniem steru rządów kolejnym generacjom „mandarynów", co w pewnej mierze sprzyja

[27] J. Fischer, *Chinese Values?,* Project Syndicate, 2012.

kojarzeniu ciągłości z innowacyjnością[28]. Także w zasadnej – w świetle doświadczeń innych zdemokratyzowanych pośpiesznie społeczeństw – niechęci do bezkrytycznej transplantacji wzorców zachodniej demokracji. Obaw, iż może to skutkować zastąpieniem właściwego konfucjonizmowi etosu zdyscyplinowania i zespołowości przez wybujały indywidualizm oraz wolność pojmowaną jako wolność od zobowiązań i współodpowiedzialności. „To nie całkiem prawda, że Chiny odrzucają zachodnie wartości, takie jak demokracja – oni raczej toczą spory o nie"[29].

9) REGIONALIZM, czyli glokalizacja – definiowana trafnie hasłem: myśl globalnie – działaj lokalnie. Może być – i już bywa tam, gdzie jest nie tylko hasłem, lecz praktyką – zarówno remedium na zagrożenia stwarzane przez dziką globalizację, niekontrolowaną przez żadne demokratyczne instytucje, jak i instrumentem pozytywnego wpisywania się społeczności lokalnych w procesy globalizacji – wykorzystywania szans, jakie stwarza światowa wymiana dóbr i informacji w modernizowaniu i wzbogacaniu egzystencji społeczności lokalnych. W tym zwiastunie szans na przezwyciężenie zagrożeń i wygranie kryzysu mieścić się może i powinna kwintesencja wszystkich uprzednich form postępu.

Procesy globalizacji powodują wprawdzie nasilenie migracji – głównie z nierozwiniętych i słabiej rozwiniętych regionów do wyżej rozwiniętych. Tam, gdzie ta tendencja staje się dominująca, stanowi zagrożenie dla globowego ładu. Skutkuje bowiem wyjaławianiem uboższych regionów z najsprawniejszych zawodowo – a zatem potęgowaniem zubożenia i napięć między obszarami bogactwa i nędzy. Pozytywną alternatywą jest regionalizm – rozumiany nie jako konserwatywna separacja od świata, lecz glokalizacja: włączanie się społeczności lokalnych w procesy cywilizacyjnego postępu podmiotowo i partnersko – w sposób świadomy zarówno szans, jak i zagrożeń stwarzanych przez procesy globalizacji. Nacelowane zatem na optymalne wygrywanie pozytywów i neutralizowanie negatywów – z punktu widzenia interesów nie tylko doraźnych, lecz perspektywicznych całej lokalnej społeczności.

Patrząc z tej perspektywy – w takim, regionalnym wymiarze najpełniej widać zarówno zagrożenia stwarzane przez kompromitujący się

[28] Zob. *Dalekowschodnie systemy polityczne*, [online:] www.academia.edu, M. Gulczyński, *Panorama systemów politycznych świata,* Warszawa 2004, s. 240––276.

[29] *The debate over universal values,* „The Economist" Sept. 30th, 2010.

model „społeczeństwa obfitości" – jak i walory „społeczności racjonalnego dostatku". A zatem celowości wszystkich dziewięciu zdefiniowanych tu dróg cywilizacyjnego postępu. Dobrym tego przykładem wydają się współczesne Niemcy, których gospodarka radzi sobie bodaj najlepiej z kryzysem z euroamerykańskiego obszaru, dzięki – jak pisze amerykański obserwator – „skojarzeniu socjaldemokratycznych wartości z lokalizmem". Przejawiającym się w preferowaniu przedsiębiorczości właścicielskiej, a nie akcyjnej, produkującej na światowe rynki – lecz silnie osadzonej w konkretnych landach, z obsługującymi je bankami municypalnymi, dbałością o zawodową stałą kadrę, jej rozwój i udział we współzarządzaniu. Przeciwstawia to tenże autor diametralnie odmiennym tendencjom wpisywania się w globalizację kapitalizmu amerykańskiego – nastawionego bardziej na spekulacje finansowe i przerzucanie produkcji w te obszary globu, gdzie łatwiej o zysk kapitałowy, ze stratą wszelako dla ładu społecznego we własnym kraju[30]. Zwiastuny pozytywnego regionalizmu można dostrzec także w wielu innych krajach – w tym także w Polsce. Ujawnia się to wyraziście w wyborach samorządowych – w preferowaniu przez wyborców tych liderów, którzy samorządzą, kierując się interesami lokalnej społeczności – coraz częściej bezpartyjnych, gdyż koliduje to z interesami elit partyjnych, sterowanych centralnie – co częstokroć bywa sprzeczne z interesami lokalnymi.

10) REEDUKACJA – uczenie się, jak rozumnie żyć w globowej cywilizacji racjonalnego dostatku[31].

Konieczność adekwatnego postępu w wyrównywaniu szans edukacyjnych i dostępności do wyższych szczebli edukacji wedle zdolności, a nie wedle zamożności – wymusza fakt, iż w tej sferze koncentruje się współcześnie główne kryzysogenne zagrożenie kapitalistycznego systemu.

Wspólną przyczyną wszystkich trzech wielkich kryzysów kapitalizmu jest nadmierna koncentracja bogactwa w ręku nielicznych, skutkująca zatorami blokującymi funkcjonalność systemu.

---

[30] H. Meyerson, *How Germany Got it right on the economy*, „The Washington Post", 24 listopada 2010 r.

[31] Sedno tej istotnej zmiany cywilizacyjnej zdefiniowałem w upublicznionym zarówno w druku, jak i w internecie odrębnym tekście; zob. M. Gulczyński, *Jak uczyć się uczyć żyć w epoce globalizacji* [w:] *Nowoczesny Lewiatan. Studia nad współczesnym państwem*, red. J. Kornaś, Kielce 2006; *Jak uczyć się uczyć żyć w epoce globalizacji*, www.gulmar28.wordpress.com.

Podczas „wielkiej paniki" ta chroniczna przypadłość objawiała się w powstawaniu monopoli wykaszających z rynku średnie i drobne firmy i blokujących konkurencyjność stymulującą postęp techniczny. Lenin w dziele *Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu* zdefiniował trafnie tę ułomność – błędnie wnioskował, że spowoduje to upadek kapitalizmu. Skutecznym na to remedium okazała się interwencja państwa: ustawowy zakaz monopolizacji (zapoczątkowany w USA tak zwaną ustawą Shermana z 1890 roku).

W czasach ubiegłowiecznego wielkiego kryzysu – w kryzysie nadprodukcji na skutek niedostatku popytu ubożejącej większości na wytwarzaną taśmowo masową produkcję. Rachuby na rewolucyjną klapę kapitalizmu okazały się i tym razem bezpodstawne. Skutecznym remedium stała się interwencja państwa nakręcająca popyt przez ustawodawstwo socjalne zwiększające siłę nabywczą mas.

Współcześnie okazuje się, że „ślepa ręka rynku" skutkuje wysferzaniem zawężającej się czołówki najbogatszych – nie tylko kapitalistów, lecz i salatariatu. Współczesne technologiczne innowacje zwiększają bowiem popyt na mniej licznych, lecz wysoko wyedukowanych pracowników – wpędzając w bezrobocie i chroniczne ubóstwo większość tych, których nie stać na zainwestowanie w edukację własną i potomstwa. „Studiowanie staje się konieczną przepustką do ekonomicznego sukcesu w Ameryce (a i wszędzie indziej zapewne też – przyp. M.G.). Oczywiste się staje, iż przyszła praca wymaga edukacji i dokształcania powyżej szkoły średniej. I chociaż bardziej niż kiedykolwiek konieczne jest uzyskanie stopnia naukowego, dyplomu i fachowych umiejętności – staje się to bardziej niż uprzednio kosztowne. Koszty studiowania rosły od 1995 roku w całym kraju niemal pięciokrotnie szybciej niż przeciętne dochody gospodarstw domowych. Skutkuje to coraz większym zadłużaniem studiujących i ich rodzin. Pożyczanie na studiowanie zwykło być uprzednio wyjątkiem, współcześnie staje się regułą, jak konstatuje Sekretarz Departamentu Edukacji administracji Baracka Obamy Arne Duncan[32]. F. Fukuyama twierdzi, że to właśnie „ten fenomen powoduje drastyczny wzrost współczesnej generacji nierówności społecznych w Stanach Zjednoczonych. O ile w 1974 roku dochody górnego jednego procentu rodzin wynosiły dziewięć procent PKB, to w 2007 roku wzrosły do 23,5 procent. Dochody z przedsiębiorczości i korzyści z polityki podatkowej mogły przyspieszać ten trend, lecz

[32] *Lower Student Loan Interest Rate,* www.huffingtonpost.com.

głównym winowajcą są zmiany w technologii. We wcześniejszych fazach industrializacji – w epokach zdominowanych przez tekstylia, węgiel, stal, maszyny spalinowe – beneficja zmian technologicznych spływały w różny sposób do reszty społeczeństwa w formie płacy za pracę. Współcześnie żyjemy w »epoce mądrych maszyn«, w której technologia w rosnącym tempie staje się zdolna do zastępowania coraz powszechniej i coraz bardziej człowieka. Każdy postęp w Dolinie Krzemowej oznacza eliminowanie zapotrzebowania na niżej wykwalifikowaną pracę we wszystkich sferach gospodarki, i nic nie wskazuje, by trend ten kiedykolwiek się skończył"[33].

W Polsce dysfunkcjonalność systemu kształcenia ma wprawdzie inne formy niż zadłużanie się na studia, niemniej jest tożsama w stymulowaniu rozwarstwienia społecznego i skazywaniu na bezrobocie lub „śmieciowe" zatrudnienie gorzej, bądź wcale nie wyedukowanych, zgodnie z rosnącymi wymogami rynku pracy.

Póki co, rozpoznawane są symptomy tego zatoru funkcjonalnej reprodukcji kapitalistycznych społeczeństw, lecz brak na nie remediów. Są pomysły, których sednem jest:

- zwiększenie szans powszechniejszego podnoszenia kwalifikacji przez egalitaryzację dostępu do wyższych poziomów edukacji przez systemy stypendialne i obniżki oprocentowania pożyczek na studia sprzyjające różnicowaniu wedle uzdolnień, a nie wedle zamożności rodziców, oraz wdrażanie systemów umożliwiających permanentne dokształcanie wraz z wymogami postępu w technikach wytwarzania,
- zmian w systemie edukacji zwiększających dostęp do ośrodków edukacyjnych z „wyższej półki" – umożliwiany dzięki internetowi (wzorem Harvardu otwierającego bezpłatne kształcenie *on line*),
- zwiększenie szans powszechnego zatrudnienia i permanentnego dokształcania przez zmniejszenie czasu pracy – ograniczenie do czterech czy trzech dni w tygodniu oraz długości dnia pracy.

Bez interwencji politycznej tej ekonomicznej kryzysogennej „zagwozdki" nie da się przezwyciężyć, podobnie jak zastępowania dewastacyjnego wyścigu w przerabianiu przyrody na towary przez reprodukowanie ekologicznych warunków egzystencji społeczeństw.

---

[33] F. Fukuyama, *The Future of History – Can Liberal Democracy Survive the Decline of the Middle Class?*, „Foreign Affairs" January/February 2012.

Wiele wskazuje, że postęp w tej dziedzinie może i musi dokonać się przez generalną modyfikację nie tylko środków, lecz i celów ekonomiki, przezwyciężającą właściwe dotychczasowej uwikłanie kapitalistycznych społeczeństw w determinowane skoncentrowaniem na eskalacji rozszerzonej reprodukcji kapitałów: „spędzanie życia w pracy, której nie znoszą, by móc kupić rzeczy, których nie potrzebują, żeby zrobić wrażenie na ludziach, których nie lubią"[34].

Jaka lewica na nowe, trudne czasy?

Zdefiniowane wyżej zmiany w sposobach pojmowania i realizowania postępu stanowią sedno zadań trzeciej transformacji industrialnej cywilizacji. Stają się zatem nowym probierzem prawicowości bądź lewicowości, tak ideologicznej, jak i politycznej.

Prawicę identyfikowano zazwyczaj wedle opowiadania się za:

- elitaryzacją – przeciwko egalitaryzacji,
- konserwowaniem tradycyjnych porządków, czyli przeciwko zmianom.

W systemach autokratycznych prawica elitaryzuje i konserwuje pod różnymi flagami, o dziwo z nazw i barw lewicowymi. W kapitalizmie – zazwyczaj pod prawicowymi:

- forsując wolnorynkowość bez państwowych ograniczeń i redystrybucji bogactwa, korumpując demokrację przewagą kapitałową. Dotkliwiej niż w uprzednich kryzysach, bo:
  - globalizacja skutkuje ucieczką kapitałów na intratniejsze rynki i ułatwia wzbogacanie na spekulacjach finansowych,
  - komputeryzacja powtarzalnych czynności w produkcji i usługach zmniejsza popyt na mniej wykwalifikowaną siłę roboczą skutkując chronicznym bezrobociem,
  - konflikt ekologiczny potęguje negatywne skutki wolnorynkowej swawoli.

Prawicowe ideologie, programy i rządy potęgują powtarzalnie kryzysowe dołowanie, bo:

[34] R. Siewiorek, *Uciec z ubojni dusz*, „Gazeta Wyborcza", 8–9 września 2012 r.

- optują za przezwyciężaniem kryzysu przez niewidzialną rękę swawolnego rynku,
- negują zagrożenia ekologiczne i przezwyciężające go polityczne rygory i działania,
- opowiadają się przeciwko zakazom spekulacji finansowych oraz progresywnemu opodatkowaniu i znoszeniu ulg podatkowych dla najbogatszych,
- są przeciwni angażowaniu państwa w rozwiązywanie istotnych potrzeb społecznych niedostatecznie rozwiązywanych przez rynek,
- zwalczają postęp w obyczajowej tolerancyjności i zrównywaniu uprawnień mniejszości,
- są skłonni do rozładowywania populistycznego gniewu potęgowaniem zmyłkowych konfliktów z Innymi rasowo – narodowo – religijnie i wojen pomocnych nie tyle w podbojach, co w pacyfikowaniu własnych społeczności i nakręcaniu koniunktury popytem na militaria.

To łącznie sprawia, że prawicowe ruchy nie są zdolne progresywnie przewodzić wyzwaniom przyszłości.

Lewica bywała – i jest – różna w różnych czasach i miejscach: socjalnie – roszczeniowo – programowo – realizatorsko…

W kapitalizmie – po upadku realnego socjalizmu jeszcze bardziej się to pokomplikowało.

Współcześnie do lewicowości przyznają się:

- anarchiści – sedno ich programów to „zepsuć zabawę uprzywilejowanym" – bez pozytywnej alternatywy;
- wyszarpywacze – roszczeniowo walczący o udział w podziale PKB – bez zmian w sposobach wytwarzania i konsumowania tegoż;
- oburzeni – ściślej obudzeni „z ręką w nocniku" zadłużeń pogonią za iluzjami „społeczeństwa obfitości"= bezskutecznością wyszarpywania;
- angażujący się w postęp w istotnych dla mniejszości lecz marginalnych dla interesów większości sferach zrównywania uprawnień;
- załapujący się na polityczne posady z poparciem elektoratu, związanego rodowodem i sentymentem z epoką realnego socjalizmu;
- rozkojarzeni kapitalistyczną restauracją i kryzysem – nie wiedzący, komu przypisać swoją wierność lewicowym ideałom. Ich współczesny stan ducha odzwierciedla bodaj najtrafniej przekorna modlitwa:

Ześlij dobry Boże dar odróżniania polityków lewicowych od lewusów – bo przy poprzednich wyborach tego daru nie mieliśmy i fatalnie na tym wyszliśmy;

- świadomi, że:
  - wyzwań współczesności nie da się zrealizować tylko metodami prawicowymi, czyli wolnorynkowymi, lecz także lewicowymi w starym stylu, zarówno reformistycznymi, jak real-socjalistycznymi;
  - lewicowość to postępowość, czyli opowiadanie się za zmianami, zwiększającymi szanse przeżycia i osiągania satysfakcji z życia współczesnych i przyszłych pokoleń i narodów. Takie podejście wymaga bezdogmatyczności w opowiadaniu się za postępem (wedle kryteriów humanitarnie pojmowanej postępowości), byle do przodu;
  - spotęgowanie przez postęp technologiczny zdolności wytwórczych stwarza możliwość i konieczność głębokiej modyfikacji celów ludzkiej aktywności, zastępowania determinowanych przez pogoń za rozszerzoną reprodukcją kapitału przeciążeń pracą i nadkonsumpcją przez racjonalniejszy model powszechnej egzystencji;
  - taki postęp wymaga współcześnie nie tylko egalitaryzacji podziału, lecz i współodpowiedzialności za ekologiczne skutki wytwarzania i konsumowania, zarówno w skali lokalnej – narodowej, jak kontynentalnej i globowej. Wymaga przezwyciężania dominującej w dotychczasowym rozwoju „gry o sumie zerowej" z Ziemią, jej surowcowymi i przyrodniczymi zasobami; gry sprawiającej, iż wzrost efektywności ekonomicznej skutkował nieuchronnie wzrostem defektywności surowcowo-przyrodniczej. Rozwój i postęp powinien być planowany wedle reguł „gry o sumie dodatniej", w której wzrost produkcji i konsumpcji dekomponuje wprawdzie oblicze Ziemi, lecz nie degraduje per saldo jej przyrodniczych walorów w sposób najczęściej barbarzyński.

Szanse na wygranie trzeciego Wielkiego Kryzysu i progresywne wykreowanie racjonalniejszego niż destruktywna ekologicznie, rozwarstwiająca socjalnie i przeciążająca ludzką egzystencję ekonomia „społeczeństwa obfitości" – rokuje przezwyciężenie rozkojarzenia lewicowych ruchów, wykreowanie lewicy skłonnej i zdolnej do rozpoznania sedna wyzwań przyszłości.

Taki kierunek zmiany celów i metod gospodarowania rokuje nie regres, lecz racjonalizację gospodarczej aktywności. Nie zubożanie i pogorszenie jakości ludzkiej egzystencji, lecz racjonalniejsze i wszechstronniejsze zaspokajanie ludzkich potrzeb materialnych, intelektualnych i emocjonalnych.

Takie podejście wymaga świadomej i zdecydowanej „ucieczki w przyszłość", polegającej na kreowaniu pozytywnej alternatywy cywilizacji racjonalnego dostatku.

Przekładając ten postulat na język zadań – trzeba pożegnać się świadomie i bez żalu z formułą postępu, zakładającą upowszechnianie „społeczeństwa obfitości", jako nierealistycznej społecznie i dewastacyjnej ekologicznie.

Należy więc rozpoznawać zwiastuny nowego stadium postępu cywilizacyjnego w zalążkowych przejawach nowatorskich zmian w technologiach, wzorcach konsumpcji, sposobach użytkowania dóbr, projektowania celów i mierzenia rezultatów aktywności gospodarczej. To bowiem, co dziś wydawać się może idealistyczną mrzonką, fanaberią, utopijnym ruchem oporu nawiedzonych ekologów, jutro może i winno się stawać *mainstreame'm* – powszechną modą i wygodą cywilizacji racjonalnego dostatku.

Od tego, czy taka lewica wyklaruje się w przyszłości, zorganizuje i ukierunkuje społeczne myślenie i działanie – zależeć będą przyszłe losy ludzkości.

Stanisław Kwiatkowski

Pamięć o przeszłości w polityce SdRP/SLD (w latach 1990–2010)

Jesteśmy tym, co pamiętamy.
I im mniej pamiętamy, tym mniejsi jesteśmy.
Carlos Ruiz Zafón

Był pamiętny rok 1989. Socjaldemokraci odziedziczyli po PZPR i okrągłym stole klub parlamentarny, mogli także liczyć na prezydenta RP Wojciecha Jaruzelskiego; mieli konkurencję rodem z „Solidarności", chociaż silną poparciem społecznym, jednak niedoświadczoną politycznie. Jak na początek nowej drogi – zupełnie niezła pozycja wyjściowa, chociaż perspektywy, jak się wówczas powszechnie sądziło – dość odległe. W pierwszych wolnych wyborach parlamentarnych w 1991 roku mieli drugi wynik, chociaż poszli z garbem przeszłości, z szansami potomstwa z nieprawego łoża. Kto się mógł spodziewać, że już dwa lata później będą partią rządzącą?

W powojennej historii Polski, jak sięgam pamięcią, pochodzenie i stosunek do przeszłości zawsze stanowiły ważne kryterium podziału politycznego obywateli, czasami najważniejsze. W pierwszym okresie Polski Ludowej nobilitowało pochodzenie robotniczo-chłopskie, potępiano zaś sanację, czyli rządy przedwrześniowe, oraz osoby obce klasowo, na

przykład „obszarników" i „kułaków". W dzisiejszych realiach na podobnej zasadzie ci, „którzy angażowali się w PRL", traktowani są w konserwatywnych mediach niemal jak osoby podejrzane lub z marginesu społecznego. Nawet był taki polityk z Konfederacji Polski Niepodległej, który rozwinął akronim PZPR jako „Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji", potem sam został oskarżony – o ironio! – jako płatny zdrajca (czyżby na zasadzie wzajemności można rzec, że KPN znaczyło: „Kapuś Podły Najemnik"?).

Młodzi pytają osób starszych: Czy był/-a pan/-iw partii? Często jest to pytanie o stygmat, piętno, o jakieś ukryte wstydliwe znamię. A przecież do tej partii należały miliony, w tym ludzie zasłużeni dla społeczeństwa i Polski, tacy, którzy dla zmian demokratycznych zrobili znacznie więcej niż dzisiejsi radykalni antykomuniści, którzy mają mentalność właśnie komunistyczną (na przykład też chcieliby zaczynać wszystko od nowa i po swojemu: burzyć pałace, teraz Pałac Kultury i Nauki; eliminować z życia publicznego wszystkich o złym pochodzeniu; nawracać na swoją wiarę przeciwników wytypowanych przez IPN i służby specjalne). Prawicowej propagandzie udało się zatrzeć różnice pomiędzy stalinowskim komunizmem a późniejszym okresem „socjalizmu realnego" w Polsce. W ten sposób łatwiej szkalować ludzi z pokolenia aktywnego politycznie w tamtym czasie. Nie uwzględnia się, że w partii oprócz konserwatywnej części aparatu byli w nim autentyczni działacze, ludzie myślący nowatorsko, światli reformatorzy; że wśród zwykłych, szeregowych członków byli społecznicy, a nie tylko karierowicze; że co ósmy członek „Solidarności" w 1981 roku, jak się szacuje, był zarazem w PZPR.

Z PZPR do Socjaldemokracji RP

Partia polityczna, określając swoją tożsamość, odwołuje się do tradycji, z którymi się utożsamia, ideowych korzeni, co znajduje wyraz w dokumentach programowych i sformułowaniach na publiczny użytek. Od początku, już w tezach deklaracji programowej Socjaldemokracji RP, przygotowanej podczas ostatniego zjazdu PZPR, a więc po rozwiązaniu poprzedniczki, co prawda pośrednio odcinano się od praktyki doktryny politycznej poprzedniego systemu i jego dogmatów ideowych, jednak własną tożsamość wyrażano nie poprzez ocenę przeszłości, lecz kreśląc wizję i odnosząc się do cenionych wartości. W tekście Deklaracji uchwalonej przez Kongres Założycielski 28 stycznia 1990 roku nie było jednoznacznej

oceny dziedzictwa PRL, powołano się na polską tradycję socjalistyczną oraz dorobek Międzynarodówki Socjalistycznej, stwierdzając, że SdRP jest „integralnym składnikiem lewicy europejskiej i światowej". Organizująca się partia unikała w swojej retoryce pojęć kojarzonych z minionym systemem, wzmianek o Polsce Ludowej, socjalizmie, kapitalizmie i PZPR, określeń niewygodnych w nowych realiach, jakby chciano ukryć własną przeszłość, prawdziwe barwy nowego kostiumu, zapobiec posądzeniom o postkomunizm i czysto pragmatyczną zmianę szyldu. Dopiero w programie społeczno-gospodarczym (przyjętym 23 marca 1991 roku) sprzeciwiano się „tendencyjnej, jednostronnej i krzywdzącej ludzi pracy ocenie całej powojennej przeszłości Polski", wspomniano o powojennej industrializacji i urbanizacji, likwidacji analfabetyzmu i bezrobocia, awansie społecznym milionów obywateli, zarazem, żeby nie było wątpliwości, odrzucano „niedemokratyczne metody rządzenia i nieefektywny system gospodarowania z okresu realnego socjalizmu"; chociaż nie wymieniono nazwy PZPR, stwierdzono, że polskie przemiany nie byłyby możliwe bez reformatorskiego nurtu lewicy i że nowa partia jest kontynuatorką tego nurtu.

Aleksander Kwaśniewski, jako przewodniczący SdRP, niejednokrotnie deklarował chęć współpracy z ugrupowaniami postsolidarnościowymi i liczył, tak jak jego partia, że „z upływem czasu słabnąć będą uprzedzenia, które współpracę taką obecnie hamują, a górę weźmie troska o Polskę". Na pytanie dziennikarki tygodnika „Wprost": „Czy nie sądzi pan, że brak jasnego stanowiska wobec przeszłości, był poważnym błędem politycznym?", odpowiedział: „Gdyby oferta brzmiała: »przeproście, oderwijcie się, ustosunkujcie do przeszłości, a wtedy my uznamy, że jesteście gotowi do wejścia na salony«, to można by ją było poważnie rozpatrzyć. W istocie proponowano nam: »przeproście za PZPR, za stalinizm, za stan wojenny, przyznajcie, że byliście płatnymi pachołkami i zdrajcami i wtedy ostatecznie wykażecie, iż wasze miejsce jest na śmietniku historii«. Taka jest istota kampanii, jaką prowadzą przeciwko nam ZChN i KPN. Jak się siedzi w więzieniu, to myśli się o zemście. Nie ma co ukrywać, że mamy do czynienia z politycznym rewanżem i trzeba to zrozumieć. Tym bardziej, że nowej władzy idzie ciężko i dobrze móc wskazać od czasu do czasu przyczynę wszystkich problemów i bolączek[1].

[1] „Wprost" z 11.10.1992 r. (Z Aleksandrem Kwaśniewskim rozmawiała Agnieszka Sowa).

Kwaśniewski dawał wyraz rozczarowaniu, miał nadzieję, że biorąc współodpowiedzialność za kształt transformacji ustrojowej, zyska tym samym swego rodzaju legitymizację miejsca SdRP w nowych polskich realiach. Niestety, przed wyborami w 1993 roku nasiliły się „żenujące napaści polityczne" zmierzające do „eliminacji ze sceny politycznej niewygodnych konkurentów" w ramach dekomunizacji (cytaty z programu wyborczego).

W tych warunkach socjaldemokraci zaostrzyli retorykę wyborczą, po raz pierwszy po trzech latach, w deklaracji programowej uchwalonej podczas II Kongresu SdRP w roku 1993 odwołano się wprost do PZPR. W uzasadnieniu prezentowanego stanowiska stwierdzano na temat swojego dziedzictwa, że partia „wyrasta z wieloletnich przemyśleń i zmagań demokratycznych i patriotycznych nurtów w PZPR". Ponowiono wcześniej podnoszony sprzeciw wobec prób marginalizacji z powodu pochodzenia („podyktowane względami politycznymi rugi personalne szkodzą gospodarce i życiu społecznemu"), tym razem kategorycznie protestując przeciwko „dyskryminacji wynikającej z wczorajszych lub dzisiejszych poglądów politycznych"; przeciwko odpowiedzialności zbiorowej, „karania i dyskryminacji ludzi niewinnych tylko dlatego, że byli aktywni w życiu politycznym okresu PRL".

Tak wyraźnych odniesień do przeszłości już nie było w programie wyborczym koalicji (26 ugrupowań) pod nazwą Sojusz Lewicy Demokratycznej w 1993 roku, co poniekąd zrozumiałe – po pierwsze, z uwagi na różnych sojuszników tworzących blok wyborczy/koalicję „na zasadzie wzajemnego poszanowania swoich tożsamości"; drugi powód to nasilające się w rywalizacji wyborczej oskarżenia przeciwników o niecne intencje i dążenie do restauracji starego systemu; wypominano „postkomunistom" pochodzenie, że chcieli zaczynać z czystym kontem, w nowej formule „politycznej struktury integracyjnej dla partii, związków zawodowych, organizacji społecznych i osób niezorganizowanych, związanych z socjaldemokratycznymi ideami sprawiedliwości i równości społecznej" (z programu wyborczego SLD pt. „Tak dalej być nie musi" z roku 1993).

Wyrazistość ideowa, ofensywność, określanie swojej tożsamości przez odwołanie się do własnego dziedzictwa, jak się okazało, przyniosły lewicy sukces wyborczy jesienią 1993 roku. Socjaldemokraci prowadzeni przez Kwaśniewskiego ledwie trzy lata po przełomie w 1989 roku dokonali rzeczywiście czegoś, co wydawało się nieprawdopodobne, przejęli władzę w Polsce. Jako lider zwycięskiego ugrupowania, mając legitymizację

zdobytą w demokratycznej procedurze, Kwaśniewski mógł powiedzieć w Sejmie ku zaskoczeniu zebranych: „Przepraszam wszystkich tych, a są tacy na tej sali, którzy doświadczyli krzywd i niegodziwości władzy przed 1989 rokiem". Po tym historycznym geście przeprosin za przeszłość, w tym samym wystąpieniu, przewodniczący socjaldemokratów zwrócił się zarazem do ludzi, którzy w pierwszych latach solidarnościowych rządów poczuli się „odrzuceni, których dorobek i uczciwa praca była zakwestionowana", do tych swoich wyborców, „którym odbierano godność i satysfakcję z osiągnięć minionych dziesięcioleci". Apelował do nich: „Macie pełne prawo chodzić z podniesionym czołem. Dzięki wam odbudowano i budowano, kształcono miliony ludzi, rozwijano gospodarkę, zapewniano zewnętrzne i wewnętrzne bezpieczeństwo".

Polityka przełomu A. Kwaśniewskiego była projekcją w przyszłość porozumienia ponad podziałami. Stając do rywalizacji o prezydenturę RP w roku 1995, od początku wzywał do jedności narodowej i zapomnienia o dawnych urazach, był za tworzeniem consensusu społecznego wokół nowych zadań i konieczności. Uważał, że „Polsce bardziej potrzebny jest program rozwoju dla przyszłości niż rozliczanie się z przeszłością"[2]. Chciał być prezydentem wszystkich Polaków, stawał w obronie poszkodowanych przez reformy ustrojowe, tych, którzy czuli się bardziej ofiarami niż beneficjentami transformacji i sprzeciwiał się polityce, która sprowadzała się do ciągłego kwestionowania, rozliczania czy wręcz przekreślania PRL-u. „Miliony ludzi pracowały w dobrej wierze i za to należy im się minimalny choćby szacunek społeczny"[3]. Po prawej stronie wypominano mu te „akcenty populistyczne". Złośliwie sugerowano, żeby hasło wyborcze „cudownego dziecka polskiego postkomunizmu" czytać: „zapomnijmy przeszłość"[4].

Repetycje z pierwszej elekcji Aleksandra Kwaśniewskiego

Główni przeciwnicy Kwaśniewskiego w tamtej kampanii to zwolennicy dekomunizacji, lustracji, propagatorzy porachunków za doznane lub

[2] „Polityka" z 29.09.1994 r.

[3] *Ibidem*.

[4] R. Kuraszkiewicz, *Polityka nowoczesnego patriotyzmu*, Dębogóra 2010, s. 57.

tylko wyimaginowane krzywdy. Na jakie poparcie mogli liczyć – widać było po liczbie zwolenników ZCHN i KPN, Leszka Moczulskiego i Jana Olszewskiego. Znamienny był też przypadek Hanny Gronkiewicz-Waltz. Na starcie dała się poznać jako spokojna, sympatyczna kobieta, wypowiadająca się rzeczowo, fachowo jako prezes NBP. Jej notowania w sondażach przedwyborczych szybko rosły, aż do 19 procent. Potem, w trakcie kampanii zobaczyliśmy w telewizji kogoś innego: wojującą antykomunistkę, rozmodloną, odpustową bigotkę, uczestniczkę prawicowej kłótni w konwencie Świętej Katarzyny. Nagła zmiana jej wizerunku, a może naga prawda, unaoczniła mankamenty Gronkiewicz-Waltz. Okazało się, że pani prezes jest osobą politycznie niesamodzielną, że jej suflerami są przegrani politycy prawicowi i biskupi, że utożsamia się z nią ZCHN. Kredyt zaufania spadł do niecałych 3 procent.

Szansę na szersze poparcie miał również Jacek Kuroń – dobrze już znany człowiek kompromisu. W jego kampanii, w pewnym momencie przeważyła jednak wola walki „z komuną". Szedł prosto do przegranej wiedziony przez Inicjatywę 3/4 – młodych organizatorów spektakli nienawiści pod patronatem Jana Rokity, według którego prezydentura Kwaśniewskiego oznaczała „wielki kryzys i nieszczęście". Kuroń przegrał, gdy zaczął kokietować prawicowo zorientowanych wyborców i elektorat Lecha Wałęsy. Być może doszedł do wniosku, że Wałęsa się nie liczy z uwagi na ponad 50-procentowy elektorat negatywny, zaś głosy lewicy zabiorą mu Tadeusz Zieliński oraz Aleksander Kwaśniewski, z którym może spotkać się w drugiej turze, jako że w notowaniach parę miesięcy wcześniej był równorzędnym partnerem lidera SLD. Kuroń oskarżany przez ZCHN i Radio Maryja z powodu „komunistycznego haka" w życiorysie i skłonności do układów z socjaldemokratami – zaczął odcinać się od lewicowych korzeni, straszyć „pocałunkiem śmierci". A że był po wypadku rowerowym, lewica przyjęła tę wypowiedź z wyrozumiałością: upadł na głowę.

Zieliński chciał być ponadpartyjny, podobnie jak Kuroń („ani z lewicy, ani z prawicy, tylko z Żoliborza"). Ale tym razem nie było zapotrzebowania na człowieka znikąd, „spoza układów". Kazus Tymińskiego z Peru już się nie powtórzył. Natomiast kilku pretendentów o nazwiskach na literę „P" w zasadzie się nie liczyło. Waldemar Pawlak zdobył gorszy rezultat niż PSL w wyborach parlamentarnych; Jan Pietrzak, co prawda wesoło się kojarzył, jednak zabawniejszy był Janusz Korwin-Mikke (nazwisk

dwóch innych „popaprańców" nie pamiętam). O Leszku Bublu nie warto wspominać: osiągnął szczyt nietolerancji i odpadł. Jak zwyczajny bubel.

Im wyższe notowania osiągał Aleksander Kwaśniewski, tym paradoksalne, szybciej rosły szanse Lecha Wałęsy. Rok wcześniej kandydaturę urzędującego prezydenta popierało ledwie kilka procent ankietowanych. W ciągu ostatnich tygodni kampanii gwałtownie zaczęła rosnąć liczba deklaracji za wyborem Wałęsy. Jego elektorat rzeczywisty został wzmocniony poparciem motywowanym negatywnie – z obawy przed Kwaśniewskim, na zasadzie mniejszego zła, czyli bardziej przeciwko konkurentowi niż za Wałęsą. Już w pierwszej turze opowiadano się nie tyle za tym czy innym kandydatem, ile przeciwko lękom i obawom, jakie dostrzegano w ewentualnej prezydenturze jednego z alternatywnych polityków. Rozstrzygające znaczenie miały takie kryteria, jak styl uprawiania polityki, umiejętność godzenia sporów i łagodzenia konfliktów, neutralizowanie lęków i obaw. Prawie remisowe wyniki sondażu wyborczego w ostatnim dniu rywalizacji komentowano, jakby przeczuwając najgorsze. Oba sztaby wyborcze do końca były niepewne swojego zwycięstwa czy przegranej.

Lech Wałęsa przegrał z tych samych powodów, z jakich zyskał nominację do finału w wyścigu o prezydenturę. Chciano w nim widzieć remedium na rysujące się zagrożenie z konkurencyjnego obozu, że tylko on potrafi zablokować Kwaśniewskiego i „silną ręką" osłonić rozdrobnioną, skłóconą prawicę. Zwolenników silnej prezydentury w elektoracie Wałęsy było najwięcej (ludzie starsi, bez wykształcenia, rolnicy, czyli grupy postrzegające zjawiska społeczne dwuwymiarowo, w kolorach czarno-białych). W obozie solidarnościowym rozumowano: niechby Wałęsa, byle nie utracić dotychczasowych pozycji, nie zahamować zmian. Jan Lityński zwierzał się czytelnikom „Gazety Wyborczej" (23 października): „Obawiam się jego powtórnej kadencji, i to bardziej od obecnej – nieudanej, pełnej chwiejności, zmiennych opinii, nadużywania prawa i wywyższania się nad instytucje demokratyczne". Obawy nie przeszkodziły Unii Wolności – partii Lityńskiego, w poparciu Wałęsy nazajutrz po pierwszej turze, byle nie dopuścić do zwycięstwa Kwaśniewskiego. Trzeba być wyjątkowo wspaniałomyślnym, jak prezydent z lewicy, żeby o tym nie pamiętać.

Wałęsa najlepiej czuł się w starym scenariuszu, gdy atakował, wracał do wojowniczych wypowiedzi, groził „komunie", ubliżał przeciwnikom i konkurentom, demonstrował swoje możliwości destrukcji i arogancję. Odpowiadała mu rola, jaką już raz odegrał z sukcesem w 1989

roku – pogromcy komunizmu, rozliczającego sprawiedliwość Janosika. W konfrontacji czuł się najpewniej. Chciał oblec Kwaśniewskiego w kostium „komucha", a sam stroił się na gladiatora dobijającego „komunę". Ale tym razem rozliczanie z przeszłości, odtwarzanie podziałów na „my i oni", nawoływanie do dokończenia rewolucji, odgrażanie się starczało za program zadowalający hierarchów Kościoła katolickiego, ale nie większość wyborców.

Podziały zarysowane wokół obu pretendentów do najwyższej godności w państwie nie były niczym nowym, wolno zanikały, ale wybory znowu je wzmocniły, ważyły na wypowiedziach i przesądzały o zachowaniach politycznych. Polska podzieliła się na dwie części, rozpadła na „Polskę Kwaśniewskiego i Polskę Wałęsy" – tak „Gazeta Wyborcza" (7 listopada 1995 roku) zatytułowała omówienie wyników po pierwszej turze. Polemizowałem wówczas z taką diagnozą[5], przecież nie sposób lekceważyć reszty – prawie tej samej wielkości – ludzi biernych i obojętnych. Można bowiem przeoczyć szczególną rolę niezdecydowanych, a ściślej tej części biernego elektoratu, która decyduje się w końcu na aktywność wyborczą.

Za Kwaśniewskim w pierwszej turze wyborów prezydenckich opowiedziało się 36 procent głosujących. I to był wówczas szczyt możliwości, miara szans dla koalicji SLD. Uproszczając sprawę, kluczową rolę odegrali decydujący się w ostatniej chwili, pod wpływem tego co widzieli, słyszeli, zwłaszcza w telewizji. Sztab Aleksandra Kwaśniewskiego i on sam ciężko pracowali, żeby ich pozyskać. Jak trafić do niezdecydowanych? Tylko jeden z kilkunastu kandydatów nawoływał do zgody, wspólnego przełamywania barier z przeszłości, przeciwdziałania antagonizmom, proponował wspólną ucieczkę do przodu. I wygrał!

Konkluzja ważna dla dalszych rozważań w tym tekście i pytanie retoryczne: czy aby wyników wyborów zwycięskich dla lewicy – parlamentarnych w 1993 i prezydenckich w 1995 roku – nie powinno się odczytywać jako opowiedzenie się za kompromisem, demokratyczną aprobatą okrągłego stołu – jako swoiste referendum w tej historycznej sprawie, a zarazem dezaprobatę dla agresji, wojen na górze, dla arogancji władzy i zaangażowania politycznego duchowieństwa Kościoła katolickiego („przestrzegamy przed ludźmi PRL-u"). Zakłamującym najnowszą historię Polski powinno się przypominać owe fakty i wypominać manipulacje na pamięci zbiorowej.

[5] *Dwie Polski*, „Trybuna" z 25–26.11.1995 r.

Jubileusz Aleksandra Kwaśniewskiego jest wyjątkową okazją, by odświeżyć naszą pamięć zwłaszcza, że prawicowa polityka historyczna[6] chętnie zbywa zmową milczenia wiele faktów z pozytywnej historii lewicy w Polsce. Zanim Aleksander Kwaśniewski został prezydentem wszystkich Polaków, był „cudownym dzieckiem lewicy", jak z zazdrością mówili oponenci polityczni, zaś przeciwnicy wrogo usposobieni przypisywali go do potomstwa „postkomunistów". A Polacy, respondenci CBOS pytani o polityka roku, wymieniali najczęściej właśnie jego – przez wszystkie lata (1996–2005) prezydentury.

Podziały polityczne na początku prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego

W nowej sytuacji wydawało się, że łatwiej będzie o kontynuację kompromisowego porozumienia z okresu okrągłego stołu. Spektakularnym wyrazem tej linii politycznej stał się artykuł Włodzimierza Cimoszewicza i Adama Michnika *O prawdę i pojednanie* opublikowany we wrześniu 1995 roku. Jednak konkurencji politycznej o proweniencji „solidarnościowej" początkowo trudno się było pogodzić z niedawną przegraną w wyborach parlamentarnych, a tym bardziej ze zwycięstwem lidera socjaldemokratów nad tuzami opozycji w czasach PRL-u, i z samym Lechem Wałęsą w finale kampanii prezydenckiej. O doniosłości tego wydarzenia zapomnieć nie sposób.

Stałe groźby polityków z obozu pierwszej „Solidarności", radykalne koncepcje lustracji i dekomunizacji zmuszały ludzi z drugiej strony okrągłego stołu do reakcji obronnych, mobilizowały do walki politycznej. Tym bardziej, że spóźnieni rewolucjoniści, radykalni i bezkompromisowi, wykrzykiwali z zajadłością komunistyczne epitety pod adresem „czerwonych" – młodych socjaldemokratów z peerelowskim rodowodem. Wyborcy widzieli i porównywali prawicowych dewiantów chorych z nienawiści ze stroną lewicową oskarżaną bezpodstawnie o komunizm, służalczość wobec Moskwy, niecne malwersacje, korupcję i wszystko najgorsze, chociaż trudno było te insynuacje udowodnić. Młodzi z lewicy byli zmianą pokoleniową i cywilizacyjną, po prostu wygrywali lepsi, nowocześni,

[6] Zob. S. Kwiatkowski, *„Polityka historyczna" w okresie przełomu ustrojowego*, „Myśl Socjaldemokratyczna" 2011, nr 3–4.

dojrzali politycy prowadzeni przez lidera o nieprzeciętnym talencie politycznym.

Już w pierwszym półroczu po odejściu Wałęsy aprobata dla nowego prezydenta według CBOS wzrosła aż trzykrotnie! W tym samym stopniu malała dezaprobata. Ze zmiany na najwyższym urzędzie zadowoleni byli nie tylko ci, którzy za taką zmianą głosowali, Kwaśniewski zyskał na zaufaniu opinii publicznej 10 procent, co w sumie oznaczało wzrost poparcia do dwóch trzecich elektoratu i prawie tyle samo pochwalało jego działalność. Ale przeciwników bynajmniej nie ubyło. Nieufnie odnosiło się doń 18 procent, a 12 procent oceniało, że źle wykonuje swoje obowiązki, źle reprezentuje interesy Polski. Zwolennicy i przeciwnicy należeli do przeciwstawnych orientacji politycznych. Także społeczny wizerunek prezydenta był zróżnicowany politycznie, partyjne sympatie i antypatie przesądzały o charakterystykach Kwaśniewskiego. To wniosek pierwszy. Drugi wniosek: sądząc po wypowiedziach i zachowaniach wyborczych młodzieży, widać było, że kilka lat obrzydzania „postkomunistów", i w ogóle lewicy – zrobiło swoje. Wśród niechętnych prezydentowi stosunkowo liczniejsi byli ludzie młodzi, uczniowie i studenci.

I trzecia uwaga: w kampanii wyborczej opłaciło się przeciwstawienie ofensywie propagandowej hierarchii kościelnej. W zasadzie nic nadzwyczajnego, wiadomo, jak kiedyś pierwsi sekretarze PZPR wychodzili na tym, że robili co mogli, aby udobruchać duchowieństwo, zyskać jego przychylność albo chociaż neutralność (podobnie jak Józef Oleksy i Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe). Polak katolik obawiał się klerykalizmu w sprawach publicznych i w życiu osobistym, chętnie popierał, niechby cichcem, tych, którzy w jego imieniu stopują polityczne zapędy księży i pazerność na dobra doczesne.

Analizując tło społeczne prezydentury na podstawie badań sondażowych, można było dojść do wniosku – co potem potwierdzało się w kolejnych głosowaniach i badaniach – że prawie połowa elektoratu to ludzie bierni i obojętni. Obojętnych nikt i nic nie ruszy, chyba że burza dziejowa. Aktywni, czyli ci, którzy mają ukształtowane preferencje, pewni swych sympatii politycznych, zawsze biorą udział w wyborach, chociaż nie zawsze mają zdanie o tym, co się dzieje w świecie polityki. Okazało się, że wśród aktywnej politycznie części społeczeństwa dwa mniej więcej tej samej wielkości bloki zachowują się i wypowiadają w sprawach politycznych zupełnie odmiennie. Dla prezydenta był to wniosek na przyszłość:

pamiętając o owej symetrii, mając poparcie swojej bazy wyborczej, nie może przeoczyć szczególnej roli niezdecydowanych, a ściślej: tej części elektoratu, która decyduje się w końcu na aktywność wyborczą (około 10––15 procent), podwyższając frekwencję i razem ze zmieniającymi poglądy przeciągają linę na stronę zwycięską.

Powyższą prawidłowość z elekcji prezydenckiej w 1995 roku potwierdzały obserwacje i wnioski z wyborów parlamentarnych 1993 i 1997 roku oraz z referendum konstytucyjnego: potencjalne elektoraty obu bipolarnych bloków były zbliżonej wielkości. Za każdym razem poważną ich część stanowili wyborcy niemający jednoznacznych preferencji, którzy ostateczną decyzję podejmowali w dniu głosowania. Skoro siły główne były mniej więcej wyrównane, liczyła się przede wszystkim frekwencja swoich i możliwość zdobycia przewagi głosami dodatkowymi.

W 1997 roku sondaże przedwyborcze różnych ośrodków badania sygnalizowały, że pośrodku elektoratu aktywnego politycznie, pomiędzy zwolennikami Akcji Wyborczej Solidarność i SLD, oprócz sympatyków UW, PSL, ROP, UP i emerytów, czyli partii o kilkuprocentowym poparciu każda, największą grupę stanowili wyborcy zamierzający głosować, ale niezdecydowani komu zaufać. Powtórzyły się więc dwie przesłanki wyjściowe, z których sztaby wyborcze obu koalicji pretendujących do zwycięstwa powinny wyciągać wnioski na użytek ostatnich tygodni kampanii wyborczej: 1) wyrównane poparcie dla obu przeciwstawnych bloków – po około jednej czwartej elektoratu; 2) duża część wyborców niezdecydowanych, co oznaczało, że jest jeszcze kilkanaście procent głosów do pozyskania, które mogły przeważyć szalę zwycięstwa. Z pewnością należało zatem zadbać o minimum, czyli baczyć, żeby nie osłabić równowagi sił niską frekwencją swoich zwolenników, no i przekonać do siebie, pozyskać wahających się w wyborze.

Tymczasem nastroje społeczne zmieniały się na niekorzyść rządzących. W sposób zauważalny sympatie opinii publicznej przesuwały się na stronę nazywaną prawicową, a elektorat negatywny SLD, czyli część społeczeństwa niechętna lub wroga socjaldemokratom, powiększył się do ponad 40 procent ankietowanych przez CBOS. Pułap możliwości lewicy tak wysoko nie sięgał, co oznaczało, że szanse zwycięstwa AWS rosły wraz z frekwencją. Wiadomo było z badań opinii i poprzednich wyborów, że na frekwencję silnie wpływa motywacja negatywna, tzn. chęć sprzeciwu, protestu, odwetu na przeciwnikach lub rządzących; albo głosujących

napędzają obawy przed konsekwencjami zwycięstwa niechcianych polityków. Krótko mówiąc, część elektoratu, głosując – raczej protestuje, niż dokonuje wyboru.

Zmasowany atak ze wszystkich stron na lewicowy sojusz zrobił swoje. W dość powszechnym mniemaniu: władza tuczy, a w ogóle zajmowanie się polityką – zarówno kiedyś, jak i dziś – jest traktowane przez sporą część Polaków jako zajęcie z natury rzeczy moralnie podejrzane, co sprawia, że rządzący są z góry na gorszej pozycji w rywalizacji z opozycją. Zwłaszcza oskarżenia o „skok na kasę", kombinacje z prywatyzacją i sugerowane afery finansowe trafiały na podatny grunt, coś podobnego pogrążyło liberałów z KLD. Tym razem pomówienia ze strony opozycji uwiarygodniał koalicyjny PSL z prezesem intrygantem politycznym na czele. Były też wypady sił „patriotycznych" ze strony „prawdziwych Polaków", strażników niepodległości. W sumie nic dziwnego, że zwolennicy AWS poszli do urn wyborczych z bardziej bojowym nastawieniem niż elektorat lewicowy.

Zwycięzców – zarówno SLD w 1993 roku, jak i AWS w 1997 roku – oraz ich bazę wyborczą stymulowały silne emocje negatywne, wola walki i pragnienie pokonania przeciwnika nie do zniesienia, dokuczliwego z powodów ideologicznych. Elektorat AWS głosował w 1997 roku wzburzony emocjonalnie, jak w poprzednich wyborach zwolennicy SLD. Motywacje negatywne integrowały AWS, były jej siłą napędową. Emocje te narastały od upokorzenia przegraną cztery lata wcześniej. („Sprawowanie władzy w Polsce przez formację wyrastającą w prostej linii z PZPR stanowi zniewagę" – napisał Aleksander Hall w „Gazecie Wyborczej"). Potem doszło do starcia o prezydenturę i konstytucję – z wiadomym rezultatem. W tej sytuacji programowym zadaniem stała się totalna negacja „niemoralnych", bo „postkomunistycznych" rządów. Opozycję połączył jeden wspólny cel: odebranie władzy „czerwonym", „opcja zerowa", czyli rewolucyjne zniszczenie „komuny". („SLD musi przegrać" – apelował tenże były minister we wspomnianym tekście).

Motywacje elektoratu SLD – przeciwnie – straciły na sile. Już w referendum widać było, że pokojowa dobroduszność liderów z ulicy Rozbrat (siedziba partii), przesadna ugodowość, rozbrajająca (dosłownie) łagodność, wręcz pewność swego, rozleniwienie władzą – udziela się bazie wyborczej. Mogli „przespać" także batalię o konstytucję, gdyby nie agresywna, kłamliwa agitacja prawicy i aktywność propagandowa duchowieństwa,

które poderwały do głosowania za projektem parlamentarnym. „Twardo" przedstawiał się premier Cimoszewicz, pewnie dlatego, że zawsze dotąd zyskiwał na stanowczości, ale w wypowiedzi na temat powodzian i zboża – przeholował. Chociaż, czy to zaszkodziło? Raczej nie. Ani SLD nie popłynął z powodzią, a przeciwnie, zyskał w zalanych województwach południowo-zachodnich; ani koalicyjny PSL nie zarobił na zbożu (dodatkowych głosów, bo tak w ogóle, kto wie?).

Nie ma szans na przekonanie przekonanych, osób o utrwalonych poglądach. Trudno zresztą w ogóle liczyć na przekonanie kogokolwiek w tak krótkim czasie. Z badań wynikało, że duże ugrupowania mogły liczyć na mniej więcej takie samo ewentualne poparcie osób o nieskrystalizowanych poglądach politycznych, trudno im się zdecydować, jeśli nie zostaną przekonani, co oznacza, że wiele zależy od kampanii poprzedzającej głosowanie, zwłaszcza od końcowego etapu. Wszyscy zatem mieli równe szanse przekonać ich do siebie.

Ostatni niepublikowany sondaż wyborczy OBOP, już podczas ustawowej ciszy, tuż przed niedzielą wyborczą sygnalizował sporą, bo czteropunktową przewagę AWS nad SLD. Wiele osób, jak się okazało, postanowiło głosować na Akcję w ostatnim tygodniu. Według tego samego badania, podobno 14 procent zmieniło preferencje wyborcze. Z pewnością nie było przemieszczeń na inne listy wyborcze kosztem SLD, bo niby na czyją korzyść? Pojawiła się w komentarzach sugestia, że sympatycy Aleksandra Kwaśniewskiego mogli głosować na Unię Wolności, ale przecież ta ledwo doszła do poziomu, na jakim była kiedyś, jako UD razem z KLD.

Kim byli niezdecydowani? Według sondaży przedwyborczych, w większości to kobiety, gospodynie domowe oraz młodzież, uczniowie i studenci (inne zmienne – mniej istotne). Zdaje się, że największe zaniedbania po stronie lewicy dotyczyły tych właśnie grup, najbardziej podatnych na perswazję i oddziaływanie emocjonalne. Niezdecydowanych najłatwiej pozyskać, odwołując się do uczuć, wzbudzając pozytywne skojarzenia, chodzi o zjednanie sympatii, zdobycie zaufania, trzeba podobać się kobietom i młodym. Oczywiście, liczy się spokojna, logiczna argumentacja, zdolności retoryczne. Nie wolno drażnić nawet drobiazgami: wyglądem zewnętrznym, niedbałym strojem itp.. Jak zawsze największe szanse mają kandydaci, którzy lepiej się prezentują, bo mądrzej mówią, budzą zaufanie swoim wyglądem, nie są kłótliwi, myślą pozytywnie, problemowo, dają nadzieję. Krótko mówiąc, pozyskanie niezdecydowanych jest sprawą

umiejętnej kampanii, agitacji wyborczej, raczej oddziaływania emocjonalnego. Od 1993 roku bezkonkurencyjny był Aleksander Kwaśniewski, a w 1997 roku korzystał na tym samym Marian Krzaklewski (analogie do Kwaśniewskiego były w poczynaniach Krzaklewskiego daleko idące, aż po zamiar dojścia do Pałacu Prezydenckiego).

Prawica poszła do zwycięstwa w 1997 roku sprawdzoną drogą, tropem SdRP – uczyła się na własnych błędach i sukcesach SLD, co zaczęło procentować już w referendum konstytucyjnym. Chociaż rywalizacja AWS z SLD była wyrównana do końca, finisz należał jednak do Akcji; była sprawniejsza organizacyjnie, zdecydowanie lepsza w całej kampanii, pewnie dlatego, że sprawność organizacyjną drobnych partyjek połączonych w AWS zapewniły struktury związkowe, liczny aparat i fundusze; cały potencjał związkowy „Solidarności" był zapleczem. Ponadto istotną, niedocenianą przez obserwatorów rolę spełniło Radio Maryja. Nie tyle z powodu możliwości agitacyjnych, ile zdolności organizacyjnych. Już nieraz Rodzina z dyrektorem Rydzykiem dawała dowody operatywności, na przykład w pośpiesznej zbiórce podpisów czy pieniędzy. W tych wyborach, przy wyrównanych szansach AWS i SLD – przesądziła o zwycięstwie. Z poręki Rydzyka wygrywały zupełnie nieznane osoby. Tego typu przełożenia w teren nie miał Sojusz. Krótko mówiąc, przez jedną kadencję parlamentu bardzo wiele się zmieniło na niekorzyść lewicy.

W powszechnej opinii AWS przeprowadziła kampanię wyborczą profesjonalnie, lepiej niż przeciwnicy. Lepiej także dlatego, że „nakręcali" swoich zwolenników od początku, zaś na koniec kampanii oddziaływali na wszystkich jednocząco, wyraźnie spokojniej. Dylemat jest przecież zawsze ten sam: jak utrzymać bojowe nastroje, silną motywację własnych zwolenników (frekwencja!), ale zarazem nie zrażać do siebie wątpiących zbytnim radykalizmem, napastliwą ofensywnością. Główny konkurent SLD emanował pod koniec kampanii spokojem i łagodnością, co było kwestią taktyki, właśnie chodziło o niezdecydowanych. W porównaniu z sytuacją podczas referendum zmiana była wyraźna, wyciągnęli wnioski z konstytucyjnej batalii, wyciszyli się, schowali nawiedzonych z ZChN i napastników z KPN. Sam Krzaklewski przestał drażnić demagogią i pogróżkami. Widać było profesjonalne wsparcie specjalistów od marketingu politycznego, którzy, jak przypuszczam, wyperswadowali im demonstrowanie wrogości i agresji przeciwko „komunie", które mobilizuje zwolenników SLD i zniechęca niezdecydowanych do obu zwalczających się stron. Głównie z tego powodu najpierw stracił KPN, a potem ROP.

W opinii komentatorów wybory przegrały partie i kandydatury przeceniające siłę społecznego niezadowolenia. O stosunku społeczeństwa do radykalizmu politycznego świadczyły przegrane na przykład Jacka Kurskiego w Gdańsku, Zygmunta Wrzodaka w Krośnieńskiem, Ryszarda Bendera w Łomży, Kornela Morawieckiego w Legnicy, Andrzeja Słowika w Łodzi. PSL zaś traciło systematycznie na awanturach z koalicjantem i znalazło się blisko krawędzi unicestwienia. Oto memento dla radykałów. Skończą na marginesie politycznym, jak wszyscy fanatycy, których w każdym społeczeństwie nie brakuje.

Wspomnieć przynajmniej wypada o doświadczeniach politycznych duchowieństwa katolickiego, które – sądząc po zmianie stylu działania i wypowiedziach od czasu referendum – także czegoś się nauczyło o demokracji. Komentując wyniki wyborów, sekretarz Episkopatu przyznał, że Kościół „lepiej zrozumiał, kto ma uprawiać politykę i jaki ma być stosunek Kościoła do polityki". Księża niby zachowywali wstrzemięźliwość w agitacji wyborczej, byli aktywni, tyle że robili to na ogół mądrzej niż dotąd.

Kierownictwo SdRP pocieszało się, że partia jest w lepszej kondycji, że sprawując władzę, zyskała na poparciu społecznym, że mogło być gorzej. Mimo przegranej (7 procent mniej od zwycięzców) zadowalano się, porównując wynik ze stanem poprzednim, że w 1997 roku partia osiągnęła wynik lepszy niż w roku 1993. Ale przecież poziomem odniesienia w ocenach była nie tyle własna kondycja, ile zwycięstwo przeciwników.

Socjaldemokraci o swoim rodowodzie i tożsamości

W programie przyjętym przez Radę Naczelną Socjaldemokracji RP 1 marca 1997 roku jeden z rozdziałów w całości poświęcono „tradycjom i doświadczeniom" i podobnie jak w programie z 1993 roku, dokonano krytycznej oceny PRL w powojennych realiach: podziału Europy i zimnej wojny, braku pełnej suwerenności, narzuconej Polsce niedemokratycznej, a w początkowym okresie stalinowskiej wersji socjalizmu (głoszone ideały rozmijały się z praktyką, „cały czas idee lepszego sprawiedliwszego społeczeństwa ścierały się z doktrynalną utopią ekonomiczną i autorytarnym systemem politycznym". „Ustrój ten wypaczył tradycje polskiego i europejskiego socjalizmu, choć realizował niektóre jego idee").

Odrzucając wyłącznie negatywną ocenę okresu PRL i nieustanne rozrachunki z przeszłością, przywołano dorobek obywateli Polski Ludowej,

odbudowę kraju z wojennych zniszczeń, likwidację analfabetyzmu i bezrobocia, rewolucję oświatowo-kulturalną, reformę rolną. Ocenę niedawnej przeszłości kończyło zapewnienie, że w 1989 roku dokonano wyboru drogi, która dla SdRP jest wyborem ostatecznym i nieodwracalnym: „wiemy z własnego doświadczenia, ile kosztuje nieprzestrzeganie demokracji i lekceważenie aspiracji społecznych". Była to aluzja do praktyki politycznej i programu formacji postsolidarnościowej, a zarazem odpowiedź na obawy podsycane przez opozycję i oskarżenia rządzącej przez cztery lata lewicy: „Czynem, a nie tylko słowami lub deklaracjami, zaświadczyliśmy, że z dramatycznej historii PRL wyciągnęliśmy wszystkie wnioski". O ludziach, którzy utworzyli nową partię socjaldemokratyczną, napisano, że wywodzą się bezpośrednio z reformatorskiego nurtu PZPR, „przewartościowali swój stosunek do realnego socjalizmu, zrozumieli nieskuteczność jego poprawiania i zdobyli się na radykalny zwrot w kierunku społeczeństwa otwartego, demokratycznego, gospodarującego na zasadach rynkowych, zwróconego ku Europie".

W programie znalazło się także stwierdzenie, że „historia przyznała rację tym, którzy otwarcie, kierując się czystymi intencjami, walczyli o w pełni suwerenną i demokratyczną Polskę". Podobnie w Deklaracji Programowej koalicji SLD przygotowanej na wybory w tym samym roku 1997, również wspomniano o szacunku dla tych, którzy dążyli do demokracji i pełnej suwerenności oraz dla „osób odbudowujących Polskę". Równoważono w ten sposób akcenty, dzieląc „ukłony" w obie strony „ponad podziałami". Intencje były czytelne, chodziło o przeciwstawienie się dzieleniu społeczeństwa na postsolidarność i postkomunizm, lepszych i gorszych Polaków. Przez wszystkie lata po roku 1989 stosunek do przeszłości kwitowano formułą: PRL miał różne oblicza, były błędy i zbrodnie, ale także zrobiono wiele dobrego.

Po przegranych wyborach w 1997 roku, po przekształceniu SdRP w nową partię, która przyjęła nazwę dotychczasowej koalicji wyborczej, w manifeście programowym SLD uchwalonym 18 grudnia 1999 roku przemilczano odniesienia do przeszłości, poprzestając na wątkach krytycznych, dotyczących poprzedniego systemu gospodarczego. Ale w dyskusjach poprzedzających Pierwszy Kongres nowo powstałej partii SLD nie sposób było pominąć tematu własnej tożsamości i dziedzictwa, tym bardziej że podczas rządów AWS nasiliły się żądania polityków obozu solidarnościowego, żeby opozycyjna lewica rozliczyła się z przeszłością, moralnie osądziła poprzedni system i odpowiedzialnych zań ludzi.

Szaleństwo dekomunizacyjne nabrało rozpędu w 1999 roku, podział na „sędziów", skorych do osądzania, lustrowania – i oskarżonych, „winnych" przeprosin za PRL, zaostrzył się w atmosferze zbliżających się wyborów prezydenckich i parlamentarnych. W Sejmie forsowano w tym czasie ustawę dekomunizacyjną, której celem było personalne obciążenie odpowiedzialnością polityczną ludzi związanych z poprzednim systemem (Jan Olszewski: „ustawa oczyściłaby scenę polityczną"; Marek Borowski: „chodzi o pozbycie się przeciwnika politycznego, o uniemożliwienie mu przejęcia władzy w wyniku wolnych wyborów"), trwały czystki kadrowe, neobolszewicy lustrowali, pogrobowcy SB grzebali w sejfach, wertowali teczki policyjne.

Tuż przed Świętem Zmarłych zaczęło się nawoływanie w stronę SLD o pochówek „trupa", czyli rozliczenie z uśmierconego przed laty PRL-u i nieboszczki PZPR. Bynajmniej nie Zaduszki były okazją sprawczą rozliczeniowych apeli. Po lewej stronie rodziła się nowa partia, chociaż z rodziców oskarżanych za grzechy z młodości, a więc bez niepokalanego poczęcia, cieszyła się rosnącym poparciem społecznym. Przedmiotem szczególnej irytacji na prawicy były wyniki kolejnych badań opinii – słabnące notowania obozu solidarnościowego. Kolejne sondaże różnych ośrodków świadczyły o powodzeniu lewicowej opozycji: SLD zyskiwał już ponad 40-procentowe poparcie. Krótko mówiąc, przeciwnicy polityczni w dramatycznej sytuacji mieli ponad miarę powodów do zdenerwowania. W tych okolicznościach wypominanie przeszłości „postkomunistom" z opozycyjnej partii było poręcznym sposobem reagowania rządzącej prawicy. Niech się tłumaczą, tym bardziej że liderzy SLD sami wciąż mieli problemy z własną tożsamością, zwłaszcza w tym czasie, jakby pod naporem wyczynów przeciwnika nie mogli się uporać z wątpliwościami co do własnego dziedzictwa.

Lepiej rozliczać SLD z przeszłości niż własną koalicję z kończącej się kadencji. Właśnie zaczynała się nowa ruchawka, tym razem wokół polskiej dyplomacji: rządzący z AWS uznali, że rodowód peerelowski dyskwalifikuje personel MSZ z definicji. Prawicowe ugrupowania przy tak dużych stratach w poparciu społecznym, uciekając w historię, chciały zyskać przewagę moralną nad lewicą, obciążyć ją dziedzictwem po PZPR, upokorzyć. Worek pokutny z czerwoną gwiazdą, jako uniform wyborczy dla socjaldemokratów, mógłby odwrócić uwagę elektoratu od aktualnych problemów i niepowodzeń rządzących. Okazję upatrywano także w okrągłych rocznicach: 60. – Katynia i 20. – Sierpnia.

Na kongresie SLD, najwyraźniej pod wpływem polemik poprzedzających kongres (o szkieletach w partyjnej szafie, o czym dalej), przyjęto deklarację „Nasze tradycje i wartości". W przygotowanej wersji poddanej pod głosowanie znalazły się niektóre sformułowania z listu prezydenta do Kongresu. Fragment o „zbrodniach popełnionych pod sztandarami lewicy" delegaci poprawili po dyskusji na: „potępiamy zbrodnie totalitaryzmu komunistycznego będące zaprzeczeniem ideałów lewicy – wszelkie działania podejmowane po 1944 roku przeciwko człowiekowi i społeczeństwu. Składamy hołd ofiarom tych zbrodni". Jeden z dyskutantów, komentując list, powiedział przekornie: „Prezydent wpisał się w nurt ciągłego przepraszania, choć jako szef klubu SLD wystarczająco przeprosił z trybuny sejmowej. Skoro dziś mówi o zadośćuczynieniu, to może potrzebna jest specjalna inicjatywa ustawodawcza prezydenta? Przepraszać wiecznie na życzenie tamtej strony nie można"[7].

Do tej kwestii odniósł się także Leszek Miller, przewodniczący nowej partii lewicy: „Widzimy konieczność ciągłej refleksji nad przeszłością". Zanim to powiedział, omówił ocenę przeszłości, z którą partia się utożsamia, czyli stanowisko wyrażone w Deklaracji. Na temat sposobu rozliczeń i zagrożeń młodej demokracji stwierdził: „Rozliczenia jako metoda zastępowania demokracji to łańcuch niekończących się odwetów". Należy wykluczyć powtórzenie błędów z przeszłości, które stanowią zagrożenie dla demokracji. „Nie nam trzeba prawić morały o dobrym zachowaniu ani wobec nas żywić obawy, co będzie, jeśli wygramy wybory". Zagrożenia, jego zdaniem, stwarza przede wszystkim rządząca koalicja. Dzisiejsze „niebezpieczeństwa nie chowają się w szafach. Puszą się w rządowych i koalicyjnych gabinetach. Stały się praktyką rządzenia!". Najwyraźniej było to nawiązanie do tekstu Barbary Labudy, w którym prezydencka minister wzywała do rozliczenia się z przeszłością.

Wystąpienie przewodniczącego i Deklarację I Kongresu SLD można uznać za wykładnię partyjnej polityki pamięci przed wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi. Niechęć do rozliczeń z przeszłości w tamtych okolicznościach wydawała się zrozumiała. Nakręcanie nastrojów ekspiacyjnych wśród lewicy w ówczesnych realiach bardziej potrzebne było i korzystne dla przeciwników politycznych. Presję dekomunizatorów przyjęto na lewicy dwojako. Część uważała, że mając tak duże poparcie społeczne, jak w sondażach, partia powinna zajmować się strategią

[7] Cyt. za: „Gazeta Wyborcza" z 20.12.1999 r.

i wzorem prezydenta „wybierać przyszłość", a żyjących pamięcią o tym, co było i minęło, należy zostawić poza organizacją. Inni, jak środowisko miesięcznika „Dziś" Mieczysława F. Rakowskiego, wytykali Sojuszowi – już w charakterze nowej partii politycznej – że nie zauważył 55. rocznicy narodzin Polski Ludowej, że klub poselski SLD głosował w Sejmie za wyborem kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, chociaż wiedzieli, że „to misterium do rozliczania PRL zostało powołane głównie dla podtrzymania atmosfery wojny domowej i organizowania śledztw oraz prześladowań ludzi PRL". Godząc się na tego typu administracyjne i prokuratorskie „rozliczania" przeszłości, które mają na celu nie tylko odwet na nieobecnych już w życiu politycznym, trzeba było się liczyć z szantażem moralnym wobec SLD („wam wolno mniej") z powodu jego rodowodu oraz zastraszaniem jego elektoratu. W tekście redakcyjnym pisano ze zdziwieniem: „SLD, zamiast odrzucać i piętnować szantaż, robi dobrą minę do złej gry. Dzieje się tak nie dlatego, że liderzy tej partii nie orientują się, w czym rzecz, lecz dlatego, że wciąż nie mogą uporać się ze swym stosunkiem do przeszłości. Ulegają presji solidarnościowej propagandy, która od lat wmawia, że tzw. postkomunistyczny, a w istocie popeerelowski rodowód jest dla SLD obciążeniem i utrudnia jego zakorzenienie się oraz legitymizację w nowej rzeczywistości. Przywódcy SLD wiedzą oczywiście doskonale, że poparcie społeczne, dzięki któremu ich ruch stał się największą siłą polityczną w Polsce, wzięło się w znacznej mierze stąd, że potrafili zbudować arkę przymierza między starymi i nowymi czasy, połączyć przeszłość z teraźniejszością i zapewnili przez to ważną dla społecznego samopoczucia ciągłość historii narodu i państwa. Stąd także, że bronili godności tej części społeczeństwa, która była w przeszłości lojalna, choć nie bezkrytyczna, wobec PRL i czuje się moralnie spotwarzana załganą propagandą „historyczną" nowych sił rządzących. Liderzy SLD oczywiście i nadal liczą na ten elektorat, ale często zachowują się tak, jakby się go wstydzili"[8].

Redakcja apelowała o „odwagę bycia sobą", powoływała się przy tym na Bronisława Łagowskiego, obrońcę zdrowego rozsądku, który analizując poczynania liderów SLD, pisał, że nie rozumie ich zawstydzenia z powodu przeszłości, przecież ani oni sami, ani ich poprzednicy nie mieli wpływu na narzucone im lub zastane warunki. „Wydaje się, że SLD nie rozumie swojej przeszłości i zamiast starać się ją zrozumieć, wolałby jakoś tak postąpić, żeby jej nie mieć". Nie trzeba wielkiej przenikliwości,

[8] *Naszym zdaniem*, „Dziś" 1999, nr 9, s. 3.

aby wiedzieć, że gdyby udało się oderwać nowe SLD od dotychczasowej bazy lewicy postpeerelowskiej, zubożyć ją politycznie i w pewnym sensie ogłupić – ostrzegał Łagowski – przyniosłoby to niewątpliwie szkodę SLD i korzyść przeciwnikom politycznym.

Spór o truchło, czyli o wypominaniu przeszłości SLD

Debacie o dekomunizacji towarzyszyła dyskusja o „szkielecie w szafie" SLD. „Szkielecie" nierozliczonej przeszłości. Intencje prawicy były oczywiste: żeby tak znaleźć coś śmierdzącego u „komuchów", przeszkodzić w utrzymaniu tak wysokiego poparcia w sondażach. W komentarzu do tych publikacji Łagowski pytał: dlaczego partia o tak wielkim poparciu społecznym „miałaby przesłaniać rolę swoją nieustającą samokrytyką za przeszłość. Starsi wiedzą, jak upokarzające jest składanie samokrytyki. Tylko po to została wymyślona, żeby upokarzać. Patrzę na to z zewnątrz, mogę się mylić, ale wydaje mi się, że w SLD może dojść do rozłamu, jeśli tej partii narzucona zostanie polityka nieustającego szukania „trupa w szafie". Nie jest to zresztą żadna polityka, lecz psychomachia, zachowanie pod względem politycznym zupełnie jałowe"[9]. W kolejnym felietonie ten wnikliwy obserwator i krytyk mitów polityki historycznej dodał: „Przeszłość jest tym, co się już nie zmieni i z tego właśnie powodu nie należy ona do dziedziny polityki. Domaganie się od demokratycznie sprawdzonej partii politycznej, żeby się rozliczała z jakąś przeszłością, jest idiotyzmem niezasługującym na myślową reakcję" [10].

Sojusz rósł w siłę, a to denerwowało prawicę, niepokoiło także ugrupowania polityczne liczące się z możliwością koalicyjnych porozumień z lewicą po wyborach. Obawiano się, że dojdzie do takiej sytuacji, że politycy Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności zostaną zmarginalizowani. Zawczasu więc, żeby wyrobić sobie lepszą pozycję do gry, wmawiano lewicy, że jej mniej wolno, sobie uzurpując prawo legitymizacji SLD. Takich zastrzeżeń nie zgłaszano wcześniej, nie miano pretensji, gdy lewica rządziła w latach 1993–1997, zatem obawy o recydywę PRL, że wróci do starych praktyk, były nieuzasadnione.

---

[9] B. Łagowski, *Moralność jako narzędzie walki*, „Przegląd Tygodniowy" z 27.10.1999 r.

[10] „Przegląd Tygodniowy" z 17.11.1999 r.

„Jaka ma być nasza demokracja? – pytał poseł Andrzej Urbańczyk, redaktor naczelny „Trybuny". – Czy dawni, PRL-owscy opozycjoniści walczyli o demokrację tylko dla siebie, czy dla wszystkich? Czy chcą mieć w państwie metojków, czyli ludzi bez pełni praw? (…) Dopóki nie powie sąd, że wolno mi mniej, dopóki nie zostaną ograniczone moje prawa obywatelskie, nie przyjmę do wiadomości teorii metojka"[11].

Kongres nowej partii lewicowej skłaniał także niektórych polityków bliższych lewicy niż prawicy, dotąd bezpartyjnych albo poróżnionych z własnym środowiskiem, tych, co chcieli zmienić barwy partyjne, albo z myślą o dalszej karierze szukających miejsca dla siebie – do wypowiedzi w podobnym tonie, tyle że motywowanych pozytywnie, może nawet życzliwych. Doradzali, podpowiadali socjaldemokratom, żeby zrobili porządek w swoich szafach, wywietrzyli pomieszczenia, a oni – być może – przyjmą zaproszenie z zadowoleniem. Zwłaszcza politycy Unii Wolności o orientacji lewicowo-liberalnej, cieszący się sympatią prezydenta Kwaśniewskiego, myśląc o koalicji w przyszłym parlamencie, zaczęli się zastanawiać nad współpracą z SLD. Chciano widzieć w tej partii partnera. Nie poparli projektu dekomunizacji, podobnie jak posłowie lewicy uważali, że ustanawia odpowiedzialność zbiorową, narusza prawa człowieka i obywatela, normy Konstytucji, dyskryminuje obywateli. Ale unici domagali się od SLD „autentycznego rozrachunku z przeszłością", odcięcia się od korzeni. Spotkało się to z przychylnością prezydenta i niektórych działaczy lewicowych.

„Nie trzymajcie trupa w szafie" – apelowała w „Gazecie Wyborczej" (z 11.10.1999 r.) Barbara Labuda, minister w Kancelarii Prezydenta, wzywając członków SLD do „rozrachunku intelektualnego, ideowego i etycznego z własną przeszłością". Już rok wcześniej w „Rzeczpospolitej" w tekście pod tytułem *Trupy w szafach*[12] i w kilku innych artykułach rozliczano

[11] „Przegląd Tygodniowy" z 20.03.2000 r.

[12] W „Rzeczpospolitej" rozliczenia „z komunistyczną przeszłością" zaczęli Jan Skórzyński i Bronisław Wildstein. Temat podjął L. Szaruga, *Trupy w szafach*, „Rzeczpospolita" z 11–13.04.1998 r. W prasie ukazały się: B. Labuda, *Nie trzymajcie trupa w szafie*, „Gazeta Wyborcza" z 11.10.1999 r.; *eadem*, *Pralnia sumień*, „Gazeta Wyborcza" z 14.12.1999 r. oraz wypowiedź dla „Trybuny" z 12.10.1999 r.; A. Michnik, *Dekomunizacja i szkielety*, „Gazeta Wyborcza" z 22.10.1999 r.; W. Baka, *Polityka i historia*, „Dziś" 1999 r., nr 10; A. Małachowski, *Można tylko wybaczyć*, „Przegląd Tygodniowy" z 20.10.1999 r.; J. Wiatr, *Dialog głuchych*, „Gazeta Wyborcza" z 28.10.1999 r.; W. Pielecki, *Trup niezgody*, „Gazeta Wyborcza" z 15.11.1999 r.; D. Szymczycha, *Duch pezetpeeryzmu*, „Gazeta Wyborcza"

PRL i jej „sterników". W polemikach, jakie wywołał artykuł B. Labudy, na ogół nie kwestionowano dobrych intencji, chociaż dopatrywano się różnych przesłanek. Wezwanie opublikowała, jakby nie było, w czasie gdy w Sejmie szykowano ustawę dekomunizacyjną, a więc w klimacie dyskusji narzuconej przez prawicę. Krytyczne oceny wywołały reakcje obronne, uważano je za krzywdzące dla ludzi lewicy o rodowodzie pezetpeerowskim. Przecież porachunki z niedawną przeszłością, z SdRP i z SLD trwały bez przerwy. Co się dało z szafy wywlec, już chyba pokazano. A w ogóle rozliczenia z historią, z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, nim zmarła śmiercią naturalną, robiono co jakiś czas, dokonano rachunku sumienia po '56, po '70 i po '80 roku. Prawda, że pod presją robotników, ale system się zmieniał w sposób ewolucyjny, aż do samounicestwienia w roku 1989. Były zjazdy rozliczeniowe z błędów i wypaczeń, był raport komisji prof. Hieronima Kubiaka (1983 rok), później publikowano wiele innych raportów o stanie państwa i demokracji. Krzywdy, niesprawiedliwości, bezprawie, jakie miało miejsce w PRL, były wówczas i potem rozliczane w różnej formie: były i są procesy sądowe, wypłacono ogromne sumy poszkodowanym działaczom „Solidarności", którzy się o nie upominali, innych honoruje się w różny sposób (ordery, przywileje kombatanckie, renty specjalne, a także różne synekury rozdawane przez kolejne ekipy rządowe).

SLD nieustannie wystawiali się na osąd publiczny, w swej autorefleksji nad niedawną przeszłością poszedł dalej niż inne polskie partie – z potrzeby własnej, ale też i dlatego, że był do niej nieustająco przywoływany. Nie jest prawdą, że stronił od takiej oceny. Było słynne „przepraszam" Aleksandra Kwaśniewskiego, potem w wielu deklaracjach, wypowiedziach publicznych, wnioskach zgłaszanych w Sejmie politycy lewicy potwierdzali, że nie stronią od poważnej oceny przeszłości. Dokonano wielu poważnych analiz, które oceniły poprzedni ustrój dość ostro i jednoznacznie. Kierownictwo partii, krytykując realny socjalizm i praktyki partii wówczas rządzącej, krytykowało w jakimś stopniu samych siebie, a to nie przychodzi łatwo. Trzeba doceniać, że należeli do tej frakcji, która dostrzegła potrzebę zmian gospodarczych i ustrojowych. W końcu przez dziesięć lat byli w ruchu politycznym, który skończył z minioną epoką, który zrobił wiele dla polskiej demokracji i nie sprzeniewierzył się jej zasadom. W rozmowach o lewicy, w dyskusjach o przeszłości nie powinno się zatem

z 17.11.1999 r.; Cz. Bielecki, *Trup w szafie*, „Wprost" z 31.10.1999 r.; A. Bogusz, *Trup w każdej szafie*, „Wprost" z 31.10.1999 r.

poprzestawać na nawoływaniu do jej samooceny, epitetach i atakach personalnych, bez odwołania się do tego, co już zostało powiedziane, do ocen już dokonanych. Jerzy Wiatr apelował, żeby dyskutować o meritum, a nie o „trupie w szafie" – której już dawno nie ma. W tych apelach i nawoływaniu „jedyną akceptowalną oceną z naszej strony byłoby, gdybyśmy uznali się za »nurt zdrady narodowej« i sami siebie odsądzili od jakiejkolwiek wartości".

Polemizowałem wówczas z autorami wspomnianych tekstów ignorującymi to wszystko, co Socjaldemokracja RP, a potem SLD zrobiły dla sprawiedliwej i bardzo krytycznej oceny powojennej przeszłości: „Nie twierdzę, że to kończy sprawę i czyni zadość krzywdom. Długo jeszcze będą trwały porachunki polityczne i osobiste z tamtego okresu. Nawet, gdyby SLD chciała zapomnieć, wyrzec się swoich przodków i przeszłości – nie ma szans, zbyt wielu przeciwników upatruje korzyści politycznych z instrumentalnego grania balastem historycznym"[13]. Podzielając potrzebę rozrachunku intelektualnego, ideowego i etycznego z własną przeszłością polityczną – zbiorową czy indywidualną, zgłaszałem dwa zastrzeżenia. Niech dotyczy to wszystkich orientacji politycznych, nie tylko SLD. Lewica ma swoje błędy i słabości nierozliczone w takim samym stopniu jak inni. Każdy ma coś, niechby na szafie, co obrosło kurzem, pajęczyną, pleśnią. Chwalę zasługi KOR i „Solidarności", co wcale nie znaczy, że godzę się na oczernianie i niesprawiedliwe oceny PZPR, na przykład, że tylko szkodziła krajowi. Jedno nie wyklucza drugiego. Debatujmy bez zawłaszczania historii, idealizowania własnych rodowodów, bez oskarżania z pozycji prokuratorów wobec podsądnych. Byle pampers wdziewał togę sędziowską i oskarżał, bo jest „czysty", nieskalany „komuną". Coraz więcej niby-bohaterów walk o wolność, niepodległość uwiarygodniało się, świadcząc przeciwko rzekomym kolaborantom i przestępcom politycznym z PZPR. Ci, którzy doszukiwali się w szafach socjaldemokratów śladów kolaboracji, wyczuwali zapach PRL-u, tak samo byli daleko od prawdy, jak PZPR w latach 70., i potem w ocenie KOR-owców.

Wytykano działaczom SLD, że zostali socjaldemokratami z dnia na dzień. Powtarzali te pretensje zwłaszcza ci z „Solidarności", którzy udawali, że za kapitalizmem byli od zawsze, programowo, jakby nie mieli problemów z własną mentalnością, jakby *homo sovieticus* to dewiacja

[13] S. Kwiatkowski, *Mit trupa w szafie*, „Przegląd Tygodniowy", 17.11.1999 r. (Pisząc niniejszy tekst, powtarzam fragmenty tego artykułu).

wyłącznie ludzi z lewicy. Czyż nie byłoby wskazane w dochodzeniu do powszechnego historycznego kompromisu wspólne rozliczenie – jedni za PRL, drudzy za „Solidarność". Adama Michnika stać było na przyznanie, że „debata dekomunizacyjna ujawniła także »szkielet« w szafach solidarnościowych: »szkielet« głęboko antydemokratycznego przekonania, że wolność jest tylko dla zwolenników partii postsolidarnościowych, a nie dla postkomunistycznych adwersarzy, że wolno dyskryminować ludzi ze względu na funkcje, jakie pełnili, a nie za naruszenie prawa. Ten »szkielet« to niezdolność do zaakceptowania tej oczywistości, że SLD jest trwałym elementem demokratycznej Polski. Wolność oznacza zawsze »wolność dla innego« i równość wszystkich obywateli wobec prawa. Kto godzi w te zasady, godzi w rdzeń porządku demokratycznego".

I drugie zastrzeżenie. Dotyczy rozliczeń indywidualnych pod względem moralnym, czystości sumienia itp. Niech każdy rozlicza się sam ze sobą, ewentualnie przed najbliższymi, bez zmuszania do publicznych zwierzeń. Dawne wybory wartości, ówczesne poglądy i przekonania oraz motywowane nimi zachowania partyjne to prawo każdego człowieka do bycia sędzią we własnej sprawie i osobista własność. Co przeżyli, mogą opowiedzieć, jeśli zechcą. Ale nie muszą, ich dobra wola. Nie każdy pozwoli, żeby mu lustrowano sumienie, jak szafę z garderobą.

A. Kwaśniewski już jako prezydent RP pod koniec pierwszej kadencji, odnosząc się do polemik z wspomnianą publikacją B. Labudy na temat przeszłości PZPR i stosunku SLD do PRL (dziedzictwa SLD), powiedział w „Śniadaniu Radia Zet" (7.11.1999 r.): „Dyskusja o historii nie ma prowadzić do eliminacji politycznej SLD. A bardzo często wydaje się, że wszystkie te ekspiacje, wszystkie wypowiedzi historyczne mają służyć udowodnieniu tezy, że dla was, panowie, na placu politycznego działania nie ma miejsca. I tak długo, jak będą tu dwa nieprzystające do siebie światy – trudno będzie zrealizować postulat Basi. Choć moim zdaniem tekst jest wartościowy i w długim okresie czasu przyniesie pozytywne skutki"[14]. W domyśle, póki co, głos minister takich pozytywnych oczekiwań nie spełnił, nie zawierał konstruktywnych propozycji. Dziś wiemy, że i w latach następnych nie stało się tak, jak się marzyło Labudzie.

Miesiąc później prezydent w liście do Pierwszego Kongresu SLD napisał już inaczej, jak przystało na bezpartyjnego reprezentanta wszystkich Polaków, że „pod sztandarami lewicy popełniono w Polsce zbrodnie,

[14] „Gazeta Wyborcza" z 8.11.1999 r.

zdarzyło się wiele niegodziwości. Potrzebne są nie tylko słowa przeproszenia", ale także „symboliczne zadośćuczynienie, przede wszystkim poprzez szacunek i pewność, że nowa lewica nie skrywa starych grzechów i błędów i nigdy ich nie powtórzy".

W owym czasie również na tym tle dochodziło do kontrowersji między młodszymi i starszymi politykami wewnątrz Sojuszu, o czym prezydent zapewne wiedział, a być może, sprzyjał rysującym się pęknięciom. Młodsi dopatrywali się u starszych skłonności do antagonizowania, myślenia stereotypowego wyniesionego z PZPR, że nie biorą pod uwagę realiów nowego ustroju, są skłonni do powrotu w stare koleiny. Zapewne istotnym powodem obaw było to, że zachęcające początki i dotychczasowe deklaracje rozminą się niebawem z rzeczywistym działaniem. Wyrazem tych kontrowersji były wypowiedzi dziennikarzy Wojciecha Pieleckiego i Dariusza Szymczychy (z Kancelarii Prezydenta)[15]. Według pierwszego „ludzie PRL" przegrywają w SLD w sposób wyraźny. „Przegrywają dlatego, że przegrywa ostatecznie mentalność dawnego aparatu, z którego najczęściej się wywodzą. Sojusz tworzony jest wprawdzie w dużej mierze przez działaczy mających rodowód PZPR-owski, także wywodzących się z instancji partyjnych, ale jednak w zdecydowanej większości (…) są to tzw. reformatorzy partyjni, którzy konsekwentnie działali na rzecz przemian". Do nowej partii lewicowej – w opinii Pieleckiego – przychodzą też ludzie, którzy dotąd nie udzielali się politycznie, bo uważali, iż nie powinni, czuli się jakoś odpowiedzialni za przynajmniej część krytyki PRL. Przychodzą również młodzi, co trzeci członek nowego SLD nie skończył jeszcze 30. roku życia. W przeciwieństwie do starszego pokolenia, ani nie dotyczyła ich dekomunizacja, ani nie mieli sentymentu do PRL. Przeszłość to dla nich tylko materiał edukacyjny z podręczników szkolnych i opracowań historyków. Zmienił się także elektorat Sojuszu, większość to ludzie młodzi, do 45. roku życia, a nie tylko jak się wydawało wyłącznie osoby starsze, emeryci i renciści, beneficjenci poprzedniego systemu.

Z kolei zdaniem Szymczychy reakcja na artykuł B. Labudy pokazała, że „w środowisku lewicowym walczą różne skłonności i tendencje". Daje znać o sobie skrajnie pragmatyczne podejście, oznaczające unikanie trudnych kwestii i schlebianie gustom wyborców, polityczne wygodnictwo, według którego partia na przykład nie powinna angażować się w dyskusję

[15] W. Pielecki, *Trup niezgody*, „Gazeta Wyborcza" z 15.11.1999 r.; D. Szymczycha, *Duch pezetperyzmu*, „Gazeta Wyborcza" z 17.11.1999 r.

o PRL i PZPR, bo to wcale nie pomnaża głosów. Pora już skończyć z posypywaniem głów popiołem i z katolicką pobożnością nadstawiać policzek, wyrażając „żal za grzechy". Kto dziś zwraca uwagę na „zapachy z szaf"? Ataki na Labudę pokazały, że „dobre uchwały Socjaldemokracji RP dla wielu ludzi lewicy pozostają na papierze" – pisał Szymczycha. Zły duch pezetpeeryzmu daje o sobie znać, gdy padają pełne zniecierpliwienia pytania: a z czego mamy się rozliczać? Niech rozliczy się obóz posierpniowy, im też „pachnie z szafy". AWS powtarza grzechy PZPR: system partyjnej nomenklatury, karuzela stanowisk, ingerencja polityki w gospodarkę, ideologizacja życia publicznego itp. „Liderzy SLD pewnie są zmęczeni udowadnianiem swej niewinności i demokratycznego nastawienia do polityki. Wiarygodność w polityce nie jest jednak dana raz na zawsze. Społeczne zaufanie, szacunek, poparcie, zrozumienie – to trzeba nieustannie odnawiać. Od debaty o przeszłości nie sposób uciec. (…) Nie ma przecież tożsamości politycznej bez odwoływania się do tradycji".

Jak się wydaje, sądząc chociażby po wypowiedziach ministrów z Kancelarii Prezydenta, których przecież nie kwestionował, w rozliczeniach z PRL-owską przeszłością prezydent chciałby, żeby oceniając tamten czas, pamiętano, że w PZPR były dwa różne nurty; broniąc zasługi jednego z nich, równocześnie powinno się potępiać to, co było złe w tym drugim. Wśród członków kierownictwa socjaldemokratów zawsze byli niechętni rozdrapywaniu tej sprawy, „skoro wróg nas atakuje, to dlaczego my sami mamy jeszcze ułatwiać sytuację"[16].

Kto chciał rozliczenia SLD z dziedzictwa?

Czy rzeczywiście wyborcy domagali się rozliczenia SLD z zaszłości? Opinie na temat porachunków z lewicą zbierano w badaniach sondażowych. Co na to wyborcy socjaldemokratów, czy elektorat lewicy zgadzał się z interpretacją przeszłości, jaką chcieli mu narzucić na przykład

[16] „Być dumnym z tego, że w PRL, PZPR był ten nurt, który reprezentował wartości demokratyczne, wartości patriotyczne i który dobrze służył Polsce. Natomiast to co było złe zasługuje na otwartą krytykę i odrzucenie, ale właśnie na tle afirmacji tego, co było cenne i dobre. (…) Partia polityczna musi mieć przemyślany stosunek do swoich własnych korzeni". J.J. Wiatr, *Co dalej z lewicą?*, „Myśl Socjaldemokratyczna" 2007, nr 2, s. 28.

fanatycy z ZChN lub Ligi Republikańskiej, czy raczej gotów był bronić własnych racji moralnych i politycznych, przeciwko manipulowaniu prawdą historyczną? W styczniu 2000 roku CBOS pytał ankietowanych wprost: „Czy SLD powinien rozliczyć się przed społeczeństwem, dokonać rozrachunku z peerelowską przeszłością, czy też nie ma takiej potrzeby?". Respondenci, odpowiadając na to pytanie (próba reprezentatywna ogółu dorosłej ludności Polski), podzielili się następująco:

– nie, nie ma takiej potrzeby – 48 proc. (w tym 37 procent – ponieważ nie ma się z czego rozliczać i 11 procent, bo już się rozliczył);
– tak, powinien, ponieważ do tej pory tego nie zrobił – 32 procent;
– trudno powiedzieć – 20 procent.

Jakie były sympatie polityczne tak myślących? Nie oczekiwał rozliczeń potencjalny elektorat SLD (chciało tego tylko 9 procent) i prawie dwie trzecie zwolenników PSL. Rachunku sumienia partii lewicy chcieli przede wszystkim osobnicy o prawicowych poglądach, sympatycy AWS – 69 procent, i UW – 61 procent. Ale nawet co czwarty potencjalny wyborca UW i co piąty AWS był w tej sprawie po stronie SLD.

„Czy potrzebna jest publiczna debata o PRL?": niepotrzebna – zdaniem 64 procent badanych (nie chciała takiej dyskusji większość zwolenników zwłaszcza PSL i SLD, ale także UW i AWS). Większość ankietowanych unikała wyraźnie negatywnych bądź pozytywnych ocen okresu PRL. Ponadto opinie *in minus* i *in plus* były zbliżone (47 procent i 44 procent).

„SLD to ugrupowanie postkomunistyczne czy polski odpowiednik zachodnich socjaldemokracji?":

– 43 procent uważało, że SLD jest taką samą partią lewicową, socjaldemokratyczną jak inne partie w Europie Zachodniej;
– 31 procent sądziło, że jest przede wszystkim partią postkomunistyczną, spadkobierczynią PZPR; 26 procent nie miało zdania.

Mimo iż SLD w odczuciu społecznym jest w mniejszym czy większym stopniu następcą PZPR, owa spuścizna polityczna nie stanowiła najbardziej znaczącego składnika jego społecznej tożsamości. Badani częściej definiowali bowiem SLD jako partię lewicową, socjaldemokratyczną, taką jak inne partie zachodnioeuropejskie, niż jako formację postkomunistyczną. Rozbieżności w tej sprawie występowały między badanymi o orientacji prawicowej, sympatykami AWS i w mniejszym stopniu UW, oraz osobami o poglądach lewicowych. Jednak aż 27 procent potencjalnego elektoratu

UW i 18 procent chętnych głosować na AWS traktowało członków SLD jak normalnych socjaldemokratów.

Fakt, że SLD można uznać za spadkobiercę PZPR, nie musiał oznaczać – wg opinii ankietowanych – moralnej odpowiedzialności sojuszu za rządy poprzedniczki: 70 procent uznawało SLD za sukcesora spuścizny po PZPR, a połowa ogółu badanych skłonna była obarczać odpowiedzialnością (w mniejszym lub większym zakresie). Zdaniem ponad jednej trzeciej respondentów – SLD nie ponosi moralnej odpowiedzialności za rządy PZPR.

Prosty w założeniu zamysł, żeby dziedzictwo „Solidarności" nobilitowało AWS, a spadek po PZPR pogrążał SLD – nie przynosił spodziewanych korzyści politycznych. Z podobnym skutkiem wychodziło ciągłe odwoływanie się do dawnych podziałów, na Polskę „posierpniową" i „postkomunistyczną", żeby ludzie określali się po staremu: za lub przeciw „Solidarności". Owszem, respondenci CBOS pytani o konflikty w polskim społeczeństwie (sondaż z 3–15.12.1999) wskazywali jako silne różnice pomiędzy „byłymi komunistami wywodzącymi się z dawnej PZPR a byłymi opozycjonistami wywodzącymi się z dawnej Solidarności", ale widać było, że dostrzegają te konflikty z pozycji obserwatorów, one nie dotyczyły badanych i relatywnie najsłabiej korelowały z pozostałymi podziałami (na biednych i bogatych, ludzi na szczycie i na dole drabiny społecznej, kierownictwem zakładów a robotnikami, rządzącymi a rządzonymi).

Wnioski z omówionych sondaży nasuwały się same: nie było zapotrzebowania społecznego na rozliczenia za PRL i PZPR. Rządzącym nie udało się narzucić opinii publicznej partyjnej optyki spraw ważnych. Oczekiwania wyborców trafnie odczytywał lewicowy Przegląd Społeczny „Dziś", apelując, żeby „nie godzić się na stosowanie do przeszłości miar i kryteriów dzisiejszych, a także nie mylić moralizatorstwa z polityką. (…) Polska potrzebuje polityki ponad podziałami z okresu PRL, zorientowanej i zróżnicowanej wokół spraw dnia dzisiejszego i przyszłości, takich jak integracja europejska, kształt polityki ekonomicznej, sposoby rozstrzygania o szansach edukacyjnych i zdrowotnych, relacje między sferą laicką a religijną itp."[17].

[17] „Dziś" 1999, nr 8, s. 4.

Ucieczka Sojuszu „trzecią drogą" w przyszłość i pragmatyzm

Czołówka SLD, wzorem prezydenta, który od 1995 roku realizował konsekwentnie swój projekt pod hasłem „Wybierzmy przyszłość", też nawoływała: „Wygrajmy przyszłość. Przywróćmy normalność", „Patrzmy w przód", „Ścigajmy się o przyszłość". Z zawołania w batalii o prezydenturę dla Aleksandra Kwaśniewskiego, który w przeciwieństwie do Lecha Wałęsy, pretendował do tytułu prezydenta wszystkich Polaków – uczynili myśl przewodnią na partyjny (a więc stronniczy!) użytek. Prezydent nawet po latach może nadal być przekonany, że motto towarzyszące jego kampanii, „było jednym z najwybitniejszych haseł politycznych, jakie odpowiadały tamtemu czasowi i oczekiwaniom"[18]. Intencje były dla wszystkim oczywiste w tamtych okolicznościach: rywalizowały ze sobą strony długo trwającego konfliktu – spadkobiercy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i NSZZ „Solidarność". Chociaż konflikt zakończono porozumieniem przy okrągłym stole, była opozycja świętowała zwycięstwo i w tym przekonaniu traktowała „postkomunistów" jak pokonanych, nawet wówczas gdy po wygranych wyborach rządzili. W działaniach politycznych dominowały nastroje rozliczeniowe, odwetowe, a nawet wrogość. Prezydent chciał być bezpartyjny, bezstronny, apelował, by zamiast pielęgnować przeszłość i dawne urazy, myśleć o wspólnej przeszłości.

Ale co innego prezydent, który jeśli chce wygrać, musi pozyskać poparcie większości społeczeństwa, a co innego partia, która idzie do wyborów, licząc przede wszystkim na głosy własnego elektoratu. Czego wyborcy oczekiwali od swojej reprezentacji politycznej? Sprzeciwu wobec dekomunizacyjnych dyskryminacji i prześladowań, że lewica zacznie organizować ludzi w proteście, w obronie pokoleń, które żyły i współtworzyły PRL, że w spornych sprawach, będzie aktywną stroną polemik, bez kompleksów wobec prawicy; bardziej radykalnych działań, twardego, stanowczego stanowiska.

Czy to znaczy, że strategia wybiegająca naprzód i dialog o przyszłości nie są potrzebne? Jedno drugiemu nie przeczy. Cóż to byłaby za partia bez myślenia o przyszłości i wizji programowej, bez pokoleniowej ciągłości, porozumienia z młodymi na tej programowej płaszczyźnie? Jednak polityka partyjna realizuje program własnego ugrupowania, chcąc nie chcąc, jest ze swej istoty stronnicza, z natury rzeczy zwrócona przeciwko

[18] W rozmowie z dziennikarzami „Polska The Times", 15–17.07.2011 r.

komuś; gdy dochodzi do konfliktu interesów, ma przeciwników; wymaga demonstrowania, że w spornych sprawach, wywołujących kontrowersje społeczne, partia będzie aktywną stroną polemik, że gra w jednej, silnej drużynie i potrafi bronić swoich racji i wyborców, że mimo wszystko mogą oni na nią liczyć. W tej intencji pytano: z kim i o co chce walczyć SLD, i czy w ogóle ma ochotę stawać w szranki z kimkolwiek?

Niestety, w hasłach o przyszłości dawały o sobie znać kompleksy byłych pezetperowców; kierownictwo Sojuszu najwyraźniej stroniło od problematyki historycznej, zamiast bronić własnych tradycji zachowywało się defensywnie wobec napastliwości przeciwników, jakby wstydziło się ciążącego mu garbu przeszłości. Socjaldemokraci wybiegli tak daleko w przyszłość, że pobłądzili: zaczęli dystansować się nie tylko od PRL, ale i dorobku tamtego pokolenia, nie tylko od PZPR, ale z neoficką gorliwością deklarowali antykomunizm, dali sobie narzucić gorset politycznej poprawności, miotali się, lekceważąc swoich, a broniąc się, mizdrzyli się do przeciwników politycznych, kościelnych hierarchów i do wielkiego biznesu.

Niechęć liderów lewicy do dyskusji historycznych niestety zaczęła iść w parze z odcinaniem się od korzeni, od ludzi broniących historycznych zdobyczy Polski Ludowej i swoich życiorysów. „My chcemy się wreszcie odbić od przeszłości”[19], wyznał jeden z czołowych polityków SLD. Odnosząc się do byłych członków PZPR, dodał: „Jeżeli coraz mniej miejsca w naszych deklaracjach zajmuje obrona PRL-u i zdobyczy realnego socjalizmu, to oni już takiej partii nie chcą. Rozstajemy się z nimi bez żalu. Miejsce na wspominanie starych czasów jest w kółku historycznym”. W innym miejscu tenże prominentny polityk pisał o „dylematach lewicy”: „Socjaldemokracja Rzeczypospolitej nie chce i nie może już być łącznikiem z przeszłością. Tu nie ma wyboru. (…) Musimy uciekać do przodu, budować pomosty w przyszłość. Nie będziemy także wspólnotą biografii. (…) To oznacza, że przyszedł czas na ostateczne zerwanie z pezetpeerowską przeszłością, z kompleksami i obawą przed pogorszeniem swojego politycznego losu”[20].

Jak rozumieć owe intencje, czym tłumaczyć lekceważące własną historię pomysły i arogancję? Przecież SdRP nabrała sił dopiero wtedy, gdy jej liderzy przestali udawać, że są kimś innym, lepszym od dotychczasowego towarzystwa, z którego wyrośli. Na co jeszcze liczyło SLD, w takiej

[19] „Polityka” z 14 sierpnia 1999 r.

[20] K. Janik, *Dylematy lewicy*, „Trybuna” z 3.03.1999.

jak wówczas sytuacji? Czy nadal zamierzali udawać – ulegając presji polityków z obozu „Solidarności", kokietując przeciwników – że ich przy tym nie było?

Ponowną elekcję prezydencką Aleksander Kwaśniewski wygrał już w pierwszej turze, mając ponad 50-procentowe poparcie. W 2001 roku koalicja SLD-UP zwyciężyła w wyborach parlamentarnych (ponad 41 procent głosów) i lewica ponownie przejęła rządy. Sukcesy wyborcze mogły przyprawić socjaldemokratów o zawrót głowy, wydawały się potwierdzeniem słuszności obranej drogi i mandatem na przyszłość – bez potrzeby oglądania się wstecz. Tym samym wspomniane utarczki polemiczne wokół polityki pamięci, na temat obciążeń przeszłością, tożsamości lewicy i dziedzictwa PRL, straciły na znaczeniu. Już w programie wyborczym w roku 2001, podobnie jak w poprzednich koalicyjnych oświadczeniach wyborczych lewicy, pominięto oceny dotyczące przeszłości, w tym PRL. Kierownictwo Sojuszu pomne dotychczasowych sporów z ludźmi prezydenta Kwaśniewskiego, zapewne pod wpływem niedawnych polemik prasowych, złagodziło jeszcze bardziej swoje stanowisko w sprawie polityki pamięci. Jeśli odnosili się do przeszłości, to tylko dlatego, że w tym czasie PiS rozpoczynał „politykę historyczną", którą traktował jako główne narzędzie walki z rządzącymi i III RP.

Jeszcze inną przyczyną owej „miękkiej" polityki naśladującej prezydenta, jak można przypuszczać, były osobiste ambicje premiera Leszka Millera, który rywalizując z Kwaśniewskim, zaczął myśleć o sukcesji po jego drugiej kadencji. Pewny głosów swoich zwolenników, zjednywał sobie poparcie potrzebnej większości, unikał sporów o pamięć i dziedzictwo poprzedniego systemu, zabiegał o względy „wszystkich świętych" – hierarchów kościelnych, prywatnego biznesu, „wielkiego brata" (sprawa szpiega Kuklińskiego) i innych (koncesje dla prałata Jankowskiego).

Zwrócenie się ku przyszłości, przemilczanie problemów tożsamości ideowej i pamięci, miało także przyczyny zewnętrzne, międzynarodowe. W tym czasie lewica europejska, żeby dopasować się do nowych realiów współczesnego świata i wyzwań globalizacji, do zmieniającego się społeczeństwa, stara się wypracować nowe idee tak zwanej nowej socjaldemokracji. Debatowano o problemach postawionych przez Antony'ego Giddensa, brytyjskiego socjologa, w książce *Trzecia droga. Odnowa socjaldemokracji* (Cambridge 1998), i o praktyce politycznej „trzeciej drogi" przywódców europejskich partii lewicowych, zwłaszcza premiera

Tony'ego Blaira oraz kanclerza Gerharda Schrödera[21]. Dość powiedzieć, że zachodnia lewica wykonała zwrot ku centrum, zaczęła mówić innym językiem w sprawach dotyczących konkurencyjności, państwa opiekuńczego i polityki społecznej. Wkrótce „trzecia droga" to już niemal dogmat europejskiej socjaldemokracji. Partie socjaldemokratyczne wyraźnie ewoluowały od „partii ludzi pracy" do partii reprezentującej ogół obywateli, różne grupy społeczne, nastawionej na pozyskiwanie wyborców w całym społeczeństwie. Podążając „trzecią drogą" w kierunku pragmatycznej partii władzy, i w pogoni za sukcesem wyborczym, przygarniano wszystkich, byle rządzić. Powstało wrażenie, że podziały społeczne nie mają znaczenia, zwracano uwagę na problemy, ale nie mówiono o grupach, których dotyczą, tak jakby przestał istnieć kapitał i praca najemna, strukturalny konflikt interesów pracy i kapitału – kluczowych kategorii w języku lewicy.

Wzorem zachodniej lewicy kierownictwo polskich socjaldemokratów uważało się za ludzi pragmatycznych, a przynajmniej nie protestowano, jeśli zarzucano im, że pragmatyzm polityczny podnieśli do rangi partyjnej doktryny. Jeszcze w 1996 roku na zebraniu aktywu partyjnego przekonywano uczestników, że „nasza partia uciekła od ideologii. Świadomie przyjęliśmy, że będziemy partią nieideologiczną – pragmatyczną partią dążącą do sukcesu, do spożytkowania możliwości i że będziemy partią wyborczą"[22].

Formacja postpezetpeerowska weszła w rok 2000 z manifestem programowym „Nowy wiek – nowy Sojusz Lewicy Demokratycznej. Socjaldemokratyczny program dla Polski". Jeden z rozdziałów w tytule miał zapowiedź „nowej lewicy", ogłoszono „otwarcie na nowe środowiska", chęć, żeby pozyskać „możliwie wielką część społeczeństwa", deklarowano: „zwracamy się do wszystkich" – takie formuły powtarzały się w różnych dokumentach i przy różnych okazjach, ilekroć odpowiadano na pytanie o adresata deklaracji i apeli: „kogo reprezentujemy?". Chcąc nie chcąc, była to odpowiedź na trudny dylemat: jak pogodzić równoczesne bycie lewicową partią wydziedziczonych, wykluczonych, pokrzywdzonych (przez transformację) – z zadaniem reprezentowania dynamicznych, twórczych

[21] Por. A. Skrzypek, *Trzy kryzysy, trzy wyzwania. Społeczny plan socjaldemokracji na XXI wiek*, „Forum Klubowe" 2011, nr 5–6, s. 8–18.

[22] *Seminarium kierowniczego aktywu SdRP*, Mierki 1996, s. 8 (podaję za A. Pawelską, *Ewolucja programowa Socjaldemokracji Rzeczpospolitej Polskiej i Sojuszu Lewicy Demokratycznej w latach 1990–2010)*.

sił w społeczeństwie, bycia zarazem partią tych, którym się powiodło, odnieśli sukces w wyniku uczciwej przedsiębiorczości, twórczej pracy, dzięki indywidualnym kompetencjom. Jakby nie mogli się zdecydować, kogo właściwie lewica polityczna ma reprezentować, a kogo nie chce; tym samym unikali odpowiedzi, uciekając „trzecią drogą" w pragmatyzm.

Stawianie w polityce na pragmatyzm wyróżnia neoliberałów, oznacza kierowanie się skutecznością w działaniu i użytecznością, co w praktyce dla własnych wyborców nie powinno być szkodliwe. Przeciwnie, polityk powinien być pragmatykiem, bo według pragmatycznych kryteriów jest oceniana jego działalność, zwłaszcza gospodarcza, zdolność rozwiązywania praktycznych problemów; byle nie wyrzekał się idei i przekonań, umiał łączyć w sferze praktyki ideowość z technokratyczno-menadżerskim stylem uprawiania polityki. Jeśli jednak skuteczność i użyteczność sprowadza się do koniunkturalizmu, aktywność ogranicza do dbałości o korzyści osobiste i utrzymanie się przy władzy, to powstaje inny problem, zwany oportunizmem. Przypomnę: oportunizm to postawa moralna człowieka kierującego się w swym postępowaniu asekuranctwem i tym, co w danej sytuacji jest dla niego korzystne. Co to za pragmatyzm, skoro każdy cynicznie walczy przede wszystkim o swoje i każdy dla siebie? Na co jeszcze liczyło SLD w takiej jak wówczas sytuacji? Irytujące dla własnej bazy wyborczej były publiczne wypowiedzi pseudopragmatycznych liderów, którzy opierając się na towarzysko-biznesowych powiązaniach, bojąc się narażać tak zwanej klasie politycznej, chcieli być sympatyczni dla przeciwników politycznych, rezygnowali z lewicowej wyrazistości na rzecz neoliberalnych pomysłów, przyjmowali dominujące w debacie publicznej poglądy konserwatywne za własne i bezalternatywne, przymilali się do prawicowych mediów, chociaż one i tak im nie darowały życiorysów, prędzej czy później dopadały w szale dekomunizacji. Tym bardziej, że w 2000 roku rozpoczął działalność Instytut Pamięci Narodowej – instytucja indoktrynacyjna i zarazem represyjna.

Co to za pragmatyzm, jeśli politycy Sojuszu – dla własnej kariery – z neoficką żarliwością zabiegali o względy hierarchów kościelnych otwarcie zwalczających lewicę, ustępowali ich żądaniom materialnym, sankcjonowali prestiżowe przywileje, ulgi podatkowe, różne formy dofinansowania, wysokie pensje dla armii kapelanów, hojnie opłacanych z kasy państwowej, wyznaniową oprawę uroczystości państwowych – szkodzili całej formacji. Jeśli dystansując się od „ludzi z Peerelu", szukali sobie lepszego

towarzystwa. Towarzystwa z kasą. Stąd sytuacje i zarzuty o charakterze korupcyjnym, nepotyzm i tym podobne zachowania „biznesowe". W sondażu Pentoru pytano, czym kierują się polscy politycy? Prawie 87 procent ankietowanych wybrało odpowiedź: własnym interesem. Stąd właśnie brały się pretensje do SLD. Czołówka Sojuszu była pragmatyczna w takim samym stopniu jak skuteczna.

Wbrew głoszonym ideałom, lekceważąc podstawowy lewicowy elektorat, w przekonaniu, że i tak zagłosuje zgodnie z oczekiwaniami, bo nie ma wyjścia – trwonili resztki poparcia, na przykład środowiska wojskowego, nobilitując zdrajcę jak bohatera narodowego, za nic mając wyborców wiernych żołnierskiej przysiędze. Służalczo zachowywali się wobec nowego wielkiego brata, tym razem z Zachodu. Ani to myślenie pragmatyczne, ani wyraz troski o lewicowe wartości i ideały.

Chyba najtrudniejszym problemem z przeszłości był stosunek do stanu wojennego – to była główna oś sporu z przeszłości. W 20. rocznicę tej dramatycznej decyzji gen. Wojciecha Jaruzelskiego Aleksander Kwaśniewski wygłosił na sesji zorganizowanej przez IPN 13 grudnia 2001 roku ważne dla lewicowej polityki pamięci przemówienie. Jak można się było spodziewać, zostało przyjęte dwojako. Z uznaniem w „Gazecie Wyborczej", a krytycznie w „Trybunie", w której długo „zbierał cięgi od lewicy" (napisała „Gazeta Wyborcza"). Zreferował znane argumenty obu stron konfliktu, wspomniał o utrzymującym się poparciu większości społeczeństwa dla wojska i decyzji generała. Odnosząc się do badań opinii i owego poparcia, powiedział, że odczytuje ów fakt „jako istotny znak stanu ducha Rodaków", i pytał, co powinien zrobić, „z jaką inicjatywą wystąpić, by pokój zapanował w naszych sercach. Byśmy umieli nawzajem sobie wybaczyć".

Przyznam, że wówczas może zbyt krytycznie i emocjonalnie odniosłem się do wypowiedzi prezydenta[23]. Pisałem, że bardzo to ekumeniczne, jak całe przesłanie, akurat na czas świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Pobożne życzenia ateisty usiłującego znaleźć cudowny sposób. Wiadomo, był stosowny moment, żeby przegranym po wyborach, poturbowanym psychicznie i zdegradowanym elitom solidarnościowym powiedzieć coś ku pokrzepieniu: o ich złości na stan wojenny i o tym, że z dwudziestoletniej perspektywy patrząc – mieli rację. Oskarżyciele

[23] *Prezydencki piruet*, „Trybuna" z 5–6.01.2002 r. oraz *Prezydencka busola*, „Trybuna" z 12–13.01.2002 r.

stanu wojennego poczuli się usatysfakcjonowani, na ogół z zadowoleniem przyjęli to „arcydziełko politycznej poprawności". Mieli jednak za złe głowie państwa między innymi brak krytyki „postępowania generała i jego współpracowników w mundurach podczas trwania stanu wojennego" (za: „Nowe Państwo", nr 51–52). Z kolei wojskowi uważali, że „w zasadzie nic ująć, tylko jakiś niedosyt pozostaje". Oczywiście, „prezydentowi wszystkich Polaków" trudno dogodzić wszystkim. Miałem za złe Zwierzchnikowi Sił Zbrojnych, że idąc do IPN – zaszedł za daleko i swoją tam obecnością uhonorował instytut, a przecież był przeciwny jego powołaniu – i że w obszernym wywodzie nawet nie napomknął o wojsku. Przypomnę: jesienią 1981 roku wojsko cieszyło się powszechnym zaufaniem – 93 procent badanych przez OBOP. Tak wysokich notowań nie miała żadna inna organizacja czy instytucja – ani przedtem, ani potem.

Potępiający stan wojenny lekceważą lub nie chcą pamiętać, że od początku, od pierwszych kilku sondaży OBOP w 1982 roku, zdecydowana większość społeczeństwa zawsze uważała decyzję Generała za słuszną, usprawiedliwioną. Opinie te nie pasują do gadaniny o wojnie „polsko-jaruzelskiej", porównań z okupacją i zaborami. Wiadomo, stan wojenny był złem. Z pewnością „złego" mogło być mniej. Ale nie mógł być dobry, bo jest niedobry z natury rzeczy. Niestety, zginęli ludzie. I nic tego nie usprawiedliwi. Nawet to, że podczas kręcenia filmu w tejże samej kopalni, w pokojowych warunkach, poniósł śmierć młody człowiek. Jednak „zło" mogło być jeszcze większe – klęską dla Polaków i dla Polski, co przyznają rozsądni ludzie. Prawdę o tamtych ciężkich czasach nie sposób poznać bez uwzględnienia ówczesnej sytuacji wewnętrznej w Polsce i wokół naszych granic[24]. W ocenie sytuacji i przyczyn, które złożyły się na ostateczną decyzję rozwiązania konfliktu z użyciem sił zbrojnych – Polacy byli i są podzieleni. Tu różnice są największe, zasadnicze. Uczestnicy tego historycznego sporu, po staremu nadal pielęgnują własną prawdę i pamiętają swoje. I pewnie tak zostanie.

„Pamięć o stanie wojennym musi być ocalona – powiedział prezydent. – Powinniśmy zrobić wszystko, aby wyjaśnić wszystkie okoliczności tamtych wydarzeń, zachować lub odtworzyć dokumenty, czynić sprawiedliwość wobec ludzi". Prezydent najobszerniej mówił o skutkach. Dramatycznych, tragicznych, kosztownych – dla państwa i osób

[24] Por. S. Kwiatkowski, *W stanie wyższej konieczności. Wojsko w sytuacji konfliktu społecznego w Polsce 1981–1983*, Toruń 2011.

poszkodowanych. Nie ma skutków bez przyczyny. Opisywanie stanu wojennego poprzez skutki to jak stanie na jednej nodze. Ciężko ruszyć do przodu. Wiadomo, że najtrudniej mówić o jego przyczynach. Pewnie stąd odczucie niedosytu. Przypuszczalnie prezydent powiedział, co chciał powiedzieć tym, o których przychylność zabiegał, których chciał pozyskać. Czy bez strat po przeciwnej stronie? Najwyraźniej spoglądał tylko w jedną stronę, jakby wypatrywał oklasków. Sądząc po reakcji „Gazety Wyborczej", chyba się udało. Dziennikarz gazety w polemicznym komentarzu do mojego artykułu pisał: „Ataki »Trybuny« uświadamiają, jak długą drogę przebył po 1989 roku Aleksander Kwaśniewski. W tym sporze jestem oczywiście po jego stronie. W gruncie rzeczy dotyczy on aksjologicznych fundamentów III Rzeczypospolitej. Oddając hołd ofiarom stanu wojennego, prezydent buduje je na tradycji walki o suwerenność i demokrację. Na innych zasadach państwa suwerennego i demokratycznego budować nie można. Słuchając swoich krytyków z »Trybuny«, Kwaśniewski musiałby sięgnąć po tradycję PRL-owską – obrony państwa autorytarnego i zależnego. Ludzi, którzy byli w nie uwikłani, można próbować zrozumieć, ale nie można im budować pomników. I Kwaśniewski to rozumie"[25].

Środowiska o rodowodzie opozycyjnym w PRL doceniały ewolucję Kwaśniewskiego, że „wraz z upływem czasu coraz częściej mówił on tak, jakby był reprezentantem Polski opozycyjnej, a nie tej, która wywodziła się z PZPR-u. Świadomie utożsamiał się z tradycją niepodległościową i demokratyczną"[26].

Środowiska liberalne i centrowe, te same, które z uznaniem mówiły o postawie Kwaśniewskiego, niestety nie zdobyły się na podobny gest, wyjście naprzeciw SLD, chociażby po „trzeciej drodze". A przecież zbliżenie wzajemne było tym łatwiejsze, że władze Sojuszu, uciekając w przyszłość i pozostając na pozycjach neoliberalnej lewicy (podczas II Kongresu SLD w 2003 roku jednoznacznie opowiedziały się za założeniami liberalnego modelu państwa) preferowały pragmatyczne podejście w rozwiązywaniu bieżących problemów gospodarczych i skupiały się na zagadnieniach międzynarodowych (wstąpienie do NATO i UE).

W 2004 roku w atmosferze głosowania do Europarlamentu (13 czerwca) i zaczynającej się kampanii wyborczej zanosiło się na to, że SLD

[25] W. Załuska, „Gazeta Wyborcza" z 8.01.2002 r.

[26] A. Smolar, *Władza i geografia pamięci*, [w:] *Pamięć jako przedmiot władzy*, Fundacja im. Stefana Batorego, Warszawa 2008, s. 58.

pójdzie do wyborów jako partia, która zawiodła oczekiwania i mogła już tylko liczyć na stałą, „twardą" część elektoratu lewicowego, bo stracono – na dłużej – szersze poparcie społeczne. Parlamentarzystom SLD pamiętano fakty rozmyślnego działania, jakby na złość własnym wyborcom, z premedytacją realizowali coś innego, niż obiecywali i czego oczekiwano (niektórzy nawet tego nie ukrywali). Potencjalny elektorat Sojuszu pamiętał owe błędy, zawiedzeni wyborcy, nie mając gwarancji, że się one nie powtórzą, w 2005 roku albo głosowali na konkurencję, albo zostali w domu w dniu wyborów (stąd pewnie najniższa frekwencja od 1989 roku). Jeśli głosowano na swoich, to – mimo wszystko, „zaciskając zęby", jak napisał jakiś czytelnik „Trybuny". Dodajmy, że wtedy działał jeszcze straszak PiS, a nawet prawdopodobieństwo PO-PiS, no i Sojusz poszedł na wybory z odmłodzonym kierownictwem – Wojciechem Olejniczakiem i Grzegorzem Napieralskim.

Zaburzenia pamięci pokoleniowej u młodej lewicy

Po klęsce w wyborach 2005 roku ubezwłasnowolniona lewica, z powodu własnych błędów, poniekąd na własne życzenie, znalazła się w defensywie, i nic nie wskazywało, żeby ją stać było na kontratak, konsolidację swoich potencjalnych wyborców w obliczu zagrożenia „polityką historyczną" PiS. Zmiana pokoleniowa partyjnej czołówki, odmłodzenie ekipy kierowniczej z duetem Olejniczak–Napieralski, odsuwanie starszych współtowarzyszy od stanowisk to jeszcze inne przyczyny odcinania się od przeszłości, od starego, znaczy czegoś wstydliwego, co było – minęło, oby bezpowrotnie. Jakby przeszłość była wyłącznie naganna.

Młodzi liderzy Sojuszu, poróżnieni ze starszymi kolegami, którzy roztrwonili dotychczasowy stan posiadania kapitału społecznego, nie byli w stanie się przeciwstawić antagonizowaniu społeczeństwa, atakowi na PRL, bezradnie milczeli, gdy opowiadano o zbrodniczym charakterze rządów PZPR, nie reagowali w obronie historycznego porozumienia w 1989 roku. W manifeście wyborczym SLD z 2005 roku zarzucano prawicy traktowanie historii „jako obszaru odwetu politycznego dokonywanego na milionach ludzi urodzonych i wykształconych w PRL", pomijanie dorobku 45-lecia PRL, awanturnictwo polityczne, dążenie do delegalizacji partii lewicy, powszechnej lustracji, dekomunizacji, nacjonalistyczne, prawicowe

imaginacje. Deklarowano chęć budowania „Polski otwartej, europejskiej i dumnej ze swej historii traktowanej bez zafałszowań i przemilczeń".

Czy to miała być odpowiedź na wszechobecne kompromitowanie tego, co stanowi trwały dorobek Polski Ludowej, awans cywilizacyjny i kulturalny milionów Polaków, poniewieranie dokonań starszych pokoleń przez prawicę i kościelnych agitatorów? Natura nie znosi próżni, brak polityki w jakiejkolwiek dziedzinie też jest polityką. Najpierw AWS czyniła bezkarnie, co chciała, z historią PRL i „postkomunistów", potem „polityka historyczna" zapoczątkowana właśnie przez prawicowe ugrupowania, zwłaszcza braci Kaczyńskich unaoczniła konsekwencje zaniedbań i uników lewicy w dziedzinie pamięci. W debacie na tematy historyczne, w sporach o przeszłość, lewica nie zaproponowała samodzielnej, jednoznacznej wykładni, raczej zachowywała się reaktywnie, defensywnie, ograniczając się do kwestionowania tego, co robili przeciwnicy. Rządy formacji lewicowych i reprezentacja parlamentarna SLD unikały dyskusji o przeszłości i własnej tożsamości także dlatego, że czuły się bezbronne bez własnych mediów i zaplecza naukowego, a może uwierzyły, że „mniej im wolno", co powtarzano – ci z PRL „nie mogą mieć czystego sumienia, skoro uczestniczyli w tym komunizmie" (bp. T. Pieronek).

Młodzi z natury rzeczy wolą patrzeć wprzód, myśleli o tym, co przed nimi, chcieli budować „nową lewicę", być może zamierzali – wzorem poprzedników – także uciec od dawności, tyle że w praktyce, jak się okazało, od własnego dziedzictwa uciec nie sposób. Nawet nie pozwolą. Wyliczyli, że trzeba zabiegać o młodzież, bo do urn wyborczych poszedł wyż demograficzny, oraz postawili sobie zadanie: „zmniejszyć elektorat negatywny Sojuszu". Dali sobie wmówić wstręt do „twardego" elektoratu, że powinni się wyrzec PRL i PZPR, że mają się wstydzić rodowodu. Czyżby pewni swego, zakładali lekceważąco, że głosy ludzi z PZPR mają jak w banku, bo ci są bez wyboru. A może, w co trudno uwierzyć, dawnych towarzyszy partyjnych cynicznie spisywali na straty w ogóle? Czy był sens lekceważyć dotychczasową bazę wyborczą? Nawet jeśli udałoby się pozyskać nowych ludzi, niechby z przewagą młodych, po co dla wątpliwych efektów propagandowych zrażać do siebie starszą część elektoratu?…

Zmieniono kierownictwo, partia także powinna się była zmieniać; niekoniecznie w nową, wystarczy, że w inną. „Nowe" znaczy w domyśle nowoczesne; z nowością łatwiej zbliżyć się do „młodej lewicy", tej która cały czas krytykowała „starą". Młodym należy tworzyć warunki do

politycznego działania, jednak czupurne wezwania nowej, młodej lewicy odłóżmy na nieco lepsze czasy, kiedy ona się umocni. „Nowa lewica" – na razie nie ma elektoratu liczącego się w wyścigu do parlamentu, to gromadka młodych zapaleńców, gniewnych pięknoduchów, przekonanych, że SLD jest „lewicą bez ducha". Nim „nowa lewica" zdobędzie wystarczające poparcie społeczne, obowiązkiem „starej" powinno być utrzymanie partii przy życiu, chcąc nie chcąc – w tamtych okolicznościach, późniejszych chyba także – musi być umiarkowanie konserwatywna. Przeżyć w głosowaniach wyborczych może tylko, zwracając się „po prośbie" do milionowej rzeszy dawnych członków PZPR i ich rodzin. Jeśli ci z PRL pokażą gest Kozakiewicza, skończy się jak indywidualne kariery niektórych polityków z kierownictwa – przegranych w rodzinnych stronach, chociaż startowali do Sejmu z pierwszego miejsca na liście. Czy aby nie z powodu głupstw, jakie słyszeliśmy i czytaliśmy w ich wykonaniu?

Brak szacunku do własnej historii już przyniósł dotkliwe straty. Pytano: czy lewica będzie, jak dotąd, przyglądać się biernie temu, co wyprawia prawica, czy przeciwnie, przyjmie wyzwanie i pójdzie do zwarcia? Każda okazja dla opozycji jest dobra. Sojusz zawsze miał i ma obowiązek czynnie reagować na to, co wyrabia przeciwnik polityczny. A jeśli nie, to go wyborcy rozliczą. Pretensje do polityki pamięci podczas rządów SLD (2001–2005) zgłaszano nie tylko z prawej, ale i z lewej strony. Przytoczę krytyczną opinię Przemysława Wielgosza, redaktora naczelnego polskiej edycji miesięcznika „Le Monde Diplomatique", który pisał w tym czasie: „Dzisiejsza lewicowa odpowiedź na ofensywę prawicy jest słaba i nieprzekonująca. Reprodukują się w niej wszystkie wady i ograniczenia formacji, która chciała zdobyć głosy wszystkich Polaków, a straciła nawet własny tzw. betonowy elektorat. Polemika, na jaką są w stanie zdobyć się dziś politycy lewicy socjaldemokratycznej, nasiąknięta jest frazesami zaczerpniętymi z języka prawicy"[27].

Krytyczne oceny z tego powodu nasiliły się na lewicy zwłaszcza wówczas, gdy politycy PiS zaczęli już bez przeszkód zakłamywać historię najnowszą, pozbawiać lewicowe i liberalne nurty politycznej legitymacji historycznej; manipulowano zideologizowaną historią PRL, historią zdrady i zaprzaństwa[28]. Lustrację i dekomunizację uczyniono zasadniczym

[27] P. Wielgosz, *Polityka historyczna lewicy?*, „Przegląd" z 26.12.2006 r.

[28] Por. S. Kwiatkowski, *„Polityka historyczna" w okresie przełomu ustrojowego*, „Myśl Socjaldemokratyczna" 2011, nr 3–4, s. 44–70.

problemem polskiej polityki; kłamano na temat „Solidarności", poniewierano dorobek ludzi z PZPR, zmitologizowaną „pamięć" uczyniono tematem dyskursu publicznego, miejscem rozgrywek politycznych i kijem na SLD.

A zbliżały się wybory samorządowe w 2006 roku, być może także i parlamentarne. W okolicznościach zimnej wojny domowej nowe, odmłodzone kierownictwo SLD zaczęło pracę nad konstytucją programową. Zabierający głos w debacie nad projektem tego dokumentu zauważali ze zdziwieniem, że nie ma w nim odniesień historycznych, owej mądrości po szkodzie; w ogóle historię polskiej lewicy i jej tradycje, znów zbywano milczeniem. Czy można dyskutować nad dokumentem tego typu – na przyszłość i w tych okolicznościach – bez pamięci, z pominięciem przeszłości? W konfrontacji z ekspozycją prawicowej polityki historycznej ten unik, ucieczka do przodu, był oczywistą słabością. „Jesteśmy tym, co pamiętamy. I im mniej pamiętamy, tym mniejsi jesteśmy" (C.R. Zafón).

W kręgach kierowniczych SLD ze „zdumieniem" odbierano te pretensje. Przecież „jeśli chodzi o historię i tradycje lewicy, to osiągnęliśmy w tej sprawie porozumienie. Materialnym tego świadectwem jest Deklaracja I Kongresu SLD »Nasze tradycje i wartości«. W tej sprawie, w ciągu ostatnich sześciu lat, nic się nie zmieniło. Nie odkryto żadnych nowych prawd o naszej przeszłości. (…) Nie ma też żadnego usprawiedliwienia dla tych dyskutantów zabierających głos na łamach „Trybuny", którzy tego dokumentu nie znają lub, *de facto*, odwracają się do niego plecami"[29]. Dyskutanci chcieli, żeby o tym mówić, „ale co trzeba robić w tej sprawie niewiele lub nic nie mają do powiedzenia" – replikował Krzysztof Janik. Prawdę mówiąc, nikt ich o to nie pytał, no i gdzie mieli o tym rozprawiać; czyj to obowiązek inicjować taką debatę, inspirować zbiorowe myślenie, organizować ludzi w obronie pokoleń, które żyły w PRL i go współtworzyły, w proteście wobec tego, co się dzieje? A działo się źle, nie bez winy polityków lewicy.

Na papierze wszystko się zgadzało, przecież była deklaracja…, o co chodzi? „Nic się nie zmieniło"? Niedawny sekretarz generalny Sojuszu odradzał wchodzenia w spory o historię i fakty historyczne, lansując hasła: „Patrzmy wprzód", „Ścigajmy się o przyszłość". Mieli deklaracje i programy, teraz w 2007 roku napisali Konstytucję Programową i oczywiście znów zadbali o zrównoważone akcenty, stwierdzając w odniesieniu do

[29] K. Janik, *Lewica i jej historia*, „Trybuna" z 24.04.2006 r.

poprzedniego systemu, że „doceniając i szanując modernizacyjne osiągnięcia Polski Ludowej, które były dziełem milionów uczciwych Polaków", Sojusz zarazem potępia „krzywdy, wyrządzone w imię cywilizacyjnych i socjalnych ideałów". Czyli, jak zawsze dotąd: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Dyskusja o przeszłości toczyła się pod dyktando prawicy, świadczyła o zagubieniu, utracie tożsamości przez lewicę, która dała się wtłoczyć w narzucone przez PiS schematy podziałów i historyczne role. Przeciwnicy polityczni prowadzili „bitwę o pamięć", nie przebierając w środkach. Skuteczność polityki historycznej polskiej prawicy w dużej mierze wynikała ze słabości programu politycznego, myśli politycznej lewicy o historii. Uciekanie od przeszłości teraz się mściło, brak intelektualnego przemyślenia stosunku do własnej historii, pokoleniowego dziedzictwa, czyniło formację lewicową bezbronną. Uciekając w przyszłość, narażano się, że dobiją po drodze!

Na lewicy miano za złe Wojciechowi Olejniczakowi to, co mówił o PRL, jak odcinał się od przeszłości, dystansował się od czasów PZPR. Wyznania te, tak w ogóle, do przyjęcia u młodego lidera, jednak padały z samych szczytów SLD, nie „tak w ogóle", lecz w konkretnej sytuacji i otoczeniu politycznym, wobec znanych okoliczności PiS-owskiej polityki historycznej. Chcąc nie chcąc, działacze partyjni Sojuszu stawali po przeciwnej stronie niż ci z PRL. Pamiętamy reakcje czołówki politycznej SLD, kokietowali, mizdrzyli się do obcych, lekceważąc swoich dawnych towarzyszy, mając ich za nic. W polityce pamięci młodego kierownictwa SLD historyczne konotacje jeszcze bardziej straciły na znaczeniu, znać było niechęć do własnych korzeni, kiepską znajomość historii działaczy socjalistycznych w Polsce, szczytnych tradycji socjalistów polskich, reformatorów w PZPR. Skłonność do ulegania prawicowej wersji powojennej historii Polski i postrzeganie ludzi z pezetpeerowską przeszłością jako balast, wytknęli im M.F. Rakowski[30] i Leszek Miller[31]. Dali sobie narzucić fałszywe mity na temat naszej niedawnej przeszłości, kanon politycznej poprawności:

1) idealizowanie i gloryfikowanie społecznej i politycznej rzeczywistości II RP, historii bez antagonizmów społecznych, amorficznej historii wszystkich Polaków (P. Wielgosz);

[30] M. Rakowski, „Trybuna" z 1–2.09.2007.

[31] L. Miller, „Trybuna" z 8–9.09.2007.

2) kwestionowanie ciągłości państwa polskiego, przedstawianie PRL jako państwa niesuwerennego, marionetkowego, rządzonego przez okupacyjną administrację i zdrajców (teza o dwóch okupacjach – faszystowską zastąpiła komunistyczna) jako przyczyny dzisiejszych nieszczęść, źródła wszelkiego zła;
3) demonizowanie Polski Ludowej („45 lat katorgi narodu polskiego") jako totalitarnego reżimu, w którym społeczeństwo było do końca niezmiennie zniewolone, a demokracja zaczęła się rozwijać dopiero po roku 1989[32];
4) zdeklarowany antykomunizm (mam na myśli Olejniczaka wyznającego dziennikarzowi, że nienawidzi komunistów, w tym tych, którzy budowali system komunistyczny w Polsce, że jest szczęśliwy, bo nie żył w PRL).

Antykomuniści?

Lewica naznaczona piętnem pogrobowców Polski Ludowej i komunizmu, chcąc z neoficką gorliwością udowodnić, że nie mają nic wspólnego z komunizmem, że nie są komunistami, co im wmawiano, przyzwoliła prawicy na monopol pamięci o komunizmie, na zawłaszczenie pamięci o ofiarach reżimu stalinowskiego; dała się zakrzyczeć obsesyjnymi wspomnieniami stalinowskiego terroru, epatowaniem opisów zbrodni, makabrycznymi opisami tortur i okrucieństw oprawców z UB; zamiast dać świadectwo, czym był komunizm dla lewicy, przyzwoliła, chcąc nie chcąc, na „jedynie słuszną" interpretację, zakłamywanie prawdy życia na przełomie epok, rezultatów rewolucji ludowych.

Dystansując się od komunizmu, czołowi politycy SLD pozwolili, żeby narzucono im argumentację antykomunistyczną. Młodzi nie wiedzą/

[32] „Mit społeczeństwa trwającego w niezłomnym oporze wobec systemu, wspieranego jedynie przez siły zewnętrzne i garstkę tylko rodzimych oprawców. I mit heroicznej garstki bojowników, samotnie walczących na oczach zsowietyzowanego narodu z »komuną«". „Towarzyszy temu legenda o wspaniałych, szlachetnych i pełnych poświęcenia opozycjonistach, niezłomnym narodowym duchu konsekwentnie prowadzącym walkę z komuną, w wyniku czego doszło w końcu do jej obalenia i utorowania drogi innym narodom do wolności". B. Kaczmarek, *O paradoksalnej potrzebie silnego państwa polskiego*, „Forum Klubowe" 2006, nr 5–6, s. 68.

zapominają, że antykomunizm to nie tylko antytotalitaryzm, sprzeciw wobec byłych reżimów, ale i ideologiczna wrogość i zbrodnie prawicy; antykomunistyczne bojówki i terror, tępienie ludzi i haseł wypisywanych na czerwonych sztandarach. Swego czasu nawet w Ameryce odrzucano antykomunizm jako groźne schorzenie demokracji. Antykomunizm to ideologia zemsty, narzędzie odreagowania własnych frustracji i prawicowych urazów, na przykład ze stanu wojennego. To także dyskredytacja krytycznego nurtu myśli społecznej, „oporu klas ludowych, ich walki przeciw opresji i wyzyskowi" (P. Wielgosz).

Nie przystoi partii lewicowej amnezja o historii ruchu robotniczego, utożsamianie totalitarnych rządów, w tym stalinizmu i azjatyckiego despotyzmu, z ideałami wielkiego ruchu społecznego, który miał miliony zwolenników w całej powojennej Europie, zapominanie o fascynacji komunizmem światowych elit intelektualnych, przekonanych, że stanowił jedyną alternatywę wobec zagrożenia nazizmem. Lewica jest przecież formacją, która czerpie z dziejów walk o wyzwolenie społeczne, z krytycznego nurtu myśli społecznej swą genezę i jedyną trwałą legitymację. Wielu komunistów uwierzyło w ową kolektywistyczną utopię, jak się potem okazało fałszywą, w możliwość realizacji autentycznych lewicowych haseł społecznych, wprowadzanych bolszewickimi metodami, wielu z nich ucierpiało z tego powodu, stało się ofiarami terroru państwa uważanego za komunistyczne.

Niestety, politycy SLD z powodu komunistycznych kompleksów nawet nie reagowali na manipulacje historyczne łatką komunizmu/postkomunizmu, nie protestowali, gdy w mediach zaczęto opowiadać, że prawica „obaliła komunizm". W interpretacji IPN zarzut zbrodni komunistycznej można postawić każdemu „funkcjonariuszowi państwa komunistycznego", czyli komu będzie trzeba, „gumowe" paragrafy na to pozwolą. Najpierw pod pręgierzem postawiono gen. Jaruzelskiego, człowieka, któremu należy się honorowe miejsce w historii Polski i szacunek, a nie opluwanie i ciąganie po sądach. SLD zachowywał się biernie wobec oskarżeń za stan wojenny, gdy obarczano wojskowych winą za wszystkie nieszczęścia lat 80. (katastrofę gospodarczą, „stracone lata"), tak jakby przyczyną tego mniejszego czy większego zła było wojsko. Zajmowanie się skutkami, a pomijanie przyczyn, taka interpretacja wydarzeń ułatwia oskarżanie WRON i generalicji o przestępcze zorganizowane działania o charakterze zbrojnym. Generał Jaruzelski się nie mylił, przewidując, że „na celowniku znajdą się

następni, w tym tzw. postkomuniści. Nawet jeśli wówczas na świecie ich nie było. Wystarczą geny"[33]. Jakby na potwierdzenie, dwa dni później mieliśmy kazus: pani prokurator z Łodzi chwaliła się[34], w jaki sposób „znaleźli punkt zaczepienia", żeby oskarżyć byłego dyrektora tamtejszego ośrodka telewizyjnego, za weryfikację dziennikarzy w pierwszych miesiącach stanu wojennego.

Mściciele pokazali już nieraz, co potrafią, przy milczącej bierności posłów lewicy, którym wydawało się, że ich to nie dotyczy, tymczasem jeden po drugim ciągani byli przez prokuratorów i różne komisje. Nawet nie szczędzili A. Kwaśniewskiego. W IV RP przekonaliśmy się, że załatwić można każdego, wystarczy na przykład oskarżenie o korupcję, a o to nietrudno, nim sprawa się wyjaśni, delikwent odsiedzi parę miesięcy, dyspozycyjne i żądne sensacji media wysmażą go żywcem.

Lewica i Demokraci

Można przypuszczać, że Aleksander Kwaśniewski pod koniec prezydentury, po porażce wyborczej lewicy i pod wpływem konfliktu z ówczesnym kierownictwem Sojuszu, doszedł do wniosku, że nie mylił się w swoich obawach, pisząc wspomniany list do I Kongresu SLD. Z tym większym przekonaniem, przy pomocy nowych, młodych liderów dążył do wymarzonego połączenia z działaczami dawnej demokratycznej opozycji w imię historycznego kompromisu – idei wielkiego centrowego obozu politycznego, co przesądzono w 2007 roku, powołując ugrupowanie Lewica i Demokraci.

„Mądre rządy zamiast głupich wojen" – hasło, pod którym widniał podpis A. Kwaśniewskiego na billboardach LiD – marzenie w imię „porozumienia ponad podziałami", jak się potem okazało, było myśleniem życzeniowym, za którym kryła się dość czytelna strategia dokończenia rozłamu zapoczątkowanego przez Marka Borowskiego i jego SdPL, czyli ostateczne rozprawienie się z Sojuszem. Już po deklaracji programowej sądząc, Socjaldemokraci potraktowani zostali przez Partię Demokratyczną z pańska, płacili za mezalians rezygnacją ze swojej tożsamości, ustępstwami w ocenie przeszłości, zarzuceniem lewicowych ideałów i liberalną

[33] „Trybuna" z 2–3.05.2006 r.

[34] „Gazeta Wyborcza" z 5.05.2006 r.

wizją na przyszłość. Przemilczano tradycje polskiej lewicy, rolę reformatorskiego nurtu PZPR, pominięto nawet zasługi SdRP w dziele transformacji ustrojowej.

Niepowodzenie tej koncepcji, można przypuszczać, wynikało, po pierwsze, z nieudolności nowego lidera, nie zaimponował młodym, a starszym tym bardziej. Po drugie, budowa nowej partii miała się dokonać kosztem SLD, przejęcia jego struktur. Nie ukrywano, że to sztuczna koalicja i koniunkturalne przymierze umożliwiające wejście do parlamentu sierotom po Unii Wolności i partyjkom bez elektoratu (SdPl, PD i UP). Po trzecie, członkowie SLD musieliby mieć krótką pamięć, żeby poprzeć deklarację programową nowego porozumienia, w której przemilcza się, a więc fałszuje, fakty historyczne, pisząc zaraz na wstępie, że odzyskanie pełnej suwerenności w 1989 roku, było dziełem opozycji demokratycznej i wielkiego, społecznego ruchu „Solidarność", tzn. bez udziału partnerów porozumień okrągłego stołu, czyli PZPR i ówczesnych władz. Kto z podstawowego elektoratu Sojuszu chciałby głosować na ugrupowanie, którego czołowi politycy opowiadali z pogardą o najsilniejszej partii lewicy, że jest „anachronicznym, bezideowym tworem, który szermuje przestarzałymi, głupimi hasłami". Autor tych słów, Jan Lityński, to także gorliwy lustrator i współtwórca IPN.

Koalicja z Partią Demokratyczną skutkowała dla SLD „niemożnością stworzenia spójnej wizji polityki zdolnej do przeciwstawienia się prawicowej ideologii odwetu oraz kłamliwej polityce historycznej"[35]. IV Kongres SLD w 2008 roku, określając „Jakiej Polski chcemy", przyjął zapis w uchwale numer 3, zapewne pod wpływem doświadczeń z LiD, że SLD „nie chce i nie może wyrzec się swojej tożsamości".

[35] B. Łagowski, *Lewica z balastem*, „Przegląd" z 5.02.2007.

Lech Nikolski

Formidable campaigner

Jednym z podstawowych warunków sukcesu polityka w demokratycznym państwie jest zdolność pozyskiwania społecznego poparcia dla swoich koncepcji, programów i siebie samego. Weryfikacją tych zdolności są kampanie polityczne, których wynik zależy od powszechnego głosowania – wybory i referenda. Aleksander Kwaśniewski wykazał w tych sprawach wielkie walory i kompetencje. Okazał się niezwykle sprawny i skuteczny. Tytułowe określenie *formidable campaigner*[1] znaczy jednak coś więcej. To zgrabne sformułowanie oznacza człowieka, który ma nie tylko osobiste walory sprzyjające politycznemu zaangażowaniu, ale także człowieka, który potrafi te walory wykorzystać. Potrafi kampanie polityczne przygotować, zaprogramować i wykonać. Nie ulega wątpliwości, że Aleksander Kwaśniewski na to określenie zapracował i zasłużył.

Potransformacyjne dwudziestolecie w Polsce nie obfitowało w dobrych *campaignerów*. Trudno się dziwić. Ludzie, którzy z własnej woli, obowiązku czy też pod społecznym naciskiem zaczynali polityczne kariery, nie mieli gdzie i kiedy uczyć się demokratycznej polityki – opartej na

[1] Sformułowania tego użył Aleks Szczerbiak, opisując społeczną i polityczną pozycję Aleksandra Kwaśniewskiego w czasie referendum akcesyjnego. „(…) *Kwaśniewski was easily Poland's most popular politician and a formidable campaigner* (…)". A. Szczerbiak, P. Taggart, *EU Enlargement and Referendums*, London 2005, s. 121.

rywalizacji i wymagającej stałej troski o przychylność opinii publicznej. Nawet ci, którzy doświadczenie w życiu społecznym i w ograniczonej monopartyjnością polityce zdobywali w środowiskach przedtransformacyjnej władzy, w niewielkim tylko stopniu mogli je wykorzystać w nowych realiach politycznych. Bez wątpienia posiadali większy kapitał społeczny[2], jednak był on bardziej przydatny w wewnątrzorganizacyjnych walkach o władzę, a nie w kampaniach otwartych na całość opinii publicznej.

Poszukiwano wzorców w krajach i partiach zachodnich demokracji. Przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej[3]. Inkorporowano stosowane tam metody i techniki marketingowe, nie zawsze bacząc na to, w jakim stopniu są one adekwatne do sytuacji społecznej i ekonomicznej i na ile jest je w stanie przyjąć adaptujące się do demokracji polskie społeczeństwo[4]. Sukcesy odnosili rozmaici politycy i rozmaite ugrupowania. Zazwyczaj jednak były one jednorazowym błyskiem. W polskim Sejmie jest dzisiaj jedynie ośmiu polityków[5], którzy nieprzerwanie od 1991 roku pełnią funkcje poselskie, a dla większości kandydujących ubieganie się o mandat poselski jest jednorazową polityczną przygodą[6]. Na pięć kadencji prezydenckich wyłanianych w powszechnych wyborach mieliśmy aż czterech różnych prezydentów. Od czasu referendum europejskiego jak ognia unika się poddawania ważnych spraw pod powszechne ogólnokrajowe głosowanie.

Dlaczego wśród wielu tysięcy polityków przewijających się przez listy wyborcze rozmaitych ugrupowań i próbujących odegrać znaczącą rolę na scenie politycznej jest niewielu posiadających przez dłuższy czas

---

[2] J. Raciborski, *Elity III RP*, Warszawa 2006, s. 118–127.

[3] M. Mazur, *Marketing polityczny*, Warszawa 2006, s. 12, 14.

[4] Za typowy przykład takiego niedopasowania do sytuacji społecznej i ekonomicznej oraz stosowania technik niezrozumiałych przez opinię publiczną uznawana jest powszechnie kampania wyborcza Kongresu Liberalno-Demokratycznego przed elekcją w 1993 roku. E. Pietrzyk-Zieniewicz, A. Zieniewicz, *Wizerunki autoprezentacyjne ważniejszych ugrupowań politycznych w telewizyjnej kampanii wyborczej 1993*, [w:] *Wybory parlamentarne 1991 i 1993*, red. S. Gebethner, Warszawa 1995, s. 111–112.

[5] Po wyborach w 2001 roku było takich posłów 37, po kolejnej elekcji 15, po następnej – 12, L. Nikolski, *Wybory, wyborcy, wybrani*, Warszawa 2006, s. 73–75.

[6] *Idem*, *Partie polityczne w wyborach do sejmików województw 1989––2006*, Toruń 2010, s. 182–190.

znaczące i wyróżniające się kompetencje w tej kwestii? Dlaczego tylko nieliczni skutecznie potrafili wielokrotnie poprowadzić kampanie polityczne? Dlaczego udało się to Aleksandrowi Kwaśniewskiemu?

Aby podjąć próbę odpowiedzi na to pytanie, trzeba zacząć od prześledzenia jego startów wyborczych, osiąganych rezultatów i okoliczności, które temu towarzyszyły, a także przebiegu kampanii referendalnych, w których Kwaśniewski uczestniczył jako jeden z ich promotorów i organizatorów. Taka refleksja pozwoli – nie aspirując do w pełni naukowej analizy – po pierwsze, zweryfikować zasadność przyznania byłemu prezydentowi znaczących kampanijnych kompetencji, a po drugie, na wskazanie kilku charakterystycznych elementów cechujących aktywność Aleksandra Kwaśniewskiego na tym politycznym obszarze. Poszukując tej odpowiedzi, będę się odwoływał nie tylko do bogatej literatury socjologicznej i politologicznej na temat polskiego życia politycznego, ale też korzystał z zasobów własnej pamięci, w większości tych przedsięwzięć bowiem miałem okazję uczestniczyć.

Kampanie parlamentarne

Aleksander Kwaśniewski trzykrotnie uczestniczył jako kandydat w wyborach parlamentarnych. Pierwszy był start w wolnych wyborach do Senatu w 1989 roku. Choć Senat wyłaniany był wówczas w pełni demokratycznej elekcji, to zarówno na kampanię wyborczą, jak i w znacznej mierze na wyniki elekcji znaczący wpływ wywierała sytuacja związana z kontraktem Okrągłego Stołu[7]. Wybory były specyficznym plebiscytem, a sama kampania, wizerunki kandydatów nie miały decydującego wpływu na wynik w poszczególnych okręgach.

Inicjatywę wolnych wyborów do Senatu zgłosił podczas jednej z tur kuluarowych rozmów w Magdalence Aleksander Kwaśniewski. Pomysł powołania drugiej izby parlamentu zgłaszany był wcześniej stronie opozycyjnej. Nie wykazywała ona jednak większego zainteresowania. Dopiero deklaracja Kwaśniewskiego o całkowicie wolnym charakterze tej elekcji przesądziła sprawę. Zaskoczyła ona zresztą w równej mierze obie strony uczestniczące w rozmowach[8]. Były momenty, kiedy niektórzy analitycy ze

[7] J. Raciborski, *Polskie wybory*, Warszawa 1997, s. 28–33.

[8] J. Skórzyński, *Rewolucja Okrągłego Stołu*, Kraków 2009, s. 298–302.

strony obozu władzy podejmowali próby zasugerowania zmiany ordynacji wyborczej do Senatu z większościowej na proporcjonalną. Ta ostatnia dawała minimum pewności na uzyskanie reprezentacji w Senacie obu stronom. Jednak część decydentów po stronie władzy była przekonana o swoim sukcesie w wyborach także w wariancie większościowym.

Ubieganie się o mandat senatora w 1989 roku było jedynym przegranym startem wyborczym Aleksandra Kwaśniewskiego. Kandydował w ówczesnym województwie koszalińskim. Zajął trzecie miejsce w dwumandatowym okręgu, uzyskując blisko 82 tysiące głosów[9]. Wybory przegrał, ale uzyskał najlepszy rezultat spośród wszystkich kandydatów zgłoszonych do Senatu przez PZPR, ale także ZSL i SD. Spośród kandydatów, którzy nie reprezentowali Komitetu Obywatelskiego „Solidarność", lepszy rezultat uzyskał jedynie Henryk Stokłosa w okręgu pilskim, stając się jedynym „niesolidarnościowym" senatorem I kadencji Senatu. Zdobycie po negatywnej stronie plebiscytu wyborczego 38,45 procent głosów pokazywało znaczący potencjał wyborczy Aleksandra Kwaśniewskiego

Wybory parlamentarne w 1991 roku były dla Aleksandra Kwaśniewskiego także specyficznie pierwszymi. Stał już wtedy na czele Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, określanej jako kontynuatorka PZPR, i spoczywała na nim odpowiedzialność za całą formację. Odpowiedzialność za to, w jakim stopniu środowiska przedtransformacyjnej władzy zdołają wpisać się w reguły demokratycznego systemu, na ile postpezetpeerowska lewica znajdzie swoje miejsce na kształtującej się polskiej scenie politycznej. Dla wszystkich, także dla kształtujących się w sporach i konfliktach personalnych partii wywodzących się z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność", była to pierwsza wolna elekcja do Sejmu, która miała pokazać realne wpływy polityczne poszczególnych środowisk i rozpocząć kształtowanie nowego polskiego systemu partyjnego[10].

Poprzeczka nie była w tej elekcji ustawiona nisko. Rok wcześniej przeprowadzono powszechne wybory prezydenckie, w których popierany przez SDRP Włodzimierz Cimoszewicz uzyskał ponad 11 procent głosów, zajmując czwarte miejsce wśród kandydujących[11]. I to właśnie ten wynik wskazywał poziom oczekiwań, a nie uchwalona w sporach z prezydentem

[9] Obwieszczenie Państwowej Komisji Wyborczej z 8 czerwca 1989 roku, „Monitor Polski" 1989, nr 21, poz. 150.

[10] W. Wesołowski, *Partie: nieustanne kłopoty*, Warszawa 2000, s. 22–26.

[11] J. Raciborski, *Polskie wybory…*, *op. cit*., s. 69.

Lechem Wałęsą ordynacja. Ta gwarantowała uzyskanie sejmowej reprezentacji wszystkim komitetom, które przekroczyły 3 procent głosów.

Wynik wyborów był zaskoczeniem. Zawiązany na potrzeby elekcji Sojusz Lewicy Demokratycznej, grupujący SdRP, OPZZ oraz inne organizacje lewicowe i związki zawodowe uzyskał 1 350 000 głosów (12 procent). Był to drugi wynik, zaledwie o 0,5 procent gorszy od spodziewanego zwycięzcy Unii Demokratycznej, dający w rozczłonkowanym Sejmie drugi co do wielkości liczący się klub parlamentarny.

Aleksander Kwaśniewski jako lider ugrupowania kandydował w stolicy, w największym okręgu wyborczym. Zdobył pewny mandat, uzyskując 73 906 głosów. Był to trzeci pod względem liczby głosów wynik w kraju[12]. Procent uzyskanych głosów nie był oszałamiający – 10,3. Jednak rezultaty zaledwie dziewiętnastu kandydatów przekroczyły 10 procent głosów w okręgu. Kwaśniewski potwierdził swoje walory jako indywidualny kandydat, ale jednocześnie pokazał zdolność do politycznego i wyborczego liderowania całej formacji.

W 1993 roku miał miejsce trzeci i ostatni start Kwaśniewskiego w wyborach parlamentarnych. Elekcja odbywała się po skróconej kadencji i awanturach przy rozwiązywaniu Sejmu przez prezydenta. Nowa ordynacja zachowywała proporcjonalność, jednak wprowadzała wyższy 5-procentowy próg wyborczy. SLD nie uchodził za faworyta, ale powoli stawał się liderem przedwyborczych sondaży. Dopiero na trzy tygodnie przed wyborami SLD miał najwyższe notowania spośród wszystkich uczestników kampanii[13]. Nikt jednak nie spodziewał się aż takiej porażki ugrupowań prawicowych, które w wyniku przeszacowania swoich możliwości podeszły do wyborów skłócone i rozproszone i w konsekwencji nie znalazły się w Sejmie.

Aleksander Kwaśniewski o mandat ubiegał się ponownie w stolicy. Uzyskał ponad 148 tysięcy głosów, najwięcej spośród wszystkich

---

[12] Wyniki wyborów do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej 27 października 1991 roku, Państwowa Komisja Wyborcza, Warszawa 1991. Lepsze rezultaty uzyskali jedynie kandydujący również w Warszawie ówczesny premier Jan Krzysztof Bielecki i Jacek Kuroń.

[13] Komunikat CBOS, BS1320103/93, Preferencje polityczne społeczeństwa na trzy tygodnie przed wyborami. Od marca do września 1993 roku notowania SLD wzrosły o 5 procent. W tym samym czasie notowania głównego faworyta wyborów – Unii Demokratycznej, spadły o 7 procent.

kandydujących. Według odsetka uzyskanych głosów w okręgu był to czwarty rezultat w kraju i drugi, po Włodzimierzu Cimoszewiczu w SLD[14]. Skutecznie poprowadził lewicową formację do wyborczego zwycięstwa. Posłowie Sojuszu stanowili ponad jedną trzecią składu Sejmu. Jednocześnie w ramach SLD zdecydowanie najsilniejszą formacją stawała się Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej.

Wyniki tej elekcji nałożyły na Kwaśniewskiego odpowiedzialność za sformułowanie rządu. Uchylił się od objęcia teki premiera. Jedni upatrywali w tej decyzji zamiar ubiegania się o prezydenturę, inni zdawali sobie sprawę, że takie rozwiązanie w równym stopniu miało na celu stabilność nowo powołanego rządu. A jednym z warunków zawiązania koalicji PSL–SLD było objęcie funkcji premiera przez przedstawiciela ludowców.

Kampanie prezydenckie

Wyborom prezydenckim w 1995 roku towarzyszyła jedna z najostrzejszych i najbardziej wzbudzających społeczne emocje kampanii. Potwierdzała to wysoka, zarówno w pierwszej, jak i drugiej turze elekcji frekwencja, najwyższa ze wszystkich dotychczasowych wyborów w demokratycznej Polsce[15]. Dla opinii publicznej na początku nie było jasne, kto będzie stanowił parę głównych rywali. Wśród ugrupowań panowało przekonanie o niewielkich szansach urzędującego prezydenta. Lech Wałęsa był zresztą skłócony z większością prawicowych partii, a sposób sprawowania przez niego urzędu prezydenta miał niskie społeczne oceny[16]. Na prawicy trwały nieustające i nieskuteczne negocjacje w sprawie wyłonienia jednego wspólnego kandydata.

Na starcie kampanii faworytem sondaży był Aleksander Kwaśniewski. Poparcie dla niego deklarowała nieco ponad jedna piąta wyborców,

[14] *Wyniki wyborów do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej 19 września 1993*, Państwowa Komisja Wyborcza, Warszawa 1993.

[15] J. Raciborski, *Wybory i wyborcy*, [w:] *Demokracja polska 1989–2003*, red. J.J. Wiatr. J. Raciborski, J. Bartkowski, B. Frątczak-Rudnicka, J. Kilias, Warszawa 2003, s. 211.

[16] Aprobatę dla sprawowania urzędu przez Lecha Wałęsę wyrażało w maju 1995 roku 25 procent badanych, a dezaprobatę 65 procent. Zaufanie dla Wałęsy deklarowało 36 procent, a nieufność 45 procent, Komunikat CBOS, BS/117/98/95, Instytucje publiczne w maju, Komunikat CBOS, BS/127/107/95.

prawie dwa razy więcej niż dla urzędującego prezydenta. W trakcie kampanii okazało się, jak silna jest siła sprawowania urzędu. Lech Wałęsa systematycznie odrabiał straty i wybory przebiegały pod znakiem rywalizacji obu tych kandydatów, mimo że o prezydenturę ubiegało się aż trzynastu pretendentów. Lech Wałęsa odwoływał się do haseł tradycjonalistycznych i antykomunistycznych, a Aleksander Kwaśniewski apelował o zamknięcie historycznych sporów i zwracał uwagę na wyzwania przyszłości[17]. Na trzy tygodnie przed głosowaniem jego strata do A. Kwaśniewskiego wynosiła zaledwie 4 procent. Na tydzień przed głosowaniem A. Kwaśniewskiego popierało 32 procent wyborców, a Lecha Wałęsę 23 procent[18].

Pierwszą turę nieznacznie wygrał A. Kwaśniewski, zdobywając 35,11 procent głosów, przy 33,11 procent zdobytych przez jego rywala. Przewaga wynosiła jedynie nieco ponad 350 tysięcy głosów. W notowaniach przed II turą na czoło wysunął się Lech Wałęsa z 46-procentowym poparciem. Co dziesiąty deklarujący udział w II turze elekcji wahał się, na kogo oddać swój głos, i wynik walki o tę grupę decydował o ostatecznym wyniku. Prognozy nieznacznie wskazywały na Lecha Wałęsę[19]. Po dwóch debatach telewizyjnych zwycięzcą okazał się A. Kwaśniewski. Poparło go 9700 tysięcy obywateli, o ponad 650 tysięcy więcej niż konkurenta[20]. W tej kampanii Kwaśniewski pokazał, że potrafi walczyć do końca, że potrafi prowadzić kampanię wtedy, gdy uchodzi za faworyta, i wtedy gdy musi odrabiać straty. Nie zraziła go i nie zdemobilizowała ostra i negatywna kampania. Kreując „symbol nowej przyszłości", pokonał „symbol starej antykomunistycznej walki" i pokazał, że potrafi wyczuć społeczne nastroje.

---

[17] J. Raciborski, *Wybory i wyborcy*…, *op. cit*., s. 223.

[18] Komunikat CBOS, BS/186/161/95, Preferencje w wyborach prezydenckich na trzy tygodnie przed głosowaniem. Komunikat CBOS, BS/192/167/95, Za tydzień wybieramy prezydenta.

[19] Według szacunków CBOS przy frekwencji w granicach 58–63 procent, L. Wałęsa uzyskałby 51 procent głosów. O sukcesie Wałęsy przekonanych było wówczas 55 procent obywateli, a jedynie 25 procent widziało jako zwycięzcę A. Kwaśniewskiego. Komunikat CBOS, BS/198/173/95, Preferencje w II turze wyborów przed debatami telewizyjnymi.

[20] Obwieszczenie Państwowej Komisji Wyborczej z dnia 20 listopada 1995 r. o wynikach głosowania i wyniku wyborów Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w drugiej turze głosowania, przeprowadzonej w dniu 19 listopada 1995 roku, Dz.U. z 1995 roku, nr 131, poz. 636.

Do kolejnej kampanii prezydenckiej w 2000 roku przystępował w roli zdecydowanego faworyta. Opinia publiczna była zadowolona ze sposobu sprawowania urzędu. W maju 2000 roku, tuż przed rozpisaniem wyborów, A. Kwaśniewskiego jako prezydenta dobrze oceniało cztery piąte badanych, jednocześnie 62 procent deklarowało poparcie dla niego w przyszłym głosowaniu[21].

Nie była to łatwa sytuacja. Każdy inny wynik niż zwycięstwo w I turze wyborów uznawany byłby za porażkę. Siłą rzeczy celem kampanii stawało się uzyskanie ponad 50 procent poparcia już w pierwszym głosowaniu[22]. Na głównego rywala kreował się Marian Krzaklewski, ówczesny lider NSZZ „Solidarność", szef Klubu Parlamentarnego AWS, uchodzący za osobę zakulisowo kierującą rządem Jerzego Buzka. Przy pogarszającej się sytuacji gospodarczej i bałaganie administracyjnym wywołanym jednoczesnym wprowadzaniem reform systemu edukacji, służby zdrowia, samorządowej i emerytalnej prawica ponownie próbowała polaryzować społeczeństwo poprzez historyczne animozje.

W przyjętych jeszcze w 1997 roku przepisach tzw. ustawy lustracyjnej wprowadzono obowiązek przeprowadzenia wobec kandydatów postępowania przed sądem lustracyjnym w trakcie kampanii wyborczej. W 1999 roku dodano przepisy, które kandydata składającego niezgodne z prawdą oświadczenie pozbawiały prawa wybieralności na urząd prezydenta[23]. Dla większości obserwatorów było jasne, że zostanie podjęta próba zakwestionowania oświadczenia lustracyjnego A. Kwaśniewskiego. Z oskarżeniem o współpracę z organami bezpieczeństwa wystąpił Rzecznik Interesu Publicznego. I choć przesłanki oskarżenia od początku były wątłe, dopiero po pełnej emocji rozprawie sądowej stało się jasne, że w ten

[21] Komunikat CBOS, BS/104/2000, Instytucje publiczne w opinii społecznej, Komunikat CBOS, BS/98/2000, Poparcie dla kandydatów w wyborach prezydenckich u progu kampanii wyborczej.

[22] A. Dudek, *Pierwsze lata III Rzeczypospolitej*, Kraków 2002, s. 480.

[23] Ustawa z 11 kwietnia 1997 roku o ujawnianiu pracy lub służby w organach bezpieczeństwa państwa lub współpracy z nimi w latach 1944–1990 osób pełniących funkcje publiczne, art. 26, Dz.U. z 1997 roku, nr 70, poz. 443. Ustawa z 20 maja 2000 roku o zmianie ustawy o wyborze Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej oraz ustawy o ujawnianiu pracy lub służby w organach bezpieczeństwa państwa lub współpracy z nimi w latach 1944–1990 osób pełniących funkcje publiczne, Dz.U. 2000. Nr 62, poz. 681.

sposób nie uda się zablokować drogi Kwaśniewskiego do drugiej kadencji prezydenckiej[24].

Mimo kolejnej próby zdyskredytowania Kwaśniewskiego w oczach opinii publicznej przez tzw. „taśmy prawdy" z Kalisza wynik elekcji był zgodny z przewidywaniami. Na tydzień przed głosowaniem 55 procent wyborców deklarowało poparcie dla urzędującego prezydenta. Deklaracje te potwierdziły się w rzeczywistym głosowaniu. Kwaśniewski zwyciężył w pierwszej turze, zdobywając głosy blisko 9,5 miliona wyborców, co dało mu poparcie 53,9% głosujących[25]. W tej niełatwej kampanii, gdzie od początku był zdecydowanym faworytem, pokazał, że potrafi obronić swoją pozycję, że niekonieczne jest szybkie polityczne zużycie. Zwycięstwo w I turze w krajach, w których wymagane jest uzyskanie bezwzględnej większości głosów, należy do rzadkości[26].

Kampanie referendalne

Referendum konstytucyjne miało dla Aleksandra Kwaśniewskiego znaczenie szczególne. Uchwalenie nowej ustawy zasadniczej było priorytetem SLD po wyborach 1993 roku. Przed objęciem urzędu prezydenta Kwaśniewski stał na czele Komisji Konstytucyjnej. Mimo że rządząca koalicja posiadała wystarczającą większość, było jasne, że – w obliczu przewidzianego referendum zatwierdzającego – trzeba szukać szerszego politycznego porozumienia. Głosami posłów i senatorów SLD, UP, PSL i UW 2 kwietnia 1997 roku Zgromadzenie Narodowe przyjęło projekt nowej konstytucji[27].

Jej zatwierdzenie w referendum – przy tak szerokim politycznym porozumieniu – z pozoru wydawało się łatwe. Jednak pracom

---

[24] J. Raciborski, *Zachowania wyborcze Polaków 1989–2006*, [w:] *Wymiary życia społecznego. Polska na przełomie XX i XXI wieku*, red. M. Marody, Warszawa 2007, s. 354. A. Dudek, *Pierwsze lata III Rzeczypospolitej*, Kraków 2002, s. 482–483.

[25] Państwowa Komisja Wyborcza, *Wybory Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej 2000*, Warszawa 2000.

[26] J. Raciborski, *Wybory i wyborcy*…, s. 224.

[27] Za projektem opowiedziało się 451 posłów i senatorów, przeciwko głosowało 40 reprezentujących Solidarność, KPN, BBWR oraz kilku z PSL, „Kronika Sejmowa" 1997.

nad konstytucją towarzyszyły konsolidacyjne działania po prawej stronie sceny politycznej. W środowisku nowo powołanej Akcji Wyborczej „Solidarność" przygotowano konkurencyjny projekt ustawy zasadniczej. Zebrano pod nim ponad milion podpisów i na kanwie sprzeciwu wobec uchwalonej konstytucji i wzywania do jej odrzucenia w referendum, przy znacznym poparciu hierarchii Kościoła katolickiego, konsolidowano, rozbity po wyborach prezydenckich prawicowy elektorat[28].

Prognozy przed głosowaniem referendalnym były optymistyczne. Co prawda, nie wróżono wysokiej frekwencji, ale nie było tu konieczne osiągnięcie konkretnego progu partycypacji. Badania społeczne wskazywały na wyraźną przewagę zwolenników przyjęcia nowej konstytucji, choć zarówno stopień poinformowania o niej, jak i znaczenie przypisywane faktowi jej przyjęcia nie były niezadowalające. Spodziewano się niespełna 40-procentowej frekwencji i przewidywano poparcie dla nowej ustawy zasadniczej na poziomie 55 procent[29].

Aleksander Kwaśniewski siłą rzeczy był głównym gospodarzem kampanii przed referendum. Nowością w polskiej praktyce politycznej było dostarczenie do każdego gospodarstwa domowego broszury z tekstem nowej konstytucji i listem prezydenta zachęcającym do jej poparcia. Wysłano ponad 11 milionów egzemplarzy. Specjalny list w sprawie konstytucji prezydent skierował do maturzystów. Kancelaria głowy państwa organizowała także seminaria dla dziennikarzy prasy terenowej, prowadziła akcję plakatową, uruchomiła bezpłatną infolinię. Towarzyszyła temu aktywność terenowa prezydenta i liczne spotkania w pałacu prezydenckim[30].

Kampania referendalna była niespodziewanie ostra i pełna, przede wszystkim ze strony zwolenników odrzucenia konstytucji, demagogicznych argumentów. Środowiska prawicowe argumentowały między innymi, że „państwo zaprowadzi publiczny ateizm", „Polska straci niepodległość", „państwo odbierze dzieci rodzicom", a opór przeciwko uchwalonej przez Zgromadzenie narodowe Konstytucji porównywano do oporu z czasów

[28] A. Dudek, *op. cit*., s. 441–442.

[29] A.K. Piasecki, *Wybory i referenda w Polsce*, Warszawa 2005, s. 37–38, Komunikat CBOS, BS/71/71/97, Funkcjonowanie demokracji w Polsce. Opinie o Konstytucji przed referendum zatwierdzającym. Komunikat CBOS, BS/73/73/97, O Konstytucji tydzień przed referendum.

[30] A.K. Piasecki, *op. cit*. s. 31–32.

wojny 1920 roku[31]. Zwolennicy ustawy zasadniczej nie byli tak silnie zmobilizowani. W środowiskach politycznych lewicy i Unii Wolności dominowało przekonanie, że referendum tak czy owak będzie zwycięskie. Większą wagę przywiązywano do zbliżających się wyborów do parlamentu. Sugerowano nawet, aby referendum połączyć z wyborami. Małe zaangażowanie w kampanię referendalną wykazywało Polskie Stronnictwo Ludowe[32].

Wynik referendalnego głosowania był pewnym zaskoczeniem. Zwolennicy uzyskali przewagę mniejszą, niż oczekiwali. Zagłosowało nieco ponad 12 milionów obywateli, a za projektem konstytucji opowiedziało się blisko 6,4 miliona, co stanowiło 52,71 procent głosujących. Frekwencja 42,86 procent była nieco wyższa od prognozowanej[33].

Rezultat referendum, niezależnie od końcowego sukcesu, pokazywał, że mimo sprawnej i sięgającej do nowych środków i metod kampanii, niezwykle trudne jest zmobilizowanie społeczeństwa do udziału w tej formie demokracji. Jasne też stało się, że przy mocno spolaryzowanej scenie politycznej wynik głosowania może być bardzo niepewny. Były to oczywiste wnioski do kolejnej kampanii przed referendum akcesyjnym.

Stawka przeprowadzonego w czerwcu 2003 roku referendum europejskiego była niezwykle wysoka. Polityczna odpowiedzialność za rezultat spoczywała w oczywisty sposób na ówczesnym rządzie SLD kierowanym przez Leszka Millera, który z dokończenia akcesji Polski do Unii uczynił absolutny priorytet. Rząd był w nieciekawej sytuacji, mimo że jego niezaprzeczalnym sukcesem było dokończenie negocjacji akcesyjnych oraz ich wynik. Dopiero zaczynał przezwyciężać odziedziczony po poprzednikach kryzys gospodarczy i finansowy. Jedynie w ograniczony sposób, w wielu kwestiach nieudanie, porządkował administracyjny bałagan po czterech reformach rządu Jerzego Buzka. Targany wewnętrznymi sprzecznościami utracił parlamentarną większość. W nie zawsze uzasadnionej aferalnej atmosferze radykalnie spadało jego społeczne zaufanie. Wzrastało zaś poparcie dla środowisk politycznych przeciwnych integracji. Wyrazem tego

---

[31] J. Jaskiernia, *Wokół nowej Konstytucji*, [w:] *Lewica w praktyce rządzenia*, red. D. Waniek, Toruń 2010, s. 75.

[32] *Referendum Konstytucyjne w Polsce*, red. M.T. Staszewski, Warszawa 1997

[33] Obwieszczenie Państwowej Komisji Wyborczej z 8.07.1997 roku o skorygowanych wynikach głosowania i wynikach referendum konstytucyjnego przeprowadzonego 25.05.1997 r., Dz.U. z 1997 roku, nr 75, poz. 496.

był niespodziewany sukces Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin w przeprowadzonych kilka miesięcy wcześniej wyborach samorządowych. W dodatku wiążący wynik referendum uzależniony był od osiągnięcia ponad 50 procent frekwencji, co nie zdarzyło się w żadnym z poprzednich powszechnych głosowań.

Aleksander Kwaśniewski przygotował własną, niezależną od rządowej, choć z nią skoordynowaną, kampanię. Korzystając z własnych doświadczeń, ponownie rozesłał do każdego gospodarstwa domowego elektroniczną wersję Traktatu akcesyjnego oraz broszurę z odpowiedziami na najważniejsze kwestie związane z obawami przed integracją[34]. Odwiedził każde z województw, organizując wiece zwolenników głosowania na „tak". Jego gośćmi byli wówczas liczący się przedstawiciele różnych partii i środowisk politycznych. Wspierał wszystkie obywatelskie ruchy na rzecz integracji i sukcesu w referendum[35]. Co ciekawe, nie był entuzjastą dwudniowego głosowania, uważając, że stosowanie środków nadzwyczajnych może nie przysłużyć się partycypacji w referendum. Bez protestów przyjął jednak nieco łagodniejszą wersję wprowadzającą możliwość ogłoszenia dwudniowego referendum w każdym przypadku, a nie tylko przy okazji głosowania w sprawie akcesji.

Prognozy przed referendum były pozytywne. Mimo to dwudniowe głosowanie przebiegało w bardzo nerwowej atmosferze[36]. Frekwencja wyniosła 58,85 procent. Za przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej opowiedziało się ponad 13,5 miliona ludzi, 77 procent głosujących[37]. Była to najliczniejsza grupa polskich obywateli, która w jakimkolwiek głosowaniu opowiedziała się za jakimś kandydatem lub proponowaną alternatywą.

Dlaczego *formidable campaigner*

Powyższy opis zdecydowanie potwierdza wyborcze kompetencje Aleksandra Kwaśniewskiego, ale przebija się także przez niego historyczna symbolika. Zaczynał od zwiastujących kierunek zmian politycznych

[34] A.K. Piasecki, *op. cit*., s. 60–61.

[35] *Tak dla Polski*, Warszawa 2003, s. 17–37.

[36] L. Nikolski, *Tak głosuję. Moja droga do referendum europejskiego*, Warszawa 2005, s. 236–261.

[37] Referendum ogólnokrajowe w sprawie przystąpienia Rzeczypospolitej Polskiej do Unii Europejskiej – 8 czerwca 2003, Warszawa 2003, s. 31–32.

w Polsce wolnych wyborów do Senatu. Ostatnia z opisanych kampanii – referendum europejskie – jest zaś symbolicznym zamknięciem polskiej transformacji, przynajmniej w jej politycznym wymiarze. Pomiędzy tymi dwoma zdarzeniami wprowadził postpezetpeerowską lewicę na polską demokratyczną scenę polityczną, doprowadził do jej wyborczego zwycięstwa i do opartej o demokratyczny mandat społeczny władzy. Zwyciężył w wywołującej największe społeczne emocje kampanii prezydenckiej i jako jedyny do tej pory powtórzył ten sukces w kolejnej kampanii. Nie tylko współtworzył nową Konstytucję, ale stanął na czele kampanii przed zatwierdzającym ją referendum. Wreszcie był jedną z czołowych postaci agitujących za udziałem w referendum europejskim i za głosowaniem w nim na „tak"[38]. Jakie walory, jakie cechy i umiejętności decydowały o sukcesach?

Wydaje się, że należy wskazać cztery podstawowe filary budujące postać tytułowego *formidable campaignera*. Po pierwsze, była to umiejętność tworzenia politycznych sojuszy. Już uczestnictwo i w wielu przypadkach kreatywna rola przy Okrągłym Stole były niczym innym jak szukaniem szerszego porozumienia na rzecz normalizacji sytuacji politycznej i gospodarczej w Polsce, a w konsekwencji do demokratycznych przemian. A. Kwaśniewski nie był tu pierwszoplanowym aktorem, ale na pewno nie pozostawał jedynie statystą. Wysunięcie kandydatury W. Cimoszewicza w pierwszych wyborach prezydenckich to kolejny przykład. Istniały wówczas dwa ośrodki konsolidacyjne postpezetpeerowskiej lewicy – kierowana przez Kwaśniewskiego SdRP i Parlamentarny Klub Lewicy Demokratycznej z Cimoszewiczem jako przewodniczącym. Kandydowanie tego ostatniego pozwoliło skonsolidować oba środowiska i przesądzić na kilkanaście lat o kierunku budowy polskiej lewicy. Przed wyborami 1991 roku właśnie wspólnie z W. Cimoszewiczem wystąpił z inicjatywą powołania Sojuszu Lewicy Demokratycznej – lewicowej platformy wyborczej łączącej partie polityczne, związki zawodowe i organizacje społeczne. Nie było łatwym zadaniem połączyć programowo blisko 30 rozmaitych środowisk

[38] W badaniach OBOP przeprowadzonych tuż po referendum, na pytanie, co zachęciło do udziału w głosowaniu, największy odsetek badanych wskazał zachętę Jana Pawła II (53%), kampanię prowadzoną przez prezydenta, (45%), a następna w kolejności była kampania rządowa 41%. L. Nikolski, *Tak głosuję*…, s. 280.

z ambitnymi liderami. Wymagało to kompromisów, także w wymiarze personalnym.

Pracom nad konstytucją od początku przyświecała idea szerokiej politycznej koalicji. Kontynuowali ją następcy Kwaśniewskiego na stanowisku przewodniczącego komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Tak szeroka koalicja okazała się niezwykle przydatna przy referendum zatwierdzającym. Po pierwszej turze wyborów prezydenckich pierwszymi gośćmi w sztabie wyborczym Kwaśniewskiego, jeszcze w czasie trwania wieczoru wyborczego byli przegrany kandydat Unii Pracy i szef jego komitetu wyborczego. Kiedy rywal w II turze zastanawiał się, co stało się w pierwszym głosowaniu, Kwaśniewski już budował koalicję, by wygrać II turę. Kontynuacją tego porozumienia był kształt personalny Kancelarii Prezydenta oraz konstrukcja komitetu wyborczego w czasie ubiegania się o drugą kadencję.

Jako drugi z filarów trzeba wskazać umiejętność skonstruowania jasnego przesłania do wyborców, czytelnego wyjaśnienia im, dlaczego mają głosować na tego kandydata, na tę partię, czy też opowiedzieć za przedstawioną propozycją. Przesłanie takie wypowiadane jest w trakcie kampanii wielokrotnie, na wiecach, spotkaniach, w mediach. Jego lapidarne ujęcie sprowadzone jest do hasła wyborczego. Najbardziej znane związane są z kampaniami wyborczymi do parlamentu w 1991 i 1993 roku oraz z oboma elekcjami prezydenckimi. W 1991 roku SLD zaprezentował się wyborcom pod hasłem: „Tak dalej być nie może!". Stanowiło ono wyraźną odpowiedź na społeczną krytykę pierwszych rządów solidarnościowych. Podzielał niezgodę opinii publicznej na pogarszające się warunki życia. Dla wielu milionów Polaków potwierdzało także ich niezgodę na totalną krytykę PRL-owskiej przeszłości.

Przesłanie w kolejnych, przyspieszonych wyborach parlamentarnych było kontynuacją poprzedniego hasła. „Tak dalej być nie może!" zmieniło się w „Tak dalej być nie musi!". Nie miało znaczenia, że logiczna kolejność obu tych haseł powinna być odwrotna. Ważne było, iż społeczeństwo zniecierpliwione chaosem rządów wyłanianych przez rozczłonkowany, wielopartyjny Sejm, otrzymało wyraźny sygnał o możliwej zmianie. Otrzymało też informację, dzięki komu zmiana może nastąpić.

W swojej pierwszej elekcji prezydenckiej Kwaśniewski wystąpił pod hasłem „Wybierzmy przyszłość". Nie był to w żadnym wypadku jedynie komentarz do różnicy wieku między głównymi konkurentami. Połowa

lat 90. ubiegłego wieku to czas pierwszego w okresie transformacji znaczącego wzrostu gospodarczego. Powoli lady na łóżkach polowych były zastępowane przez własne sklepy i firmy, pojawiali się pozytywni gospodarczy bohaterowie przemian. Duże grupy społeczne zaczynały odczuwać dodatnie skutki przemian, a do dorosłego życia wkraczało pokolenie demograficznego wyżu[39]. Opinia publiczna wykazywała zmęczenie próbami powrotu do martyrologicznej antykomunistycznej retoryki, tym bardziej że po objęciu władzy przez SLD stało się jasne, że nie mają racji bytu proste reminiscencje do PRL. Cóż więc pozostawało polskim obywatelom jak nie wybranie przyszłości, wybranie kandydata, który zadeklarował obrócenie aktywności najwyższych władz kraju na kwestie otwierających się szans rozwojowych.

Przesłanie w drugiej kampanii prezydenckiej miało już zupełnie inny charakter. Z jednej strony wynikało z pozytywnych ocen pierwszej prezydentury, z drugiej starało się odpowiedzieć na obawy części społeczeństwa przekonanej, że przemiany dokonują się ich kosztem, że nowy kształt Rzeczypospolitej przynosi zbyt wiele niesprawiedliwości. Przesłanie zawarte w stwierdzeniu „Dom wszystkich – Polska" trafnie oddawało koncyliacyjność sprawowania urzędu i zdolności kohabitacyjne. Dobrze też informowało, że intencją głowy państwa jest myślenie o wszystkich obywatelach kraju, że najsłabsi w wolnorynkowym wyścigu nie zostaną pozostawieni sami sobie. Przesłania te nie były li tylko wymysłem firm doradczych czy spin doktorów. Kwaśniewski – często bardzo intuicyjnie – wskazywał drogę poszukiwań lub sam je proponował.

Trzeci filar to poważne traktowanie wyborców, przekonanie, że bez obecności wśród nich, bez znajomości ich spraw i problemów nie da się dłużej funkcjonować w polityce. „Wyborca to najbardziej pamiętliwy gatunek człowieka" – zwykł mówić do swojego środowiska politycznego. Przykłady tego podejścia można znaleźć nie tylko w każdej z kampanii wyborczych z udziałem Kwaśniewskiego, ale także w jego codziennej działalności politycznej. Niektóre sprawy mogą się z pozoru wydawać drobiazgami, ale w rzeczywistości mają dla wyborców ogromne znaczenie. Na przykład wiedza o miejscowości, gdzie akurat polityk odbywa spotkanie z obywatelami. Pierwszym członem tej wiedzy jest zapamiętanie nazwy miejscowości, gdzie odbywa się spotkanie. Wydawać

[39] *Nowa rzeczywistość. Oceny i opinie 1989–1999*, red. K. Zagórski. M. Strzeszewski, Warszawa 2000, s. 41–49.

się może, że nie ma nic prostszego, ale jeśli jest to już któreś spotkanie w kolejnym dniu i tygodniu intensywnej kampanii wyborczej z podróżami od powiatu do powiatu, to rzecz nie jest już taka prosta. Jeśli jeszcze nazwa miejscowości nie jest typowa, to trudności wzrastają. Przekonał się o tym Jarosław Kalinowski podczas kampanii referendalnej w 2003 roku. W czasie lotu śmigłowcem na wiec organizowany przez prezydenta w województwie lubelskim rozmawiano o różnych doświadczeniach z kampanii. Aleksander Kwaśniewski opowiadał między innymi towarzyszącemu mu Kalinowskiemu, że zawsze starał się mieć przy sobie kartkę z nazwą miejscowości, gdzie odbywa spotkanie, bo nie ma większego afrontu dla miejscowych jak pomyłka w tej sprawie goszczącego polityka. W trakcie wiecu przemawiał także Kalinowski. Zaczął wystąpienie od pozdrowień dla mieszkańców Rybaczewic. Gdy wypowiedział te słowa, licznie zgromadzeni mieszkańcy głośno poprawili go: Rybczewic! Pomyłka niby drobna, ale mało kto ze zgromadzonych mieszkańców słuchał dalej lidera ludowców, dyskutując o polityku, który nawet nie wie, dokąd przyjechał[40].

Inny przykład pochodzi z kampanii prezydenckiej w 2000 roku. Jednym z materiałów wyborczych była ulotka ze zdjęciem Kwaśniewskiego i jego listem do wyborców z prośbą o podzielenie się z nim najważniejszymi zdaniem obywateli problemami i kartką pocztową z adresem sztabu, aby łatwo można było te prywatne uwagi przesłać do kandydata. Ulotki były rozdawane podczas mityngów w pierwszej części kampanii oraz przez wolontariuszy i terenowe sztaby wyborcze w czasie zbierania podpisów pod kandydaturą Kwaśniewskiego. Przychodziło ich na adres sztabu sporo, kilkanaście tysięcy. Zawsze przed wyjazdem na wiece w drugiej części kampanii trzeba było sprawdzić, czy nie ma wśród korespondencji kartek z okolic, gdzie kandydat się wybierał. Jeśli tak, to treści tej korespondencji były włączane do wystąpienia prezydenta lub też wykorzystywał je w trakcie dialogu z obecnymi na wiecu. Przytaczanie treści korespondencji od miejscowych wywoływało bardzo duże wrażenie. Można powiedzieć, że był to chwyt marketingowy. Nawet jeśli, to bardzo podkreślający wagę, jaką do znajomości spraw i problemów wyborców, do poważnego ich traktowania przywiązywał Kwaśniewski.

Jako kolejny, czwarty filar trzeba wskazać gotowość do podporządkowania się kampanijnemu rygorowi oraz otwartość na nowe na polskim rynku politycznym techniki i metody kampanii. Nowością w 1993 roku

[40] L. Nikolski, *Tak głosuję*…, s. 217–218.

były rozpoczęte jeszcze przed właściwą kampanią wyborczą grupowe wyjazdy partyjnych liderów do jednego z ówczesnych małych województw. Rozjeżdżali się na spotkania w kilku miejscowościach, a wieczorem spotykali się z wyborcami na głównym wiecu w stolicy województwa. Nowością był słynny z pierwszej kampanii autobus, którym kandydat wraz z przedstawicielami swojego sztabu objeżdżał Polskę[41]. Nowym pomysłem było potraktowanie, wymaganego przez ordynację, złożenia 100 tysięcy podpisów pod swoją kandydaturą jako demonstracji poparcia. W 2000 roku Kwaśniewski uznał, że jeśli jego konkurentem jest Marian Krzaklewski, to powinien mieć więcej podpisów, niż zebrał lider „Solidarności" pod projektem konstytucji Za jego namową zebrano ponad 1750 tysięcy podpisów. Było oczywiste, że ten, kto podpisem udzielił swojego poparcia, chętniej w rzeczywistych wyborach odda na niego głos.

Specjalne miejsce trzeba poświęcić pierwszym w Polsce debatom telewizyjnym. Kwaśniewski wezwał Lecha Wałęsę do debaty telewizyjnej już w trakcie wieczoru wyborczego po pierwszej turze głosowania[42]. Badania przeprowadzone po debatach wykazały, że to one mogły mieć decydujący wpływ na przesunięcie się w kierunku Kwaśniewskiego poparcia wyborców w ostatniej fazie kampanii. CBOS w swoim komunikacie z badań pisał: „Na pytanie (zamknięte) o to, który z kandydatów wypadł w debatach lepiej, większość (70%) wskazała Kwaśniewskiego, jedynie 15% uznało przewagę Wałęsy. Z sondażu przeprowadzonego przed debatami wynikało, że nieco większe szanse na wybór miał Lech Wałęsa (51% wobec 49%). Niewielka różnica, dzieląca obydwu konkurentów, może skłaniać do przypuszczeń, iż telewizyjne wystąpienia w istocie były dla nich „grą o wszystko". Przytoczony powyżej werdykt publiczności oznaczałby w tym kontekście wygraną Kwaśniewskiego"[43]. Lider lewicy słusznie przewidywał, że w debatach może zaprezentować się lepiej. Opinii publicznej najbardziej podobała się u A. Kwaśniewskiego w trakcie debat rzeczowość, komunikatywność oraz spokój i opanowanie[44].

O podporządkowaniu się kampanijnemu rygorowi najlepiej świadczy tryb pracy w trakcie przygotowań do elekcji. Kampania musiała być

---

[41] D. Waniek, *„Kwach": zapiski sztabowe Danuty Waniek*, Warszawa 1995.

[42] M. Mazur, *op. cit*., s. 244.

[43] Komunikat CBOS, BS/215/190/95, Debaty prezydenckie jako reklama polityczna.

[44] *Ibidem*.

szczegółowo zaprogramowana: określony terminarz wyjazdów i spotkań, ułożone w logiczną całość komunikaty programowe, aktywność sięgała blisko kilkunastu godzin na dobę. W czasie kampanii 2000 roku Kwaśniewski rano wykonywał obowiązki prezydenckie. W południe wyruszał na spotkania w Polsce. Do Warszawy wracał po północy i z reguły spotykał się jeszcze z kilkuosobowym zespołem sztabu, oceniając kolejny dzień kampanii, przygotowując reakcje na bieżące wydarzenia oraz w razie potrzeby weryfikując plany kolejnych dni kampanii wyborczej.

Na takich czterech filarach – na koncyliacyjności, zdolności do gromadzenia zwolenników i budowania politycznych sojuszy, na odczytaniu najlepszego w konkretnym czasie przesłania do społeczeństwa, na utrzymywaniu właściwego kontaktu z wyborcami i zrozumieniu ich problemów, wreszcie na o tym, na czym polega kampania wyborcza i jak ją prowadzić, osadzić trzeba powody uznania Kwaśniewskiego za silną postać każdej kampanii politycznej.

Jednak owe filary musiały zostać połączone w spójną konstrukcję. Spoiwem tym była inna umiejętność Kwaśniewskiego: umiejętność doboru współpracowników. Potrafił stworzyć współpracującą ze sobą drużynę. Pracowali dla niego i z nim ludzie o samodzielnej wysokiej pozycji politycznej i tak zwani „polityczni robotnicy" wykonujący żmudną i często niezauważalną dla opinii publicznej pracę. Ekipa współpracowników ukształtowana jeszcze w czasach Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej towarzyszyła mu przez całą polityczną aktywność, jako czołowe postacie sztabów wyborczych SLD i kandydata na prezydenta, a czasem jako funkcjonariusze jego kancelarii. Ich polityczne umiejętności, kreatywność i zdolność do pracy na rzecz niekwestionowanego lidera pomogły ułożyć opisane cztery filary w postać *formidable campaignera*. Na tej konstrukcji budowała się systematycznie wiarygodność i zaufanie do Aleksandra Kwaśniewskiego niezależnie od wypełnianej politycznej roli. W 1992 roku ufał mu co czwarty obywatel Rzeczypospolitej, w przededniu kampanii wyborczej do parlamentu w 1993 roku – 40 procent obywateli, tuż przed wyborami prezydenckimi w 1995 roku – 52 procent, na starcie drugiej kadencji prezydenckiej – 80 procent, a kończąc swoją bezpośrednią krajową aktywność polityczną, cieszył się zaufaniem ponad 60 procent Polaków[45].

[45] Komunikaty CBOS, BS/400/98/92, Politycy – komu ufamy, BS/89/72/93, Zaufanie do polityków w czerwcu '93, BS/180/160/95, Zaufanie do polityków w październiku '95, BS/93/2000, Zaufanie do polityków w czerwcu, BS/198/2005, Zaufanie do polityków w grudniu.

* * *

Obecnie, w połowie 2013 roku rozlegają się głosy, że Aleksander Kwaśniewski utracił swoją polityczną moc i nie jest już tak atrakcyjny dla opinii publicznej. Opinie te nie kwestionują oczywistego faktu posiadania tych walorów w przeszłości i opierają się na niektórych faktach z publicznej aktywności Kwaśniewskiego po 2005 roku.

Niektórzy jako przykład podają wynik wyborczy Komitetu Lewicy i Demokratów z 2007 roku, w którego kampanię Kwaśniewski zaangażował się osobiście. Rzeczywiście rezultat nie był imponujący. Warto jednak zwrócić uwagę, że mimo wszystko był to najlepszy jak do tej pory wynik lewicy w wyborach parlamentarnych po 2001 roku, jeden z czołowych krytyków tamtej kampanii poniósł w 2011 roku jako przewodniczący SLD najbardziej dotkliwą porażkę w historii tego ugrupowania. W 2007 roku Aleksander Kwaśniewski dawał kampanii twarz, ale nie dawał siebie. Nie kandydował i nie zapowiadał większej aktywności politycznej po wyborach. Opinia publiczna – jak często bywa – trafnie odczytała jego osobiste wahania i niezdecydowanie przed ponownym wejściem na scenę polityczną. Trudno było mu pogodzić zaangażowanie w politykę międzynarodową z potrzebą codziennej aktywności w krajowej polityce. Nie uniknął niezręczności i wpadek, ale w uznawanych za największe wydarzenia tamtej kampanii debatach telewizyjnych liderów głównych partii pokazał swoją dawną sprawność. Był zdecydowanym faworytem debaty z Jarosławem Kaczyńskim i debatę wygrał. W debacie z Donaldem Tuskiem, która miała miejsce już po odbyciu takiej między Tuskiem a Kaczyńskim i którą zdecydowanie wygrał w oczach opinii publicznej ten pierwszy, Kwaśniewski stał na dużo gorszej pozycji. Jak pokazywały badania, ludzie spodziewali się zwycięstwa Tuska[46]. Po debacie uznali, że zwycięstwo to było znacznie mniejsze, niż oczekiwali. Wybory w 2007 roku miały charakter swego rodzaju plebiscytu. Większości społeczeństwa zależało na odsunięciu od władzy Prawa i Sprawiedliwości. Byli gotowi poprzeć najsilniejszego gwaranta takiego wyniku wyborów i takie gwarancje znaleźli w PO. Być może zabrzmi to kontrowersyjnie, ale lewica uzyskała w 2007 roku wynik maksymalnie w tamtych warunkach możliwy[47].

Jest też opinia, iż zaangażowanie Aleksandra Kwaśniewskiego w projekt „Europa Plus" nie dało spodziewanych rezultatów. I prawdą jest,

[46] Raport z badania Pentor Research Internationale, Warszawa 2007.

[47] Lewica i Demokraci w wyborach parlamentarnych 2007, *passim*.

iż wiele wskazuje, że inicjatywa ta może nie odnieść politycznego sukcesu. Ale z drugiej strony sama zapowiedź ponownego osobistego wejścia do polityki, mocniejsza nawet niż w 2007 roku, spowodowała – wyglądającą na inspirowaną politycznie – dyskredytującą go kampanię medialną. Krytykujący go za promowanie polityków wykluczonych lub rezygnujących z SLD i Ruchu Palikota – lewicowej niespodzianki wyborów 2011 roku – jednocześnie ciągle apelują, aby wrócił do ściślejszej współpracy z SLD.

Wiele wskazuje, że nie będzie już nam dane zweryfikować Kwaśniewskiego jako *formidable campaignera* w kolejnej rzeczywistej kampanii wyborczej. Oczywiście zmieniła się polityka, sposób jej uprawiania i prowadzenia kampanii wyborczych. Znacznie większa jest rola mediów niż samych ugrupowań i kandydatów. Trudno powiedzieć, jak Aleksander Kwaśniewski dawałby sobie radę w nowych warunkach i okolicznościach. Jednak fakty z jego przeszłości pokazują, że kto wie…?

Andrzej Romanowski

Aleksander Kwaśniewski i polityka historyczna

Kilkanaście lat temu, w dniu wyborów prezydenckich 8 października 2000 roku, przebywałem na badaniach naukowych w Wilnie, toteż aby oddać głos, udałem się do polskiego konsulatu. Byłem bardzo przejęty. W moim środowisku, w „Tygodniku Powszechnym" i „Znaku", obowiązywał dogmat „obozu posierpniowego", więc w obliczu podjętej przeze mnie decyzji o głosowaniu na Aleksandra Kwaśniewskiego, mogłem sobie tylko powtarzać: „jestem mu to winien". Oddałem głos, odczuwając konflikt lojalności. Gdy jednak w kilka tygodni później w Warszawie wyznałem, że głosowałem na Kwaśniewskiego, Stanisławowi Stommie, ten senior polskiej polityki, dawny lider ruchu Znak, roześmiał się tylko i wykrzyknął: „No, a na kogóż?! Ja zrobiłem to samo!". Tak oto moje środowisko niejedno miało imię. Wtedy, w Wilnie, nie byłem jeszcze tego świadom.

„Posierpniowość"

Czułem natomiast, że nie mam czystego sumienia. W wyborach w 1995 roku nie odpowiadałem wprawdzie za Inicjatywę 3/4 Jana Rokity, lecz przecież wchodziłem w skład Rady Krajowej Unii Wolności – partii, w której inicjatywa ta się zrodziła. Wobec SLD-owskiego prezydenta

nie używałem argumentu „posierpniowego", lecz przecież w „Tygodniku Powszechnym", w którego redakcji zasiadałem, mogłem przeczytać pod jego adresem: „niech cię trafi szlag – i to szybko!". Solidarność pojmowałem wciąż jeszcze idealistycznie: sądziłem, że – mimo wszystko – będzie ona w stanie realizować wezwanie ewangeliczne (i Tischnerowe, i papieskie…): „jedni drugim ciężary noście". Że w imię przeżywanego wówczas przełomowego czasu będzie naprawdę zwornikiem narodowego porozumienia w sprawach nadrzędnych. Trudno jednak było być ślepym: już od szeregu lat Solidarność ewoluowała właśnie w stronę „obozu posierpniowego". I nie było to bynajmniej dziełem radykałów, przeciwnie: prawodawcą tego pojęcia był akurat polityk umiarkowany – Aleksander Hall. Grunt Znaku nie był już solidny – ulegał coraz szybszej erozji.

Czy miałem rację, dokonując takiej diagnozy? Przecież można było powiedzieć: „obozem posierpniowym" Solidarność była zawsze. A jednak nie było to oczywiste. Solidarnościowa wspólnota uległa rozpadowi wkrótce po wygraniu politycznego meczu: wyborczego zwycięstwa. Ten podział, dokonany w roku 1990, był nieuchronny, oznaczał jednak – też nieuchronnie – walkę o władzę. Walka ta mogła oczywiście toczyć się na dowolnym polu: zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz dawnego obozu – i w obu przypadkach była równie uzasadniona (lub nieuzasadniona). Natomiast przykładanie do niej kategorii historycznych lub moralnych było już nadużyciem. Dlatego, jeśli w latach 90. deklamowano o „Polsce posierpniowej", to mogła być tylko – z samej natury rzeczy – solidarność dla swoich.

Rodziło się więc pytanie, co to ma wspólnego z zasadami demokracji. Z wolną grą sił politycznych, której tak niegdyś bali się komuniści. Z rywalizacją na programy. No i z wyzwaniami przełomowego czasu, kiedy jakaś forma ogólnonarodowej solidarności (tu przez małe „s") – solidarności obejmującej zwaśnione niegdyś strony po obu stronach historycznej barykady – była koniecznością. Rzecz zresztą znamienna: hasło „Polski posierpniowej" nie pojawiało się w debatach lat 80. – pojawiło się i zyskało prawo obywatelstwa akurat w Polsce wolnej. Jeżeli więc dawniej można było to hasło rozumieć jako idealistyczne (zapewne) i utopijne (na pewno) myślenie typu „jedni drugim ciężary noście", to teraz nie mogło być ono niczym innym, jak wygodnym taranem do walenia w przeciwnika.

I oto ujrzeliśmy niepokojące zjawisko. „Polska posierpniowa", choć w tysiącu sprawach tak głęboko podzielona, w jednym była zgodna: potrzebie delegitymizacji wybranego prezydenta. „Ich" prezydenta! To

skojarzenie z Gabrielem Narutowiczem nasuwało się automatycznie, choć od takich analogii odżegnywano się zawsze z oburzeniem. Niemniej to właśnie prezydentura Kwaśniewskiego stała się wyrazistym symbolem – punktem orientacyjnym, przy którym można było przetestować szczerość i autentyczność dumnie brzmiących haseł. To ta prezydentura mówiła nam wszystkim: „sprawdzam".

Linia Kwaśniewskiego

Bo też w tym czasie racja „państwowa" i racja „posierpniowa", zamiast iść razem, z każdą chwilą się od siebie oddalały. Im bardziej Kwaśniewski demonstrował wierność zasadom demokratycznym, im bardziej wykazywał szacunek dla politycznej odmienności – tym bardziej był przez „Polskę posierpniową" nienawidzony. Co z tego, że deklarował: „ja naprawdę lubię demokrację". Co z tego, że jednał sobie ludzi z obu stron historycznej barykady. Dla „Polski posierpniowej" psuł klarowność obrazu, niszczył pracowicie wypielęgnowany wizerunek „komucha". Okazywało się więc raz za razem, że tu wcale nie chodzi o politykę, o demokrację, o rację stanu. Walenia po oczach dokonywano w imię mitu. W hierarchii „posierpniowych" wartości to właśnie mit został postawiony najwyżej. Trudno się dziwić, że na tej drodze pojawił się po latach mit smoleński.

Czy jednak Sojusz Lewicy Demokratycznej mógł być przez partie solidarnościowe postrzegany jako sojusznik? Z początku było to oczywiście wykluczone – nawet gdyby wyciągnąć najdalsze konsekwencje z doświadczenia okrągłego stołu. Jednak sytuacja szybko się zmieniała – i widać to było nie tylko w ewolucji stanowiska SLD wobec NATO, ale w gruncie rzeczy już w stanowisku, jakie dawni PZPR-owcy zajęli wobec „kapitalistycznego" planu Balcerowicza. Gdyby więc programy reformatorskie, realizowane czy to przez rząd Hanny Suchockiej, czy rząd Jerzego Buzka, miały rzeczywiście reformy za cel główny, gdyby nie usiłowały przy okazji realizować celów (nazwijmy je tak) dekomunizatorskich, to SLD mógł się okazać, dla części przynajmniej sił „posierpniowych", pożyteczny: zagrożenia reform i kursu proeuropejskiego czaiły się przecież gdzie indziej.

Zresztą, czy najostrzejsze nawet przejawy opozycyjności partii Kwaśniewskiego można porównywać z najłagodniejszymi choćby przejawami opozycyjności dzisiejszej partii Kaczyńskiego? Wtedy, przy okazji konkretnych uchwał podejmowanych w Sejmie, można było przecież

bronić programu reform wbrew awanturnikom. Nic nie stało na przeszkodzie, by – w imię racji państwa – zadbać o poparcie strony zwalczanej w latach 80. Nic – poza historią. A ta historia była w dodatku coraz silniej zakłamywana – w miarę jak PRL oddalał się w przeszłość.

Wybrano więc drogę przeciwną: odwetu. I to odwetu za cały PRL. Szydzono, że lewica zmieniła poglądy, że tak szybko weszła w buty kapitalistów, biznesmenów, demokratów, zwolenników NATO i Unii Europejskiej. Triumfy te, płynące z poczucia moralnej wyższości, jakże jednak były tanie i łatwe. O ileż trudniej było uznać, że zmiana – nawet jeśli dla ludzi „Solidarności" była estetycznie i etycznie trudna do przyjęcia – dla państwa była błogosławieństwem. Odsuniętej od władzy postpezetpeerowskiej lewicy ukazywał przecież Kwaśniewski szansę, zaprzęgał ją w rydwan Polski niepodległej, III Rzeczypospolitej. Tego atutu „Polska posierpniowa" nigdy nie potrafiła – i nie chciała – docenić. Racja państwa nie była jej priorytetem – ustępowała chociażby przed racją lustracji.

Tymczasem dla formacji Kwaśniewskiego racja państwa okazała się ważniejsza niż historyczne urazy, ważniejsza nawet niż interes własnego ugrupowania. Niech nikt nie mówi, że ugrupowanie to w 1993 roku wróciło triumfalnie do władzy, że więc korzyść była wzajemna. W 1990 roku, gdy wyprowadzano pezetpeerowski sztandar, nikt tego jeszcze nie mógł przewidzieć, a mimo to udzielono wsparcia zarówno aktom symbolicznym (zmiana nazwy państwa), jak i realnym (plan Balcerowicza). Oto więc paradoks historii: obóz, deklamujący dotąd o solidarności, zdradził istotę solidarności. Obóz, wyznający walkę klas, przeszedł na pozycje faktycznego społecznego solidaryzmu.

I na tym właśnie polegała „linia Kwaśniewskiego". Nie była ona, rzecz jasna, jego odkryciem. Wyjścia poza komunistyczny dogmat „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy" dokonał jako pierwszy – w Polsce i świecie – gen. Wojciech Jaruzelski. Jeżeli bowiem nawet jego paktowanie z „kontrrewolucją" przy Okrągłym Stole można było rozumieć jako zagrywkę taktyczną, to uszanowanie wyników wyborów z 4 czerwca 1989 roku stanowiło już na pewno nową jakość. Kwaśniewski poszedł drogą wytyczoną przez Jaruzelskiego – a że zaszedł na niej dalej, to dlatego, że sytuacja zaszła dalej. Sam Jaruzelski też zresztą wyrażał nieraz aprobatę dla nowej formy polskiej państwowości. W logice „Polski posierpniowej" nie można było na to zareagować inaczej, jak nienawiścią. Jaruzelski z wytaczanymi mu procesami jest tu przykładem nader wyrazistym.

Lecz przecież i wobec Kwaśniewskiego chwytano się wszystkiego. Wysyłano protesty wyborcze w sprawie jego niepełnego wykształcenia wyższego, pomawiano go o kontakty z rezydentem rosyjskiego wywiadu, demaskowano jego współpracę z SB – skądinąd wbrew orzeczeniu sądu lustracyjnego. Nawet podczas składania przysięgi w 1997 roku ministrowie rządu Jerzego Buzka patrzyli demonstracyjnie nie na Kwaśniewskiego, lecz na Krzaklewskiego. Czyli: składali przysięgę nie głowie swego państwa, lecz głowie swego ugrupowania. Ślad tej zajadłości widać dziś jeszcze w *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* (Warszawa 1997). W bezbarwnym haśle „Kwaśniewski Aleksander" nawet nie zamieszczono wizerunku urzędującego prezydenta. Zamieszczono natomiast zdjęcie Ryszarda Kaczorowskiego.

To właśnie z tych przyczyn w 2000 roku byłem Kwaśniewskiemu „coś winien". Po doświadczeniach prezydentury Lecha Kaczyńskiego jestem mu coś winien w dalszym ciągu i – tym bardziej. W roku 2000 oddanie głosu na Kwaśniewskiego było protestem przeciw „Polsce posierpniowej". W roku 2013 uznanie zasług Kwaśniewskiego jest uznaniem maksymalnej miary polskiej polityki przełomu stuleci.

Racja tamtej Polski

Polityka jest sztuką możliwości. Nie ma w niej wyborów zero-jedynkowych. Także dokonywane przez Kwaśniewskiego wielkie otwarcie miało w istocie dwa oblicza. „Szlifowanie betonu" i adaptacja dawnych PZPR-owców do nowej rzeczywistości było zasługą nie do przecenienia, porównywalną z „parasolem ochronnym", jaki nad rządem premiera Mazowieckiego rozciągnął prezydent Jaruzelski. Inaczej jednak rzecz miała się z „polityką historyczną" Kwaśniewskiego – w gruncie rzeczy oddającą pełną rację obozowi Solidarności. Nie chodzi tu o negowanie oczywistego skądinąd faktu, że system PRL-owski był na tyle niewydolny, strupieszały, przeżarty bezideowością i partyjnym cynizmem, że dotychczasowy establishment nie był w stanie go zmienić – mogła to zrobić tylko „świeża krew" Solidarności. W tym sensie rację moralną i historyczną miała Solidarność – tu sporu nie ma i być nie może. Nie znaczy to jednak, by struktury władzy PRL nie rządziły się przez dziesięciolecia własną racją, której nigdy – a zwłaszcza dziś, po upływie dwudziestu z górą lat – nie wolno odrzucać *a limine*.

Zgoda: w obronie kształtu ustrojowego PRL czaiła się też obrona dotychczasowej własnej pozycji, partyjnych przywilejów. Jednak obrona PRL płynęła też z racji geopolitycznych, ze swoistego „instynktu państwowego", który niekoniecznie musiał mieć twarz twórcy tego pojęcia, Bolesława Piaseckiego. Oba interesy – partyjny i państwowy – sprzęgały się z sobą, bo też PRL był państwem Partii. Dlatego, póki istniał ZSRR w utrwalonym przez dziesięciolecia kształcie ideologicznym, oba te interesy były nie do rozdzielenia.

Trzeba tu zrobić wyznanie osobiste. Do końca istnienia PRL odmawiałem jej legalności i prawomocności. Podczas wyjazdów w latach osiemdziesiątych do Londynu (z PRL-owskim paszportem służbowym w dłoni…) szedłem zawsze na Lennox Gardens 8 i odbywałem długie rozmowy z prezydentem RP na uchodźstwie, Edwardem Raczyńskim. Mając jednak nastawienie tak antykomunistyczne i tak legalistyczne (w rozumieniu wierności Państwu Polskiemu, któremu niepodległość odebrano), byłem równocześnie najdalszy od antypeerelowskiego anarchizmu. Co ciekawe, rozmowy z politycznym realistą, którym był Raczyński, tylko mnie w tej postawie utwierdzały. Rozumowałem bowiem (i tu zawsze zgadzaliśmy się z emigracyjnym prezydentem), że PRL to państwo lepsze niż państwo żadne. Dlatego opowiadając się przeciw PRL w imię państwowego idealizmu i legalizmu, opowiadałem się równocześnie za PRL w imię narodowego realizmu i pragmatyzmu. I dlatego też po pierwszych powszechnych wyborach prezydenckich w 1990 roku opublikowałem w „Tygodniku Powszechnym" artykuł *Dzień trzech prezydentów,* sławiący na jednym oddechu Ryszarda Kaczorowskiego, Lecha Wałęsę i Wojciecha Jaruzelskiego. Dla „Polski posierpniowej" byłby to zapewne przejaw braku zasad, lecz „solidarnościowy" „Tygodnik Powszechny" nie był wtedy jeszcze czasopismem „posierpniowym".

Tyle o sobie – tytułem wyjaśnienia. Jednak od postpezetpeerowskiej lewicy miałem prawo oczekiwać, że będzie broniła swego. Mieliśmy się o co spierać – i mógł to być spór poważny, a nie ipeenowsko-lustracyjny. Tymczasem wobec artyleryjskiego ognia historiografii solidarnościowej historycy o rodowodzie pezetpeerowskim okazali się dziwnie nieśmiali. Czy naprawdę nie mogli przypomnieć chociażby polityki PZPR w Polskim Październiku? Postawy I sekretarza Komitetu Warszawskiego, Stefana Staszewskiego, byłego ubeka, gen. Jana Frey-Bieleckiego, przedwojennego komunisty, gen. Wacława Komara? Ludzie ci, skądinąd pochodzenia żydowskiego lub niemieckiego, w momencie próby zaryzykowali

życie w obronie interesu Polski. Lub jeszcze inaczej: w momencie próby wypowiedzieli posłuszeństwo „ojczyźnie światowego proletariatu" – bo przecież oddziały Armii Sowieckiej maszerowały wtedy na Warszawę – wybrali natomiast interes swego państwa. Państwa – powtórzę – ułomnego i podległego, ale akurat w przypadku tych ludzi ich własnego, a w przypadku całego społeczeństwa – także bezalternatywnego, bo innego przecież realnie nie było. Staszewski, Frey, Komar, i wielu innych, grali o stawkę najwyższą, bo w razie niepowodzenia czekała ich śmierć – co do tego nie mogli mieć żadnej wątpliwości.

Postkomunistyczna lewica nigdy jednak nie przypominała tych kart. Z oczywistych przyczyn nie robiła tego w PRL, z mniej oczywistych – nie robiła tego w III RP. Prof. Bronisław Łagowski zauważa, że obecna lewica oddała wszystkie swe atuty stronie postsolidarnościowej. Z Łagowskim nie zawsze się zgadzam, tu jednak ma on rację i – choć to zjawisko „oddania tożsamości" napawa mnie satysfakcją jako „kombatanta", to zarazem mnie martwi jako obywatela. Bo to przez taką właśnie postawę narodził się ów „dyskurs bezalternatywny", który zniszczył naszą debatę publiczną. Wszak argumentów, które postkomunistyczna lewica mogła wytoczyć przeciw „Polsce posierpniowej", było multum i nie ograniczały się one do Polskiego Października. Dziś łatwo deklamować o „jasnej" i „ciemnej" stronie mocy, trudniej natomiast przyznać, że dla ustroju komunistycznego w Polsce nie było „po Jałcie" alternatywy i że – wobec stałego nacisku społeczeństwa – to przecież z decyzji ówcześnie rządzących Polska była „najweselszym barakiem w socjalistycznym obozie". Pokojowe oddanie władzy w 1989 roku pozostaje na zawsze tytułem PZPR do chwały – nawet jeśli przyjąć, że jej sytuacja była wtedy bezwyjściowa. O ile bowiem w 1956 roku PZPR-owcy nie mogli mieć wątpliwości co do swego losu w razie przegranej, o tyle wiosną i latem 1989 roku nie mogli jeszcze przewidzieć losu Nicolae Ceaușescu.

Polskość

Kwaśniewski zdawał sobie sprawę, że tłumaczenie się z tego wszystkiego przed narodem, który akurat obronił swą podmiotowość, byłoby zadaniem beznadziejnym i – w dodatku – samobójczym. Dlatego, chcąc uciec od tego dylematu, przedstawiał w swej pierwszej kampanii prezydenckiej hasło „Wybierzmy przyszłość". Ileż to razy krytykowano to hasło. Tymczasem było ono oczywistością na granicy banału – oczywistością

jednak nie do przyjęcia dla tych, którzy – jak wspomniałem – już w tym okresie zaczęli stawiać w miejsce „Solidarności" „Polskę posierpniową". Tymczasem Kwaśniewski, pozostawiając spory o przeszłość historykom, już wtedy wszedł *de facto* w buty „solidarnościowca". A przy tym znalazł się w najżywszym nurcie polskiej tradycji, w narodowym „kochajmy się", niezbędnym w obliczu epokowych wyzwań. Przecież nie tylko *Pan Tadeusz* kończy się takim wezwaniem, unicestwiającym w istocie dawne winy i grzechy, nawet winy targowicy. Tak samo przecież „wybierał przyszłość" Piłsudski, pozyskujący wczorajszych wrogów – właśnie dla pracy na rzecz odzyskiwanego państwa. Nic dziwnego, że życzliwość okazywał Kwaśniewskiemu człowiek-sztandar powojennej emigracji – Jerzy Giedroyc. On nigdy nie miał złudzeń wobec „Solidarności".

Czy jednak w sprawie przeszłości nie miał Kwaśniewski niczego do powiedzenia? Przyciskany przez dziennikarzy, zdradził kiedyś swe sympatie: jego bohaterami mieli być Piłsudski i Gomułka. Trudno uznać to wyznanie za zręczne – istnieje przecież zasadnicza różnica między Polską wasalną i Polską niepodległą. Zarazem jednak jest ono trafne, bo jego istotą jest uznanie dla realizmu, pragmatyzmu i skuteczności. Tu nie ma mowy o postawie straceńczej, o deklamacji „dziś twój triumf albo zgon", przeciw której kiedyś daremnie protestował Roman Dmowski. W tym sensie zarówno Piłsudski w roku 1918, jak i Gomułka w roku 1956, stawiali sobie cele realne i osiągalne, i nic tu nie ma do rzeczy fakt, że ten drugi miał obok Polski ojczyznę szerszą: obóz „proletariackiej" rewolucji. Bo przecież, cokolwiek powiemy o niesuwerenności państwa powojennego (a w latach stalinowskich także o jego marionetkowości i zbrodniczości), było to jednak – powtórzmy – państwo polskie, ofiarowujące Polakom pewne ramy, w których mogli się oni rozwijać. Stanisław Stomma powiadał, że to „państwo piastowskie możliwe było do uzyskania tylko w wydaniu sowieckim". A jeżeli tak: było to państwo wartością. Gdy jednak w 1956 roku rozpoczął się proces stopniowego odzyskiwania przez nie podmiotowości, gdy proces ten w roku 1989 zakończył Jaruzelski, przekazując władzę narodowi, to nie może być już żadnej wątpliwości, że swój udział w odzyskaniu niepodległości mieli również ludzie władzy. Uznanie tego faktu jest miernikiem uczciwości. Tej uczciwości także zabrakło w obozie „posierpniowym".

I trzeba powiedzieć jeszcze więcej. Przywykliśmy (my, „ludzie Solidarności") mówić o własnych, inteligenckich złudzeniach, natomiast politykom PZPR przypisywać cynizm, bezwzględność, diabelską dialektykę

pozwalającą usprawiedliwić wszystko. Tymczasem po 1989 roku doszło do nieoczekiwanej zmiany ról. To Kwaśniewski i jego środowisko wykazało się miękkością i swoistą „dobrodusznością": pozwoliło odebrać sobie nie tylko władzę, lecz także – jak się rzekło – znaczną część tożsamości. Czy coś nam ta miękkość przypomina? Przecież w Polsce, która przed wiekami „nierządem stała", dominowała właśnie miękkość, wola wybaczania, „porządna niedbałość nasza", o której już w XVI wieku pisał Mikołaj Rej. Czy Kwaśniewski był (jest) świadom tej symbolicznej strony uprawianej przez siebie polityki – tego oczywiście nie jestem pewien. Wiem jednak, że tę stronę bezbłędnie na ogół wyczuwał. Był bardziej polski niż większość „posierpniowych" krzykaczy, a o ileż bardziej polski niż demonstrujący swą „twardość" Kaczyński… Sytuował się – nie tylko jako prezydent! – zarówno w nurcie polityki propaństwowej, jak i dominującym nurcie polskiej, wielowiekowej tradycji.

Nie znaczy to oczywiście, by każdy segment tej tradycji wart był przeniesienia w XXI wiek. Na krótki dystans „miękkość" Kwaśniewskiego będzie zawsze przegrywać z „twardością" Kaczyńskiego. Jednak na dłuższy dystans jest ona – jakkolwiek to zabrzmi – zaproszeniem do tradycyjnego przeżywania polskości. Również w tym sensie, że „polskość" to także zobowiązanie. I wartość. A wreszcie też los. Los służby rodakom bez wiary w ich zrozumienie. Polskość jako „gorzki chleb", o którym pisał niegdyś Cyprian Kamil Norwid.

I tak oto doszliśmy do ostatniego aspektu tradycji. Aleksander Kwaśniewski – ze wszystkimi swymi słabościami i ułomnościami – zdaje się dziś ucieleśniać polskość lepiej może niż ktokolwiek. Czy jednak taka formuła polskości zostanie przeniesiona w najbliższe lata – o tym zadecyduje śmiałość byłego prezydenta w kreowaniu własnej, odrębnej i suwerennej, polityki historycznej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nasz „dyskurs bezalternatywny" trzeba wreszcie zastąpić postawą otwartą i prawdą. Jeżeli zaś operacji tej nie dokona Kwaśniewski, to właściwie kto?

Część II
Awers i rewers
– rozmowy i wywiady

Świadectwa osobiste

Szanowny Czytelniku,
debatując nad kształtem księgi jubileuszowej, uznaliśmy, że dla odzwierciedlenia losów jej Adresata niezbędne będą świadectwa osobiste. To metoda dobrze znana w naukach społecznych, ma w Polsce piękną i długą tradycję – sięgającą lat dwudziestych ubiegłego wieku. Pomimo naturalnej subiektywności takich świadectw są one często wykorzystywane w socjologii, naukach politycznych czy psychologii i pedagogice społecznej. Wyrazistość opinii, hierarchia zapamiętanych faktów, przywoływane wspomnienia i odtwarzana, a trudna do zbadania innymi narzędziami, atmosfera minionych lat – to cechy umożliwiające dotarcie do prawdy, co pozwala – jednak z pewną ostrożnością – formułować i weryfikować hipotezy badawcze.

Z powyższych powodów wybraliśmy formę wywiadów. Przeprowadził je Robert Walenciak, doświadczony dziennikarz o jednoznacznym profilu ideowym, potrafiący być rozmówcą osoby udzielającej wywiadu, a nie tylko biernym uczestnikiem monologu. W jakim stopniu mu się to tu udało – Czytelnik może ocenić sam. Rozmówcy, wydaje się, są dobrani z różnych stron politycznej sceny. Część osób poproszonych o wywiad odmówiła, część tłumaczyła się nawałem obowiązków i brakiem czasu, co – według nas – jest też swego rodzaju świadectwem.

Pierwsza z hipotez wyjaśniających ten stan rzeczy zakłada, że być może Jubilat jest osobą nielubianą lub niecenioną, a swą działalnością niektórym ludziom sprawił przykrość. Tę trzeba zdecydowanie odrzucić, choćby z szacunku dla osób, które odmówiły. Powaga tych ludzi, ich droga życiowa, nie pozwala na taką konstatację.

Być może zatem bardziej uzasadniona jest hipoteza druga: Aleksander Kwaśniewski, wygrywając wybory prezydenckie, wdarł się w przestrzeń, która po 1989 roku „należała się" nowym elitom politycznym, czego

świadectwo odnajdujemy na łamach prasy głównie z lat 1990–2005. Pisano wówczas i mówiono, a jak się wydaje również myślano, że „lewicy wolno mniej" i że przywódcom „Solidarności" władza się należy, bo nie popełnili błędu zawierzenia ideałom „komunizmu", wywalczyli zaś demokrację i restytuowali kapitalizm. Kwaśniewski jako osoba wyróżniana przez upadły ustrój nie miał – według nich – „moralnego prawa" do pełnienia godności głowy państwa, a formacja, której był założycielem i przewodniczącym, miała funkcjonować pod kuratelą moralną i polityczną byłych opozycjonistów, chociaż wyborcy udzielali jej znaczącego poparcia.

Zadra z powodu zwycięstwa Aleksandra Kwaśniewskiego tkwi do dziś w podświadomości wielu znanych ludzi, a część z nich konsekwentnie pomniejsza znaczenie tej prezydentury, a szczególnie zapiekli – tam gdzie mogą – wymazują ją z historii ostatnich dwudziestu pięciu lat.

Powróćmy więc do klimatów minionych rozmów i wydarzeń, do oryginalnego zapisu ludzkiej pamięci. Życzymy ciekawej lektury.

Danuta Waniek, Krzysztof Janik

Gdy chcemy ocenić polityka

Gdy chcemy ocenić polityka, jego wartość – to z oddali lepiej widać. Z perspektywy lat, gdy opada kurz medialnych bitew, łatwiej dojrzeć linię działania, cele, do których dążył, łatwiej ocenić, które sprawy były dla niego najważniejsze, a które – drugorzędne. O które walczył na poważnie, a które traktował lżej.

Zamieszczone poniżej rozmowy temu właśnie służyły. Lepszemu zrozumieniu polityka, który przynajmniej przez kilkanaście lat zajmował na polskiej scenie pozycję dominującą. I który w wielkim stopniu ukształtował Polskę.

Jakie więc sprawy Aleksander Kwaśniewski traktował jak najbardziej serio?

To widać wyraźnie – konsekwentnie przeciągał Polskę do struktur zachodnich, do Unii Europejskiej i do NATO. Tu nie było chwili wahania – jeszcze jako minister młodzieży i sportu prezentował najbardziej otwartą część rządu, potem, przy Okrągłym Stole – też tak było, podobnie jak i później, w roli szefa SdRP, i jako prezydent RP.

Przeciągał Polskę na Zachód, a jednocześnie sam na tym Zachodzie czuł się swobodnie, bardzo szybko budując sobie pozycję w gronie tuzów światowej polityki. „Miałem świadomość – wspomina Włodzimierz Cimoszewicz – w czasach kiedy byłem szefem MSZ, że w związku z 9/11, w związku z Irakiem, w związku z Ukrainą, z wstępowaniem do UE, że my

tak naprawdę byliśmy co najmniej o jeden szczebel ponad nasz potencjał. Ale to jest sztuka – jak potrafi się wylicytować i potem ugrać oczko powyżej tego, co ma się w kartach".

A Stanisław Ciosek, analizując rolę Kwaśniewskiego podczas pomarańczowej rewolucji na Ukrainie, mówi: „sprawę Ukrainy Kwaśniewski wziął na rogi! Widzę odwagę. Ale rozwagę też".

A jakim był politykiem w sprawach wewnątrzpolskich? Z opinii jego politycznych partnerów także kształtuje się klarowny obraz. Jego polityczne *credo* sprowadzało się do zasypywania podziałów, do łagodzenia, do budowania Polski, w której wszyscy czuliby się dobrze. I ci z lewicy, i ci z centrum, i ci z prawicy. Nawet za cenę ustępstw. Tak postępował. Dwa obrazy – tkwiące w mej pamięci – tę postawę symbolizują. Pierwszy to wyborczy wiec w Jastrzębiu, przed wyborami prezydenckimi w 1995 roku, podczas którego przeciwnicy Kwaśniewskiego rzucają w niego miałem węglowym, krzyczą, zagłuszają wszystko wokół. I Kwaśniewski, który do nich woła: „nie palcie mostów, bo będziecie chcieli kiedyś po nich przejść!". Oto filozofia przyszłego prezydenta. I drugi obraz – kilka lat później, wizyta Jana Pawła II w Polsce, przed kolejnymi wyborami prezydenckimi, i papież zaprasza Kwaśniewskiego do papamobile. Gest to jednoznaczny i oczywisty.

Ale czy Kwaśniewskiemu udało się zrealizować założone cele w polityce wewnętrznej? Myślę, że tak. Porównajmy stan wewnątrzpolskich napięć w jego czasach i w czasach „zimnej wojny domowej" PO–PiS. Różnicę widać aż za dobrze.

Porównajmy też pozycję prezydenta w krajowej polityce, wówczas i w latach późniejszych. Jeżeli Lech Kaczyński i Bronisław Komorowski byli prezydentami swoich formacji, to Kwaśniewski wychodził ponad to. Chciał i potrafił wczuwać się w emocje innych, także tych z innej strony politycznej barykady.

Mówi o tym Barbara Labuda: „Wiele osób myśli, że jest powierzchowny. A to nieprawda, to jest bardzo wrażliwy człowiek, który chce zrozumieć różne trudne sprawy, także przeżycia osobiste innych ludzi, i ja mu to pamiętam *in plus*". I dodaje: „Aleksandrowi bardzo zależało na konsolidowaniu ludzi, w sensie społecznym, na unikaniu konfliktów".

Sukces? Niewątpliwie. Choć nie byłoby go, gdyby nie zaplecze, które dało Kwaśniewskiemu polityczną siłę. Gdyby nie udana operacja budowy SdRP. Mówi o tym gen. Wojciech Jaruzelski: „W tamtych warunkach, po

tym »sztandar wyprowadzić«, jednak stanął na czele nowej partii, która, krok po kroku, uzyskiwała coraz mocniejszą pozycję. To na pewno świadczy o talencie przywódczym. Tego nie zrobi człowiek, który nie ma charyzmy, nie ma możliwości głębszego działania na ludzi".

Jak to działanie wyglądało?

Opowiada o tym Jerzy Urban: „Jego jakąś szczególną cechą jest uwodzenie i porywanie za sobą ludzi (...) Jak w 1995 roku Kwaśniewski przyszedł do mnie i powiedział, że wygra wybory prezydenckie, te pierwsze, z Wałęsą, wydawało mi się to nieprawdopodobne. Ale jak on pół godziny ze mną pogadał, uwierzyłem, że wygra!". Urban, wspominając tamtą rozmowę, do dziś się dziwi, jak jego – cynika – tak łatwo ktoś przekonał.

„To majstersztyk, że tak potrafił kierować ludźmi, że oni jego racje uznawali za swoje. I tak przecież było. Kłóciliśmy się. A potem wychodziliśmy z jednym stanowiskiem" – wspomina Izabella Sierakowska. A Józef Oleksy dodaje: „Miał wyczucie, bo przecież przełamywanie naszego stanowiska w sprawie NATO czy w sprawie kursu proeuropejskiego – to on. Był typem lidera, który wnosi świadomość".

To obraz kompletny?

Dodałbym do tego jeszcze jedno – Kwaśniewski miał wielką umiejętność syntezy, wyławiania spraw ważnych, pomijania drobnych. Pewnie też dlatego nie grzązł w codziennych utarczkach, nie tracił na nie siły. „Jest mistrzem syntezy i anegdoty – charakteryzuje go Marek Belka. – Szczegóły go mniej interesowały, interesowały go *big pictures*. To właśnie tworzy wielkiego polityka – że się zajmuje *big picture*".

I taki *big picture*, z kilku rozmów, pokazujących Aleksandra Kwaśniewskiego z różnych stron, w różnych okresach i różnych okolicznościach, zamierzałem pokazać. Mam nadzieję, że z powodzeniem…

Robert Walenciak

Tylko on, i Mieczysław Rakowski, zostawili jakiś głębszy ślad w mojej pamięci i w mojej ocenie

Rozmowa z Wojciechem Jaruzelskim

ROBERT WALENCIAK: Kiedy Pan poznał Aleksandra Kwaśniewskiego?

WOJCIECH JARUZELSKI: Nie tyle go poznałem, co o nim usłyszałem, jako redaktorze naczelnym „Itd – Ilustrowanego Magazynu Studenckiego". Że jest taki młody chłopak, który w tym „Itd", w tym trudnym okresie, porusza się bardzo zręcznie, i to pismo jest do czytania. W związku z tym przeszedł do „Sztandaru Młodych". Nie pamiętam, czyja to była decyzja, ja o tym wiedziałem, ale takie decyzje zapadały na niższych szczeblach. Tam sprostał zadaniu, znalazł język, który nie raził chropowatością minionych czasów, wprowadził do niego jakąś nową melodię, nie tracąc pryncypialnych wartości. Potem do rządu Messnera wszedł jako minister do spraw młodzieży.

– *Potem odpowiadał za sprawy młodzieży i sportu…*

– Tym odcinkiem partii zajmował się Mieczysław Rakowski, on przyszedł do mnie i mówi: wiesz, najlepszym kandydatem byłby Kwaśniewski. A ile on ma lat? – zapytałem. Tyle i tyle. Ja na to: no wiesz, daj spokój... Mieliśmy innego kandydata, profesora, który był reprezentantem Polski w siatkówce, a w tamtym czasie był rektorem AWF, więc predyspozycje miał lepsze. Ale Rakowski mnie przekonał.

– *A kiedy Kwaśniewski Pana przekonał?*

– Wtedy znałem go tylko z widzenia. Ale widziałem, że dobrze radził sobie z funkcją ministra sportu i młodzieży. Bardzo się wykazał, byłem z nim w Moskwie, w Pałacu Kremlowskim, gdzie podpisywał umowę o współdziałaniu młodzieży polskiej i radzieckiej. Był Gorbaczow, byłem ja, to wtedy było dość istotne wydarzenie na drodze likwidacji białych plam. Potem były inne umowy, kulturalne i kolejne. On wiele zrobił, żeby

wzajemne stosunki zmiękczyć. A potem upadł rząd Messnera i powstał rząd Rakowskiego.

– I to był początek wielkiej kariery Kwaśniewskiego.

– Mieczysław Rakowski chciał go zrobić kimś w rodzaju swojego zastępcy, nie nazywając wicepremierem, ale przewodniczącym Komitetu Społecznego Rady Ministrów. Bronił się przed tym. Nigdy nie zapomnę takiej sceny – jesteśmy na spotkaniu ze sportowcami, którzy wrócili z igrzysk olimpijskich, z medalami, z sukcesami. To było uroczyste spotkanie w Pałacu Namiestnikowskim, dzisiejszym Prezydenckim. Skończyło się sympatycznie, Kwaśniewski odprowadzał mnie, tam w Pałacu, po schodach w dół. Wtedy zacząłem go przekonywać, by przyjął nową funkcję. A on nie chciał. Tłumaczył, że się do tego nie nadaje, że już musi w tym sporcie być. Wówczas wypowiedziałem słowa, które zapamiętałem, i które on przywołuje: Aleksandrze, czas cięższą nałożyć zbroję. I posłuchał. Wtedy jeszcze moje zdanie coś znaczyło…

– Dlaczego Pan tak powiedział?

– Nasunęło mi się takie skojarzenie… On tę rozmowę przywołuje z sympatią… W każdym razie, objął to stanowisko, i bardzo dobrze się spisywał. A niezadługo potem weszliśmy w wir najtrudniejszych spraw, związanych z Okrągłym Stołem. I trzeba powiedzieć, że jego umiejętności koncyliacyjne, jego osobisty urok, dobrze przy Okrągłym Stole, w Magdalence, przyczyniały się do rozładowywania różnych napięć. Tam były sytuacje bardzo dramatyczne, Kiszczak przychodził do mnie, i pytał: co mam robić? Wtedy odpowiadałem: rób jak najwięcej, żeby to utrzymać, żeby tego nie przerywać.

– I nie przerwaliście.

– Spora w tym też zasługa Aleksandra, jego osobistej inwencji. Czasami go za to krytykowano, ale go zawsze broniłem. To był jego pomysł, żeby wybory do senatu były wolne. Ale warunkiem było, że ja będę prezydentem. I on to przeforsował. Owszem, wybory do senatu bokiem nam wyszły, ale intencja była jak najlepsza. No i kiedy PZPR się rozwiązała, to szefem nowej partii, SdRP, został wybrany Kwaśniewski. Miałem wtedy obawy, czy mu się uda, bo było jeszcze sporo konserwy, a on był za młody, za bardzo otwarty… Ale został wybrany jako przewodniczący nowej partii, a Leszek Miller jako jej sekretarz generalny. Oni razem przeprowadzili tę partię przez bardzo trudny czas. Największe zasługi ma tu Aleksander, jego osobowość, zdolność znalezienia wspólnego języka,

niekonfrontacyjnego, ale takiego, który zachowując pryncypia, daje jakąś elastyczność działania.

– *Gdy zaczynał się Okrągły Stół, nie bał się Pan, że może wyjść nie wiadomo co? Że zakończy się porażką?*

– Nie! Myśmy jednak panowali nad sytuacją. Nie byliśmy przecież sami – były stronnictwa sojusznicze, było trochę bezpartyjnych, ale nam życzliwych. Kościół odnosił się do Okrągłego Stołu z dużą życzliwością, a nawet więcej – angażował się, żeby rozmowy trwały, żeby zakończyły się porozumieniem. W umowie zagwarantowaliśmy sobie te sześćdziesiąt parę procent mandatów w Sejmie. Potem okazało się, że na wiele to się nie zdało, ale wówczas dawało to nam poczucie bezpieczeństwa. Mówiliśmy głośno, ja sam to mówiłem – za cztery lata będą całkowicie wolne wybory, teraz jeszcze do tego nie dojrzeliśmy.

– *Opozycja to przyjmowała ze zrozumieniem…*

– Więc to osłabiało różne obawy. Pamiętam, Ciosek różne kółka rysował, ile komu by się należało… Zdemobilizował nas optymizm niektórych sekretarzy, szefów wojewódzkich. Niektórzy nawet się bali, żeby za dużo głosów nie dostać, bo powiedzą, że wybory sfałszowane…

– *A radzieccy co mówili?*

– To był czas Gorbaczowa, z którym pozostawałem w bardzo bliskich kontaktach, przyjaźnimy się do dziś, mogę tak powiedzieć. On miał do mnie zaufanie, ja miałem zaufanie do niego. Widziałem, że wszedł na drogę, która bardzo nam odpowiada.

– *Zaczął demontować system dwóch wrogich bloków…*

– Uzbrojonych po zęby. Dopóki te dwa bloki stały naprzeciw siebie, przygotowane do walki, z czołgami, z rakietami, dopóty trudno było mówić o jakichkolwiek zmianach wewnątrz któregoś z nich. Bo wtedy natychmiast zachwiana byłaby równowaga.

– *A Gorbaczow chciał to zmienić!*

– Prowadził wtedy bardzo ciężką pracę w swym środowisku, zwłaszcza tym marszałkowsko-generalskim, radził się mnie, bo byłem jedyną w kierownictwie naszych partii osobą, która miała wiedzę i doświadczenie wojskowe. No i krok po kroku zmieniał świat. Wiedeń – tam padły pierwsze propozycje, już drgnęło w tym kierunku, że przestają działać dotychczasowe pryncypia – tu jest blok, tam jest blok, stoją łeb w łeb. Nie! Teraz się porozumiewają, może się ograniczają. To wiele ułatwiało. Ale Gorbaczow miał bardzo silnych przeciwników, w kręgach wojskowo-

-kagiebowskich, w dużej części aparatu. Czasem mi o tym mówił – jak ciężko mu jest z tym walczyć. Ale jednocześnie dodawał – muszę walczyć na dwie strony, z konserwatystami i *kawalierystami*. Wiadomo – kawalerzyści, to ci, którzy wyrywają do przodu, nawet jak nie są jeszcze do tego dojrzali.

– *Pan też miał ten dylemat…*

– Może i za wolno działałem, ale bez ryzyka – wkroczą, nie wkroczą, odetną dostawy ropy czy gazu, nie odetną… Czasy Gorbaczowa już były inne. Poza tym, widział on we mnie sojusznika. Polska – niebagatelny kraj! Spotykaliśmy się z pierwszymi sekretarzami państw socjalistycznych, i oni wszyscy mówili – dalej posuwać się nie można, bo my stracimy władzę i tak dalej. A wtedy wspierałem Gorbaczowa, on bardzo to sobie cenił. Sytuacja jednak się zmieniała, w pewnym momencie musieliśmy tylko patrzeć, żeby niczego nie zaognić. Pamiętam, i papież, i George Bush, który był wtedy prezydentem, gdy ze mną rozmawiali, to ich pierwsze pytanie było takie: czy Gorbaczow się utrzyma? A jeszcze Wojtyła dodawał do tego – opatrzność zesłała nam Gorbaczowa. Opatrzność, być może, ale…

– *To Pan podjął decyzję, że wchodzimy w Okrągły Stół?*

– Ja. Oczywiście! Choć u mnie też byli ludzie oporni.

– *W którym momencie było wiadomo, że Okrągły Stół dojdzie do skutku?*

– Myślę, że momentem przełomowym było X Plenum. Dlatego, że tam była bardzo ostra dyskusja „anty". Przeciwko porozumieniu była część aparatu, bardzo przeciwni byli OPZZ-etowcy. Rozumiem, to zagrażało ich interesom… Po mojej stronie był oczywiście Rakowski. A także niektórzy pierwsi sekretarze.

– *Kwaśniewski zawsze był po stronie zwolenników zmian?*

– Zdecydowanie!

– *Bo z Rakowskim bywało różnie…*

– Rakowski był zwolennikiem reform. Ale też rzucił powiedzenie, że ważny jest Okrągły Stół, lecz najważniejszy – suto zastawiony. Choć był człowiekiem o liberalnym podejściu. On pierwszy, ze strony środowisk PZPR, dał ważny głos, jeszcze w 1980 roku, w czasach Kani – szanujmy partnera. To był tytuł artykułu, który napisał. Potem w tym duchu się wypowiadał, że trzeba wykazać zrozumienie dla tych z drugiej strony, którzy mają prawo czuć się zagrożeni czy niepewni. Ale jak z nimi zaczął się spotykać, z tymi wszystkimi Słowikami, Rozpłochowskimi i tak dalej, to

przychodził do mnie roztrzęsiony. I mówił: jakbym miał karabin maszynowy, to bym ich wszystkich – drrrrr. Ale był oczywiście za porozumieniem, to był mądry człowiek przecież, choć czasami nerwowy.

– *Jak Kwaśniewski ruszał w roku 1995 w kampanię prezydencką – wierzył Pan w jego zwycięstwo?*

– Przede wszystkim widziałem, że Wałęsa był słabym prezydentem. Z różnych względów. Nie dorastał do tego stanowiska intelektualnie, brakowało mu wiedzy. Chociaż był energiczny, dynamiczny, wykorzystywał Falandysza, żeby różne kombinacje robił. I Wachowskiego. Więc mimo że był słabym prezydentem, zdecydował się startować po raz drugi. Pewnie tak jak każdemu, kto jest kandydatem, wszyscy bliscy mówili – startuj, startuj, wygrasz na pewno. Tak mówili Wałęsie, ale i Aleksandrowi też bliscy tak mówili, i być może nawet – ja; startuj, masz szansę. Wałęsa tę porażkę bardzo przeżył. I zawsze mówił – ten pan, gdyby nie ten pan, to byśmy byli zawsze dalej, ja bym załatwił… Bzdura!

– *A czy Pan wtedy wierzył, że Kwaśniewski wygra?*

– Miałem nadzieję. Traktowałem szanse Aleksandra z powagą, znając jego zdolności, intelekt, jego podejście do ludzi, a jednocześnie wiedząc, że Wałęsa jako prezydent już się trochę skompromitował, że krytykuje go nawet jego własne zaplecze. Gdy więc Aleksander wygrał – bardzo się ucieszyłem. Zwłaszcza że kampania wyborcza była bezwzględna. Zapamiętałem z niej wizytę Aleksandra na Śląsku, jak go wtedy brutalnie zaatakowano, rzucając w niego woreczkami z pyłem węglowym. On wtedy z klasą sobie z tym poradził.

– *A jak ocenia Pan samą prezydenturę Aleksandra Kwaśniewskiego? Porównywał ją Pan ze swoją?*

– Byłem dość sztywny w różnych kontaktach. I tych z trybuny, i tych bardziej osobistych. Aleksander natomiast ma dar otwarcia, poklepania po plecach… Brat łata! Z początku trochę mnie to raziło. Myślałem, że prezydent powinien zachować dostojeństwo, powagę. Obawiałem się, że to trochę rozcieńczy autorytet prezydenta. Ale potem, gdy okazało się, że to dobrze jest przyjmowane, zwłaszcza przez młodych ludzi, doszedłem do wniosku, że to on miał rację.

– *Nie obawiał się Pan, że Kwaśniewski na ten urząd jest za młody?*

– Nie. Aleksander dysponował wybitną inteligencją, miał też za sobą doświadczenie państwowe. Minister, potem *de facto* wicepremier, potem szef jednej z największych partii. On był w kierowniczej pracy

doświadczony. Początkowo wydawało mi się, że może za daleko idzie, ale potem przekonałem się, że to dobra droga. Że jego osobowość, poczucie humoru, rekompensują niedostatek powagi.

– Nie przeszkadzało Panu, kiedy ewoluował w stronę „nowych przyjaciół", że zapominał o SLD, o lewicy, i starał się mieć dobre kontakty z Unią Wolności?

– To jest bardziej plus niż minus, gdyż w ten sposób poszerzał pole swego oddziaływania na innych, na inne środowiska. A tym bardziej że chodziło o takich ludzi jak Geremek, jak Kuroń, jak Mazowiecki. Więc to nie było złe. W III Rzeczpospolitej ci ludzie jednak znaleźli z lewicą wspólny język, może nie do końca wspólny, ale nie byli krwiożerczy. Ja tego doświadczyłem ze strony Adama Michnika – oni rozumieli historyczny czas, jaki był kiedyś, jaki jest teraz, doceniali Okrągły Stół i drogę, którą trzeba było przejść. Przecież to była droga awangardowa, pionierska! Dopiero po nas się zaczęło – w Niemczech, na Węgrzech, w Czechosłowacji.

– Kwaśniewski umiał się posunąć, symbolem jest oddanie Bronisławowi Geremkowi przewodnictwa w sejmowej komisji spraw zagranicznych.

– Niepowodzeniem na tej drodze była porażka ugrupowania, na które bardzo liczył – Lewicy i Demokratów. To była trudna konstrukcja, zaszkodziły jej spory o miejsca na listach wyborczych. Siłą rzeczy, jeżeli na czele listy był przedstawiciel jednej partii, to dla przedstawicieli trzech innych mogło to być dosyć bolesne. Że nie oni, tylko ktoś inny… Posłowanie to bardzo intratna rzecz… Poza tym, Aleksander osobowościowo preferował takich ludzi jak Michnik – cenił jego poczucie humoru, błyskotliwość, inteligencję, najbardziej z nim się zbliżył. Ja również w ostatnich latach doceniam to, co Michnik robi. Nie ze wszystkim się zgadzam, ale niektóre jego publikacje są bardzo poważne i głębokie. Potencjał intelektualny jest w nich bardzo duży, i myślę, że Aleksandra to bardzo przyciągało. Że jest z mądrymi ludźmi.

– A jak ocenia Pan państwowe przywództwo, które pełnił, będąc przez dwie kadencje prezydentem?

– Jako polityka oceniam go bardzo wysoko, i w tym mieści się i ocena jego przywództwa. Jako człowieka – bardzo szanuję. Jak przyjaciela – bardzo cenię. Cenię sobie przyjaźń z nim, mimo że dzieli nas różnica pokoleń. Ale może dzięki temu pewne rzeczy widzę wyraźniej, myślę, że łatwiej mi z pewnego dystansu oceniać, tym bardziej że mam za sobą tyle różnych doświadczeń z różnymi ludźmi, wśród których właściwie tylko

on, i Mieczysław Rakowski, zostawili jakiś głębszy ślad w mojej pamięci i w mojej ocenie. Ale on jest po prostu fenomenem, tak bym powiedział. Jest fenomenem! W tamtych warunkach, po tym „sztandar wyprowadzić", jednak stanął na czele nowej partii, która, krok po kroku, uzyskiwała coraz mocniejszą pozycję. To na pewno świadczy o talencie przywódczym. Tego nie zrobi człowiek, który nie ma charyzmy, nie ma możliwości głębszego działania na ludzi. Do tego, jako człowiek – jest sympatyczny, inteligentny, z poczuciem humoru, sporą wiedzą, polityczną oczywiście. A cenię go jako przyjaciela, bo nasze drogi niejednokrotnie się zbiegały.

Od kiedy pamiętam Kwaśniewskiego, to my zawsze o polityce rozmawialiśmy…

Nie było tak źle… Rozmowa z Leszkiem Millerem

ROBERT WALENCIAK: Jest styczeń roku 1990, wiadomo, że PPZR musi paść, ale nie wiadomo, co z tego się wyłoni. Wtedy Pan i Aleksander Kwaśniewski zaangażowaliście się w budowę nowej partii. Było ryzyko?

LESZEK MILLER: Kwaśniewskiego znałem wcześniej, współpracowaliśmy w czasach PZPR, w czasach rządu Rakowskiego, współdziałaliśmy bardzo blisko. Poza tym, mieszkaliśmy w jednym domu, w jednym budynku, znaliśmy się dobrze. I razem zastanawialiśmy się, co się stanie po rozwiązaniu PZPR. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że powinna być utworzona nowa formacja, która jest w stanie działać w warunkach państwa demokratycznego, a nie autorytarnego. Nawet przeprowadziliśmy różne ankiety na temat jej nazwy, a także czołowego grona przywódczego… Jeśli chodzi o nazwę, to pamiętam, że w pewnym momencie dużą popularność miała SPP. Czyli Socjalistyczna Partia Polski, skrót trochę kojarzący się z PPS. Z tych ankiet personalnych także wynikało, że jest dwóch polityków, którzy dominują nad pozostałymi – Kwaśniewski i ja. Było do przewidzenia, że jeżeli to będzie partia socjaldemokratyczna, w której jest stanowisko przewodniczącego i sekretarza generalnego, to przewodniczącym będzie Kwaśniewski, a ja sekretarzem generalnym.

– *Nie chciał Pan wziąć wszystkiego?*

– Nie. Uważałem, że Kwaśniewski będzie lepiej wypełniał funkcję przewodniczącego, a ja lepiej funkcję sekretarza generalnego. I niewątpliwie dobrze się stało.

– *Dzisiaj politycy tak nie działają, biorą wszystko, co mogą.*

– No tak… Ale to było wtedy naturalne, że Kwaśniewski będzie się specjalizował w docieraniu do różnych sfer zewnętrznych, a ja będę

budował partię polityczną, czyli zajmował się głównie wnętrzem tej nowej formacji.

– Równocześnie wpisał się Pan w podział ról. On był tym dobrym, nowoczesnym i miłym, a Pan był tym betonem.

– Tak! I to nawet nie tylko z takiego sztucznego wyboru. Ja tak po prostu myślałem. Kwaśniewski uważał, że trzeba przekonywać nowe środowiska, a ja uważałem, że owszem, to trzeba robić, ale najważniejsze jest utrzymanie naszej części elektoratu pozytywnie ustosunkowanego do Polski Ludowej. I że nasza pozycja nie będzie wynikała z tego, ile zdobędziemy uznania wśród innych partii politycznych, tylko ile dostaniemy głosów.

– I Kwaśniewski też się z tym zgadzał?

– Tak. Były między nami pewne napięcia wynikające z niuansów, co w danym momencie jest ważniejsze, czy rzeczywiście orientacja na plebejskość, szukanie tam głosów, czy też pukanie do nowych formacji, wywodzących się z pnia solidarnościowego, takich jak na przykład Unia Demokratyczna. Aleksander Kwaśniewski zawsze był pod jej wrażeniem.

– Sądzę, że bez wzajemnej lojalności taka współpraca byłaby niemożliwa. To nie mogłoby funkcjonować. Nie ma siły – Kwaśniewski musiał jakąś wypowiedzią Pana zaskoczyć, i to nie raz, a Pan – jego. Bez wzajemnego zaufania taki układ nie przetrwałby nawet paru miesięcy.

– Tak to było, tym bardziej że wokół nas ukształtowały się pewne grupy. Te grupy były często bardzo antagonistycznie nastawione do siebie i chciały, żeby ten antagonizm dotyczył i mnie, i Kwaśniewskiego. Musieliśmy się przed tym jakoś bronić. Sprawdzać, jak jest. Ale bez napięć oczywiście się nie obyło. Było kilka takich momentów, gdzie występowały one z całą ostrością. Na przykład, kiedy była kampania wyborcza na prezydenta, w roku 1990. Uważałem wtedy, że jednak Kwaśniewski powinien startować, uważałem, że promocja jego postaci jest promocją partii. Myśmy w tamtym czasie mieli szalone problemy z dotarciem do mediów, byliśmy w tych mediach sekowani. Z kolei Kwaśniewski uważał, że jest za wcześnie na jego kandydowanie, i wysunął Cimoszewicza, z czym się nie zgadzałem. Ale muszę z perspektywy czasu przyznać, że to on miał w tej sprawie rację. Spróbowaliśmy tego wariantu, ale kilka lat później. Z sukcesem.

– Na czym polegała wzajemna lojalność?

– Uważałem, że w generalnych zasadach możemy mieć do siebie zaufanie. Natomiast w szczegółach, kwestiach taktycznych, na pewno

będziemy się różnić, bo te różnice wynikały z naszych życiorysów i z naszych doświadczeń, w innym widzeniu sceny politycznej. I tak często bywało. Ale generalnie rzecz biorąc, tam gdzie chodziło o interes całej formacji, o uzyskanie jak najlepszego wyniku, to harmonijnie współdziałaliśmy ze sobą.

– *Pomagała wam wasza stara znajomość, że razem coś zjedliście, wypiliście, Kwaśniewski coś ugotował…*

– Tak. Czasami wpadał do nas na kieliszek czegoś albo ja szedłem do nich na górę. Nasze rodziny się przyjaźniły, jak trzeba było, myśmy opiekowali się ich małą córeczką, dziś dorosłą kobietą, albo jego psem Sabą. To są takie imponderabilia, które wszakże mają swoją wagę.

– *Opiekowaliście się córeczką…*

– Jak Kwaśniewscy sprowadzili się do naszego bloku, to my już w nim mieszkaliśmy. I mieli małą dziewczynkę, Olę. To był dzidziuś. Czasami, jak oni gdzieś wychodzili, to albo Olek, albo Jola wpadała do nas i pytała, czy byśmy jej nie popilnowali. Oczywiście, tak! Moja żona tam chodziła, syn parę razy chodził i pilnował Oli.

– *Kwaśniewski w jednym z wywiadów opowiadał z kolei, jak wizytował Pana w Skierniewicach. On – młody minister, Pan – I sekretarz KW w Skierniewicach. Był u Pana w mieszkaniu i jedliście odgrzewaną kaszankę.*

– Tak! Był u mnie w domu, w bloku w Skierniewicach, na trzecim piętrze. Nikt nie chciał wierzyć, że tam mieszkam, wszyscy spodziewali się, że I sekretarz KW to musi mieć willę. A to było skromne mieszkanko w bloku. Ponieważ nie miałem nigdy wielkich wymagań kulinarnych, to jak Kwaśniewski przyjechał, miałem tylko wódkę i kaszankę. I my tę kaszankę odgrzewaliśmy.

– *Nie obawiał się Pan, że Kwaśniewski odskoczy? Bo miał propozycje…*

– Tak, i ja o tym słyszałem. Zresztą mi o tym mówił. Ale nie obawiałem się, że gdzieś pójdzie. Uważałem, że on ma świadomość, że gdyby poszedł do Unii Demokratycznej albo gdzieś indziej, byłby co najwyżej eksponatem, którym się można pochwalić, pokazać. I że ma świadomość, że za dużo by ryzykował i że aż tak nie zaryzykuje. On potwierdzał, że jest uwodzony, ale że ryzyko takiej wolty jest zbyt duże. Poza tym, on czuł się z nami związany, tu miał swoich kolegów, swoje kręgi towarzyskie, trudno tak wszystko zerwać, chociaż są ludzie, którzy tak robili.

– *Wasze kręgi towarzyskie to Smolna i Ordynacka, czyli dawne ZSMP i SZSP.*

– To były dwie liczące się grupy, o różnych doświadczeniach. Ci ze Smolnej uważali, że wykonują czarną robotę, że pracują najciężej, a ci z Ordynackiej bez przerwy balują, bawią się i tak dalej. Zresztą, jak wpadałem w irytację, to do Olka i jego kolegów używałem takiego argumentu. Mówiłem: wam się wydaje, że dalej jesteście w klubie studenckim, że dalej są panienki i wódeczka, a tu trzeba po prostu zap… Trzeba wyjść z tego klubu i wziąć się do roboty.

– *A oni co odpowiadali?*

– A tam, przesadzasz, wy tam na Smolnej zawsze coś... To tak było, że wokół Olka kręcili się głównie ci z Ordynackiej, a wokół mnie ci ze Smolnej. Przy czym to nie były jakieś relacje antagonistyczne. Nawet jak mieliśmy do siebie pretensje, to było takie – Olek, wyjdź z tego klubu studenckiego!

– *Do połowy lat 90. nie zawiódł się Pan na Kwaśniewskim ani on na Panu.*

– Nie. Najtrudniejszą szkołą był oczywiście moment, w którym obaj objęliśmy najważniejsze funkcje w państwie. Wtedy pojawiły się różne napięcia wynikające z usytuowania urzędu premiera i prezydenta. Ale myślę, że nawet wtedy nie było tak źle, jak mogłoby być, gdyby nie było tej wspólnej przeszłości.

– *Na ile lojalność jest ważna w polityce?*

– Jest oczywiście ważna, dobrze jest, jeżeli jest gwarancja, a w każdym razie poważna szansa, że jeżeli się do czegoś zobowiążemy czy umówimy, to zostanie to zrealizowane. Że nagle nie staniemy w obliczu jakiegoś gwałtownego zwrotu naszych partnerów. To jest ważne, ale w polityce jest o to bardzo trudno. Jak się rozprawia o przyjaźni w polityce, to po tych wszystkich doświadczeniach mógłbym powiedzieć, że jest przyjaźń osobista i przyjaźń polityczna. Ta polityczna głównie polega na interesach. Jeśli jest jeszcze osobista, to na pewno jest twardsza. Trudno o przyjaźń w polityce, natomiast łatwo o interesy.

– *Nie żal Panu tego, że gdybyście nie poszli w politykę, to byłoby tak jak kiedyś, trochę beztrosko, przyjemnie…*

– No tak, ale od kiedy pamiętam Kwaśniewskiego, to my zawsze o polityce rozmawialiśmy…

– Miał Pan świadomość, że jak idziecie razem, to jesteście mocniejsi? Że to daje siłę?

– Niewątpliwie. Nawet jak czytam teraz i opracowania, i ciekawe książki, ta myśl się pojawia. Na przykład Robert Krasowski napisał, że fenomen przywództwa lewicowego polega na występowaniu Kwaśniewskiego i Millera łącznie. Że jeżeli oni idą oddzielnie, to nie ma tego fenomenu. Coś w tym jest.

– A byli tacy, co chcieli wam się wepchnąć między wódkę a zakąskę?

– Oczywiście, że tak. Zawsze problem jest tych dworów. Partia zdobywa władzę i te dwory zyskują na znaczniku. I mają to do siebie, że pchają do wojny. Szepczą, chcą być ważne… Tak się kiedyś zastanawiałem, czy to również zdarzyłoby się w sytuacji, kiedy Lech był prezydentem, a Jarosław premierem. I doszedłem do wniosku, że gdyby nie smoleńska tragedia, to prędzej czy później oni musieliby stanąć naprzeciw siebie.

– Znaczące jest, jak Jarosław potraktował dwór Lecha, czyli pracowników jego Kancelarii.

– Oczywiście…

– Polityk musi mieć świadomość, że każdy przychodzi do niego, żeby załatwić jakiś interes. Obgadać kogoś. Ma Pan metodę na takich podpowiadaczy?

– To, że do polityków przychodzą ludzie z rozmaitymi pomysłami, często z jakąś autokreacją, którą chcą zainteresować, jest normalne. Natomiast zawsze nieufnie odnosiłem się do tych, którzy przychodzili po to, żeby mnie na kogoś napuścić. Zawsze zadawałem sobie wtedy pytanie: jakie są prawdziwe intencje? Starałem się takie informacje weryfikować, nie słuchać jednej opinii, dotrzeć do innych. I często przekonywałem się, że łatwy dostęp do szefa powoduje, że używa się szefa instrumentalnie przeciwko komuś. Każdy szef musi być na to uwrażliwiony. Żeby nie dać sobą manipulować.

– Ten okres 1989–1990… Walił wam się świat! Nie bał się Pan, że zostanie Pan na lodzie?

– W taki dojmujący sposób zrozumiałem, co nam może grozić po utworzeniu rządu Mazowieckiego. Do tego momentu wszystko wydawało się normalne, był rząd Rakowskiego, potem była misja tworzenia rządu realizowana przez Kiszczaka. Ale kiedy został utworzony rząd Mazowieckiego, przyszła dojmująca świadomość, że to już naprawdę wszystko

będzie inaczej. Że stare systemy już nie działają. Że ta nasza wielka partia PZPR znaczy tylko tyle, ilu ma mandatariuszy w Sejmie. W dodatku jeszcze ten klub pezetpeerowski rozsypywał się, jego kierownictwo miało ambicje, żeby pokazać, że klub jest najważniejszy, a nie tam partia. Takie więc miałem odczucia, że być może to jest koniec pewnej epoki, i także koniec mojego życia politycznego. I dopiero kiedy projekt nowej partii politycznej zaczął się krystalizować, kiedy opracowaliśmy precyzyjnie scenariusz wyboru delegatów na ostatni zjazd PZPR, a to był pierwszy demokratyczny wybór delegatów, wiedzieliśmy, jak to przebiegnie, jak już było to wszystko rozrysowane, to pomyślałem sobie, że to jest projekt, który może się udać. Wprawdzie Rakowski nas straszył, że do władzy to wy chłopcy wrócicie być może za dwadzieścia lat, ale ja czułem, że to może być szybciej. Dlatego, że jeździłem po Polsce, i czułem nastroje, widziałem, jak szybko narasta irytacja w stosunku do obozu solidarnościowego.

– *Ten okres wysunął Pana na czoło liderów lewicy. Pamięta Pan ten moment? Że był Pan w drugim, trzecim szeregu, i nagle – jest na czele.*

– W tamtym czasie i ja, i Kwaśniewski mieliśmy takie poczucie, że byliśmy ważnymi ludźmi tamtej rzeczywistości. No, ale zawsze ktoś jeszcze był, na kogo się patrzyło – Jaruzelski, Kiszczak, Rakowski, A jak wyszliśmy z Sali Kongresowej, z projektem SdRP, to sobie uświadomiłem, że już nikogo nie ma. Że to inni na nas patrzą. A my już nie mamy na kogo.

– *I jakie to uczucie?*

– Z jednej strony taka pewność co do projektu, ale z drugiej mnóstwo obaw, jak to będzie. Średnio to wyglądało. Pamiętam, jak zaraz po utworzeniu SdRP i po zakończeniu zjazdu pojechałem na spotkanie do Kielc. No i spotkaliśmy się w jakiejś bibliotece, i przyszło dwanaście, może piętnaście osób. Pomyślałem sobie wtedy, że może być trudniej, niż się wydaje.

– *I takie trudne czasy was zbudowały…*

– To był dla nas ważny czas. Nie tylko zresztą my byliśmy w tym miejscu sceny. Pojawił się Fiszbach ze swoją inicjatywą, było też coś bardziej od nas na lewo. Mieliśmy problem w Sejmie, dlatego że tylko piętnastu czy szesnastu posłów przystąpiło do SdRP. Co więcej, oni byli sekowani przez swoich kolegów.

– *W jaki sposób?*

– Jak się spotykał ten duży klub, on się nazywał PKLD, czyli Parlamentarny Klub Lewicy Demokratycznej, to ci z SdRP byli wypraszani.

Więc przychodzili do nas na Rozbrat, i mieli miny nietęgie. My zresztą też. Poza tym, ani ja, ani Kwaśniewski nie byliśmy w sejmie, więc mieliśmy pozycję słabą. Liczyli się ci, którzy byli posłami, więc musieliśmy się bardzo ostrożnie obchodzić z tą naszą grupą, żeby ich nie urazić i żeby oni nie kwestionowali naszego przywództwa. Czekaliśmy na najbliższe wybory, licząc na to, że dostaniemy się do Sejmu i że to się wszystko ułoży. I tak się stało. Wszystko się ułożyło.

Raz do roku w Białym Domu

Rozmowa z Włodzimierzem Cimoszewiczem

ROBERT WALENCIAK: Jako minister spraw zagranicznych nie czuł Pan dyskomfortu, że prezydent jest nadaktywny w polityce zagranicznej i wchodzi Panu w drogę?

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ: Absolutnie nie! To był zupełnie wyjątkowy przykład, na przestrzeni ostatnich 25 lat, znakomitego, lojalnego współdziałania prezydenta z rządem. Tak było wtedy, kiedy byłem premierem, tak było wtedy, kiedy byłem ministrem spraw zagranicznych. W czasie oficjalnych rozmów prezydenta Kwaśniewskiego z głowami innych państw, rozmów, w których mu towarzyszyłem jako minister spraw zagranicznych, Kwaśniewski potrafił powiedzieć, gdy pojawiał się temat nieopracowany w materiałach MSZ-etowskich, dostarczonych mu przed takim spotkaniem, że woli się w tej kwestii nie wypowiadać, woli, żeby zrobił to przedstawiciel rządu. Podkreślał w ten sposób, wobec obcego prezydenta, że w Polsce to rząd jest odpowiedzialny za politykę zagraniczną! Że on, prezydent, uczestniczy w opracowywaniu tej polityki, ale nie jest jej twórcą.

– Przecież pełno go było w sprawach międzynarodowych!

– Z Kwaśniewskim było tak, że ukształtował się polityczny obyczaj dotyczący pewnego naturalnego wyspecjalizowania się prezydenta w sprawach związanych z bezpieczeństwem narodowym, z funkcjonowaniem NATO. Bez protestów przejął rolę tego, który reprezentuje nasz kraj na szczytach sojuszu północnoatlantyckiego. To, oczywiście, znajdowało podstawy konstytucyjne związane z kompetencjami prezydenta w tej dziedzinie. Ale nie znam ani jednego przypadku, by prezydent z własnej inicjatywy w kontaktach międzynarodowych głosił coś, co nie odpowiadałoby założeniom polskiej polityki zagranicznej przyjętych przez rząd. Z tego punktu widzenia był absolutnie lojalny, i w związku z tym był oczywiście

atutem naszej polityki zagranicznej. Także ze względu na łatwość nawiązywania kontaktów, ze względu na znajomość języków. Znamy go z polityki krajowej, jak łatwo zdobywał popularność, i w podobny sposób zdobywał popularność w świecie.

– *Mógł to Pan naocznie obserwować…*

– Bardzo blisko współdziałaliśmy, często towarzyszyłem mu w wizytach zagranicznych, zwłaszcza tych o dużym stopniu protokolarności. Zawsze jeździłem z nim do Waszyngtonu na spotkania z prezydentem Bushem. Do dziś wspominam te wizyty, one miały swój scenariusz. W trakcie oficjalnych rozmów wszystko było absolutnie profesjonalnie omówione, role rozpisane i tak dalej. Ale przy okazji mniej formalnych punktów, typu kolacja… Trzeba wiedzieć, że uroczysta kolacja jest oficjalna do momentu wygłoszenia przemówień przewidzianych na wieczór, a potem jest swobodna rozmowa. I Kwaśniewski, wiedząc o moich rozmaitych pasjach osobistych, ale wiedząc też, jaki towar przy tego typu okazjach łatwo jest atrakcyjnie sprzedać, czasami mówił tak... Pamiętam kolację na dworze królewskim w Norwegii. Siedzieliśmy otoczeni rodziną królewską, a nagle Kwaśniewski mówi, że pewnie jeszcze nie zdajecie sobie sprawy, że ten oto minister spraw zagranicznych jest chyba jedynym ministrem na świecie, który mieszka w środku lasu. No i oczywiście w ten sposób wypuszczał mnie do mówienia o Puszczy Białowieskiej, o żubrach i tak dalej. Co zawsze robiłem z przyjemnością. A ci monarchowie i ich pociotki słuchali tego wszystkiego z nieukrywanym zainteresowaniem. Modne jest w tych środowiskach zainteresowanie przyrodą, sprawami ekologii.

– *Jak Aleksander Kwaśniewski był postrzegany przez świat? Początki miał trudne, była bariera nieufności, pokonał przecież w wyborach legendę „Solidarności", noblistę, Lecha Wałęsę!*

– Na początku nie miał łatwo. Trochę pomagał mu fakt, że Polska zaskoczyła świat dwa lata wcześniej, kiedy w 1993 roku SLD wygrał wybory. Wtedy zastanawiano się, czy komuna wróci, czy nie. Kiedy pokazaliśmy, jako rządzący państwem, że jesteśmy demokratami zorientowanymi na zachodnie alianse, że jesteśmy w tym konsekwentni – zyskaliśmy wiarygodność. Z tego punktu widzenia Kwaśniewski był jednym z tej ekipy. Oczywiście, dla świata było zdumiewające, że pokonał Wałęsę. Większość ludzi myśli w kategoriach pewnych schematów, stereotypów, nie znają dokładnie szczegółów… Dla kogoś z Zachodu Wałęsa był kimś, skąd więc ten człowiek miał wiedzieć, że pół roku przed wyborami miał sześć procent

poparcia? Zwycięstwo Kwaśniewskiego było zaskoczeniem, ale potrafił bardzo szybko sobie z tym poradzić.

– *Jak postrzegali go zagraniczni partnerzy? Co o nim myśleli?*

– Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć, co o nim myśleli. Mogę tylko oceniać, na podstawie ich zachowania… Otóż, nigdy nie dostrzegłem czegokolwiek, co mogłoby oznaczać jakieś lekceważenie i tak dalej… W gruncie rzeczy z tych dziesiątek czy setek spotkań międzynarodowych, w których razem braliśmy udział, zapamiętałem tylko jedno, które było rodzajem zgrzytu i które mogło wynikać z jednej strony z takiego właśnie niezbyt poważnego traktowania Polski i prezydenta Rzeczpospolitej, a z drugiej strony z dosyć, powiedziałbym, nawet obcesowej reakcji Aleksandra.

– *Które spotkanie ma pan na myśli?*

– Myślę o wizycie w Paryżu, u prezydenta Jacquesa Chiraca, w 2002 roku, przed zakończeniem negocjacji akcesyjnych w Kopenhadze, I Aleksander Kwaśniewski, i Leszek Miller jeździli w tamtym czasie po stolicach europejskich, żeby próbować przygotować naszych partnerów do tego, że my będziemy jeszcze oczekiwali poprawienia warunków naszego członkostwa. Jednemu i drugiemu towarzyszyłem w tych wizytach. I z Aleksandrem Kwaśniewskim udaliśmy się do prezydenta Francji. Chirac zaprosił nasze niewielkie grono, było nas może trzech–czterech w tej delegacji, byli też jego współpracownicy, do swojego osobistego gabinetu, i tam zaczął rozmowę. Zaczął ją od takiej przydługiej perory na temat trudnej sytuacji finansowej Francji i całej ówczesnej Unii Europejskiej. Oczywiście, my już po pięciu minutach wiedzieliśmy, że przyjechaliśmy po nic. Skoro jest tak trudno… Potem było to już tylko irytujące, gdyż Chirac, który miał ewidentnie narcystyczne skłonności, chyba był jedynym człowiekiem w tym gabinecie zadowolonym z siebie i ze swoich słów. To trwało irytująco długo.

– *On tokował, a pozostali patrzyli w sufit…*

– W pewnym momencie Kwaśniewski przerwał mu, właściwie bezceremonialnie, klepnął go w kolano i powiedział: pozwól Jacques, że ci opowiem dowcip. Samo przerwanie wielkiemu prezydentowi wielkiej Francji jego perory było zaskakujące. A potem Kwaśniewski zaczął opowiadać dowcip z czasów Związku Radzieckiego o Czukczy, który zgubił żonę w GUM-ie w Moskwie. I trzeba było tłumaczyć Francuzom, co to jest Czukcza, co to jest GUM, na placu Czerwonym zwłaszcza w czasach

radzieckich… Po to, żeby dojść do takiego wniosku, że ten Czukcza, który zgubił żonę, i najpierw błagał milicjanta o pomoc w poszukiwaniu, a potem, na pytanie milicjanta, podawał jej rysopis, i w pewnym momencie doszedł do wniosku, że może jej nie warto szukać… Kwaśniewski to opowiedział, spojrzał na Chiraca i zakończył: wiesz, Jacques, jeżeli jest wam tak trudno, to może nie przyjmujcie nas, może nie poszerzajcie Unii Europejskiej…

– *Chiracowi pewnie szczęka opadła…*

– W moim przekonaniu, Kwaśniewski miał rację, bo skarcił tego bezmyślnego i niezbyt taktownego Chiraca. Ale z drugiej strony, o tyle nie miał racji, że jednak byliśmy zależni, że to my byliśmy w roli tego, który peregrynuje z wyciągniętą ręką. I mam taką własną teorię, że kiedy parę tygodni później Jacques Chirac złośliwie powiedział o Europie Środkowej, która przegapiła okazję, by siedzieć cicho, to był to jego rewanż właśnie za to, o czym przed chwilą opowiedziałem. A co było nieznane opinii publicznej. Ale to jest jedyny przypadek, kiedy w mojej obecności głowa obcego państwa w sposób bezmyślny, nieco lekceważąco odnosiła się do prezydenta Polski. Pamiętam naprawdę liczne spotkania, z najważniejszymi ludźmi tego świata, i z Bushem, i Hi Jintao, dwa razy, raz w Petersburgu, z okazji trzystulecia tego miasta, a potem już w Warszawie. Te liczne spotkania w Białym Domu były zupełnie niezwykłe, zwłaszcza na tle tego, co się później działo i co się dziś dzieje. Nie chcę nikomu dokuczać czy docinać, ale stosunki polsko-amerykańskie sprzed dziesięciu lat, a stosunki polsko-amerykańskie za prezydentury Lecha Kaczyńskiego i, niestety, Bronisława Komorowskiego, to są zupełnie inne historie.

– *Uwiódł Kwaśniewski tego Busha…*

– To był zbieg wielu okoliczności. Bush, może to zabrzmieć trochę zaskakująco – dwukrotny prezydent Stanów Zjednoczonych, wcześniej dwukrotnie wygrał wybory na gubernatora Teksasu, czyli szalenie doświadczony polityk – miał jednak pewne cechy amatora. Był szalenie emocjonalny, bardzo osobiście traktował rozmaite kwestie. Nie zapomnę jego wielkiego osobistego żalu do Schrödera za antyamerykańskie elementy retoryki w kampanii wyborczej przed wyborami w Niemczech. I w gruncie rzeczy nigdy mu tego nie wybaczył. Więc można było dotrzeć do Busha jako zwykłego człowieka. Przypuszczam zresztą, że on wręcz potrzebował takiej koleżeńskości, serdeczności we wzajemnych kontaktach. Po drugie, nieszczęście 11 września 2001 roku, a to był pierwszy rok jego

prezydentury, sprawiło, że był podwójnie wdzięczny wszystkim, którzy z Ameryką się solidaryzowali.

– *Polska i Kwaśniewski byli w tym prymusami…*

– Jedną z pierwszych reakcji na zamach, była inicjatywa Aleksandra Kwaśniewskiego, który zorganizował w Warszawie euroazjatycką konferencję w sprawie zwalczania międzynarodowego terroryzmu. Bush nie mógł na nią przyjechać, ale mieliśmy zapewnioną teletransmisję, bezpośrednią łączność, poza tym przyjechało kilkudziesięciu prezydentów i premierów z Europy i Azji. Konferencja spotkała się z bardzo pozytywną reakcją. Kolejnym ważnym gestem było nasze poparcie Amerykanów w sprawie Iraku. Nie była to łatwa dla nas decyzja, nie tylko ze względu na konsekwencje wewnętrzne, ale i ze względu na sytuację w Europie. Przecież wiedzieliśmy, że robimy to w konfrontacji z Francją i z Niemcami, a właśnie kończyliśmy negocjacje akcesyjne, byliśmy na początku ostatniego etapu do członkostwa w Unii Europejskiej. To musiało być docenione w Waszyngtonie, i to wpływało na sposób, w jaki nas traktowano.

– *Odczuwaliście to?*

– Stało się pewnym obyczajem, że raz do roku w Białym Domu odbywa się spotkanie Bush–Kwaśniewski. Przy czym, były to spotkania o szczególnej formule, bo z reguły składały się z dwóch części – mniej więcej godzinnego spotkania oficjalnego prezydentów z delegacjami oraz roboczego lunchu, który potrafił trwać dwie, dwie i pół godziny. W związku z tym wręcz pół dnia spędzaliśmy ze sobą, bardzo dużo rozmawiając. Fakt, że nie potrzebowaliśmy tłumaczy, że można było bezpośrednio rozmawiać, że można było przeplatać rzeczy najważniejsze z anegdotą, z dowcipem, to wszystko tworzyło szczególny klimat. Jedna z wizyt Aleksandra Kwaśniewskiego w USA miała tak zwany charakter państwowy, *state visit*. W ciągu ośmiu lat prezydentury Busha tylko dwóch obcych prezydentów było tak przyjętych! Prezydent Meksyku Fox i Kwaśniewski, czyli prezydent kraju sąsiedniego, i prezydent z Europy Środkowej. Byłem tam, widziałem to. Było oficjalne przyjęcie w ogrodach Białego Domu, tysiące ludzi, salwy armatnie, i tak dalej, ceremoniał naprawdę od wielkiego dzwonu. To były gesty niezwykłe.

– *Było ich więcej?*

– Wielka Brytania, pierwszy tydzień maja 2004 roku. Staliśmy się właśnie członkiem Unii Europejskiej, pierwszego maja, i Brytyjczykom niezwykle zależało na tym, żeby prezydent Polski pierwszą swą wizytę złożył

w Londynie. I znowu – odbyła się oficjalna państwowa wizyta, z ogromnym ceremoniałem, z udziałem rodziny królewskiej. Polska była wyniesiona na protokolarne szczyty! I nie chodziło tu o protokół, o to, jak myśmy się czuli. Lecz chodziło o demonstrację przyjaźni, wsparcia, bycia razem, poczucia wspólnoty.

– *Szacunku?*

– Oczywiście! W Wielkiej Brytanii stosuje się rygorystyczne zasady dotyczące częstotliwości kontaktów z głowami obcych państw.

– *Pula oficjalnych wizyt jest dla nielicznych…*

– I w niej był polski prezydent. Nawiasem mówiąc, do dziś mile wspominam pierwszą wizytę królowej brytyjskiej w Polsce, wtedy byłem premierem. Wówczas prezydent Kwaśniewski i ja zostaliśmy uprzedzeni przez protokół, że w trakcie bezpośredniej rozmowy z królową nie powinniśmy rozmawiać o polityce. Mieliśmy lunch w Pałacu na Wodzie w Łazienkach, przy stoliku siedzieliśmy we troje, królowa i my dwaj. I obaj w gruncie rzeczy byliśmy trochę zakłopotani, jako ludzie przyzwyczajeni do rozmawiania wyłącznie o polityce, i zastanawialiśmy się, o czym rozmawiać. Na szczęście, królowa sama rozwiązała ten problem, zaczynając rozmowę o polityce, więc my się z chęcią do tego przyłączyliśmy…

– *Aleksander Kwaśniewski na pewno może liczyć na opinię jednego z najciekawszych rozmówców w gronie polityków, ale do historii przejdzie za sprawą swych misji na Ukrainie…*

– Jego fiksacja na tle Ukrainy, przecież nie osobista, tylko związana z pewną koncepcją polityczną, początkowo mogła być lekko irytująca. Aż przyszedł rok 2004 i nikt nie wiedział, co zrobić z Ukrainą, a polski prezydent wiedział, i potrafił przekonać Kuczmę, żeby nie zastosował brutalnej siły do rozpędzenia manifestantów w Kijowie.

– *Jak to zrobił?*

– Zaproponował, żeby Sąd Najwyższy Ukrainy ocenił uczciwość wyborów prezydenckich. I ten Sąd Najwyższy stwierdził, że wybory były sfałszowane. To był rekord świata! Graliśmy wtedy solidarnie w pewnym zespole, ale ewidentnie szczególną rolę odgrywał w nim Aleksander. Nie chcę sprowadzać tego trywialnie do jakichś rozgrywek z kimkolwiek, ale prawdą jest, chociaż się z tym nie obnosiliśmy, bo mądrość w takich przypadkach nakazuje milczenie, że wtedy w Kijowie, w meczu Polska–Rosja było 1:0. To oczywiste. To miało swoje znaczenie, to budowało prestiż, szacunek i tak dalej.

– Patrząc na aktywność Polski na arenie międzynarodowej w czasach Aleksandra Kwaśniewskiego, i jej potencjał, odnoszę wrażenie, że była nadreprezentowana… Odgrywała większą rolę, niż upoważniał ją potencjał.

– Zdecydowanie tak. Miałem świadomość, w czasach kiedy byłem szefem MSZ, że w związku z 9/11, w związku z Irakiem, w związku z Ukrainą, z wstępowaniem do UE, z rozmaitymi naszymi inicjatywami – przecież proponowaliśmy reformę ONZ, mieliśmy inicjatywę dotyczącą nieproliferacji broni masowego rażenia – że my tak naprawdę byliśmy co najmniej o jeden szczebel ponad nasz potencjał. Ale to jest pewna sztuka – jak potrafi się wylicytować i potem ugrać oczko powyżej tego, co ma się w kartach. To świadczy o klasie.

– A w polityce wewnętrznej? Było trudniej…

– No tak… Ale na pewno doceniana była jego skłonność do wprowadzania dobrych obyczajów, do porozumiewania się. Dlaczego ludzie tak go szanowali? Dlaczego cieszył się popularnością, zaufaniem? Bo to widziano.

– To wyróżniało go na tle innych, zwłaszcza tych z prawicy…

– Pamiętam, jak rząd Buzka poszedł do prezydenta na zaprzysiężenie, i niektórzy mianowani ministrowie odwracali głowę od prezydenta, od którego przyjmowali nominację. A później demonstracyjnie nie chcieli przyjść na posiedzenie Rady Gabinetowej. To ludzie widzieli! Widzieli, kto tutaj jest w porządku, a kto jest bucem. Na tym Kwaśniewski zyskiwał. On poniósł też sporo porażek dlatego, że te dobre obyczaje nie były przez innych akceptowane.

– Więc warto było ich się trzymać?

– Warto. Przypomnę, że w 1991 roku byliśmy drugą partią w wyborach, tuż za Unią Demokratyczną, różnica wynosiła setne procenta. Praktycznie mieliśmy ten sam wynik. Byłem wówczas oficjalnym kandydatem SLD na funkcję wicemarszałka Sejmu, i zostałem utrącony w głosowaniu! Nie respektowano prawa drugiego co do wielkości klubu parlamentarnego, żeby był reprezentowany w prezydium Sejmu. Dwa lata później, kiedy wygraliśmy wybory, zaproponowaliśmy, żeby wszystkie kluby miały swych przedstawicieli w prezydium Sejmu i żeby komisje podzielić proporcjonalnie. I przewodniczącym komisji spraw zagranicznych został Bronisław Geremek. Uszanowaliśmy jego osobiste kompetencje. Był też w tym pewien zamysł, sygnał wobec partnerów zagranicznych.

– W 1997 roku wszystko wróciło znów do „normy"…

– W 1997 roku nasze propozycje poszły w las. Ale byliśmy świadkami uczciwej ze strony Kwaśniewskiego koabitacji. I z premierem, i z szefem MSZ. Nie było kłótni. Czy słyszał pan, żeby prezydent Kwaśniewski kłócił się z premierem Buzkiem o miejsce w samolocie? Czy coś takiego lub podobnego miało miejsce? To jakby inna klasa, inny poziom, inne reguły, inny obyczaj. To należy cenić.

– Polacy to doceniają. W sondażach na najlepszego prezydenta III RP Aleksander Kwaśniewski jest na pierwszym miejscu.

– Mimo że rozmawiamy w związku ze szczególną publikacją, związaną z okrągłymi urodzinami Aleksandra i wypada tutaj mówić wyłącznie w samych superlatywach, to mogę powiedzieć – nie był idealnym prezydentem. Oczywiście, że nie był. Niestety, i on, i my pewnie, z zażenowaniem przypominamy sobie niektóre wydarzenia z okresu jego prezydentury. Ale przynajmniej w dwóch szalenie ważnych kwestiach był świetny, i jak do tej pory najlepszy – gdy chodzi o stosunki wewnętrzne, konsekwentnie próbował łączyć. Gdy chodzi o sprawy międzynarodowe, był znakomitym reprezentantem naszego kraju. Aktywnym, profesjonalnym, niekłótliwym, koncyliacyjnym, a kiedy trzeba – twardym. To był niezwykle szczęśliwy traf dla naszego kraju, że właśnie Aleksander Kwaśniewski był przez dziesięć lat prezydentem.

Świat go nie peszy

Rozmowa z Józefem Oleksym

ROBERT WALENCIAK: Kiedy Pan poznał Aleksandra Kwaśniewskiego?

JÓZEF OLEKSY: O, dawno! Poznałem go w Gdańsku. Kiedy był szefem rady okręgowej ZSP. Był inteligentny i bardzo energiczny. Wpadł mi w oko, muszę powiedzieć… Gdzieś na jakiejś naradzie bardzo mądrze mówił. Potem z Tadeuszem Sawicem, który był wtedy szefem SZPS, szukaliśmy nowego naczelnego „Itd". No i Kwaśniewski, naszym zdaniem, na to stanowisko pasował. Przyszedł na krótko do wydziału kultury, szybko został naczelnym „Itd", w stanie wojennym „Itd" ratował, a potem objął redakcję „Sztandaru Młodych".

– Gdy przychodził na Ordynacką, Pan wtedy był już mocno ustawiony…

– Byłem w prezydium! Byłem szefem Ogólnopolskiego Ruchu Młodej Kadry Naukowej, który sam stworzyłem. A on był taki młodziutki, polubiliśmy się od razu. Pomagałem mu załatwić mieszkanie. Z Ordynackiej przeszedłem do KC. A on się rozwijał w SZSP. Bo to jest dziecko Związku Studentów.

– Po „Sztandarze Młodych" został ministrem...

– Był ministrem do spraw sportu w rządzie Messnera. Wszyscy go bardzo lubili, był komunikatywny, dynamiczny. A potem w rządzie Rakowskiego został szefem Komitetu Społecznego Rady Ministrów.

– A Pan z Białej Podlaskiej, ze stanowiska sekretarza KW, wrócił do Warszawy…

– Jak się zaczął Okrągły Stół, szukano kogoś do współpracy z „Solidarnością" w imieniu rządu. Było wiadomo, że administracja była przeciwko. Wtedy Rakowski zadzwonił do mnie, do Białej Podlaskiej: słuchaj, czy byś przeszedł? Ja na to – oczywiście! I tak zostałem ministrem-

-członkiem Rady Ministrów. Wiem, że tej decyzji sprzyjali Aleksander Kwaśniewski, jak i Jerzy Koźmiński, późniejszy ambasador Polski w USA.

– *Ministrem do spraw kontaktów ze związkami zawodowymi…*

– Wszedłem w Okrągły Stół, w obrady, w zespole Mazowieckiego i Kwaśniewskiego – to był ten główny zespół, od restytucji związku. Dzięki temu poznałem grono liderskie „Solidarności", z Wałęsą na czele. Od tego momentu rozpoczęła się moja wspólna droga z Kwaśniewskim.

– *Jak się Panu pracowało przy Okrągłym Stole?*

– To pasjonująca przygoda być uczestnikiem przełomu dziejów. Później powołano Komitet Porozumiewawczy Okrągłego Stołu, a ten zaś wyłonił Grupę Interwencyjną, która obradowała u mnie w gabinecie. Byli w niej między innymi Andrzej Gdula, Aleksander Kwaśniewski, a po tamtej stronie Lech Kaczyński, Aleksander Paszyński, Adam Michnik… Była całkiem dobra komunikacja. Załatwiłem między innymi papier dla „Wyborczej", siedzibę dla Wałęsy w Gdańsku, bo duża część administracji nie była przychylna ustaleniom Okrągłego Stołu. Tak to się rozkręcało.

– *Pan obok Kwaśniewskiego…*

– Aleksander wprowadził mnie do specyficznego grona – u niego miałem okazję spotykać się z Geremkiem, Michnikiem, Lityńskim. Aleksander potrafił nawiązać kontakt z tymi środowiskami. Bez niego nie miałbym okazji tych ludzi poznać. Bo Okrągły Stół nie był towarzyską okazją. A u Kwaśniewskiego były bardzo ciekawe dyskusje. Byliśmy bardzo blisko, tak dalece, że przy rozwiązywaniu Okrągłego Stołu mieliśmy jednakowe poglądy.

– *Podobno początkowo nie chciał Pan angażować się w SdRP…*

– To był czas, kiedy chciałem sobie dać spokój z polityką. I powiedziałem to Kwaśniewskiemu. Wzburzył się: jak ty nie idziesz, to ja też nie idę! Nie wierzyłem mu, ale tak powiedział. Mówiłem mu, że poszukam nowej drogi. Sytuacja dla lewicy była wtedy smutna, bez jasnej przyszłości. Byłem już po doktoracie, mogłem iść do przodu, naukowo, za granicą. Ale on i tak wstawił mnie do składu Rady Naczelnej nowej partii. Podyktował sześćdziesiąt nazwisk, i mnie tam wpisał! Wróciłem z miasta, patrzę, jestem w Radzie Naczelnej! I co miałem robić?

– *Iść do przodu…*

– Byłem w prezydium. Lekko poróżniliśmy się o tak zwane pieniądze moskiewskie i o pieniądze po PZPR. To nigdy nie wyszło na zewnątrz.

Byłem szefem kontroli w PZPR, więc się denerwowałem, wiedząc, jak to szybko topniało.

– *Wierzył Pan, że się uda tak szybko odbudować i wrócić do władzy?*

– Myśmy we trójkę, Kwaśniewski, Miller i ja, powiedzieli na początku: nieważne, kto jaką funkcję pełnił. Naszym zadaniem jest przeprowadzić idee lewicowe, społeczne, z Polski niedemokratycznej do Polski demokratycznej. I nam się udało. Nie miałem jakiegoś nastroju „eschatologicznego", jeśli chodzi o SdRP. Czułem nowe. Wiedziałem, że jest beznadzieja. Miałem prawidłowe oceny przeszłości, nie nosiłem garbu winy, że byłem w PZPR, że PZPR rządziła, że był PRL… Natomiast, czy wierzyłem? Wierzyłem, że jakaś lewica musi się ukonstytuować. Trochę liczyłem na to, że ona będzie mieszana. Że Fiszbach coś zrobi, że Bugaj coś zrobi, z nimi byłem w kontakcie. Cimoszewicz mnie zawiódł.

– *Naprawdę?*

– Bo niczego nie wprowadził. Cimoszewicz na początku w Parlamentarnym Klubie Lewicy Demokratycznej miał rolę wiodącą, z Orzechowskim i Fiszbachem. Mnie powołali na szefa zespołu politycznego wewnątrz klubu, ważne nazwiska tam były. I myśmy mieli zamiar, na bazie PKLD, powołać nową partię. Wówczas jeszcze PZPR istniała. Pamiętam, że Rakowski z Millerem wezwali nas na przesłuchanie, na Biuro Polityczne. A ja im tłumaczyłem, że szukamy ścieżki, bo nie znamy pomysłu Biura Politycznego PZPR na dalsze życie lewicy.

– *Wiedzieliście, że z PZPR już koniec?*

– Każdy widział, że to już się nie odbije, że musi być nowy ruch. Biuro już było zamknięte w swoim gronie. Życie polityczne toczyło się w PKLD. A gdy powstała SdRP, to dopiero pojawiły się problemy! W wielkim klubie LD było tylko szesnastu członków SdRP! Cimoszewicz nas traktował jak zapowietrzonych. Reszta też. Byliśmy mniejszością. Trzeba było odwagi, żeby być w kole SdRP w dużym klubie, który miał ambicje polityczne. Bo mieli – i Fiszbach, i Cimoszewicz, i Pol, i Ziółkowska… Tak to się toczyło w tym Sejmie kontraktowym.

– *I przyszły wybory roku 1993…*

– One w nas tchnęły nowego ducha. Myśmy sobie w żadnych snach nie mogli wyobrażać, że możemy zdobyć trzysta sześć mandatów, łącznie z PSL. To przerastało wszelkie nasze wyobrażenia. Ale tak się stało.

Nieszczęście polegało na tym, że myśmy za wcześnie zdobyli władzę, nie mając własnej doktryny gospodarczej. Mając garb przeszłości, czy ktoś chciał, czy nie. Chcąc być lewicą, a jednocześnie budować kapitalizm, za którym się opowiedzieliśmy, popierając plan Balcerowicza. To były wyzwania! Żeby prowadzić rząd, który ma budować kapitalizm, a jednocześnie zachować wizerunek lewicowy.

– *Kwaśniewski wiedział, jak to pogodzić?*

– On był szefem partii. Nadawał ton i muszę powiedzieć, że nadał właściwy, ponieważ umie unikać skrajności.

– *Pan też unika skrajności.*

– Myśmy bardzo dobrze do siebie przylegali. Nie ładowaliśmy się w radykalizmy, bo byśmy przegrali. Choć i tak eksploatowaliśmy i degradację sfery budżetowej, i degradację rolnictwa, to co zostało po planie Balcerowicza. Ale robiliśmy to na zasadzie społecznego ubolewania. Myśmy nie brali za to odpowiedzialności. Na przykład ja kierowałem rządem, który jako jedyny miał siedem procent wzrostu PKB! Z tym, że nigdy nie przypisałem tej zasługi sobie. Mówiłem tylko, że naszą zasługą jest to, żeśmy niczego ważnego nie zepsuli. I poszło. W tamtym czasie Kwaśniewski cały czas był szefem partii, był sprawny, komunikatywny. Miał wyczucie, bo przecież przełamywanie naszego stanowiska w sprawie NATO czy w sprawie kursu proeuropejskiego – to on. Był typem lidera, który wnosi świadomość. Ona sama nie przyjdzie, on to rozumiał, umiał wyprzedzać, mówić, co jest istotne. I robił to dobrze. Chodził po różnych środowiskach, miał bliskie kontakty z ludźmi późniejszej Unii Wolności. Oni pilnowali myśli politycznej, strategii, on był w tym nurcie, i to mu było pomocne, gdyż dawało świeżą interpretację, podpowiadało myśli. A umiał korzystać z dopływu myśli z zewnątrz. Wyczuwał przy tym, jakiej granicy nie wolno przekroczyć, żeby nie stracić wizerunku lewicowego. Ale był socjalliberalny. W sumie podobnie rozumowaliśmy i byliśmy elastyczni. Czasami nawet za bardzo elastyczni.

– *To Kwaśniewskiemu Pan zawdzięcza, że został Pan premierem…*

– Nie, ponieważ nie taki był plan.

– *A jaki?*

– Po roku rządów Waldemara Pawlaka, wprawdzie mieliśmy wraz z PSL absolutną większość, ale mnożyły się uwagi co do sposobu funkcjonowania rządu. A z drugiej strony, w Aleksandrze odezwała się zadra, że nie został premierem zaraz po wyborach.

– W 1993 roku…

– Wtedy uważałem, że powinien objąć funkcję premiera, byłoby to naturalne, ale nie objął. Może przez przypadek? Otóż po wyborach oba prezydia się zebrały – SLD i PSL, żeby ustalić, kto ma być premierem. Wałęsa już wykrzykiwał, że mamy mu dać trzy kandydatury i on wybierze. A my odpowiedzieliśmy – nie.

– Że kandydat ma być jeden. Tylko – kto?

– Już wtedy byłem wybrany na marszałka Sejmu. I byłem najwyżej utytułowany. Więc prezydia podjęły decyzję, żebym ja z nimi, z Kwaśniewskim i z Pawlakiem, udał się na Szarą, do hotelu. Mieliśmy wyjść jak się pojawi „biały dym" i z jedną kandydaturą iść do Wałęsy. Więc z nimi siedziałem. Mieliśmy butelkę koniaku, z której niewiele wypiliśmy. I to wyglądało dokładnie tak: Aleksander mówił – Waldek, ty musisz to wziąć, bo to za wcześniej, żebyśmy my brali, będzie wówczas awantura, Wałęsa będzie szalał. A Pawlak, jak to Pawlak, odpowiadał: „Nie, wy wygraliście, jest logiczne, że to ty powinieneś być premierem". Tak rozmawiali. Więc znowu druga tura, potem trzecia, znowu Kwaśniewski powtarza tę frazę… Mam do dziś wrażenie, że Aleksander poszedł za daleko, czekał, żeby Pawlak bardziej stanowczo go przekonywał. A Pawlak nagle powiedział: „No to dobra, załatwione!" I pamiętam zdziwienie Aleksandra! Moje zresztą też. Wróciliśmy i powiedzieliśmy, że Pawlak, a ja już nie komentowałem. Zgłosiliśmy to Wałęsie, który – prawdę mówiąc – też był zdziwiony…

– I tak Pawlak został premierem.

– Tak wyszło. Pawlak nie miał zbyt dużego doświadczenia. Potem ta zadra w Kwaśniewskim, uprawniona. W międzyczasie pojawił się temat, co z Wałęsą, z jego drugą kadencją, o której wiadomo było, że będzie walka. Gdzieś mam od Stanisława Cioska pismo, w którym mnie przekonywał, żebym jako marszałek Sejmu podjął starania w sprawie przedłużenia kadencji, żeby nie było konfliktu! Wszyscy się bali, żeby nie było konfliktu… Geremek też tak mówił… I w takich okolicznościach doszło do dealu, w którym Kwaśniewski dogadał się z Wałęsą, że zmienią Pawlaka. I że Aleksander zostanie premierem, z woli Wałęsy. Nie potrzebował tego. A w zamian Kwaśniewski miał spowodować, że nikt znaczący z lewicy nie będzie rywalizował z Wałęsą.

– To odważna hipoteza…

– Owszem. Dlaczego mówię tak odważnie? Są wydarzenia, które to potwierdzają… Był czas, kiedy byłem w konflikcie z Wałęsą, ostrym, o wyjazd do Moskwy na uroczystości pięćdziesięciolecia pokonania faszyzmu. Chciałem jechać, on mi zabraniał, lżył mnie publicznie. W takiej atmosferze nadchodził termin wyjazdu. Trzeciego maja było przyjęcie u Wałęsy w pałacu, pojechałem na nie, bo dla mnie racja stanu wiele znaczyła. I pamiętam: stał Wałęsa, Zych, we dwóch, podszedłem się przywitać, a Wałęsa: „O, bardzo dobrze, że pan jest, już mam decyzję! Pan pojedzie do Londynu, na obchody, a Zych pojedzie do Moskwy, w moim imieniu!" Ja na to mówię: Zaraz, zaraz. Po pierwsze, nie pojadę do Londynu, dlatego że mnie nikt tam nie zapraszał. Zresztą po wojnie nie zaproszono w Londynie polskich generałów na paradę zwycięstwa. Po drugie, dziwię się marszałkowi Zychowi, bo przecież marszałek Sejmu nie może reprezentować prezydenta, bo to jest inny urząd konstytucyjny. Tak powiedziałem. Zych, czerwony jak burak, zwinął się w ciągu minuty. Uciekł po prostu.

– *Zostaliście we dwóch z Wałęsą…*

– No i wtedy użyłem głupiego argumentu: „A poza tym, Kwaśniewski się nie zgodzi". A Wałęsa na to: „Co? Nie zgodzi?" – Podejrzanie mi ta poufałość zabrzmiała. A on dalej: „Dawać mi tu Kwacha! Znajdźcie Kwacha!" Znaleźli go. Przyszedł i mi mówi: „Słuchaj, może to i dobre rozwiązanie?" Osłupiałem, jak on mnie zdradza na moich oczach. Zaprotestowałem! I patrzę, a on wyjmuje jakąś kartkę z kieszeni, siada na balustradzie fontanny z Wachowskim, i komunikat piszą! Tacy szczęśliwi z kompromisu. Wtedy mu powiedziałem: „Jak ty puścisz cokolwiek do mediów, że ja jadę do Londynu, to się do ciebie nigdy nie odezwę. I natychmiast to zaneguję!" Zaczął padać deszcz, więc wszyscy się rozpierzchli. Wałęsa zaprosił nas do saloniku, tam było kilku generałów, Kwaśniewski, ja, Wachowski. Usiedliśmy. Wałęsa popijał, nawet ja mu szparko nalewałem. A Wachowski chodził wkurzony. „Lechu, nie pij z nimi!" – wołał. To ten go wyrzucił. Pierwszy raz widziałem, jak dworzanin trzasnął drzwiami. Generałowie też natychmiast wyszli. I zostaliśmy my: Wałęsa, Kwaśniewski i ja, I wtedy lekko podpity Wałęsa rozparł się w fotelu, i się zaśmiał: „No i co? Zawaliłeś sprawę, miałeś być premierem, a jest Oleksy!" – słynne zdanie! Kwaśniewski spłonił się i do dziś ze mną słowa na ten temat nie zamienił. Ale ja wierzę Wałęsie. Pasuje mi to.

– *Dlaczego?*

– Kwaśniewski miał zadrę do Pawlaka. Bo to on naprawdę powinien być premierem. Drugie podejście też miał spalone. Później dowiedziałem się, jak to wyglądało. A wyglądało to tak, że koalicja się zebrała w sprawie Pawlaka i PSL zorientował się, że chodzi o Kwaśniewskiego, którego oni nie chcieli na premiera. Więc ogłosili tuż przed rozmowami, że biorą pod uwagę trzy warianty. Ten pierwszy, że drugi lider, czyli Kwaśniewski, zostaje wicepremierem, żeby obaj byli uwikłani we władzę. Drugi wariant, że Pawlak rezygnuje, ale tylko pod warunkiem, że Oleksy zostaje premierem, co mnie kompletnie nie urządzało, bo mi bardzo odpowiadała funkcja marszałka. I trzeci, że rozwiązujemy Sejm i ogłaszamy wybory. Trzeci odpadał, bo to kompromitacja, pierwszy odpadł, bo Kwaśniewski natychmiast się obruszył, że nie wchodzi w grę jego wicepremierostwo. Więc wzięli przerwę i mnie zaczęli łamać kołem dwie godziny – musisz, musisz, dla ratowania koalicji, i tak dalej. I się zgodziłem. Na pohybel! Bo gdybym się nie zgodził, nie mieliby kogo zaatakować.

– *W sprawie Olina?*

– Milczanowski musiałby atakować Kwaśniewskiego. Przecież cały czas szło o wybór Wałęsy na drugą kadencję. Afera Olina przecież była wymierzona nie tylko we mnie, ale w całą formację.

– *Kolejni na liście byli Kwaśniewski i Miller, jako Kat i Milim…*

– Oni nawet nie wiedzą, ile grupa Milczanowskiego robiła zabiegów, żeby kandydatem na prezydenta był Oleksy. Bo już przygotowywali atak. Na Kwaśniewskiego nie byli tak przygotowani, bo do końca byli przekonani, że Wałęsa z nim wygra. Byłem świadkiem, jak w pałacu w Otwocku zapewniali go: „Panie prezydencie, ma pan dziesięć procent przewagi nad rywalem!" To było przed wyborami, podczas posiedzenia Komitetu Obrony Kraju. Pamiętam, jak stali w szeregu: Wilecki, Czempiński, Milczanowski… Więc zwlekali do ostatniej chwili z atakiem na Kwaśniewskiego. Zdecydowali się uderzyć we mnie, bo byłem wówczas bardziej prominentny – Kwaśniewski był szefem klubu, a ja byłem premierem, wcześniej marszałkiem. Dlatego też tak zabiegali, żebym to ja kandydował. Urban mi to niedawno przypomniał, że Zacharski i Malejczyk byli u niego w domu, bo przyszli z misją, żeby przekonywać SLD, żeby Oleksy był kandydatem, a nie Aleksander… Tak było! Kwaśniewskiego też zabrali na Zawrat, i też go przekonywali do tego samego.

– *Wasze drogi polityczne wciąż się splatały. Ile było tam współpracy, a ile rywalizacji?*

– Między mną a Kwaśniewskim była zawsze współpraca. Jakoś podświadomie uznawałem jego przewagę, bo nawet jak pełniłem funkcję wyższą, to nigdy nie było to na zasadzie, że jestem ważniejszy. Uznawałem go za lidera, dlatego było mi przykro, że on nie pogadał ze mną w sprawie swojego kandydowania na prezydenta, tylko zrobił to na posiedzeniu prezydium partii, kiedy mnie nie było. Zdecydowało o tym szesnastoosobowe prezydium.

– *A nie miał Pan ochoty zawalczyć o prezydenturę?*

– Ani przez chwilę. Byłem tak dalece spełniony, że ja jemu przyznawałem prawo do kandydowania. Choć nikt mnie o to nie pytał.

– *Dobrze wam się współpracowało?*

– Dobrze. Kwaśniewski, jak został prezydentem, zaproponował mi, żebym objął funkcję szefa partii. I mu to wdzięcznie do dziś pamiętam.

– *Miał Pan wówczas trudną sytuację…*

– Więc dlatego poparcie Olka było dla mnie takie ważne. Potrafiłem je wykorzystać. Za punkt honoru wziąłem wprowadzenie SdRP do Międzynarodówki Socjalistycznej. Olek też był w tej sprawie bardzo aktywny. Działaliśmy z dwóch różnych stron. Kiedy Międzynarodówka na Kongresie w Turcji uchwaliła, że przyjmą nas do swego grona w 2000 roku, rozeźliłem się. Przecież na 2000 rok było przewidziane, że przyjmą nas do Unii, dopiero Francja tę datę storpedowała. Więc byłem rozeźlony – mamy czekać cztery lata? Nam to było bardzo potrzebne, dawało nam legitymację, że jesteśmy partią demokratyczną, co w Polsce cały czas podważano. Więc rozpętałem kampanię. Dzwoniłem do liderów Międzynarodówki, a większość z nich to byli premierzy. Odbierali telefony. Ja do nich wydzwaniałem z Rozbrat, z tej kanciapy, i rozmawiałem prawie ze wszystkimi. Najwięcej mi pomógł Felipe González, premier Hiszpanii, a także Oskar Lafontaine i Franz Vranitzky, kanclerz Austrii, no i szef partii szwedzkiej Göran Persson. Pisma do nich pisałem, naświetlałem, jakie to ważne dla polskiej demokracji.

– *I?*

– I odnieśliśmy sukces! Przylecieliśmy na następny kongres, do Nowego Jorku, w delegacji byli też Tadeusz Iwiński i Jerzy Jaskiernia. Kongres Międzynarodówki obradował w sali plenarnej ONZ. I dzień wcześniej, jesteśmy w budynku ONZ, idziemy korytarzem i, pamiętam,

a tu drzwi się otwierają, z jednych wychodzi Felipe González, z drugich Vranitzky. I wołają: „Józef, Józef, jutro przyjmujemy was do Międzynarodówki!" Niesłychana sprawa! Zmienili decyzję! Przyspieszyli nasze przyjęcie o cztery lata! Do dziś jestem z tego dumny, z tej mojej akcji. Z tego, że razem z Aleksandrem, bo on też działał w tej sprawie aktywnie, udało się to przeprowadzić. Dobrze więc nam się razem współdziałało. A rozbieżności zaczęły się później. Kwaśniewski chciał cały czas sterować partią, i styki były – on i ja.

– *Szef obecny kontra były szef…*

– Ja mu się nie opierałem, tylko uznawałem zasadę, że trzeba pewne rzeczy omówić. Myśmy się kłócili, a potem godzili. Uważam, że Aleksander ładnie się zachował po tym całym Gudzowatym. Bardzo szybko przeszedł do porządku dziennego. Zresztą, ja tam mało go szarpałem.

– *Ale głupio wyszło…*

– Plotkarskie rozmowy przy wódce toczą się przy większości stołów w Polsce… I to nie oznacza ani wrogości osobistej, ani niczego innego, to oznacza tylko powtarzanie tego, co się gdzieś wcześniej zasłyszało. Żonę mu zaczepiłem głupio. To było brzydkie, za to ją i jego przeprosiłem. Ale przecież gazety pisały, pół roku wcześniej, że Kwaśniewska kupiła willę w Kazimierzu. Ja to gdzieś zanotowałem w pamięci, powtórzyłem… Nawet ptysia pomyliłem z bezą.

– *Teraz wszystko jest OK?*

– Myślę, że Aleksander umiał, mam nadzieję, że szczerze, przejść nad tym do porządku dziennego. Tak jak i Jurek Szmajdziński – zadzwonił do mnie po pewnym czasie i zaczął rozmowę od słów: „tu mówi buc". Psychologicznie mnie załatwił! Za to Miller nigdy nie zapomina. Leszek jest bardzo pamiętliwy. Kwaśniewski zachował się ładnie, spuśćmy kurtynę, nie wchodźmy w to. Jeżeli tyle się wspólnie przeszło, nie może jeden palant nagrywający rozmowę prywatną tego zamazać! Myślę, że jesteśmy w dobrych stosunkach. Chwała mu. Bo mam język barwny, czasami zbyt barwny, i czasami się nadziewam. Kwaśniewski jest i pozostanie wybitną postacią polskiej sceny politycznej. Jest wysoce utalentowany. Dostrzega własne błędy i potrafi się do nich przyznać. Lubi ludzi, ma dar przekonywania. Świat go nie peszy. Bardzo cenię sobie tę znajomość.

Czy można być większym szczęściarzem?

Rozmowa z Markiem Belką

ROBERT WALENCIAK: Skąd Pan się wziął u boku Aleksandra Kwaśniewskiego?

MAREK BELKA: Początki naszej znajomości i współpracy pewnie będą dla szerszego grona zaskakujące – nigdy się nie spotkałem z Aleksandrem Kwaśniewskim przed początkiem stycznia 1996 roku. Nigdy!

– *W SZSP też nie?*

– W SZSP, mimo że między nami są ledwie dwa lata różnicy, dzieliło nas pokolenie. Bardzo wcześniej skończyłem studia, i skończyłem swoją działalność w organizacji młodzieżowej jako już emerytowany, że tak powiem, działacz komisji rewizyjnej w wieku dojrzałym, lat dwadzieścia trzy. A jak miałem lat dwadzieścia jeden, byłem wiceszefem zarządu łódzkiego SZSP. Myśmy się po prostu minęli.

– *To jak się poznaliście?*

– To, że zostałem jego doradcą, wynikało z tego, że on za takim kimś się rozglądał. Byłem wtedy średnio znanym profesorem, z Łodzi, ale i z Warszawy, bo byłem także szefem Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN. I dostałem, tak twierdził sam Aleksander, pozytywne rekomendacje z dwóch źródeł, czyli od Leszka Balcerowicza i Grzegorza Kołodki. Odbyło się spotkanie w Pałacu Prezydenckim, które organizował Marek Siwiec, do którego zresztą, w związku z tym, do końca życia będę miał pewną słabość. Po dziesięciu minutach rozmowy zostałem zrekrutowany.

– *I przedstawiony prezydentowi…*

– Pierwszą rzeczą, którą usłyszałem od prezydenta, było, że za dwa czy trzy tygodnie jedziemy do Davos. Właściwie „chemia" wytworzyła się od pierwszego momentu.

– *Jak funkcjonował w Davos?*

– Popularnym był człowiekiem. Wszyscy go tam znali. Miał kilka tematów, w których był właściwie najwybitniejszym znawcą – Rosja,

Ukraina, Polska, *transition*… Był popyt na niego. Nie wiem, czy na tym forum ktokolwiek z Polski jest w stanie tak zaistnieć jak on.

– *Nie zastanawiał się Pan wcześniej, że mógłby popracować dla Kwaśniewskiego?*

– Ha! Pamiętam, spotkałem się kiedyś z Jackiem Kluczkowskim w pociągu relacji Łódź–Warszawa. To było gdzieś pod koniec lata 1995 roku, trwała kampania wyborcza, Jacek był *ghostwriterem* przyszłego prezydenta. No i tak żeśmy sobie rozmawiali o jego szansach, czy wygra z Wałęsą, czy nie… Jacek był optymistą, choć jak zwykle – ostrożnym. Powiedziałem wtedy tak ni stąd, ni zowąd, pamiętam to doskonale: jakby Kwaśniewski potrzebował doradcy do spraw ekonomicznych, to jestem do usług. Kilka miesięcy później – zostałem.

– *Dlaczego chciał Pan być doradcą? Bo takie stanowisko wprowadza na salony, otwiera świat?*

– To nie tak... W ogóle, bycie doradcą prezydenta to fantastyczna pozycja! To jest osoba otoczona pewnym nimbem tajemniczości i szacunku.

– *Korzystał Pan z tego?*

– Przychodzili do mnie różni ludzie i snuli swoje recepty na uzdrowienie świata, i przy okazji Polski. To wszystko na moją biedną, wtedy jeszcze zupełnie nieprzyuczoną głowę, padało. To była naprawdę bardzo ciekawa praca, ja w ogóle nie myślałem o żadnej innej. Z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim praca polegała na tym, że otrzymywałem od niego na biurko, w przepięknym zresztą gabinecie w Pałacu Prezydenckim, jakieś materiały, listy, dokumenty, do których prosił o opinię. Ja w każdej sprawie pisałem opinię, do półtorej strony, odręcznie. Lakonicznie. Po pierwsze, to z mojej strony wymagało zrozumienia sprawy. Po drugie, byłem pewien, że prezydent to przeczyta. Bo siedmiu zdań raczej trudno nie przeczytać, nawet jeżeli to były bazgroły pisane odręcznie. Mam zresztą wrażenie, że siła takich opinii była znacznie większa, niż gdybym przygotowywał jakieś epistoły na dwanaście stron. W związku z tym tak to się potoczyło, że zostałem jednym z najbardziej zaufanych ludzi w sprawach gospodarczych prezydenta.

– *Kiedy Pan to poczuł?*

– Opowiem panu taką scenę. Budżet na rok 1996 został w Sejmie przyjęty. Jest marzec, późno się te budżety robiło. Brakowało tylko podpisu prezydenta. Więc przyszli do Kancelarii premier Cimoszewicz,

Kołodko, chyba też Szmajdziński. Przed tym spotkaniem Kwaśniewski mnie zapytał: „Marek, czy sądzisz, że polski budżet i polska gospodarka załamią się, gdybyśmy obniżyli podatki PIT-owskie?" Bo przecież wtedy PIT był 45-33-21. A co by było, gdybyśmy wrócili do 40-30-20? A ja mu na to: nic by się nie stało. No i po takiej rozmowie, mieliśmy w Kancelarii Cimoszewicza i Kołodkę. I Kwaśniewski im wypalił: „Jeżeli chcecie wygrać wybory w przyszłym roku, to musicie obniżyć te podatki, do zestawu 40-30-20". Kołodko zbladł. Cimoszewicz też. Nie dlatego, że byli specjalnie przeciwni, tylko że przed chwilą kładli się Rejtanem w Sejmie, że nie mogą tego zrobić. Bo katastrofa! A tu im Belka mówi, że nic nie będzie. I wprowadzono poprawkę do budżetu, żeby obniżyć podatki do 40-30 i do 19!

– Zaskoczyła Pana sytuacja, kiedy Kołodko został „ewakuowany" do Helsinek, i Pan został wicepremierem?

– To się odbyło podczas kolejnego, drugiego forum w Davos. Wiedziałem już o tym przed wyjazdem, myślę, że Kołodko też wiedział, ale poza tym nikt się nie domyślał. Praca w rządzie to było dla mnie wielkie przekroczenie Rubikonu. To był przecież krótki epizod, dziesięciomiesięczny, ale w te dziesięć miesięcy przeżyłem na przykład powódź. Poza tym, poznałem wtedy i Cimoszewicza, i Millera. Więc po prostu, dla mnie to było wejście już na pełen gaz do polityki. Nawiasem mówiąc, przez kilka tygodni pełniłem obowiązki premiera, bo po wyborach 1997 roku Włodek pojechał do puszczy, a ja w tak zwanym międzyczasie „przepychałem" budżet. I to jeszcze w wersji, jak sądzę, wtedy niezbędnej, lekko przykręcającej śrubę. Bo przecież gospodarka wtedy rosła w tempie siedem procent rocznie. Przepraszam, to było nie do utrzymania i było groźne.

– Deficyt na rachunku obrotów bieżących – to w tamtym czasie było wyzwanie!

– Pamiętam, usiedliśmy wtedy w kilka osób, z Karolem Szwarcem, z Haliną Wasilewską, i żeśmy zrobili korektę budżetu. I poszliśmy z tym na rząd – rządowi już na niczym nie zależało, więc wszystko zaakceptował. Więc wiedziałem także, co to znaczy być premierem. I na przykład, był wiceminister Kruszewski, próbowaliśmy razem walczyć ze strajkiem anestezjologów. Oczywiście, wtedy strajk miał charakter polityczny, nie chodziło o to, żeby coś zmienić, tylko o to, żeby coś jeszcze wykrawać przed zmianą władzy. Kruszewski zachował się z klasą. W ogóle – gdzie te niegdysiejsze śniegi! Ci politycy pierwszej dekady transformacji – to mieli *cojones*!

– Był Pan też przy Kwaśniewskim, gdy rządził Jerzy Buzek i koalicja AWS-UW.

– Pewnym problemem były te wszystkie tak zwane wielkie reformy Buzka, czy je podpisać, czy nie podpisać. Pamiętam, jego dylematy…

– Miał wahania?

– Nie miał dylematów, jeśli chodzi o reformę samorządową. Ja marudziłem, że ta reforma jest nędzna, bo zamiast dwustu powiatów jest czterysta, i to doprowadzi do strasznego wzrostu kosztów. A on mówił, że lepsza taka reforma niż żadna, ona stabilizuje politycznie kraj, jak będzie szesnaście województw, każda partia będzie gdzieś umoczona we władzy, nie będzie mogła tak zupełnie bezpardonowo atakować innych. To stabilizuje system. Przyznam, przekonał mnie. A jeżeli chodzi o reformę ubezpieczeń – to wszyscy byliśmy wtedy…

– Otumanieni?

– Popełniliśmy błąd. Pamiętam też, że taką bardzo trudną propozycją, której żeśmy się przeciwstawili, była propozycja wprowadzenia podatku liniowego. Miałem wrażenie, że pan prezydent Kwaśniewski był psychicznie gotów, żeby ją podpisać, ale tutaj ja odegrałem swoją rolę, i przekonałem go, żeby tego nie czynił. Myślę, że do dzisiaj jakaś zadra między mną a profesorem Leszkiem Balcerowiczem na tym tle istnieje.

– Nie żałuje Pan swego czynu?

– W gruncie rzeczy uważam, że tym samym obroniliśmy status kraju cywilizowanego. Podatek liniowy to jest cecha charakterystyczna kraju na niższym etapie rozwoju. Tak to było, pamiętam, że w tamtym czasie, tak we trójkę, Aleksander Kwaśniewski, Leszek Balcerowicz i ja, prowadziliśmy długie dyskusje, wręcz seminaryjne, czy taki podatek ma sens. Prezydent to bardzo przeżywał, i mam wrażenie, miał chyba w sumie do mnie źdźbło pretensji – bo ile to spraw politycznych byłoby łatwiejszych, gdybyśmy się na to zgodzili! Tylko że teraz byśmy odkręcali nie tylko reformę emerytalną, ale i podatek liniowy. Więc jednego błędu żeśmy uniknęli.

– To Kwaśniewski namawiał Pana do kolejnych stanowisk?

– Namawiał? Mówił, że mam zostać, to się godziłem! Nie przypominam sobie, żebym miał jakiekolwiek wahania. Tak samo jak kiedyś byłem na wakacjach z rodziną na Malcie. Zadzwonił telefon, wyszedłem na balkon, żeby było lepiej słychać. Wróciłem i poinformowałem rodzinę: wiesz Krysiu, jadę na trzy miesiące do Iraku. I też zastanawiałem się pięć sekund. Najważniejsze decyzje podejmuje się intuicyjnie. Racjonalnie się je

dopiero uzasadnia. Jak ktoś myśli, że polityk podejmuje wszystkie decyzje na podstawie jakichś analiz… Oczywiście, ważne jest, by premier lub prezydent w danej sprawie miał głęboką wiedzę, ale i tak decyzję podejmuje się wtedy, jak ma się instynkt. Jak go nie ma – to nie. Proste. Najważniejszą rzeczą u polityka jest, żeby mieć charakter. Żeby umieć z ludźmi współpracować, wiedzieć z kim. Więc jak Kwaśniewski mi zaproponował – to w ogóle się nie zastanawiałem. A nad czym miałem się zastanawiać?

– Drugi moment był w 2001 roku, kiedy SLD i Leszek Miller szli po władzę.

– To było o wiele trudniejsze.

– Już widać było, że są dwa ośrodki…

– To dla mnie nie miało żadnego znaczenia. Owszem, świadomy byłem, że coś takiego się kształtuje, ale dla mnie nie był to żaden problem. Oczywiście, jak potem odchodziłem w 2002 roku, to zazgrzytało. Ale podejrzewam, że i dzisiaj mam z nim dobre, przyjacielskie, pełne zrozumienia kontakty. Wtedy problem był inny – ja miałem świadomość sytuacji gospodarczej Polski, katastrofy budżetowej, która nam się kroiła. Potęgowanej bardzo restrykcyjną, powiedziałbym – zabójczo restrykcyjną polityką pieniężną. W tamtym czasie, wcale nie miałem ochoty być ministrem finansów.

– A kim Pan chciał być?

– Pamiętam, że kiedyś rozmawiałem z Millerem, mówiąc, że Kołodko jest fantastyczny, a jak wy musicie wziąć mnie, to może byłbym ministrem gospodarki… Przyszedłem z tym pomysłem też do Kwaśniewskiego, a on wtedy mnie zapytał: wiesz co Marek, jak się nazywa minister gospodarki Niemiec? Nie byłem przygotowany na to pytanie, nie wiedziałem. „A wiesz, kto jest ministrem finansów?" Oczywiście, że wiedziałem! „To sam widzisz, kto jest ważny…" Kropka. Jak można dyskutować z taką argumentacją? To dziś się zmieniło, ale w tamtych czasach minister finansów to był król, a minister gospodarki był bez znaczenia.

– Łączy was z Kwaśniewskim umiejętność esencji, znalezienia tego, co jest najważniejsze…

– Uważam, że to jest superinteligentny facet, który jest mistrzem syntezy i anegdoty. Choć czasami zaskakiwał mnie niezwykłym po prostu szacunkiem dla szczegółów. Może od czasu do czasu to robił, żeby swoim pracownikom pogrozić palcem, żeby nam pokazać, że on w szczegóły także może wchodzić? Bo tak naprawdę – szczegóły go mniej interesowały,

interesowały go *big pictures*. To właśnie tworzy wielkiego polityka – że się zajmuje *big picture*.

– *Potem jest ten moment, kiedy jest Pan premierem, i razem pracujecie z Kwaśniewskim… Jak było?*

– Trudno jest mi być obiektywnym… Mogę powiedzieć, że się nie wystraszyłem pierwszych niepowodzeń. I postanowiłem, że doprowadzę do nominacji, do objęcia urzędu.

– *A jak się panu pracowało?*

– W sprawach gospodarczych, które mnie najbardziej pochłaniały – Kwaśniewski w ogóle się nie wtrącał. W innych sprawach – kontaktowaliśmy się różnie, czasami raz na dwa-trzy tygodnie, czasami dwa-trzy razy dziennie. Gdy były jakieś problemy, w ogóle nie było żadnego formalizmu. Dam przykład – przy nominacjach generalskich, prezydent nominuje, a premier kontrasygnuje. Mówiono mi, że zawsze były z tym problemy, kto ma pierwszy podpisać, kto jest ważniejszy… A myśmy to zrobili w ciągu piętnastu minut!

– *A jak wyglądała współpraca w sprawach zagranicznych?*

– Był podział. Sprawy europejskie – w całości ja. Sprawy wschodnie i Amerykanie – on. Nie było w związku z tym żadnych konfliktów w sprawach zagranicznych, bo wiadomo, że on rozmawia z Bushem i zajmuje się Wschodem, a ja Brukselą. Nigdy nie słyszałem, żeby do Brukseli chciał pojechać i mi krzesło podbierać.

– *Ale byliście razem w Brukseli…*

– Nie. Ale najważniejsze kwestie były konsultowane. Na przykład, pamiętam spotkanie dotyczące podpisania przez Polskę traktatu lizbońskiego, który ostatecznie nie wszedł w życie, bo go zawetowali Francuzi i Holendrzy. Wtedy on powiedział: „Mam nadzieję, że podpiszesz…" Oczywiście, że podpisałem. Nawiasem mówiąc, podpisałem mimo uchwały sejmowej bardzo uroczystej, żebym nie podpisywał! Bo preambuła nie była wystarczająco katolicka! A wtedy miałem wyraźne sygnały ze strony Kościoła, łącznie z monsignore Kowalczykiem, który podkreślał, jak ważny jest traktat lizboński, bo po raz pierwszy zobowiązuje instytucje unijne do konsultowania Kościołów w sprawach etyki i wiary. I Kościół katolicki był niezmiernie zainteresowany przepchnięciem tego traktatu.

– *Ale nasi prawicowi politycy już nie…*

– Jak podpisałem traktat, pod koniec października 2004 roku, podpisywałem go zresztą z ministrem Cimoszewiczem, to zostałem przyjęty przez papieża Jana Pawła II, bardzo zresztą chorego. Jego sekretarz

odczytał nam, w jego obecności, podziękowanie, że Polska podpisała ten traktat. Tekst tego podziękowania rozesłaliśmy po mediach – nikt tego nie odnotował! A z polityków – chyba tylko Marek Borowski powiedział o tym publicznie.

– *Niedługo potem leciał Pan do Rzymu na pogrzeb Jana Pawła II…*

– Polska, jako państwo, miała sześć miejsc oficjalnych, i naszym wtedy głównym problemem było to, czy będzie na pogrzebie Lech Wałęsa. Boże Święty! On powiedział, że nie, że z nami nie poleci. Wtedy Kwaśniewski zadzwonił do mnie, że trudno, że nie będziemy się prosić, jeżeli nie, to nie, niech w jego miejsce leci kolejny z listy… I wtedy Jacek Kluczkowski, który był szefem mojego gabinetu, stwierdził, że tak nie może być, że trzeba coś zrobić, że dzwonimy.

– *Do kogo?*

– Do arcybiskupa Gocłowskiego zadzwoniliśmy. Księże arcybiskupie, jest problem, musimy wysłać Wałęsę na pogrzeb, a nie chce. Za jakąś godzinę oddzwonił. I zaczął: „Panie premierze, jacy ludzie piszą w Polsce historię?". Już wiedziałem, że jest dobrze. Zgodził się Wałęsa! Ale zgodził się pod warunkiem, że będzie tu a nie tam, że nie poda ręki, i tak dalej... W efekcie leciał samolotem ze mną, cały dzień spędziliśmy razem. Nawet były takie sytuacje, że podchodzi dziennikarz „El Pais" i pyta, czy Wałęsa wywiadu mógłby udzielić? Ja na to, że oczywiście. I wcieliłem się w rolę tłumacza. Wywiad był dobry i prezydent Wałęsa był z niego zadowolony. A w drugiej części dnia byłem świadkiem naocznym tego słynnego pojednania Wałęsy i Kwaśniewskiego.

– *Czy Kwaśniewski miał swój styl, sposób, działania? Że spojrzało się, i już człowiek wiedział – o, w tym maczał palce Aleksander Kwaśniewski!*

– Chce pan, żebym pochwalił Aleksandra? Nie musi pan się starać. Uważam, że to jest najwybitniejsza postać polskiej polityki w ostatnim dwudziestopięcioleciu. Oczywiście, z pełnym szacunkiem dla Mazowieckiego, Wałęsy, Balcerowicza... Teraz jesteśmy pod wrażeniem tych dwóch zakleszczonych w uścisku gigantów, czyli Tuska i Kaczyńskiego. Na pewno wielką postacią polskiej polityki ostatnich dwóch dekad jest Leszek Miller. Ale z tego grona – ja wskazuję na Kwaśniewskiego. Przede wszystkim, to wielki szczęściarz.

– *Na szczęście trzeba zapracować…*

– Wybitnie aktywny umysł. Superinteligentny, w lot chwytający pewne rzeczy. A jednocześnie myślący jak polityk – prosto. Nie próbując komplikować sprawy. Przecież wiemy, jak pozytywną rolę odegrał podczas

obrad Okrągłego Stołu. Gdzie jedna jego propozycja, powołania do życia senatu, przerwała impas.

– *Dlaczego był szczęściarzem?*

– Bo nie został premierem. W tamtych czasach być premierem – to kamikadze! Został prezydentem – a prezydent jest od wielkich rzeczy. Był szczęściarzem, bo nie był odpowiedzialny za pot i łzy codzienne, tylko mógł zajmować się wielkimi projektami – NATO i Unią Europejską. I on te dwa największe projekty w dwudziestopięcioleciu przeprowadził. Jak można być większym szczęściarzem? Potrafił ułożyć sobie życie z rządem AWS-u. To był rząd wrogi, który chciał go wykończyć!

– *A to on, na miękko, ich wykończył…*

– Potrafił pracować z ludźmi. Myślę, że był człowiekiem, który ludzi intuicyjnie obdarzał zaufaniem. Czasami się na tym zaufaniu przejeżdżał – to normalne. Ja mam taką swoją maksymę – że lepiej ludzi obdarzać zaufaniem, bo w dziewięćdziesięciu pięciu procentach się uda. Owszem, w pięciu procentach człowiek wpada we wnyki, trafia na łobuza i zdrajcę, tylko że jak się ludziom nie ufa, to właściwie w każdej sprawie jest się przegranym. Poza tym, on lubi ludzi. Kocha ludzi. I muszę powiedzieć, że to mnie czasami nawet śmieszyło. Jesteśmy gdzieś za granicą, już nie mówię, że w Wilnie, ale w Wietnamie, on podchodzi do ludzi, wita się, zagaduje.

– *Mieliście też porażki.*

– Największą porażką było, że nie był w stanie zatrzymać degrengolady lewicy po aferze Rywina. Przecież rozumiem, że akcja „Belka premierem" była pewną próbą zahamowania tego upadku. Sam Belka w pewnym momencie uznał, że warto byłoby poszerzyć bazę o centrolewicę. No i zaczął popierać partię Demokraci.pl. Okazało się, że nie umiał tym zarządzać. No to była porażka! Ale cóż, kraj jest prawicowy, media zdominowane przez pokolenie NZS. Rządy lewicy wydają się wręcz jakąś anomalią.

– *Obserwował Pan konflikty prezydenta z Leszkiem Millerem. Jak one przebiegały?*

– Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że są dwa ośrodki władzy, i jest konkurencja oraz rywalizacja między nimi. Ale więcej tej rywalizacji i szorstkości zobaczyłem potem, kiedy obaj nie pełnili swoich funkcji, niż wtedy. Oni wtedy nigdy nie mieli jakiekolwiek problemu, żeby się spotkać i pogadać. To są dwaj poważni ludzie!

– *Musiał Pan wybierać?*

– Problem jest taki… Kwaśniewski miał do mnie bardzo dużo zaufania, było wiele chemii między nami. Leszek – myślę, że darzymy się

szacunkiem. I też sporo sympatii jest między nami. Ale miałem do niego sporo pretensji – Leszku, jako twój pierwszy wicepremier i minister finansów, powinienem być twoim pierwszym doradcą – mówiłem. Nie byłem.

– *Nikt nie był.*

– Ale do dziś go darzę bardzo dużym szacunkiem. Nawet jak się okazało, że muszę ewakuować się z jego rządu, bo mi robią hece lustracyjne – nigdy mnie to głęboko nie dotknęło.

– *Dlaczego?*

– W 1996 roku przeszedłem bardzo poważną chorobę nowotworową. I jak wyszedłem z tego, to uznałem, że jestem dzieckiem szczęścia. I wszystko co mnie spotyka w życiu – to jest na kredyt, i nic złego już więcej mnie nie dotknie. Do dzisiaj to mam.

– *Czy Kwaśniewski jeszcze zagra w wielkiej polityce, czy będzie emerytem?*

– Wszystko zależy od niego. Trudno jest zagrać, jak żyje się tak chwalebnie i wygodnie, jak on teraz żyje. Po prostu. Wszystko zależy więc od niego – czy mu się będzie chciało? Uważam, że wciąż magia Kwaśniewskiego istnieje. Choć nie jakaś automatyczna – trzeba na nią pracować.

Jestem naprawdę przywiązany do Kwaśniewskiego

Rozmowa z Jerzym Urbanem

ROBERT WALENCIAK: Ceni Pan Kwaśniewskiego?

JERZY URBAN: Bardzo! Jego jakąś szczególną cechą jest uwodzenie i porywanie za sobą ludzi. I to nie tylko tak jak to czynią inni politycy – publicznie, ale również prywatnie. Jak w 1995 roku Kwaśniewski przyszedł do mnie i powiedział, że wygra wybory prezydenckie, te pierwsze, z Wałęsą, wydawało mi się to nieprawdopodobne. Ale jak on pół godziny ze mną pogadał, uwierzyłem, że wygra!

– *Przekonał Pana?*

– Miał w sobie tyle wdzięku, energii, świeżości i tak dalej, że zarażał nawet takich starych sceptyków. Ja właściwie poznałem Kwaśniewskiego wraz z nominowaniem go na ministra do spraw młodzieży i sportu jeszcze w rządzie Zbigniewa Messnera. Wcześniej, jako naczelnego „Sztandaru Młodych" chyba go nie znałem, mogłem się o niego otrzeć z racji funkcji… I kiedy Jaruzelski pytał mnie o opinię na jego temat, w związku z przewidywaną nominacją, to walnąłem głupio: ale on się chyba na sporcie nie zna. No i to mu powtórzono… A on odpowiedział: akurat na sporcie to się znam. I mi powiedziano, że on się na sporcie zna, więc zrobiło mi się głupio. Gdy więc został ministrem, pojechałem do niego z przeprosinami. Miał biuro gdzieś poza kwartałem rządowym, to był osobny budynek, stąd nasza znajomość. Później on został moim szefem, już w rządzie Rakowskiego. Przewodniczył tam Komitetowi Społecznemu. To było ciało złożone z ministrów, z wiceministrów, prezes telewizji tam zasiadał, do którego ja również byłem przypisany. I wtedy zobaczyłem kaliber polityka.

– *To znaczy…*

– Dokładnie nie pamiętam, cośmy tam robili, zapewne przyklepywaliśmy piękną ustawę o Kościele katolickim, która do dziś bokiem wychodzi, z tą Komisją Majątkową i ze zwolnieniami z cła, i tak dalej. Ale…

On prowadził te posiedzenia w niezwykle nowoczesnym stylu i sprawnie. I to ciało miało charakter mocno denerwujący dla KC. Ponieważ sprawy społeczno-polityczne to już było wchodzenie w kompetencje partii. A ten komitet zajmował się tym, co dotychczas było zastrzeżone dla sekretariatu KC PZPR. Więc samo jego istnienie – denerwowało. Ale to było zamierzone przez Rakowskiego, który na różnych polach usiłował odebrać partii kompetencje i prowadzić rząd stosunkowo niezależnie, na zasadzie, że tylko on jako członek Biura Politycznego ma kontakt z partią.

– *Jak Kwaśniewski dawał sobie z tym radę? Jaruzelski, Rakowski, sekretariat KC, wielkie gry, a on w środku, niedoświadczony trzydziestolatek…*

– Myślę, że korzystał z dwóch swoich właściwości. Pierwszą była ta właśnie jakaś umiejętność wodzenia wszystkich. Druga – że był lekceważony. W zasadzie, stojąc na czele Komitetu, pełnił funkcję wicepremiera. Ale Rakowski uważał, że jest za młody na wicepremiera, więc mu tego tytułu nie przydzielił. A ośrodek polityczny myślał hierarchicznie, więc lekceważył ministra do spraw młodzieży i sportu, ponieważ to nic nie znaczyło w hierarchii formalnej. W ten sposób był poza główną linią strzału. Kłótnie odbywały się pomiędzy Mietkiem Wilczkiem, który mówił, że żadnego KC nie chce znać, a ośrodkami politycznymi. Wilczek wołał, że jest ministrem konstytucyjnym i żaden kierownik z wydziału KC nie będzie mu doradzał czy dyktował. A Kwaśniewski taki nie był! Był gładki, wysłuchał, przekonał, oczarował… i szedł dalej.

– *Na zasadzie towarzyskiej? Przy kieliszku?*

– Nie, nie! Nie przypominam sobie, żeby Kwaśniewski wtedy lubił wypić, to zauważyłem później. Myśmy jednak działali w czasach Jaruzelskiego… Mieliśmy swoje „pijące grono". Nawet gdyby Kwaśniewski coś chlapnął, to i tak byłoby to szczytem trzeźwości w takim otoczeniu. Zresztą sam Rakowski pił, tylko że równomiernie. Nie było po nim widać, ale on popijał koniak, tak co godzinę kieliszek. Potem zaczęła się sprawa przygotowań do Okrągłego Stołu…

– *I Kwaśniewski zabłysnął.*

– Nie pamiętam, czy i jaką rolę odgrywał w przygotowaniach. To raczej Czyrek, Kiszczak, Ciosek, to oni z księżmi rozmawiali. Kwaśniewski zaczął brać w tym udział, kiedy nabrało to kształtu organizacyjnego. I wtedy zauważyłem rzecz bardzo pomijaną, niezauważaną w opowieściach o Okrągłym Stole. Że lejce władzy przeszły w ręce Kwaśniewskiego.

I dogadanych z nim ludzi. To nie było nic konkretnego, to tylko było tak, że jak się zaczyna wojna, to dowódcy frontowi zaczynają mieć większe znaczenie niż formalnie kierujący nimi politycy. Więc on był na froncie, to znaczy, że on negocjował przy tych stolikach i tak dalej, w kuluarach, i jego samodzielność sama przez się była coraz szersza. Wobec tego Biuro Polityczne czy jakieś węższe gremium, które co wieczór zbierało informacje o obradach i decydowało, na co się godzić, a na co się nie godzić i co dalej, było coraz bardziej podległe Kwaśniewskiemu. Nie w sensie organizacyjnym, tylko dlatego, że on był sprawcą pewnych faktów.

– *Jak to wyglądało?*

– Podejmował decyzje, może nie w sprawach najważniejszych, ale tych bieżących sprawach dnia, że na to się godzę, na to również, a na to nie… I potem wieczorem Biuro Polityczne stało już przed faktem dokonanym. I aprobowało. Czyli jego ranga rosła, a ciężar ośrodka władzy przenosił się na zespół negocjacyjny. Także w przewidywaniu, że to jest ten zespół, który ma przed sobą przyszłość, w tym odmienionym jednak ustroju. Więc Kwaśniewski wybił się na przywództwo jakby tak…

– *…jak marszałek napoleoński w czasie wojny?*

– Tak. Potem, kiedy zapadła decyzja, żeby PZPR rozwiązać, a zawiązać partię socjaldemokratyczną, Rakowski sobie wyobrażał, że on zostanie jej szefem. Wymagało więc dużej delikatności, żeby się pozbyć nielubianego przez opozycję polityka, i jednocześnie polityka, który jako premier w okresie przejściowym, jako autor zasadniczych reform, miał poczucie, po pierwsze, że się nadaje do kontynuacji przewrotu wolnorynkowego, a po drugie, że jest aprobowanym przywódcą. W jaki sposób został przekonany, żeby się usunął – tego nie wiem. To mnie przypisywano tę zasługę – niesłusznie. Ale jakoś tam nad Rakowskim pracowano, on w pewnym momencie się obruszył, obraził, jak to on, i wycofał.

– *A Pan? Jak powstała nowa partia, nie czuł się Pan odepchnięty na bok?*

– Nie. Dlatego że miałem poczucie, że jestem wśród założycieli, ponieważ po ogłoszeniu powstania SdRP odbyła się kolacja w wąskim gronie – Kwaśniewski, Rakowski, Miller, ja. No i czułem się w tym gronie, jak to się mówi, dopieszczony. Po drugie, w tym początkowym okresie, byłem tam czynny. Po trzecie, rozumiałem, że jestem twarzą nie do zniesienia. Że nie mogę być na pierwszej linii, kiedy przychodzą zmiany. Już zresztą Rakowski chciał się mnie pozbyć jako rzecznika, i on to zrobił, tylko nikt tego nie zauważył.

– Konferencje zaczął prowadzić Zbysław Rykowski.

– Ale on nie został rzecznikiem, tylko zastępcą rzecznika… Mnie nikt formalnie nie odwoływał, byłem ministrem bez teki do spraw kontaktów ze społeczeństwem, byłem rzecznikiem Okrągłego Stołu, byłem przewodniczącym Radia i Telewizji, czyli jakby moja pozycja została formalnie szalenie wzmocniona, natomiast faktycznie osłabiona. Bo przestałem prowadzić te konferencje prasowe, ale i tak do mnie przychodzili dziennikarze, i tak sądzono, że dalej jestem rzecznikiem, a ja sam nie widziałem, czy nim jestem, czy nie. A mój zastępca Rykowski, uroczy mądry człowiek… I prawie nigdy się z prasą nie spotkał. Miał się zacząć Okrągły Stół, więc oczywiście chciano mnie schować. Ale okazało się, że dziennikarze do mnie przychodzą, ci najważniejsi... Ale jesteśmy przy narodzinach SdRP.

– Przy kolacji…

– Więc odbyła się, pod wodzą Kwaśniewskiego kolacja, gdzieśmy wszyscy wypełnili deklaracje członkowskie i ugłaskali Miecia. Wkrótce odbyło się pożegnanie Trybuny z Ludem, to była w ogóle jakaś nieszczęsna afera, bo ja jeszcze na posiedzeniu Biura Politycznego PZPR, kiedy było specjalne posiedzenie dotyczące „Trybuny", błagałem i przekonywałem, że wszystko można zmienić, tylko nie tytuł, który ma ciągle milion czytelników. Że zmienia się treść, ale nie zmienia się logo, A oni zmienili logo, nie zmieniając treści, i od tego zaczęły się wszystkie nieszczęścia „Trybuny". Ale w każdym razie, na pożegnanie Trybuny z Ludem przybył Kwaśniewski, i wtedy pokazał klasę. *– Nie złościło Pana, że jako lider SdRP wdzięczy się do ludzi ze środowiska Unii Demokratycznej, a was traktuje wstydliwie?*

– Ale myśmy sobie zdawali sprawę z tej przemiany, że przywódca nowej socjaldemokracji musi w jakiś sposób separować się od komuchów, czego on nie robił w jakiś sposób radykalny, bo przecież otoczony był starymi towarzyszami. Że musi dogadywać się z tymi, którzy mają władzę i coraz więcej tej władzy. Że musi się lokować w nowym ustroju i że to wymaga zmiany oblicza. Zresztą, on już wcześniej te kontakty nawiązywał, i osobiste przyjaźnie, które później mu owocowały.

– Czyli najpierw uwiódł Rakowskiego i Jaruzelskiego, a potem zabrał się do Michnika…

– To nie raziło! Szczególnie, że plan Balcerowicza był wprawdzie krytykowany przez lewicę, ale *de facto* akceptowany. Bo przecież w głosowaniach lewica była za, traktowaliśmy to jako bolesne, ale mądre

i niezbędne wykorzystanie sytuacji politycznej, do przemian, które trudno byłoby inaczej przeprowadzić. Tutaj odgrywały też rolę kwestie dobra kraju, że tak się szumnie wyrażę. Kwaśniewski świetnie to rozumiał. Z jednej więc strony starał się zachować, przez gadanie, jakąś odrębność lewicy, ale z drugiej strony ta lewica, którą reprezentował Rakowski, i ja też, miała świadomość, że wszystkie połowiczne reformy typu konwergencji, nie mają szans i sensu.

– *Że trzeba od razu, jak proponował Balcerowicz.*

– Myśmy to rozumieli lepiej niż ktokolwiek, bo przecież te różne reformy próbowaliśmy robić, i to wszystko okazywało się niemożliwe. Bo niemożliwa jest, i w praktyce to odczuwaliśmy, gospodarka półrynkowa. Pamiętam na posiedzeniu rządu, gdzie Jaruzelski wspierał Bakę przeciwko tym Szałajdom i innym, ale jednocześnie mówił: „No dobrze, ale byłem w zakładzie, gdzie stoją japońskie automaty za miliony dolarów, one są nieczynne, bo przeszkolona do ich obsługi operatorka założyła kiosk z kwiatami. Trzeba wydać jakieś zarządzenie dyscyplinujące, żeby ona wróciła". To znaczy, że on nie rozumiał, że trzeba stworzyć gospodarkę, w której bardziej będzie się opłacało stać przy nowoczesnym automacie! Takie to było rozumienie reform. Sprowadzając to do Kwaśniewskiego – to było już nowe pokolenie, rozumiejące mechanizmy, wobec których stare pokolenie – przy całej dobrej woli, żeby to zmieniać, przyzwoleniu Gorbaczowa – było dosyć bezradne. Ciągle myślące kategoriami, że wyślemy dywizję wojska, żeby nieużytki zasiać, albo żeby odebrać urzędom telefony i dać ludziom.

– *Mamy pierwszą połowę lat 90. Kwaśniewski prowadzi SLD, a Pan jest zepchnięty, może nie towarzysko, ale oficjalnie – na bok. Pamiętam ten strach, gdy Pan przyszedł w 1993 roku z butlą szampana na Rozbrat, świętować wygrane wybory. Oni Pana gdzieś chowali. Pamięta Pan tamten czas?*

– Pamiętam. Czułem się normalnie. Wcześniej sobie wyobrażałem, że jak przejdzie ten Okrągły Stół, to zostanę naczelnym „Szpilek". Tak to sobie wymyśliłem, i to sobie załatwiałem z góry. Bo wiedziałem przecież, że jako rzecznik – usta stanu wojennego, nie nadaję się do nowego etapu. Ale po wyborach czerwcowych okazało się, że ja nie tylko nie mogę być szefem „Szpilek", ale w ogóle nie mogę w tym zawodzie pracować! Dla solidarnościowej prasy jestem diabłem, a dla postkomunistycznej obciążeniem, bo zagrażam posadom tych, którzy zostali i się trzęśli o te posady.

– *Pisał Pan więc książkę, zakładał „Nie”.*

– Ale nie miałem żadnego poczucia odsunięcia, szczególnie dlatego, że w sensie towarzyskim i dyskusji nieformalnych byłem w klanie. Jak była drażliwa sprawa, na przykład tych ruskich pieniędzy, to żeśmy się zamykali w trzech czy czterech w hotelu na Rozbrat, w jakimś pustym pokoju, i debatowali, jak z tego wyjść. Więc czułem się dowartościowany. Później „Nie” zaczęło być wielkim, silnym lewicowym pismem, masowo czytanym, więc moja pozycja przez to rosła. Bo już miałem wpływ na wynik wyborów, dla Kwaśniewskiego byłem ważny jako dysponent wtedy najsilniejszego środka przekazu, jakim lewica dysponowała. I miałem dosyć wtedy gęste stosunki towarzyskie z Kwaśniewskim, nawet byliśmy sąsiadami w Zatoce Czerwonych Świń. A potem on został prezydentem.

– *I wasze kontakty się rozluźniły…*

– Siłą rzeczy. Ale ja bywałem u Kwaśniewskiego. Czasem on mnie wzywał, czasem ja się wpraszałem, żeby wyrażać swoje opinie w jakiejś sprawie publicznej. On był zawsze serdeczny, ujmujący, chodziłem na te jego przyjęcia mniejsze i większe. Aż doszło do, jakby to powiedzieć, konfliktu. Tylko nie bardzo to się nadaje do laurki…

– *A to było poważne?*

– Gdy Kwaśniewski poleciał do Chin, do Korei, gdzieś tam na Daleki Wschód, to poleciała też z nim Górniak, ta co śpiewa. No i natychmiast pojawiły się na ich temat pogłoski… Chciałem to sprawdzić w „Nie”. I potwierdziliśmy, że nocowali w jednym hotelu, podczas międzylądowania na Syberii. Ale to wszystko było za mało. W tym czasie byłem na przyjęciu wywiadu, i tam spotkałem Marka Dukaczewskiego, który był w Chinach z Aleksandrem. Więc go zagadnąłem: niech pan tylko kiwnie głową, czy Górniak tak, czy nie. A on nie kiwnął głową, tylko roześmiał się i odszedł. Ja to uznałem za drugie pośrednie potwierdzenie i dałem to do gazety. Kwaśniewski od razu mnie zaprosił i dawał słowo honoru, że nigdy, że nie. A poza tym, skąd ja to wziąłem? No to mu powiedziałem o Dukaczewskim, taki idiota byłem. Tam się piekło rozegrało, Dukaczewski do dziś ze mną nie chce gadać. Doszło to też do Joli… Ale to było jeszcze małe piwo.

– *O!*

– Był bal arystokracji. Do redakcji, do któregoś z moich zastępców, zadzwonił prezes Orlenu, że Kwaśniewska naciska na niego, żeby dał pieniądze na bal arystokracji w Wiśniczu. A on nie chce dać, a boi się nie dać. W końcu dał jakąś mniejszą sumę… Więc dotarłem z tym do

Kwaśniewskiej. Ona – że bal charytatywny! Ja na to: taki charytatywny, że Orlen płacił za szampana dla arystokracji! Co ty wyprawiasz? To ona obraziła się śmiertelnie, co ja od niej chcę. No, a dalej było tylko gorzej. Ale już zapomniałem, co było dalej. Ona nie rozumiała, że jak ja z tym do niej przychodzę, a nie piszę, to przychodzę jako przyjaciel, a nie jako napastnik. Dosyć, że stosunki z Kwaśniewskimi znikły.

– *Obsadził się Pan w roli przyjaciela domu prezydenckiego…*

– W artykułach w „Nie" zacząłem zajmować się Millerem. Bo Miller Kwaśniewskiego naśladował, ale z przesadą. Byłem uczestnikiem słynnego sylwestra w Zakopanem. Co tam się działo! Te tłumy nie mogły dojechać na tę polanę, gdzie się odbywał koniec sylwestra, i setki sań utknęły w korkach, jakaś kobieta tam mdlała, nie mogła dojść w tych zaspach… Miller też mnie zaprosił do siebie i nagadał w jakiejś sprawie na Kwaśniewskiego, miał pretensje o nielojalność. Nie pamiętam, ale dotyczyło to spraw poważnych. Potem premier i prezydent w moim towarzystwie zebrali się u mnie w domu, i sobie wyjaśniali dużo rzeczy. Wpierw się kłócili, a potem się pojednali i pocałowali. Potem byłem sojusznikiem Kwaśniewskiego w walce z Millerem, który zaczął robić rzeczy rzeczywiście złe. Zaczęło się od tych barów mlecznych i ulg na dojazdy dla studentów. O ile bary mleczne to głupota, dojazdy to głębsza rzecz, bo to oznacza elitaryzację wykształcenia. Ale to dalej szło! Do mnie dochodziły konkretne sprawy, w zaufaniu mi podawane. Więc pisałem bardzo krytycznie o Millerze, o systemie funkcjonowania SLD.

– *Jak toczy się życie Kwaśniewskiego po prezydenturze?*

– Jak najgorzej. Jak kończyła mu się druga kadencja, to proponowałem, żeby abdykował na rzecz Borowskiego, który wtedy był marszałkiem Sejmu, i stanął na czele SLD, przed wyborami, żeby zrobić wynik i zostać premierem. To on mi na to powiedział, że byłemu prezydentowi nie wypada zostać premierem. Ja mu na to: Olek, prezydentowi byłemu nie wypada wziąć władzy w kraju? Co to za dworskie tezy? Czujesz się kuzynem królów? On na to: Nie, to jest psychologicznie niemożliwe. Później, jak go widziałem, to namawiałem do wielu rzeczy, ostatnio, żeby stanął na czele Europy Plus.

– *Stoi przecież.*

– Stoi, tylko nie stoi. W ogóle zrobił się człowiekiem niepoważnym, bo rozmawia to z Millerem, to z Palikotem, każdemu obiecuje, i ucieka, albo na jakieś konferencje, albo jeździć na nartach. Po prostu, nie chce

uczestniczyć w życiu politycznym. Wolno mu! Tylko zamiast powiedzieć – dziękuję, żegnam, ciągle tworzy jakieś wrażenia, że on tutaj coś robi. A równocześnie, martwię się o niego, bo jestem naprawdę przywiązany do Kwaśniewskiego – że jego ciężar gatunkowy i w kraju, i w świecie niknie. Że albo się czymś zajmuje, w kraju, w Europie, na polu społecznym, czymkolwiek ważnym, albo idzie w zapomnienie. Ale taką drogę wybrał. Wyobraźmy go sobie za dziesięć lat… On może być wesołym staruszkiem, ale niedocenionym, niezapraszanym i uważającym, że mu się krzywda stała, bo przecież jest mądrzejszy niż wszyscy inni.

– Piszemy mu laurkę, a Pan mu szpilki wsadza…

– No to powiem, że zapisał się w historii w sposób szczególny, bo odegrał istotną rolę przy Okrągłym Stole, stworzył partię lewicy, która zdołała po trzech latach wygrać wybory, wygrał dwukrotnie wybory prezydenckie, w tym raz bez drugiej tury. Aktywnie wprowadzał kraj do NATO i Unii Europejskiej. I uznany został powszechnie za najlepszego prezydenta Polski. Można by powiedzieć – wszech czasów – bo Mościcki i Wojciechowski nie mają żadnego splendoru. Odszedł w chwale, a jeszcze przed tym zrobił konstytucję, która zdała egzamin. Jak na jednego człowieka to sporo.

– A Pan chciałby od niego jeszcze więcej. Może chce po intensywnych latach trochę spokoju?

– Rozumiem to. Ale niech przestanie udawać, że jest inaczej.

Gdzie tu obłość? Nie widzę jej. Widzę odwagę. Ale rozwagę też

Rozmowa ze Stanisławem Cioskiem

ROBERT WALENCIAK: Jak Pan widzi czas prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego, z perspektywy lat?

STANISŁAW CIOSEK: Aleksander Kwaśniewski ukształtował model prezydentury bezpartyjnej. Narzucił ten ton. I teraz wszyscy następcy, ale i Lech Wałęsa, są do tej prezydentury przyrównywani.

– I jak?

– Na pewno Wojciech Jaruzelski realizował model prezydentury nieagresywnej, współpracującej, niepartyjnej… Wałęsa, co prawda, też nie uprawiał prezydentury partyjnej, ale za to – własną. Chciał rządzić twardą ręką. Kwaśniewski narzucił pewien ton prezydentury demokratycznej. Gdzie rząd rządzi, ale prezydent nie jest emanacją stronnictwa politycznego, z którego się wywodzi, tylko jest „ojcem narodu", ponadpartyjnym. Taką prezydenturę zostawił w spadku Lechowi Kaczyńskiemu, który, tak na mój ogląd, próbował wyrwać się spod tego meldunku, który złożył bratu po wyborach – „prezesie, melduję wykonanie zadania". Był inny niż Jarosław Kaczyński. Chciał ukształtować inną tożsamość prezydentury. No i teraz Komorowski, który też próbuje nawiązywać do modelu, który zainicjował Aleksander Kwaśniewski.

– To także widać w staraniach i Lecha Kaczyńskiego, i Bronisława Komorowskiego, jeśli chodzi o politykę wschodnią. Ten fragment działań Aleksandra Kwaśniewskiego obserwował Pan z perspektywy doradcy do spraw międzynarodowych i polityki wschodniej najdokładniej…

– Już w początkach mojej pracy w Kancelarii Prezydenta miało miejsce charakterystyczne zdarzenie. Otóż na linii Rosja–Polska pojawiło się kolejne napięcie i któraś z tamtejszych gazet poprosiła prezydenta o wywiad. Już nie pamiętam, czy była to „Rossijskaja Gazieta" czy „Kommiersant"… Przesłali nam pytania, były bardzo poważne, trudne…

Napisałem na nie odpowiedzi, bo taki był zwyczaj, że pracownicy Kancelarii takie rzeczy przygotowywali. One służyć miały prezydentowi jako podpowiedź, on miał im nadać ostateczny kształt. Napisałem sześć bitych stron odpowiedzi i posłałem do działu prasowego. Za pięć minut telefon: panie ambasadorze, oddajemy do druku.

– *Zamurowało Pana?*

– Ale zapytałem: a co prezydent? „Byłam u prezydenta, zaniosłam". „Czytał to?" A dziewczyna z biura prasowego mówi: nie czytał, tylko zapytał, kto to napisał. Powiedziałam, że pan ambasador, a on jak to usłyszał, to kazał drukować. W ogóle na to nawet nie spojrzał.

– *Co Pan na to?*

– Chryste Panie! – zawołałem. Niech pani to przyniesie do mnie z powrotem! I zredagowałem ten wywiad. Ważyłem każde słowo, wiedząc, że nietrafionym mogłem wywołać polsko-rosyjską awanturę. I tak ten dwór pracował dla prezydenta. Kwaśniewski ufał współpracownikom, a ci odpłacali mu lojalnością i maksymalnym staraniem. Nie pamiętam, by w ciągu całych dziesięciu lat wystąpiła jakaś krytyczna sytuacja z przyczyny prezydenckiego personelu.

– *Skąd prezydent wiedział, że w tym wywiadzie udzielił Pan trafnych odpowiedzi?*

– Dlatego, że dobrze wiedziałem, o co prezydentowi chodzi. I on to wiedział.

– *A o co prezydentowi chodziło?*

– Chciał dobrych stosunków z Rosją, rzeczywiście. Ale nie za wszelką cenę. To zresztą Ukraina potem pokazała.

– *Chciał dobrych stosunków, i tych dobrych stosunków nie było. Dlaczego polityka wschodnia nie wychodziła? Dlaczego stosunki polsko-rosyjskie były średnie?*

– Może by Pan zmienił czas? I zapytał – dlaczego one nie wychodzą? Bo rzecz trwa. Otóż, te stosunki nie wychodzą nam z zasadniczego powodu, ze sprzeczności, które występują pomiędzy nami. I te sprzeczności będą jeszcze długo występować. One są większe z punktu widzenia rosyjskiego, niż z naszego. To widać najwyraźniej w przypadku Ukrainy.

– *Był Pan podczas pomarańczowej rewolucji w ekipie Kwaśniewskiego…*

– Byłem w ekipie dyplomatów, których – i to też wskazuje na politykę rozumną Kwaśniewskiego – zanim sam się zaangażował w rozwiązanie

konfliktu, posłał na Ukrainę, by na miejscu zbadali sprawę. I żeby odpowiedzieli na pytanie – czy polski prezydent powinien w to się mieszać? Czy są szanse na rozwiązanie problemu? Żeby się nie sparzyć, bo przecież angażujemy autorytet państwa! Byliśmy tam pięć czy sześć razy, bez przerwy w samolocie, po nocach… Z kim żeśmy tam nie rozmawiali! Ze wszystkimi! Nie raz. Wykuwaliśmy kompromis, i w końcu nasza odpowiedź była taka – trzeba interweniować, sytuacja się niebezpiecznie zaognia, ale są szanse.

– *Prezydent na to czekał?*

– Cechą charakterystyczną Kwaśniewskiego było, że bardzo sprawnie potrafił wykorzystywać instrumenty, które miał do dyspozycji. W naszym przypadku po to, żeby nie zrobić fałszywego kroku. To, co robiliśmy, było tajne, w głębokiej tajemnicy tam jeździliśmy. Kwaśniewski posłał zwiad. Więc potem nie jechał na ślepo. Rozumne to było. Świadczyło o jego przezorności politycznej.

– *Ale tym samym śmiertelnie zadarł z Rosją.*

– Jakiś czas wcześniej Kwaśniewski udzielił wywiadu jednej z amerykańskich gazet, albo to był „New York Times", albo „Washington Post". A kluczowe w nim zadanie było takie, że lepsza jest Rosja bez Ukrainy niż z Ukrainą.

– *Lepsza dla kogo?*

– Dla świata, dla samej Rosji, dla wszystkich. I ta wypowiedź spowodowało straszny gniew Moskwy, spotkała się ze złym przyjęciem. Ale ja tego zdania, myśli w niej zawartej, broniłem, bronię, i bronić będę, gdyż uważam, że to była kluczowa sprawa.

– *Na Kremlu też tak pewnie uważali.*

– W czasie tych naszych tajnych peregrynacji rozmawiałem z Wiktorem Czernomyrdinem, ambasadorem Rosji w Kijowie, byłym premierem. Na stojąco ze mną rozmawiał, nawet filiżanki kawy nie podał, *rugatielny metod*. I to zdanie z wywiadu Kwaśniewskiego było lejtmotywem tej awantury. Ale już następne z nim spotkania były lżejsze. Albowiem rozumnie Aleksander Kwaśniewski zdecydował, żeby do tego ukraińskiego okrągłego stołu również doprosić Rosjan. Więc był ich szef Dumy! Przy tym okrągłym stole. Też rozumnie postąpili, posyłając wysoką polityczną figurę. Chyba zaczęli się przekonywać, że nasze intencje nie są antyrosyjskie. Zdanie zaś, że lepsza Rosja bez Ukrainy, ma głęboki sens. Wynikający z tego, że jak się prześledzi historię upadków imperiów w nowoczesnych

czasach, to widać, że te imperia, które postanowiły się skoncentrować na rozwoju metropolii, samych siebie, zostawiając kolonie – rozkwitły. A te, które broniły stanu posiadania, brnęły w upadek…

– *To dotyczy też Rosji?*

– To samo jest z Rosją, która ma gigantyczne możliwości, ludzkie i przyrodnicze. Infrastrukturę, fabryki, wszystko. A kapitał główny ma w mądrych i wytrzymałych ludziach. I gdyby się skoncentrowała na metropolii, na samej Rosji właściwej, może kwitnąć! A terytorium? Jego starczy aż z nadmiarem. Po co im więcej? Tak właśnie pytałem Czernomyrdina, wtedy, na stojąco: o co wam chodzi z tą Ukrainą? Dlaczego tak się wściekacie? Złoto jest na Ukrainie? Ropa naftowa? Ziemia? W swojej ziemi macie *skolko ugodno*. Więc nie widzę powodów, dla których jest to dla was ważne. I w końcu, po takiej kłótni, on nie wytrzymał i z dna duszy: a Ruś Kijowska!? *Eto miesto naszego rożdienija!* Widać było, że to są tylko emocjonalne historie. Więc jak pan rozbierze te wszystkie elementy, kawałek po kawałku, zważy, to wyjdzie na to, że Kwaśniewski miał rację.

– *Kwaśniewski lubił Wschód? Czuł tamte klimaty?*

– Czuł. Choć zawsze było widać, skąd jest. Jak to u przemożnej większości Polaków – każdy z nas jest, czy też chce być człowiekiem cywilizacji śródziemnomorskiej, więc owszem, kochamy braci Rosjan, ale chcemy być częścią kultury i cywilizacji zachodniej. Ten krąg cywilizacyjny wybraliśmy, w nim czujemy się dobrze, co wcale nie znaczy, że nienawidzimy Wschodu czy też nim pogardzamy. I taki był właśnie Kwaśniewski. Nie wdawał się w niepotrzebne konflikty, potrafił nawiązać wspólny język i z tymi z Zachodu, i z tymi ze Wschodu, ale przecież umiejscowił Polskę w strukturach organizacyjnych Zachodu. I to było o tyle autentyczne, że był kiedyś w PZPR. Był człowiekiem lewicy. I to polska lewica zakotwiczyła nasz kraj w zachodniej części świata.

– *Jak się dogadywał z Ukraińcami?*

– Świetnie! On mówi, po pierwsze, dobrze po rosyjsku. Z polskim akcentem, co ma wiele uroku. Ale nie tylko znajomość języka mu pomaga. Kwaśniewski świetnie rozumiał kompleksy ludzi na Wschodzie, ich poczucie i niższości, i wyższości wobec Zachodu, bo to jest taka mieszanka.

– *Niższości i wyższości?*

– Dlaczego niższości? Jak już tacy wielcy, na przykład, z moich moskiewskich czasów, czołowi demokraci z wielkoruskim zacięciem, dopiekli mi w rozmowach, dyskusjach, że oni mają swoją wartość i że nie będą

Zachodowi służyć, to bezczelnie odpowiadałem, a pokaż człowieku krawat, jaki masz! Zawsze to był włoski albo francuski. Garnitur? – z Zachodu. Buty jakie masz? A dzieci na studiach gdzie są? Poddawali się. W tym sensie, kultury materialnej, ulegali wyższości cywilizacji zachodniej. Natomiast byli głęboko przekonani, do tej pory to trwa i się utwierdza, że to oni mają rację.

– *To znaczy…*

– Gdy mowa jest o wartościach, o prawach człowieka, oni są głęboko przekonani, że to oni mają rację. A nie ten zgniły, skonsumeryzowany Zachód, który ponad tysiąc lat temu odszczepił się od prawdziwego nurtu. Oni uważają, że pierwiastki rzeczywistych wartości przechowywane są na Wschodzie. W ich świadomości. Więc gdy widzimy Putina w jego konkretnych zachowaniach, wobec Pussy Riot, wobec gejów, to trzeba to czytać nie w tym sensie, że to są zachcianki satrapy, dyktatora, tylko rzeczywiste poglądy szerokich kręgów społecznych. Jest coś u Rosjan takiego – że być może nasze buty są gorsze, nasze garnitury są gorsze, ale my jesteśmy lepszymi ludźmi. Tak Rosjanie uważają. To jest głębokie ich przekonanie. I Kwaśniewski to rozumiał. On rozumiał tę dwoistość duszy. I nie widziałem ani razu, żeby nadepnął na wrażliwość, czy to rosyjską, czy ukraińską, czy białoruską. Był człowiekiem dobrze wychowanym, i to dobre wychowanie owocowało potem w wielkiej polityce. Zachowywał się w sposób naturalny, niektóre tematy zręcznie omijał, umiał rozmawiać tak, żeby nikogo nie urazić. To było cenione.

– *A jak przekonał Janukowycza?*

– Długo z nim rozmawiał.

– *Postawmy się w sytuacji Janukowycza – wygrał wybory, Rosja mu gratulowała zwycięstwa, a tu ktoś przyjechał i mu mówi, że nie jest prezydentem, że ma się wycofać…*

– Kwaśniewski tak mu nie mówił. Tylko mówił: wyjrzyj przez okno, na te tłumy, na ten plac, gdzie setki tysięcy ludzi są przeciwko tobie. Dlaczego? Takie było myślenie i sposób dialogu. Kwaśniewski nie mówił – ty jesteś samozwaniec, oszust. Tylko argumentował – patrz, odrzucają cię. Na marginesie, w tamtych dniach niedźwiedzią przysługę Janukowyczowi wyświadczyli Rosjanie. Naciskali, wręcz jawnie… Popełnili kolosalny błąd. Gdy miałem okazję rozmów na ten temat, ostrzegałem wielokrotnie, tłumaczyłem, że Ukraińcy mają swoją osobowość, tożsamość, to nie są Rosjanie. A oni wciąż mówili – młodsi bracia… Jacy młodsi

bracia? Są równi! Ukraina ma swoją dumę. Rosjanie tego nie rozumieli, a Kwaśniewski rozumiał. Że Ukrainiec to nie Rosjanin. Że nawet ci ze wschodniej Ukrainy, choć mówią po rosyjsku, czują się Ukraińcami, a nie Rosjanami.

– *Wiedzieliście, że zaangażowanie się w pomarańczową rewolucję wywoła zimną wojnę z Rosją?*

– Mieliśmy tego pełną świadomość. Wymienialiśmy dosyć twardo brzmiące komentarze, wiedzieliśmy, na jaką wojnę idziemy. Ale myśmy nie chcieli ubić tego niedźwiedzia. Tak naprawdę robił to Kwaśniewski dla dobra tego niedźwiedzia. Te wszystkie interpretacje, że to wszystko było przeciwko Rosji, to bzdura! Bo Ukraina dla wielkości Rosji nie jest potrzebna. Głupoty opowiadają ci wszyscy komentatorzy, że Rosja bez Ukrainy nie będzie mocarstwem. A dlaczego nie?

– *Gdyby Janukowycz wtedy nie ustąpił, mielibyśmy wojnę domową na Ukrainie…*

– Mielibyśmy. To był przedmiot naszego raportu, że gdybyśmy się nie wtrącili jako Polska, Aleksander Kwaśniewski jako prezydent, to Ukrainie groził przelew krwi. Ewidentny! To byłaby straszna cena. Na szczęście, Kwaśniewski zatrzymał swoją postawą użycie siły. Byłem przy tym. Widziałem to. Doszły do nas wiarygodne słuchy, że zapadła decyzja o użyciu siły. Natychmiast zadzwonił do ministra spraw wewnętrznych. I wykrzyczał, że będzie miał krew na rękach! I mówił to nie tylko w swoim imieniu, nie tylko Polski, ale świata. Miał taki mandat. I wycofano ten rozkaz. Widać trafiliśmy na właściwy numer telefonu.

– *Wielkość polityka poznaje się w chwilach wielkich…*

– Słyszałem zarzuty, z ust różnych „oceniaczy", że Aleksander Kwaśniewski jako polityk był obły, że nie łapał byka za rogi. Że był to klasyczny polityk, który jak spotyka przeszkodę, to nie weźmie jej łbem, tylko obejdzie. Że dużo zostawiał za sobą niezałatwionych spraw. Cóż mogę na to powiedzieć – być może, ileś niezałatwionych spraw zostawił następcom. Ale nie tych kluczowych! Bo w ich rozwiązanie się angażował. A dla nas kluczową sprawą, fundamentalną, było nasze sąsiedztwo ze Wschodem. Zachodnie rozstrzygnęliśmy, wstępując do struktur zachodnich, do NATO, do Unii Europejskiej. Wschód był kwestią otwartą. I proszę, najtrudniejszą sprawę, sprawę Ukrainy, Kwaśniewski wziął na rogi! Gdzie tu obłość? Nie widzę jej. Widzę odwagę. Ale rozwagę też.

Lubię uczyć się od ludzi mądrych

Rozmowa z Izabellą Sierakowską

ROBERT WALENCIAK: Kiedy Pani poznała Aleksandra Kwaśniewskiego?

IZABELLA SIERAKOWSKA: Aleksandra z widzenia znałam wcześniej. Ale twarzą w twarz to stanęliśmy w 1989 roku. Po czwartym czerwca. Po wyborach do półdemokratycznego Sejmu. Jak zostałam posłem, miałam przyjemność go poznać. Wtedy zaczęliśmy się zastanawiać, co zrobić z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą. Dyskutowaliśmy! Ile godzin! I potem było rozwiązanie – powstała Socjaldemokracja Rzeczpospolitej Polskiej. I tak się zaczęła… Trudno to nazwać przyjaźnią, ale mogę powiedzieć, że tak się zaczęła moja dobra, przyjacielska znajomość z Aleksandrem Kwaśniewskim.

– *Kłóciliście się?*

– Miałam zawsze swoje zdanie. Ale z tego, co pamiętam, nawet w chwilach napięcia, zawsze się uśmiechał. To były dobre czasy, do dzisiaj je wspominam. I szkoda, że to już nie wróci. Szkoda, że ci ludzie, którzy są dzisiaj w polityce, nie przeżywają tego, co myśmy przeżywali. To jednak było coś fajnego. To nie była przygoda z polityką, to była przyjaźń z polityką, bo to była dobra polityka.

– *Dlaczego?*

– Zna pan Aleksandra i wie pan, że dla niego każdy człowiek był ważny. Tak nie jest dzisiaj – z wielkim szacunkiem dla pana premiera Tuska, ale odpycha on od siebie ludzi. Odpycha tych uzdolnionych, ambitnych, uważając, że oni mogą mu zagrozić. Aleksander Kwaśniewski jest jego przeciwieństwem, jest na tyle pewien swoich umiejętności i swojej wiedzy, że nie musi udowadniać komukolwiek swej przewagi, i przyciąga ludzi. Otaczał się ludźmi, którzy coś potrafili zrobić, nie myślał, że ten może mu zagrozić, czy tamten może mu zagrozić, tego w ogóle nie było w tamtej polityce. To było ciekawe! I każdego potrafił ustawić w odpowiednim miejscu.

– *Jak ustawiał?*

– Przecież wszyscy pamiętają – w tamtej partii każdy miał swój obszar działania, nie było specjalistów od wszystkiego. Swoje sprawy miał Józef Oleksy, swoje Miller, Cimoszewicz jeszcze inne, Sierakowska – inne. Każdy z nas miał wyznaczone zadanie, obszar, w którym był specjalistą. Gotowym ministrem!

– *To budowało polityka…*

– I to było fajne. Spotykaliśmy się i rozmawialiśmy, kłóciliśmy się. Tak! Tak było. Leszek Miller szczególnie, zawsze był bojowo nastawiony… Ale siła Aleksandra polega na tym, że potrafił wysłuchać. I nie tylko wysłuchać. Bo potem potrafił przedstawić takie argumenty, że rozmówcy, ludzie, którzy z nim współpracowali, mówili – „o co chodzi? Przecież on dokładnie mówi to, co sam przed chwilą mówiłem! Tylko trochę inaczej! Ale chodzi mu o to samo!" To jest piekielna umiejętność… Już kiedyś o tym mówiłam, że Aleksander to znakomity manipulator. To majstersztyk, że tak potrafił kierować ludźmi, że oni jego racje uznawali za swoje. I tak przecież było. Kłóciliśmy się. A potem wychodziliśmy z jednym stanowiskiem. I nie dlatego, że ktoś został przymuszony, że ustąpił dla świętego spokoju albo ze strachu. Nie! To jedno stanowisko było dlatego, że wszyscy je podzielali. Byli do niego przekonani. Taką partię Aleksander Kwaśniewski stworzył.

– *Nie złościło to Pani? Te jego uniki, kompromisy?*

– Nie! Nie złościło mnie to absolutnie, dlatego że wiedziałam, że to jest polityka.

– *Tak od razu?*

– Nie! I dlatego chylę czoła przed Aleksandrem, że to wszystko tak dobrze ustawił. Przecież weszłam do polityki zupełnie zielona! Taka byłam zielona jak szczypiorek na wiosnę! Co mogłam o niej wiedzieć? Byłam zwyczajnym nauczycielem, który pracował w ZNP. Robiłam politykę, ale oświatową. To polegało na tym, żeby rozwiązywać problemy, a nie zaogniać. W tamtych czasach bardzo dobrze pracowało mi się na przykład z szefową nauczycielskiej „Solidarności". Od tego się zaczęło, a potem uczyłam się do Aleksandra. To znaczy nie – najpierw był bunt. Dlaczego ma być tak, a nie inaczej? Dlaczego mam się na to godzić? A potem człowiek przychodził po rozum do głowy – nie, on ma rację. On ma rację, że z nimi rozmawia, bo można wiele rzeczy dzięki temu rozwiązać. I to we mnie kiełkowało. Po dwóch kadencjach byłam już naprawdę innym

człowiekiem, zupełnie innym politykiem, wydaje mi się, że dzięki temu co robił Aleksander Kwaśniewski i ja stałam się dojrzałym politykiem. Lubię uczyć się od ludzi mądrych. A takich ludzi spotkałam na swojej drodze – Danka Waniek i Aleksander Kwaśniewski. Im zawdzięczam bardzo dużo.

– *Mówiła Pani, że Kwaśniewski obsadził każdego w SLD w jakiejś roli. Dał jakieś zadanie, obszar, którym miał się zajmować. Nie ma Pani do niego żalu, że Panią obsadził w roli twardej, czerwonej postkomunistki? Że grał Panią?*

– Nie mam żalu. Ktoś musiał taką rolę odgrywać. I to byłam ja. Przecież to była nasza siła, że Socjaldemokracja była wielobarwna. Od Millera do Borowskiego. Od Sierakowskiej do Oleksego.

– *Jak on to pogodził?*

– Umiał godzić. Już panu mówiłam – każdy miał swoje zadanie. Borowski zajmował się finansami, Kaczmarek przemysłem, Cimoszewicz – polityką zagraniczną, Miller – sprawami socjalnymi…

– *Jak w gazecie…*

– Każdy z nas coś tam miał. Ale w sumie dochodziliśmy do konsensusu. I to było widać w stanowisku Socjaldemokracji. To było widać jeszcze w czymś innym – Aleksander nikogo się nie wypierał, nie wyrzucał z sań. Każdy czuł się potrzebny, i czuł, że ma poparcie szefa. Więc rósł. Mówi się o dzisiejszej polityce, że czwarty garnitur, że ludzie miałcy. Jak mają być inni, jak od początku wychowywani są w potakiwaniu? U nas liczył się charakter, liczyła się wiedza – czy masz coś do powiedzenia i czy potrafisz swoje stanowisko obronić. Taka atmosfera nas zbudowała. No i to, że naprzeciw mieliśmy prawicę… Mądre było to, że jak już był SLD, ale jako ugrupowanie wyborcze, w skład którego wchodziło czterdzieści czy pięćdziesiąt podmiotów, to z każdym trzeba było umieć rozmawiać. I to było mądre.

– *Ale ile trzeba było mieć czasu i cierpliwości!*

– Ale to było mądre. Jak się przegadało jakąś sprawę, tak żeby uzgodnić wspólne stanowisko, to na nas nie było mocnych. Przyzna pan chyba, że byliśmy najsilniejszym merytorycznie klubem. Myślę o tym w pierwszej kadencji… I najbardziej zwartym – zewsząd nas atakowano, a my byliśmy zjednoczeni. I mocni. W ten sposób przyciągaliśmy innych – bo byliśmy fajną ekipą, otwartą na świat, nowoczesną, owszem, spierającą się, ale potrafiącą dojść z tym do ładu. Stąd mój bunt przeciwko partii SLD. Bo co prawda jak jest jedna partia – nie trzeba tracić czasu na

wielogodzinne gadanie, jest szybciej, bo można powiedzieć: tak ma być, i koniec. Ale co z tego?

– No to trzeba było namawiać go, by nie startował w wyborach prezydenckich. To może utrzymałby starą formułę.

– To dobrze, że startował, i dobrze, że wygrał. Polityk nie może stać w miejscu. A będąc prezydentem, dał Polsce więcej niż lider lewicy.

– Będąc prezydentem, przesunął się mocno do centrum.

– I słusznie. Miał inne zadania. Musiał więc rozmawiać, budować równowagę. Robił to bardzo zręcznie. Pan zwróci uwagę, jak bardzo przez dziesięć lat jego prezydentury zmieniła się pozycja Polski w świecie. I niech pan się zastanowi – czy kiedykolwiek w III RP lewica miała większe wpływy niż w czasach jego prezydentury?

– Ma Pani o coś żal do Kwaśniewskiego?

– Mam. Że nie bronił LiD-u. Że jak Napieralski z Olejniczakiem ten LiD rozwalali, on gdzieś zniknął, nie było go w kraju. I pozwolił im to rozwalić. Coś, co sam przecież budował, przez wiele lat, cierpliwie. LiD był dobrą inicjatywą, dawał szansę na polityczne życie lewicy, nie na egzystowanie w małym klubiku, ale na szeroki oddech. To był projekt na lata. I on go stworzył. A potem, sobie odpuścił, nie bronił. O to mam do niego żal.

To był prezydent, jakiego chciałam…

Rozmowa z Barbarą Labudą

ROBERT WALENCIAK: Wciąż pamiętam konferencję prasową z 1995 roku, w której poparła Pani Aleksandra Kwaśniewskiego…

BARBARA LABUDA: A w ogóle osobiście go nie znałam! Znałam go jako polityka, wiedziałam o nim wiele, znałam jego życiorys polityczny, którego cząstki całkowicie mi nie odpowiadały, znałam go jako posła. Ale z nim wcześniej nie rozmawiałam! Choć, jak go obserwowałam w Sejmie, to mi się bardzo podobały jego wystąpienia. Uważałam, że zachowuje się jak Europejczyk, jak demokrata.

– I dlatego go Pani poparła, gdy w pierwszej turze odpadł Jacek Kuroń?

– Byłam przerażona tym, że może wygrać Wałęsa! Uważałam, że jego prezydentura pchała Polskę w stronę bardzo konserwatywnego modelu, społecznego i politycznego. W kierunku autorytaryzmu. Wałęsa w międzyczasie zmienił się, ale wtedy stawał się złowrogą postacią. Oczywiście, dla nas, ludzi „Solidarności" był *hero*, ale jako prezydent się nie sprawdził, budował Polskę konserwatywną, zatęchłą, bardzo katolicką, hierarchiczną, wspartą na drapieżnym kapitalizmie. Drugi powód mojego sprzeciwu był związany z jego stosunkiem do spraw, na których mi zależało, na kwestii obyczajowej. W tym wypadku takim papierkiem lakmusowym było to, że zawetował ustawę przyznającą prawo do aborcji w Polsce. Liberalną.

– To Pani przedstawiała jej projekt w Sejmie.

– I Sejm ją przegłosował! To było w kwietniu 1994 roku. I to był jedyny raz, kiedy Sejm przegłosował liberalną ustawę, która dopuszczała u kobiet aborcję w pewnej sytuacji życiowej. Wtedy oznaczało to albo trudne warunki życiowe, materialne, albo także warunki psychiczne. Na przykład możliwość popełnienia samobójstwa. Sejm taką ustawę przyjął, a Wałęsa ją zawetował. Wstrząsnęło to mną. Zobaczyłam, że on będzie

wspierał Polskę kołtuńską, zatęchłą, absolutnie mi obcą. Ja byłam zwolenniczką państwa otwartego, tolerancyjnego, opartego na różnorodności, na silnych ruchach obywatelskich.

– *To zadecydowało – że Kwaśniewski…*

– Zadzwoniłam do trzech osób – do Giedroycia, do Herlinga-Grudzińskiego i do mojego teścia. Wiem, że jak na feministkę – to źle.

– *Że trzej mężczyźni…*

– Teść mnie zawsze wspierał, uważał, że słusznie postępuję. A do Giedroycia i do Herlinga zadzwoniłam dlatego, że pisali w „Kulturze" korzystne komentarze na temat mojej działalności politycznej, bardzo mnie wsparli w krytyce Kościoła, w walce o wolność światopoglądową. Uznałam, że powinnam ich poinformować, że chcę głosować na Aleksandra i go poprzeć, z szacunku dla nich, bez szukania poparcia. Giedroyc mi odpowiedział: nie znam dobrze sytuacji, jaka jest w Polsce, niech pani robi, jak pani uważa. W tym stylu mówili.

– *Wybór między Wałęsą a Kwaśniewskim był dla Pani wyborem między sercem a rozumem. Sercem – bo był to wasz Hero, rozum z kolei podpowiadał, by się przyjrzeć, jaką Polskę obaj kandydaci chcą budować…*

– Decyzję podjęłam z dnia na dzień. Wałęsa? Nie ma mowy! Ale jeżeli chcę poprzeć Kwaśniewskiego, to muszę to zrobić publicznie, bo po cichu nie ma sensu. I tak się stało, i zrobił się z tego wielki skandal. Część mojej rodziny na mnie się obraziła, przestała się do mnie odzywać. Zdarzyły się też takie dziennikarki, które uważały się za niezależne i które zadawały mi pytanie: czy pani nie wstyd poprzeć Kwaśniewskiego?

– *Nie jest to dziennikarstwo wzorowane na BBC…*

– Wtedy klasa dziennikarska była w przeważającej większości przeciwna Aleksandrowi, uważali go za mydłka, oportunistę, kombinatora, pajaca. Pamiętam te określenia! Była atmosfera niechęci, z wyciąganiem jego różnych słabych punktów! Dokuczano ludziom, którzy go poparli! Tak czy siak, oprócz mnie z „Solidarności" czterech moich kolegów zrobiło to publicznie – Andrzej Drawicz, Jerzy Milewski i Andrzej Bączkowski. Cała nasza czwórka podjęła tę decyzję niezależnie. Uznaliśmy, że Aleksander jest absolutnie godny poparcia, że odpowiada nam jego polityczne zachowanie. I że kampania jest prowadzona w brudny sposób. Bo każdemu można wyciągnąć jakieś potknięcie, i przedstawić w sposób perfidny. Ha! Wtedy, szczerze mówiąc, sądziłam raczej, że on te wybory przegra.

– *Naprawdę?*

– Była zorganizowana Inicjatywa 3/4. Uczestniczyło w niej wiele osób. Stworzono złowrogą atmosferę, pełną wstrętu, zohydzającą Aleksandra. Dlatego sądziłam, że przegra. Ale go poparłam. Tu chodziło o zasady.

– *I wygrał!*

– Podobno fakt, że myśmy go poparli, a byłam wtedy bardzo znaną polityczką, bardzo się do jego zwycięstwa przyczynił. Mówił mi to Sławek Wiatr: pół miliona przyniosłaś głosów! A o tyle mniej więcej przeskoczył Wałęsę. Więc myślę, że nasza czteroosobowa garstka mu pomogła. Wiem też, że wiele osób z solidarnościowym rodowodem głosowało na Aleksandra. Że wahali się, ale moja deklaracja… Bardzo się cieszyłam, że wygrał. Sama byłam zdziwiona tym, jak bardzo. Trzy dni się cieszyłam, razem z moim teściem, który też na niego głosował. I później zadzwonili do mnie, że prezydent chciałby się ze mną spotkać. I wtedy, jak się spotkaliśmy, zaprosił mnie do współpracy.

– *Co Pani zaproponował?*

– Powiedział, że mogę robić co chcę. Żebym stworzyła swoje autorskie biuro i wymyśliła sobie obszar działania. Zajęła się tym, co uważam za ważne i ciekawe. Dał mi kompletnie wolną rękę. Od razu odpowiedziałam, że dla mnie ważne są sprawy społeczeństwa i kultury. Wymyśliłam sobie biuro spraw społecznych, kultury i współpracy z organizacjami pozarządowymi, i tymi sprawami się zajęłam. Tak na *full time job*, z bardzo fajną ekipą. Jak sobie policzyłam, przez dziesięć lat pracy, zrealizowaliśmy kilkadziesiąt programów, prowadziliśmy więc po kilka programów naraz.

– *Wszystkie je Pani pamięta?*

– Oczywiście. Choć wiem, że ludzie pamiętają te najbardziej znane. Na pewno zalicza się do nich nasza kampania antynarkotykowa. Nie prowadziliśmy jej po to, żeby ludzi wsadzać do więzienia, tylko informacyjno-profilaktycznie, skierowana była do dzieci i młodych ludzi. Wszyscy pewnie pamiętają też akcję „Bezpieczna droga do szkoły".

– *Do dziś przed szkołami stoją przeprowadzający dzieci przez ulicę…*

– Z tej akcji jestem bardzo zadowolona. A zaczęła się tak, że w pewnym momencie mieliśmy niesamowitą liczbę wypadków dzieci w drodze do szkoły. Jakaś patologia. Musiałam się tym zająć. I, przy współpracy z organizacjami pozarządowymi, z rządem, przeprowadziliśmy wielki program „Bezpieczna droga do szkoły". Rząd zagospodarował część bezrobotnych, udało się to rozkręcić, było kilkadziesiąt tysięcy zatrudnionych, do

dzisiaj oni są na przejściach przy szkołach, jako „Aniołki Labudy". Bardzo mi przyjemnie, że tak to ludzie nazwali.

– *Później była akcja dożywiania dzieci…*

– Rozwinęliśmy to na wielką skalę. Były nagrody dla gmin, które wprowadzały dla dzieci w szkołach drugie śniadanie. Był też program „Bezpieczna kobieta" skierowany do kobiet pracujących w niebezpiecznych miejscach, bądź późno wracających do domu. Uczyliśmy je samoobrony, odpowiednich zachowań. Sukcesem była też akcja „Młodzi obywatele działają", która zachęcała młodych do brania udziału w życiu obywatelskim, demokratycznym. Mieliśmy programy nastawione na współpracę z Unią Europejską. A także nastawione na wyłuskiwanie młodych talentów, na młodzież uzdolnioną artystycznie. Początkowo program dotyczył młodzieży ze szkół podstawowych i średnich, później – także z wyższych. Współpracowaliśmy z rektorami wszystkich uczelni artystycznych w Polsce, to był program gigant! Najlepsi dostawali stypendia, stworzyliśmy też dla nich galerię, gdzie mogli prezentować swoje prace.

– *To była taka Polska w biegu, Polska, która chce do przodu, ambitna…*

– Tak! Stworzyliśmy też program „Co wiesz o Polsce?". Byliśmy we wszystkich gimnazjach i liceach. Mieliśmy też programy realizowane z artystami, z Andrzejem Żuławskim, z Piotrem Szulkinem, napisaliśmy Kartę Kultury. Aleksander w tym uczestniczył, dyskutował. Przychodziło kilkudziesięciu artystów na dyskusję z prezydentem, jak można wspierać kulturę, jakie są obowiązki państwa, jakie powinności prezydenta. Była też współpraca z różnymi społecznościami, mniejszościami. Przejechałam Polskę wzdłuż i wszerz, żeby – w imieniu Aleksandra – poznać tych ludzi. Bardzo często zwracali się do nas ludzie, dla których byliśmy ostatnią instancją, bo po drodze wszystkie instytucje ich odrzuciły. Dostałam kiedyś list zaadresowany: „Barbara Labuda. Minister do spraw pokrzywdzonych". Tylko tyle. A doszedł. Do dziś mam tę kopertę.

– *Prezydent interesował się tymi akcjami?*

– Bardzo nas wspierał. Chwalił to, co robiliśmy. Nie tylko mnie, ale i moich współpracowników. Wie pan, byłam przyzwyczajona w poprzedniej mojej formacji, że się nie chwali. Geremek nie chwalił. A tu raptem zetknęłam się ze stylem postępowania, który mnie zaskoczył i był bardzo miły, Aleksander, gdy coś udanie przeprowadziliśmy, dziękował tym, którzy to zorganizowali. To było bardzo sympatyczne – potrafił dostrzec

ludzi! I szalenie motywujące. Pracownicy sobie powtarzali: prezydent zauważył, podziękował…

– Dla mnie zagadką jest co innego – jak Pani, osoba niezależna, kipiąca energią, wytrzymała tyle lat bądź co bądź w urzędniczej strukturze?

– Wcześniej, jak pracowałam, w zasadzie nie miałam szefa. W Sejmie nie ma hierarchii, w polityce też zawsze można odejść, a tu znalazłam się w strukturze hierarchicznej. Ale rzecz w tym, że z Aleksandrem dobrze się współpracowało. Nie miałam z nim żadnych konfliktów, i mam nadzieję, że on ze mną również.

– Mieliście pewnie spotkania, podczas których przedstawiała mu Pani swoje plany. Że chce robić taki program, a później inny…

– Tak bywało, ale bardzo często w ogóle nie musiałam nic mówić. A on o jakiejś akcji dowiadywał się z gazet. Ale także o moich pomysłach politycznych. Nie czułam się urzędnikiem, czułam się społeczniczką, polityczką. I dziś, jak patrzę na swoje pomysły z tamtego czasu, te polityczne, to, rzeczywiście, mogłam szefowi sprawiać kłopot…

– Było trochę tych inicjatyw…

– Co mi strzeliło do głowy, żeby powiedzieć to, co powiedziałam podczas wizyty papieża o konkordacie? Byłam przeciwniczką konkordatu, uważam, że to jest dla Polski niepotrzebne. Ale w pewnym momencie widząc konflikty, które się zaczęły, doszłam do wniosku, że one są jeszcze bardziej dla kraju szkodliwe. Że ta wojna zniszczy Polskę, zniszczy prezydenturę. A w sumie katolicy, tacy jacy są, mówię o tym gorszym obliczu katolicyzmu, czyli tym powierzchownym, zatęchłym, niskim, tryumfalistycznym, nietolerancyjnym – nie zaszkodzą tak bardzo, bo jednak buduje się przeciwwaga wolnościowa, i nieuniknione procesy sekularyzacji zmienią ten kraj. Doszłam do takiego wniosku, i zdecydowałam, że jako ta główna, sztandarowa antyklerykałka powiem, że nie będę przeciwko konkordatowi, ale też nie głosowałam za. Aleksandrowi mój pomysł się podobał. A nie był z nim ustalany! On mi nigdy niczego nie narzucał. Uważam, że to byłoby obraźliwe i dla niego, i dla mnie. Nasze relacje były oparte na pełnym szacunku i zaufaniu.

– O kościotrupie w szafie też nie wiedział?

– Oczywiście! Nikt mi tego artykułu nie kazał pisać. To wyszło z tego, że Pałubicki z czymś wyskoczył, coś powiedział. I wtedy usiadłam i napisałam, dlatego że chciałam, żeby SLD rozliczył się ze swoją przeszłością, po to, żeby ją zamknąć i żeby był spokój. Zwłaszcza że zaczęły

się znowu jakieś ataki, awantury. Uważałam, że będzie dobrze, jak tylko powiedzą: nie podobało nam się to, co robiliśmy kiedyś, i teraz będziemy inaczej działać. Żeby to było jasno powiedziane. Napisałam ten artykuł w 1999 roku. Aleksander nic o nim nie wiedział. Zadzwoniłam do Michnika: „Adam, wysyłam ci coś. Jak chcesz, to weź". A on do mnie oddzwonił: „czy możesz zajrzeć, porozmawiamy…". OK, przyjechałam do „Wyborczej", Adam, był pod dużym wrażeniem tego artykułu. I zdecydował: jutro idzie na jedynkę. Bez żadnych zmian. I tak było. I nawet nie jestem pewna, czy zdążyłam do prezydenta zadzwonić.

– *I wybuchła dzika awantura.*

– To prawda. Ale też zrobiło się jakieś oczyszczenie, część byłych ludzi PZPR się obraziła, a niektórzy przyszli porozmawiać, dlaczego wstąpili do partii. A ja mówiłam, że nie chodzi, żeby kogoś poniżyć, bo przecież poparłam Aleksandra, tylko żeby doprowadzić sprawę do końca. A i tak wielu ludzi z SLD uważało, że chcę im dokuczyć. Natomiast większa awantura wybuchła w sprawie Kaucza.

– *Prokuratora z Wrocławia, którego Barbara Piwnik mianowała swoim zastępcą.*

– Ta sprawa już się kręciła w czasach Cimoszewicza, gdy był ministrem sprawiedliwości. On mówił, że to jest świetny prokurator, a ja mu mówiłam: „słuchaj, ale to był podły facet we Wrocławiu". Różne rzeczy zrozumiałam, wybaczyłam tej opcji, ale pewnych rzeczy nie mogę.

– *Kaucz miał być wiceministrem odpowiadającym za prokuraturę.*

– A w czasach, kiedy byliśmy w podziemiu, był jednym z wredniejszych prokuratorów we Wrocławiu. Czy taki człowiek musi być ministrem? Musi odpowiadać za prokuraturę? Mimo że połowę życia spędził w tej pracy, gnębiąc ludzi? Zrobiła się awantura. Barbara Piwnik trwała w oporze. Miller powiedział: jeśli był w twoim procesie, nie ma kłopotu, odsunę go. Ale Kaucz upierał się, że nie był, że był tylko protokolantem. A sprawdzić tego nie można było, bo dokumentacja gdzieś zniknęła.

– *Ale znalazła się.*

– W ministerstwie w Warszawie! Ni stąd, ni zowąd... Ale zanim to się stało, było ciężko. Aleksander w pewnym momencie przestał mi wierzyć. Mówił, że widzi mnie zacietrzewioną, że przesadzam, że prawdopodobnie tak nie było. To się ciągnęło przez wiele tygodni. Na szczęście dokumentacja się znalazła. I tam wszędzie, co stronę, był prokurator Kaucz. Więc musiał odejść. SLD był wściekły. A kolega Rokita napisał,

że to wszystko kazał mi zrobić Kwaśniewski. Przecież ta sprawa nie była Aleksandrowi na rękę. Nawet mu w pewnym momencie powiedziałam, że jak to jest takie niemiłe, blokujące, szkodliwe, to ja składam dymisję. „Nie ma mowy" – zawołał.

– *Miałby kłopot…*

– Aleksandrowi bardzo zależało na konsolidowaniu ludzi, w sensie społecznym, na unikaniu konfliktów. Między innymi dlatego to była tak dobra prezydentura. On taki jest, to jest typ osobowości, który lubi porozumienie, lubi rozmawiać z ludźmi. I nie lubi konfliktów. Te skłonności bardzo zaprocentowały w kontaktach międzynarodowych. Byłam przy kilku ważnych spotkaniach w Polsce i za granicą i widziałam, jakie on robił wrażenie na ludziach. A osobiste wrażenie wywoływane przez polityka na innym polityku jest wciąż niedoceniane. Widziałam, że i on, i Jolanta, w kontaktach międzynarodowych prezentowali Polskę jako kraj, który ewoluuje w bardzo dobrą stronę. Jest dobrze zarządzany, demokratyczny, europejski. W jakimś sensie światowy. Aleksander ma olbrzymią erudycję. I ta erudycja, umiejętność analizy politycznej, świetna pamięć, przydawały się w rozmowach i kontaktach.

– *I?*

– Widziałam, jakie robią wrażenie jego poglądy, wiedza, sposób argumentowania…Widziałam gołym okiem, że to jest szczery demokrata i Europejczyk. Czyli taki prezydent, jakiego chciałam. To przecież nie była prezydentura, która by jątrzyła, wykorzystywała czyjeś słabości. Nie do pomyślenia było, żeby iść na jakieś spotkanie i się kłócić. A mieliśmy przecież olbrzymią wiedzę, dostawaliśmy raporty, także na temat ludzi, z którymi mamy się spotkać. Dla mnie bardzo ważne były odważne gesty prezydenta w kolejną rocznicę stanu wojennego. Wtedy powiedział, że był po złej stronie. To były bardzo ważne słowa. Uważam, że konflikt o Kaucza też się do tego przyczynił. Aleksander mówił mi, że tę sprawę starannie przemyślał. I że nie spodziewał się, że nawet u osób takich jak Basia tak bardzo mocno tkwi ten cierń. Prosił mnie, przed wystąpieniem w IPN, żebym napisała mu, czym był dla mnie stan wojenny. I napisałam: ciemność, groza. Zastanawiał się nad tym, mówił, że nie wiedział, że dla nas to było tak straszne, taki kataklizm… Wiele osób nie zna go takiego, myślą, że jest powierzchowny. A to nieprawda, to jest bardzo wrażliwy człowiek, który chce zrozumieć różne trudne sprawy, także przeżycia osobiste innych ludzi, i ja mu to pamiętam *in plus*.

– Zorganizował też piękne obchody 90. urodzin Wojciecha Jaruzelskiego, w 2014 roku przemawiał na pogrzebie generała.

– To właśnie Aleksander. Na tym polega jego siła. On rozróżnia barwy, chce zrozumieć kogoś takiego jak ja, w sensie politycznym i także emocjonalnym. A zarazem nie wypiera się swojej przeszłości. Nie wypiera się swoich kontaktów, tego, kim był. A zarazem uznał, że może być inny. I że my, ludzie „Solidarności", mieliśmy rację, staliśmy po dobrej stronie. Uważam, że to świadczy o człowieku jak najlepiej – że nie wypiera się swojej przeszłości, swoich przyjaźni, a nie jest zasklepiony, tylko jest otwarty. Proszę powiedzieć – ilu polityków stać na taką postawę?

Mieliśmy poczucie, że chcemy żyć w innej Polsce,
że warto wiele zrobić, żeby do tego doprowadzić.
Bo otwiera się szansa!

Mój przyjaciel prezydent
Rozmowa z Arturem Balazsem

ROBERT WALENCIAK: Jak poznał pan Aleksandra Kwaśniewskiego?

ARTUR BALAZS: Poznałem go przy Okrągłym Stole. Tam zetknęliśmy się po raz pierwszy.

– Zobaczył Pan po drugiej stronie młodego, energicznego chłopaka…

– Byłem członkiem zespołu do spraw pluralizmu związkowego, którego szefami byli Mazowiecki i Kwaśniewski. Wszyscy mieli poczucie, że to jest najważniejszy „stolik", ważniejszy od wszystkich innych, gdyż dotyczy rzeczy podstawowej – reaktywacji „Solidarności". Dziś tego nie rozróżniamy, nie pamiętamy, ale w tamtym czasie chodziło nam o reaktywację dwóch związków – „Solidarności" pracowniczej i rolniczej.

– Ta druga była elementem pewnej wątpliwości.

– Owszem. Rozmowy toczone przed Okrągłym Stołem wskazywały, że co do „Solidarności" pracowniczej nie ma wątpliwości, one się pojawiały w sprawie rolniczej. Część poprzedniej władzy uważała, że rolnicy są pracodawcami, więc związek zawodowy im się nie należy. I to miało rozstrzygnąć się przy Okrągłym Stole, w zespole, którego byłem członkiem.

– Był to dla Pana wielki skok?

– To był dla mnie czas wyjątkowy, nigdy wcześniej czegoś podobnego nie przeżyłem. Z jednej strony uczestniczyłem wówczas w obradach

Okrągłego Stołu, a z drugiej – miałem proces za kierowanie strajkiem w porcie szczecińskim i byłem wzywany na przesłuchania. Zdarzył się epizod, że na któreś posiedzenie Okrągłego Stołu nie dojechałem, nie doleciałem, bo była mgła. Ale Mazowiecki wiedział o moich problemach i myślał, że mnie zamknęli, więc przełożył obrady do czasu wyjaśnienia powodu mojej nieobecności. A same obrady? Od początku było dla mnie oczywiste, że nasz lider po stronie solidarnościowej, Tadeusz Mazowiecki, jest kimś wyjątkowym, nieprzeciętnym. Ale równocześnie było widoczne, że po stronie ówczesnej władzy jest człowiek, który zupełnie się od niej odróżnia i wobec którego mieliśmy poczucie, że on szuka za wszelką cenę porozumienia. Chce, żeby się dogadać. To było dla mnie ewenementem, bo patrzyłem na władzę bardziej przez pryzmat zachowania Urbana niż Kwaśniewskiego.

– *Był więc Pan zaskoczony.*

– No tak! Patrzę, a tu jest człowiek otwarty, mówi podobnym językiem do nas, mówi szczerze, co dla jego obozu i środowiska jest trudne, do czego będzie próbował swoich partnerów i szefów przekonać… Po tych pierwszych dniach stało się dla mnie oczywiste, że jeżeli te rozmowy będą związane z jego decyzjami, to się dogadamy. I w sprawie „Solidarności" pracowniczej, ale i rolniczej. Że z jego strony jest zrozumienie, otwartość, że on jest inny od tej władzy, którą znałem z przekazu medialnego.

– *Polubiliście się?*

– Byliśmy w bardzo podobnym wieku, w takim, w którym zawiązują się przyjaźnie i znajomości. W trakcie obrad często zabierałem głos, on też. Rozmawialiśmy podczas przerw, obiadów, w ten sposób zbliżyliśmy się mentalnie. I ja, i chyba on także, mieliśmy poczucie, że chcemy żyć w innej Polsce, że warto wiele zrobić, żeby do tego doprowadzić. Bo otwiera się szansa! Zaczęliśmy sobie mówić po imieniu, rozmawiać, spotykać się, i to był początek naszej przyjaźni.

– *To wielkie słowo…*

– Wielkie słowo, ale wydaje mi się, że między nami jest coś bliższego niż znajomość, że jest kontakt i zaufanie. To przetrwało do dziś. Przeskakując ten cały wielki okres naszej współpracy i przyjaźni, od 1989 roku do teraz, mogę powiedzieć, że widujemy się regularnie, rozmawiamy, i że przestrzegałem go przed scenariuszem z Palikotem. Mówiłem mu, że to się skończy tak, jak się skończyło, i że ucierpi jego pozycja, jego autorytet, zaufanie, jakim opinia publiczna go obdarza. Że nie wolno tego narażać

przygodą z kimś tak skrajnie nieodpowiedzialnym i niepoważnym, z człowiekiem, który jest gotów do każdej wolty, żeby tylko utrzymać się na powierzchni. Że to się źle skończy. Wszystko odbyło się zgodnie z moimi przewidywaniami… Jak pamiętam, podczas tych rozmów, Kwaśniewski mówił mi, że już jest za późno, żeby mógł się wycofać, bo już złożył pewne zobowiązania w tej sprawie.

– Wróćmy do przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy Aleksander Kwaśniewski został szefem SdRP. To Pana wtedy zaskoczyło?

– Nie, nie zaskoczyło. Miałem takie poczucie, że został szefem czegoś lepszego niż PZPR. Dzisiaj jestem na obrzeżu polityki, nie należę do żadnej partii, choć oczywiście mam swoje poglądy, one lokują się zdecydowanie w centrum i po prawej stronie. Ale mam poczucie, że aby państwo mogło funkcjonować normalnie, żeby była jakaś stabilność polityczna, to musi w nim być i prawica, i lewica. Traktuję swoich adwersarzy politycznych jako konkurentów, a nie wrogów. Wtedy, gdy Kwaśniewski został szefem SdRP, odniosłem się do tego z nadzieją, że może po lewej stronie będzie coś normalnego. Że nie będzie to lewica pezetpeerowska, ale europejska socjaldemokracja. Tak wtedy na to patrzyłem.

– Nie dało się przeciągnąć Kwaśniewskiego choćby do Unii Demokratycznej? Tak jak Święcicki przeszedł…

– Do głowy takie scenariusze mi nie przychodziły… Uważałem, że najlepiej jest wtedy, gdy ludzie pewnego formatu będą po każdej stronie sceny politycznej. W takich kategoriach postrzegałem politykę – więc byłem zadowolony, że Kwaśniewski kieruje lewicą, bo to jest przywódca, który w sprawach państwa, racji stanu, może patrzeć szeroko, stając ponad bieżące gry polityczne. Więc w istotnych dla państwa sprawach będzie można między lewicą a prawicą jakoś się porozumieć.

– A jak kandydował na prezydenta?

– To pamiętam bardzo dokładnie! Odbywałem z nim wtedy wiele rozmów. Nie rozmawialiśmy sami, uczestniczyły w tych rozmowach i po mojej, i po jego stronie jeszcze inne osoby. To były przyjazne rozmowy, związane z pewną troską i pewnym zakłopotaniem. Uważałem wtedy, i to mówiłem, że jeżeli tak się zdarzy, że Kwaśniewski wygra, to cały obóz „Solidarności" będzie miał przeciw sobie. Bo my mamy poczucie, że temu obozowi stanowisko prezydenta się należy. Więc start Kwaśniewskiego to nie jest dobry scenariusz, bo w którymś momencie dojdzie do ostrego odreagowania. O to się martwiłem, uważałem, że prezydentem w tamtym

czasie powinien być ktoś z mojego obozu politycznego. I otwarcie o tym mówiłem.

– *A co na to Kwaśniewski?*

– Mówił: nie przejmuj się, nie martw się, wszystko będzie dobrze, kandyduję po to, żeby wygrać, i nie będzie głębokiego podziału. Taka wtedy była jego ocena. Później, po wyborach, miałem poczucie, że się pomyliłem, że rację miał Kwaśniewski. Widziałem, że mimo swoich sympatii i poglądów lewicowych, po pierwsze, ma głęboki szacunek dla Ojca Świętego, co dla mnie było ważne. Że, po drugie, ma szacunek dla dokonań „Solidarności". I że nie jest tak do końca prezydentem lewicy, że stara się być prezydentem znacznie większego obozu. Wprawdzie rozstrzyga różne kwestie na rzecz rządu lewicowego, ale robi to w miarę przyzwoicie. Że ma poczucie niezależności, więc moje obawy dotyczące głębokiego podziału i namiętności, które jego prezydentura mogłaby wywołać, nie mają uzasadnienia. Choć dzisiaj, gdy obserwuję zapiekłość istotnej części obozu wywodzącego się z „Solidarności", znów zaczynam na to wszystko patrzeć inaczej…

– *To PiS, które potrzebuje złej legendy Kwaśniewskiego i złej legendy Okrągłego Stołu…*

– Ale jestem tym trochę zdziwiony. Kiedy kadencję kończył Kwaśniewski i zaczynał urzędowanie Lech Kaczyński, starałem się stworzyć klimat pewnej pozytywnej relacji między ustępującym a przychodzącym prezydentem. I miałem poczucie, że to się udało. Nie chodziło tu o jakąś sympatię, ale o pewien szacunek dla ustępującego prezydenta ze strony następcy. Nie przewidywałem wtedy, że odbuduje się w tym obozie zapiekłość i polityczna niechęć wobec Aleksandra Kwaśniewskiego. Więc dziś, jak na to patrzę, wraca refleksja pierwszych naszych rozmów… Coś jednak było na rzeczy, że dla twardszej części obozu „Solidarności" polityk z zupełnie innej bajki nigdy nie będzie do zaakceptowania…

– *Ale ten obóz ma taką zapiekłość w sobie. O Bronisławie Komorowskim mówią, że to „komo-ruski"…*

– Może świat widzę zbyt kolorowo… Wiem, że traktują mnie jak przebiegłego, ale w pewnych sprawach chyba jestem naiwny.

– *Jakim prezydentem był Kwaśniewski?*

– Można by o tym długo mówić. Jak został prezydentem, to nasze kontakty się nie urwały. Mogę powiedzieć, że te relacje stały się jeszcze bliższe, koleżeńskie, przyjacielskie. Momentem próby były prace związane

z przygotowaniem naszego wejścia do Unii Europejskiej. Wtedy elementem najbardziej kontrowersyjnym, budzącym największe wątpliwości, było rolnictwo.

– *Przede wszystkim sprawa dopłat.*

– W Unii najpierw mówiono, że naszym rolnikom dopłaty się nie należą, i ich nie dostaną. Więc uważałem, że polskie stanowisko negocjacyjne, a to ja je przygotowywałem, musi być tak zaprezentowane, żebyśmy nawet mrugnięciem oka nie dali do zrozumienia, że zgadzamy się na warunki gorsze, niż mają rolnicy w Unii Europejskiej. W związku z tym, to było stanowisko, które zakładało dopłaty dla rolników, takie jak w Unii. To był element olbrzymiej kontrowersji i olbrzymich namiętności. Nawet doszło do specjalnego spotkania w Brukseli z udziałem kierownictwa polskiego rządu, łącznie z premierem Buzkiem, ministrem spraw zagranicznych, sześcioma, siedmioma osobami najważniejszymi w państwie i moim, na gruncie półprywatnym, w restauracji, z udziałem kilku komisarzy, w tym komisarza do spraw rolnictwa. Był nim wtedy Franz Fischler, osoba bardzo znana i do dziś niezwykle wpływowa w Europejskiej Partii Ludowej. Był też Günter Verheugen, były komisarz do spraw rozszerzenia. Wyglądało na to, że podczas spotkania oni mieli mnie przekonać, że dopłaty polskim rolnikom się nie należą. Pointa była taka, że w pewnym momencie Fischler powiedział: „No tak, ale my się obawiamy, że jakby polscy rolnicy dostali te dopłaty, to polscy robotnicy tak się tym wkurzą, że będą strajkowali i protestowali na ulicach". Zapanowała cisza i wtedy odpowiedziałem: „Panie komisarzu, mamy takie audytorium, że możemy zawrzeć *deal* – ja załatwię z polskimi robotnikami, żeby oni nie wychodzili na ulice, a pan załatwi tę drobnostkę, czyli dopłaty". Powiedziałem to, i czuję pod stołem ze trzy kopniaki. Jest milczenie! I reakcja: „No, pan to jest kawalarz dopiero!" Ale od tej chwili już nigdy nie była podnoszona kwestia, że polskim rolnikom nie należą się dopłaty. Toczyła się dyskusja o skali tych dopłat, ale już nikt ich nie kwestionował.

– *Dyskusja o wysokości dopłat też o mało nie wywróciła negocjacji.*

– Jak wróciłem do Polski, opracowałem nasze stanowisko, i uznałem: rzecz jest tak trudna i kontrowersyjna, że muszę mieć poparcie wszystkich istotnych sił. Poszedłem więc do Leszka Millera, uzgodniłem to z nim i miałem poparcie SLD. Ale przede wszystkim poprosiłem prezydenta o spotkanie.

– I szybko uzyskał Pan zaproszenie.

– Do prezydenta poszliśmy w grupie kilku ministrów, z premierem Buzkiem włącznie. Niektórzy z ministrów obawiali się, że polskie stanowisko, by rolnicy otrzymali stuprocentowe dopłaty, może położyć negocjacje. Może spowodować, że Unia powie: nie. I wtedy głos Aleksandra Kwaśniewskiego, jako prezydenta, był decydujący: „Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby stawiać się od razu w gorszej pozycji niż członkowie starej Unii, musimy zacząć negocjacje z podniesionym czołem". Jego wsparcie było naprawdę decydujące. Przedłożyliśmy stanowisko, które zabiegało o całe dopłaty. Dla mnie była to wielka osobista satysfakcja. Podwójna: że mamy dobre stanowisko w negocjacjach i że prezydent mnie poparł. Pamiętam też późniejsze wydarzenia, po wyborach, gdy ważyły się losy referendum unijnego.

– Wtedy Pan poparł stanowisko Kwaśniewskiego.

– Aleksander Kwaśniewski zwrócił się do mnie, żebym jeździł z nim po Polsce jako udzielający mu poparcia polityk prawicowy; chodziło zwłaszcza o środowiska wiejskie, wejście polskich rolników do Unii. I w wielu tych podróżach po Polsce uczestniczyłem, siedziałem obok niego, zabierałem głos i mówiłem, że warto, by w tej sprawie Polacy byli razem, że nieistotne są poglądy polityczne, ale ważny jest interes Polski, interes polskich rolników. A ten interes polega na tym, żebyśmy byli w Unii.

– Ludzie byli zdziwieni, że występujecie razem?

– Zdarzało się. Na wiecach, zwłaszcza tych obsługiwanych przez polityków SLD, dziwnie mogło wyglądać, że pojawia się działacz „Solidarności", który za PRL siedział w więzieniu. Pytano prezydenta, czy to nie jest jakaś pomyłka. W moim obozie politycznym podróże z Kwaśniewskim też nie były przychylnie odbierane, że ja wspierałem tę kampanię.

– Martwiło to Pana?

– Sukces referendum europejskiego świętowałem w Kancelarii Prezydenta.

– Na polskiej prawicy przyjaźń z Kwaśniewskim przeszkadzała Panu czy nie?

– Nawet jak przeszkadzała, to się tym nie przejmowałem. Uważałem, że niczego w tej sprawie nie trzeba zmieniać. Ponadto, do dziś utrzymuję również dobre relacje z Jarosławem Kaczyńskim. On dobrze wiedział o moich bardzo dobrych stosunkach z Kwaśniewskim i nigdy dotychczas nie zdarzyło się, żeby na ten temat zwrócił mi uwagę, wyraził pretensję, że

w tym jest coś niestosownego. Jeżeli więc komuś ta przyjaźń przeszkadzała, to na poziomie polityków mniejszego ducha, więc tym się nie należy przejmować.

– *Jak to jest przyjaźnić się z człowiekiem z drugiej strony politycznej barykady?*

– Nigdy między nami nie zdarzyła się sytuacja, żeby on mnie zachęcał do przejścia na swoją stronę, ani też ja go nigdy nie zachęcałem. Polegało to na wzajemnym szacunku i tolerancji dla własnych poglądów. A równocześnie, w różnych ważnych sprawach i w różnych miejscach potrafiliśmy działać. Pamiętam, jak Aleksander Kwaśniewski był politycznie izolowany przez obóz „Solidarności", a ja wtedy byłem ministrem do spraw kontaktów politycznych w rządzie Jana Olszewskiego, tym twardo prawicowym. A oficjalnie go zaprosiłem na rozmowę, uważałem, że to jest ważny partner w sprawach istotnych dla państwa. Moi szefowie nie byli tym zachwyceni, ale uważałem, że tak powinno być. I do dziś uważam, że miałem rację.

– *Są też takie sytuacje, że coś głupiego robi lewica, albo coś głupiego robi prawica. A potem się spotykacie. I co? Jeden przed drugim świeci oczami?*

– Myślę, że potrafiliśmy ze sobą rozmawiać o rzeczach trudnych, po jednej i po drugiej stronie. Jak wspominam rząd Olszewskiego, za którym sprawa teczek się ciągnęła i inne historie, to elementem weryfikacji moich intencji było, że miałem odwagę powiedzieć, że kończę współpracę z tym rządem, że nie zamierzam firmować tego, co robi. Ta decyzja pokazuje, że potrafię nie zgodzić się z czymś, co uważam za złe w swoim obozie. Ale to samo dotyczy Aleksandra Kwaśniewskiego. Pamiętamy sytuację, związaną z tak zwaną szorstką przyjaźnią. Kwaśniewski potrafił wyrazić, czego nie akceptował w rządzie Leszka Millera, sprzeciwić się, był stanowczy i krytyczny. Nie wpisał się w błędy tamtego rządu. To rodziło wzajemny szacunek i poczucie, że przyjaźń może przetrwać trudne próby. Potrafiliśmy mówić do siebie o tym, czym się tak naprawdę różnimy, a równocześnie o tym, co w naszych obozach nas boli. Może ja mniej o tym mówiłem, ale Kwaśniewski nad wieloma problemami ubolewał i przewidywał dla SLD scenariusz dzisiejszy, na poziomie kilku procent, bez szans na rozwój.

– *Pamięta Pan, jak Kwaśniewski jechał z papieżem w papamobile?*

– Pamiętam.

– To było zaskoczenie?

– Dla mnie nie. Po pierwsze, wiedziałem, że żona prezydenta, Jolanta, darzy Kościół głębokim szacunkiem, jest blisko Kościoła. Że to dla niej naturalne, że o to dba. I gdyby nie tyle otoczenie prezydenta, co dystans lewicy do Kościoła, próba wyraźnego rozdziału między sprawami świeckimi i duchowymi, to publiczne relacje Kwaśniewskiego z Kościołem byłyby jeszcze bliższe, niż były w rzeczywistości. Po drugie, jeśli moja ocena Kwaśniewskiego była prawdziwa i rzetelna, to Ojciec Święty, przy swoim znakomitym rozeznaniu spraw w Polsce, jeszcze bardziej rzetelnie potrafił go ocenić. Zaproszenie do papamobile to nie był przecież gest przypadkowy. To był gest przemyślany.

– Marian Krzaklewski wtedy się zdenerwował, to psuło mu prezydencką kampanię.

– Niektórzy mówili nawet, że był zszokowany. Znam to z opowieści ludzi z jego najbliższego otoczenia – jak Ojciec Święty mógł go wziąć do papamobile!

– A sama kampania prezydencka w 2000 roku? Jak Pan ją przeszedł? Kandydatem Akcji Wyborczej Solidarność był Krzaklewski.

– Nie popierałem Krzaklewskiego. Uważałem, że pomysł jego kandydowania jest fatalny dla Polski, że rozbija AWS. Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe nie poparło więc Krzaklewskiego, pozostawiliśmy naszym członkom i sympatykom dowolność wyboru, choć moje środowisko generalnie poparło Andrzeja Olechowskiego. Zostawiliśmy dowolność – był taki głęboki podział, takie namiętności, że widzieliśmy, że nie znajdziemy dobrego rozwiązania.

– Nie zmartwił się Pan wynikiem wyborów.

– Moje obawy dotyczyły pierwszego kandydowania Aleksandra. W 2000 roku w moim obozie politycznym nie kandydowała taka osoba, z którą mógłbym do końca się utożsamiać. I nawet miałem satysfakcję, że wygrał te wybory Kwaśniewski, a Olechowski uzyskał bardzo dobry rezultat.

– Uważa Pan, że prezydentura Kwaśniewskiego była dobra?

– Jest przez Polaków oceniana bardzo dobrze. Pewnie jakby konstytucja dopuszczała trzecią kadencję, to Aleksander Kwaśniewski byłby trzeci raz prezydentem. W opinii publicznej ta prezydentura była akceptowana, budowała poczucie bezpiecznego państwa. Aleksander Kwaśniewski

potrafił wznieść się ponad podziały, starał się wokół instytucji prezydenta skupić jak największą część obywateli, żeby nikt nie czuł się zmarginalizowany. Myślę, że tą drogą idzie trochę Komorowski. Zwłaszcza w sprawach pewnego dystansu do rządzących. To budzi publiczną akceptację.

– *Pomógł Panu w czymś Kwaśniewski?*

– Myślę, że wzajemnie możemy mieć poczucie, że gdyśmy mieli problemy, to mogliśmy ze sobą o nich porozmawiać i wzajemnie liczyć na realne wsparcie. Były misje, były zadania, w których sobie pomagaliśmy.

– *Na przykład?*

– Zaprzyjaźniłem się kiedyś z wicepremierem Ukrainy, on był także ministrem rolnictwa, a wcześniej gubernatorem Lwowa. I akurat przyszły czasy awantury wokół cmentarza Orląt. Prezydent wiedział, że jeżdżę na Ukrainę, że mam tam przyjaźnie, więc poprosił: „Słuchaj, jak coś możesz zrobić dla poprawy klimatu, to zrób". Byłem z tym wicepremierem w relacjach bliskich, koleżeńskich, odwiedzał mnie na wyspie Wolin, więc pojechałem do niego i zapytałem, czy może coś w tej sprawie zrobić. On na to, że się zorientuje, że obecny gubernator we Lwowie, jego ekipa, to są jego przyjaciele. I potem uradził, że jakiś gest trzeba wykonać. To wykonaliśmy gest, że wieniec złożyliśmy pod pomnikiem Strzelców Siczowych, a później na Cmentarzu Orląt Lwowskich, co wtedy było niewyobrażalne. I nikt nie wiedział, co się stało, a lody puściły.

– *Na tym polega polityka.*

– W różnych momentach podejmowałem różne misje, kiedy wydawało się, że Kwaśniewski nie ma czego szukać, to jechałem.

– *To jest umiejętność dogadania się z drugim człowiekiem, wyczucia, kim jest.*

– Kwalifikacje polityka polegają w olbrzymiej mierze na umiejętności rozpoznawania ludzi. Jak z kimś rozmawiam i czuję, że coś jest w nim nieszczerego, jakiś element gry, to inaczej prowadzę rozmowę niż z tym, który – jak widzę – chce sprawę rozwiązać.

– *Można źle wyczuć?*

– To jest ryzyko zawodowe. Zaprzyjaźniłem się z wicepremierem Ukrainy, ale zaprzyjaźniłem się też z kilkoma komisarzami do spraw rolnictwa, przyjeżdżali do mnie, ja też ich prywatnie odwiedzałem. Uważam, że Polsce w wielu sprawach to pomogło. Do dziś różne drzwi są dla mnie otwarte. Tak to się dzieje, tego nie można się nauczyć. Albo się ma

wyczucie, albo nie. To są takie nieuchwytne fluidy – ludzie z kimś chcą pracować, a z kimś nie. Myślę, że mam tę umiejętność, choć na żadnej akademii jej nie uczą. Jestem w tym dobry. Ale Aleksander Kwaśniewski jest w tym mistrzem.

Wałęsa nie był moim prezydentem,
natomiast Kwaśniewski przedstawiał wizję prezydentury,
w której się odnajdywałem.

Może miał szczęście, że trafił na takie czasy? Rozmowa z Waldemarem Kuczyńskim

ROBERT WALENCIAK: Kiedy zobaczył Pan pierwszy raz Aleksandra Kwaśniewskiego? Budził jakieś skojarzenia?

WALDEMAR KUCZYŃSKI: Nie pamiętam pierwszego spotkania z Kwaśniewskim. Nie było mnie osiem lat w Polsce, wróciłem do kraju w lipcu 1989 roku, i do razu jak tylko Mazowiecki został wskazany na stanowisko premiera, wszedłem w skład jego ekipy. I moje pierwsze dotyczące Kwaśniewskiego skojarzenie – że jest taki pezetpeerowski młodzik, ambitny i podobno zdolny, obrotny, i że on będzie ministrem sportu, w ramach rozdziału stanowisk. Ale wtedy z Kwaśniewskim się nie spotkałem. Być może, gdy bywał na posiedzeniach Rady Ministrów, to tam żeśmy się widzieli. Ale kontaktu osobistego sobie nie przypominam. On był wtedy dla mnie postacią z dalszego szeregu tamtej formacji, mniej więcej na równi z Leszkiem Millerem.

– *Pierwszy szereg to byli Wojciech Jaruzelski, Czesław Kiszczak…*

– Tak. Generał Jaruzelski był prezydentem, Kiszczak był ważnym ministrem. Zresztą na prośbę Tadeusza Mazowieckiego, bo on sam nie był chętny, żeby wchodzić do rządu.

– *Potem Kwaśniewski staje się znany…*

– Ale to dociera do mojej świadomości dość późno. Oczywiście przypominam sobie, jak się PZPR rozwiązywała i jak powstawała SdRP, i pamiętam, że główne role przy tym grali Miller i Kwaśniewski, dwa młode wilczki. Wtedy Miller przyciągał bardziej moją uwagę, może dlatego

że był bardziej medialnie wyrazisty. Również ze względu na swój język i upodobania do różnych bon motów. Uchodził za postpezetpeerowski beton. Z kolei Kwaśniewski miał obraz, używając języka dawnych czasów – liberała. Ale był jednocześnie bardziej obły, bardziej na okrągło.

– *A kiedy zaczął Pan myśleć o nim jak o poważnym polityku?*

– Dopiero wtedy, kiedy wystartował o prezydenturę. Byłem wielkim przeciwnikiem prezydentury Lecha Wałęsy. Uważam, że my jako rząd Mazowieckiego i w ogóle ta część obozu solidarnościowego popełniliśmy strategiczny błąd, nie proponując Wałęsie, gdzieś na początku 1990 roku, obgadania sposobu jego dojścia do prezydentury. Prawdopodobnie byłby wybierany przez parlament, a nie w wyborach powszechnych. Potem musielibyśmy się z nim męczyć. Ale i tak byłoby to lepsze rozwiązanie, niż ta wojna, która później nastąpiła…

– *Dlaczego więc ten błąd popełniliście?*

– Bo mieliśmy przekonanie, że Wałęsa nie będzie dobrym prezydentem. To był jeden z motywów, dla którego został zgłoszony Tadeusz Mazowiecki. Ale błąd był! Bo trzeba było przyjąć dobrodziejstwo inwentarza, jakim była osobowość Lecha… Nie zrobiliśmy tego.

– *Wałęsa został prezydentem…*

– A ja byłem przeciwnikiem jego prezydentury, do tego stopnia, że na samym początku, po moim artykule w „Tygodniku Powszechnym" arcybiskup Franciszek Macharski zdjął „Tygodnikowi" kościelnego opiekuna, księdza Andrzeja Bardeckiego. Więc w 1995 roku Kwaśniewski, dla mnie, przedstawiał się jako kandydat całkiem dobry na miejsce Lecha.

– *Młody…*

– Nie chodziło o młodość, bo prezydent nie musi być młody. Chodziło o styl prezydentury. Otóż uważałem, że ten model, który proponuje Kwaśniewski: prezydenta czuwającego nad dobrym funkcjonowaniem całego systemu, natomiast sam praktycznie nie robi polityki, że to jest to, o co chodzi. Ale nie głosowałem na Kwaśniewskiego. O ile pamiętam, chyba jedyny raz w ogóle nie głosowałem. Po prostu, to było za wcześnie, we mnie wciąż jeszcze była pamięć czasów PRL-u, tego, czego doznałem od reżimu. Nie mogłem na niego głosować, tym bardziej że nie odpowiadał mi sposób, w jaki on się z tego PRL-u publicznie rozliczał. Chodzi mi o to jego przepraszanie.

– *To źle?*

– Zupełne mi ta formuła nie odpowiadała, dlatego że to była formuła taka: przepraszam za te wszystkie cierpienia, których ludzie doznali,

i przestępstwa, i tak dalej, ale w PRL-u były dobre rzeczy i złe rzeczy. Otóż ja odrzucam ten sposób oceniania PRL-u. On jest nie do przyjęcia, jeżeli chodzi o ocenę takich systemów totalitarnych, jak komunizm czy faszyzm. Nie można oceniać hitleryzmu według reguły, że był co prawda obóz w Dachau, ale było pełne zatrudnienie. Że prześladowano Żydów, ale była obfita polityka socjalna. Nie można tak oceniać! Uważałem, że trzeba oddzielić system PRL-u od rzeczywistości PRL-owskiej. System musi być potępiony jednoznacznie. Nie może być żadnego usprawiedliwienia, żadnej okoliczności łagodzącej dla systemu, w którym jest jedna partia, cenzura, policja i agentura polityczna, i tak dalej. Bo to jest zło! Natomiast rzeczywistość w ramach tego systemu jest oczywiście różna. Taka jest moja odpowiedź na formułę Kwaśniewskiego. Ale, generalnie, jego wizja prezydentury mi się podobała. I uważam, że on tę funkcję wypełnił dobrze. Dlatego dostał dwie kadencje. I prawdopodobnie, gdyby była możliwość dalszego kandydowania – to dostałby trzecią.

– Gdy w 1995 roku został wybrany na prezydenta – czy bał się Pan, że wróci komuna, dawne czasy, że Polska zostanie podzielona?

– Nie! Jeśli chodzi o powrót komuny, prawdę mówiąc, to największy lęk miałem, kiedy nagle Tymiński wyskoczył przed Mazowieckiego, a w obiegu były opowieści, że za nim stoją różne siły i tak dalej. Wtedy czułem trochę lęku. Trochę lęku, choć już mniej, czułem, kiedy w 1993 roku SLD przyszedł do władzy. Natomiast zupełnie nie odczuwałem lęku wtedy, kiedy prezydentem został Kwaśniewski. Przecież obserwowałem zachowania tej formacji, mówię o elitach, bo z bazą to różnie bywało…

– Miał Pan stosowne doświadczenia?

– O tak! Mamy działkę pracowniczą, i jak gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych chadzałem na nią, to jakiś facet, który też tam miał działkę, widząc, że przechodzę, gwizdał *Czerwony sztandar* albo *Międzynarodówkę*, przypuszczając, że mnie w ten sposób zdenerwuje. Nie wiedział, że obie te pieśni, niemające wcale rodowodu sowieckiego, mi się podobają. Ale patrząc na postępowanie elity postkomunistycznej, dostrzegłem, że jeśli chodzi o jakieś zagrożenia dla demokracji, to ja mam o wiele większe powody obawiać się części moich kolegów z „Solidarności" niż ich. Bardzo szybko doszedłem do wniosku, że właściwie ta formacja lewicowa, postkomunistyczna, jest o wiele lepszym gwarantem zachowania systemu demokratycznego i drogi Polski do Unii Europejskiej i do NATO, niż część polskiej prawicy. To przekonanie potem tylko narastało.

– A kiedy się narodziło?

– W czasach rządu Jana Olszewskiego. On co prawda wołał NATO, NATO, ale… Wie pan, ja z PRL-em droczyłem się nie dlatego, że miałem wizję wspaniałej Polski szklanych domów i tak dalej. Ja się po prostu czułem w Polsce Ludowej jak człowiek pozbawiony wolności. Właściwie dlatego związałem się z opozycją. Nie dlatego, żeby mieć jakąś nadzieję na cokolwiek, tylko dlatego, że to były takie nisze, co prawda płaciło się za bycie w nich wysoką cenę, ale tam człowiek miał poczucie, że jest wolny. A o to mi chodziło! Jeżeli jakaś wizja Polski mi przyświecała, to przede wszystkim taka, żebym mógł żyć we własnym kraju jako wolny człowiek. Więc u mnie czułki na zamordyzm są dość dobrze wyćwiczone. I wyczułem takie niebezpieczeństwo, już w czasie rządu Olszewskiego, że oni mogą próbować kształtować Polskę nie dla wszystkich. Tylko dla części. To słynne pytanie Olszewskiego – czyja Polska? Że nie jest ważne, jaka, ważne czyja. No, Polska musi być wszystkich. Nie tego czy owego.

– A oni zawsze – że musi być ich, bo tylko wtedy jest „wolna"…

– Olszewski swoim pytaniem zaczął, a potem te postawy narastały. Na przykład w czasie wyjątkowo ohydnej ze strony prawicy kampanii do referendum konstytucyjnego. Oni pokazali tak obrzydliwe emocje, że wziąłem rozbrat definitywny z tą częścią moich kolegów z dawnej „Solidarności". Dziś nic mnie z nimi nie łączy. W tym sensie obóz lewicowy był dla mnie takim twardym gruntem dla polskiej demokracji i drogi do Unii i NATO.

– I wtedy wyczuł Pan, że Kwaśniewski będzie szedł drogą do Unii i do NATO.

– Nigdy mi się Kwaśniewski nie kojarzył z jakimś hamulcowym, jeśli chodzi o to, że Polska powinna stać się członkiem NATO i członkiem Unii Europejskiej.

– A jego koledzy?

– Wtedy miałem już przekonanie, że ta formacja, lewicowa, o postkomunistycznym rodowodzie, że oni są właściwie najbardziej pewnymi, jeżeli chodzi o skierowanie Polski w kierunku NATO, Unii Europejskiej. Nie wiem, może ten rodowód, bycia pod radzieckimi, podrzucił ich w drugą, dobrą stronę? Wydaje mi się, że to pokolenie, do którego zalicza się Kwaśniewski, że oni, nawet jeżeli początkowo bali się, że im się wali świat PRL-u, w którym się widzieli, to bardzo szybko doszli do wniosku, że świat, który przed nimi się otwiera, jest dla nich jeszcze lepszy. To nawet

nie chodzi o jakieś apanaże i tak dalej, tylko po prostu – on jest ciekawszy, czystszy. Bardziej zgodny z pragnieniem narodu. Przecież oni zdawali sobie sprawę z tego, że służą reżimowi, który tak naprawdę oparcia narodowego nie ma. A nawet jest niechęć czy wręcz nienawiść. To musiało być męczące. Dla części osób z tego obozu rozstanie z PRL-em mogło być ulgą. Że wchodzą w świat… Potem jak się przekonali, że nie będzie masowej dintojry i tak dalej, tylko szanse otwierają się dla wszystkich…

– *Zakochali się w nowej Polsce…*

– A ja dość szybko uznałem, że są najlepszymi gwarantami demokracji w naszym kraju.

– *A kiedy Pan uznał, że Kwaśniewski to Pana prezydent?*

– Nigdy nie miałem poczucia, że Kwaśniewski nie jest moim prezydentem. To Wałęsa nie był moim prezydentem! Ze względu na sposób działania… Mam raczej skłonność oceniania ludzi i formacji po tym, co robią, i po tym, co ewentualnie przypuszczam, że będą robili. Natomiast znacznie mniejszą rolę odgrywa dla mnie to, co robili wcześniej. Nie jestem pamiętliwy, może nawet za łatwo rozgrzeszam, więc dla mnie Wałęsa nie był moim prezydentem, natomiast Kwaśniewski przedstawiał wizję prezydentury, w której się odnajdywałem. Później oczekiwałem tego samego od Lecha Kaczyńskiego. I nic! Ani jednego choćby gestu nie było wobec tej Polski, która była nie jego. On był prezydentem skandalicznym.

– *Pamięta Pan: „Melduję, prezesie, wykonanie zadania"?*

– Taki był od samego początku.

– *A może Kwaśniewski był otwarty, bo jego formacja była relatywnie słaba? I wiedział, że na jednej formacji daleko nie zajedzie?*

– Być może. Ale myślę, że bardziej to jest kwestia charakteru. Na niektóre czasy to mógłby być charakter niepasujący, za łagodny. Może miał szczęście, że trafił na takie czasy? W każdym razie mnie się prezydentura Kwaśniewskiego bardzo podobała. O wiele mniej podoba mi się to, co robi po niej. Byłoby mi to całkowicie obojętne, gdzie jeździ, z kim współpracuje, gdyby nie próbował się włączyć z powrotem w działalność polityczną. Spróbował, zrobił to niezdarnie. Nie dlatego że mu brak talentów, tylko dlatego że znalazł się w sytuacji wewnętrznego konfliktu interesów. I się zdewaluował. Więc teraz przed nim tylko polityczna emerytura.

– *Jak ocenia Pan jego prezydenturę?*

– Oceniam ją bardzo dobrze. Moim zdaniem to jest ten model prezydentury, który pasuje do tej konstytucji, jaką mamy dzisiaj. Nie wykluczam,

że w jakimś sensie on zainspirował sposób ukształtowania roli prezydenta. Owszem, Kwaśniewski miał momenty, kiedy czuł się skrępowany, kiedy chciał wychodzić poza wyznaczone ramy. Nie dziwię mu się, to jest pełnokrwisty polityk, i mogły mu przeszkadzać ograniczenia nakładane przez konstytucję. Jak wiadomo, miał tarcia z Millerem, była tak zwana szorstka przyjaźń i tak dalej. Ale to nigdy nie przybrało tak skandalicznego obrazu jak postępowanie Lecha Kaczyńskiego z Donaldem Tuskiem i z rządem Tuska, czy równie skandaliczne splecenie roli prezydenta z rolą premiera brata w okresie rządów PiS. Kwaśniewski nigdy nie mówił premierowi, nawet temu z innego obozu, tak jak Lech Kaczyński Tuskowi – że będzie musiał rządzić za pomocą dekretów, bo on mu nie podpisze żadnej ustawy przyjętej przez większość sejmową. Gdyby Wałęsa potrafił być takim prezydentem, zachowując wszystkie swoje oryginalności, gdyby się nie rozpychał, nie próbował falandyzować prawa, to dostałby drugą kadencję bez żadnego problemu!

– *Ale się rozpychał, i to brutalnie.*

– I przez to przegrał. Oceniam Aleksandra Kwaśniewskiego jako prezydenta bardzo dobrze. Ale potem zaczęło się coś dziwnego. Bo on wyszedł z tej prezydentury jako człowiek o wielkim autorytecie politycznym. I potem zaczął się ten autorytet dewaluować. Prawdopodobnie przez to, że nie zdefiniował wyraźnie swej roli po okresie prezydenckim. Trochę to rozumiem, był za młody, gdy został prezydentem. Potem minęły dwie kadencje i jako człowiek wciąż młody znalazł się w pustce. Więc wybrał drogę – konferencje, jeżdżenie, i zarabianie pieniędzy.

– *Pamiętam jego spotkanie na Uniwersytecie Warszawskim, w czasach Kaczyńskiego.*

– Ja też! Jeżeli Kwaśniewski chciał zachować autorytet polityczny, udział w konferencjach by temu nie przeszkadzał. Ale angażowanie się w jakieś sprawy o charakterze lobbingowym – to dewastuje, szczególnie jeśli próbuje się wrócić jakoś do polityki. Kiedy Kwaśniewski zdecydował się wrócić i wesprzeć Europę Plus, to moim zdaniem, powinien albo w ogóle w to się nie mieszać, albo zaangażować się na *full*! Przerwać kontakty, które miał za granicą, bądź zawiesić, i zaangażować się w pełni. A tak było to ni to, ni owo, i wyszło śmiesznie. Niepoważnie. I, moim zdaniem, Kwaśniewski bardzo mocno swój autorytet przez to zdewaluował. Dzisiaj to jest orzeł z bardzo mocno oskubanymi piórami. Szkoda.

Całkiem dobrze się dogadywaliśmy

Rozmowa z Januszem Onyszkiewiczem

ROBERT WALENCIAK: Pamięta Pan te dyskusje, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, dotyczące polskiego bezpieczeństwa? Wcale z nich nie wynikało, że idziemy do NATO. Mocna była koncepcja, że tu jest strefa pośrednia, szara strefa…

JANUSZ ONYSZKIEWICZ: To prawda. Na początku lat dziewięćdziesiątych to, jak Polska ma w sensie strategicznym budować swoje bezpieczeństwo, nie było wcale przedmiotem konsensusu. Tutaj były trzy możliwe warianty. Pierwszy, choć nie najważniejszy, to był wariant propagowany głównie przez Konfederację Polski Niepodległej – chodziło w nim o budowanie tak zwanego Międzymorza, pasa krajów od Bałtyku po Adriatyk i Morze Czarne, które powinny razem, w niespecjalnie sprecyzowanej formule, współpracować i sobie wzajemnie zapewniać bezpieczeństwo. Dlatego KPN była absolutnie przeciwna naszemu wejściu do NATO. To może wydawać się dziwne, ale wtedy tak było. Druga koncepcja, najbardziej wyraźna w SLD, to była koncepcja budowania naszego bezpieczeństwa w oparciu o mechanizmy OBWE. To nie znaczy, że jej zwolennicy wykluczali nasze wejście do NATO, chociaż niektórzy rzeczywiście byli temu przeciwni, ale dominował tam taki pogląd – na razie budujmy nasze bezpieczeństwo w oparciu o OBWE, a z NATO to się zobaczy. Czekajmy. Zresztą, między Bogiem a prawdą, trzeba pamiętać, że po przełomie 1989 roku przyszłość NATO wcale nie była jasna.

– Bo zniknął przeciwnik?

– W związku z tym pojawiły się silne głosy na Zachodzie, że NATO wypełniło swoją misję, i w związku z rozwiązaniem Układu Warszawskiego trzeba byłoby je zlikwidować i budować bezpieczeństwo w oparciu o OBWE. Ale te głosy szybko ucichły. Na szczęście. I była trzecia koncepcja, że powinniśmy wejść do NATO. Z tym, że mogła ona być wyraźnie wyartykułowana dopiero po załatwieniu w owym czasie podstawowych

spraw politycznych – ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy naszych granic zachodnich oraz wyprowadzenia wojsk rosyjskich z Polski. W związku z tym trzeba było tutaj postępować w miarę ostrożnie. Poza tym, pamiętajmy, kwestia rozszerzenia NATO była początkowo na Zachodzie odrzucana. Z punktu! To w ogóle nie wchodziło w grę. W związku z tym wyskakiwanie przedwcześnie z tego rodzaju planami…

– *Tak jak Jan Olszewski w 1992 roku…*

– Jak Jan Olszewski, jak Jan Parys, to było takie kopanie w zamknięte drzwi. To nie budziło sympatii i nie przysparzało zaufania. Każda idea musi mieć swój czas, żeby ją przedstawić.

– *Musi dojrzeć…*

– Musi dojrzeć u partnerów, żeby traktowali ją poważnie.

– *Czyli w tamtym czasie trzeba było działać w dwóch płaszczyznach – międzynarodowej, żeby przekonać Zachód, że NATO powinno się poszerzyć. I w sferze wewnętrznej, żeby do idei wejścia do Sojuszu pozyskać i część prawicy, i przede wszystkim lewicę.*

– Trzeba powiedzieć, że pewną rolę w tym dziele odegrała obecność znaczących przedstawicieli lewicy w delegacji naszego Sejmu do Parlamentarnego Zgromadzenia Północnoatlantyckiego. To jest taka struktura, która formalnie nie jest częścią samego NATO, bo nie jest traktatowo umocowana, ale funkcjonuje. Delegowani do Zgromadzenia są przedstawiciele parlamentów narodowych, spotykają się kilka razy do roku. Najczęściej są to politycy z pierwszych ław, w związku z tym można było w tej całej atmosferze NATO-wskiej zanurzyć także przedstawicieli SLD. To o tyle było istotne, że dosyć prędko wielkim zwolennikiem wejścia do NATO okazał się Longin Pastusiak. Więc, z jednej strony, urabialiśmy polityków Zachodu, że idea rozszerzenia ma sens, a z drugiej – budowaliśmy poparcie w kraju. I tu, i tam trzeba było usuwać rozmaite rafy, które na drodze do członkostwa się pojawiały.

– *Był Pan wówczas ministrem obrony w rządzie Hanny Suchockiej.*

– Wtedy też zdecydowaliśmy się w sposób otwarty postawić nasze aspiracje. Okazją do tego była wizyta pani premier Suchockiej w Kwaterze Głównej NATO. W samolocie uzgodniliśmy, że przedstawię tę sprawę. Istotnie, wygłosiłem odpowiednie przemówienie, ono się spotkało nie z odrzuceniem, ale z pewną rezerwą, choć także z pewnymi odcieniami przychylności. Przychylny w stosunku do naszych aspiracji był sam Manfred Wörner, który jednak, jako sekretarz generalny, nie mógł

prezentować formalnie innego stanowiska niż oficjalne. W związku z tym, podczas konferencji prasowej mógł powiedzieć tylko tyle, że NATO nie jest zamkniętym klubem, traktat waszyngtoński przewiduje jego rozszerzenie, no ale na razie w ogóle nie ma takiego planu. Natomiast pamiętam doskonale, że kiedy mnie zapytano, a prezentowałem zdecydowaną gotowość ubiegania się o członkostwo, kiedy w końcu to się może zrealizować, to odpowiedziałem – w pięć lat. Na to padło pytanie, na czym opieram swoje kalkulacje? A ja tłumaczyłem, że nie ma racjonalnych przesłanek. Ale że wiem jedno: wszystko dzieje się znacznie szybciej, niż się nam wydaje. Faktycznie, w ciągu pięciu lat, było pozamiatane…

– *Wcześniej, po wyborach 1993 roku, zmienił się w Polsce rząd.*

– I rozpoczęły się negocjacje koalicyjne pomiędzy SLD–PSL i jeszcze wtedy Unią Pracy. I właśnie z inicjatywy Unii Pracy do umowy koalicyjnej został wpisany punkt o naszym wejściu do NATO, po czym Unia Pracy wycofała się z koalicji, ale zapis został. Potem była już tylko kwestia, czy będzie realizowany rzetelnie, czy nie. Prawdę mówiąc, to była kwestia wiarygodności SLD. Pamiętam zresztą, że jeszcze przed wyborami rozmawiałem parę razy z Longinem Pastusiakiem, który przychodził do mnie do ministerstwa, szukał argumentów, żeby swoich kolegów do NATO przekonać. Więc knuli razem, jak to zrobić.

– *Jak widać, skutecznie.*

– I wiosną 1994 roku odbyła się debata o kierunkach polityki zagranicznej rządu. Wystąpił w niej szef MSZ Andrzej Olechowski, który przedstawił jej główne założenia. Słuchałem tego i miałem wrażenie, że to nasz program! Pamiętam, miałem przemawiać w imieniu Unii, więc powiedziałem, że wysłuchałem go z dużą satysfakcją, bo jak wiadomo o wiele większa jest radość w niebiesiech z jednego nawróconego grzesznika, niż ze stu sprawiedliwych. A tu grzeszników mamy dwóch – bo SLD i PSL. No i usiadłem, po czym podszedł do mnie Jerzy Wiatr i mówi: „Będę odpowiadał na pańskie wystąpienie". Pomyślałem – o rany! Wiatr wyszedł, i słyszę: „Pan Onyszkiewicz właśnie powiedział, że myśmy zmienili naszą politykę wobec NATO. I trzeba uczciwie powiedzieć – tak! Zmieniliśmy!" I padło tutaj uzasadnienie. W tym uzasadnieniu dosyć wyraźnie były wybite takie elementy, jak brak stabilności na Wschodzie, to było przecież po puczu Janajewa, ale także po rozstrzelaniu parlamentu przez Jelcyna. To były podstawowe elementy, które zachwiały resztkami nadziei, że wokół OBWE można budować stabilny system obronny, wobec tego NATO

pozostało jedyną szansą. W związku z tym SLD zabrał się bardzo rzetelnie do sprawy naszego wejścia do NATO. Potem, w trakcie rozmaitych debat i spotkań było to widoczne i szeroko komentowane – że jak słychać wystąpienia w sprawie NATO, to nie wiadomo kto jest z opozycji, a kto z koalicji rządzącej.

– Decyzja o tym, że SLD stawia na wejście Polski do NATO zapadła w ścisłym kierownictwie Sojuszu. Jakimś jej elementem był też fakt powierzenia Bronisławowi Geremkowi stanowiska przewodniczącego sejmowej komisji spraw zagranicznych.

– Oczywiście, takim prozachodnim motorem ze strony lewicy był niewątpliwie Kwaśniewski, który w tamtym czasie był szefem SLD. Ale później został wybrany na prezydenta i pojawił się dodatkowy problem – wiarygodności…

– To znaczy…

– Byłem przekonany, że jeśli chodzi o SLD i stosunek tej partii do NATO, to jest szczere nawrócenie. Ale nie wszyscy musieli mieć takie przekonanie – i dla tych wątpiących Lech Wałęsa był gwarantem, że Polska zmierza na Zachód. A tu raptem – kotwica została zerwana. Prezydentem został Kwaśniewski. W takiej sytuacji uznałem, że dobrze by było zbudować instytucję, która by dawała naszym partnerom zachodnim dodatkową gwarancję kontynuowania polityki pronatowskiej. Pomyślałem, że taką rolę mogłaby odegrać Rada Bezpieczeństwa Narodowego, tylko że jej formuła musiałaby być całkiem inna, nie taka jak za Wałęsy. Musiałaby być to formuła gwarantująca Radzie niezależność i zdecydowaną obecność przedstawicieli opozycji. Konsultowałem to w Waszyngtonie ze Zbigniewem Brzezińskim, z innymi, także z Jerzym Koźmińskim, który był łącznikiem między mną i Kwaśniewskim. I Kwaśniewski to kupił. Więc po powrocie do kraju prowadziłem konsultacje, one wyglądały zupełnie nieźle, rozmawiałem z rozmaitymi czołowymi postaciami opozycji – z Leszkiem Moczulskim, Wiesławem Chrzanowskim i innymi. Byłem świadomy, że wejście do RBN polityków opozycji, jeszcze w ówczesnej atmosferze, wiązało się z pewną ceną polityczną. No i kiedy w trakcie rozmaitych rozmów zorientowałem się, że moje obawy, że Kwaśniewski będzie traktowany z podejrzliwością nie są specjalnie uzasadnione, postanowiłem się z tego wycofać. Tak się skończył ten rozdział RBN.

– To była w tamtym czasie spora zawada – nieufność Zachodu do SLD?

– Było kilka takich min, które trzeba było rozbroić. Jedną z nich była afera wokół Oleksego, bo jest problemem sytuacja, w której kraj aspiruje do NATO, a jego premier jest oskarżany o to, że jest agentem KGB. Drugim problemem była sprawa cywilnej kontroli nad wojskiem. I tutaj rola Kwaśniewskiego była istotna. Otóż, póki prezydentem był Lech Wałęsa, póty nie do ruszenia był szef Sztabu Generalnego, gen. Tadeusz Wilecki. Natomiast, kiedy nastał Kwaśniewski, Wileckiego można było odsunąć, i tym samym tę sprawę rozwiązać.

– *Wilecki był nie do ruszenia z racji poparcia przez Wałęsę czy poparcia przez wojsko?*

– Siłą poparcia Wałęsy przede wszystkim, co nie znaczy, że nie miał poparcia w wojsku. Dla wojska była atrakcyjna idea Wileckiego, że trzeba by wrócić do tradycji II Rzeczpospolitej, kiedy szef Sztabu Generalnego i Naczelny Wódz był osobą numer dwa w państwie, w zasadzie podlegającą wyłącznie prezydentowi, a minister spraw wojskowych, bo tak się to wtedy nazywało, był *de facto* do obsługi armii. Że politycy są sezonowi, a my jesteśmy zawsze. Wilecki traktował apolityczność wojska w ten sposób, że wojsko jest apartyjne. To znaczy nie jest związane z żadną z istniejących partii, ale samo może być siłą polityczną i wchodzić w rozmaite polityczne układy, jak na przykład w Bezpartyjny Blok Wspierania Reform. Mówił, że przecież to nie jest partia polityczna, a skoro pan prezydent to firmuje, a jest zwierzchnikiem sił zbrojnych, więc my, wojsko, powinniśmy tam być.

– *W rządzie Jerzego Buzka był pan ministrem obrony. Siłą rzeczy musiał Pan współpracować z prezydentem Kwaśniewskim nie tylko w sprawach dotyczących NATO.*

– Tutaj nie było właściwie żadnych problemów. Jeżeli jakieś się czasem pojawiały, to dotyczyły nominacji generalskich, jak zawsze zresztą… Natomiast pojawił się problem, nazwijmy go – protokolarny. Jeśli chodzi o sam szczyt NATO, ten który miał konsumować nasze wejście do Sojuszu, a który początkowo miał się odbyć w Waszyngtonie, w pięćdziesiątą rocznicę podpisania traktatu. Ale ta koncepcja dość prędko upadła, dlatego że Amerykanom bardzo zależało na tym, żeby na szczyt przyjechał Jelcyn. A oczywiście nie było mowy, żeby Jelcyn przyjechał na szczyt, który byłby pogrzebem jego iluzji. W związku z tym NATO trzeba było rozszerzyć wcześniej. Stąd w ostatniej chwili nastąpiło przesunięcie z maja na marzec.

– Dnia 12 marca 1999 roku w Independence Polska stała się członkiem NATO.

– Na szczyt w Waszyngtonie byliśmy więc zaproszeni już jako pełnoprawny członek. Ale pojawiało się pytanie – kto ze strony polskiej ma na ten szczyt zostać zaproszony? Oczywiście, każda delegacja składała się z przewodniczącego delegacji, którym był, w zależności od systemu politycznego, albo prezydent, albo premier. Potem byli ministrowie spraw zagranicznych i obrony. Natomiast u nas… Pojechał Kwaśniewski, pojechał Wałęsa, pojechał Buzek, byłem ja… Pamiętam, jak była wielka gala, to na scenie siedzieli przewodniczący delegacji. Więc tam siedział Kwaśniewski. W pierwszym rzędzie, na widowni, mieli siedzieć ministrowie spraw zagranicznych. Ale trzeba coś było zrobić z Wałęsą, w związku z tym Wałęsa został usadzony w tym właśnie rzędzie. Buzek wylądował wśród ministrów obrony, a ja wylądowałem wśród kierowników wydziałów, tak to szło kaskadowo. I podczas kolejnych spotkań nie było lepiej, protokolarne problemy cały czas się pojawiały.

– Jak Pan się przekonywał do Kwaśniewskiego? Na początku była pewna nieufność…

– Ale pamiętałem go z Okrągłego Stołu. Tam okazało się, że jest w tym sensie rzetelny, że jeżeli mówi, że coś przepchnie, to przepchnie, choć jego pozycja polityczna nie była przecież bardzo mocna. Ale mógł dostarczyć to, co obiecywał. Później wiele razy miałem okazję się z nim spotykać, jego udział w pracach nad konstytucją był przecież bardzo konstruktywny.

– Był przewodniczącym komisji konstytucyjnej.

– Więc nabierałem do niego…

– Zaufania?

– To nie tak, że traktowałem go podejrzliwie, ale miałem wobec niego pewną rezerwę. Z czasem to się zmieniało i myślę, że całkiem dobrze się dogadywaliśmy. Później była taka sytuacja, że Kwaśniewski chciał poszerzać swoją gestię jako prezydent, co o tyle wtedy było dla niego łatwe i naturalne, że jak był rząd SLD-owski, to on jako niedawny lider tej formacji, mógł zawłaszczać sobie pewne dziedziny, co na dobrą sprawę się stało. Kwaśniewski przejął sprawy wielkiej geopolityki, sprawy Unii Europejskiej przejął gabinet Millera, a minister spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz został z Trzecim Światem, tak to skrótowo ujmę. Kwaśniewski chciał mieć też większy wpływ na wojsko. Pamiętam, kiedyś

powiedziałem, że zwierzchnik sił zbrojnych nie jest naczelnym dowódcą, więc jego zwierzchnictwo jest takie jak zwierzchnictwo królowej brytyjskiej nad siłami zbrojnymi. O! Wtedy strasznie się obruszył.

– Mówił Pan, że SLD na początku lat dziewięćdziesiątych było w stosunku do Zachodu, do NATO podzielone. Później nastąpił zwrot, niewątpliwie z woli Kwaśniewskiego. Zastanawiał się Pan, dlaczego Kwaśniewski stał się tak bardzo politykiem prozachodnim?

– Kwaśniewski nigdy nie był politykiem antyzachodnim. Co najwyżej mógł mieć pewną rezerwę, może przesadne uczucie, że nie należy za bardzo antagonizować Rosji, że trzeba się z nią układać. Jest w tym pewne jądro racjonalności, być może uważał, że Rosja stoi już twardo na szynach prowadzących w dobrą stronę, i w związku z tym nie należy robić nic, bo pociąg może się wykoleić, jakieś radykalne kroki z naszej strony mogłyby to spowodować… Ale kiedy okazało się, że te szyny rozjeżdżają się co chwilę i wcale nie wiadomo, czy to jest ostatni rozjazd i w którą stronę, to już w sposób zdecydowany opowiedział się za NATO. Tak więc, to nie był jakiś taki zwrot o 180 stopni, tylko taka naturalna, spokojna ewolucja.

– A jego zaangażowanie na Ukrainie, na Wschodzie? Wydawało się, że ze Wschodem nie ma nic wspólnego, i nagle znakomicie tam się znalazł.

– Sytuacja, jeśli chodzi o naszą politykę wschodnią, jest o tyle inna, że tam są ustroje prezydenckie, w związku z tym, w sposób naturalny niejako, politykę polską powinien reprezentować prezydent. Nie mówię, że powinien być twórcą tej polityki, bo nie może, konstytucyjnie rzecz biorąc. Ale w sytuacji jednolitości politycznej między rządem i prezydentem, która była w czasie, kiedy rządy sprawował SLD, a później, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, to nawet kiedy nasza koalicja była u władzy, prezydent miał mocną pozycję. W związku z tym był naturalnym partnerem dla Rosji, dla Białorusi, dla Ukrainy. Na tej zasadzie, że był naturalnym kandydatem do prowadzenia rozmów.

– A lubił to…

– Tak, trzeba powiedzieć, że dobrze mu szło… Potrafił być towarzysko ujmujący, bardzo bezpośredni.

– Trzeba lubić Wschód…

– Trzeba lubić Wschód i trzeba ten Wschód dobrze czuć.

– Radosław Sikorski nie lubi.

– Nie lubi. Bronisław Geremek lubił, ale nie bardzo to czuł. Był za bardzo europejski.

– Na pewno czuł to znakomicie Wojciech Jaruzelski, choć był zupełnie inny w swoich zachowaniach, to nie był brat łata.

– Jaruzelski, trzeba powiedzieć, niesłychanie był szanowany w Rosji. Pamiętam, że kiedyś rozmawiałem z Gorbaczowem, i po rozmowie specjalnie prosił mnie, żebym przekazał pozdrowienia dla Jaruzelskiego. Że to jest taki prawdziwy polski pan. Im to imponowało, że pochodzi z rodziny szlacheckiej, że jest godny, że prezentuje polską dumę, oczywiście w dobrym tego sensie, on nie był bratem łatą. Pamiętam, jak w 1990 roku Jaruzelski jako prezydent Polski składał oficjalną wizytę w Moskwie. Zaprosił mnie wówczas do swojej delegacji, za co jestem mu wdzięczny. To dało mi okazję, żeby tam się pojawić, porozmawiać z Gorbaczowem, i parę spraw tam popchnąć. Wówczas widziałem, z jaką rewerencją się do niego odnoszą. Wtedy też pojawiliśmy się po raz pierwszy w Katyniu, i Jaruzelski dostał pierwszą partię materiałów katyńskich.

– Zastanawiał się Pan, jak to się stało, że SLD z partii, która wyszła z PZPR, stał się ugrupowaniem prozachodnim, promodernizacyjnym?

– To prawda, że tak się stało… Ale to już trochę było widać w czasie Okrągłego Stołu, że oni, nie powiem, że wszyscy, są już bardzo pragmatyczni, i przekonani, że w Polsce tak dalej się nie da, i że trzeba dokonać pewnej zmiany. Do Okrągłego Stołu, myślę, obie strony szły z podobnymi koncepcjami tego, czym mają się one zakończyć, ale z całkowicie innymi poglądami na to, co będzie potem. Obie strony szły z przekonaniem, że ten system, który jest, przynajmniej w swoich ambicjach – totalitarny, a w swej formule autorytarny, żeby go zamienić w system autokratyczny, taki, w którym są pewne sfery wolności gospodarczej, związkowej i tak dalej. Z tym, że oni zakładali, że w takim systemie ster rządów pozostanie w rękach PZPR. Oni w swojej większości tak myśleli, a przynajmniej tak musieli to przedstawiać swojemu aparatowi, przekonani, że ten system zyska dzięki temu pewną stabilność. A myśmy byli przekonani, że jak się otworzy tę furtkę ku wolności, to ten system wcześniej czy później, ale raczej wcześniej, się przewróci. Obie strony więc grały trochę pokerowo. I okazało się, że my mieliśmy lepsze wyczucie i lepsze karty.

Jesteśmy sobie potrzebni z punktu widzenia
tożsamości, kultury, historii, pamięci.
Z tego nie wolno zrezygnować.

Śpiewałem *Jeszcze Polska nie zginęła*. Po polsku… Rozmowa z Szewachem Weissem

ROBERT WALENCIAK: Pamięta Pan, kiedy pierwszy raz zobaczył Pan Aleksandra Kwaśniewskiego?

SZEWACH WEISS: Pierwszy raz to nie było tak bardzo osobiste. To było na jednym z posiedzeń Międzynarodówki Socjalistycznej, byłem w składzie naszej delegacji, której przewodniczył Szimon Peres. Powitaliśmy się, uścisnęliśmy ręce, tyle. Drugie spotkanie było niezwyczajne. To było w 1998 roku, zostałem zaproszony do Polski jako laureat Nagrody Brata Alberta. Drugą laureatką była Jolanta Kwaśniewska. Więc spotkaliśmy się na tej uroczystości, przemawiałem w imieniu nagrodzonych, potem było krótkie spotkanie już u prezydenta Kwaśniewskiego, było bardzo miło, rozmawialiśmy o różnych sprawach. Trzecie spotkanie było w 2000 roku, wtedy premier Szwecji Göran Persson zorganizował konferencję w sprawie pamięci Holocaustu, było kilku premierów, prezydentów. Z Izraela przyjechał premier Ehud Barak, byłem też ja, jako prezes Instytutu Pamięci Yad Vashem w Jerozolimie. Wtedy już krążyły plotki, że przyjadę do Polski na służbę ambasadorską. I jak kończyła się konferencja, podszedł do mnie prezydent Kwaśniewski, tak mnie ścisnął miło, i zapytał: „No, Szewachu, kiedy przyjedziesz?" Powiedziałem: „Jak najszybciej!" I przetłumaczyłem to Ehudowi Barakowi. A on na to: „To ja przyspieszę". Przyspieszył.

– *Tak się Panu do Polski spieszyło?*

– Sam sobie wybrałem Polskę jako państwo w służbie ambasadorskiej. Ehud Barak proponował mi Berlin. Wtedy stolica niemiecka wróciła do Berlina, myślał, że Szewach Weiss, dziecko Holocaustu, były przewodniczący Knesetu, nadaje się, by tam go wysłać. Ja mu odpowiedziałem: „Jeszcze nie, ja nie bojkotuję, nie wolno bojkotować całego narodu, to jest nowe pokolenie…" Można nie wybaczyć rodzicom tego pokolenia, ale im trzeba dać szansę na otworzenie nowego rozdziału w historii Niemiec. Ale powiedziałem – jeszcze nie. Wtedy proponował mi Moskwę znam język rosyjski. To się wykręcałem – w Moskwie taki mróz… – To co chcesz? – zapytał. A ja mu na to: „Jak chcesz mnie wyrzucić z Izraela – jesteśmy przyjaciółmi, więc mogłem tak mówić – to ja chcę Warszawę". Zamurowało go: „Zwariowałeś?! Ja ci proponuję Moskwę, Berlin!" Na to ja: „A gdzie się urodziła twoja mamusia?" On złapał się za głowę: „Łał, w Polsce!" Zrozumiał. I wróciłem do Polski.

– *Bez obaw?*

– Byłem w Polsce kilka razy już jako przewodniczący Knesetu, spotykałem się z prezydentem Wałęsą. A więc bez obaw. Wybrałem sobie Polskę, czułem, że to jest dla mnie misja. Nie mam przygotowania dyplomatycznego, nigdy nie pracowałem w służbie zagranicznej, nie jestem zawodowym dyplomatą.

– *I został Pan ambasadorem.*

– W Izraelu premier ma bezpośrednio wpływ na nominacje dziesięciu ambasadorów. A ambasad mamy więcej niż sto. Więc premier nominuje – przeważnie Waszyngton, Londyn, Pekin, Berlin, Paryż, Kanada wchodzi w rachubę, Indie… Tym razem, po raz pierwszy, premier wskazał ambasadora w Polsce.

– *Bo Pan chciał…*

– Nasza historia! Te dwa narody żyły sobie jeden obok drugiego siedemset, osiemset lat! Według naszej historiozofii to było najważniejsze centrum narodu żydowskiego. Bo naród był bez ziemi, a ziemia bez narodu, niby czekała… Więc naród żydowski musiał przez te lata mieć swoje centrum. A gdzie ono było? Nasi profesorowie to opisali – centrum jest tam, gdzie demograficznie jest najwięcej Żydów, tam gdzie tworzy się kultura żydowska, gdzie istnieje język żydowski (mówiąc o języku żydowskim, myślimy o jidysz), tam gdzie się rozwija religia żydowska. To jest miejsce, które ma wpływ na wszystkich Żydów na świecie. Polska była

przez pięćset, sześćset lat takim centrum. Więc stosunki są nadzwyczajne. I to się skończyło okropnie. Wiadomo. Z uwagi na to wszystko ambasador Izraela w Polsce i ambasador Polski w Izraelu mają szczególną rolę. Nie tylko w kontekście historycznym, jest też kontekst powojenny, po pogromie w Kielcach może sto tysięcy Żydów uciekło z Polski… Chociaż w czasie wojny o niepodległość Polska nam bardzo pomogła. Związek Radziecki nam pomógł. Polacy szkolili naszych pilotów, dostarczali nam broń. Czyli były różne czasy. A potem były bardzo przykre czasy. Marzec 1968 roku i tak dalej… Więc ten fakt, że prawie nie ma Żydów w Polsce… A było tyle! Więc dla nas służba w Polsce będzie przez długi czas niezwyczajna. Tak samo ma ambasador Polski w Izraelu. Spotkania z tym landsmannschaften w Izraelu, z różnymi organizacjami żydowskimi… Więc ja, mając to wszystko przed oczami – przyjechałem do Polski.

– *W Izraelu byli tacy, co się dziwili…*

– A tak! Szewach Weiss, były szef Knesetu, były wiceprezydent państwa – i Polska? Proponują mu Moskwę, proponują mu Berlin! A co on robi? Oprócz tego jest w Izraelu dużo antypolonizmu. Dużo Żydów jest z Polski, oni nie przyjeżdżają do Polski, jest jakiś gniew, jakieś poczucie niesprawiedliwości, właśnie z powodu tego, co działo się po wojnie. Powiem szczerze, kiedy wyjeżdżałem do Warszawy, Polska była w Izraelu bardzo popularna, ale nie była uwielbiana.

– *Delikatnie Pan to określił.*

– To się zmienia. Aleksander Kwaśniewski dołożył bardzo ważne cegły do tej dobrej zmiany. On był popularny w Izraelu, przyjeżdżał do nas, miał przemowy, pamiętają jego przemowę w Jedwabnem, że była dramatycznie poważna i ważna. Ja dodałem tam też zdanie – o innych stodołach. Myśmy się bardzo zbliżyli z prezydentem Kwaśniewskim. To już było później, było Olku, Szewachu, i tak dalej, spotkania, rozmowy, to wyglądało tak, jak powinno wyglądać. Aleksander Kwaśniewski miał fantastyczne stosunki z Szimonem Peresem, który w tych czasach był premierem, a potem ministrem spraw zagranicznych. Pamiętam te spotkania, kiedy Peres przyjeżdżał – osobiste, miłe, takie specjalnie ważne.

– *W III RP to nie dziwi.*

– Znam osobiście wszystkich prezydentów III Rzeczpospolitej. Powiem szczerze, że każdy z nich zachował się wobec Izraela i narodu żydowskiego bardzo porządnie. Lech Wałęsa podczas kampanii wyborczej miał kilka zdań niepotrzebnych, ale później to się zmieniło. Przyjeżdżał

do Izraela i przemawiał w Knesecie, miał bardzo ważne wystąpienie, pamiętane, był związany z różnymi programami pokojowymi.

– *Czym wyróżniał się na tym tle Kwaśniewski?*

– Co było niezwyczajne u Aleksandra Kwaśniewskiego? To jest moje poczucie, bo obiektywnie stosunki Polski i Izraela są dobre, między państwami bardzo dobre. Między narodami – to się zmienia. Na to trzeba czasu.

– *Aż rany się zagoją?*

– Wracam do tego, co się stało. Szmalcownicy i tak dalej… Cała Europa współpracowała z Niemcami. Polska mniej, o wiele mniej! Jako naród i jako państwo. Ale jednak właśnie to, co się stało w czasie wojny, po wojnie…

– *Gross pisał o Jedwabnem…*

– To nie jest ważne, że on nie ma dokładnej dokumentacji, dokładnie nie wiemy, czy w tej stodole było 1600 zamordowanych czy 1200. A jak było 1013, to co? Ja czułem, że ta sprawa leży w jego sercu.

– *Jedwabne?*

– Nie tylko, całe nasze stosunki. Czułem jego głęboki filojudaizm. To się czuje, to nie jest sprawa, jak się przemawia, i tak dalej. Jestem dzieckiem Holocaustu, moja świadomość, moje instynkty, są ostre. I potrafiłem ocenić, jak on mówił o Żydach, jak rozmawiał, jaki był klimat rozmowy, jego ogromną wiedzę o Izraelu. Ale inni prezydenci też byli dobrze ustosunkowani. Ciekawi byli Izraela. Bo Izrael jest dla Polaków ciekawym krajem. Tu, na Uniwersytecie Warszawskim, będąc dyrektorem Centrum Badań nad Współczesnym Izraelem, no i w Akademii Pedagogiki Specjalnej, mam setki studentów. Widzę ich zainteresowanie. W ogóle, Polacy są zainteresowani Izraelem, kulturą żydowską, Żydów prawie nie ma w Polsce, ale ten judaizm istnieje. Tutaj. On jest gdzieś w powietrzu, w drzewach, w chmurach.

– *Ci ludzie tutaj żyli.*

– Tyle lat, tyle zwyczajów, tyle dowcipów wspólnych, słów. I tak dalej. Teraz na przykład… To jest związane z czasami komunistycznymi. Aleksander Kwaśniewski miał bardzo bliskie, przyjacielskie stosunki z Szymonem Szurmiejem i Gołdą Tencer. Z Teatrem Żydowskim. Na przedstawienia przychodził. To ma znaczenie. Ja kilka razy uczestniczyłem w takich obiadach, na których siedział Szymon Szurmiej, Gołda Tencer, rozmawialiśmy o sprawach związanych z kulturą żydowską, z językiem

jidysz, z religią, z tożsamością żydowską, to było u niego bardzo naturalne i głębokie.

– *Jaki był najtrudniejszy moment pańskiej misji w Polsce? Jedwabne?*

– Nie. Jedwabne było okropne. Chociaż to moje zdanie, że ja znam inne stodoły, było spontaniczne. Bo wolę mówić o Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. O tym, że Bóg był w ich sercach. Jako symbol wiary, sprawiedliwości, odwagi, ludzkości w tym nieludzkim świecie. Ja byłem wędrującym ambasadorem. Siedziałem w Warszawie jeden, dwa dni w tygodniu, spotykałem się z narodem polskim, z młodzieżą. To było bardzo dla mnie ważne. A sprawy dyplomatyczne i tak dalej mogłem załatwić telefonem, mając fantastyczne stosunki z elitą polską i z prezydentem.

– *Udawało się?*

– W 2003 roku nasze samoloty wojskowe przyleciały do Polski na wystawę i na ćwiczenia koło Radomia. I piloci chcieli przelecieć nad Auschwitz, nad bramą, jako symbol – że istniejemy. Na czele tej ekipy lotników stał pułkownik generał Amir Eshel, dziś jest generałem, dowódcą lotnictwa wojskowego Izraela.

– *Syn Żydów ocalałych z Holocaustu.*

– Jego rodzina ze strony babci i tak dalej… Wszyscy zginęli w Auschwitz. Tam są ich prochy, tam nie ma przecież cmentarza! Oni chcieli przelecieć, dać świadectwo… To było bardzo delikatne, żeby uzyskać pozwolenie, była dyskusja, tam były różne wojskowe sprawy. I prezydent Kwaśniewski powiedział mi: „Ja was rozumiem, załatwię to".

– *I przelecieli.*

– Tak. Takie gesty ze strony człowieka, że czuje nas… Co do mnie – spotkało mnie w Polsce wiele wzruszających gestów. Pamiętam, po przylocie do Polski, to był koniec stycznia 2001 roku, po złożeniu listów uwierzytelniających, przyszedłem na plac Piłsudskiego złożyć wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza… Składam wieniec, dwójka polskich żołnierzy, ja, Szewach Weiss, dziecko Holocaustu, słyszę ten hymn, i spontanicznie go śpiewam: *Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy*… Ja go śpiewam po polsku! Pan rozumie… I czasami były też smutne chwile. Jak widziałem te swastyki … Na Polskę patrzy się w tych sprawach przez mikroskop… Jak się wyjeżdża z Auschwitz i tam się widzi swastykę… Wystarczy jeden chuligan – to nie jest cały naród polski, ale to bardzo boli. Choć czasami były sprawy z fantastycznym sarkazmem! Pamiętam wydarzenie z pierwszych miesięcy mego pobytu w Warszawie. Jadę ze swoim wspaniałym kierowcą

Wojtkiem Krawczykiem, i trach! Na jakiejś ścianie w Warszawie pisze: Kwaśniewski – Żyd! A ktoś tam niżej dodał – no to co, rasisto? Brawo! Klaskałem, siedząc w samochodzie! Pan wie, że każdego, kto ma dobre podejście do żydowskiego narodu, sprawiedliwe, zaraz oskarżają – Żyd! To nie powinno obrazić nikogo, ale to nie o to w tym przypadku chodzi. On miał sympatię do naszego narodu, wyczuli to, i ktoś to napisał.

– *A potem ktoś, niżej, dopisał…*

– Opowiadałem o tym w radiu w Izraelu. Że jest nowa Polska. Że pierwszy napis – to jest stara Polska, a pod nim – nowa. I że Polska jest po stronie Izraela. Z różnych powodów. Ja bym powiedział, że prezydent Kwaśniewski stworzył tę formułę, i kolejni prezydenci idą w tym kierunku. To jest bardzo ważne, to jest fajne, tak powinno być, jest coś między nami! Nie jesteśmy obcymi! Owszem, jest między nami kompleks, jakiś syndrom bardzo niezwyczajny.

– *Bo masę rzeczy jest wspólnych?*

– Nie zawsze, nie ma czegoś takiego jak współkultura polsko-żydowska. Żydzi i Polacy żyli obok siebie. Nie tak bardzo razem, potem zaczęła się asymilacja. Z tej asymilacji jest na przykład Bruno Schulz, Żyd, był mistrzem języka polskiego. To by się mocniej rozwinęło, gdyby nie Zagłada. To znaczy, syjoniści by wyjechali do Palestyny, religijni by tu zostali, czekali na Mesjasza, bundowcy by zostali, oni byli na granicy polskości, oni się czuli Polakami pochodzenia mojżeszowego. Byłaby asymilacja, wspólne pary, wesela… Tak było przecież po wojnie, choć szybko się skończyło… Ale te pary, które przyjechały z Polski do Izraela, nawet po 1968 roku, w większości były mieszane. Żyd–Polka, Polak–Żydówka. I pięknie żyją.

– *Bo wspólnie żyli przez lata?*

– Było poczucie, że tu można żyć. Były miasteczka, w których 30, 50 procent mieszkańców to byli Żydzi. Białystok – połowa to Żydzi. W Łodzi – 35 procent, w Warszawie – 30 procent, w Chmielniku – 80 procent Żydów…

– *W Górze Kalwarii…*

– 150 procent! Było wspólne życie. Raz było dobrze, innym razem były kłótnie… Jak w życiu. Ale jest fakt, że w 1939 roku, w lato, miesiąc przed wybuchem wojny, na całym świecie było 11 milionów, a z Polską związanych było 5,5 miliona! Owszem, był antysemityzm w Polsce, okropny… Ale w porównaniu do całej Europy? Były pogromy, ale to u Ukra-

ińców. Dlatego Jedwabne było niezwyczajne. Proszę zauważyć, że większość wachmanów w obozach zagłady, na tych wyspach niemieckich na polskich ziemiach, bo to były niemieckie obozy zagłady, to byli Ukraińcy, Litwini. Polak – może jeden, dwóch. Myśmy byli Nischmenschen, Polacy byli Untermenschen. Oni mordowali też Polaków… A dzisiaj – trzecie pokolenie, profesorowie, tyle badań naukowych – o gettcie, o walce, o schronieniach, o powinnościach, o ciemności, tyle filmów… Wszystko się dzieje. Polska w dalszym ciągu zajmuje się tą sprawą, bardzo odważnie. Tak! *Pokłosie* i tak dalej… To są odważne filmy! Trzecie pokolenie chce wiedzieć dokładnie wszystko do końca. Co było dobre, co było złe.

– *Festiwal Warszawa Singera to jest to dobre…*

– Izaak Bashevich Singer wyjechał z Polski w 1934 roku, to był mistrz języka jidysz. Z polskim akcentem. Polski jidysz! Żyjąc tu, to ma zapach Polski. I to wszystko Kwaśniewski czuł. On ma bardzo ważne miejsce w odnowieniu naszych stosunków po Zagładzie, po wszystkich błędach, które Polska popełniła.

– *Rozmawiamy i słyszę, jak panu bardzo na tym zależy, żeby stosunki Polska–Izrael były jak najlepsze…*

– Mówię to w Izraelu – można przecież zrezygnować z tych stosunków, Polska nie jest nam bardzo potrzebna, jest potrzebna jako jeden z krajów Unii Europejskiej, który głosuje, i tak dalej, jest takich dwadzieścia kilka… Z punktu widzenia gospodarczego, z punktu widzenia sojuszu wojskowego, kluczowe dla Izraela są Stany Zjednoczone. Jest import izraelski do Polski i z Polski do Izraela, chociaż inwestycje Izraela w Polsce są ogromne. To się nie ujawnia w statystyce, ale miliardy dolarów Żydzi, Izraelczycy, inwestują w Polsce, to opisywane jest jako inwestycje koncernów międzynarodowych.

– *Więc…*

– Jesteśmy sobie potrzebni z punktu widzenia tożsamości, kultury, historii, pamięci. Z tego nie wolno zrezygnować. Tak, my Żydzi, wróciliśmy do Izraela, ale ponad połowa z nas, 55–60 procent, żyje w innych państwach, na całym świecie. Szkoda, że w Polsce jest ich tak mało, właściwie brak, jest kilka tysięcy. Ja bym chciał, żeby było więcej, 100 tysięcy! Jest synagoga oddana gminie żydowskiej na mocy ustawy, którą wniósł do Sejmu Aleksander Kwaśniewski, a nie ma kto się tam modlić. W Lublinie jest 10 Żydów, kiedyś było 41 tysięcy! Prezydent, jako przywódca państwa, całego narodu, prezydent jest symbolem całego narodu. Z punktu

widzenia gojenia otwartych ran, Kwaśniewski zrobił bardzo dużo w dziele nowego pojednania. Jest pytanie – czy Żydzi i Polacy mogą od nowa? Czy to jest możliwe? To jest możliwe. I w tej sprawie Aleksander Kwaśniewski odegrał niesamowitą rolę historyczną, razem z żoną Jolantą.

Myślę, że i oni, i my byliśmy dla Polski niezbędni.
Bez Kwaśniewskiego, Cimoszewicza i Millera,
a wcześniej i Jaruzelskiego, i Rakowskiego,
Polska inaczej by wyglądała. Znacznie gorzej.
A bez nas by nie było tego, co było siłą Polski – impulsu,
drogi do zmian i odwagi.

On jest jak człowiek, który w młodym wieku poleciał w kosmos
Rozmowa z Adamem Michnikiem

ROBERT WALENCIAK: Był Pan człowiekiem, który w czasach Kwaśniewskiego mógł wejść do Pałacu Prezydenckiego, kiedy chciał…

ADAM MICHNIK: W gruncie rzeczy – tak. Ale tego nie nadużywałem. Jeżeli uważałem, że mam sprawę ważną, to dzwoniłem. W ciągu kilku godzin prezydent oddzwaniał, przychodziłem i rozmawialiśmy. Myśmy mieli do siebie sympatię i zaufanie, więc nie miałem z tym problemu. I nie chodziło o sprawy prywatne, w tym byłem konsekwentny.

– Skąd ta sympatia i zaufanie?

– Poznałem Aleksandra Kwaśniewskiego dopiero przy Okrągłym Stole. Wcześniej widywałem go w telewizji. Robił wrażenie fatalne. Tłusty, spasiony, taki młodzieżowy aparatczyk, który mówi te wszystkie frazesy, tą nowomową. Myślałem, że to jakiś okropny facet, karierowicz. Nagle, przy Okrągłym Stole, przemówił nie tylko ludzkim głosem, ale przemówił głosem człowieka bardzo inteligentnego. Rozmawiałem z nim w kuluarach, zobaczyłem, jakiej miary to jest głowa, jaki polityczny talent! No, a potem,

muszę powiedzieć tak – przynajmniej w trzech momentach jego rola była niesłychanie pozytywna.

– *W których trzech?*

– Po pierwsze, wyszlifował SLD. Potrafił z SLD uczynić partię, która swobodnie mieści się w konstytucyjnym ładzie parlamentarnej, europejskiej demokracji. Co było niemałym osiągnięciem. Po drugie, był bardzo dobrym prezydentem. To nie znaczy, że nie popełniał pomyłek, popełniają je wszyscy. Ale on chciał być prezydentem wszystkich Polaków, i wiele zrobił, żeby każdy, kto miał choć trochę dobrej woli, to musiał mu oddać. Nawet jego zdecydowani przeciwnicy. Krzaklewski potrafił mu dziękować za podpisanie reformy samorządowej, Kaczyński potrafił mu pogratulować akcji na Ukrainie. To dowodzi, że rzeczywiście, osiągnął niesłychanie wiele. I trzeci czynnik – to jest jego konsekwentnie proeuropejska, prozachodnia polityka. Dzięki temu Polska uniknęła tego, co stało się w Rosji, kiedy Gajdara i Czubajsa przegoniono od reform, i dzisiaj Rosja, jeśli chodzi o strukturę gospodarczą, jest w nieporównanie gorszej sytuacji od Polski. Ma u siebie całą tablicę Mendelejewa, a trzyma się na cenach nafty i gazu, co z kolei umożliwia rezygnację z reform i zdecydowane uwstecznienie w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Tak! To jest człowiek bardzo zasłużony dla III RP i dla polskiej demokracji.

– *Czy Kwaśniewski swoim życiem politycznym zmazał skazę „gorszego" pochodzenia?*

– Moim zdaniem – tak. Zmazał!

– *Chciał czy tak wyszło?*

– On po prostu taki jest… Potrafi odczytywać znaki czasu, czytać rzeczywistość. Gdy SLD wygrał wybory w 1993 roku, wiedział, że absurdem by było wycofywanie się z reform, które już były dokonane. Pamiętam też bardzo dobrze, ile zawdzięcza mu Polska w momencie, kiedy miał ogromny wkład w nominację Leszka Balcerowicza na szefa NBP. Zapamiętałem mu ordery Orła Białego dla Jacka Kuronia, dla Karola Modzelewskiego, dla Leszka Kołakowskiego, dla Marka Edelmana. To były niesłychanie doniosłe rzeczy!

– *Czy to wynikało z jego przekonań, czy z tego, że po prostu czytał znaki czasu i uznał, że musi tak działać…*

– Znaki czasu miały wpływ na jego przekonania. Aleksander Kwaśniewski jest człowiekiem o temperamencie socjaldemokratyczno-liberalnym. Zawziętości w nim nie ma, ani nienawiści, fanatyzmu. On jest

niezajadły, niedoktrynerski, potrafi słuchać innych, wysłuchiwać cudzych argumentów i potrafi zmieniać zdanie. On jest ciekaw innych ludzi, ale jest, moim zdaniem, mało odporny na pewnego typu pokusy.

– *Jakie?*

– To, co on ostatnio robi – uważam, że jest w tym za dużo błędów. Przez to sporo stracił ze swojej wiarygodności, choć to nie znaczy, że nie słucham jego komentarzy na temat bieżącej polityki, polskiej i europejskiej. Słucham! To są zwykle komentarze bardzo inteligentne, świadczące i o obiektywizmie, i o kompetencji.

– *Dlaczego nie udał się kompromis historyczny? Współpraca środowisk SLD i Unii Wolności? Kwaśniewski przez lata całe próbował go zrealizować, czasami było blisko, ale nigdy tak naprawdę nie zostało to osiągnięte…*

– Jeśli się nie udał, to prawdopodobnie dlatego, że te środowiska nie były do tego dostatecznie przygotowane. A historyczną winę ponosi młode kierownictwo SLD, które rozwaliło LiD. Mówiłem wtedy Olejniczakowi, że to jest ogromny błąd.

– *A wcześniej, dlaczego się nie udało?*

– To jest kwestia niegotowości. Ten szantaż, że tak powiem, sentymentami historycznymi, był wtedy bardzo silny. Moim zdaniem było to niemądre, byłem zwolennikiem kompromisu. Ale cóż… Nie wystarczy mieć rację, trzeba mieć większość…

– *Poziom wzajemnej nieufności pokazał moment, kiedy „Gazeta Wyborcza" wydrukowała artykuł Barbary Labudy o szkieletach w szafie. Jaka była awantura!*

– Absurdalna! I to wobec Basi, która była jak najbardziej za współpracą, żeby nie stali po przeciwnych stronach rzeki…

– *W SLD odebrano to jako atak na nich.*

– A to nie był atak ! To było rzucenie liny.

– *Nie każdy tak to zrozumiał…*

– To się dziwię… Choć trochę rozumiem te działaczki SLD, które wtedy krzyczały na Basię. Jak ktoś jest przez wiele lat atakowany, niekoniecznie za swoje winy, to potem trudno jest nagle odrzucić emocje i spojrzeć na wszystko spokojnie.

– *Żeby przekroczyć tę rzekę…*

– I Aleksander Kwaśniewski, i Leszek Miller, i Włodek Cimoszewicz – jak z nimi rozmawiałem, to miałem poczucie, że są na właściwym brzegu. A niektórzy moi koledzy – z tym było gorzej…

– Dlaczego?

– Jacek Kuroń był za. Zdecydowanie. Modzelewski był z Unii Pracy, więc jeżeli miał coś za złe SLD, to nie żaden stalinizm, tylko to, że głosowali za reformami Balcerowicza. Ikonowicz jeszcze teraz mówił w telewizji, że największą zbrodnią Jaruzelskiego było to, że 31 grudnia 1989 roku, jako prezydent, podpisał pakiet Balcerowicza. Stan wojenny – a tam, nieważne. To podpisał, pakiet Balcerowicza, to zbrodnia była! To jest tak – mnie kiedyś Leszek Kaczyński to powiedział – ty, Adam, masz ten problem, że zwykle masz rację o pół roku za wcześniej. A za pół roku nikt już nie mówi, że miałeś rację, tylko się wściekają, bo akurat zdążyłeś powiedzieć coś nowego.

– Ale wcelował Pan w ocenie Kwaśniewskiego i SdRP. Bo po 1989 roku partie tak zwane postkomunistyczne poszły różnymi drogami. Jedne socjaldemokratyczną, inne nacjonalistyczną…

– Kwaśniewski wybrał drogę socjaldemokratyczną. Być może na początku nic tego nie zapowiadało, ale ja już od Okrągłego Stołu nie miałem wątpliwości, że to jest facet, od którego można kupić używany samochód. Z nim się da gadać. W PZPR była ta tendencja, myśmy widzieli jej jakieś ślady, jak się czytało „Politykę", eseje Janusza Reykowskiego, niektóre analizy Wiatra – to było widać. Tylko że była to tendencja mniejszościowa i przytłumiona przez aparat. Zresztą, przez długi czas w Polsce obowiązywało przekonanie, że rządy sowieckie to jest rzecz nieodwracalna. I w gruncie rzeczy myśmy też tak myśleli. Myśmy myśleli, że jakieś zmiany można wymusić, wynegocjować, wystrajkować, natomiast, że wszystko się przewali – nikt w to nie wierzył. To była kwestia osobistego postępowania człowieka. Rozmawiałem z Markiem Borowskim – to różnice między nami wcale nie były duże, one były spokojnie do uzgodnienia. Z tym, że ja wierzyłem w zmianę, a Marek nie wierzył. W związku z tym on działał, że tak powiem, w strukturach, a ja w opozycji. Ale jak patrzę perspektywicznie, to myślę, że i oni, i my byliśmy dla Polski niezbędni. Bez Kwaśniewskiego, Cimoszewicza i Millera, wcześniej i Jaruzelskiego, i Rakowskiego, Polska inaczej by wyglądała. Znacznie gorzej. A bez nas by nie było tego, co było siłą Polski – impulsu, drogi do zmian i odwagi.

– A potem, w III RP, braku rewanżyzmu, ścinania głów. Podobała mi się idea Tadeusza Mazowieckiego, i Pana, że nie ma rewanżu, że Polska jest dla wszystkich i dla niej wszyscy powinni pracować…

– Bo to byłoby zaprzeczenie demokracji! Ja ukułem takie sformułowanie „antykomunizm z bolszewicką twarzą"! To jest to, co stało się w Gruzji. Gdzie demokratycznie wygrał wybory Zwiad Gamsachurdia i wszystkich swoich towarzyszy z opozycji pozamykał do kryminału. Tego się bałem. W innych krajach, na szczęście do tego nie doszło ale niebezpieczeństwo było. Każdy, kto znał historię rewolucji, czy francuskiej, czy angielskiej, czy rosyjskiej, wie, że proces wahadła jest nieuchronną logiką. W Polsce też to było, ta cała „noc długich teczek Macierewicza" miała do tego prowadzić. Na szczęście im się nie udało.

– Duża w tym rola Adama Michnika i „Gazety Wyborczej". Do końca życia będą wam to wypominać.

– Dobrze! Oni mają pamięć selektywną, ale że to pamiętają, to bardzo dobrze! Niech pamiętają, bo uważam, że myśmy absolutnie mieli rację! To, co oni robili, to było nieodpowiedzialne gówniarstwo, to było granie losem wielomilionowego kraju. Jestem bardzo dumny, że nam starczyło wtedy odwagi, determinacji, żeby się okopać i z tej pozycji nie schodzić.

– Robiąc „Gazetę", czuliście, że jesteście w grze politycznej? Czy też mówiliście – mamy w nosie polityczne gry, na kogo popadnie, ten trafiony?

– Nie jest mi łatwo na to pytanie odpowiedzieć, bo myśmy się sami między sobą spierali. W gazecie były też różne głosy w różnych momentach, choć miałem większy wpływ niż inni, bo byłem naczelnym. Moje stanowisko było zdecydowane – to ma być polska rekoncyliacja, a nie rekonkwista. Musimy szukać tego, co łączy, a nie tego, co dzieli. Ja się o to spierałem ze swoimi kolegami, i w redakcji, i poza redakcją.

– Teoretycznie powinien Pan być w tych dyskusjach jastrzębiem, to Pana zamykano…

– To co z tego? Jak mówił Melchior Wańkowicz – można stracić majątek, nie można tracić rozumu. Ja wiedziałem, że dla Polski to jest dobre, a nie organizowanie polowania na czarownice! Szukać komuś coś, że w 1951 roku gdzieś tam był… To absurd! Oczywiście, tam, gdzie było przestępstwo – ono powinno zostać osądzone. Ale osądzać mają nie politycy i nie dziennikarze, tylko sędziowie. W momencie, kiedy polityka wchodzi na salę sądową, drugimi drzwiami z tej sali wychodzi sprawiedliwość. To jest znana prawda. Ja się tego po prostu cholernie bałem, wiedziałem, że bardzo wielu ludzi w sądach nauczyło się posłuszeństwa w tamtych latach, oni na rozkaz z KW wydawali wyrok na mnie, na innych, więc teraz też nie mieliby chwil wahania.

– *Na podobny rozkaz wydawaliby wyroki?*

– Na Generała, na innych… Dla mnie to było nie do zaakceptowania.

– *Tak Pan mówił, narażając się na ataki, także przyjaciół…*

– Atakowali… Niemniej, patrząc z perspektywy, nie wchodząc w szczegóły, bo o szczegółach zawsze można mówić, moje stanowisko było słuszne. Dlatego że Polska dobrze wyszła na tym, że Kwaśniewski, że Włodek, że Leszek Miller, że Rosati, że Danuta Hübner…

– *Że jesteśmy w NATO, w Unii, w Europie… Po tej stronie. Czyli spełniły się marzenia milionów… Czuje się Pan człowiekiem sukcesu?*

– Oczywiście! I to, że teraz Donald Tusk jest Przewodniczącym Rady Europejskiej…

– *To symbol polskiej drogi…*

– Olek potrafi to zrozumieć, on to powiedział. PiS-owcy – już nie… Oni oszaleli.

– *Mamy kłopot z PiS-owcami. Oni są wewnętrznie przekonani, że ich się krzywdzi, pomija, noszą w sobie poczucie krzywdy…*

– Tak! Są dyskryminowani, prześladowani, wszystko więźniowie syberyjskich łagrów!

– *Michnik ich tam zepchnął…*

– Tak! Sponiewierałem ich, wdeptałem w glebę! Zawsze u ludzi, którzy wybierają ten typ postępowania, jest poczucie, że to jest ich straszne bohaterstwo, nonkonformizm. Jak się przeczyta pod tym kątem publicystykę marcową 1968 roku, to tam są takie właśnie zwroty: tak jest, my mamy odwagę to powiedzieć! Wreszcie to mówimy! Choć wiemy, jaką cenę możemy zapłacić za to, ale to powiemy! Oni mają poczucie, że się wydobywają z własnej krzywdy, poniżenia, z upokorzenia. Był taki artykuł Ładosza o Kołakowskim, w którym on pisał – w Polsce w ostatnich tygodniach radykalnie poszerzyła się wolność słowa. Wolno publicznie krytykować Kołakowskiego! Humor! To samo ci tak zwani „dziennikarze niepokorni"! Co zrobię, że oni tacy są? Ja jestem z Polski bardzo dumny. A jeszcze teraz, gdy widzę, jak to społeczeństwo, te elity, jak zachowują się wobec kryzysu ukraińskiego! Nie spodziewałem się tego.

– *Przecież to w wielkim stopniu ludzie uformowani przez „Gazetę Wyborczą", przez czytającą ją inteligencję. „Niepokorni" aż się dławią, mówiąc, że „Gazeta Wyborcza" ukształtowała Polaka-leminga.*

– Ja z tym nie umiem polemizować… Zawsze staraliśmy się być po stronie takich podstawowych, staromodnych wartości, jak wolność,

godność ludzka, swobody obywatelskie, tolerancja, patriotyzm. I przede wszystkim, Polski wspólnej, Polski otwartej. Nikogo z niej nie wyrzucać! Bo tak przecież robili bolszewicy. Oni stworzyli kategorię liszeńców, ludzi pozbawionych praw, nam nie wolno tego robić! Dekomunizacja prowadzi do piekła. Owszem, każdy, kto źle pracuje – ten musi odejść. Ale jak pracuje dobrze – to niech pracuje. Bo co, trzeba go wyrzucić, bo miał czerwoną legitymację? To przecież absurd! Ja w tej sprawie miałem absolutne przekonanie, że my, jako „Gazeta", mieliśmy rację, broniąc takich ludzi jak Kwaśniewski przed jaskiniowym antykomunizmem. To nie oznacza bezkrytycyzmu czy pobłażania.

– *Gdy jeździł Pan po świecie, często pytano Pana o Aleksandra Kwaśniewskiego i o SLD?*

– Bardzo często. Na te pytania miałem zawsze dwojakiego typu odpowiedź. Bezpośrednio po tym, jak SLD wygrał wybory, byłem ze Zbyszkiem Bujakiem w Waszyngtonie. I na konferencji padło pytanie – jak to oceniasz, że komuniści wrócili do władzy? Wtedy odpowiedziałem tak: myśmy w więzieniu dzielili klawiszów na dobrych i złych. Dobrzy to byli tacy, z którymi można było się dogadać, przymknęli na coś oko. A najgorsi byli uczciwi klawisze, tacy: regulamin i koniec, oni byli straszni. Otóż, ci z SLD to są dobrzy klawisze, z nimi można się dogadać. A druga odpowiedź była taka, że jest chrześcijańskie rozróżnienie grzechu i grzesznika. Grzechu mam nienawidzić, grzesznika mam kochać. Jeżeli przyjąć takie założenie – to oni zaczynali źle, ale idą w dobrą stronę. Na odwrót niż wielu moich kolegów.

– *Bronił pan Kwaśniewskiego…*

– Zawsze broniłem prezydenta, uważałem, że bronię polskiej racji stanu. Pamiętam, jak byłem w „Washington Post", to było przed Irakiem… I pytali mnie, jakie jest stanowisko polskiego rządu? Odpowiedziałem im: nie jestem rzecznikiem rządu, ale jestem przekonany, że mój rząd i mój prezydent zachowają się jak lojalni sprzymierzeńcy. Jedna dziennikarka na to zawołała – ale proszę pana, przecież Miller podpisał list przeciwko interwencji w Jugosławii! Więc jej odpowiedziałem – to podpisał Cimoszewicz, nie Miller. Ale zapewniam panią, on już nie jest teraz z tego dumny. I zapewniam też panią, że będzie to dobry minister.

– *Dlaczego oni byli tak bardzo proamerykańscy? Kwaśniewski, Cimoszewicz, Miller… PiS argumentuje, że kiedyś mieli Moskwę nad sobą, więc teraz chcieli mieć Waszyngton…*

– Nie wydaje mi się… Był pewien element potrzeby uwiarygodnienia, to na pewno. Jak znam Amerykanów, oni rozumują schematycznie. Im się nie mieści w głowie, że ktoś może dojrzeć, że świat się zmienił i tak dalej. Oni jeszcze w roku 1989 byli pewni, że nic się nie zmieni, a George Bush namawiał Jaruzelskiego, żeby został prezydentem. A w roku 1991 jeździł do Kijowa i wołał: tylko nie wychodźcie ze Związku Radzieckiego! Więc na pewno ten element uwiarygodnienia wchodził w grę. Ale przede wszystkim wynikało to z bardzo trzeźwej oceny realiów! Oni mogli nie wiedzieć, jak dzisiaj silna będzie Rosja, ale wiedzieli, że Ameryka w świecie zachodnim będzie zawsze odgrywać istotną rolę. I oni z tym głównym graczem chcieli mieć poukładane przyzwoite relacje, bo to było potrzebne dla Polski. Nie widzę w tym nic złego.

– *To im także budowało siłę w Europie.*

– Oczywiście, że tak.

– *Ale polityczne przeprowadzenie takiej operacji nie było takie proste…*

– Bardzo skomplikowane! I tym większy mam szacunek dla Kwaśniewskiego, że twardo szedł drogą prozachodnią, prorynkową, i łamał opory we własnym środowisku.

– *Był taki moment, kiedy wahał się Pan w swej ocenie Kwaśniewskiego? Że może zachować się nie tak, jak się Pan spodziewał?*

– Ja inaczej powiem. Jak został wybrany prezydentem, bałem się jednej rzeczy, niesłusznie zresztą. Bałem się, że on, przy takim swoim usposobieniu koncyliacyjnym, że on nie będzie umiał postawić się Moskwie. Pamiętam rozmowę z jednym z jego bliskich współpracowników, pytałem go – nie sądzisz, że on będzie się bał, po prostu? Rosjanom postawić? I usłyszałem krótkie – nie! I się nie bał. Nigdy ich nie prowokował, raz tylko strzelił, na cały świat, że lepsza Rosja bez Ukrainy niż z Ukrainą.

– *Kwaśniewski miał umiejętność gadania z ludźmi ze Wschodu, i ma ją do tej pory…*

– Ale to była inna Rosja wtedy… Dzisiaj z Putinem nikt się nie dogada. Ani Sikorski, ani Olek. Dlatego że Putin przestał być człowiekiem przewidywalnym. Jego słowo mniej znaczy niż atrament, który wyschnie na dokumencie, który podpisuje. On mówi, że Rosja nie ma z wojną na Ukrainie nic wspólnego, po czym wysyła tam swoje wojsko. Z nim się nie da dogadać. Choć, generalnie, nikt w tej ekipie nie ma...

– *…melodii na Wschód…*

– Chyba najwięcej ma Komorowski. Ale ani Donald, Radek, ani Rostowski… Oni nie czują Rosji, to są wszystko ludzie o sznycie zachodnim. Rostowski urodzony w Afryce, szkoła, wszystko w Anglii, Radek – od studiów, wszystko! Donald – Gdańsk, to jest orientacja na Zachód. Kto więc ma oko na Wschód? Rotfeld! On lubi Rosję, wie, jak z nimi trzeba gadać, to, że jego umiejętności wykorzystano, to był bardzo dobry ruch, wskazujący na szerokość patrzenia.

– *Podobało się to panu…*

– Oczywiście. Chodzi mi o to, że Kwaśniewski i Komorowski mają jedną wspólną cechę – posiadają umiejętność patrzenia w interesie państwa, a nie tylko swojej bazy politycznej, swojej formacji. To, że w Polsce dzisiaj rządzi ten obyczaj, że Kluzik-Rostkowska kandyduje z tej samej listy co Rosati czy Danka Hübner, to wielkie zwycięstwo tej filozofii, której współtwórcą był Olek.

– *W jedną stronę się otwierał, na drugą zamykał…*

– Bardzo się z tego cieszę. Chwali mu się, że nie przyjął do SdRP tego całego pezetpeerowskiego betonu, tej Krzywobłockiej, Poręby… Oni w pewnym momencie wystawili własną listę… Więc to, że potrafił przed tą zarazą SLD ustrzec, to był jego olbrzymi wkład. Nie tylko jego, tam był zespół ludzi różnych, ale faktem jest, że oni zapisali bardzo pozytywną kartę w dziejach III RP i w tej drodze do Zachodu.

– *Zagra Kwaśniewski w życiu politycznym? Sześćdziesiąt lat to młody wiek…*

– Ja bym go raczej widział w jakichś strukturach międzynarodowych.

– *Tusk mu to już zabrał. Drugiego Polaka nie będą chcieli.*

– Możliwości jest jak świat cały. Kwaśniewski ma świetny sznyt międzynarodowy. Bo tu, w Polsce? Prezydentem nie może być. Premierem już mu się nie będzie chciało… On jest jak człowiek, który w młodym wieku poleciał w kosmos, Gagarin! I teraz mu mówią, żeby się wspinał na Gubałówkę. Wiadomo, że mu się nie chce.

Część III
Gdyby tak cofnąć czas...

Danuta Waniek[1]

Kampania prezydencka 1995 roku. Refleksja subiektywna

Nie jest łatwo wrócić do tej kampanii po bez mała dwudziestu latach. W jej czasie, jesienią 1995 roku Polska była inna, ba...! świat był inny. Aktorzy tamtych wydarzeń nabrali politycznej patyny, część z nich nie uczestniczy dziś w czynnej polityce, a niektórzy z nich już nie żyją (na przykład Jacek Kuroń, Tadeusz Zieliński).

Pierwsze lata transformacji były dla naszej formacji trudne. Powoli, mozolnie budowaliśmy socjaldemokrację, od nowa po kilkudziesięciu latach przerwy. Większość z nas miała w swej biografii przynależność do PZPR, która w „dekadzie Gierka" liczyła ponad trzy miliony członków! W tak wielkim kotle mieścili się ludzie o zróżnicowanych poglądach politycznych. Ponieważ PZPR opierała swą działalność na organizacjach zakładowych (słynne POP), te różnice w skali mikro widoczne były gołym okiem: w jednej organizacji partyjnej znaleźć można było socjalistów, socjaldemokratów, rzadko komunistów, częściej nacjonalistów (zwłaszcza po 1968 roku), a w związku z tym również pospolitych endeków. Byli również ludzie bez poglądów, za to z aspiracjami na polityczną lub zawodową karierę. W okresie PRL opłacało się dołączenie do PZPR, a po 1989 roku

[1] Pisane przy współudziale Krzysztofa Janika, Izabelli Sierakowskiej, Marka Siwca i Jerzego Dziewulskiego.

zaczęło opłacać się wyparcie związków z tą partią. Klimat dla takich postaw był sprzyjający: neofici byli wówczas nowym elitom wyjątkowo potrzebni[2], toteż nagrody spływały szybko w postaci na przykład zachowania miejsca pracy, które w burzliwych czasach stawało się cenną wartością.

Dlaczego tak się działo...? Myślę, że kryła się za tym świadomość wielkiej manipulacji, jaka towarzyszyła wyborczej szarży „Solidarności" z Lechem Wałęsą w tle. Program OKP-u pełen obietnic tego, co najlepsze w socjalizmie i w kapitalizmie razem wzięte, a co ludzie zmęczeni rzeczywistością lat 80. przyjmowali za dobrą monetę. Nie ulegało wątpliwości, że w Polsce trzeba było wiele zmienić, ale nikt z „Solidarności" w czerwcu 1989 roku nie obiecywał osiągania tych zmian drogą na przykład „terapii szokowej" (według „przepisu" J. Sachsa), likwidacji pięciu milionów miejsc pracy (na skutek między innymi „dzikiej" prywatyzacji) czy też bezmiernej władzy kleru.

SdRP powstawała jako partia inteligencka. Po 1989 roku i „Solidarności" wielkoprzemysłowa klasa robotnicza nie powróciła już do działalności partyjnej, organizując swą aktywność w ruchu związkowym, bardziej lub mniej upolitycznionym.

Nie bez znaczenia dla procesu budowy partii socjaldemokratycznej było to, że latem 1989 roku, już po wyborach, pracownicy wyższych uczelni zaczęli w ramach PZPR organizować oddolnie blok socjaldemokratyczny, któremu od daty pierwszego spotkania nadano nazwę Ruch 8 Lipca. Ówczesne władze partii traktowały tę inicjatywę z dużą nieufnością, Mieczysław Rakowski wolał nurt odnowicielski PZPR, sterowany przez siebie. W jego zamiarach to Leszek Miller i Sławomir Wiatr mieli być jaskółkami nowego (spotkanie w stołówce KC PZPR). W okresie „Sejmu kontraktowego" SdRP miała konkurencję w postaci Polskiej

[2] Niektórzy członkowie nowej elity mieli odwagę to powiedzieć, na przykład minister spraw wewnętrznych w rządzie T. Mazowieckiego, nieżyjący już Krzysztof Kozłowski, który w wywiadzie dla tygodnika „Wprost" (14 września 1997 r.) powiedział „nie zapominamy, że w 1989 r. komunizm obalała mniejszość społeczeństwa. Większość była zainteresowana utrzymaniem systemu, albo nie poszła głosować". Podobnie uważa prawicowy publicysta R. Krasowski, który w książce *Po południu* (Warszawa 2012) napisał, że w 1989 roku „postkomuniści" wcale tak mocno nie przegrali i temu m.in. przypisywał późniejsze zwycięstwa wyborcze SLD. Myślę, że tu także leżą źródła nieustającej czarnej propagandy w odniesieniu do PRL.

Unii Socjaldemokratycznej (PUS), ale szybko okazało się, że jest to lewica „licencjonowana" przez nowy układ władzy, nad którą rozpiął parasol ochronny sam Lech Wałęsa, powierzając kierownictwo tej partii Tadeuszowi Fiszbachowi. Szybko też się okazało, że PUS była efemerydą polityczną, o której dziś już nikt nie pamięta. Myślę, że zabrakło jej autentyzmu w działaniu, za dużo było w niej ugodowej nomenklatury postpezetpeerowskiej, która przystała do Fiszbacha w nadziei, że obroni ich przed historyczną degradacją.

Jednak to ostatecznie SdRP organizowana przez A. Kwaśniewskiego wzięła na siebie zadanie stworzenia niezależnej partii socjaldemokratycznej. Stawialiśmy pierwsze polityczne kroki w kapitalizmie – ustroju nam z autopsji nieznanym. Nowy przewodniczący nowej partii bardzo szybko ujawnił zdolności przywódcze, energię i determinację w walce o stworzenie nam perspektyw działania w nowych warunkach ustrojowych. Myślę, że dzięki temu przetrwaliśmy najgorsze, a nie wszyscy umieli wytrzymać wrogie napięcie tamtych dni, wszechobecne wokół SdRP. „Zgarnialiśmy" za historię dawną i tę najnowszą. Demokraci najświeższej próby, którzy bardzo często okazywali się pogrobowcami różnych odłamów przedwojennej prawicy lub powojennego stalinizmu rozpoczęli „dekomunizację", podważając nieustannie rolę i ustalenia okrągłego stołu. Ratował się, kto mógł, a my byliśmy świadomi tego, że naszą sytuację mogą tylko zmienić demokratyczne wybory: albo lud nas z kretesem odrzuci, albo nas zaakceptuje i wesprze.

Pierwszy sukces wyborczy był umiarkowany: w 1991 roku byliśmy drugim w Sejmie co do wielkości klubem parlamentarnym, w 1993 roku odnieśliśmy już zwycięstwo spektakularne – uzyskaliśmy najlepszy wynik, a było to olbrzymią zasługą A. Kwaśniewskiego, który – jak to się wtedy mówiło – niczym biblijny Mojżesz przeprowadził nas przez Morze Czerwone, w dramatycznej ucieczce przed atakującymi prześladowcami. Wiedział, że w warunkach pluralizmu polityka to gra zespołowa, że skutecznej polityki nie prowadzi się w pojedynkę. Umiał wykreować szeroką, towarzyszącą mu ekipę.

Jeszcze w listopadzie 1994 roku zaproponowaliśmy PSL wysunięcie wspólnego kandydata w wyborach prezydenckich. Propozycje te zgłosił wówczas L. Miller, nie ulegało wątpliwości, że miał na myśli A. Kwaśniewskiego. Uważaliśmy bowiem, że wspólny kandydat koalicji rządzącej nie tylko może być skuteczniejszy w walce z blokiem prawicy, ale należało

unikać na tym tle konfliktów w środowiskach obu partii, znajdujących się u władzy. Odpowiedź ludowców była wymijająca. Działacze PSL obiecali, że propozycje rozważą, ale ostatecznie 2 września 1995 roku wysunęli na konwencji kandydaturę Waldemara Pawlaka.

Desygnowanie J. Oleksego na premiera ostatecznie przesądziło o wystawieniu A. Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich 1995 roku, chociaż sam przewodniczący nie zabiegał o to, ani też specjalnie nie lansował swojej kandydatury. Marek Siwiec tak komentuje tamte wydarzenia:

> Aleksander Kwaśniewski był wtedy gwiazdą polskiej polityki. To on był uważany za sprawcę sukcesu, którym stało się zwycięstwo wyborcze SLD w 1993 r. Nad jego głową wisiał jednak „szklany sufit". Barierę tę określił przede wszystkim koalicjant, Polskie Stronnictwo Ludowe, które bało się Kwaśniewskiego. W szczególności bał się go Waldemar Pawlak. Był on zupełnie inną osobowością, z odmiennym podejściem do polityki oraz słabszymi kwalifikacjami. Jednak to on był premierem. „Szklany sufit" tworzył dla Kwaśniewskiego również Wałęsa, który nie tylko się go bał, ale żywił wobec niego osobistą niechęć i blokował naturalną drogę do rozwoju, jaką byłoby objęcie stanowiska premiera. Powstał wtedy dziwny układ – trójkąt SLD-PSL-Wałęsa, a lider największego ugrupowania grał na bocznym boisku. Była nim Komisja Konstytucyjna, którą Aleksander Kwaśniewski prowadził bardzo sprawnie i która dawała mu możliwość wykazania się i zaprezentowania swojej osoby. Któż jednak interesuje się konstytucją, kiedy gospodarka, polityka, wstąpienie do NATO i wiele innych dziedzin wydawało się być najważniejszymi...?[3]

Z perspektywy czasu określenie „szklany sufit" fundowany Kwaśniewskiemu przez przeciwników wydaje się nader łagodne. W praktyce politycznej zarówno samego Kwaśniewskiego, jak i SLD dotykał ostracyzm, którego celem były izolacja, zastraszenie i wykluczenie polityczne. Fakt, że wywodziliśmy się w większości z formacji związanej z wielką przegraną socjalistycznych koncepcji i praktyk ustrojowych z okresu Polski Ludowej, traktowani byliśmy niczym „dziecko z nieprawego łoża", a do trwałego obyczaju politycznego weszło określanie nas mianem „komuna", „komuchy", „postkomuniści" itd. Niektórzy ludzie Kościoła posuwali się jeszcze dalej, porównując nas do NSDAP (na przykład abp J. Życiński).

---

[3] Ankieta prywatna autorki, w której jesienią 2013 roku zadane było jedno pytanie: „Dlaczego Aleksander Kwaśniewski wygrał w 1995 roku z Lechem Wałęsą?".

Niezależnie od tych okoliczności władze partii uznały, że jedynym naszym kandydatem w wyborach prezydenckich 1995 roku może być tylko Kwaśniewski. W książce *Zapiski sztabowe Danuty Waniek* tak wspominam ten moment:

> 13 maja 1995 r. SdRP odbywała drugą część konwencji wyborczej; mieliśmy w tajnym głosowaniu wybrać swojego kandydata na urząd prezydenta. Sala A na Rozbracie pełna ludzi, premier Oleksy zgłasza kandydaturę Olka. Sala popiera, bije brawo, jakieś wystąpienia indywidualne, w ogóle jakoś tak uroczyście. Komisja skrutacyjna roznosi kartki do głosowania, bodajże w kolorze różowym[4]. Podają wyniki – okazuje się, że na 300 głosujących Aleksander w tajnych wyborach otrzymał 296 głosów za, 4 przeciw. Wynik znakomity, znaczący również w kategoriach moralno-politycznych. To się nazywa mieć poparcie własnej partii (…). Wynik ten to jednak nie tylko osobisty sukces Olka, lecz także – jak sądzę – stanowisko wypowiedziane bardzo wyraźnie przez Radę Naczelną SdRP: czas, aby wreszcie wspomóc naszego przewodniczącego w ubieganiu się o najwyższy urząd w państwie[5].

Tuż przed tym ważnym głosowaniem Aleksander poprosił mnie o chwilę rozmowy, w czasie której zaproponował – ku mojemu zaskoczeniu – prowadzenie kampanii wyborczej w roli szefa sztabu wyborczego. Pamiętam, że zastanawiałam się tylko kilka sekund, bo za chwilę Kandydat chciał tę decyzję ogłosić Radzie Naczelnej. Nie dał specjalnie wyboru. Już po fakcie zadawałam sobie pytanie, na co się właściwie porwałam, przecież takie kampanie prowadzone są przez doświadczonych specjalistów (dziś o nich się mówi: spin doktorzy), a ja nie byłam do tego przygotowana zawodowo. Jedynym moim kapitałem była wiedza politologiczna, zdobywana również na zachodnich stypendiach, doświadczenie organizacyjne, jak u większości z nas oraz niezwykła motywacja po temu, aby pokazać nowym elitom, że z PRL wynieśliśmy więcej umiejętności, niżby oni chcieli w nas widzieć. Byliśmy już pokoleniem przyzwoicie wykształconym, które jednakże w PZPR niewiele miało do powiedzenia, wszak w 1989 roku władzę w Polsce oddawali żołnierze frontowi – uczestnicy II wojny światowej. Po raz pierwszy w historii „zdobywaliśmy góry" na własny rachunek.

---

[4] Tego dnia mieliśmy więcej głosowań, kolor miał odróżnić kwestie do szybkiego obliczenia i ogłoszenia.

[5] *Zapiski sztabowe Danuty Waniek*, Warszawa 1995, s. 17.

Nurtowały mnie najrozmaitsze pytania: jak zorganizować pracę sztabu, aby uniknąć straty czasu, którego nie mieliśmy wiele. Jak zareaguje na tę kampanię „teren"? Nie byłam „człowiekiem aparatu", a więc nie znałam „od środka" struktur partyjnych, poza kontaktami poselskimi. Tych obaw było mnóstwo, choćby dlatego, że dysponowaliśmy określonymi finansami, które nie pozwoliły nam na rozrzutność. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wyzwanie było jednorazowe i należało złapać byka za rogi. Poza tym przeważała determinacja sprawdzenia własnych możliwości w realizacji niezwykłego wyzwania. Latem 1995 roku musieliśmy podjąć odpowiedzialną pracę i sprostać wielu nieprzewidywalnym sytuacjom.

Mieliśmy jednakże dwa potężne atuty: najlepszego kandydata i potencjał do samodzielnego przeprowadzenia tej operacji, tkwiący w nas samych. Trzecim ważnym elementem było doświadczenie z prezydenturą L. Wałęsy, bardzo konfliktotwórczą, pełną groźnych sytuacji dla państwa („obiad drawski") czy momentów zawstydzających pod względem moralnym (pokazywane w TVP haniebne w swej wymowie potraktowanie sędziwego Jerzego Turowicza, redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego"). Oliwy do ognia dolewało najbliższe otoczenie Lecha Wałęsy, któremu przewodził Mieczysław Wachowski.

Atutem Kwaśniewskiego było wsparcie formacji, która szybciej niż ktokolwiek sądził, „socjaldemokratyzowała" się, a jej czołowi działacze wykazywali wówczas zadziwiającą zdolność do demokratycznego myślenia i działania. Bez wahania podjęliśmy otwartą walkę wyborczą według demokratycznych reguł gry. Po latach uważam, że byliśmy wówczas bardziej pojętni w stosowaniu reguł demokracji niż działacze byłej opozycji, o czym mieliśmy się przekonać w trakcie tej kampanii wyborczej i tuż po niej. Nasi przeciwnicy od początku byli przekonani, że im było wolno więcej, wszakże byli „panami sytuacji". My, w większości, zwracaliśmy uwagę na literę prawa, wszak po latach tkwienia w oparach wyświechtanych dogmatów ideologicznych zasada demokratycznego państwa prawa była dla nas atrakcją samą w sobie.

A. Kwaśniewski miał jeszcze jeden osobisty atut – młodość. W momencie inauguracji kampanii wyborczej liczył sobie niespełna czterdzieści jeden lat. To było ważne, ponieważ wkrótce okazało się, że wyznaczyliśmy mu morderczą marszrutę wyborczą, której pokonanie wymagało niezłej kondycji – także fizycznej.

A kampania wyborcza nie mogła być łatwa, przewidywaliśmy to my, pisał o tym na łamach „Trybuny" Mieczysław Rakowski: „Kandydat

lewicy musi się liczyć z tym, że będzie przez wszystkie ugrupowania i orientacje prawicowe, a więc także przez biskupów, przedstawiany jako odpowiedzialny za dziesięciolecia PRL i wszystko, co się w niej zdarzyło. I nic mu nie pomoże, że urodził się w 1954 roku"[6].

Przewidywania te potwierdziły się w całej rozciągłości. Marek Siwiec po latach wspomina, że: „Przeciwko Kwaśniewskiemu występował Kościół rzymskokatolicki, laureat Nagrody Nobla, cała Solidarność. Należało zatem przekonać ludzi, że to oni zadecydują, a nie większe czy mniejsze autorytety, które w tych wyborach będą się wypowiadać". I dodaje: „to, co wydawało nam się olbrzymim obciążeniem i problemem, okazało się wielkim atutem", szerzej wyjaśniając:

> Aleksander Kwaśniewski zdecydował się kandydować dzięki Lechowi Wałęsie, który w drugiej części kadencji był coraz gorszym prezydentem. Coraz bardziej niekompetentnym, momentami śmiesznym. Ba, próbował nawet rozwiązać Sejm, stosując triki wyborcze podsuwane przez śp. Lecha Falandysza. Uważaliśmy, że może być zagrożeniem dla demokracji. Wałęsa w gigantycznym tempie tracił zwolenników, bo Polska równie szybko traciła swój prestiż. Oczywiście nadal obecna była legenda Wałęsy, ale jego gafy, nieprzemyślane koncepcje, jak na przykład NATO-bis oraz niemądre wypowiedzi spowodowały, że stawał się coraz bardziej samotny, osaczony i zupełnie nieefektywny jako głowa państwa. Państwa, które rozpoczynało wyjątkowy wyścig o największe stawki, jakie można sobie wyobrazić w historii kraju, wyścig o zmiany polityczne. A po naszej stronie był człowiek, który patrzył i działał dużo szerzej niż tylko w interesie własnej partii i własnego ugrupowania[7].

W końcu maja 1995 roku musieliśmy „z marszu" przygotować organizacyjną i merytoryczną koncepcję kampanii. Oparłam ją na trzech podstawowych elementach:

- na pracy sztabu wyborczego w Warszawie;
- na 49 strukturach wojewódzkich SLD i SdRP (w każdym województwie błyskawicznie powstały lokalne sztaby wyborcze i komitety wyborcze)[8];

---

[6] M.F. Rakowski, *Młot na Kwaśniewskiego*, „Trybuna", 2–3 września 1995 r., s. 6.

[7] Ankieta autorki, przeprowadzona na potrzeby tego opracowania we wrześniu 2013 roku.

[8] Lokalne Komitety Wyborcze objęły w skali kraju kilkaset osób, według K. Janika – około 500. Należy dodać, że w 1995 roku Polska była podzielona na 49 województw.

– na organizacji wielkiej podróży wyborczej[9].

Z perspektywy czasu oceniam tę koncepcję jako jedyną z możliwych. Poza tym zdawałam sobie sprawę z tego, że każdy, nawet najlepszy pomysł na kampanię można popsuć brakiem intuicji politycznej, doświadczenia czy zaangażowania. Mówiąc szczerze, była to największa niewiadoma na starcie tej kampanii, a braliśmy na siebie zadanie pierwszorzędnej wagi państwowej.

Sztab wyborczy pracował przy ul. Rozbrat w bardzo wąskim składzie. Wszyscy byliśmy spin doktorami (choć wtedy nie wiedzieliśmy, że tak to się nazywa), a więc: Zbigniew Siemiątkowski – rzecznik sztabu, z nieodłączną pomocnicą Alfą Hermańską; Krzysztof Janik – odpowiedzialny za przygotowanie wszystkich niezbędnych tekstów i dokumentów, w tym Deklaracji Programowej „Wybierzmy przyszłość", wspomagał go już wtedy Lech Nikolski, a w miarę potrzeby – Edward Szymański, który w czasie kampanii zajmował się koordynacją obowiązków parlamentarnych Aleksandra z zajęciami wyborczymi. Pion organizacyjny podróży został powierzony Maciejowi Porębie, był odpowiedzialny również za to, aby wszystkie wyprodukowane przez nas materiały propagandowe znalazły się na pokładzie „Kwaka", bo tak nazywaliśmy między sobą nasz autobus. Wspomagali go w tym Bogusław Socha[10], Urszula Karczewska i Maria Nowicka.

Za bezpieczeństwo kandydata odpowiedzialny był antyterrorysta major Jerzy Dziewulski (poseł SLD), który dobrał sobie do pomocy czterech młodych, rosłych mężczyzn. Szefowali im na zmianę z ppłk. Markiem Kamińskim, również zawodowym antyterrorystą. Obaj instruowali nas, jak się zachowywać w momentach niebezpiecznych dla kandydata[11]. Dla

[9] Głównym powodem oparcia tej kampanii na podróży wyborczej przez cały kraj („w stylu amerykańskim") było utrudnianie SLD dostępu do mediów. Spotkania w terenie gwarantowały bezpośrednie dotarcie do adresatów tej kampanii, czyli do wszystkich. W pierwszą podróż wyborczą pojechaliśmy 2 czerwca 1995 roku do Kielc.

[10] Bogusław Socha kilka lat później przyłączył się do Samoobrony i był jednym z najbliższych współpracowników Andrzeja Leppera.

[11] Było to szczególnie ważne po doświadczeniu w Jastrzębiu Zdroju, 27 czerwca 1995 roku, gdzie pod Domem Zdrojowym poleciały na nas nie tylko jajka, ale plastikowe worki z miałem węglowym. Napaść została zorganizowana przez miejscową „Solidarność". W każdym razie niektórych z uczestników tej burdy oglądałam potem w telewizyjnych relacjach ze spotkań związkowców

bezpieczeństwa Kwaśniewskiego Jerzy Dziewulski robił więcej, niż nam się wówczas wydawało. Wspomina swoje zadanie następująco:

> Byłem wówczas szefem ochrony A. Kwaśniewskiego. Spotkania, na które tłumnie przychodzili wyborcy, starano się zakłócać różnymi ekscesami. Jedne były mniej, inne bardziej groźne. Nikt z nas nie próbował nigdy wcześniej „eliminować" ze spotkań ewentualnych zadymiarzy. Nikt nie „ustawiał" spotkań. Ludzie przychodzili spontanicznie, bez specjalnych zaproszeń, bez sprawdzania, kto i z czym wchodzi na salę. Kwaśniewski chciał rozmawiać z każdym, także z przeciwnikiem politycznym. Rzucano jajkami, pomidorami. Rozpylano gaz łzawiący[12], wywracano krzesła, zaczepiano ordynarnie i popychano ludzi. Prowokowano nas, nasyłając zorganizowane bojówki. Liczyli zapewne na to, że moi ludzie, kiedyś przywykli do walki, użyją siły, co nadszarpnie reputację Kwaśniewskiego jako człowieka dialogu. Nic z tych rzeczy. Mimo tak niezwykłej agresji, nigdy A. Kwaśniewski nie był ubrudzony rzuconym jajkiem czy pomidorem. Takich incydentów było tyle, ile spotkań, czyli setki. Jeżeli nawet używaliśmy siły, to przeciwnik leżał, ale nikt nie wiedział, jak to się stało. Dochodziło do niezwykle groźnych prowokacji. Oto ktoś usiłuje nakłonić A. Kwaśniewskiego do złożenia kwiatów pod pewnym pomnikiem w Katowicach. Prowadzę rozpoznanie i uzyskuję informację, że czeka tam na nas bojówka, gotowa podjąć walkę wręcz. W tych czasach nie używano jeszcze kijów bejsbolowych, więc chętni do rozprawy z Kwaśniewskim przy sobie mieli styliska od kilofów.
>
> Innym razem, pojawiają się w garażu na Podkarpaciu dwaj mężczyźni, którzy nie wiedząc, że ktoś ich słucha, rozmawiają (pokazując ostentacyjnie broń) o tym – cytuję z protokołu przesłuchania – „co zrobimy z Oleczkiem – komuszkiem, jak by wygrał wybory". I nigdy byście Państwo nie odgadli, kto to mógł być… a my dowiedzieliśmy się!!!! I wtedy byłem pewny, że agresja przeciwnika przenosi się na…, a to już moja tajemnica![13]

Towarzyszyła nam zawsze nasza własna ekipa telewizyjna, czyli redaktor Grzegorz Woźniak i Krzysztof Nowak, dzięki którym mieliśmy

---

z rządem. Nagranie magnetowidowe z tego zajścia odtworzyłam w *Zapiskach sztabowych*.

[12] Gaz rozpylono w hali sportowej na spotkaniu w Przemyślu (8 października 1995 roku). Jerzy Dziewulski poinformował później, że był to granat z gazem łzawiącym UGŁ 200, stosowany w wyrzutniach automatycznych. Sprawcą zajścia okazał się były funkcjonariusz SB (po 1989 roku negatywnie zweryfikowany).

[13] Ankieta autorki.

własną dokumentację filmową z przebiegu kampanii[14]. Od czasu do czasu pojawiał się w sztabie jak meteor Marek Siwiec, uważaliśmy go za znawcę reklamy telewizyjnej. Za jakość druków, przygotowanie i dostarczenie ich na czas odpowiedzialny był Tadeusz Piwowar, to on mnie namawiał najgoręcej na „wpuszczenie" w kampanię własnego utworu w stylu modnego wówczas disco polo, którego to stylu szczerze nie cierpię, ale spodobała mi się piosneczka *Ole! Olek*.

Finansami, ich zbieraniem, a potem rozliczeniem, zajmował się Edward Kuczera, skarbnik SdRP.

Pełnomocnikiem sztabu do kontaktów z Państwową Komisją Wyborczą została Małgorzata Winiarczyk-Kossakowska. Zgłaszała kandydaturę A. Kwaśniewskiego do Państwowej Komisji Wyborczej, zaopatrzoną w 451 431 podpisów, które zgromadziły wojewódzkie sztaby wyborcze w całej Polsce[15].

W biurze sztabu na Rozbracie pracowali: Grzegorz Mosur, w sekretariacie Irena Janowska i Lenka Pająk, córka jednej z naszych posłanek. Do sztabu napływała każdego dnia olbrzymia korespondencja, którą zajmował się najsolidniejszy i najskrupulatniejszy, nieżyjący już Hieronim Góralski. Nie miał łatwego zadania, ponieważ przyjęliśmy zasadę, że odpowiadamy na każdy list, na prośby o interwencję w codziennych, ludzkich sprawach. Od czasu do czasu pojawiali się w sztabie Sławomir Wiatr i Robert Kwiatkowski.

Na parterze budynku przy Rozbrat pracowało nasze Centrum Prasowe, dyżurujące codziennie w czasie zbierania podpisów pod kandydaturą, tam też odbywały się nasze krótkie konferencje prasowe.

Nie było wśród nas fachowca od *public relations*. Na pytania dziennikarzy o tę kwestię odpowiadałam, że nie ma takiej potrzeby. Z wystąpieniami publicznymi nasz kandydat świetnie dawał sobie radę, był rzutki i spontaniczny, a zmiany w swoim wyglądzie dokonał sam: w czasie krótkich wakacji latem schudł. I tyle. Nieprawdą jest, że wkładał specjalne szkła kontaktowe, które nadawały jego oczom niebieską poświatę.

Pomysł odbywania podróży wyborczych autobusem zrodził się już w 1993 roku, wówczas odnieśliśmy pierwszy sukces w wyborach

[14] Dołączył do nas znany fotograf prasowy (wcześniej w PAP), nieżyjący już Damazy Kwiatkowski, aż w końcu został na dobre w naszym gronie.

[15] Formalnie wymagane jest dla poparcia kandydatury 100 tysięcy podpisów.

parlamentarnych. O ile pamiętam, odbyliśmy wówczas dwie podróże autobusem i postanowiliśmy, że w następnej kampanii też wykorzystamy ten środek lokomocji. Podglądaliśmy również nowinki na świecie i zauważyliśmy, że w czasie swojej kampanii wyborczej autobusem jeździł Bill Clinton[16].

Problemem dla mnie było włączenie w kampanię „ludzi z zewnątrz". Mam tu na myśli pojawienie się we wrześniu Jacquesa Séguéli, czyli już po tym, jak kampania ruszyła na całego, a strategiczne decyzje były już dawno podjęte. Nikt też w sztabie wyborczym nie zgłaszał potrzeby wsparcia przez wynajętych specjalistów, zresztą nie znaliśmy ich. Dowiedziałam się, że inspiratorem tego posunięcia był Marek Siwiec. Podzielił się tym pomysłem z Aleksandrem. Sam dziś tak to opisuje:

> Musiałem namówić Jacquesa Séguélę, aby nam pomógł. Na początku nie był entuzjastycznie nastawiony, ale spodobała mu się skala trudności. W końcu zdecydował się przyjechać do Warszawy, aby poznać kandydata. Powiedział, że po rozmowie oceni jego szanse. Spotkanie widać wyszło nieźle, bo uwierzył, że Kwaśniewski sam jest w stanie zarządzać swoją kampanią. I rzeczywiście zarządzał.

Dodajmy, że przy pomocy sprawnego sztabu.

Uczestniczyłam w dwóch spotkaniach z Séguélą, później z nich zrezygnowałam, ponieważ nie wnosiły one nic nowego do mojej pracy. Kampania była autentyczna, niektórzy określali ją mianem „ludycznej". Dawaliśmy sobie świetnie radę i ponosiliśmy odpowiedzialność polityczną za wszystko, co się w tej kampanii zdarzyło.

Séguéla we wrześniu 1995 roku robił na mnie wrażenie człowieka zdystansowanego, bez uśmiechu pytał o różne pomysły wyborcze, kiwał głową, oglądał sondaże i… po trzech godzinach pobytu wracał do Paryża. Krążyły pogłoski, że tak naprawdę jest zainteresowany zbliżającą się kampanią Jelcyna, ówczesnego prezydenta Federacji Rosyjskiej. Ożywił

[16] Organizację pracy już w Kwaku w czasie podróży opisałam w *Zapiskach sztabowych*, s. 76–79. Za wybór tak „kosztownego" środka lokomocji zaatakował nas na łamach „Przeglądu Tygodniowego" jego ówczesny redaktor naczelny – Mieczysław Rakowski. Odpowiadałam mu na łamach pisma, uzasadniając, że jest to najbardziej uniwersalny, bo niezależny oraz najbardziej demokratyczny środek lokomocji. Później Rakowski nas już za to nie atakował. Na ogół rozpoczynaliśmy podróż Kwakiem o 5 rano, kończyliśmy następnego dnia po północy. Po naszej kampanii autobusy przyjęły się w Polsce powszechnie w podróżach wyborczych.

się – i dobrze – dopiero w drugiej turze, pracował indywidualnie z Aleksandrem – zwycięzcą pierwszej tury.

5 listopada wieczorem, już po ogłoszeniu wygranej A. Kwaśniewskiego w pierwszej turze, nasz kandydat zaproponował Lechowi Wałęsie wspólne publiczne debaty. Prezydent Wałęsa zgodził się na to, ponieważ – jak się wyraził – chciał pokazać „bezsens" filozofii Kwaśniewskiego. Sztaby uzgodniły ze sobą warunki przeprowadzenia debat, których gospodarzem został Wiesław Walendziak[17], ówczesny szef TVP, zadeklarowany zwolennik L. Wałęsy[18]. Ponadto w debaty zostali włączeni po stronie Lecha Wałęsy: Jan Nowak-Jeziorański, a po stronie Aleksandra Kwaśniewskiego znani dziennikarze telewizyjni: Andrzej Kwiatkowski i Sławomir Zieliński.

Przed debatami stało się dla nas bardzo ważne, aby Aleksander był do nich dobrze przygotowany psychologicznie i taktycznie. Nie mieliśmy w Polsce takiego doświadczenia, jak debata dwóch konkurentów transmitowana przez TVP (wówczas jedyną stację o zasięgu ogólnokrajowym) – odbywała się ona po raz pierwszy. I nawet gdyby naszemu kandydatowi wystarczyło wiedzy, roztropności, „wyborczej kultury i elegancji", żeby samodzielnie podołać takiemu wyzwaniu, to warto było w tym momencie szukać potwierdzenia tych przymiotów u kogoś, kto ma większe doświadczenie w kreowaniu metodologii debat „prezydenckich" jeden na jeden. Tym właśnie zajął się J. Séguéla, który zapewne przekazał Kwaśniewskiemu szereg uwag dotyczących specyfiki debat wyborczych[19], ponieważ to one stały się hitem drugiej tury wyborów prezydenckich 1995 roku. Pod wpływem telewizji kampania prezydencka wyraźnie się „amerykanizowała"[20].

---

[17] W czasie prezesury Wiesława Walendziaka w TVP uruchomiona została audycja „Puls dnia", nadawana pięć razy w tygodniu w telewizyjnej Jedynce (lata 1994–1996), której projektodawcą był sam prezes TVP. Audycja miała charakter wybitnie polityczny, zaangażowani w jej prowadzenie byli redaktorzy: Piotr Semka, Marcin Wrona, Bogdan Rymanowski, Piotr Zaremba i Jacek Łęski. Przebieg kampanii prezydenckiej stanowił główne pole uwagi prowadzących ją dziennikarzy. Według mnie, audycja ta była prowadzona w sposób wybitnie stronniczy i niechętny A. Kwaśniewskiemu. Po odejściu z TVP dziennikarze ci przeszli do gazety „Życie", kierowanej wówczas przez Tomasza Wołka.

[18] Wieczorem po drugiej turze Wiesław Walendziak zatrzymał na dwie godziny informację o wygranej Kwaśniewskiego. Liczył zapewne na odwrócenie się wyników na korzyść L. Wałęsy.

[19] Rozmowy „instruktażowe" toczyły się między Kwaśniewskim i Séguélą.

[20] Dziś debaty weszły na stałe do obyczaju wyborczego.

Obecność J. Séguéli wykorzystywana była później w kłamliwy sposób przez prawicę, ponieważ pozwalała publicystom zlekceważyć wysiłek i zasługi ludzi SLD oraz talenty samego A. Kwaśniewskiego. Nawet ci, którzy dziś piszą, że byliśmy wtedy „wysypem talentów" i „najsprawniejszą drużyną w polskiej polityce"[21], chętnie przypisują sukces Aleksandra „sztuczkom" PR-owca z zagranicy[22]. Z uporem twierdzę, że gdyby Kwaśniewski nie wygrał I tury wyborczej, Séguéla najprawdopodobniej w ogóle by się nie przyznał, że był w Warszawie. Włączył się w tę kampanię po stronie zwycięzcy I tury, a to już była dla niego zupełnie inna sytuacja[23].

Innym powodem, dla którego prawicowi dziennikarze wyjaśniają w ten sposób zwycięstwo Kwaśniewskiego, w gruncie rzeczy umniejszając je, jest brak uczciwej odpowiedzi na pytanie, dlaczego najpierw cztery lata, a potem sześć lat po przełomowych wyborach z 1989 roku formacja totalnie izolowana w strukturach władzy, w mediach, atakowana nieustannie z ambon[24] – bez radzieckich czołgów, bez politycznego wsparcia z zagranicy wygrywa w wolnych, demokratycznych wyborach…? Pogodzenie się ze zmianą poparcia społecznego na niekorzyść nowych elit nie było więc łatwe do wytłumaczenia, stąd chętnie sięgano po uproszczone wyjaśnienia przyczyn kolejnego zwycięstwa po stronie „postkomunistycznej" lewicy, której przedstawicieli na gruncie parlamentarnym pozwolono dotąd traktować co najwyżej „jako pariasów"[25]. „Antykomunistyczny duch" nowych elit, którym próbowano nasączać przebieg kampanii wyborczej, próby

---

[21] Na przykład R. Krasowski, *Po południu. Upadek elit solidarnościowych po zdobyciu władzy*, Warszawa 2012, s. 276 i nast.

[22] Séguéla w wypowiedziach dla mediów zagranicznych (nigdy nie wypowiada się na ten temat w polskich mediach) przypisuje sobie więcej, niżby pozwalała na to przyzwoitość, na przykład pomysł odbywania podróży wyborczych autobusem.

[23] Niestety, podobną tezę można znaleźć w wywiadzie przeprowadzonym przez Roberta Krasowskiego z Leszkiem Millerem. Z niezrozumiałych powodów on również potraktował lekceważąco w tej rozmowie wysiłek SdRP i jej sojuszników, zorganizowanych w koalicji SLD; zob.: *Anatomia siły*, Warszawa 2013, s. 97.

[24] W czasie kampanii przedsionki budynków kościelnych pełne były ulotek i materiałów, dezawuujących kandydaturę A. Kwaśniewskiego. Tak się złożyło, że w dniu nagłej śmierci matki kandydata 279. Konferencja Plenarna Episkopatu Polski (Wigry, 16 września 1995 roku) wypowiedziała się w „Słowie w sprawach publicznych", w którym wprost ostrzegano przed wyborem A. Kwaśniewskiego.

[25] R. Krasowski, *Po południu*, *op. cit*., s. 274.

zastraszania (niektórzy dziennikarze „niechcący" przypominali losy krótkiej prezydentury Gabriela Narutowicza), wręcz bojówkarskie napaści na spotkania przedwyborcze (patrz: zorganizowane, celowe działania Ligi Republikańskiej pod przewodnictwem Mariusza Kamińskiego – dzisiaj posła PiS[26], Inicjatywa 3/4 przeciwko 1/4 Jana Rokity[27], antysemityzm i niechęć wylewająca się z krucht kościelnych), kruszył się pod wpływem zmiany nastrojów społecznych[28].

Jestem przekonana, że w tamtych okolicznościach mobilizacja struktur partyjnych nie byłaby tak skuteczna i tak wszechobecna, gdyby nie atmosfera panująca od początku w SLD[29]. To był niezwykle ważny czynnik. Demokratyzacja życia wewnątrzpartyjnego, uznawane powszechnie przywództwo A. Kwaśniewskiego, znakomity klimat i widoczna aktywność Klubu Parlamentarnego SLD działały jak ozdrowieńczy podmuch energii[30].

---

[26] M. Kamiński, wówczas przywódca Ligi Republikańskiej, po kampanii wytoczył mi proces o naruszenie dóbr osobistych za użycie w *Zapiskach sztabowych* określenia „bojówki" na oznaczenie publicznych akcji jego przyjaciół z Ligi (s. 108). W toku procesu Kamiński zaprzeczył trafności tego określenia, uznając je za obraźliwe. Na początku procesu pełnomocnikiem Kamińskiego był ówczesny mecenas Wiesław Johann, późniejszy sędzia Trybunału Konstytucyjnego (od grudnia 1997 roku). Sprawa ciągnęła się w dwóch instancjach przez 10 lat, a ostatecznie Sąd Okręgowy w Warszawie w sprawie nazwania akcji Ligi Republikańskiej bojówkarskimi przyznał rację Kamińskiemu. Po wygranej PiS w 2005 roku w wywiadzie w jednym z tygodników opinii poseł PiS M. Kamiński ujawnił, że grupy Ligi Republikańskiej przygotowywały się do akcji politycznych, wzorując się na bojówkach PPS.

[27] Inicjatywa Rokity była popierana przez polityków Unii Demokratycznej.

[28] W walce wyborczej z A. Kwaśniewskim był używany bardzo brutalny język, czego przykładem była chociażby wypowiedź Jerzego Stępnia – przewodniczącego Krajowego Komitetu Wyborczego Lecha Wałęsy (późniejszego Prezesa Trybunału Konstytucyjnego): „Będziemy atakowali, i to bardzo brutalnie w tej turze [mowa o II turze]. Złamiemy przeciwnikowi kręgosłup raz a dobrze. Nie będzie to śmierć, ale trwałe kalectwo", [w:] Informacja PAP z 30 października 1995 r. pt. *Stępień: w drugiej turze złamiemy kręgosłup przeciwnikowi Wałęsy.*

[29] Również na ten temat zob. *Rozmowa z Danutą Waniek,* [w:] *Liderzy,* z serii: „Lewica w III RP", red. L. Nikolski, Toruń 2010, s. 112–113.

[30] O braterskich stosunkach wśród nas świadczy list, napisany odręcznie przez prof. Aleksandra Krawczuka ze szpitala, w którym leczył się po przebytym zawale na sali posiedzeń plenarnych Sejmu. List przytaczam w całości:

Iza Sierakowska, ówczesna wiceprzewodnicząca SdRP, tamten czas wspomina następująco:

> Ten sukces był konsekwencją umiejętności Ola. On stwarzał w partii taką atmosferę, że chciało się dla niego pracować: każdy był ważny, każdy miał swoje zadania, rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy. On był jednym z nas. W sytuacjach trudnych radził sobie wyjątkowo dobrze, widać było doskonałą znajomość ludzkiej psychologii, która bardzo się przydawała, kiedy trzeba było nas do czegoś przekonać. I dlatego cieszył się wśród nas niezwykłym szacunkiem, potrafił nie tylko przekonywać do swych racji, ale słuchać i – kiedy trzeba – polemizować, ale nie z pozycji wodzowskich, tylko człowieka świadomego swego autorytetu w swoim środowisku.
>
> Przyznam, że nawet „rewelacje" z brakiem magisterium nie zrobiły na mnie większego wrażenia, ot potknięcie, mała tajemnica. Jak się potem okazało, wyborcy podeszli do tego podobnie.
>
> Wybory prezydenckie z 1995 roku to pierwsza taka pełna mobilizacja SdRP i koalicji SLD. Tak, właśnie koalicji, tych kilkudziesięciu

---

Aleksander Krawczuk — Warszawa, 18 września 1994 roku
Poseł na Sejm RP
SLD
Prezydium Klubu Parlamentarnego SLD

Uprzejmie proszę o odczytanie na najbliższym zebraniu Klubu niniejszego oświadczenia:

Nim uczynię to osobiście, pragnę tą drogą złożyć gorące podziękowania z całego mego biednego serca tym wszystkim naszym Kolegom lekarzom Posłom, których natychmiastowa interwencja uratowała mi życie. Dziękuję również wszystkim Koleżankom i Kolegom, których pomoc i życzliwość tak wiele dla mnie znaczą. Całuję gorąco Anię, Basię, Danusię, Irenkę, Izę, Krysię, Olę, Wandzię i Ewę. Z nimi było, jest i będzie nam dobrze. Ściskam serdecznie wspaniałego przewodniczącego naszego Klubu, mego imiennika, który na pewno przejdzie do historii jako Wielki; Józka Oleksego, którego wspaniała łysina zajaśniała mi jak pochodnia, gdym wychodził z mroków ku świadomości; Józka Kaletę, który pierwszy zwrócił uwagę na objawy mej słabości, jak zawsze też pierwszy wskazuje słabości naszej gospodarki; mego sąsiada z prawej strony, Tadzia Iwińskiego, który oczywiście jest zawsze nieobecny w najdramatyczniejszych chwilach na posiedzeniach Sejmu; Jurka Jaskiernię, który na pewno przygotuje wspaniałe wystąpienie, zgłaszając projekt ustawy o ochronie zdrowia i życia posłów; Andrzeja Urbańczyka, który z prawdziwie krakowską rozrzutnością zorganizował przyjazd mojej rodziny do Warszawy; Rysia Ulickiego, który równie rozrzutnie pozdrawiał mnie aż z Koszalina.

Mam zamiar nie opuszczać Was we wszystkich ważnych głosowaniach. A Klub nasz udowodnił po raz kolejny, że jest jedyną chrześcijańską formacją III Rzeczpospolitej. A. Krawczuk.

> podmiotów, z którymi się rozmawiało, negocjowało, poznawało nawzajem. Nie SLD – partia wodzowska, ale koalicja SLD. To wszystko sprawiało, że choć partia pracowała w niezwykle skromnych warunkach, na spotkania przychodziły setki ludzi. Olek miał doskonałą pamięć do twarzy, dawał wyraz temu, że pamięta. A przychodzili na te spotkania również ludzie biznesu, którzy chcieli poznać jego punkt widzenia na problemy natury gospodarczej.
>
> Czy wtedy ktoś pomyślał o konfiturach z działalności politycznej?! Liczył się cel[31]. Poza tym, Olek umiał współpracować z kobietami, traktował je po partnersku. To prawda, że potrafimy bezinteresownie angażować się w sprawy, co do których nie miałyśmy wątpliwości, że są uczciwe, przyzwoite. Tak było i wtedy. Wielki to był dla mnie zaszczyt móc pracować z Aleksandrem jako wiceprzewodnicząca partii, dużo się wtedy nauczyłam, dojrzałam. A potem byłam zwyczajnie dumna z tego, że pokonał Wałęsę[32].

Próbowaliśmy nadać kampanii również charakter edukacyjny. Atutem w debatach merytorycznych było przewodnictwo A. Kwaśniewskiego w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. To był wielki kapitał jego kampanii, ponieważ postęp w pracach komisji pozwolił mu na publiczne przedstawianie koncepcji państwa i konstytucyjnego kształtu praw i swobód obywatelskich[33].

Było to o tyle ważne, że Wałęsa reprezentował zupełnie inny pomysł na państwo – opowiadał się za systemem prezydenckim, w praktyce

---

[31] W *Zapiskach sztabowych* w 1995 roku pisałam: „Oczywiste, że Aleksander jest mocno związany z partią. Jest jej akuszerem (…). Dla niej pracował, wywalczył pozycję, którą dziś zajmuje na scenie politycznej (…). W myśleniu o przyszłości SLD nie było ani odrobiny aluzji do jego osobistej kariery, szykowania dlań stanowiska, tego całego politycznego egoizmu, który przyświeca przywódcom wielu partii na świecie (…). Olek ma autorytet i chociaż bywało, że jego opinie kontestowano, w decydującym momencie potrafił powziąć ważną decyzję w imieniu całej partii. Nigdy jednak nie nadużywał swojej pozycji. Nikt nie mógł mu zarzucić, że cokolwiek robiąc dla partii, robi to z myślą o sobie" (s. 16).

[32] Ankieta autorki, przeprowadzona na potrzeby tego opracowania we wrześniu 2013 roku.

[33] W trakcie kampanii wyborczej odbywał się w końcu września 1995 roku w Hajnówce doroczny Zjazd Katedr Prawa Państwowego. Uczestnicy tego spotkania naukowego zaprosili kandydata SLD do wygłoszenia informacji na temat wypracowywanego projektu nowej konstytucji. Było to jedno z niewielu wystąpień A. Kwaśniewskiego w tej kampanii, adresowanych do środowiska akademickiego.

władza, jaką posiadał na mocy „małej konstytucji", i tak wydawała mu się zbyt ograniczona[34].

Do wątków poruszanych najczęściej w czasie spotkań przedwyborczych należała likwidacja miejsc pracy, upadek życiodajnych przedsiębiorstw, sprawiedliwe rozłożenie kosztów transformacji, los ludzi pracy najemnej, emerytury, prawo kobiet do przerywania ciąży, perspektywy ludzi młodych, klerykalizacja życia publicznego. Ku naszemu zdziwieniu, rzadko poruszane były problemy mieszkalnictwa, chociaż były to czasy, kiedy książeczki mieszkaniowe z okresu PRL traciły swoją ważność. Odrębnym, bulwersującym wątkiem była kwestia ratyfikacji konkordatu w niezmienionej postaci, przy czym poparcie dla tej umowy w całej kampanii na spotkaniach A. Kwaśniewskiego zdarzyły się w wypowiedziach dwukrotnie. Powszechnie pytano o koszt wprowadzenia konkordatu w życie, o stosunek SLD do tej umowy[35]. Przy okazji poruszania tych kwestii A. Kwaśniewski opowiadał się „przeciw takiemu państwu, gdzie wola biskupów będzie ponad wolą wyborców, obywateli, a prawo naturalne nad stanowionym przez parlament"[36].

W dniach wolnych od podróży wyborczych (posiedzenia Sejmu) odbywały się na Rozbracie seminaria kierunkowe, w których kandydat i politycy SLD mogli się wypowiedzieć na ważne kwestie polityczne (na przykład sprawa przystąpienia do NATO, ekonomiczne koszty transformacji i perspektywy rozwoju gospodarczego, świecki model państwa itp.). W czasie seminarium poświęconemu bezpieczeństwu i obronności Polski zabrał głos Jerzy Milewski, wcześniej współpracownik Wałęsy[37], co zosta-

[34] Prezydent RP miał wówczas prawo wyznaczać ministrów spraw wewnętrznych, obrony narodowej i spraw zagranicznych. W praktyce uprawnienia swoje rozciągnął na stanowiska wiceministrów. Prawnik prezydencki prof. Lech Falandysz przyznawał w wywiadach prasowych, że w toku swojej współpracy z Lechem Wałęsą walczył o ustrój prezydencko-parlamentarny, a w praktyce zdołał zdobyć dla prezydenta tyle władzy, ile było to tylko możliwe, czyli jego celem było to, aby metodą faktów dokonanych „nie zagospodarowana władza znalazła się w rękach prezydenta", zob.: *Płacz po Falandyszu*, „Trybuna", 21 września 1995 r.

[35] Zob.: J. Raciborski, *Polskie wybory. Zachowania wyborcze społeczeństwa polskiego 1989–1995*, Warszawa 1997, s. 82–84.

[36] *Kwaśniewski:* „*Za krzykiem nie ma programu*", „Trybuna", 4 października 1995 r., s. 3.

[37] J. Milewski w czasach opozycji był szefem Biura Koordynacyjnego „Solidarności" w Brukseli, po 1990 roku współpracownikiem L. Wałęsy w Kancelarii

ło potraktowane jako wyraz poparcia, udzielonego A. Kwaśniewskiemu. O problemach gospodarczych oraz sytuacji ekonomicznej dyskutował z chętnymi prof. Zygmunt Bosiakowski.

W Deklaracji Programowej A. Kwaśniewski zapowiadał, że choć jako prezydent nie wyrzeknie się własnych korzeni politycznych, to nie stanie ani na lewicy, ani na prawicy, ponieważ zamierza być strażnikiem podstawowych wartości i najlepszych tradycji narodowych, integrując społeczeństwo, a nie je dzieląc. Deklarował się jako zwolennik krzewienia dobrego obyczaju politycznego, uczciwości i tolerancji w życiu publicznym. Jednocześnie sprzeciwił się brutalności, prywacie i arogancji, poniżaniu ludzi z powodu gorszej sytuacji materialnej, narodowości, koloru skóry, odmiennych poglądów i orientacji osobistych. Stwierdzał, że Polska jest wspólnym domem dla wszystkich obywateli i dlatego będzie dbał o ich dobro[38].

W trakcie kampanii – poza sygnatariuszami SLD[39] – poparcia Kwaśniewskiemu udzieliła Unia Chrześcijańsko-Społeczna, na czele z Kazimierzem Morawskim, Partia Zielonych, Młodzieżowy Komitet na rzecz Wyboru A. Kwaśniewskiego oraz Sojusz Kobiet na rzecz Wyboru Aleksandra Kwaśniewskiego[40]. Popierała go zwłaszcza młodzież (jej głosy przyczyniły się do zwycięstwa Kwaśniewskiego w prawyborach we Wrześni, 15 września 1995 roku), a także kobiety i emeryci.

Warto kilka słów poświęcić Komitetowi Wyborczemu Aleksandra Kwaśniewskiego, na czele którego stanął poseł SLD Włodzimierz Cimoszewicz. Komitet ukonstytuował się 26 września 1995 roku, jego

---

Prezydenckiej, a następnie pełnił stanowisko sekretarza stanu w MON. W Administracji Prezydenta A. Kwaśniewskiego był pierwszym szefem BBN.

[38] Zob.: M.D. Zdort, *Inaczej niż Wałęsa*, „Rzeczpospolita", 1 lutego 1996 r., s. 4.

[39] Spotkanie wyborcze z ugrupowaniami politycznymi, związkami zawodowymi i organizacjami społecznymi tworzącymi SLD odbyło się 12 września 1995 roku. Prowadził je Włodzimierz Cimoszewicz. Zaprezentowano wówczas program wyborczy kandydata, na który składały się między innymi następujące postulaty: umacnianie demokracji w Polsce, utrzymanie wzrostu gospodarczego, rozwiązanie najtrudniejszych problemów społecznych, budowanie społeczeństwa obywatelskiego oraz umocnienie miejsca Polski w Europie.

[40] Sojusz Kobiet na rzecz Wyboru Aleksandra Kwaśniewskiego zaprosił w końcu września na swoje spotkanie małżonkę przyszłego prezydenta – Jolantę Kwaśniewską. Było to pierwsze wystąpienie J. Kwaśniewskiej podczas kampanii.

wiceprzewodniczącymi zostali Danuta Waniek i Jerzy Szmajdziński, a pełnomocnikiem Komitetu: Małgorzata Winiarczyk-Kossakowska. W skład Komitetu weszli: Zygmunt Bosiakowski, Mariusz Chwedczuk, Stanisław Gebethner, Zofia Grzebisz-Nowicka, Tadeusz Iwiński, Henryk Jasiorowski, Józef Kaleta, Aleksander Krawczuk, Piotr Kuncewicz, Józef Kuropieska, Krystyna Łybacka, Jan Mulak, Longin Pastusiak, Janusz Reykowski, Franciszek Ryszka, Adam Schaff, Izabella Sierakowska, Ewa Spychalska, Krzysztof Teodor Toeplitz, Jerzy Wiatr, Xymena Zaniewska.

Na końcowym etapie kampanii Aleksandra wsparli: Barbara Labuda, Andrzej Drawicz i Marek Gromelski. Również spotkanie Kwaśniewskiego z prof. Tadeuszem Zielińskim, jednym z kandydatów w tych wyborach, wieczorem w dzień pierwszej tury wyborczej, należało przyjąć jako rodzaj poparcia.

Przed każdą turą komitet wyborczy wydawał ulotkę „Goniec Wyborczy", ilustrującą dotychczasowy przebieg kampanii. W przerwie między pierwszą a drugą turą powstała książka *Zapiski sztabowe Danuty Waniek*, która miała odegrać rolę poszerzonego sprawozdania z przebiegu I tury wyborczej. Należy dodać, że od początku kampanii wyborczej A. Kwaśniewski zajmował niezmiennie pierwsze miejsce w sondażach, w I turze wygrał w trzydziestu trzech województwach, zaś Lech Wałęsa w szesnastu.

Marek Siwiec wspomina, że „na potrzeby tamtej kampanii zostały wymyślone dwa hasła. W pierwszej turze chodziło o to, by stanąć po drugiej stronie i pokazać realną alternatywę wobec polityki Wałęsy. Hasło »Wybierzmy przyszłość«[41] było ofertą, by skończyć polskie piekło... ha... dziś wydaje się to zabawne... Było zachętą, by budować coś nowego wspólnie. W drugim etapie, gdy konfrontowaliśmy się wprost z Wałęsą, chodziło o to, by zintegrować wszystkich, którzy na niego nie głosowali. Jak wiadomo, pierwsza tura to wybór pozytywny, w drugiej wybiera się po prostu »mniejsze zło«. I w ten sposób hasło »Wspólna Polska« stało się nośnikiem do zwycięstwa. Przewaga nie była zbyt wielka, ale triumf miał absolutnie historyczne znaczenie dla Polski i był początkiem bardzo wielu sukcesów"[42].

[41] Autorami tego pomysłu byli Krzysztof Janik i Danuta Waniek. Nawiązali bezpośrednio do zakończenia Deklaracji Programowej kandydata.

[42] Ankieta autorki, wrzesień 2013 r.

Nim to jednak nastąpiło, przeciwnicy Kwaśniewskiego starali się w dwojaki sposób podważyć jego zwycięstwo: po pierwsze, zaskarżając wynik do Sądu Najwyższego ze względu na podanie nieprawdziwych danych na temat wykształcenia[43], po drugie, poprzez wywołanie tak zwanej sprawy Oleksego.

Kwaśniewski wygrał z Wałęsą różnicą 646 260 głosów: Lech Wałęsa uzyskał 9 058 176 głosów, czyli 48,28 procent głosujących, Aleksander Kwaśniewski – 9 704 439 głosów, czyli 51,72 procent głosujących. Frekwencja w II turze wyniosła 68,23 procent. A. Kwaśniewski wygrał na wsi (51,4 procent) i w małych miastach (52,8 procent)[44]. Lech Wałęsa wygrywał w dużych miastach.

21 listopada wieczorem (czasu polskiego) do Aleksandra Kwaśniewskiego z gratulacjami zadzwonił prezydent Stanów Zjednoczonych Bill Clinton. Przy tej rozmowie w siedzibie SLD przy ul. Rozbrat uczestniczył obecny ambasador USA w Polsce – Stephen Mull[45].

Zwolennicy L. Wałęsy skierowali do Sądu Najwyższego tyle protestów wyborczych, ile wynosiła różnica głosów[46]. Podstawowym zarzutem było podanie do Państwowej Komisji Wyborczej nieprawdziwej informacji o wykształceniu Kwaśniewskiego.

---

[43] Według brzmienia ustawy o szkolnictwie wyższym w ówczesnym kształcie, kandydat nie spełniał wszystkich warunków, upoważniających do tego, aby mógł się kwalifikować posiadaniem wykształcenia wyższego (zdanie wszystkich egzaminów i uzyskanie wszystkich zaliczeń, zaliczenie wszystkich praktyk, przewidzianych w toku studiów, przedłożenie pracy magisterskiej i jej obrona). Należy zauważyć, że w tym samym czasie funkcjonowało już mnóstwo szkół wyższych, kształcących na poziomie obecnego licencjatu, a więc dających prawo do posiadania wyższego wykształcenia po trzech latach studiów. Mogło to wywołać oczywiste zamieszanie w ocenie indywidualnych osiągnięć. Obecnie Ustawa – Prawo o szkolnictwie wyższym z 2005 roku nie wyznacza już tak szczegółowych kryteriów dla statusu „wykształcenia wyższego". Por. także „*Politycy lądują twardo" – rozmowa Ewy Rosolak z profesorem Jerzym Jaskiernią*, „Dziennik Trybuna", 15–17 listopada 2013 r., s. 14–15.

[44] Jest w tym czytelna logika: na transformacji traciła wieś i małe miasta, dlatego ich mieszkańcy kierowali poparcie ku lewicy.

[45] Ambasadorem USA w Polsce był wówczas Nicholas Rey.

[46] Miało to wywołać określony efekt polityczny i nacisk na Sąd Najwyższy. Tajemnicą do dziś pozostaje, w jaki sposób uzyskano efekt złożenia ponad 600 tysięcy protestów wyborczych w ciągu wymaganych przez ustawę trzech dni (Art. 73.1. Ustawy o wyborze Prezydenta RP).

Jako szef sztabu wyborczego otrzymałam pismo z Sądu Najwyższego z wezwaniem do udzielenia odpowiedzi na pytanie, na jakiej podstawie posłużyliśmy się w obwieszczeniach z listą zarejestrowanych kandydatów błędnymi danymi na temat wyższego wykształcenia Kwaśniewskiego. Nie ukrywam, że był to dla mnie pod względem psychicznym moment trudny, ponieważ nikt ze sztabu wyborczego nie był świadom tego stanu rzeczy. Byliśmy tym przybici. O „defekcie" naszego kandydata dowiedzieliśmy się z książki A. Chróścickiej pt. *Kwaśniewski jestem*. Przyznam, że trudno było mi w to uwierzyć, ponieważ wcześniej dochodziły do mnie informacje o doskonałych wynikach Kwaśniewskiego w czasie studiów na Uniwersytecie Gdańskim, czego wyrazem był indywidualny tok studiów, nagroda Czerwonej Róży itd.[47]

Do udzielenia odpowiedzi Sądowi podeszłam niezwykle poważnie, powołując się na obowiązywanie innego stanu prawnego (Ustawa o szkolnictwie wyższym) niż w 1995 roku[48]. Przeanalizowałam w piśmie ówczesne przepisy i na nich oparłam obronę sytuacji naszego kandydata w Sądzie Najwyższym. Zwróciłam uwagę zwłaszcza na to, że pojęcie wyższego wykształcenia używane jest w obowiązujących przepisach w sposób zróżnicowany i konkuruje na tym polu z pojęciem „ukończona nauka" bez uzyskania tytułu zawodowego[49]. W czasie rozprawy okazało się, że sędzia sprawozdawca kilkakrotnie przywoływała moją argumentację zawartą w odpowiedzi przekazanej Sądowi na piśmie[50].

---

[47] Informacja ta została ujawniona w czasie krótkiego urlopu Kwaśniewskiego, w związku z czym zwróciłam się do rektora Uniwersytetu Gdańskiego prof. Zbigniewa Grzonki z prośbą o wyjaśnienie tej kwestii. Rektor w piśmie z 24 listopada 1995 roku odmówił, czyli „u źródła" nie dostałam wiarygodnej informacji. Prof. Z. Grzonka był przewodniczącym gdańskiego komitetu wyborczego Lecha Wałęsy. Przy okazji media odnowiły informację o podobnym „defekcie" T. Mazowieckiego w pierwszych wolnych wyborach prezydenckich w 1990 roku. Kwestia ta nie była jednak roztrząsana na drodze sądowej, ponieważ T. Mazowiecki nie wszedł w tych wyborach do pierwszej tury.

[48] W moim prywatnym archiwum nie zachował się ten tekst.

[49] Przy podawaniu argumentacji wzięłam pod uwagę uchwałę Sądu Najwyższego z dnia 8 lipca 1993 roku (II UZP 6/93, PiZS 1993 nr 10–11, s. 100), w której uzasadnieniu Sąd stwierdził, że „ukończenie nauki w szkole wyższej bez uzyskania tytułu zawodowego wpływa niewątpliwie na poziom i kwalifikacje pracownika".

[50] S. Gebethner stwierdził: „Fakt niezgodności z prawdą informacji o wykształceniu Aleksandra Kwaśniewskiego nie podlega dyskusji. I nie tu miejsce

Ostatecznie Izba Administracyjna, Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego w uchwale z 9 grudnia 1995 roku, przy pięciu zdaniach odrębnych, stwierdziła ważność wyboru Prezydenta RP[51]. Należy dodać, że w 1995 roku Sąd Najwyższy po raz pierwszy rozstrzygał o ważności wyborów prezydenckich.

Drugim trudnym momentem już po ogłoszeniu ważności wyborów było wykorzystanie prowokacji zorganizowanej przez służby specjalne wobec ówczesnego premiera Józefa Oleksego. Było to działanie bez precedensu w historii III RP, ponieważ uczestniczyły w nim osoby pełniące najwyższe stanowiska państwowe.

14 grudnia 1995 roku wieczorem, w siedzibie prezydenta elekta (pałacyk MSZ przy ul. Foksal) pojawili się dwaj ministrowie, członkowie kierowanego przez Józefa Oleksego rządu – Andrzej Milczanowski i Władysław Bartoszewski. W imieniu przegranego prezydenta – Lecha Wałęsy zażądali ustąpienia J. Oleksego ze stanowiska premiera i złożenia przez niego mandatu poselskiego. Prezydentowi elektowi obaj ministrowie przedstawili notatkę, z której wynikało, że dysponują dowodami na dopuszczenie się przez J. Oleksego zbrodni zdrady stanu.

Lechowi Wałęsie nie udało się jednak w ten sposób wywołać tak głębokiego kryzysu politycznego, który mógłby przeszkodzić złożeniu przez Aleksandra Kwaśniewskiego prezydenckiej przysięgi przed Zgromadzeniem Narodowym. W kręgach przywódczych SLD uznaliśmy to za próbę dokonania zamachu stanu[52].

---

na ocenę zachowania kandydata na Prezydenta RP, które to zachowanie w kategoriach etycznych, moralnych czy politycznych wypada uznać za naganne. Inna jest natomiast kwestia analizy prawnej, którą należy oddzielić od specyficznej atmosfery klimatu politycznego rozognionych wówczas sporów i przeciwstawnych sobie opinii publicznie formułowanych", zob.: S. Gebethner, *Wybory na urząd Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej*, Warszawa 2000, s. 137–138.

[51] Sąd Najwyższy uznał, że nie zachodzi taka zależność między podaniem nieprawdziwych informacji o wykształceniu kandydata a wynikiem wyborów, jaka uzasadniłaby stwierdzenie, że podanie w urzędowym obwieszczeniu nieprawdziwej informacji mogło wywrzeć wpływ na wynik wyborów. Ustalanie motywacji decyzji wyborczych należy do domeny zainteresowań socjologów i psychologów.

[52] Na odrębną uwagę zasługiwało, by opis zaangażowania w kampanię wyborczą po stronie Lecha Wałęsy ówczesnego Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, na czele z gen T. Wileckim, a po odwołaniu Piotra Kołodziejczyka z funkcji ministra ON – również Zbigniewa Okońskiego, nowego szefa resortu. Szerzej na ten temat: *Zapiski sztabowe Danuty Waniek, op. cit.*

Z czasem okazało się, że grupa Milczanowskiego z MSW za wywołanie tej prowokacji nie tylko nie poniosła jakichkolwiek konsekwencji prawnych, ale w szybkim trybie (kończyła się kadencja) została w nagrodę obdarzona przez prezydenta Wałęsę awansami służbowymi do stopnia generałów[53]. Po kilkunastu latach uznano, że rzekome dowody obciążające były prawdopodobnie dziełem rosyjskich służb specjalnych, które w ten sposób starały się przeszkodzić przystąpieniu Polski do NATO. Jeśli to prawda, to nagrodzone generalskimi lampasami „asy" polskiego wywiadu dały się Rosjanom „nabić w butelkę"[54].

Byliśmy więc świadkami i uczestnikami wielce pouczających wydarzeń. „Demokratyczna" opozycja nie umiała godnie przegrać. Trzeba było oswoić się z prawdą, że „autorytety" z opozycji wygłaszały zasady na ogół dla bliźnich. Sami, jak trzeba było, w obronie swej władzy chętnie sięgali po pomoc tajnych służb[55], walczyli metodami pozakonstytucyjnymi, narażającymi Polskę na śmieszność i szwank.

Ale daliśmy im radę!

23 grudnia 1995 roku Aleksander Kwaśniewski złożył przysięgę, obejmując oficjalnie urząd Prezydenta RP[56].

Jego pierwszą kampanię prezydencką Krzysztof Janik opisuje dziś w sposób następujący:

> Przyczyny zwycięstwa Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich w 1995 roku można według mnie podzielić na dwie grupy: obiektywne (niezależne od osobowości kandydata i jego otoczenia) oraz subiektywne. Trzeba o nich pisać i przypominać, bo nawet uczestnicy tamtych wydarzeń nie wszystko pamiętają (ja też). Natomiast od kilku lat mamy do czynienia z pomniejszaniem wagi tego zwycięstwa. Niedawno

[53] Chodziło o pułkowników: Henryka Jasika, Wiktora Fonfarę, Bogdana Liberę i Mariana Zacharskiego.

[54] O przebiegu tej afery z A. Milczanowskim w roli głównej J. Oleksy opowiedział po latach [w:] *To była podłość*, „Wprost", 16–22 września 2013 r., s. 48–52.

[55] Tę samą metodę zastosowali wobec kandydata SLD W. Cimoszewicza, w kampanii prezydenckiej w 2005 roku.

[56] Ostatnią próbę przeszkodzenia A. Kwaśniewskiemu w konstytucyjnym objęciu urzędu i złożeniu przysięgi podjęła NSZZ „Solidarność", zwołując demonstrację, która miała na celu zablokowanie wjazdu samochodu z Kwaśniewskim na teren Sejmu. Jak się okazało – bezskutecznie.

w „Rzeczpospolitej" przeczytałem, że wygrał „sztuczkami", które mu wymyślił wynajęty za „grube pieniądze" cudzoziemski specjalista. Studenci piszący prace dyplomowe o tym sukcesie, pod wpływem obecnej na rynku literatury, piszą głównie o niebieskich koszulach i dobranych do nich szkłach kontaktowych, ewentualnie o słabościach Wałęsy. Dlatego, tak jak pamiętam, wskazałbym na przyczyny tego zwycięstwa, dzieląc je – jak wspomniałem – na dwie grupy: niezależne od kandydata i będące jego dziełem oraz sztabu współpracowników.

Do pierwszych zaliczyłbym:

1. Rzecz znaną i wielokrotnie opisywaną – sprzyjające „postkomunistycznej" lewicy nastroje społeczne. Po szokowej transformacji Balcerowicza, w społeczeństwie – świeżo pamiętającym PRL – obudziła się tęsknota za bezpieczeństwem socjalnym, pełnym zatrudnieniem, poczuciem ładu i porządku. Tak naprawdę to głosowanie pokazało rzeczywisty rozkład ocen dotyczących PRL-u. To widać w ocenie Wojciecha Jaruzelskiego, stanu wojennego itd. Można powiedzieć, że 33 procent Kwaśniewski miał „na wejściu".

2. Rozczarowanie elitami „Solidarności", które uznawano za „nieudaczników". Rzecz się wyostrzyła, kiedy na czele ruchu otwarcie zwalczającego Kwaśniewskiego (Inicjatywa 3/4) stanął czołowy eksponent tego nieudacznictwa – Jan Rokita. Rola Inicjatywy w sukcesie Aleksandra Kwaśniewskiego jest niedoceniana – przyniosła mu kolejne 5 procent.

3. Dołożył się do tego Kościół. Postrzegany – w odróżnieniu od społeczeństwa – jako beneficjent i poplecznik nowego ustroju nie umiał zdystansować się od kampanii wyborczej. Zaangażował się od początku przeciwko Aleksandrowi (nie miał chyba od razu zdecydowanego, własnego faworyta), a potem nie miał wyboru, musiał brnąć w Wałęsę, narażając własną reputację i czyniąc to dość prostymi (żeby nie powiedzieć prymitywnymi) metodami.

4. Niezdecydowanie elit intelektualnych, postsolidarnościowych. Nie lubiły one Lecha Wałęsy, a rozpętana akcja antysemicka („Sztolcman") przeraziła je co do dalszego kierunku rozwoju sytuacji. Powiedziałbym, że wykonywały one „rytualne tańce" anty-Kwaśniewskie, ale czyniły to bez przekonania, „bez ognia", a kilku wybitnych przedstawicieli tych elit demonstracyjnie nie zaistniało w tej kampanii (zwłaszcza w drugiej turze).

Gdybym miał podsumować te uwagi, to powiedziałbym, że powyższe przesłanki przyniosły Aleksandrowi Kwaśniewskiemu łącznie 40 procent poparcia. To decydujące 11 procent zależało jednak od samego kandydata i jego sztabowców. Złożyły się na nie następujące czynniki:

1. Przyjęta i konsekwentnie realizowana koncepcja kampanii wyborczej. Kandydat – w odróżnieniu od konkurencji – prawie dzień w dzień jeździł po Polsce, uczestnicząc w spotkaniach otwartych, coraz bardziej licznych. Przesłanie było jasne: nie boi się ludzi, nie ma regionów

i środowisk ważnych i mniej ważnych, umie z ludźmi rozmawiać. Co ważne: umie rozmawiać z przeciwnikami, nie boi się ich, wie, kiedy potraktować ich poważnie (Jastrzębie), a kiedy obśmiać (Bochnia). Prymitywizm tych przeciwników też przynosił Mu profity: bezwzględne ataki sprzyjają raczej atakowanemu, a nie atakującym. Dodatkowym plusem była świetna organizacja kampanii – autobus Kwak, planowanie, zabezpieczenie w materiały informacyjne, znajomość środowisk, które kandydat odwiedzał.

2. Poważne zaplecze polityczno-organizacyjne. SLD w toku tej kampanii okrzepł i pokazał potencjał polityczny i organizacyjny jako formacja polityczna. Z jednej strony zaangażował się bezgranicznie w kampanię, z drugiej aktyw terenowy czuł, że to niepowtarzalna okazja, aby wyleczyć się z kompleksów, pokazać swoją społeczną użyteczność, wywalczyć stabilne miejsce na scenie politycznej. Żaden z kandydatów, ani wtedy, ani w 2000 roku, nie miał takiego zaplecza, tak zmotywowanego i tak kompetentnego.

3. Poważne potraktowanie rozmaitych grup społecznych. Mało kto dziś pamięta, że sztab przygotował materiały programowe do prawie wszystkich grup społecznych. Były listy kandydata do rolników, rzemieślników, nauczycieli, pracowników służby zdrowia, samorządowców, urzędników administracji publicznej, pracowników byłych PGR-ów itp. Nie przywiązywałbym zbyt wielkiej wagi do treści tych listów, ważne było wrażenie, że nikt z Polaków nie jest wykluczony z pola zainteresowania kandydata, że „nie opuści" on żadnej grupy społecznej.

4. W tym duchu były też hasła kampanii wyborczej. Nie miejsce tu na ich szczegółową analizę, ale zarówno „Wybierzmy przyszłość", jak i „Wspólna Polska" nie dzieliły, wręcz przeciwnie, wskazywały na wspólnotowe intencje kandydata, podkreślały pozapolityczny, ponadpartyjny charakter jego kandydatury.

5. Wreszcie same przymioty kandydata. W kampanii Aleksander Kwaśniewski połączył dwa sprzeczne – wydawałoby się – wizerunki. Z jednej strony „swój chłop", co to „zatańczy i zaśpiewa", z drugiej światowiec: mówi po angielsku i – co bardzo ważne – po polsku, zna celebrytów politycznych i artystycznych, czuje się wśród nich swobodnie.

Co mu – mam nadzieję – zostało do dzisiaj.

„Dlaczego to właśnie on wygrał te wybory?" – pyta Jerzy Dziewulski i odpowiada:

Dlatego że był po prostu pozytywnie kojarzącym się politykiem. Spokojnym, zrównoważonym. Jasno wykładającym swoje opinie. Ludzie mieli dość prezydenta, który był niejednokrotnie agresywny. Ciągle szukający zwarcia, za którym ciągnął się sznur ochroniarzy, rozpychających polityków w korytarzach sejmowych. Wałęsa budował swoją pozycję w tych

wyborach, wyłącznie w oparciu o historyczną przeszłość. Kwaśniewski zaś mówił nie o przeszłości, tylko wybierał przyszłość. Co zresztą było jego hasłem wyborczym. To hasło było zrozumiałe, dające szansę na pewne odcięcie się od dotychczasowego stylu uprawiania polityki przez L. Wałęsę.

Ciągłe wspominanie własnych zasług przez Wałęsę, a jednoczesne wyraźne lekceważenie Kwaśniewskiego, wywoływało u wielu ludzi prosty odruch obrony tego „słabszego". Szczytem takiego właśnie zachowania było spotkanie obu kandydatów w TVP, gdzie urzędujący prezydent publicznie obraził Kwaśniewskiego, mówiąc, że na przywitanie może mu „podać nogę"!!! To moim zdaniem był moment przełomowy. Ten, kto nie był zdecydowany, na kogo głosować, już wiedział. Nie chciał mieć prezydenta szukającego zwady. Chciał uspokojenia nastrojów. Chciał wybrać tego, który gwarantuje, iż prezydentem będzie człowiek pozytywnie myślący. A L. Wałęsa liczył wyłącznie na swoje nazwisko. A to w tym czasie już nie wystarczało[57].

Prezydentura Aleksandra Kwaśniewskiego trwała dziesięć lat. I rzecz dziwna: publicyści prawicowi nawet w publikacjach pisanych już z perspektywy bez mała dwudziestu lat dają wyraz temu, że z tamtą wygraną nie pogodzili się do dziś. I skoro nie da się jej wymazać z najnowszej historii Polski, to przynajmniej należy pomniejszyć jej znaczenie, a gdzie jest to możliwe – przemilczeć.

Ludwik Jerzy Kern poświęcił tej przypadłości pisane wierszem spostrzeżenie:

Konik nóżką grzebie,/ Płacze dziewczę hoże,/
Polak do Polaka/ Z pyskiem albo z nożem.

Rzadko Polakowi/ Polak dobrze zrobi/ To już takie nasze/ Narodowe hobby/

A tak by się chciało/ Wstawić do czytanki,/ że Polak i Polak/ To są dwa bratanki[58].

[57] Ankieta autorki.

[58] L.J. Kern, *Jaśnie Pan Rym*, fragment wiersza *Nowy Kossak*, Warszawa 1982, s. 85, 86.

Dariusz Szymczycha

Aleksander Polski

„Napisz coś po ludzku, po koleżeńsku o Aleksandrze" – zadysponowała Danuta Waniek. Tylko jak to zrobić? Łatwiej powiedzieć, niż napisać. Bo przy całej bliskości i serdeczności relacji, jakie buduje Aleksander Kwaśniewski, dla większości z nas sympatia do niego miesza się z podziwem, a nawet zauroczeniem. Nie wstyd przyznać, że ma to „coś", dzięki czemu jest lepszy, mądrzejszy i błyskotliwie puentuje rzeczywistość. Niektórych może to frustrować i złościć, bo lider ma swoje zdanie, nie chce się podporządkować i ustatkować. Ale nawet „szorstka przyjaźń", koniec końców, pozostaje jakimś rodzajem przyjaźni. Tak dla zauroczonych, jak i dla zawiedzionych, magia osoby Aleksandra Kwaśniewskiego nadal pozostaje. Tę aurę zbudowały nie tylko dwie kadencje na urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej.

Dla mojego pokolenia lewicy, czy to z „zaciągu" Ordynackiej (ZSP), Smolnej (ZSMP), czy Konopnickiej (ZHP), Kwaśniewski to symbol epoki, z Kwaśniewskim wiąże się kawał naszego życia. Potrzebowaliśmy takiego wzorca, lidera, także i po to, by w niełatwych czasach uwierzyć w siebie.

Jego gwiazda objawiła się nam w połowie lat 80., kiedy niespodziewanie z redaktora „Sztandaru Młodych", gazety adresowanej do młodzieży, został ministrem do spraw młodzieży. Także i dziś byłaby to błyskawiczna kariera, ale wtedy, w PRL, był to „kosmiczny skok". Mieczysław Rakowski napisał o ówczesnej karierze Kwaśniewskiego, że „zawdzięcza ją sobie. (…) na tle rówieśników wyróżniał się nie tylko swoją inteligencją, ale był

bardzo krytycznym obserwatorem systemu realnego socjalizmu, otwarcie demonstrował swe reformatorskie pomysły i propozycje. Nie mizdrzył się, ani też nie schlebiał przełożonym". Słynny jest jego komentarz, wygłoszony na posiedzeniu jednej z partyjnych komisji, których zadaniem miało być zreformowanie PZPR. Jeden z partyjnych profesorów całkiem poważnie rozważał celowość zmiany nazwy PZPR na PSPR (Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza). Kwaśniewski miał wtedy wypalić, że z takiej zmiany najbardziej zadowoleni będą sepleniący. Dla nich „Z" czy „S" nie robi żadnej różnicy.

Po rozwiązaniu PZPR Kwaśniewski przeprowadził lewicę przez „morze czarne" polskiej polityki i wyprowadził swą formację z postkomunistycznego marginesu na scenę demokratycznej polskiej polityki. Nasza wiara w cuda powinna być ograniczona, ale coś cudownego, bo nieprzewidywalnego, a nawet nieoczekiwanego, w tym było. Nikt nie mógł napisać takiego scenariusza. W czerwcu 1989 roku PZPR przegrywa wybory. W styczniu 1990 roku Mieczysław Rakowski wypowiada historyczne słowa „Sztandar PZPR wyprowadzić!" i powstaje, jak pisała w „Trybunie" Magda Cień, „mała opozycyjna partia" – Socjaldemokracja RP. Przewodzi jej duet: Aleksander Kwaśniewski – Leszek Miller. Pierwszy walczy o jej wizerunek, wprowadza socjaldemokratyczny program, drugi walczy z likwidatorem majątku PZPR i sprawnie zajmuje się organizacją struktur.

Na początku lat 90. lewicowość staje się przejawem nonkonformizmu, a nawet obywatelskiej odwagi, bo powszechnie utożsamiano ją z komunizmem, stanem wojennym i niegodziwościami starego systemu. Nasze intencje i deklaracje przedstawiane już innym językiem, dalekim od partyjnej nowomowy, uznawano za niewiarygodne. Jak by tego było mało, we wrześniu 1990 roku prezydent Wojciech Jaruzelski ogłasza skrócenie swojej kadencji. Wielu widziało więc w nas zagubione sieroty po PZPR. Tymczasem w wyborach powszechnych, przeprowadzonych w październiku 1991 roku Komitet Wyborczy Sojuszu Lewicy Demokratycznej uzyskuje 13 procent głosów (co jest drugim wynikiem) i wprowadza do Sejmu 60 posłów. Pod koniec maja 1993 roku prezydent Lech Wałęsa rozwiązuje Sejm i rozpisuje wybory na wrzesień. Wygrywa je SLD, zdobywając 20 procent głosów, 171 mandatów poselskich i 37 mandatów do Senatu. Mamy znaczący udział w koalicyjnym rządzie, Józef Oleksy zostaje marszałkiem Sejmu, Aleksander Kwaśniewski nie rwie się do stołka premiera i urzędujący wówczas prezydent bardzo mu w tym pomaga, promując

Waldemara Pawlaka. Kwaśniewski będzie współrządził z pozycji szefa klubu parlamentarnego.

W ciągu czterech lat lewica w Polsce wróciła do gry, tym razem demokratycznej. Większość z nas była już inna niż przed czerwcem 1989 roku, wielu naprawdę się zmieniło. Bez wątpienia wpłynęły na nas warunki, zmieniająca się Polska i Polacy, ale zmienialiśmy się też dzięki naszemu liderowi – Olkowi. Pokazał, że nowej Polski nie trzeba się bać – dowodziły tego choćby jego dobre i publicznie znane relacje z postaciami przedczerwcowej opozycji. O Jacku Kuroniu, Tadeuszu Mazowieckim czy Adamie Michniku opowiadał z uznaniem, ale też bardzo osobiście, z wyczuwalną sympatią. Zdziwienie, ale i zaciekawienie wywoływały jego opowieści o wspólnej podróży z Leszkiem Moczulskim. Ten autor bardzo niemiłego dla nas rozwinięcia skrótu PZPR (Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji), w podróży okazywał się normalnym i wesołym kompanem. Kwaśniewski i Moczulski jako reprezentanci Sejmu pojechali do RPA, by podzielić się doświadczeniami z czasów Okrągłego Stołu i polskiego pojednania. W naszym gronie, ktoś kiedyś powiedział o politycznym konkurencie, że ten „łże jak pies". Aleksander pouczył: „Nie obrażaj psów. Powiedz lepiej, że łże jak polityk".

Aleksander przybliżał nam ludzi nowej Polski, ale też tłumaczył, że trzeba wypracować swoje miejsce w nowej Polsce. Nostalgia nie zastąpi pozytywnych programów, trzeba więc konkurować w ramach pluralizmu i demokracji. Jak pamiętam, najwięcej wysiłku musiał włożyć w wyjaśnianie, że Socjaldemokracja RP nie powinna aspirować do monopolu na lewicowość – tę noszą w sobie także środowiska czy organizacje społeczne, często tworzone przez osoby, które zostały skutecznie zrażone do partii jako takich przez PZPR. Trzeba więc szukać szerszego, wokółpartyjnego, ale i ponadpartyjnego porozumienia na lewicy. W rezultacie takiego, otwartego podejścia powstał Komitet Wyborczy Sojuszu Lewicy Demokratycznej i jego lista wyborcza. To otwarcie było znakiem firmowym Kwaśniewskiego, który zrozumiał, że skończyły się czasy partii ideologicznych i masowych. W demokracji ważniejsze, ale też trudniejsze, jest dogadanie się z elektoratem niż z partyjnym aparatem.

Początek lat 90. to także wielka zmiana w polskiej gospodarce. Efektywność gospodarcza, podaż i popyt, własność, zysk, podatki, budżet, rynek pracy, bezrobocie – to nie były słowa z naszego słownika. W socjalizmie wiele z nich brzmiało niczym epitet i teraz trzeba było odnaleźć dla

nich właściwe w nowych realiach znaczenie. Chodziło też o to, jak socjaldemokracja ma odnosić się do reform Balcerowicza. Dziś można by krytycznie ocenić wiele ówczesnych tez o polityce gospodarczej, można zarzucać niedostatek wyobraźni i wrażliwości, ale „mądry Polak po czasie". Wtedy nie było żadnego podręcznika czy *case study* o tym, jak odchodzić od gospodarki socjalistycznej do rynkowej i od własności państwowej do prywatnej, jak równoważyć społeczne skutki rynkowego skoku w nieznane. Wiedzieliśmy jedno: socjalizm skończył się kartkami i pustymi półkami, trzeba rzucić się na głęboką wodę reform. Zwyciężyło pragmatyczne podejście, polegające na tym, by nie przeszkadzać w urynkowieniu gospodarki i upominać się o socjalne standardy i minima. Wiele lat później, już w czasach prezydenckich, dziennikarze rosyjscy pytali o polską transformację gospodarczą. Aleksander odpowiadał: „mówią, że trzeba było inaczej prywatyzować, inaczej dokonywać zmian w sektorze bankowym, i tak dalej. Gdybyśmy coś zrobili inaczej w tej naszej transformacji, może byłoby lepiej. Gdybyśmy jednak nie zrobili tego, co zrobiliśmy, to na pewno w naszym kraju byłoby gorzej".

Szlifował styl uprawiania polityki przez Socjaldemokrację. W 1993 roku części działaczy tej partii wydawało się, że skoro lewica wchodzi do rządu, to zwolennikom należą się profity – posady, awanse, praca. Oczekiwano, że prestiżowe komisje sejmowe będą obsadzone przez klubowych kolegów. Kwaśniewski przekonywał: „Panowie, nam powinno zależeć na tym, aby szefami komisji byli ci, którzy są kompetentni, mają właściwości i będą dla nas partnerami". Wbrew swojej partii, wbrew nastawieniu i przekonaniu większości swoich posłów, przeprowadził kandydaturę prof. Geremka na pozycję przewodniczącego sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Z drugiej strony, zbyt serdecznych wobec Józefa Oleksego posłów SLD potrafił ugasić słowami: „Uszanujcie człowieka, w miejscach publicznych nie mówcie Józek, ale panie marszałku".

Kwaśniewski przestrzegał przed triumfalizmem. Nie był zbyt zadowolony, kiedy na wieczór wyborczy w 1993 roku przyszedł Jerzy Urban z wielką butelką szampana. W debacie sejmowej nad *exposé* Waldemara Pawlaka, premiera rządu SLD-PSL, w imieniu lewicy parlamentarnej powiedział znamienne słowa: „Przepraszamy tych wszystkich, a niektórzy są na tej sali, którzy doświadczyli krzywd i niegodziwości władzy i systemu przed 1989 rokiem". Te słowa były zaskoczeniem dla większości klubu SLD. Przypuszczam, że wolał postawić wielu kolegów przed faktem

dokonanym, narzucić nowy kanon, niż tracić czas na kolektywnym szlifowaniu wystąpienia. Te słowa nie zadowoliły też wszystkich, do których były adresowane, ale przecież szef SLD nie był do tych słów zmuszony ani przez arytmetykę gier parlamentarnych, ani przez tematykę debaty. Udowodnił, że ma empatię – cechę dość rzadką wśród polityków i że wie, czym był dla wielu Polaków realny socjalizm. Pytany o wpływ historii na współczesną politykę odpowiadał przewrotnie, że „trzeba pamiętać, ale nie można być pamiętliwym".

W Sejmie II kadencji objął przewodnictwo Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, której zadaniem było przygotowanie projektu nowej ustawy zasadniczej. To była robota w sam raz dla niego – praca dla państwowca. Odnoszę wrażenie, że Aleksander lepiej czuł się w pracy państwowej niż partyjnej. W partii pociągała go możliwość spotkania z innymi ludźmi, obcowania z tłumem, przemawianie i przewodzenie, ale z drugiej strony narzekał na przewidywalność i jałowość wewnętrznych dyskusji oraz rytuał posiedzeń. Państwo zawsze stawiał przed partią. Świadczyły o tym symboliczne gesty, jak choćby oddanie legitymacji członkowskiej SdRP – uznawał bowiem, że po wyborze na prezydenta powinien być politykiem państwowym i ponadpartyjnym. Dowiodły tego dwie prezydenckie kadencje, podczas których przyszło mu współpracować z rządami Jerzego Buzka i Włodzimierza Cimoszewicza, Leszka Millera oraz Marka Belki. To nie był czas wojen na górze. To był czas dobry dla Polski – zmieniała się i rosła gospodarka, uchwalono nową Konstytucję, weszliśmy do NATO, zakończono negocjacje akcesyjne do Unii Europejskiej i weszliśmy do struktur zjednoczonej Europy.

W pracy państwowej Kwaśniewskiemu pomagało to, że nigdy nie był ideologiem. Szukał rozwiązań pozytywnych, a nie „jedynie słusznych". Dla społecznego pokoju, dla budowania wspólnoty gotów był na kompromisy. Tak było w relacjach państwo – Kościół katolicki. Po wyborze na urząd prezydenta zmienił stosunek do konkordatu, co było niemiłym zaskoczeniem dla wielu jego zwolenników. Dobre relacje z Janem Pawłem II, różne gesty i wypowiedzi kierowane do ludzi Kościoła, obecność prezydenta Kwaśniewskiego na uroczystościach religijnych wywoływały krytykę i złośliwości części lewicowych sympatyków. Aleksander przy swym szacunku dla chrześcijańskiej tradycji i Kościoła podkreśla jednak, że jest agnostykiem. Przyjął więc zaproszenie do papamobile, zachęcony przez papieża przemawiał na placu Świętego Piotra, ale podczas uroczystości

religijnych nie oszukiwał innych i siebie. Wrzucał datki na tacę, ale nie klękał, nie przyjmował sakramentów, zachowywał szacunek, ale i dystans do liturgii. W rozmowie z dziennikarzem włoskiej „Panoramy", przed spotkaniem z Janem Pawłem II w 2003 roku, pytany o to, co będzie, jeśli rozmowa zejdzie na temat aborcji, wyznał: „stwierdzimy rozbieżność opinii na ten temat". Dodać muszę, że Aleksander nie propagował aborcji, uważał, że jest to trudna, nieraz dramatyczna decyzja kobiety, uznawał jednak prawo kobiety do podjęcia tej decyzji i sprzeciwiał się naruszeniu kompromisu ustawy zwanej antyaborcyjną.

Bez wątpienia Kwaśniewski był jednym z pierwszych polskich polityków, których nie zaskoczyła zmiana realiów demokracji i tradycyjnego trójpodziału władzy, jakie niósł za sobą rozwój mediów. Złośliwi sprowadzają to do opisu Aleksandra jako pioniera noszenia niebieskich koszul, ponoć dobrze wyglądających w telewizji. Rzeczywiście zwracał uwagę na to, by wyglądać stosownie do okazji. Pamiętam, jak żartował z kolegi, który po wyborach prezydenckich 1995 roku przyszedł do sztabu w swetrze: „Jak ty będziesz wyglądał w telewizji, co żona powie…". Ale dobra koszula, krawat, garnitur i uśmiech to za mało – media bezlitośnie obnażają przebierańców i nie zadowalają się samą formą, potrzebują treści. Kwaśniewski – redaktor naczelny „Itd", „Sztandaru Młodych", współtwórca pierwszego w RWPG pisma komputerowego „Bajtek", sam tworzył dobre media i dlatego rozumiał dziennikarzy. Wiedział, że potrzebują znaczącej informacji, robiącego wrażenie newsa, oryginalnego komentarza, dowcipnej pointy. Jeśli potrafisz to zrobić, polityku – wtedy dziennikarze i media cię polubią.

„Czwarta władza tym się różni od innych rodzajów władzy – sądowniczej, ustawodawczej i wykonawczej, że jest poza wszelką kontrolą i jest praktycznie nieodwoływalna" – mawiał już jako prezydent. W rozmowach z dziennikarzami podkreślał jednak, że wolność słowa nie oznacza braku reguł, zasad i nie zwalnia od myślenia i obywatelskiej odpowiedzialności. Wskazywał, że są cztery tematy, których podejmowanie w polskich mediach wymaga szczególnego przemyślenia i rozwagi. To stosunki polsko-niemieckie, stosunki między państwem a Kościołem katolickim w Polsce, stosunki polsko-rosyjskie i stosunki polsko-żydowskie. Wydaje się, że ten katalog i dziś nie stracił aktualności. We wszystkich tych sprawach odbija się trudna, nieraz tragiczna historia. Te kwestie stały się przedmiotem polityki historycznej, dość instrumentalnie traktowanej w Polsce.

Bez wątpienia Aleksander Kwaśniewski ma słabość do inteligentnych dziennikarek i dziennikarzy. Zdarzało się, że prezydentowi odradzano udzielenia wywiadu i tłumaczono to nieprzychylnością rozmówcy. Nielicznym dziennikarzom prezydenccy współpracownicy próbowali wyznaczać okresy „karencji", które jednak prezydent spontanicznie przerywał. Zdziwionemu otoczeniu tłumaczył potem: „a jak inaczej mam się komunikować? Z kim mam rozmawiać?". Kwaśniewski lubi wyzwania i swego rodzaju ryzyko związane z obecnością w mediach. Podczas zagranicznej podróży, po przyłączeniu Polski do koalicji antyterrorystycznej w Iraku, w jakimś przejściu dosłownie wpadliśmy na ekipę telewizji Al-Dżazira, która nieoczekiwanie poprosiła o wywiad. Prezydent „z marszu" zgodził się, czym zadziwił dziennikarzy. W 2004 roku z prośbą o wywiad zgłosił się niemiecki „Bild". Gazeta w Polsce nie miała najlepszej marki: ciągnęła się za nią opinia tabloidu, upraszczającego rzeczywistość, sensacyjnej i nie zawsze sprawiedliwego. Prezydent przyjął jednak propozycję, stwierdzając: „w jaki inny sposób dotrę do milionów zwykłych Niemców z naszą argumentacją w sprawie Centrum Wypędzonych, Powiernictwa Pruskiego i stosunków polsko-niemieckich?".

Czy media polubiły Kwaśniewskiego? Korzystały z jego otwartości w chwilach dla niego dobrych, nie oszczędzały jednak, gdy było trudno. Nie rezygnowały z krytyki i złośliwości, kiedy nie ulegał ich opiniom i oczekiwaniom. Przed oczami ciągle mam obraz, kiedy jako przewodniczący klubu parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej, nie chcąc rozmawiać z dziennikarzami stojącymi przed jego gabinetem, wychodzi z sejmowego biura przez okno, po drabinie. Media przedstawiły to jako dowód słabości polityka, ucieczkę przed pytaniami, nie zrozumiały, że wtedy nie chciał z mediami gadać. Nikt jakoś nie zastanowił się, ile trzeba było przekory i odwagi, by schodzić po drabinie zamiast po schodach.

Dziennikarze chcą rozmawiać z Aleksandrem Kwaśniewskim nie tylko z powodu jego pozycji w życiu publicznym. Przecież liderów politycznych, a przynajmniej aspirujących do tej roli, mamy w Polsce sporo. Do Kwaśniewskiego przyciąga rozmówców jego język – żywy, obrazowy, odległy od nowomowy politycznej, umiejętność przedstawienia anegdoty i pointowania. Na spotkaniu z dziennikarzami niemieckimi, w grudniu 2004 roku, Kwaśniewski opowiadał o misji dobrej woli w czasie pomarańczowej rewolucji na Ukrainie. Uczestnikom spotkania podrzucił jakże prawdziwą pointę: „Tam, gdzie są dobre media, nie potrzeba mediatorów,

a w tej właśnie roli ostatnio występowałem na Ukrainie". Podczas tego samego spotkania Kwaśniewski dał też przykład prawdziwie dyplomatycznej odpowiedzi – powiedział, co chciał, dobitnie i nie obraził. Dziennikarz zapytał: „Schröder powiedział niedawno, że Putin jest przekonanym demokratą i buduje rosyjską państwowość. Co pan o tym sądzi?"; Kwaśniewski odparował: „Nie chcę się wypowiadać. Schröder częściej ostatnio rozmawia z Putinem niż ja".

Swoje wystąpienie na Kongresie International Press Institute, w maju 2004 roku, prezydent zaczynał w języku angielskim. Na sali w warszawskim Sheratonie siedziało kilkuset gości z zagranicy. W pewnym momencie przeszedł na język polski, argumentując to następująco: „Jednym z moich zadań jako prezydenta jest promocja języka polskiego. To samo robi Adam Michnik (był jednym z gospodarzy Kongresu i siedział wtedy w prezydium). On – co prawda – jest świetnym autorem i pisarzem, ale ja jestem lepszym mówcą…".

Byłem świadkiem rozmowy prezydenta z przedstawicielem zagranicznego koncernu prasowego, w którego piśmie wydawanym w Polsce, ukazał się stronniczy artykuł, zawierający stwierdzenie, iż „pocą się ręce prezydenta". Zresztą cały tekst nie był miły i nie był rzetelny. Spotkanie odbyło się na prośbę wydawcy, który musiał czuć dyskomfort po tej publikacji, nie z inicjatywy Kancelarii Prezydenta. Panowie rozmawiali o standardach, o tym, co jest obowiązkiem wolnych mediów wobec czytelników i państwa. Było poprawnie i konkretnie. W pewnym momencie zauważyłem, że zagraniczny gość wyjmuje z kieszeni chusteczkę i dyskretnie wyciera spocone dłonie.

Kwaśniewski był mistrzem prowadzenia kampanii politycznych, Anglosasi mają słowo opisujące tę umiejętność: *campaigner*. Miałem przyjemność przeżyć u boku Aleksandra Kwaśniewskiego dwie zwycięskie kampanie. W 2000 roku jako jego rzecznik w kampanii wyborczej na urząd Prezydenta RP i w 2003 roku jako sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta, odpowiadający za kampanię referendalną. Statystyki obu kampanii są imponujące. Rok 2000: 110 dni kampanii, 220 spotkań z wyborcami, wizyty w 200 miejscowościach, 40 konferencji prasowych, 80 wywiadów. To aktywność w tzw. czasie kandydata, na którą nakładało się przecież wypełnianie obowiązków Prezydenta RP. I wynik wyborów na urząd Prezydenta RP 8 października 2000 roku: oddano 17,598 miliona ważnych głosów, w tym 9,485 miliona głosowało na Aleksandra Kwaśniewskiego, co dało mu ponad 50 procent oddanych głosów i zwycięstwo w pierwszej turze.

Rok 2003: 38 dni kampanii, 22 wyjazdy krajowe na mityngi i konferencje, liczne wydarzenia z udziałem Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich w Warszawie, 18 konferencji prasowych, 60 wywiadów. W dwudniowym referendum (7 i 8 czerwca 2003) wzięło udział 58,85 procent uprawnionych do głosowania (17,578 miliona osób), z których zgodę na przystąpienie Polski do Unii Europejskiej wyraziło 77,45 procent głosujących (13,514 miliona osób). Przeprowadzone tuż po czerwcowym referendum badania OBOP wykazywały, że Polacy, idąc do urn, kierowali się: zachętą Jana Pawła II (53 procent głosujących TAK i 22 procent głosujących NIE), apelami prezydenta (odpowiednio 45 procent i 15 procent), rządową kampanią informacyjną (41 procent i 19 procent), wezwaniami partii politycznych (33 procent i 17 procent).

Oczywiście takie kampanie są wielkim przedsięwzięciem organizacyjnym i programowym, angażują tysiące wolontariuszy, niezwykle ważne jest w nich wsparcie zorganizowanych struktur partyjnych. Z mojej perspektywy chcę podkreślić niezawodność ludzi i struktur Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Jednak bez wkładu intelektualnego Aleksandra Kwaśniewskiego, jego siły, motywacji, samodyscypliny i zdolności koncentracji, sukcesów w latach 2000 i 2003 by nie było. Najsprawniej przygotowana kampania musi mieć swoją gwiazdę, która wystąpi publicznie i przekona ludzi.

Trochę refleksji z kampanii 2003 roku, która miała szczególny charakter. Działania przed referendum akcesyjnym prowadziły różne partie polityczne i organizacje pozarządowe (NGOsy), rząd i wreszcie prezydent. Chodziło o to, by wszyscy czuli się potrzebni i odpowiedzialni za to, co robią. W naszych przewidywaniach, tylko wielość kampanii, różne sposoby i drogi komunikacji z Polakami mogły zapewnić rzecz najważniejszą: ponad 50 procent frekwencji. Na szczęście wszystkie siły proeuropejskie dobrze wiedziały, że czym innym będzie przystąpienie Polski do UE na mocy decyzji narodu wyrażonej w referendum, zaś czym innym będzie przystąpienie na mocy uchwały Sejmu. Nastąpiła wielka mobilizacja. Hasło prezydenckiej kampanii brzmiało „Tak dla Polski", natomiast pod hasłem „Tak. Dla Polski" kampanię prowadziła Platforma Obywatelska. Podobieństwo jest dziełem przypadku, a raczej podobnego sposobu myślenia o sugestii, którą i prezydent i PO chcieli przekazać swoim zwolennikom. „Tak dla Polski" wymyślił Kwaśniewski na naszym spotkaniu 19 stycznia 2003 roku. To hasło i jego znak graficzny zostały zastrzeżone przez studio graficzne pracujące nad wizerunkiem całej kampanii. Nasze przygotowania trwały

więc spokojnie, kiedy PO ogłosiła, że do referendum idzie z mottem „Tak. Dla Polski". Nie było żadnych sporów i podejrzeń o kopiowanie.

Kampania prezydenta miała obywatelski, ponadpartyjny charakter. Podczas mityngu w Bochni, w województwie małopolskim, Kwaśniewskiemu towarzyszyli ludzie „Tygodnika Powszechnego": ksiądz redaktor Adam Boniecki i były minister spraw wewnętrznych redaktor Krzysztof Kozłowski, ówczesny szef MSW, Krzysztof Janik i Leszek Moczulski. W Słupsku prezydentowi towarzyszyli Mieczysław Rakowski i działacze solidarnościowej opozycji: Anna Bogucka-Skowrońska i Bogdan Lis. W Łowiczu, na spotkaniu z rolnikami, do sztabu dołączyli spece od polityki rolnej z różnych partii: Jarosław Kalinowski, Artur Balazs i Wojciech Olejniczak. W Głogowie razem z prezydentem stanęli Tadeusz Mazowiecki, Jerzy Szmajdziński i Władysław Frasyniuk. W Płocku towarzyszyli mu Róża Thun z Polskiej Fundacji Roberta Schumana i Józef Oleksy. W Krakowie: reprezentujący różne polskie rządy w negocjacjach akcesyjnych Jan Kułakowski i Jan Truszczyński. Na zaproszenie prezydenta, w wydarzeniach kampanii referendalnej uczestniczyli ówcześni liderzy Unii Europejskiej: przewodniczący Parlamentu Europejskiego Pat Cox, przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi i jego zastępca Günter Verheugen, szef niemieckiej dyplomacji Joschka Fischer. Wsparła też nas… orkiestra włoskiej brygady strzelców górskich. Włosi, którzy ćwiczyli na poligonie, uświetnili spotkanie z mieszkańcami Drawska Pomorskiego, gdzie odegrali *Mazurka Dąbrowskiego*.

Ostatnim akordem kampanii referendalnej była wizyta w Gnieźnie. Rzecz jasna, była w tym symbolika, odniesienie do zjazdu gnieźnieńskiego, kiedy Polska wkraczała do chrześcijańskiej Europy. Było też odniesienie do słów Jana Pawła II: „Od unii lubelskiej do Unii Europejskiej".

Ta proeuropejska kampania pokazała, że możliwe jest współdziałanie w sprawach publicznych ponad podziałami i z zachowaniem tożsamości partnerów. Prezydent pomagał w tym niezwykłym w polskich realiach zjednoczeniu.

Sylwetka Kwaśniewskiego jako przewodniczącego Socjaldemokracji RP czy Prezydenta RP znana jest milionom Polaków. Mam szczęście należeć do tych nielicznych, dla których był on po prostu szefem. Kwaśniewski pytany niegdyś o klucz do jego politycznego sukcesu, odpowiedział: „po prostu lubię ludzi". Mogę stwierdzić, że lubił też swoich współpracowników. Reprymendy czy słowa krytyki, które do nas kierował (jeśli były

konieczne), miały klasę – były celne, dowcipne i sarkastyczne. Mógł zawstydzić, odwołać się do ambicji, ale nie wyżywał się i nie mieszał człowieka z błotem. Zresztą i bez słów czuliśmy, kiedy był niezadowolony.

Zespół najbliższych współpracowników, który zbudował w Kancelarii, też świadczył o nim. O wszystkich kadrowych wyborach Kwaśniewskiego napisać trudno, ale o kilku osobach muszę wspomnieć. Wspaniałe i znaczące w polskiej polityce szefowe kancelarii: Danuta Waniek, Danuta Hübner i Jolanta Szymanek-Deresz. Dyskretny i skuteczny szef gabinetu Marek Ungier. Niespokojny i twórczy Marek Siwiec. Świetny prawnik i dusza człowiek Ryszard Kalisz. Mój pałacowy sąsiad, bo widzieliśmy siebie z okien gabinetów, Andrzej Majkowski – cień prezydenta w czasie wszystkich podróży zagranicznych. Szef doradców ekonomicznych Marek Belka, który pomagał w odbudowie Iraku, potem ratował rząd SLD, a dziś kieruje NBP. Barbara Labuda, z którą związane są i „aniołki Labudy", czyli oznakowana eskorta dla uczniów na przejściach drogowych, i akcja ratowania karpia. Edward Szymański, o którym śmiało można powiedzieć, że zastał Kancelarię drewnianą, a zostawił murowaną. Łączyła nas wszystkich z szefem, z Panem Prezydentem, relacja znacznie mocniejsza niż relacja służbowa.

Kiedy jesienią 2001 roku rozmawiałem z prezydentem o moim przyjściu do Kancelarii, planowanym zakresie obowiązków, oczekiwaniach wobec mnie, zażyczył sobie spotkania z Lucyną, moją żoną. Powiedział jej, że nieczęsto będę w domu, że czekają nas nie tylko splendory, ale i stresy. Tak rzeczywiście było, ale bilans jest zdecydowanie dodatni.

Aleksander Kwaśniewski jest człowiekiem trzech żywiołów: dziennikarstwa, polityki i sportu. O tym ostatnim nie wspomniałem także dlatego, że sport i kibicowanie specjalnie mnie nie porywają. O sporcie, bez stresu, że czegoś nie wiedzą lub nie pamiętają, rozmawiać z Kwaśniewskim mogli tylko Stefan Paszczyk i Andrzej Majkowski. Właściwie, gdyby Aleksander zechciałby wrócić do dziennikarstwa, to powinien zarządzać wielkim telewizyjnym kanałem sportowym. Wielkie emocje, wysoki poziom, duża oglądalność, wpływy z reklam – gwarantowane.

Wiemy, że nie chce wracać do aktywnej, bieżącej polityki. Rozumiem ten dystans, bo w polityce krajowej Kwaśniewski osiągnął już wszystko. Mimo to, życzę Ci, Aleksandrze, by wzdychali do Ciebie i namawiali do powrotu!

Andrzej Barcikowski

Prezydent czasu przełomu – próba odtworzenia doktryny Aleksandra Kwaśniewskiego

Aleksander Kwaśniewski bez wątpienia przejdzie do historii politycznej Polski i Europy. Z kilku zasadniczych powodów:

- był głową państwa w momencie szczególnie intensywnej transformacji ustroju wewnętrznego Polski;
- sprawował funkcje w okresie, gdy staliśmy się formalnie częścią okcydentalnej społeczności międzynarodowej poprzez wstąpienie do NATO i Unii Europejskiej;
- osiągnął prezydenturę w momencie, gdy jednocześnie budował polską socjaldemokrację jako jej niekwestionowany lider oraz inicjator nowego modelu partii lewicowej;
- jako pierwszy lider tak zwanej partii postkomunistycznej osiągnął silną osobistą pozycję międzynarodową, co zawdzięczał nie tyle pozycji Polski w Europie co osobistym przymiotom, które na pozycje Polski w dużym stopniu się wówczas składały;
- w trakcie sprawowania urzędu wzmocnił swoją pozycję i osiągnął wyższe poparcie obywatelskie niż na początku dwóch kolejnych kadencji;
- jest głównym autorem Konstytucji RP, która uogólniła zebrane doświadczenia kilku lat istnienia demokratycznego państwa oraz

wykazała się dużą trwałością – na jej kanwie państwo polskie ustabilizowało się w zakresie modelu rządzenia i zasad ochrony istotnych wartości publicznych;

- potrafił w sposób niezakłócony politycznie i skuteczny pełnić rolę głowy państwa niezależnie od tego czy koalicja sprawująca władzę wykonawczą w państwie, wywodziła się z jego środowiska politycznego czy też ze środowiska, wobec którego pozostawał w opozycji jako lider partyjny przed rokiem 1996;
- był kreatorem zdarzenia bezprecedensowego – „paradygmatu kijowskiego", gdy z pozycji mediacyjnych skłonił Ukraińców do powtórzenia wyborów prezydenckich w celu uniknięcia eskalacji konfliktu o trudnych do wyobrażenia, destrukcyjnych dla Ukrainy i jej sąsiadów skutkach.

W taki sposób można zarysować szczególny kontekst i główne skutki prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego.

Zapewne jednak – tak eksplanacyjnie, jak i deskrypcyjnie – ciekawsze jest określenie modelu tej prezydentury. Jej doktryny leżącej u podstaw tego modelu. Doktryny nigdy zresztą formalnie nie wyrażonej.

Stawiam tezę, że Aleksander Kwaśniewski stworzył model kulturowo-polityczny sprawowania urzędu prezydenckiego, który w Europie Środkowo-Wschodniej ma cechy wzoru oraz punktu odniesienia. Powodem, dla którego polska prezydentura w latach 1996–2005 stała się modelowa, jest w szczególności jej skuteczność, w tym zdolność z pozycji Prezydenta do łagodzenia sprzeczności i zapobiegania konfliktom, które były możliwe i potencjalnie bardzo niebezpieczne dla kraju.

Powstaje pytanie, jak kształtowała się taka właśnie prezydentura oraz jakie cechy należy wskazać jako konstytutywne dla jej obrazu?

Aleksander Kwaśniewski przejął urząd po Lechu Wałęsie, którego ambicją było stworzenie prezydentury wspieranej przez szeroki ruch partyjno-polityczny, nawiązujący do Bezpartyjnego Bloku Wspierania Rządu w II Rzeczpospolitej. Wałęsa wyobrażał sobie, że taki model okaże się właściwy w czasach niezbędnych zmian ustrojowych, często ewokujących konflikty i napięcia. Scena polityczna w młodej demokracji powinna zostać skonsolidowana i sama z siebie nie powinna wywoływać napięć i zbędnych sporów.

Lechowi Wałęsie nie należy odbierać racjonalności zawartej w takim zamyśle. Młody ustrój demokratyczny mógł zostać trwale uwikłany

w nieustanne spory, niestabilność rządów i niezdolność do zbudowania parlamentarnej większości. Partyjny ruch skupiony wokół Prezydenta i zdolny do samodzielnych rządów mógł stać się w tych okolicznościach amortyzacją, antidotum. Jednocześnie zawierał w sobie oczywiste ryzyko ukształtowania swoistej demokratycznie legitymizowanej autokracji, gdzie przy formalnie działających mechanizmach demokracji – więdnie wolność i rzeczywista zdolność do alternatywy w rządzeniu.

Zasadnicza słabość doktryny Lecha Wałęsy polegała jednak na nieumiejętności zjednania do niej opinii publicznej i wpływowych polityków, którzy mogliby wnieść kontrybucję do realizacji zamiarów ówczesnego Prezydenta i najbardziej prominentnej postaci sceny politycznej.

Doktryna Aleksandra Kwaśniewskiego opierała się na innych filarach. Polegała na założeniu, że podział partyjny jest oczywisty i nieunikniony. Rolą Prezydenta nie jest tworzenie, przewodzenie ani patronowanie jednej, obywatelskiej partii politycznej, lecz inspiracja oraz koordynacja na wielobarwnej scenie politycznej – w ramach i w formach właściwych dla roli głowy państwa.

Taki model sprawowania prezydentury uzyskał stosowne przesłanki i warunki w treści Konstytucji, uchwalonej, gdy Kwaśniewski był prezydentem i pod jego decydującym wpływem. Korelacja jest oczywista i nieprzypadkowa.

Należy pamiętać, że Kwaśniewski przewodził na początku lat 90. ubiegłego stulecia traumatycznie doświadczonemu, w istocie upokorzonemu ruchowi politycznemu. Utrata władzy i wpływów przez PZPR szła w parze z przeświadczeniem, że następczyni PZPR będzie raczej walczyć o przetrwanie, nie o władzę.

Ewokowało to na pewno minimum pokory i realizm, racjonalny umiar i wolę współpracy z innymi aktorami sceny politycznej. Chłodny optymizm i skłonność do kompromisu. Chroniło przed triumfalizmem i arogancją.

Aleksander Kwaśniewski – młody, niezwykle zdolny i skłonny do uczenia się lider – znakomicie oddawał w swojej postawie wszystkie te cechy. I to oddawał autentycznie, z przekonaniem, bez sztuczności właściwej dla odgrywania roli w szatach źle skrojonych i obcych estetyce, a także temperamentowi aktora.

Cechy te były widoczne publicznie, a w konsekwencji stopniowo zjednywały wielu Polaków, bowiem wyróżnikiem w naszej kulturze

politycznej jest niechęć do otwartych konfliktów. W działaniach Lecha Wałęsy, przy jego temperamencie otwarte konflikty i zderzenia były czymś naturalnym, dla Kwaśniewskiego – odwrotnie – unikał ich i przezwyciężał. Polacy to akceptowali i doceniali Kwaśniewskiego jako kandydata na Prezydenta, a potem w roli głowy państwa.

Kluczowy komponent doktryny Kwaśniewskiego to równowaga i ponadpartyjność – preferowane w roli prezydenta.

Nie wywoływanie, ale przeciwnie – łagodzenie konfliktów. Jego znane i często powtarzane wezwanie, adresowane do zwaśnionych adwersarzy na polskiej politycznej scenie – „ROZMAWIAJCIE" jest znakiem firmowym kultury politycznej i stylu Kwaśniewskiego.

Gdy idzie o treść programową prezydentury, dominował centryzm, poszukiwanie równowagi dla realizacji interesów różnych grup społecznych, bez jednoznacznej preferencji dla którejkolwiek.

Charakterystycznym rysem dla doktryny i praktyki prezydenta Kwaśniewskiego był silny akcent położony na bezpośredniej komunikacji ze społeczeństwem – bez rzeczników i komunikatów biur prasowych, bez celebry i pomnikowej wyniosłości. Była to komunikacja aktywna, codzienna, bardzo normalna. Prowadzona w języku klarownym i szeroko zrozumiałym. Ale jednocześnie dotykająca zawsze spraw istotnych.

Dodać można, że niejako niezamierzonym elementem doktryny, ale na pewno wpisującym się w aurę autentyczności, naturalności stylu Aleksandra Kwaśniewskiego było kilka tak zwanych „wpadek", które pokazywały, że jest to osoba niepozbawiona słabości, właściwych także większości rodaków. „Jest taki jak my", mogli zaobserwować Polacy, ale jednocześnie „ma cechy szczególne, które my podziwiamy i cenimy, dla nas niedostępne, ale jakże potrzebne Polsce".

Aleksander Kwaśniewski stworzył model prezydentury bardzo aktywnej na arenie międzynarodowej. Sprzyjały temu znajomość świata, łatwość nawiązywania kontaktów, płynne posługiwanie się kilkoma językami. Była to działalność międzynarodowa właściwa dla etapu po „zburzeniu muru berlińskiego". Kwaśniewski nie odcinał kuponów od kapitału kontaktów sprzed roku 1989. On budował kontakty na zupełnie nowej kanwie, już w separacji od miazmatów zimnej wojny, w innych celach.

Była to doktryna prezydenta dydaktyka, nie zaś przemądrzałego belfra, ale ciekawego prezentera problemów, przykuwającego uwagę. Miał i posiada dar znakomitego, zwięzłego i przystępnego przedstawiania istoty sprawy oraz instruowania – jak postąpić skutecznie i rozsądnie.

W tym miejscu pozwolę sobie przywołać własne doświadczenie z kontaktów z Aleksandrem Kwaśniewskim z okresu, gdy kierowałem UOP, a potem ABW w latach 2002–2005. Były to kontakty systematyczne. W pierwszym etapie wraz z Szefem Wywiadu, czasem też z udziałem Szefa WSI informowaliśmy prezydenta o zagrożeniach dla bezpieczeństwa państwa.

Oczywiście słuchał uważnie. Ale przede wszystkim dzielił się refleksjami na temat działania, uprawnień i roli służb w Polsce. Nie był pod tym względem w pełni zadowolony. Uważał i często dawał temu wyraz, że rola służb specjalnych nie jest wystarczająco jasno nakreślona i dlatego zbyt wiele zależy od tego, kto kieruje służbami, jakich ma bezpośrednich zwierzchników, ambicje, zamiary i kulturę działania. Odnosiłem wrażenie, że prezydent jest pod tym względem strukturalnym pesymistą – nie sądził chyba, że uda się kiedykolwiek i w jakimkolwiek miejscu na świecie zbudować służby całkiem bezpieczne dla stabilności demokracji.

Warto na końcu dodać aspekt wcale nie najmniej ważny dla doktryny prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego. Mam na myśli znakomite uzupełnianie się roli Prezydenta i Pierwszej Damy.

O skuteczności tej komplementarnej konfiguracji kulturowo-politycznej świadczyła poważna szansa Jolanty Kwaśniewskiej, aby wygrać wybory prezydenckie w 2005 roku.

Rola Pierwszej Damy została ukształtowana racjonalnie, chociaż niekoniecznie była zaplanowana. Jednak stała się faktyczną cechą całości doktryny. Jolanta Kwaśniewska wskazywała swoją postawą na preferowaną kulturowo rolę małżonki, wspierającej cele prezydenta, ale samodzielnej, aktywnej publicznie, ale nie politycznie.

Właściwa dla doktryny prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego była predyspozycja osobista. Wielka łatwość komunikowania się, kultura bezpośrednich relacji, a przy tym naturalne dążenie do kompromisu i równowagi. Z tych powodów treść i osobista realizacja doktryny są w tym przypadku całością integralną, niełatwą, jeśli w ogóle możliwą do powtórzenia.

Marcin Augustyn, Wiesław Pruszyński,
Edward S. Szymański

Nieruchomości Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Przeobrażenia i zmiany w latach 1995–2005

Okres prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego to czas wyjątkowej aktywności na scenie politycznej i gospodarczej Polski i poza jej granicami. Prezydent przykładał także wielką wagę do dbałości o zasób dóbr powierzonych mu na czas sprawowania urzędu.

Mnogość i dynamika wizyt państwowych związanych między innymi z wejściem Polski do struktur Unii Europejskiej i NATO, spotkań krajowych i międzynarodowych, których gospodarzem był Prezydent RP, sprawiły, że niemożliwe było wypełnianie obowiązków głowy państwa tylko w jednym miejscu. Niezbędne stało się odpowiednie zaplecze i przystosowane do współczesnych wymogów obiekty biurowe i reprezentacyjne.

Każdy kraj ma swoje symbole, które wyróżniają go pośród innych. Obok podstawowych, takich jak flaga, godło i hymn, rolę taką odgrywają również siedziby najwyższych władz. Wizerunki obiektów wielokrotnie pokazują media na przykład przy okazji oficjalnych wizyt. Miejsca te chętnie odwiedzają także turyści. Obiekty pozostające w dyspozycji

Kancelarii Prezydenta RP pełnią funkcję gmachów reprezentacyjnych Rzeczypospolitej. Wymagają starannego utrzymania – niezbędne są ich bieżące remonty, konserwacja i modernizacja zgodnie ze współczesnymi wymogami teletechnicznymi, informatycznymi, ochronnymi, ekologicznymi.

Większość gmachów reprezentacyjnych wykorzystywanych przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej ma charakter zabytkowy. Do tych obiektów należą:

- Pałac Prezydencki,
- Belweder,
- Zamek Prezydenta RP – Narodowy Zespół Zabytkowy w Wiśle,
- Dworek Prezydenta RP – ośrodek informacyjno-edukacyjny w Ciechocinku,
- siedziba Kancelarii Prezydenta RP w Warszawie przy ul. Wiejskiej.

Pierwszy szef Kancelarii Prezydenta, generał Michał Janiszewski, z zasobów nieruchomości, którymi dla wszystkich organów państwa do 1989 roku zarządzał Urząd Rady Ministrów, przeniósł we władanie nowo tworzonej Kancelarii Prezydenta więcej obiektów, niż okazało się to po latach potrzebne. I dlatego, w latach 1996–1999, Kancelaria zrezygnowała między innymi z domów wczasowych w Krynicy Górskiej i Zakopanem, Pałacu w Otwocku, biur w Warszawie przy ul. Olszewskiej, ul. Królewskiej i Alejach Ujazdowskich. Doszło do wymiany obiektów z Kancelarią Sejmu: Kancelaria Prezydenta RP oddała warsztaty samochodowe, garaże, magazyny, pomieszczenia biurowe, które mieściły się w zasobach sejmowych. Kancelaria Prezydenta RP przejęła natomiast w fazie początkowej budowę bazy technicznej przy ul. Augustówka.

Lata 1995–2005 to czas wyjątkowy dla obiektów reprezentacyjnych pozostających w gestii Prezydenta RP. Dzięki staraniom Aleksandra Kwaśniewskiego i pracowników jego Kancelarii udało się odnowić i odrestaurować zabytkowe obiekty oraz zmodernizować i przystosować do współczesnych wymogów. Prace prowadzone były pod nadzorem i w uzgodnieniu z konserwatorami zabytków oraz licznymi konsultantami z zakresu architektury i historii sztuki. Wykonanie na etapach projektowania i realizacji powierzono wyłonionym w drodze przetargów najlepszym polskim firmom.

W momencie objęcia urzędu Prezydenta RP przez Aleksandra Kwaśniewskiego Pałac Prezydencki i Belweder znajdowały się w stanie

budzącym niepokój nadzoru budowlanego i konserwatorów zabytków. Wyposażenie tych gmachów było ubogie i wyeksploatowane. Przyspieszono więc trwające już prace remontowe, rewaloryzacyjne i konserwatorskie. Podobnie było w przypadku innych zabytkowych obiektów, tj. zamku w Wiśle i dworku w Ciechocinku. Wszystkie te obiekty, jak również siedziba Kancelarii przy ulicy Wiejskiej, zostały gruntownie wyremontowane i odrestaurowane. W ten sposób Aleksander Kwaśniewski znacząco przyczynił się do rewitalizacji narodowych zabytków.

W przypadku wspomnianych już obiektów w Wiśle i Ciechocinku należy wskazać dążenie Aleksandra Kwaśniewskiego do poszanowania i reaktywowania tradycji. Oba te budynki zostały wzniesione w dwudziestoleciu międzywojennym i na mocy lokalnych inicjatyw przekazane Prezydentowi II RP Ignacemu Mościckiemu i jego następcom. Ich losy w latach drugiej wojny światowej i w okresie powojennym były skomplikowane, niemniej jednak na początku XXI wieku władze lokalne tych miast postanowiły powrócić do przedwojennej tradycji i na powrót przekazać je głowie Państwa Polskiego. Aleksander Kwaśniewski potraktował te gesty jako zaszczyt, ale przede wszystkim wielką odpowiedzialność. Zgodnie z danym słowem konsekwentnie dążył do przywrócenia im należnego stanu i funkcji. Śmiało można powiedzieć, że nie zawiódł oczekiwań władz i mieszkańców Wisły i Ciechocinka, czego najlepszym dowodem było nadanie prezydentowi tytułu Honorowego Obywatela tych miast w 2005 roku.

Odnowione obiekty służą nie tylko następcom prezydenta Kwaśniewskiego, urzędnikom Kancelarii, ale i lokalnym społecznościom i turystom odwiedzającym okolice Ciechocinka, Wisły, Warszawy. Podnoszą atrakcyjność tych regionów.

Obok gmachów zabytkowych, są inne obiekty, które wykorzystuje się w celach reprezentacyjnych lub stanowią zaplecze techniczne Kancelarii. Do pierwszych przede wszystkim należy zaliczyć rezydencję na Półwyspie Helskim. W okresie międzywojennym miejsce to było chętnie odwiedzane przez elity polityczne II Rzeczypospolitej, na czele z prezydentem Ignacym Mościckim. W okresie prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego na Półwyspie powstało nowoczesne centrum reprezentacyjno-konferencyjne.

Do drugiej grupy należy ośrodek konferencyjno-rekreacyjny w Lucieniu i baza transportowo-magazynowa Kancelarii wraz z Archiwum Prezydenta RP. Obiekty te również zostały poddane gruntownej moder-

nizacji. Trzeba wspomnieć o budowie nowej siedziby Rady i Biura Bezpieczeństwa Narodowego i rozbudowie hotelu przy ulicy Klonowej. Obydwa kompleksy zaprojektowano pod efektywne potrzeby urzędu, wynikające z konstytucyjnych i ustawowych uprawnień Prezydenta RP.

Zdecydowanie poprawiły się warunki do wykonywania zadań służb technicznych, recepcyjnych i ochronnych. Pomieszczenia biurowe wyposażono w ergonomiczne meble, stanowiska pracy podłączono do nowoczesnych central telefonicznych i sieci informatycznych. Cyfrowe centrale, serwerownie i sieci informatyczne zabezpieczono przed ingerencją niepowołanych osób lub zdarzeń. W czasie kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego i jego poprzednika nie było przypadków włamania do zasobów infrastruktury teleinformatycznej.

Ochronie obiektów przekazano odpowiednio przystosowane pomieszczenia i wyposażenie teletechniczne. Stołówki, poradnia lekarska i apteka służyły nie tylko pracownikom Kancelarii Prezydenta RP, prowadzone odpłatnie usługi restauracyjne i medyczne dla pracowników innych instytucji i klientów apteki pozwalały na obniżenie wydatków budżetowych.

W latach 1995–2005 wyremontowano i zmodernizowano wszystkie obiekty znajdujące się w administracji i zarządzie Kancelarii Prezydenta RP. Zadania logistyczne i inwestycyjne zostały rzetelnie zaplanowane i zrealizowane przez pion administracyjno-finansowy Kancelarii.

Pałac Prezydencki

Pałac przy Krakowskim Przedmieściu został wzniesiony w latach 40. XVII wieku przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego, według projektu Konstantyna Tencalli. Do początku XIX wieku pełnił funkcję warszawskiej rezydencji wielkich rodów magnackich – Koniecpolskich, Lubomirskich i Radziwiłłów. W 1818 roku gmach zakupił rząd Królestwa Polskiego z przeznaczeniem na siedzibę dla carskich namiestników. Od tego momentu nieprzerwanie do dzisiaj pełni funkcje publiczne.

W okresie II Rzeczypospolitej i po wojnie był siedzibą premiera i Rady Ministrów. W 1994 roku, decyzją Prezydenta RP Lecha Wałęsy pałac stał się siedzibą Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i od tej chwili nosi nazwę Pałac Prezydencki. W swojej ponadtrzystupięćdziesięcioletniej

historii gmach był wielokrotnie przebudowywany i remontowany. Obecny klasycystyczny styl i kształt jest efektem przebudowy przeprowadzonej w latach 1818–1820 przez Chrystiana Piotra Aignera.

Na początku lat 90. XX wieku w Pałacu Prezydenckim przeprowadzono prace remontowe i modernizacyjne. Rozpoczęto wymianę systemów ogrzewania i kanalizacji oraz instalacji elektrycznej i telekomunikacyjnej. Z inicjatywy Prezydenta RP Lecha Wałęsy w 1994 roku na parterze korpusu głównego została wykonana kaplica według projektu prof. Jerzego Kaliny. Na drugim piętrze powstały apartamenty mieszkalne, w których przez dwie kadencje mieszkał Aleksander Kwaśniewski. Przebudowano również dziedziniec honorowy przed pałacem – usunięto betonowy basen z fontanną oraz wyłożono dziedziniec kostką bazaltową.

Pałac Prezydencki to jednak nie tylko zabytkowy obiekt reprezentacyjny, ale przede wszystkim siedziba Prezydenta RP oraz miejsce pracy najbliższych współpracowników głowy państwa. W okresie prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego przeprowadzono liczne remonty w pomieszczeniach biurowych Kancelarii (m.in. remont korytarzy i pomieszczeń biurowych w skrzydle południowym, korytarza na parterze w skrzydle północnym oraz generalny remont pionu socjalnego pałacu). Pałac wyposażony został w nowoczesne instalacje telekomunikacyjne i informatyczne. W gabinecie prezydenta zainstalowano nowe systemy łączności rządowej, wojskowej i cywilnej. Główne pomieszczenia i wnętrza reprezentacyjne pałacu wyposażone zostały w instalację klimatyzacyjną, co nie tylko pozytywnie wpłynęło na komfort pracy, ale przede wszystkim pozwala na lepszą konserwację i dbałość o zabytkowy charakter obiektu.

Poza wspomnianymi pracami remontowymi, konserwatorskimi i modernizacyjnymi sukcesywnie prowadzono również działania zmierzające do wyposażenia pałacowych wnętrz. W momencie przejmowania obiektu przez Kancelarię Prezydenta RP od ówczesnego Urzędu Rady Ministrów liczba pozostawionych mebli była znikoma, ponadto wiele elementów wyposażenia nie pasowało do charakteru wnętrz. W ramach aranżacji i wyposażania pałacu, Zakłady Mebli Artystycznych z Henrykowa wykonały między innymi komplet do Gabinetu Prezydenta, a pracownia Stanisława Więzika – komplet złoconych mebli w stylu rokokowym do Sali Białej. Wiele wnętrz udało się wyposażyć w meble i dzieła sztuki dzięki współpracy z Muzeum Narodowym w Warszawie. Sień główną ozdobił orzeł wykonany w brązie według projektu Zofii Wolskiej.

Po 1995 roku przeprowadzono kolejne etapy prac remontowych, modernizacyjnych i konserwatorskich mających na celu uwypuklenie walorów historycznych pałacu, przystosowanie go do potrzeb funkcjonalnych, a w szczególności zabezpieczenie przed postępującą degradacją pod względem technicznym. W latach 1999–2002 dokonano przy zachowaniu pełnej dbałości o zabytkowy charakter obiektu wymiany całej wyeksploatowanej stolarki okiennej. Poprawiło to parametry termiczne, akustyczne i bezpieczeństwa. Kolejnym etapem była wymiana pokrycia dachu – zniszczoną blachę cynkową wymieniono na miedzianą nad skrzydłami północnym i południowym. Dzięki przeprowadzonym pracom poprawił się stan techniczny pałacu (dach już nie przeciekał), a budynek zyskał walor estetyczny. W 2005 roku przystąpiono do renowacji elewacji korpusu głównego i skrzydeł bocznych pałacu.

Przeprowadzono również istotne modernizacje we wnętrzu budynku. Dbając o zachowanie zabytkowego charakteru obiektu, podniesiono funkcjonalność pomieszczeń. Dzięki podzieleniu Sali Obrazowej, zgodnie z historycznym układem przestrzennym, w drugiej połowie 1999 roku powstała prezydencka biblioteka. Wystrój biblioteki zaprojektowała i wykonała pracownia Stanisława Więzika. Szafy biblioteczne mogą pomieścić około sześciu tysięcy tomów. Pod sufitem biblioteki zostało rozpięte i zamocowane na specjalnych krosnach odrestaurowane przez Pracownię Konserwacji Zabytków „Zamek" malowidło plafonowe Ludomira Śleńdzińskiego *Alegoria Polonii*. W okresie II Rzeczypospolitej obraz ten znajdował się w pałacu w prywatnym gabinecie premiera.

Po zakończeniu prac przy aranżacji biblioteki, w 2000 roku przeprowadzono generalny remont i konserwację Sali Obrazowej. W tym samym roku zadaszono część pałacowego tarasu w skrzydle południowym i w ten sposób powstał tzw. Salon Zimowy, pomieszczenie o funkcji recepcyjno-konferencyjnej. Nowy element architektoniczny, zwieńczony szklaną kopułą, doskonale wpisał się w klasycystyczną elewację ogrodową. Wnętrze ozdobiły posadzka z zielonego marmuru, schody z balustradą, zdrój wodny na ścianie oraz cztery witraże autorstwa Sławomira Oleszczuka przedstawiające pory roku.

Na uwagę zasługuje także aranżacja tzw. Gabinetu Wojskowego w dawnej sali konferencyjnej na pierwszym piętrze w skrzydle południowym. Został otwarty 15 sierpnia 2001 roku. Wyposażenie i umeblowanie gabinetu wykonali żołnierze Wojska Polskiego z Wojskowego Studia

Plastycznego „Intarsja" z Łodzi pod kierownictwem Jana Kostwińskiego, ps. „Fidel". Był to dar dla Zwierzchnika Sił Zbrojnych – Prezydenta RP.

Latem 2002 roku przystąpiono do remontu i rewaloryzacji Sali Kolumnowej – największej w Pałacu Prezydenckim. Firma BobickiArte z Krakowa wykonała renowację neoklasycystycznego żyrandola. Został on zdemontowany i konserwacji poddano ponad sześć tysięcy detali.

W związku z 15. rocznicą obrad Okrągłego Stołu, w 2004 roku podjęto decyzję o zaaranżowaniu w Pałacu Prezydenckim stałej i ogólnodostępnej ekspozycji tego historycznego mebla. Został ustawiony w adaptowanej i zmodernizowanej sali wielofunkcyjnej w skrzydle północnym, w sąsiedztwie biura przepustek. Ze zrozumiałych względów stół nie mógł być wystawiony w Sali Kolumnowej, gdzie odbywały się przełomowe obrady. Ekspozycja wzbogacona została o oryginalne multifony z 1989 roku, pozyskane z Kancelarii Sejmu RP. Na przeszklonej ścianie, zgodnie z projektem Andrzeja Gosika, przedstawione są informacje na temat obrad i lista osób biorących w nich udział.

Zadbano również o uporządkowanie otoczenia Pałacu Prezydenckiego. W 2002 roku przeprowadzono renowację i konserwację ogrodzenia i rzeźb kamiennych lwów od strony Krakowskiego Przedmieścia. W 2004 roku wykonano remont i konserwację pomnika księcia Józefa Poniatowskiego. Na szczególne uznanie zasługują prace przeprowadzone w ogrodzie przy pałacu, na skarpie wiślanej. W latach 2002–2003 poddano renowacji pałacowe tarasy – parteru i pierwszego piętra, dwa lata później przeprowadzono rewaloryzację samych ogrodów i budynków tzw. małej architektury, z oranżerią, której po latach zaniedbań przywrócono świetność i historyczną funkcję.

Trudno wymienić wszystkie prace przeprowadzone w pałacu w latach 1996–2005. Można jednak śmiało powiedzieć, że prezydent Aleksander Kwaśniewski opuszczał całkowicie inny obiekt aniżeli ten, który zastał w chwili objęcia urzędu Prezydenta RP. Zmiany te doceniają również warszawiacy. Pałac bezsprzecznie stanowi najbardziej okazały budynek położony przy reprezentacyjnym Krakowskim Przedmieściu. Urody dodaje imponująca iluminacja obiektu od frontu i od strony ogrodu (zainstalowana w latach 2001 i 2003) według projektu prof. Wojciecha Żagana.

Do obiektów Pałacu Prezydenckiego należy również willa Promnik w Rudzie Tarnowskiej w gminie Łaskarzew. W okresie prezydentury

Aleksandra Kwaśniewskiego również ona została odnowiona i przystosowana do funkcji pozawarszawskiego miejsca pracy Prezydenta RP.

Belweder

W 1659 roku kanclerz wielki litewski Krzysztof Pac wzniósł willę, którą nazwał Belwederem – od włoskich słów *bel vedere* – piękny widok.

Pałac Belwederski obecną postać zyskał dzięki przebudowie w latach 1819–1822 nadzorowanej przez Jakuba Kubickiego. Pałac wielokrotnie odegrał w historii Polski i Polaków kluczową rolę. W latach 1918–1922 był siedzibą Naczelnika Państwa, Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, w latach 1922–1926 prezydentów II Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza i Stanisława Wojciechowskiego, a po 1945 roku – początkowo prezydenta Bolesława Bieruta, a następnie kolejnych przewodniczących Rady Państwa. Funkcję prezydenckiej siedziby przywrócono mu w latach 1989–1994, gdy jego lokatorami byli kolejno Wojciech Jaruzelski i Lech Wałęsa.

Belweder nie doznał w czasie drugiej wojny światowej większych zniszczeń. W latach 1945–1998 remontowany był tylko doraźnie. Przez dziesięciolecia pałac intensywnie eksploatowano. Ze względu na bardzo zły stan techniczny obiektu, jego wyeksploatowanie i zagrożenie dla substancji zabytkowej, konieczne było podjęcie kompleksowych prac konserwatorskich i modernizacyjnych. Rozpoczęto je z inicjatywy Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego w 1998 roku i w trzech etapach realizowano do 2001 roku.

Przeprowadzony w latach 1998–2001 remont Belwederu to wydarzenie bez precedensu. Zakresu i efektu prac nie da się porównać z jakimkolwiek innym obiektem zabytkowym. Udało się nie tylko wiernie odtworzyć i zachować historyczne i artystyczne wartości pałacu, ale również gruntownie go zmodernizować i przystosować do funkcji gmachu reprezentacyjnego Rzeczypospolitej. Wykonane prace, użyte materiały i zastosowane technologie na długie lata gwarantują trwałość. Generalny projekt całości robót przygotował zespół z Pracowni Konserwacji Zabytków „Zamek" w Warszawie pod kierunkiem mgr inż. arch. Ireny Oborskiej. Generalnym wykonawcą była firma Warbud SA z Warszawy, prace wykonywała pod stałym nadzorem konserwatorów zabytków.

W pierwszej kolejności przystąpiono do prac inżynieryjnych mających na celu osuszenie, uszczelnienie fundamentów i ścian oraz

zabezpieczenie ich przed wilgocią, a następnie do renowacji elewacji. Gruntownie odnowiono wszystkie kamienne elementy elewacji, kolumny jońskie, schody, klasycystyczne portale, balkony i balustrady. Najbardziej zniszczone elementy wiernie zrekonstruowano. Na zakończenie tego etapu gruntownie odnowiono kryty blachą miedzianą dach obiektu.

Kolejny etap prac realizowany w latach 1999–2000 obejmował wnętrza obiektu. Wymieniono całą stolarkę okienną, skuto tynki oraz odsłonięto i wzmocniono stropy. Przebudowane zostały wszystkie instalacje i zamontowane nowoczesne systemy elektryczne, wodno-kanalizacyjne, klimatyzacyjne, teletechniczne, przeciwpożarowe i ochronne. Budynek wyposażony został również w nowoczesne centrale: awaryjną kotłownię, agregat prądotwórczy i stację uzdatniania wody. Zamontowano dźwig osobowy. Modernizacji poddano zaplecze gospodarcze obiektu, z częścią recepcyjną i kuchnią.

Wymiana okien, wykonanie drenażu i izolacji pozwoliły na przystąpienie do prac murarsko-tynkarskich, a w następnej kolejności – konserwatorskich. Prace obejmowały rewaloryzację wnętrz, z odtworzeniem sztukaterii i malarstwa ściennego i renowację historycznych elementów wyposażenia oraz aranżacji historycznych sal i korytarzy.

Pracom renowacyjnym, powierzonym najlepszym w kraju pracowniom konserwacji zabytków, poddano wszystkie elementy wystroju wnętrz. Najszerszy zakres prac konserwatorskich obejmował sale Pompejańską i Lustrzaną bogato zdobione malowidłami natynkowymi. W sumie w całym Belwederze odtworzono sztukaterie i malarstwo natynkowe na powierzchni około 350 metrów kwadratowych ścian i sufitów. Szczególnym zadaniem była renowacja cyzelowanych faset przy styku ścian z sufitem o łącznej długości 1,5 kilometra. Osobnym zagadnieniem była renowacja i wymiana całej stolarki drzwiowej, na którą składały się 42 pary drzwi dużych i 90 par mniejszych. W pomieszczeniach reprezentacyjnych wykonano wierne kopie drzwi dwuskrzydłowych, płycinowych, o bogatym profilowaniu, nierzadko złoconym.

Po położeniu nowych tynków i zakończeniu prac przy odnowie i wzmacnianiu stropów przystąpiono do układania posadzek i podłóg. W pomieszczeniach reprezentacyjnych pałacu i apartamentach odtworzono według historycznych wzorów drewniane posadzki taflowe o skomplikowanym, dekoracyjnym wzorze, montowane z kilku gatunków szlachetnego drewna, w różnych odcieniach kolorystycznych. W kaplicy, holu

głównym, w Sali Marmurowej i w łazienkach apartamentów na pierwszym piętrze zastosowano kamienne posadzki marmurowe. W pomieszczeniach pomocniczych ułożono klepkę drewnianą, zaś w pomieszczeniach gospodarczych – płytki terakoty i płytki ceramiczne.

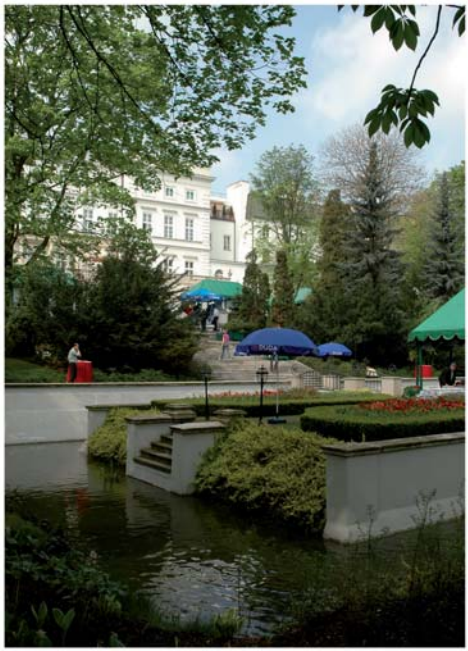
Pracom konserwatorskim poddane zostało całe zabytkowe wyposażenie Belwederu: meble, żyrandole, lampy, kinkiety, dywany, gobeliny, obrazy. Na pierwszym piętrze przygotowano apartamenty dla oficjalnych gości Rzeczypospolitej. Nadzór nad aranżacją wnętrz, doradztwo artystyczne i ogólną pieczę powierzono prof. Markowi Kwiatkowskiemu, dyrektorowi Łazienek Królewskich. Profesor Kwiatkowski dbał o kompletowanie i utrzymanie klasycystycznego charakteru wnętrz obiektów reprezentacyjnych Kancelarii Prezydenta RP.

W trzecim i ostatnim etapie prac zadbano o otoczenie pałacu. W pierwszej kolejności wymienione zostały instalacje zewnętrzne wodne i elektryczne, w tym oświetlenie ogrodu. Pałac zyskał nową iluminację. Na dziedzińcu głównym od strony ulicy Belwederskiej i na tarasie wschodnim od strony Łazienek poddano konserwacji zabytkową nawierzchnię z płyt kamiennych, ogrodzenie i bramę wjazdową. Dziedziniec honorowy wyłożono płytami z granitu, zaś obrzeża – kostką.

W pałacowym ogrodzie odkopano rzeźby ogrodowe; zostały one odrestaurowane i ustawione na odpowiednich miejscach. Wzmocniono i ustabilizowano skarpę, na której posadowiony jest Belweder. Przeprowadzono prace kamieniarskie – renowację fontann, schodków i balustrad. Wykonano prace porządkowe w ogrodzie i dokonano nowych nasadzeń. Zmodernizowano zaplecze gospodarcze, łącznie z budową nowego pawilonu do obsługi osób zwiedzających Belweder. Odtworzono kort tenisowy, zbudowano krytą stację uzdatniania wody wraz z sanitariatami. Udrożniono komunikację pomiędzy zapleczem kuchennym a tarasem wschodnim pałacu.

14 sierpnia 2001 roku odbyło się przekazanie przez wykonawców Prezydentowi RP Aleksandrowi Kwaśniewskiemu i Jolancie Kwaśniewskiej kluczy do odnowionego Belwederu.

Przeobrażenia i zmiany w gmachach Kancelarii Prezydenta RP
w latach 1995–2005 – fotokompendium







Pałac Prezydencki w czasie kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego dostosowano do stylu i funkcji obiektu. Powstały m.in.: prezydencka biblioteka, sala Okrągłego Stołu, salon zimowy, zainstalowano, oświetlenie elewacji, a ogród i oranżerię poddano rewitalizacji.














Pałac Belwederski i otoczenie zostały poddane kompleksowemu remontowi (1998–2001).
Największy zakres prac konserwatorskich objął sale Pompejańską i Lustrzaną.
W grotach zorganizowano ekspozycję poświęconą Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu.
Pałac udostępniono do zwiedzania.












Zamek Prezydenta RP – Narodowy Zespół Zabytkowy w Wiśle – dawna rezydencja prezydenta Ignacego Mościckiego zaprojektowana przez arch. Adolfa Szyszko-Bohusza – otwarto w marcu 2005 roku po dwuletnim wszechstronnym remoncie.







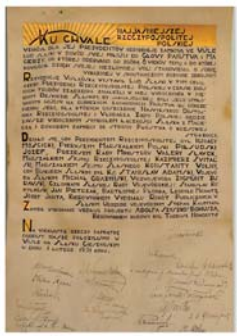


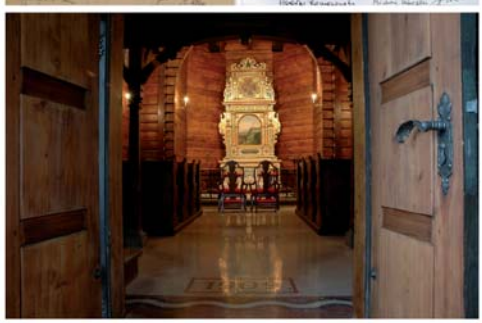







Zamek Prezydenta RP w Wiśle został pieczołowicie odrestaurowany: przystosowano go do spotkań, konferencji i wypoczynku oraz uroczystości ślubnych. Z wybudowanego lądowiska może korzystać GOPR. Obiekt udostępniono do zwiedzania.
Zmiany odnotowano w akcie odnowy rezydencji, dołączonym do aktu erekcyjnego.









Rezydencja Jurata-Hel – centrum reprezentacyjno-konferencyjne – była modernizowana w latach 1998–2003. Centrum wyposażone zostało w nowoczesne łącza i urządzenia do obsługi międzynarodowych konferencji, narad, spotkań. Wieża „Panorama" powstała według koncepcji Aleksandra Kwaśniewskiego i projektu arch. Marcina Oborskiego.















Dworek Prezydenta RP w Ciechocinku (powyżej) odrestaurowano w 2003 roku. Służy mieszkańcom miasta jako obiekt edukacyjno-informacyjny. Popularny ośrodek konferencyjno-rekreacyjny w Lucieniu (poniżej) odnowiono i zmodernizowano. Prace zakończono w 2003 roku.












Siedziba BBN (powyżej) wybudowana w latach 2003–2005 spełnia certyfikaty NATO.
Poniżej hotel „Belweder" przy ul. Klonowej, zmodernizowany na przełomie 2004 i 2005 roku.













Kompleks gmachów siedziby Kancelarii Prezydenta RP przy ul. Wiejskiej 10 modernizowano sukcesywnie w latach 1998–2003.









Zamek Prezydenta RP – Narodowy Zespół Zabytkowy w Wiśle

Zamek wzniesiony został w latach 1929–1930 według projektu profesora Adolfa Szyszko-Bohusza w miejscu spalonego zameczku myśliwskiego Habsburgów z 1907 roku. Był darem Ziemi Śląskiej dla Prezydenta II Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego i jego następców. Równolegle z Zamkiem została wzniesiona utrzymana w podobnym stylu wartownia z garażami – Zamek Dolny. W skład zespołu rezydencjonalnego weszły również drewniana kaplica z 1909 roku oraz dwie drewniane oficyny gospodarcze z początków XX wieku.

Zamek w Wiśle jest przykładem polskiej awangardy architektonicznej i artystycznej okresu dwudziestolecia międzywojennego. Przy aranżacji rezydencji, Adolfa Szyszko-Bohusza wspomagali Andrzej Pronaszko i Włodzimierz Padlewski. Od 1952 roku Zamek pozostawał w gestii Urzędu Rady Ministrów. W 1981 roku przekazany został górnikom z Kopalni Węgla Kamiennego im. XXX-lecia PRL. Przez wiele lat służył jako dom wczasowy.

Starania o uratowanie unikatowego obiektu i przywrócenie historycznej funkcji prezydenckiej rezydencji zostały podjęte już w pierwszej połowie lat 90. Dopiero w 2002 roku, decyzją ministra spraw wewnętrznych i administracji Krzysztofa Janika ustanowiono trwały zarząd Kancelarii Prezydenta RP nad Zamkiem. W latach 2003–2005 przeprowadzony został gruntowny remont, konserwacja i modernizacja całego założenia w celu odtworzenia unikalnych walorów architektonicznych i artystycznych rezydencji oraz przystosowanie jej do wymogów i współczesnych standardów reprezentacyjnych obiektów państwowych.

Na szczególną uwagę zasługuje zakres prac konserwatorskich we wnętrzu i na zewnątrz obiektu. Podczas remontu i modernizacji Zamku Prezydenta RP w Wiśle, intencją prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego było jak najwierniejsze odtworzenie tradycyjnego wystroju, wyposażenia i aranżacji obiektu.

Zamek Górny

Od marca 2003 do listopada 2004 roku prowadzono prace inżynieryjno-budowlane, modernizacyjne i konserwatorskie. Stan obiektu był bardzo zły – zawilgocone fundamenty wymagały podbicia, drenażu opaskowego i założenia izolacji. Przebudowano taras od strony wschodniej,

umieszczono pod nim niewielki kryty basen kąpielowy, który zastąpił zlikwidowany odkryty basen przy zamku Dolnym. Z nowego tarasu poprowadzono dodatkowe kamienne schody do parku.

W bryle budynku dokonano przebudowy ścian działowych, zgodnie z projektem funkcjonalnym. Skuto i wymieniono tynki, wzmocniono stropy. Zamontowano sufity podwieszane, pod którymi ukryto m.in. urządzenia wentylacji i klimatyzacji. Wymieniono posadzki i podłogi. Pierwsze piętro, przeznaczone dla Prezydenta RP i jego gości, zostało zaaranżowane w sposób współczesny, jednak nawiązujący do stylu panującego w latach 30. XX wieku. Zabezpieczono i zaimpregnowano istniejącą i zachowaną w bardzo dobrym stanie więźbę dachową. Odnowiono i spatynowano miedziany dach. Prace objęły również wymianę rynien i śniegołapów. Wszystkie instalacje wymieniono na nowoczesne i ekologiczne.

Za pomocą systemu niskociśnieniowego, strumieniowo-ściernego, przeprowadzono gruntowne czyszczenie całej kamiennej elewacji. W oparciu o zgromadzone materiały archiwalne, dokonane odkrywki i badania stratygraficzne, odtworzona została historyczna malatura autorstwa Andrzeja Pronaszki. Prace przeprowadzone zostały we wszystkich pomieszczeniach, które tego wymagały, a w szczególności: w holu głównym, na przeszklonej werandzie, w dwóch pokojach kominkowych (dawnej palarni i adiutanturze), jadalni, salonie, gabinecie-bibliotece oraz na głównej klatce schodowej.

Restauracji poddano całe zachowane tradycyjne wyposażenie zamku – meble wykonane z giętych rur według projektu Adolfa Szyszko-Bohusza, Andrzeja Pronaszki i Włodzimierza Padlewskiego oraz elementy oświetlenia – żyrandole, lampy i kinkiety.

Odtworzono unikalny zabytkowy salon kąpielowy na drugim piętrze. Ponadto: odnowiono kamienne kominki z elementami żeliwnymi w dwóch pomieszczeniach na parterze, odrestaurowano i wykorzystano całą zachowaną historyczną stolarkę okienną, poddano gruntownej konserwacji stolarkę drzwiową z jej detalami: zawiasami i klamkami, odrestaurowano zabytkowe charakterystyczne żeliwne grzejniki, konserwacji poddana została cała klatka schodowa ze wszystkimi elementami drewnianymi: schodami i poręczami z balustradą i w końcu – na podstawie materiałów pozyskanych z archiwów fotografii – przywrócono w pierwotnym kształcie orła nad wejściem głównym do zamku.

W czasie remontu odnaleziono w ścianie frontowej wiślańskiego zamku akt erekcyjny jego budowy z 1931 roku. Dokument został pieczołowicie zakonserwowany i uzupełniony o nowy *Akt odnowy zamku*. Obydwa zapieczętowane akty spoczęły w pierwotnym schowku.

Gruntownie odnowiono również teren wokół obiektu, łącznie z konserwacją zabytkowych latarń i zabytkowych słupów-rogatek, wyznaczających wjazd na teren rezydencji.

Przedsięwzięcie się powiodło – udało się harmonijnie połączyć walory estetyczne i użytkowe odtworzonych elementów i elementów współczesnych. Nad wszystkimi pracami czuwali konserwatorzy zabytków.

Zamek Dolny

Zamek Dolny składa się z dwóch części – ze zwartej bryły budynku głównego i niższego skrzydła bocznego, w którym pierwotnie znajdowały się garaże, a po remoncie i modernizacji sala konferencyjna.

Podczas przebudowy zmieniono bryłę skrzydła bocznego. Podwyższono tę część obiektu, wymieniono więźbę dachu i jego poszycie. Zaprojektowano windę i dodatkową klatkę schodową – w tym celu do północnej strony dodano półkolisty ryzalit, naśladujący wykusz mieszczący klatkę schodową w korpusie głównym. Drugim dodanym elementem elewacji północnej jest biegnący wzdłuż niej szeroki taras widokowy.

Prace remontowe objęły między innymi podbicie fundamentów, drenaż, osuszenie fundamentów, ich izolację; renowację i wzmocnienie stropów, odnowienie i wzmocnienie więźby dachowej nad korpusem głównym, wymianę pokrycia dachu i orynnowania, oczyszczenie ścian wewnętrznych, skucie tynków w całym budynku, w pomieszczeniach zawilgoconych oczyszczenie ścian i odgrzybienie murów, wymianę posadzek i podłóg, wymianę zniszczonej stolarki okiennej i drzwiowej, renowację zachowanych klatek schodowych. Konserwacją i modernizacją objęto całość umeblowania.

Zadbano również o otoczenie budynku. Zniwelowano teren, podjazdy, miejsca postojowe i ciągi piesze, zaaranżowano klomby, trawniki, nasadzono rośliny i krzewy ozdobne. Całość terenu otoczyło nowe ogrodzenie. Rozebrano zniszczony odkryty basen. W bezpośrednim sąsiedztwie Zamku Dolnego wybudowano miejsce do grillowania, altanę i sanitariaty. Remont w całości wykonała firma Mitex SA z Katowic.

Kaplica

Obiekt remontowany wcześniej w 1909 roku wymagał renowacji. Prace objęły konstrukcję obiektu, jego wnętrza i elementy wyposażenia. Odnowiono konstrukcję zrębową i więźbę dachową. Zniszczone elementy konstrukcyjne bryły kaplicy i poszycia dachu zostały wymienione. W konstrukcji całej kaplicy wymieniono drewniane włókna uszczelniające belki zrębowe, tak zwane mszenie. Konstrukcję zrębową zaimpregnowano, a nowe elementy scalono kolorystycznie.

Posadzkę we wnętrzu – po uzupełnieniu w niej ubytków – wypolerowano. Zakonserwowano witraże i zabezpieczono je, osadzając w hermetycznych wkładach ze szkła zespolonego. Wszystkie elementy metalowe: balaski, kraty, klamki, elementy oświetlenia po oczyszczeniu zabezpieczono przed korozją.

Zakonserwowano zabytkowe wyposażenie kaplicy: manierystyczny ołtarz z początków XVII wieku z obrazami i krucyfiksami z XV i XVII wieku. Drewniane ławki odnowiono, wykonano fotele, zydle i klęczniki dla celebrantów i wiernych. Prezydent przekazał w darze chrzcielnicę wykonaną przez Piotra Lisowskiego. Odnowiono też unikatowy żeliwny piec na paliwo stałe, wykonany w 1926 roku przez kuźnię Ustroń. W 2004 roku wzniesiono dzisięciometrową, drewnianą dzwonnicę, nawiązującą stylem do kaplicy. Zawisły w niej trzy dzwony o wadze 420, 260 i 190 kilogramów odlane przez ludwisarnię Felczyńskich z Taciszowa koło Gliwic.

Gajówka

Jest to nowy obiekt, zbudowany w latach 2003–2004 w miejscu dwóch drewnianych oficyn gospodarczych z początków XX wieku. Oficyny zostały rozebrane i przy zachowaniu wszelkich zasad sztuki konserwatorskiej przeniesione do skansenu w Wiśle.

Bryła wzniesionego obiektu składa się z trzech części o zróżnicowanej wysokości (część środkowa niższa, skrzydła skrajne wyższe). Zamierzeniem projektanta było, by skrajne, wyższe skrzydła upodobnić do wieżyczek obserwacyjnych charakterystycznych dla architektury obronnej. Powstał podpiwniczony obiekt o dwóch kondygnacjach naziemnych i poddaszu, kryty czterospadowym dachem. Powierzchnia użytkowa wynosi 2440 metrów kdwaratowych. W piwnicy obiektu mieszczą się garaż, pomieszczenia techniczno-magazynowo-gospodarcze, sauna i siłownia. Na parterze jest dyżurka dla służb strzegących obiekt, niewielka świetlica

i jadalnia z pełnym zapleczem kuchennym. Na pierwszym piętrze jest jedenaście pokoi dwuosobowych. Oddzielna klatka schodowa prowadzi do zespołu mieszkalnego na pierwszym piętrze. Na poddaszu są pokoje mieszkalne i salon z kominkiem.

Ponadto w latach 2003–2005:

- przebudowano budynek wartowni przy bramie głównej do zamku,
- wykonano iluminację zamku i całego założenia,
- zmodernizowano kort tenisowy,
- wykonano kaskadę wodną,
- uporządkowano teren wokół rezydencji, wprowadzono elementy tzw. małej architektury, zaprojektowano trawniki i klomby, wykonano nasadzenia,
- zmodernizowano tradycyjne ujęcie wody ze źródeł na zboczu Kubalonki i włączono je w system zaopatrzenia w wodę,
- wykonano lądowisko śmigłowców w sąsiedztwie Zamku Dolnego,
- zmodernizowano odcinek drogi prowadzącej z Wisły Czarne na Przełęcz Kubalonkę.

Otwarcie Zamku Prezydenta RP – Narodowego Zespołu Zabytkowego w Wiśle odbyło się 3 marca 2005 roku. Do przywrócenia świetności zamku przyczynili się między innymi:

- Jolanta Wodyńska – generalna projektantka remontu i modernizacji rezydencji z krakowskiej Pracowni Konserwacji Zabytków „Arkona",
- HB-Unibud SA z Czechowic-Dziedzic – generalny wykonawca robót Zamku i Gajówki,
- Mitex SA z Katowic – wykonawca remontu Zamku Dolnego,
- Conres z Katowic – wykonawca renowacji kaplicy,
- Ćmielów, Hefra, Stalgast, Famos – dostawcy wyposażenia.

Udało się uratować obiekt, który nie ma swojego odpowiednika w Polsce i który trudno porównać z jakimkolwiek obiektem w Europie.

Zamek w Wiśle odzyskał swój niepowtarzalny klimat. Spełniło się oczekiwanie Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego, by odrestaurowany Zamek – Narodowy Zespół Zabytkowy w Wiśle – godnie służył potrzebom reprezentacyjnym Rzeczypospolitej, a także lokalnej społeczności i licznie przybywającym do Wisły i w Beskidy turystom.

Intencją prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego było, aby Zamek miał status Rezydencji Głowy Państwa i by organizowane w nim były konferencje i spotkania z udziałem przedstawicieli władz państwowych

i samorządowych, przedstawicieli świata kultury i nauki oraz gości zagranicznych. Zamek w Wiśle, tak jak w okresie międzywojennym, jest udostępniany dla zwiedzających i cieszy się zainteresowaniem. Przygotowana została też ekspozycja fotograficzna ukazująca działalność Prezydenta RP.

Zabytkowa drewniana kaplica pw. św. Jadwigi Śląskiej jest otwarta dla wiernych. Odprawiane są w niej nabożeństwa i uroczystości (śluby, chrzciny). W Zamku Dolnym i Gajówce czynny jest ogólnodostępny hotel.

Niemal równolegle z remontem zamku z inicjatywy Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego, wspierana przez jego Kancelarię budowana była w Wiśle Malince skocznia narciarska. Nakłady poniesione na te obiekty przyczyniły się do rozwoju i atrakcyjności wiślańskiego regionu.

Rezydencja Jurata-Hel – centrum reprezentacyjno-konferencyjne

Decyzja o lokalizacji Rezydencji Prezydenta RP nad Morzem Bałtyckim inspirowana była tradycją dwudziestolecia międzywojennego – wówczas na Półwysep Helski i Wybrzeże Gdańskie przyjeżdżali na wypoczynek prezydent Ignacy Mościcki, ministrowie rządu II Rzeczypospolitej i przedstawicieli elit kulturalnych i naukowych.

Obecna rezydencja została wybudowana na przełomie lat 50. i 60. XX wieku dla Urzędu Rady Ministrów jako zespół trzech dwukondygnacyjnych pawilonów wczasowych nad Zatoką Pucką, w sosnowym lesie pomiędzy Juratą i Helem (dzisiaj obiekty oznaczone numerami 1, 2 i 3), nosił nazwę „Mewa". W latach 70. ośrodek rozbudowano o dwie wille typu „Rybaczówki" (dzisiaj obiekty nr 4 i 5), o zaplecze hotelowo-administracyjne i koszarowe. 1 sierpnia 1989 roku teren przejęła Kancelaria Prezydenta. Na przełomie 1992 i 1993 roku dawny ośrodek „Mewa" uzyskał status Rezydencji Prezydenta RP.

Aby przystosować ośrodek do funkcji reprezentacyjnej rezydencji państwowej, niezbędny był remont i modernizacja zgodnie z nowoczesnymi wymogami technicznymi, teleinformatycznymi i ekologicznymi. Konieczne było podniesienie standardu wyeksploatowanych obiektów, w większości nieremontowanych od lat 70. Prace w rezydencji Jurata-Hel prowadzono stopniowo w latach 1996–2003.

W 1998 roku gruntownie wyremontowano willę nr 2, która od tego momentu jest siedzibą Prezydenta RP. Zakres prac obejmował wzmocnienie i modernizację konstrukcji budynku, częściową zmianę jego bryły, wymianę instalacji i przebudowę wnętrz. Rok wcześniej, w jej pobliżu wybudowany został kort tenisowy.

W 1999 roku przeprowadzono modernizację willi nr 1. Przeznaczono ją dla oficjalnych gości Prezydenta RP. Projekt poza niezbędnymi pracami inżynieryjnymi i instalacyjnymi, obejmował podniesienie standardu i zmiany architektoniczne – w miejsce obudowy pierwszego piętra położono dach czterospadowy, nawiązując w ten sposób do wyglądu zmodernizowanej rok wcześniej willi nr 2. Jednocześnie rozbudowano budynek administracyjno-hotelowy, który przeznaczony jest dla współpracowników Prezydenta RP, oficerów BOR i członków delegacji.

W latach 1996–2003, w miarę postępu prac przy kolejnych obiektach, sukcesywnie realizowano koncepcję zagospodarowania terenu. Wytyczano drogi, place parkingowe i ciągi spacerowe. Przy pełnym zachowaniu obowiązku ochrony lasów nadmorskich rezydencji, realizowano projekt zieleni i tzw. małej architektury. Zamontowano wysokie i niskie oświetlenie terenu, dróg i obiektów. Od poszczególnych obiektów od strony Zatoki Puckiej wiodą pomosty. Molo przy budynku nr 5 wyposażone zostało w lądowisko dla helikopterów. Wyremontowano również budynek koszarowy i zaplecze administracyjno-techniczne.

W latach 2001–2002 w miejsce budynku nr 3, którego stan techniczny był katastrofalny, wybudowano nowy obiekt z zapleczem wypoczynkowo-rekreacyjnym: basenem z sauną, łaźnią parową i solarium, oranżerią, pokojem wypoczynkowym, salonem widokowym i niewielkim zapleczem kuchennym. Autorem projektu tzw. „Panoramy" była Spółdzielnia Architektów „PRO ARTE" z Warszawy, działająca pod kierunkiem architekta Marcina Oborskiego. Wieża, według koncepcji Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, zaprojektowana na wzór latarni morskiej (wys. 28,69 m, z anteną – 35,58 m), ma pięć poziomów. Komunikację między nimi zapewniają winda elektryczna i schody wachlarzowe. Dobrze widoczna między innymi z molo w Juracie „Panorama" stała się nieoficjalnym symbolem rezydencji. Uroczyste otwarcie nowego obiektu, z udziałem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i Jolanty Kwaśniewskiej nastąpiło w lipcu 2002 roku.

W latach 2002–2003 przeprowadzono remont, modernizację i rozbudowę budynków nr 4 i nr 5. Pawilon nr 4 według nowego projektu miał przejąć funkcję jadalni z pełnym zapleczem kuchennym, uzupełnionej o część rekreacyjno-mieszkalną. Nowy obiekt został nazwany „Mesą". Budynek nr 5, po gruntownej przebudowie, przeznaczono na nowoczesne centrum konferencyjne. Główna sala mieści się na pierwszym piętrze. Centrum wyposażono w najnowocześniejsze łącza internetowe i satelitarne i urządzenia umożliwiające przeprowadzenie konferencji, narad, spotkań w szerszym gronie, konferencji prasowych, relacji „na żywo" i wideokonferencji. Sala może pomieścić 40 osób.

Cały obiekt jest wyposażony w ujęcie i nowoczesną stację uzdatniania wody, trafostację i agregaty prądotwórcze.

W 2003 roku przy drodze dojazdowej prowadzącej od bramy na teren rezydencji, wybudowano utrzymany w symbolice morskiej maszt flagowy. Na marmurowym postumencie umieszczony jest napis upamiętniający tradycję pobytów na Półwyspie Helskim prezydenta Ignacego Mościckiego, w sąsiedztwie wojskowego ośrodka wypoczynkowego w rezydencji „Muszelka". Podczas pobytów w rezydencji Prezydenta RP podnoszona jest na maszt Chorągiew Rzeczypospolitej.

W Juracie-Helu gośćmi prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego byli między innymi sekretarz generalny NATO Javier Solana, prezydent Niemiec Johannes Rau, prezydent Szwajcarii Adolf Ogi, hiszpańska para królewska – król Juan Carlos i królowa Zofia, prezydenci: Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew, Słowenii Milan Kučan, Uzbekistanu Isłam Karimow, Niemiec Horst Köhler, Litwy Valdas Adamkus, Armenii Robert Koczarian, Chorwacji Stjepan Mesić, Ukrainy Wiktor Juszczenko, były prezydent Czech Vaclav Havel.

W kwietniu 2004 roku, w przeddzień przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, w rezydencji zorganizowano szereg spotkań poświęconych tej tematyce. W nocy z 30 kwietnia na 1 maja 2004 roku odbyła się uroczystość wciągnięcia na maszt flagi Unii Europejskiej. 18 listopada 2004 roku odbyła się polsko-amerykańska konferencja w sprawie planowania strategicznego. 4 czerwca 2005 roku prezydentowa Jolanta Kwaśniewska gościła uczestniczki uroczystości otwarcia nowego budynku Kliniki Onkologii i Hematologii Dziecięcej w Gdańsku.

Dworek Prezydenta RP w Ciechocinku – ośrodek informacyjno-edukacyjny

Dworek wzniesiony w połowie lat 30. XX wieku przez Państwowy Zakład Zdrojowy w Ciechocinku dla Prezydenta II Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego i jego następców po drugiej wojnie światowej pełnił funkcje uzdrowiskowo-wypoczynkowe. Na początku lat 80. przekazany władzom miasta Ciechocinka został zaadaptowany na przedszkole, które mieściło się w nim do końca lat 90. 27 sierpnia 2001 roku Rada Miasta Ciechocinka podjęła uchwałę o przekazaniu dworku Kancelarii Prezydenta RP.

Obiekt wymagał gruntownego remontu i przystosowania do funkcji rezydencji Prezydenta RP i ośrodka informacyjno-edukacyjnego. Prace trwały od sierpnia 2002 do maja 2003 roku. Objęły całe założenie – dworek i otaczający go zespół ogrodowo-parkowy o powierzchni około 7300 metrów kwadratowych. Dobudowano również zaplecze gospodarcze z garażem.

Wymieniono więźbę dachową i pokryto dachówką ceramiczną. Wzmocniono stropy, część z nich wymieniono na żelbetowe na belkach stalowych, odsłonięto ściany piwnic i fundamentów, wykonano izolację, osuszono ściany zewnętrzne i wewnętrzne oraz położono nowe tynki, Wzmocniono fundamenty i zrekonstruowano tarasy. Wymieniono stolarkę okienną i drzwiową, odnowiono drewniane okiennice i wykonano nowe miedziane parapety i rynny oraz balustrady tarasowe. Budynek został wyposażony w nowoczesne instalacje: wodno-kanalizacyjne, elektryczne, centralnego ogrzewania, teleinformatyczne i systemów ochrony.

Kompleksowo przebudowano wnętrza i dostosowano je do nowej funkcji. Drewniane schody prowadzące z parteru do piwnic i z parteru na piętro zamieniono żelbetowymi. Główną klatkę schodową z reprezentacyjnego holu na piętro wyłożono granitem. We wszystkich pomieszczeniach wymieniono posadzki.

Piwnice zaadaptowano na zaplecze techniczno-magazynowe i kuchenne, zainstalowano windę kuchenną. Na parterze zaaranżowano reprezentacyjny hol z dużym kominkiem wyłożonym granitem, salę ekspozycyjno-konferencyjną, bibliotekę i część administracyjną. Dekoracyjnymi elementami tej kondygnacji są wykonane przez Elżbietę i Andrzeja Bednarskich dwa witraże: jeden z motywem krajobrazu mazowieckiego umieszczony w drzwiach prowadzących do sali ekspozycyjno-wystawowej, drugi – w holu głównym z motywem Chorągwi Rzeczypospolitej.

Równolegle z remontem dworku uporządkowano otaczający dworek zespół ogrodowo-parkowy. Z kostki kamiennej wykonano drogi jezdne, podjazdy i ciągi spacerowe. Wzniesiono elementy tzw. małej architektury: niewielki amfiteatr, fontannę, altanę i inne drobne elementy – ławę kamienną, ławki ogrodowe, maszty flagowe. Przy rekultywacji ogrodu zadbano o zachowanie objętego ochroną konserwatorską drzewostanu. Park wzbogacono jedynie o dodatkowe kompozycje z krzewów i roślin okrywowych.

Wykonano nowe ogrodzenie, bramę wjazdową i furtki. Przy wejściu głównym umieszczono tablicę według projektu Zofii Wolskiej, opisującą dzieje dworku i upamiętniającą renowację obiektu. Z nieznanych powodów, tablica została zdemontowana w 2012 roku na polecenie Jacka Michałowskiego, szefa Kancelarii Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. (Widać to na fotokopii artykułu Tomasza Ciechońskiego z „Gazety Wyborczej" z 28 czerwca 2012 roku. Dlaczego ją zdemontowano? W ramach zacierania śladów działalności Aleksandra Kwaśniewskiego?)

Dworek Prezydenta RP w Ciechocinku został uroczyście otwarty 2 maja 2003 roku. W okresie prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego dworek pełnił funkcję ośrodka informacyjno-edukacyjnego. W holu na parterze prezentowane były wystawy poświęcone prezydentowi Ignacemu Mościckiemu i historii obiektu, w sali konferencyjno-wystawowej ekspozycja *Ordery Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej*. W bibliotece zgromadzono i udostępniano szereg wydawnictw poświęconych historii i współczesności prezydentury w Polsce, a także historii, tradycji i walorów Ciechocinka i regionu. Do końca 2005 roku odbywały się w Dworku co miesiąc dwa otwarte spotkania i dyskusje z przedstawicielami świata polityki, nauki, kultury, gospodarki, mediów. W ogrodzie organizowano wiele imprez o znaczeniu dla lokalnej społeczności, obchody rocznicowe, koncerty, między innymi z okazji przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

Siedziba Kancelarii Prezydenta RP – budynki przy ulicy Wiejskiej 10, Maszyńskiego 10 i Frascati 2

Główny budynek siedziby Kancelarii Prezydenta RP przy ulicy Wiejskiej 10 wzniesiony został według projektu Zdzisława Mączeńskiego w latach 1927–1929 dla Izby Przemysłowo-Handlowej, w latach 1937–1939 rozbudowany od strony ulicy Senackiej. Od 1948 roku był siedzibą Ministerstwa

Handlu Zagranicznego. W połowie lat 70. XX wieku został powiększony o nowe skrzydło południowe. W 1989 roku gmach przy Wiejskiej 10 stał się siedzibą Kancelarii Prezydenta RP.

Budynek przy ulicy Frascati 2 wzniesiony został na początku lat 30. XX wieku jako kamienica mieszkalna. W 1965 roku po przejęciu przez Skarb Państwa przeznaczono go na biura Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej. W 1989 roku część gmachu zajęła Kancelaria Prezydenta RP, a od 2002 roku użytkowany był on przez kancelarie: Prezydenta RP, Sejmu RP i Senatu RP. Dostosowanie obiektu do funkcji biurowych wymagało gruntownej przebudowy. Uregulowano także stan prawny nieruchomości, uzgodniono zasady współużytkowania z kancelariami Sejmu i Senatu.

Budynek wzniesiony w połowie lat 60. XX wieku przy ulicy Maszyńskiego 10 połączył gmachy przy ulicy Wiejskiej 10 i przy Frascati 2 – stąd jego potoczna nazwa „łącznik"

Wszystkie wymienione obiekty były okresowo remontowane. Przeprowadzono termomodernizację z wymianą instalacji i przystosowano obiekty biurowe do współczesnych potrzeb technicznych, teleinformacyjnych i eksploatacyjnych. Zmieniono aranżację wnętrz zgodnie ze standardami przyjętymi dla siedzib najwyższych urzędów w państwie.

W latach 1998–2002 prowadzono remont klatek schodowych i korytarzy wszystkich kondygnacji budynku przy ul. Wiejskiej 10. Zamontowano nowe dźwigi, oświetlenie, wymieniono instalacje teletechniczne. Posadzki na korytarzach i klatce schodowej wykonano z kamienia (na trzecim i czwartym piętrze podłogi przykryte zostały wykładziną). Renowacji poddano balustrady. Odnowiono pomieszczenia biurowe. Na głównej klatce schodowej wejścia „B" przeszklenia zastąpiono witrażem autorstwa Piotra Lisowskiego, przedstawiającym motyw orła.

W latach 1997–1998 remont obejmował modernizację piwnic, kuchni, stołówki, bufetu, recepcji i sal konferencyjnych. Dzięki nowej aranżacji wnętrz recepcji pozyskano dla potrzeb pracy biurowej kilka pomieszczeń na parterze w korytarzu łączącym wejścia „A" i „B". W 2000 roku przeprowadzono remont i modernizację pracowni poligraficznej, magazynu orderów i odznaczeń oraz części piwnic dolnych.

W latach 2000–2001 wyremontowano podziemny garaż i skomunikowano go z wejściem głównym. W 2000 roku wyremontowano wejście do budynku Kancelarii Prezydenta RP od strony Biura Przepustek

(wejście „A") oraz sąsiednie pomieszczenia biurowe i socjalne. Kompleks wyposażono w agregat prądotwórczy, UPS-y, nową serwerownię i pełną infrastrukturę teleinformatyczną. Przeprowadzono także remont zewnętrznej strony głównego wejścia do Kancelarii (tzw. wejścia „B"). Odnowiono kolumny z czarnego granitu, przed wejściem oczyszczono płyty kamienne z piaskowca, wymieniono wyeksploatowane drzwi obrotowe na automatyczne rozsuwane. Zainstalowano iluminację fasady frontowej budynku. W tym samym okresie przeprowadzono gruntowny remont i konserwację zabytkowych domków dozorcy i szwajcara przy wjeździe z Wiejskiej do Frascati, dawnej posiadłości księcia Kazimierza Poniatowskiego zwanej Na Górze. Ich projekt z około 1820 roku przypisuje się Jakubowi Kubickiemu lub Chrystianowi P. Aignerowi. Odnowiono i zakonserwowano również bramę wjazdową, nad którą dodano ozdobne zwieńczenie z godłem Polski oraz nazwą i adresem Kancelarii Prezydenta RP, wykonane według projektu Stanisława Brukalskiego.

W latach 2001–2002 przeprowadzono również gruntowny remont pięciokondygnacyjnego budynku przy ulicy Maszyńskiego 10, tak zwanego łącznika. Prace objęły remont, aranżację wnętrz poszczególnych kondygnacji, wymianę instalacji i docieplenie budynku. Gruntownie zmieniono układ i wystrój pomieszczeń na pierwszym piętrze ze względu na ich reprezentacyjny charakter i lokalizację gabinetów członków kierownictwa Kancelarii. W 2005 roku przeprowadzono na czwartym piętrze remont sali posiedzeń Krajowej Rady Sądownictwa.

W latach 2001–2003 dokonano kompleksowej konserwacji zabytkowego budynku przy ulicy Frascati 2: wyremontowano elewację, odtworzono zniszczone tralki balustrady i uzupełniono ubytki tynku i gzymsu. Wnętrza biurowe wymagały kapitalnego remontu. Przeprowadzone odkrywki wykazały ugięcia stalowych belek stropu Kleina nawet o 11,5 centymetra, co zagrażało bezpieczeństwu. Stropy zostały odpowiednio wzmocnione. Konieczna była też wymiana wewnętrznych drewnianych drzwi i stolarki okiennej. Poprowadzono nowe instalacje (elektryczne, wodno-kanalizacyjne) i zamontowano nowoczesne systemy teleinformatyczne, wyremontowano również aptekę i poradnię lekarską.

Gruntownie odnowiono ulicę Senacką i dziedziniec przed Domem Poselskim. Przygotowany został parking dla pracowników i gości Kancelarii Prezydenta RP.

Rezydencja Lucień – ośrodek konferencyjno-rekreacyjny

W latach 60. XX wieku nad Jeziorem Lucieńskim Nadleśnictwo Gostynin rozpoczęło budowę ośrodka wypoczynkowego. Władze nadleśnictwa postanowiły nieodpłatnie przekazać rozpoczętą inwestycję Radzie Państwa z przeznaczeniem na rezydencję. W końcu lat 80. XX wieku rezydencja obejmowała dziesięć domków wypoczynkowych, jadalnię i niezbędne zaplecze techniczno-gospodarcze (m.in. garaże i budynek hydroforni). Na przełomie lat 80. i 90. rezydencja została przejęta przez Kancelarię Prezydenta RP.

Przez lata nieremontowana rezydencja Lucień wymagała renowacji i modernizacji. Prace rozpoczęto w 1996 roku i realizowano sukcesywnie. W latach 1996–1998 odnowiono dziesięć pawilonów wczasowych. Wymieniono tynki na elewacjach, pokrycie dachu, stolarkę okienną i drzwiową, posadzki i podłogi, ocieplono budynki, wymieniono instalacje na nowocześniejsze. W domkach nr 1 i 10 dobudowano użytkowe poddasze. Przeprowadzono również zmianę aranżacji wnętrz, zmieniono meble i armaturę łazienkową. Prace zakończono w 2003 roku, gdy wymieniono niespełniający norm przeciwpożarowych system ogrzewania elektrycznego na nowoczesny i ekologiczny system ogrzewania za pomocą pomp ciepła.

W latach 2002–2003 gruntownemu remontowi i przebudowie poddano budynek nr 9 – jadalnię. Drewniany pawilon obłożony płytą pilśniową i przykryty płytą azbestowo-cementową postawiony w latach 60. XX wieku nie spełniał ani warunków sanitarnych, ani przeciwpożarowych. Na jego miejscu powstał estetyczny obiekt łączący w sobie funkcje: jadalni z nowoczesną kuchnią, sali konferencyjnej i zaplecza administracyjno-biurowego. Budynek ogrzewany jest za pomocą pomp ciepła.

Nowa studnia głębinowa i zmodernizowana stacja uzdatniania zapewniają ośrodkowi doskonałej jakości wodę. System kanalizacyjny zgodnie z wymogami o ochronie środowiska uzupełniono o ekologiczną oczyszczalnię ścieków. Teren wokół kompleksu został uporządkowany, wybudowano nowe drogi i ciągi spacerowe, zainstalowano oświetlenie, ustawiono wiatę garażową, odnowiono drewniane pomosty. Zbudowano także niewielką stajnię, powstały kort tenisowy i boisko do gry, a także zadaszony grill nad brzegiem Jeziora Lucieńskiego.

Rezydencja Prezydenta RP w Lucieniu pełniła funkcję ośrodka konferencyjno-rekreacyjnego, była ogólnodostępnym ośrodkiem wypoczynkowym, przystosowanym do organizacji narad, spotkań, konferencji i imprez rekreacyjnych. Dzięki modernizacji w latach 1996–2005 została w pełni przystosowana do obsługi oficjalnych i roboczych wizyt zagranicznych.

Siedziba Rady i Biura Bezpieczeństwa Narodowego

Rada i Biuro Bezpieczeństwa Narodowego nie miały własnej siedziby. Poszczególne komórki organizacyjne mieściły się w różnych częściach stolicy. W związku z rosnącymi potrzebami lokalowymi Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, a także złego stanu technicznego obiektu przy Alejach Ujazdowskich 5, zapadła decyzja o budowie lokum dla Rady i BBN.

Nowa siedziba znajduje się w sąsiedztwie ogrodu Pałacu Prezydenckiego, w miejscu rozebranych garaży. Budowa dwukondygnacyjnego obiektu trwała od września 2003 do stycznia 2005 roku. Nad drugą kondygnacją, na dachu jest płyta lądowiska dla śmigłowca. Budynek wyposażony został w najnowocześniejsze instalacje, w tym systemy łączności cywilnej i wojskowej, odpowiadające wymogom NATO. Zadbano o funkcjonalność obiektu, komfort pracy, a także o estetykę siedziby.

Hotel Belweder

Budynek hotelowy w pobliżu Belwederu, u zbiegu ulic Flory i Klonowej, został wzniesiony w latach 1964–1967 według projektu Tadeusza Zielińskiego i Zdzisława Hałasy. Początkowo służył Urzędowi Rady Ministrów, na początku lat 90. XX wieku przejęty został przez Kancelarię Prezydenta RP.

Od chwili wybudowania hotel nie był poddawany większym remontom, jego stan więc się systematycznie pogarszał. Prace modernizacyjne rozpoczęto w październiku 2004 roku. Przy okazji remontu budynek gruntownie rozbudowano. Powstały trzy wewnętrzne patia i trzykondygnacyjny segment. Na parterze znajdują się między innymi sala konferencyjna i niewielki basen rekreacyjny. Powiększono salę restauracyjną i hol główny, zmodernizowano zaplecze kuchenne. W podziemiu urządzono

siłownię, saunę i pomieszczenia sanitarne dla gości hotelowych. Obiekt ma nowoczesne instalacje klimatyzacyjne, teletechniczne i zabezpieczenia przeciwpożarowe.

Hotel otwarto w grudniu 2005 roku. Służy gościom Kancelarii Prezydenta RP, wspiera obsługę recepcyjną Belwederu i siedziby Kancelarii. W 2005 roku zmieniono nazwę hotelu z Klonowa, od nazwy pobliskiej ulicy, na Belweder.

Od 2006 roku był gotowy projekt podziemnych garaży, jednak do tej pory nie został zrealizowany.

Baza transportowo-magazynowa Kancelarii Prezydenta RP oraz Archiwum Prezydenta RP

Budowa kompleksu bazy została rozpoczęta w drugiej połowie lat 70. XX wieku. Nie udało się jej ukończyć i w 1991 roku nastąpiło oficjalne przerwanie prac. Dwa lata później niedokończoną bazę przejęła Kancelaria Prezydenta RP. Do eksploatacji nadawały się jedynie dwa budynki – dwupoziomowy garaż dla samochodów osobowych i mikrobusów oraz budynek administracyjno-biurowy (obecnie Archiwum). Pozostałe obiekty były zdewastowane. W 1995 roku podjęto decyzję o kontynuowaniu budowy, remoncie i modernizacji. Prace etapami realizowano do 2000 roku, kiedy na warszawskich Siekierkach otwarto nowoczesną bazę transportowo-magazynową, zapewniającą kompleksową obsługę Kancelarii Prezydenta RP, ale również generującą przychody. Baza obejmuje między innymi dwupoziomowy garaż na 38 stanowisk (poziom dolny) i 54 stanowiska dla samochodów osobowych, samochodów dostawczych i mikrobusów (poziom górny), garaż dla autobusów na osiem miejsc, jednopoziomowy garaż na 27 stanowisk dla samochodów osobowych, mikrobusów i samochodów dostawczych, halę warsztatową, stację kontroli pojazdów i automatyczną myjnię, halę magazynowo-depozytową, pomieszczenia socjalne dla pracowników.

Na terenie bazy w dawnym budynku administracyjno-biurowym jest Archiwum Prezydenta RP. W 2002 roku podjęto decyzję o adaptacji budynku na Archiwum Prezydenta RP. Prace ukończono w 2004 roku. W monitorowanym budynku oprócz pomieszczeń biurowych znajdują się magazyny przystosowane mikroklimatycznie do przechowywania

dokumentacji zgromadzonej na różnych nośnikach. Obiekt wyposażony jest w nowoczesny system sygnalizacji przeciwpożarowej. Dla dokumentacji niejawnej przewidziano odrębny, odpowiednio zabezpieczony magazyn. Archiwum funkcjonuje zgodnie z obowiązującymi przepisami o narodowym zasobie archiwalnym i archiwach (Dz.U. 1983 nr 38 poz. 173 z późn. zm.). Archiwizacja wspomagana jest elektronicznym systemem zarządzania. Wyposażenie i organizacja tego obiektu sytuują Archiwum Prezydenta RP jednym z nowocześniejszych w Polsce.

* * *

Dynamika działalności następców Aleksandra Kwaśniewskiego w zakresie gospodarki i wykorzystania nieruchomości Kancelarii Prezydenta RP nieco osłabła. Aktualnie prezydencki urząd doraźnie eksploatuje niektóre obiekty lub je zamyka. Skala i efekt prac modernizacyjnych i remontowych wykonanych w obiektach Kancelarii Prezydenta RP w czasie prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego, nie mają sobie równych. W okresie dziesięciu lat w opisanych budynkach i gmachach zorganizowano i sprawnie przeprowadzono kilkaset oficjalnych wizyt państwowych. Świadczy to o rzetelności i trwałości prac, które zostały wykonane w latach 1995–2005. Pałac Prezydencki zwiedziło ponad 90 tysięcy osób, wystawy w Belwederze i Ciechocinku zobaczyło ponad 60 tysięcy gości.

Należy pamiętać, że w tych obiektach pracuje kilkaset osób zapewniających logistyczne i prawne wsparcie dla konstytucyjnych kompetencji urzędu Prezydenta RP. Nie kolidowało to jednak ze zorganizowaniem na przykład w Pałacu Prezydenckim galerii ponad 20 wystaw czasowych, licznych spotkań literackich i okolicznościowych koncertów w pałacowych salach i ogrodach.

Biura Kancelarii przyjęły i rozpatrzyły ponad 200 tysięcy listów od obywateli. Do takiej działalności urząd musiał być przygotowany także logistycznie. Wnętrza prezydenckich obiektów w latach 1995–2005 były świadkami m.in.:

- ponad 3 tysięcy oficjalnych spotkań w Pałacu Prezydenckim i Belwederze,
- podpisania w 1997 roku Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej,
- przystąpienia Polski do struktur NATO,
- wejścia Polski do Unii Europejskiej,
- obrad państw Trójkąta Weimarskiego i Grupy Wyszehradzkiej,

- 185 wizyt prezydentów i koronowanych głów państw,
- ponad 500 spotkań i audiencji z korpusem dyplomatycznym,
- około 40 konferencji organizowanych z inicjatywy Aleksandra Kwaśniewskiego, w tym w 2001 roku „Międzynarodowa konferencja w sprawie zwalczania terroryzmu".

Bogatszą wiedzę na temat obiektów Kancelarii Prezydenta RP można znaleźć w kancelaryjnych wydawnictwach – albumach, publikacjach dokumentalnych, broszurach, folderach, w tym:

- *Belweder* – album; Wyd. MAK, Wrocław 2001,
- *Pałac Prezydencki* – album; Wyd. MAK, Wrocław 2003,
- *Rezydencje i gmachy reprezentacyjne Rzeczypospolitej* – album; Wyd. MAK, Wrocław 2005,
- *Hel – morska rezydencja Rzeczypospolitej* – album; Wydawnictwo MAK, Wrocław 2005,
- *Zamek Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w Wiśle* – album pod red. prof. Jacka Purchli; Fundacja Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2005,
- *Okrągły Stół – dokumenty i materiały* – publikacja naukowa; PPH ZAPOL, Szczecin 2004,
- *1828 dni Prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego* – publikacja archiwalna; BIKS 2005.

Reasumując, 23 grudnia 2005 roku Aleksander Kwaśniewski, przekazując urząd Prezydenta RP, pozostawiał swoim następcom Kancelarię w zgoła odmiennym stanie, aniżeli zastał ją dziesięć lat wcześniej. Niezależnie od sposobu użytkowania i ewentualnych decyzji dotyczących poszczególnych obiektów podjętych w latach następnych przez kolejnych Prezydentów RP, Aleksander Kwaśniewski może mieć zasłużone poczucie dobrze wykonanej pracy także w dziedzinie dbałości o zasób nieruchomości pozostających w zarządzie prezydenckiej Kancelarii.

Waldemar Dubaniowski

Jolanta Szymanek-Deresz: wojownik na korcie, ekspert z kodeksem, dama w polityce i Europejka z przekonania, ale przede wszystkim prawdziwy przyjaciel

Nie jest łatwo pisać o Joli, bo papier niewiele odda z rzeczywistości. Nie uda się tym sposobem zobaczyć uroczego uśmiechu, przyjacielskiego spojrzenia, nie usłyszymy błyskotliwego wystąpienia sądowego lub inteligentnej polemiki czy interpelacji sejmowej i oczywiście nie obejrzymy fantastycznego returnu z forhandu. W tym przypadku najwłaściwszym byłoby zatem posłużyć się jakimś nowoczesnym przekazem multimedialnym, czyli po prostu pokazać Jolę o wielu twarzach, w jej kilku lub nawet kilkunastu rolach, Jolę, która tak znakomicie potrafiła realizować się na wielu rozmaitych obszarach różnorakiej aktywności. Dlatego, zamiast zwyczajnego opisu, spróbuję zastanowić się, jak zmontować hipotetyczny film z naszą bohaterką w roli głównej. Tym bardziej, że od dawna już wiadomo, iż obraz jest mocniejszy od tysiąca słów…

Teraz dopiero zaczynają się prawdziwe dylematy, w tym najważniejszy, czyli, co w tym filmie powinno się znaleźć, aby pokazać prawdziwie renesansowe oblicze Bohaterki? Jako że Jola, kobieta z krwi i kości

przypominała czasem postaci nietuzinkowe, obdarzone mnóstwem różnorodnych zainteresowań i umiejętności, szczególnie z zakresu szeroko pojętej humanistyki. To nie przesada, bo jak można nazwać kogoś, kto jest świetnym, prawnikiem i jednocześnie znawcą literatury, który „pożera" książki w zawrotnym tempie i to nie tylko w języku polskim (niewielu było świadomych tego, że Jola czytywała Havla i Hrabala w oryginale). Jeśli do tego dodać jej niezwykłe zainteresowanie polityką, której cały czas pilnie się uczyła, jako że to był dla niej najnowszy „przedmiot", i tak obraz jeszcze nie byłby pełny.

Przecież Jola to również zawołana podróżniczka – wraz z małżonkiem Pawłem kochali podróże, zawczasu potrafili się do nich perfekcyjnie przygotować i zarazem wykorzystać każdy wyjazd do maksimum, jeśli chodzi o wiedzę i różne ciekawostki podróżnicze. Czasem żartowałem, że tak interesująco i ciekawie potrafiła opowiadać o miejscach, które odwiedziła, iż powinna z mężem pisać przewodniki turystyczne. Poza zainteresowaniami natury intelektualno-duchowej ważną rolę w życiu Joli odgrywał sport. Każda opowieść o niej byłaby niepełna bez tego rozdziału.

Można rzec, że Jola była współczesnym Leonardem da Vinci w spódnicy. Dziś w polityce nie spotyka się już takich osobowości. A przy tym Jola była po prostu „nadzwyczajnie zwyczajną" dziewczyną. Nie zadzierała nosa ani nie podkreślała swojej wyższości, nigdy nie próbowała deprecjonować innych ludzi, nawet tych, którzy nie byli wobec niej życzliwi i którzy nawet nie silili się na pozory obiektywizmu. I co niesłychanie ważne, posiadała rzadką umiejętność, bycia przyjacielem na dobre i na złe. Na Jolę można było zawsze liczyć. To nie częste w świecie polityki przypadki.

*

Wracajmy do naszego filmu. Oto mamy pierwsze ujęcie, mogące być zaskoczeniem dla tych, którzy nie znali dobrze Bohaterki. Widzimy na nim bowiem nie oficjalną i poważną panią minister czy posłankę lub wiceszefową partii, tylko pozornie zwyczajną zawodniczkę na korcie tenisowym. Zawsze elegancki, markowy strój do gry, zwykle opaska na włosach…, ale srogo myliłby się ten, kto by pomyślał, że w ten sposób Jola chce się tylko „pokazać na korcie". Co to, to nie: zaraz po odbiciu pierwszych piłek dało się rozpoznać bardzo dobrą zawodniczkę, dysponującą znakomitą techniką, świetnie biegającą i antycypującą, gdzie zagra przeciwnik (ta cecha

pomagała jej również w polityce). A przy tym oczywiście niesamowicie ambitną, walczącą do upadłego z rumieńcem na policzkach. Nie było dla niej straconych piłek, nie obawiała się kompletnie grać przeciwko mężczyznom, przeciwnie, to wielu kolegów czuło lekkie mrowienie na plecach i wydawało się lekko zakłopotanych, kiedy przychodziło im toczyć boje z Jolą. Powód był prosty: pojedynek z nią oznaczał najprawdopodobniej porażkę, a przecież niewielu mężczyzn lubi przegrywać z kobietami. To nie przypadek, że wygrywała wielokrotnie tenisowe mistrzostwa adwokatów oraz parlamentarzystów. A swoją drogą niewiarygodne, jak udawało się jej w niezwykle napiętym kalendarzu i przy różnorodnych oficjalnych obowiązkach i powinnościach znaleźć czas na odbijanie piłeczki na korcie. Choć zapewne był to sposób Joli na odreagowanie stresu, na możliwość zapomnienia chociaż na chwilę o często bezwzględnym i brutalnym świecie polityki. To był też moment na spotkania z przyjaciółmi z „innego świata", który nie interesował się tak bardzo polityką, gdzie pani minister była po prostu Jolą, kumplem do tenisa. Kort tenisowy to również miejsce, gdzie potrafili pokazać z Pawłem, jak dobraną i zgraną parę stanowią. Bez dwóch zdań „biały sport" to była ich ogromna wspólna pasja. Paweł, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, nie był tylko mężem, ale znakomitym przyjacielem, czasem mentorem lub motywatorem, a czasem po prostu czarodziejem, który potrafił rozładować wszelkie stresy swojej żony.

Przyznam, że nie mogłem wyjść ze zdumienia i podziwu, jak to jest możliwe, że przyjeżdżała na kort elegancka i nienagannie ubrana pani minister, która w jednej chwili potrafiła się przebrać i przemienić w waleczną wojowniczkę, która nie daje przeciwnikowi żadnej taryfy ulgowej. Po najbardziej nawet zaciętym pojedynku pojawiała się w ekspresowym tempie bez śladów najmniejszego zmęczenia, uśmiechnięta, perfekcyjnie zadbana, ponownie w formalnym i niezwykle eleganckim stroju, gotowa do dalszych oficjalnych wyzwań i obowiązków w parlamencie, kancelarii Prezydenta, Trybunale lub do występu w mediach.

Sam należałem do grona szczęśliwców, którzy mieli przyjemność często trenować z Jolą. Umawialiśmy się czasami wczesnym rankiem na korcie przy Belwederze i jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnej aktywności pałacowo-kancelaryjnej rozgrywaliśmy kilka gemów, kilkanaście długich i zaciętych wymian zarówno z forhendu, jak i backhandu. Jednym słowem odbywaliśmy prawdziwy często zaskakująco męczący trening (ale to był przyjemny rodzaj zmęczenia). Muszę przyznać, że tak spędzony ranek

wyzwalał dodatkową energię na cały długi dzień (a ci, którzy pamiętają naszą pracę z Prezydentem, wiedzą doskonale, że dzień pracy potrafił być naprawdę długi i nad wyraz intensywny). Z pełną świadomością zacząłem od tego ujęcia, dlatego że miałem nieodparte wrażenie, iż ten rodzaj dynamicznej aktywności po prostu był najbliższy jej naturze i zajmował w jej duszy poczesne miejsce. Również dlatego, że tam, przeciwnie do polityki, nie było nieczystych gierek, różnorakich dziwacznych często podchodów i chwytów poniżej pasa. Liczyło się po prostu to, jak fantastycznie walczyła na korcie tenisowym, jaką technikę prezentowała i co niesłychanie ważne, w tym sporcie dla gentelmanów, zawsze obowiązywały zasady *fair play*. Jednocześnie warto zacząć od tego obrazka, aby pokazać także znakomitą parę miksta, jaką tworzyła na korcie (i poza nim) razem z Pawłem.

Pora na kolejne ujęcie i nową klatkę filmową, czyli Jola poważna, skupiona, żeby nie powiedzieć, wręcz dostojna – nie zawodniczka, nie gracz i nie wojowniczka, ale dystyngowana pani mecenas występująca przed Trybunałem Konstytucyjnym jak wytrawny sędzia i adwokat zarazem – wykorzystująca profesjonalnie możliwości, jakie daje każdy, choćby najdrobniejszy paragraf.

Można śmiało stwierdzić, że prawo to jej druga pasja i kolejny talent. W kwestiach prawa Jola była niezwykle dokładna, wręcz pedantyczna i bezkompromisowa, w sprawach legalistycznych nie było z Jolą żartów, o czym wiedzieli wszyscy w Kancelarii Prezydenta, łącznie z samym prezydentem. Co ciekawe, zazwyczaj każdy potencjalny problem, który wydawał się początkowo problemem natury politycznej, zaczynał być analizowany przez Jolę przede wszystkim od strony prawnej, to był każdorazowo punkt wyjścia.

Pracując z Jolą w Kancelarii Prezydenta, można było mieć sto procent pewności, że wszelkiego rodzaju akty prawne, które winny być podpisane przez prezydenta, będą niezwykle skrupulatnie sprawdzone, opracowane i nie pozostanie nawet cień wątpliwości, że gdzieś mógł zostać popełniony jakiś najdrobniejszy nawet błąd. To dawało wszystkim naprawdę poczucie bezpieczeństwa i komfort pracy.

Kolejne ujęcie, też niebywale barwne, interesujące i wielowymiarowe, to zupełnie inna, żeby nie powiedzieć najnowsza twarz Joli – to Jola polityk, dziś pewnie powiedzielibyśmy „polityczka". Przed zakończeniem ostatniej kadencji prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego podjęliśmy różne decyzje o kontynuowaniu naszej drogi zawodowej, Jola postanowiła

sprawdzić na własnej skórze, jak to jest z „drugiej strony", czyli jak wygląda praktyczne funkcjonowanie w świecie polityki. A gdzie jest lepsze pole obserwacyjne niż w Sejmie? Stąd też skorzystała z nadarzającej się okazji nadchodzących wyborów parlamentarnych i zdecydowała się zakończyć pracę kilka miesięcy przed upływem drugiej kadencji prezydenta Kwaśniewskiego. Zrobiła to po to, aby spróbować swoich sił w polityce, ale również, aby coś udowodnić, jako że tu nie wystarczały tylko kompetencje prawnicze, musiała jeszcze przekonać wyborców. Podjęła to wyzwanie i wystartowała w wyborach parlamentarnych.

Jak wszystko, co robiła, tu również zachowała się niezwykle metodycznie i profesjonalnie. Dzielnie wspierana przez małżonka Pawła przygotowała niezwykle intensywną i wyczerpującą kampanię. Przemierzyła wówczas swój okręg wyborczy wzdłuż i wszerz. I oczywiście przyniosło to zamierzony skutek – została wybrana posłanką.

W tym momencie kolejne cięcie i następny obraz, którego nie mogłoby zabraknąć, czyli Parlament, gdzie niezwykle dystyngowana, elegancka argumentująca celnie i przekonująco posłanka potrafiła zyskać uznanie nie tylko dziennikarzy i politycznych komentatorów; budziła szacunek nawet swoich politycznych adwersarzy. Ona nie była rasowym „zwierzęciem politycznym", ale była po prostu niezwykle rzetelnym, profesjonalnym politykiem, potrafiła się błyskawicznie uczyć, zbierać doświadczenia i wyciągać wnioski. Już od początku swojej kariery parlamentarnej sprawiała wrażenie chodzącej encyklopedii stanu legislacji sejmowej, jakby znała dokładnie wszystkie zawiłości i problemy rozmaitych projektów wszelkich aktów prawnych, nad którymi debatował Sejm również w czasach, kiedy jeszcze nie zasiadała w ławach poselskich.

Każdy, kto choć trochę znał Jolę, szybko zauważał, że cechował ją „syndrom prymusa": wszystko, do czego się zabierała, chciała robić najlepiej, po prostu perfekcyjnie. Dlatego też tak bardzo ubolewała nad niechlujstwem legislacyjnym i prawnym, uważała idealistycznie, że prawo stanowione przez polski Parlament powinno być pod każdym względem dopracowane, zarówno jeśli chodzi o treść, jak i o formę uchwalanego aktu prawnego.

Przykłady tego perfekcjonizmu były widoczne również w kampanii wyborczej do sejmu, jej pierwszej w życiu. Zupełnie nowe doświadczenie, z którym potrafiła poradzić sobie znakomicie. Świetnie się do tego przygotowała i nie bała się wchodzić w tłum, przekonywać ludzi na targowiskach

i ulicach, z dużą kulturą, ale również z humorem. Jednocześnie miała świadomość, że pochopnie nie może składać żadnych obietnic, których potem nie byłaby w stanie zrealizować. Stąd też tak ważne było dla niej, aby każda nawet najdrobniejsza obietnica czy przyrzeczenie zostały zapisane, i wszelkimi siłami starała się później z nich wywiązać, angażując w to innych posłów oraz współpracowników.

Tu potrzebne jest jeszcze jedno ujęcie w naszym filmie: otóż Jola rozmawiająca z wyborcami w okręgu, w sposób żywy i bezpośredni, nie tworzyła bariery; zawsze potrafiła pochylić się nawet nad pozornie mniej istotnym, lokalnym problemem i traktować to z taką samą powagą, jak poważny temat natury konstytucyjnej. Jola zwyczajnie miała klasę, bez względu na to czy znajdowała się w Sejmie, w Kancelarii czy na spotkaniu wyborczym w małym miasteczku, potrafiła słuchać i koncentrowała się na tym, jak może pomóc. Jednocześnie wierzyła, że polityka nie musi być wyłącznie partyjna, ale możliwa jest współpraca polityków z różnych opcji politycznych, jeśli cel tego wymaga.

Jola była po prostu świetnym posłem. Nie jest to tylko subiektywna opinia, jako że została bardzo szybko zaliczona przez dziennikarzy do ścisłej czołówki poselskiej. Dziennikarze „Polityki" umieścili ją w grupie dwunastu najlepszych posłów zasiadających w Sejmie. Doceniono jej umiejętność łączenia wiedzy prawniczej, doświadczenia wyniesionego z Kancelarii Prezydenta z analizą aktualnych realiów politycznych. Co ważne, zawsze potrafiła klarownie wyrazić swoje stanowisko, podpierając je silnymi argumentami; często podkreślano, że zawsze dobrze wie, o czym mówi...

Jeśli do tego dodamy, że zdaniem konkurencyjnego tygodnika „Wprost" również zwyciężyła w kategorii *arbiter elegantiarum*, czyli została uznana za najlepiej ubranego polityka wśród kobiet, to nie możemy mieć cienia wątpliwości, że była nietuzinkowym posłem.

Kolejny obraz to Jola płomiennie i trafnie argumentująca na rzecz Unii Europejskiej, w tej kwestii nie było u niej najmniejszych wątpliwości, Europa ponad wszystko. Stąd między innymi postanowiła specjalizować się w problematyce międzynarodowej. Szybko została ekspertem w tej materii wielokrotnie zapraszanym do debat na temat przyszłości Europy i miejsca Polski Europie. To z jej inicjatywy przed gmachem Parlamentu znalazła się flaga Unii Europejskiej. W Sejmie przekonywała, że „Polska winna inicjować rzeczowe rozmowy na temat przyszłości Europy" i jednocześnie

stawać się coraz bardziej poważnym i znaczącym partnerem, opowiadała się zdecydowanie za „realizowaniem misji silnej Polski w silnej Europie".

Dziś wielu obserwatorów życia politycznego jest zgodnych, że Jola była jedną z tych kobiet polskiej sceny politycznej, która bez wątpienia nosiła w plecaku buławę lidera.

10 kwietnia 2010 roku los postanowił inaczej…

10 lat minęło...
Pożegnanie Prezydenta
przez pracowników Kancelarii

Szanowny Panie Prezydencie!
Szanowni Zebrani,
Koleżanki i Koledzy,

10 lat naszej wspólnej pracy w najwyższym urzędzie Rzeczypospolitej Polskiej nasuwa mi porównanie z biegiem maratońskim.

10 lat temu stanęliśmy na starcie dobrze przygotowani technicznie i kondycyjnie, choć mieliśmy pewne obawy, bo nigdy przed tym tego dystansu nie biegaliśmy.

Początek biegu był dość trudny, bo było pod górkę, a i wiatr również nie był nam korzystny. Później było już lepiej choć grupa biegaczy nieco się rozciągnęła, a kilku nawet zeszło z trasy, decydując się na zmianę konkurencji.

Zebrana na trasie publiczność przyjmowała nasz bieg dobrze, nawet entuzjastycznie, choć zdarzali się i tacy widzowie, którym nasz bieg się nie podobał. My jednak biegliśmy coraz szybciej. Byli też sędziowie, na szczęście nieliczni, którzy nie akceptowali stylu naszego biegu, ale na szczęście żółtych kartek nie zdążyli wyjąć.

Po drodze podobnie jak w maratonie nowojorskim biegliśmy przez długi most. Część z nas, jak np. Edward i ja, jesteśmy już przy ostatnim przęśle tego mostu, inni, jak Waldek i Darek, są dopiero przy przęśle środkowym.

Ważne dla nich, żeby ten most nie był zwodzony. Jak to zwykle bywa, pomiędzy 30 a 35 km przeżywaliśmy kryzys, ale dzięki liderowi naszego zespołu przezwyciężyliśmy go.

Nasz najlepszy biegacz, choć mógł się oderwać od grupy i samotnie biec do mety, zdecydował się biec do końca z nami, a nawet pomagał słabszym przy podbiegach, aby opanowali kryzys. Trudne było ostatnie 195 metrów, bo meta była już widoczna, ale narastające zmęczenie bieg ten utrudniało.

Dobiegliśmy jednak wszyscy, i trud oraz wysiłek opłaciły się, bo lider naszego zespołu przygotował dla nas wieńce laurowe, które za metą nam wręczył, dziękując za wspólny bieg.

Panie Prezydencie,

Tyle lekkoatletycznych refleksji, które ze względu na mój życiorys Pan mi wybaczy. Przez dziesięć lat uczestniczyłem w licznych ceremoniach wręczanych przez Pana Prezydenta odznaczeń, sam je wielokrotnie też wręczałem. Widziałem wzruszenie odznaczonych. Ludzi sławnych i anonimowych, ludzi różnych zawodów i przekonań. Dzisiaj ja, moje koleżanki i koledzy stoimy wzruszeni, dziękując Panu za te wysokie odznaczenia.

Dziękujemy Panie Prezydencie!
Dziękujemy Olku!
Dziękujemy Drogi Przyjacielu!

Andrzej Majkowski

Marek Ungier

Przywódca

Spotykamy czasem ludzi, którzy zmieniają nas na zawsze, bywa że wpływają na bieg historii. Do takich osobowości należy – nie tylko dla grona przyjaciół, ale całego pokolenia o lewicowych poglądach – Aleksander Kwaśniewski.

Oczywiste było, że wykluczenie roczników lat pięćdziesiątych XX wieku z udziału w zmianach ustrojowych nie jest możliwe. Uważni obserwatorzy, ciekawi świata, wykształceni w epoce gierkowskiej, którzy widzieli brak ekonomicznej wydolności socjalistycznych koncepcji, nie mogli pozostać obojętni.

Planowaliśmy aktywność polityczną – w zasadzie rozłożone na lata trwanie w opozycji, wierząc, że Polsce potrzebna jest partia zdrowego rozsądku. Właściwie tylko Aleksander Kwaśniewski był przekonany, że bliskie nam ideały, mimo zawieruchy, nie stały się społecznie obojętne i że należy natychmiast tworzyć polityczną reprezentację.

W dużej mierze dzięki poglądom i usposobieniu Aleksandra Kwaśniewskiego możliwe było zachęcenie do działania wielu indywidualności i niewyobrażalna dla większości przeciwników, szybka, polityczna odbudowa lewicy. Od zmiecenia w drodze ulicznej rewolucji po prezydenturę i premierostwo w drodze demokratycznych wyborów. Pokonanie tej drogi w ciągu kilku lat nie byłoby możliwe bez obdarzonego autorytetem przywódcy. Tej wieloletniej ciężkiej pracy towarzyszyła atmosfera wzajemnej sympatii i życzliwości, jaka cechuje ludzi ciekawych siebie i świata.

Każdy znał cel i był świadom swej roli, choćby niezbyt wielkiej, ale dającej poczucie uczestnictwa w czymś znaczącym, a atmosfera, humor i niepamiętliwość odsuwały na plan dalszy meandry niełatwego charakteru. Bez wątpienia to najlepsza rola, w jakiej życie obsadziło Jubilata

Prezydent Kwaśniewski jest mistrzem politycznego pasjansa i jeśli według ustalonej przez niego wcześniej sekwencji, karty są poukładane, to nikt z taką maestrią nie potrafi dołożyć tej ostatniej, udowadniając, że zarówno cele, jak i środki podjętych działań politycznych były trafne. To budzi sympatię i uznanie ugruntowujące przekonanie o powadze i przewidywalności polityka, skutkujące reelekcją w pierwszej turze, zaproszeniem do papamobile, trwałym w ciągu prezydentury pierwszym miejscem w rankingu akceptacji społecznej, międzynarodowym uznaniem czy oklaskami napotkanych przechodniów.

Należałem do grona ludzi, których Aleksander Kwaśniewski wyróżniał przychylnością. Kilkunastoletni okres bliskiej współpracy dał nie tylko niezapomnianą okazję do fascynacji rozwojem polityka, wspieranego przez żonę Jolantę, człowieka szczęśliwego, ale także przywodzi na myśl i te mniej radosne chwile w życiu. Pamiętam cenę, jaką płacił za oddanie teki premiera przez klub parlamentarny, któremu przewodził, zgodę na ryzykowne wojskowe misje zagraniczne, odkłamanie Jedwabnego, kohabitację z tymi, którzy już wtedy marzyli o tym, by dorżnąć jakąś watahę, czy podszytą egoizmem i głupotą polityczną zdradę wieloletnich przyjaciół. Tę samotność w obliczu trudnych decyzji osładzało Jubilatowi niezłomne przekonanie, że nawet najbardziej zdeklarowani zwolennicy są tylko ludźmi i należy ich rozgrzeszyć, mimo że skrucha jest często udawana, i to nie zawsze zręcznie.

To sześćdziesiąt pięknych lat, z których ponad połowa to bycie osobą publiczną. To lata różnych doświadczeń, wielu ról społecznych, mało eksponowanych sukcesów i przesadnie nagłaśnianych mniej chwalebnych dokonań. Często mam okazję rozmawiać na temat Aleksandra Kwaśniewskiego – bywają różnice zdań, ale zawsze pojawia się prośba: „niech pan przekaże, nie czas na emeryturę".

To tęsknota za politykiem tej klasy, za przywódcą. Człowiekiem o niezmiennych zasadach i poglądach, przekonującym swym przykładem, że nie wolno być obojętnym, a aktywność, jeśli szczera i zaangażowana, może być pożyteczna w różnych obszarach i na równych prawach bez względu na to, czy walczy się o czyjąś wolność osobistą, czy doradza

w interesach. W ocenach, nie tylko jubileuszowych, brak wciąż takich przejawów normalności i zdrowego rozsądku, od którego zaczynaliśmy.

Miło jest znać człowieka, który już wpisał się na trwałe w historię Polski i zapewne jeszcze po wielokroć, tak jak dotychczas wykorzystując mądrość i doświadczenie, będzie jej służył.

Oby zdrowie dopisywało, czego Jubilatowi serdecznie życzę.





Kampania wyborcza w 1995 roku.



Ministrowie Kancelarii Prezydenta RP po nominacji na stanowiska. Warszawa, 3.01.1995.



Inauguracyjne spotkanie przywódców państw Trójkąta Weimarskiego. Poznań, 21.02.1998.



Szefowe Kancelarii Prezydenta RP: Jolanta Szymanek-Deresz, Danuta Hübner, Danuta Waniek.



Ostatnia pielgrzymka papieża Jana Pawła II do Polski. Kraków, 16.08.2002.



Powitanie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego przez Hamida Karzaja, prezydenta Afganistanu. Kabul, 23.10.2002.



Radość Prezydenta RP po ogłoszeniu wyników referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Warszawa, 8.06.2003.



Wizyta w Warszawie Javiera Solany, Wysokiego Przedstawiciela UE ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. 10.05.2005.



Jolanta Szymanek-Deresz, szefowa Kancelarii Prezydenta RP w latach 2000–2005 (zginęła w katastrofie pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 roku).



Uczestnicy II edycji Letniej Akademii Integracji Europejskiej Aleksandra Kwaśniewskiego. Krokowa, 24.09.2008.



Ireneusz Bil, Aleksander Kwaśniewski i Andrzej Majkowski. Otwarcie III edycji Letniej Akademii Integracji Europejskiej Aleksandra Kwaśniewskiego. Krokowa, 21.09.2009.



Wręczenie Europejskiego Medalu Tolerancji prezydentowi Chorwacji Ivo Josipovićovi i byłemu prezydentowi Serbii Borisowi Tadićiowi, Bruksela, 16.10.2012.



Jacek Krawiec, José María Aznar, Aleksander Kwaśniewski, Giuliano Amato i Jan Krzysztof Bielecki. Dyskusja panelowa podczas konferencji European Executive Forum. Warszawa, 21.03.2013.



Aleksander Kwaśniewski, Bill Clinton i Gerhard Schröder.
Rozmowa podczas obrad dorocznej konferencji Europejskiej Strategii Jałtańskiej. Jałta, 19.09.2013.



Roman Shpek, Petro Poroszenko i Aleksander Kwaśniewski.
Rozmowa podczas Europejskiej Strategii Jałtańskiej. Jałta, 20.09.2013.



Pat Cox, Martin Schulz i Aleksander Kwaśniewski. Konferencja prasowa specjalnej misji obserwacyjnej Parlamentu Europejskiego na Ukrainie.
Bruksela, 1.10.2013.

Notki zawodowe autorów

Marcin Augustyn, pracownik Kancelarii Prezydenta w latach 2001––2006. Współautor licznych publikacji, poświęconych historii i teraźniejszości rezydencji Prezydenta RP. Historyk z zamiłowania. Obecnie pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Andrzej Barcikowski, dr nauk politycznych; 1977–1984 pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego; 1984–1990 na stanowiskach kierowniczych w pionie analityczno-ideologicznym w KC PZPR; 1996–1997 Szef Doradców Premiera W. Cimoszewicza, później podsekretarz stanu w MSWiA; szef UOP i ABW; od 2010 Dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa w NBP.

Waldemar Dubaniowski, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, SGH oraz Krajowej Szkoły Administracji Publicznej. W latach 1996–2000 w Kancelarii Prezydenta RP jako dyrektor Zespołu Gabinetu Prezydenta RP, później członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. W 2005 szef gabinetu Prezydenta RP. Od 2008 ambasador RP w Singapurze. Były Prezes Polskiego Związku Tenisowego.

Jerzy Dziewulski, prawnik, antyterrorysta, członek PZPR, SdRP i SLD; poseł na Sejm I, II, III i IV kadencji. Współpracownik Sztabu Wyborczego w kampanii prezydenckiej 1995 r.

Mariusz Gulczyński, prof. zwycz. nauk humanistycznych; badał i nauczał w Instytucie Nauk Politycznych UW, WSNS, Instytucie Nauk Prawnych PAN, Uniwersytecie Zielonogórskim, Wyższej Szkole Ekonomicznej w Warszawie; wcześniej – członek ZWM, ZMP, PPR, PZPR; uczestnik obrad i współredaktor „Porozumień Okrągłego Stołu".

Krzysztof Janik, dr nauk politycznych; karierę polityczną zaczynał w latach 80. w socjalistycznym ruchu młodzieżowym; kierownik Zespołu Analiz i Programowania KC PZPR; członek – założyciel SdRP; w latach 1993–2005 poseł na Sejm, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta (1996–1997); Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji w rządzie L. Millera (2001–2004); Sekretarz Generalny SLD, w roku 2004 – przewodniczący tej partii. Od 2005 r. adiunkt w Krakowskiej Akademii im. Frycza Modrzewskiego, od 2013 także w Akademii Obrony Narodowej.

Stanisław Kwiatkowski, prof. dr hab., socjolog polityki. Organizator i pierwszy dyrektor CBOS (1982–1990) oraz Instytutu GfK Polonia (1990––1995); płk Wojska Polskiego w st. spoczynku; długoletni doradca Ministra Obrony Narodowej oraz Prezesa Rady Ministrów. Obecnie profesor w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku.

Lech Nikolski, historyk i doktor nauk o polityce; członek ZSMP, PZPR, SdRP, SLD; w latach 1997–2005 poseł na Sejm; w 2003 r. Minister – członek Rady Ministrów, odpowiedzialny za przygotowanie referendum europejskiego; obecnie adiunkt w Akademii Obrony Narodowej, autor wielu publikacji o charakterze analityczno-politologicznym.

Wiesław Pruszyński, w latach 1994–2006 kierował zespołami technicznego utrzymania nieruchomości Kancelarii Prezydenta RP. Ekonomista, z zamiłowania fotografik. Współautor zdjęć do wydawnictw albumowych, poświęconych gmachom reprezentacyjnym urzędu Prezydenta RP.

Janusz Reykowski, profesor w Instytucie Psychologii PAN, specjalizuje się w zakresie psychologii społecznej i psychologii politycznej. Jest członkiem Akademii Europejskiej (od 1991), a także Membre Titulaire De L'Academie Europeenne Des Science, Des Arts et Des Lettres (od 2001 r.). W latach 2003–2005 był Prezydentem Międzynarodowego Towarzystwa Psychologii Politycznej. Członek PZPR, w okresie 1988–1990 członek Biura Politycznego KC PZPR, brał udział w obradach Okrągłego Stołu jako współprzewodniczący Stołu Politycznego, reprezentując stronę rządową.

Andrzej Romanowski, prof. dr hab., Uniwersytet Jagielloński oraz Instytut Historii PAN, kierownik katedry Kultury Literackiej Pogranicza na Wydziale Polonistyki UJ; redaktor naczelny „Polskiego Słownika

Biograficznego". W latach 1976–2002 publicysta „Tygodnika Powszechnego".

Zbigniew Siemiątkowski, dr hab., pracownik Uniwersytetu Warszawskiego, badacz dziejów najnowszych Polski oraz roli w procesach politycznych służb specjalnych. Członek PZPR, SdRP, SLD. W latach 1991–2005 poseł na Sejm. Minister spraw wewnętrznych w rządzie W. Cimoszewicza. W okresie 2001–2004 szef UOP, a po jego rozwiązaniu szef Agencji Wywiadu. W kampanii prezydenckiej 1995 rzecznik prasowy sztabu wyborczego.

Marek Siwiec, absolwent AGH; dziennikarz; członek PZPR, SdRP, SLD; poseł na Sejm I i II kadencji, były członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji; szef BBN w kancelarii A. Kwaśniewskiego; poseł do Parlamentu Europejskiego VI i VII kadencji.

Edward Szymański, ekonomista, polityk, działacz państwowy i samorządowy. Członek PZPR, SLD. W latach 1976–1989 poseł na Sejm. Wieloletni uczestnik prac Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Podsekretarz Stanu w kancelarii Prezydenta RP w latach 1996–2005. Pełnił obowiązki ostatniego szefa Kancelarii Prezydenta A. Kwaśniewskiego.

Dariusz Szymczycha, dziennikarz, pracował w redakcji „Na Przełaj" i „Sztandaru Młodych". Laureat Nagrody Młodych im. Juliana Bruna. Członek PZPR, uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W wyborach prezydenckich 1990 rzecznik prasowy kandydata W. Cimoszewicza. W latach 1992–1997 redaktor naczelny „Trybuny", a następnie pracownik Telewizji POLSAT; W kampanii wyborczej 2000 członek sztabu wyborczego i rzecznik kandydata na urząd Prezydenta RP; w okresie 2002–2005 sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP; obecnie doradca w zakresie procesów decyzyjnych w Polsce i w Unii Europejskiej.

Marek Ungier, działacz państwowy i partyjny. W latach 80. ubiegłego wieku Sekretarz ZG ZSMP; po 1989 r. członek kierownictwa Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej; w latach 1994–1995 dyrektor generalny i podsekretarz stanu w Urzędzie Rady Ministrów; od 23 grudnia 1995 przez dziewięć lat szef gabinetu i sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP.

Robert Walenciak, dziennikarz prasy lewicowej – „Sztandar Młodych", „Przegląd", „Trybuna" (w roku 2013 był redaktorem naczelnym „Dziennika Trybuna"). Publicysta, autor telewizyjnych programów historycznych „Za kulisami PRL-u", felietonista i komentator.

Danuta Waniek, prawnik (UW), politolog (IHS Wiedeń). W latach młodości związana z ZHP i ZSP, członek PZPR, SdRP, SLD. W okresie 1990–2001 przewodnicząca Demokratycznej Unii Kobiet. W kampanii prezydenckiej 1990 wiceprzewodnicząca Komitetu Wyborczego W. Cimoszewicza; poseł na Sejm I, II i III kadencji (wiceprzewodnicząca Klubu Parlamentarnego SLD, rzecznik prasowy Klubu, wiceprzewodnicząca Parlamentarnej Grupy Kobiet); 1994–1995 wiceminister Obrony Narodowej; w kampanii prezydenckiej 1995 Szef Sztabu Wyborczego, a następnie pierwszy Szef Kancelarii A. Kwaśniewskiego. Od 2001 r. w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji, 2003–2006 Przewodnicząca Rady. Obecnie prof. nadzw. w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

Jerzy Wiatr, socjolog, emerytowany profesor Uniwersytetu Warszawskiego, honorowy rektor Europejskiej Szkoły Prawa i Administracji. Członek PZPR, SdRP i SLD. Autor licznych opracowań naukowych o prekursorskim charakterze z zakresu socjologii polityki. Poseł na Sejm I, II i III kadencji. W latach 1996–1997 Minister Edukacji Narodowej. Długoletni Przewodniczący Towarzystwa Kultury Świeckiej im. T. Kotarbińskiego. Także: doktor h.c. Narodowego Uniwersytetu im. Ołesia Honczara w Dniepropietrowsku, honorowy senator Uniwersytetu w Lublanie.

Andrzej Werblan, historyk, politolog, emerytowany profesor Uniwersytetu Śląskiego. Długoletni działacz polityczny, związany z ruchem socjalistycznym (PPS, PZPR), wicemarszałek Sejmu PRL w latach 1971––1982. Autor licznych opracowań historycznych, m.in. *Władysław Gomułka – sekretarz generalny PPR* oraz *Stalinizm w Polsce*. Obecnie wykładowca WSE Almamer w Warszawie.

Wywiadów udzielili:

Artur Balazs, polityk, działacz NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych, w III RP założyciel i przywódca Stronnictwa Ludowo-Chrześcijańskiego, a następnie Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego. Poseł na Sejm czterech kadencji (X, I, III, IV), senator w latach 1995–1997. Członek rządów Tadeusza Mazowieckiego (minister ds. warunków życia na wsi), Jana Olszewskiego (minister ds. kontaktów politycznych), Jerzego Buzka (minister rolnictwa).

Marek Belka, profesor ekonomii, związany naukowo z Uniwersytetem Łódzkim; w młodości członek ZSMP, ZSP, PZPR. Po 1989 r. dyrektor Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, doradca ds. ekonomicznych prezydenta A. Kwaśniewskiego; dwukrotnie wicepremier, od maja 2004 do października 2005 Prezes Rady Ministrów (rząd mniejszościowy, z poparciem SLD); od czerwca 2010 r. Prezes Narodowego Banku Polskiego.

Włodzimierz Cimoszewicz, dr nauk prawnych (Uniwersytet Warszawski), w młodości członek ZMS i ZSP, członek PZPR; kandydat lewicy w pierwszych wolnych wyborach prezydenckich (1990); w latach 1993–1995 wiceprezes Rady Ministrów, minister sprawiedliwości i prokurator generalny; w okresie 1995–1996 wicemarszałek Sejmu; w czasie 1996–1997 Prezes Rady Ministrów; w latach 2001–2005 minister spraw zagranicznych. Poseł na Sejm X, I, II, III, i IV kadencji, od 2007 r. senator VII i VIII kadencji.

Stanisław Ciosek, ekonomista, absolwent Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie, polityk i dyplomata; w młodości działacz i członek kierownictwa władz ZSP, w latach 1973–1975 Przewodniczący Rady Głównej Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. Członek PZPR, w latach 1971–1989 pełnił funkcje na różnych szczeblach aparatu PZPR; uczestnik obrad Okrągłego Stołu; od listopada 1989 do 1996 r. był ambasadorem Polski w Moskwie. Doradca Prezydenta A. Kwaśniewskiego ds. międzynarodowych i polityki wschodniej.

Wojciech Jaruzelski, sybirak, żołnierz II wojny światowej, generał armii Wojska Polskiego; pełnił liczne wojskowe stanowiska dowódcze, zaś

w okresie 1968–1986 był Ministrem Obrony Narodowej; w latach 1981––1989 I sekretarz KC PZPR, Prezes Rady Ministrów w okresie 1981–1985; poseł na Sejm III, IV, V, VI, VII, VIII i IX kadencji; po wyborach z 4 czerwca 1989 r. wybrany na urząd Prezydenta Polski, który pełnił do 1990 r.

Jerzy Koźmiński, w latach 1989–1993 dyrektor generalny i podsekretarz stanu w urzędzie Rady Ministrów, był jednym z najbliższych współpracowników i szef sztabu wicepremiera L. Balcerowicza; w latach 1993–1994 sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; w okresie 1994––2000 ambasador RP w USA, zaangażowany w przyjęcie Polski do NATO oraz w ustanowienie sojuszniczych relacji między RP i USA. Obecnie prezes Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności. Przyjaciel Aleksandra Kwaśniewskiego z czasów studenckich.

Waldemar Kuczyński, publicysta, polityk, wykładowca akademicki, w okresie PRL działacz opozycyjny. W III RP polityk Unii Demokratycznej, Unii Wolności i Partii Demokratycznej. Szef zespołu doradców premierów Tadeusza Mazowieckiego i Jerzego Buzka, Minister Przekształceń Własnościowych w rządzie tego pierwszego.

Adam Michnik, publicysta, eseista, polityk, w okresie PRL jeden z liderów opozycji, twórca wielu jej koncepcji politycznych i ideowych. Poseł na Sejm kontraktowy, od początku redaktor naczelny „Gazety Wyborczej". Autor wielu kontrowersyjnych artykułów, które wzbudzały spory i debaty publiczne. Kawaler Orderu Orła Białego.

Leszek Miller, polityk, w okresie PRL działacz PZPR, w której pełnił funkcję sekretarza KC i członka Biura Politycznego. Współzałożyciel Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, jej sekretarz generalny i przewodniczący. Współtwórca Sojuszu Lewicy Demokratycznej, dwukrotnie jego przewodniczący. Minister Pracy i Spraw Socjalnych w rządach Waldemara Pawlaka i Józefa Oleksego, Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji w rządzie Włodzimierza Cimoszewicza. Prezes Rady Ministrów w latach 2001–2004.

Józef Oleksy, ekonomista, absolwent Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, w młodości działacz ZSP i PZPR; po 1989 r. Marszałek Sejmu w latach 1993–1995 i 2004–2005; w okresie 1995–1996 Prezes Rady

Ministrów, wicepremier i minister spraw wewnętrznych w 2004 r.; poseł na Sejm X, I, II, III i IV kadencji; w latach 2004–2005 przewodniczący SLD, obecnie wiceprzewodniczący tej partii.

Janusz Onyszkiewicz, polityk, z zamiłowania himalaista. Działacz „Solidarności", jej rzecznik prasowy, następnie działacz Unii Wolności i Unii Demokratycznej. Poseł na Sejm X, I, II, III kadencji, dwukrotny (1992–1993, 1997–2000) minister obrony narodowej. Poseł do Parlamentu Europejskiego w latach 2004–2009. Prezes Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego.

Jacek Raciborski, socjolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Autor kilkunastu książek o zachowaniach politycznych, w tym zwłaszcza wyborczych, polskiego społeczeństwa oraz ponad stu artykułów naukowych. Komentator bieżącej polityki, publicysta. Kierownik Zakładu Socjologii Polityki UW.

Izabella Sierakowska, działaczka społeczna i polityk, filolog, nauczycielka; członek PZPR, SdRP (do 1999 r. wiceprzewodnicząca partii) i SLD; poseł na Sejm X, I, II, III, IV i VI kadencji, organizatorka wewnątrzpartyjnej Platformy Równych Szans i Praw Kobiet.

Jerzy Urban, dziennikarz, publicysta, polityk; w latach 1981–1989 rzecznik prasowy Rady Ministrów; od 1990 roku wydaje i redaguje tygodnik „NIE".

Szewach Weiss, urodzony w Borysławiu, izraelski polityk, działacz Partii Pracy, poseł do Knesetu i jego przewodniczący w latach 1992–1996. Od 2000 roku jest Przewodniczącym Rady Instytutu Pamięci Yad Vashem. W latach 2001–2003 ambasador Izraela w Polsce. Profesor nauk politycznych na Uniwersytecie w Hajfie, wykłada gościnnie na Uniwersytecie Warszawskim. Pisarz, publicysta, regularnie publikuje w polskiej prasie. Członek Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu.

Indeks nazwisk

Abdullah bin Abduziz Al Saud, król Arabii Saudyjskiej, t. 1: 477
Abdullah II (Abd Allah II ibn Husajn), król Jordanii, t. 1: 477
Adamkus Valdas, t. 1: 379, 470, t. 2: 408
Adenauer Konrad, t. 2: 63, 64
Ahtisaari Martti, t. 1: 459
Aigner Chrystian Piotr, t. 2: 395, 412
Ajnenkiel Andrzej, t. 1: 17, 19, 20, 155
Akajew Askar, t. 1: 465
Akihito, cesarz Japonii, t. 1: 475
Al Thani Hamad bin Khalif (Hamad ibn Chalifa Al Sani), t. 1: 477
Aldona Anna, królowa Polski, t. 1: 437
Alston Philip G., t. 1: 188
Andropow Jurij W., t. 2: 70
Annusewicz Olgierd, t. 1: 551, 552
Antoszewski Andrzej, t. 1: 542, t. 2: 92
Apas Peter, t. 1: 181
Apter David E., t. 2: 41
Arbatow Aleksiej, t. 1: 395
Aronson Elliot, t. 2: 41
Arski Stefan, t. 2: 114
Augustyn Marcin, t. 2: 433
Augustyn Mieczysław, t. 1: 144
Austin William G., t. 2: 29
Aznar José María, t. 1: 459

Baca Paweł, t. 1: 202
Bachmann Klaus, t. 2: 60
Bagiński Paweł, t. 1: 342
Baka Władysław, t. 1: 43, 60, 64, 65, t. 2: 169, 281
Baker George, t. 1: 408
Balazs Artur, t. 2: 303, 382, 437
Balcerowicz Bolesław, t. 1: 166
Balcerowicz Leszek, t. 1: 33, 65, 253, 260, 262, 265, 266, 269, 300, 356, 505, t. 2: 74, 84, 106, 217, 218, 260, 267, 270, 273, 280, 281, 336, 338, 370, 376, 438
Balcewicz Zbigniew, t. 1: 428
Banach Czesław, t. 2: 57
Banach Jolanta, t. 1: 271
Banaszak Bogusław, t. 1: 225, 261
Barak Ehud, t. 1: 478, t. 2: 327, 328
Baranowskij Władimir (Baranovsky Vladimir), t. 1: 389, 403
Barański Marek, t. 1: 11
Barcikowski Andrzej, t. 2: 433
Barcikowski Kazimierz, t. 1: 49, 570, 571
Bardach Juliusz, t. 1: 19
Bardecki Andrzej, ks., t. 2: 314
Barroso José Manuel, t. 1: 447, 459
Bartkowski Jerzy, t. 2: 200
Bartoszewski Władysław, t. 1: 358, 425, 427, t. 2: 368
Basara Zbigniew, t. 1: 556
Băsescu Traian, t. 1: 472
Bauc Jarosław, t. 1: 269, 274

Bauman Zygmunt, t. 1: 31, 180
Baylis Thomas A., t. 2: 8
Bączkowski Andrzej, t. 2: 296
Beatrix, królowa Holandii, t. 1: 460
Beck Leo, t. 1: 481
Bednarska Elżbieta, t. 2: 409
Bednarski Andrzej, t. 2: 409
Beiersdorf Zbigniew, t. 1: 566
Belka Marek, t. 1: 266, 274, 444, 517, t. 2: 119, 231, 267, 269, 274, 377, 383, 437
Bender Ryszard, t. 2: 163
Benedykt XVI (Joseph Ratzinger), papież, 265 t. 1: 460
Berek Maciej, t. 1: 149
Berlusconi Silvio, t. 1: 379, 458
Bielański Janusz, t. 1: 575
Bielecki Czesław, t. 1: 71, t. 2: 170
Bielecki Jan Krzysztof, t. 2: 199
Biernacki Marek, t. 1: 204
Bierut Bolesław, t. 1: 118, 119, 126, 564, t. 2: 398
Biessmiertnych Aleksandr, t. 1: 409
Bikont Anna, t. 1: 69
Bikont Piotr, t. 2: 67
Bil Ireneusz, t. 1: 583
Binkowski Henryk, t. 1: 240, 244, 248, 249
Blair Tony, t. 1: 267, 379, 457, t. 2: 64, 180
Blaszczyk Regina L., t. 2: 133
Blida Barbara, t. 1: 194
Błaszczak Wojciech, t. 1: 495
Bocheński Józef Maria, t. 1: 152
Boć Jan, t. 1: 155
Bodio Tadeusz, t. 1: 163
Bogdanowski Janusz, t. 1: 566
Bogucka-Skowrońska Anna, t. 2: 382
Bogusz Anna, t. 2: 170
Boni Michał, t. 1: 275
Boniecki Adam, ks., t. 1: 72, t. 2: 382
Boniecki Wiktor, t. 1: 567
Born Hans, t. 1: 174
Borowski Marek, t. 1: 555, t. 2: 20, 106, 165, 192, 273, 283, 293, 338
Borucki Marek, t. 1: 17, 20
Borusewicz Bogdan, t. 1: 65, 129
Borusiewicz Władysław, t. 1: 566
Bosiakowski Zygmunt, t. 2: 364, 365
Boyes Roger, t. 1: 49
Bożyk Stanisław, t. 1: 147
Brandt Willy, t. 2: 64
Brazauskas Algirdas, t. 1: 436
Breitkopf Jerzy, t. 1: 577
Brewer Marilynn B., t. 2: 42
Breżniew Leonid, t. 2: 118
Brickman Phillip, t. 1: 495
Broniarek Zygmunt, t. 1: 356
Brown Archie, t. 2: 8
Brzeziński Zbigniew, t. 1: 407, t. 2: 322
Bubel Leszek, t. 2: 155
Buczkowski Jerzy, t. 1: 225
Budzowski Klemens, t. 1: 160
Budzyńska Ewa, t. 1: 263
Bugaj Ryszard, t. 1: 65, 264, 265, t. 2: 12, 259
Bujak Zbigniew, t. 1: 31, 38, 66, t. 2: 12, 13, 341
Burda Andrzej, t. 1: 116
Bush George H.W., t. 1: 40, 236, 342, 349, 356, 357, 360, 367, t. 2: 236, 342
Bush George W., t. 1: 349, 356–384, 449, 451, 452, t. 2: 250, 252, 253, 272
Buzek Jerzy, t. 1: 98, 99, 173, 249, 269, 358, 444, t. 2: 202, 205, 217, 219, 255, 256, 270, 307, 308, 323, 324, 377, 437, 438

Callaghan James, t. 2: 64
Cameron David, t. 2: 64
Cardoso Fernando Henrique, t. 1: 479
Ceausescu Nicolae, t. 2: 79, 116, 221
Cęckiewicz Witold, t. 1: 566, 569
Chałasiński Józef, t. 2: 52, 55

Charwat Franciszek, t. 1: 430
Chirac Jacques, t. 1: 446, 454, t. 2: 251, 252
Chocholak Paweł, t. 1: 52
Chorążewska Anna, t. 1: 76, 91, 94
Chróścicka Agata, t. 1: 48, t. 2: 367
Chróścielewski Wojciech, t. 1: 109
Chruściak Ryszard, t. 1: 209, 211, 217, 286, 288, 289
Chrzanowski Tadeusz, t. 1: 566, 573, 574, 581, 582
Chrzanowski Wiesław, t. 2: 322
Churchill Winston, t. 2: 64, 128
Chwedczuk Mariusz, t. 2: 365
Ciampi Carlo Azeglio, t. 1: 458
Ciapała Jerzy, t. 1: 75, 81, 92, 93
Ciborowski Tadeusz, t. 1: 21
Cichocka Elżbieta, t. 1: 180
Cichosz Marzena, t. 1: 554
Ciechoński Tomasz, t. 2: 410
Cień Magda, t. 2: 374
Ciepielewska Anna, t. 1: 264
Ciesielski Roman, t. 1: 566
Cimoszewicz Włodzimierz, t. 1: 173, 386, 444, 453, 557, t. 2: 16, 17, 20, 74, 119, 157, 161, 198, 200, 207, 229, 242, 249, 259, 268, 269, 272, 292, 293, 300, 324, 335, 337, 338, 341, 364, 369, 377, 433, 435, 437, 438
Ciosek Stanisław, t. 1: 38, 42, 45, 58, 64, 68, 73, 386, t. 2: 72, 230, 235, 361, 278, 285, 437
Ciprut Jose V., t. 2: 8
Ciupiński Andrzej, t. 1: 240, 249
Clemenceau Georges, t. 1: 175
Clinton Bill, t. 1: 349–356, 360, 362, 450, t. 2: 357, 366
Clinton Rodham Hillary, t. 1: 413, 414, 540, 556
Coates Dan, t. 1: 495
Codogni Paulina, t. 1: 61, 69
Coleman James, t. 1: 509
Conley Heather A., t. 1: 423
Constantinescu Emil, t. 1: 472
Converse Philip Ernest, t. 2: 41
Cox Pat, t. 1: 446, t. 2: 382
Cwalina Wojciech, t. 1: 545
Cyrankiewicz Józef, t. 1: 561, 562, 564, 565, t. 2: 114
Czaja Jan, t. 1: 240
Czapiński Janusz, t. 1: 273, 487–490, 493, 495, 499, 501–504, 506, 509, 510, 513, 583
Czaplicka Katarzyna, t. 1: 342
Czarnota-Bojarska Joanna, t. 1: 24
Czarny Piotr, t. 1: 228
Czarny Ryszard, t. 1: 292
Czech Mirosław, t. 2: 62
Czempiński Gromosław, t. 2: 263
Czernomyrdin Wiktor, t. 1: 386, t. 2: 287, 288
Czobot Medard, t. 1: 428
Czubajs Anatolij, t. 2: 336
Czubiński Antoni, t. 1: 115
Czyczło Małgorzata, t. 1: 382
Czykier-Wierzba Dorota, t. 1: 519
Czyrek Józef, t. 1: 48, t. 2: 278

da Vinci Leonardo, t. 1: 564, t. 2: 420
Dahl Robert A., t. 1: 151
Davies Norman, t. 1: 23
Davis John R., t. 1: 44, 47, 57
Dawes Charles, t. 1: 28
Dąbrowski Bronisław, abp, t. 1: 39
De Waele Jean-Michel, t. 1: 273
Dembowski Bronisław, ks., t. 1: 39
Demirel Süleyman, t. 1: 472
Deresz Paweł, t. 2: 420–423
Deudney Daniel, t. 1: 411, 414
Diamond Jared, t. 2: 128
Dimas Stavros, t. 1: 339
Dmowski Roman, t. 2: 222
Dobrzański Stanisław, t. 1: 167
Doliński Dariusz, t. 1: 495
Domagała Michał, t. 1: 81, 83

Domański Henryk, t. 1: 273
Dorn Ludwik, t. 2: 102, 103
Drawicz Andrzej, t. 2: 296, 365
Drnovšek Janez, t. 1: 474
Drobner Bolesław, t. 1: 561, 564
Drozdowski Bohdan, t. 1: 51
Dubaniowski Waldemar, t. 2: 433
Dubiński Krzysztof, t. 1: 48, 60, 73, 74
Duczkowska-Małysz Katarzyna, t. 1: 519, 583
Dudek Antoni, t. 1: 549, t. 2: 94, 202––204
Dudkiewcz Wojciech, t. 1: 553, 554
Dukaczewski Marek, t. 2: 282
Dunay Pál, t. 1: 398
Duncan Arne, t. 2: 142
Dutkiewicz Józef, t. 1: 553, 554
Dworakowski Władysław, t. 2: 112
Dybicz Paweł, t. 1: 257
Dyka Zbigniew, t. 2: 86
Dynkin Aleksander A., t. 1: 403
Dyoniziak Ryszard, t. 2: 52
Działocha Kazimierz, t. 1: 79, 81, 84, 85, 86, 88, 90, 215, 583
Dziemidok-Olszewska Bożena, t. 1: 76
Dziewulski Jerzy, t. 2: 347, 354, 355, 371, 433
Dziwisz Stanisław, kard., t. 1: 550

Eckhardt Krzysztof, t. 1: 225
Edelman Marek, t. 2: 336
Edwards George C., t. 1: 540
Eisenhower Dwight, t. 1: 153
Eksterowicz Anthony J., t. 1: 546
Elster Jon, t. 1: 182
Elżbieta II, królowa Wielkiej Brytanii, t. 1: 171, 456, 457, t. 2: 254, 325
Engels Fryderyk, t. 2: 126, 131
Erhard Ludwig, t. 1: 259, 262, 264, 265, t. 2: 64
Eshel Amir, t. 2: 331
Estreicher Karol, t. 1: 563, 566
Evans Gareth, t. 1: 395, 400
Eyal Gil, t. 1: 52

Fabiański Marcin, t. 1: 575
Falandysz Lech, t. 1: 162, t. 2: 237, 353, 363
Faliński Andrzej Maria, t. 1: 166
Falkowski Andrzej, t. 1: 545
Fehler Włodzimierz, t. 1: 165
Fernández-Armesto Felipe, t. 2: 128
Ferrero-Waldner Benita, t. 1: 391
Filip, książę Edynburga, t. 1: 456
Findeisen Władysław, t. 1: 39
Fischer Heinz, t. 1: 460
Fischer Joschka, t. 1: 446, t. 2: 129, 139, 382
Fischinger Andrzej, t. 1: 566
Fischler Franz, t. 2: 307
Fiske Susan T., t. 2: 37, 41
Fiszbach Tadeusz, t. 2: 14–16, 74, 99––103, 246, 259, 349
Fonfara Wiktor, t. 2: 369
Fox Quesada Vicente, t. 2: 253
Franco Francisco, t. 1: 30
Frank Hans, t. 1: 559
Frasyniuk Władysław, t. 1: 38, 49, 73, t. 2: 382
Frątczak-Rudnicka Barbara, t. 2: 200
Freelanad Chrystia, t. 2: 38
Frey-Bielecki Jan, t. 2: 220, 221
Friedman Thomas L., t. 2: 136
Friszke Andrzej, t. 1: 52
Fujimori Alberto, t. 1: 479
Fukuyama Francis, t. 1: 510, t. 2: 142, 143

Gabrielski Stanisław, t. 2: 67
Gadomski Jerzy, t. 1: 566
Gadomski Witold, t. 2: 61
Gadziński Marcin, t. 1: 383
Gagarin Jurij, t. 2: 343
Gajdar Jegor, t. 2: 336
Gamsachurdia Zwiad, t. 2: 339
Gardawski Juliusz, t. 1: 489

Garewicz Jan, t. 2: 52, 62
Garlicki Andrzej, t. 1: 42, 47
Garlicki Jan, t. 1: 564
Garlicki Leszek, t. 1: 85, 91, 100, 260, 286
Garlicki Mirosław, t. 1: 204
Gašparovič Ivan, t. 1: 467
Gągor Franciszek, t. 1: 171
Gąssowski Wojciech, t. 1: 547
Gdula Andrzej, t. 1: 38, 45, 48, 55, 59, 60, 62, 67, 73, t. 2: 258
Gdulewicz Ewa, t. 1: 217
Gebert Konstanty (ps. Dawid Warszawski), t. 1: 49, 58
Gebethner Stanisław, t. 1: 285, 583, t. 2: 196, 365, 367, 368
Geremek Bronisław, t. 1: 38, 41, 43, 47, 49, 51, 56, 61–63, 67, 68, 69, 73, 74, 99, 429, 444, t. 2: 12, 74, 102, 105, 116, 238, 255, 258, 261, 298, 322, 325, 376
Giddens Anthony, t. 1: 266, 267, t. 2: 179
Giedroyc Jerzy, t. 1: 6, 69, 70, 437, 438, t. 2: 222, 296
Gierek Edward, t. 1: 258, t. 2: 59, 77, 78, 116, 119, 347
Gierke Otto, t. 1: 190
Gieysztor Aleksander, t. 1: 39 t. 2: 434
Gil Mieczysław, t. 1: 38, 61, 73
Gilbert Daniel T., t. 2: 37, 41
Gilejko Leszek, t. 1: 264, 489
Gillert Piotr, t. 1: 382
Glaeser Edward L., t. 1: 509
Glajcar Rafał, t. 1: 76
Glemp Józef, kard., prymas, t. 1: 577
Glickman Lawrence, t. 2: 136
Głogowski Mirosław, t. 1: 98
Główczyk Jan, t. 1: 27
Gocłowski Tadeusz, abp, t. 2: 273
Godlewski Tadeusz, t. 1: 289
Goetel Walery, t. 1: 565
Golec de Zavala Agnieszka, t. 1: 487
Gołębiewski Grzegorz, t. 1: 275
Gołębiowski Bronisław, t. 2: 52
Gomułka Stanisław, t. 1: 299
Gomułka Władysław, t. 1: 114, t. 2: 58, 61, 112–118, 222
Göncz Árpád, t. 1: 468
Gonzalez Felipe, t. 2: 264, 265
Gorbaczow Michaił, t. 1: 407–409, 414, t. 2: 71, 83, 233, 235, 236, 281, 326
Gorbaczowa Raisa, t. 1: 544
Gore Al, t. 1: 357, 371
Gosik Andrzej, t. 2: 397
Gowin Jarosław, t. 1: 197, 205
Góralski Hieronim, t. 2: 356
Górecki Dariusz Maciej, t. 1: 75, 83
Górniak Edyta, t. 2: 282
Górowska Beata, t. 1: 209, 287
Grabowska Genowefa, t. 1: 339, 583
Grabowska Mirosława, t. 1: 282
Grabowska Sabina, t. 1: 209
Grabowski Radosław, t. 1: 209
Grabski Władysław, t. 1: 566
Granat Mirosław, t. 1: 217
Greenberg Jeff, t. 2: 41
Groblewski Kazimierz, t. 1: 97
Grochulska Barbara, t. 1: 16
Grodzka Anna, t. 1: 184
Gromelski Marek, t. 2: 365
Gronkiewicz-Waltz Hanna, t. 1: 553, t. 2: 154
Gross Jan Tomasz, t. 1: 481, t. 2: 330
Grubecki Jan Michał, t. 1: 122
Gryzłow Borys, t. 1: 386
Grzebisz-Nowicka Zofia, t. 2: 365
Grzelak Janusz, t. 1: 488
Grzelak Zdzisław, t. 2: 52
Grzonka Zbigniew, t. 2: 367
Grzybowski Konstanty, t. 1: 15, 20, 116, 117, 125
Grzybowski Marian, t. 1: 79, 81, 82, 83, 260
Gucwa-Leśny Ewa, t. 1: 493
Gudzowaty Aleksander, t. 2: 265

Gulczyński Mariusz, t. 2: 127, 131, 134, 140, 141, 433
Gwiżdż Andrzej, t. 1: 115, 285

Habielski Rafał, t. 1: 70
Hall Aleksander, t. 2: 160, 216
Halonen Tarja, t. 1: 459
Hammurabi, król babiloński, t. 2: 36
Hardin Russell, t. 1: 509
Harrison Lawrence E., t. 1: 510
Hausner Jerzy, t. 1: 266
Havel Václav, t. 1: 249, 446, 448, 467, 468, 469, t. 2: 408, 420
Haydn Franz Józef, t. 1: 177, 178
Heenan James, t. 1: 188
Henzler Marek, t. 1: 53
Herbut Ryszard, t. 1: 542
Herd Graeme P., t. 1: 398
Herling-Grudziński Gustaw, t. 1: 69, t. 2: 296
Hermańska Alfa (Alfreda), t. 2: 354
Herzog Roman, t. 1: 481
Hewstone Miles, t. 1: 506
Heywood Andrew, t. 1: 153
Higley John, t. 2: 8
Hillebrandt Ernest, t. 2: 137
Hochfeld Julian, t. 2: 13
Honecker Erich, t. 2: 79
Hopliński Jan, t. 1: 565
Houston Whitney, t. 1: 551
Howell William G., t. 1: 540
Hrabal Bohumil, t. 2: 420
Hübner Danuta, t. 1: 584, t. 2: 340, 343, 383
Huntington Samuel P., t. 1: 151, 510, t. 2: 8
Hurda David, t. 1: 409
Husajn Saddam, t. 1: 249, 371, 375, 376, 454,
Husák Gustáv, t. 2: 79

Ibisz Krzysztof, t. 1: 547
Ikenberry Gilford, t. 1: 411, 414
Ikonowicz Piotr, t. 2: 17, 338
Iliescu Ion, t. 1: 472
Iwan Groźny, car Rosji, t. 1: 402
Iwańczyk-Wiślicz Eugeniusz, t. 2: 111
Iwiński Tadeusz, t. 2: 264, 361, 365

Jabłonowski Marek, t. 1: 42, 63 t. 2: 95
Jabłoński Bartosz, t. 1: 166
Jabłoński Henryk, t. 1: 570, 571, 577, t. 2: 114
Jakubczak Franciszek, t. 2: 52
Jakubowicz Szymon, t. 1: 52
Jakubowski Wojciech, t. 1: 163
Jan Paweł II (Karol Wojtyła), papież, t. 1: 72, 264, 459, 460, 467, 553, 571, 572, 582, t. 2: 47, 51, 207, 230, 272, 273, 306, 310, 377, 378, 381, 382
Janajew Giennadij, t. 1: 284, 429, 430, t. 2: 106, 321
Janczykowski Jan, t. 1: 566
Janik Krzysztof, t. 1: 216, 282, 289, t. 2: 178, 188, 347, 353, 354, 365, 369, 382, 401, 434
Janiszewski Michał, t. 2: 392
Jankowska Hanna, t. 1: 267
Jankowski Henryk, ks., t. 2: 179
Janoff-Bulman Ronnie, t. 1: 495
Janowska Irena, t. 2: 356
Janowski Jan, t. 1:39, 42
Janukowycz Wiktor, t. 1: 385, 386, t. 2: 289, 290
Jarentowski Marek, t. 1: 131, 133, 141
Jarosz Maria, t. 1: 264, 270, 280
Jarosz Zdzisław, t. 1: 285, 286
Jaroszewicz Piotr, t. 2: 116
Jarosz-Żukowska Sylwia, t. 1: 584
Jarucka Anna, t. 1: 557
Jaruzelski Wojciech, t. 1: 38, 46–48, 50, 55–57, 59, 61, 67, 74, 160, 161, 356, 573, 577, t. 2: 8, 12, 14, 61, 72, 94, 98, 102, 149, 182, 183, 191, 218–220, 222, 230, 233, 246, 277, 278, 280, 281, 285, 302, 313, 326, 335, 338, 342, 370, 374, 398, 437
Jarymowicz Maria, t. 2: 42

Jasiecki Krzysztof, t. 1: 254, 264, 270
Jasiewicz Krzysztof, t. 1: 285
Jasik Henryk, t. 2: 369
Jasiorowski Henryk, t. 2: 365
Jaskiernia Jerzy, t. 1: 181, 231, 284, 288, 292, 584, t. 2: 205, 264, 361, 366
Jaśkiewicz Marek, t. 1: 291
Jazow Dmitrij, t. 1: 409
Jeeswein Rafał, t. 1: 71
Jelcyn Borys, t. 1: 389, 391, 393, 397, 402, 414, 430, 462, t. 2: 321, 323, 357
Jemioło Tadeusz, t. 1: 240
Jintao Hu, t. 1: 475, t. 2: 252
Johann Wiesław, t. 2: 360
Jordan Henryk, t. 1: 548
Jost John T., t. 2: 42
Juan Carlos I, król Hiszpanii, t. 1: 459, t. 2: 408
Juchnowicz Stanisław, t. 1: 581
Judt Tony, t. 1: 187
Jurczyk Marian, t. 1: 71
Jürgens (Jurgens) Igor, t. 1: 403, 419, 424
Juszczenko Wiktor, t. 1: 386, t. 2: 408

Kacaw Mosze, t. 1: 477, 478, 480
Kaczmarek Bohdan, t. 1: 549, t. 2: 190
Kaczmarek Ryszard, t. 1: 115
Kaczmarek Tadeusz, t. 1: 264, 265, 549
Kaczmarek Wiesław, t. 2: 293
Kaczorowski Ryszard, t. 1: 161, t. 2: 219, 220
Kaczyńska Maria, t. 1: 541
Kaczyński Jarosław, t. 1: 73, 196, t. 2: 21, 24, 48, 62, 186, 213, 217, 223, 245, 273, 285, 308
Kaczyński Lech, t. 1: 70, 73, 169, 196, 438, 555, 578, t. 2: 24, 101, 119, 186, 219, 230, 245, 252, 258, 285, 306, 313, 317, 318, 336, 338
Kaden-Bandrowski Juliusz, t. 1: 433
Kadłuczka Andrzej, t. 1: 566
Kahneman Daniel, t. 1: 505
Kaleta Józef, t. 2: 361, 365
Kalicińska Magdalena, t. 1: 566
Kalina Jerzy, t. 2: 395
Kalinowski Jarosław, t. 1: 129, t. 2: 210, 382
Kalinowski Lech, t. 1: 566
Kalisz Ryszard, t. 1: 584, t. 2: 383
Kallas Marian, t. 1: 23, 117, 123, 155
Kalukin Rafał, t. 1: 50
Kałużyńska Małgorzata, t. 1: 303
Kamińska Aneta, t. 2: 51
Kamiński Antoni, t. 1: 264
Kamiński Marek, t. 2: 354
Kamiński Mariusz, t. 2: 360
Kaniecki Przemysław, t. 2: 121
Kapeliński Roman, t. 1: 134
Karaganow Siergiej, t. 1: 418
Karczewska Urszula, t. 2: 354
Karczmarczyk Stanisław, t. 1: 566
Kardas Piotr, t. 1: 140
Karimow Isłam, t. 1: 465, t. 2: 408
Karma Ura Dasho, t. 2: 138
Karpiński Andrzej, t. 1: 27, 28, 257, 258, t. 2: 57, 59
Karwat Mirosław, t. 1: 549
Kaszuba Krystyna, t. 1: 547, 551
Katarzyna II, caryca Rosji, t. 1: 402
Kaucz Andrzej, t. 2: 300, 301
Kawaguchi Yoriko, t. 1: 395, 400
Kazimierz Wielki, król Polski, t. 1: 437
Kaźmierczyk Stanisław, t. 1: 215
Keefer Philip, t. 1: 509
Keller Helen, t. 1: 184
Kelles-Krauz Kazimierz, t. 2: 13
Kennedy John F., t. 1: 546
Kennedy Onassis Jacqueline, t. 1: 540
Kennedy Paul, t. 1: 311
Kern Ludwik Jerzy t. 2: 372
Kepplinger Hans Mathias, t. 1: 539, 549, 550
Kersten Krystyna, t. 1: 113, 115
Keynes John, t. 2: 122
Kieżun Witold, t. 1: 256, 257
Kilias Jarosław, t. 2: 200

Kinder Donald R., t. 2: 41
Kisielewski Stefan, t. 1: 64
Kisielewski Tadeusz, t. 1: 66, t. 2: 94, 102
Kissinger Henry, t. 1: 407
Kiszczak Czesław, t. 1: 38–40, 45–48, 51, 56, 58–62, 66–67, 74, t. 2: 72, 82, 234, 245, 246, 278, 313
Klasa Józef, t. 1: 569
Klaus Václav, t. 1: 466, 467
Klementowski Marian, t. 1: 93
Klestil Thomas, t. 1: 460
Kleszczyńska Barbara, t. 1: 566
Klich Bogdan, t. 1: 171
Kloczkowski Jacek, t. 1: 30
Kluczkowski Jacek, t. 1: 386, t. 2: 268, 273
Kluzik-Rostkowska Joanna, t. 2: 343
Kłoda Kazimierz, t. 1: 45
Kmieciak Zbigniew, t. 1: 109
Knack Stephen, t. 1: 509
Knysiak-Molczyk Hanna, t. 1: 103
Kobosko Michał, t. 1: 234
Kochanowski Janusz, t. 1: 130
Kociszewski Tadeusz, t. 1: 577
Koczarian Robert, t. 2: 408
Kohl Helmut, 408, t. 1: 453, t. 2: 63, 64
Kohlberg Lawrence, t. 2: 31
Köhler Horst, t. 1: 453, t. 2: 408
Kojder Andrzej, t. 1: 46
Kołakowski Leszek, t. 2: 46, 336, 340
Kołodko Grzegorz, t. 1: 266, 304, t. 2: 267–269, 271
Kołodziejczyk Piotr, t. 2: 368
Kołomejczyk Norbert, t. 2: 111
Komar Wacław, t. 2: 220, 221
Komorowski Bronisław, t. 1: 169, t. 2: 230, 252, 285, 306, 311, 343, 410
Konat Grzegorz, t. 1: 21
Koniecpolski Stanisław, t. 2: 394
Konieczko Katarzyna, t. 1: 141
Konwicki Tadeusz, t. 2: 121
Koole Sander, t. 2: 41
Kornaś Jerzy, t. 1: 13, 34, 282, 584, t. 2: 141
Kornecki Marian, t. 1: 574
Korwin-Mikke Janusz, t. 2: 154
Kossowski Jerzy, t. 1: 566
Kostwiński Jan (ps. Fidel), t. 2: 397
Kováč Michal, t. 1: 467, 468
Kowalczyk Józef, abp, t. 2: 272
Kowalczyk Krzysztof, t. 1: 289
Kowalik Helena, t. 1: 287
Kowalik Tadeusz, t. 1: 31, 33, 34, 256, 257, 262, 264, 265, 267
Kowalska Bronisława, t. 1: 289
Kowalski Janusz, t. 1: 275
Kozakiewicz Grzegorz, t. 2: 187
Kozakiewicz Mikołaj, t. 1: 39, 42
Koziej Stanisław, t. 1: 169
Kozłowski Krzysztof, t. 2: 348, 382
Kozłowski Paweł, t. 1: 67
Kozyriew Andriej, t. 1: 392, 393
Koźmiński Jerzy, t. 2: 69, 77, 78, 258, 322, 438
Krasnodębski Zdzisław, t. 1: 26
Krasnowolski Bogusław, t. 1: 566, 574
Krasowski Robert, t. 2: 245, 348, 359
Kraszewski Jerzy, t. 1: 257, 263
Krawczuk Aleksander, t. 2: 361, 365
Krawczyk Wojciech, t. 2: 332
Kremer Mark, t. 1: 411, 414
Kręcisz Wojciech, t. 1: 286
Królewski Bogdan, t. 1: 39
Kruk-Jarosz Maria, t. 1: 77, 99, 100
Krukowski Marek, t. 1: 285
Krukowski Stanisław, t. 1: 18
Kruszewski Adam, t. 2:269
Kryska David, t. 1: 110
Krzaklewski Marian, t. 1: 287, t. 2: 162, 202, 211, 310
Krzysztofek Kazimierz, t. 1: 12
KrzyżanowskaMierzewskaMagdalena, t. 1: 184
Kubaczyk Tadeusz, t. 1: 248
Kuberski Jerzy, t. 2: 57

Kubiak Hieronim E., t. 2: 170
Kubicki Jakub, t. 2: 398, 412
Kubuj Katarzyna t. 1: 217, 231
Kučan Milan, t. 1: 474, t. 2: 408
Kuciński Jerzy, t. 1: 211, 258, 261
Kuczera Edward, t. 2: 356
Kuczma Leonid, t. 1: 386, 464, t. 2: 254
Kuczyński Waldemar, t. 1: 52, 262, t. 2: 313, 438
Kudej Marcin, t. 1: 214
Kukliński Ryszard, t. 2: 179
Kułakowski Jan, t. 2: 382
Kumaratunga Chandrika, t. 1: 476
Kuncewicz Piotr, t. 2: 365
Kupiecki Robert, t. 1: 239
Kuraszkiewicz Robert, t. 2: 153
Kurkowska Halina, t. 1: 122
Kuroń Jacek, t. 1: 38, 51, 73, 262, 265, t. 2: 12, 18, 62, 73, 74, 82, 105, 116, 154, 199, 238, 295, 336, 338, 347, 375
Kuropieska Józef, t. 2: 365
Kurski Jacek, t. 2: 163
Kurz Andrzej, t. 1: 584
Kuźniar Roman, t. 1: 239, 240, 250, 395
Kwaśniewska Jolanta, t. 1: 539–541, 544–558, t. 2: 265, 282, 283, 310, 327, 364, 381, 389, 400, 407, 408
Kwaśniewski Aleksander, t. 1: 5–6, 38, 43, 46–48, 55, 68, 73, 76, 83, 96, 98––100, 128, 167, 169, 239–240, 244––246, 248–252, 259, 279–284, 286––295, 297–298, 301–302, 312–315, 321–324, 349–384, 385–386, 392, 425–427, 437, 443–477, 479–484, 517–518, 524, 540, 546, 551, 553––555, 558, 559, 575–582, t. 2: 10, 11, 14–21, 23, 24, 48, 49, 62, 67–74, 77––87, 90, 97–106, 119, 151–158, 161, 162, 169, 170, 172, 177, 179, 182, 184, 192, 195, 197–204, 206–215, 217–219, 221–223, 227–231, 233, 234, 236–238, 241–247, 249–265, 267–275, 277–296, 301, 303–306, 308–318, 322–325, 327, 329–338, 340–343, 349–353, 355–360, 362––383, 385–389, 391–395, 397, 398, 400, 401, 405–408, 410, 416, 417, 422, 423, 428–430, 435–438
Kwiatkowski Andrzej, t. 2: 358
Kwiatkowski Damazy, t. 2: 356
Kwiatkowski Krzysztof, t. 1: 135, 145
Kwiatkowski Marek, t. 2: 400
Kwiatkowski Robert, t. 2: 356
Kwiatkowski Stanisław, t. 2: 157, 171, 183, 187, 434

La Porta Rafael, t. 1: 509
Labuda Barbara, t. 2: 166, 169, 170, 172–174, 230, 295, 298, 337, 365, 383
Labuda Gerard, t. 2: 296
Lachowski Zdzisław, t. 1: 395
Lafontaine Oskar, t. 2: 264
Lagos Escobar, t. 1: 479
Lahoud Émile, t. 1: 477
Laibson David, t. 1: 509
Lamentowicz Wojciech, t. 2: 125
Landau Zbigniew, t. 1: 20, 21, 28
Lange Oskar, t. 2: 13, 114
Lanxade Jacques, t. 1: 409
Laskowska Marzena, t. 1: 77, 217
Lebeda Tomáš, t. 2: 7
Lebiedź Aleksandr, t. 1: 392
Legucka Agnieszka, t. 1: 240
Lem Stanisław, t. 1: 573
Lenin Włodzimierz, t. 2: 142
Leonardi Robert, t. 1: 510
Lepper Andrzej, t. 1: 555, t. 2: 354
Leszczyńska Krystyna, t. 1: 284
Leszczyński Adam, t. 1: 69
Leszczyński Leszek, t. 1: 86
Leśnodorski Bogusław, t. 1: 19
Levy Frank, t. 1: 516
Lewandowski Janusz, t. 1: 202

Lewaszkiewicz-Petrykowska Biruta, t. 1: 189
Lewicka Maria, t. 1: 488, 506
Liber Bogdan, t. 2: 369
Lickona Thomas, t. 2: 31
Lincoln Marry, t. 1: 540
Lindzey Gardner, t. 2: 37, 41
Linz Juan J., t. 2: 8
Lipowicz Irena, t. 1: 194
Lipski Jan Józef, t. 2: 12, 13, 17
Lis Bogdan, t. 1: 38, t. 2: 382
Lisowski Piotr, t. 2: 404, 411
Lityński Adam, t. 1: 117, 123
Lityński Jan, t. 2: 155, 193, 258
Liwak Władysław, t. 1: 38
López de Silanes Florencio, t. 1: 509
Lula da Silva Luiz Inácio, t. 1: 256, 257

Ładosz Jarosław, t. 2: 340
Łagowski Bronisław, t. 2: 167, 168, 193, 221
Ławrow Siergiej, t. 1: 399, 405, 412
Łęski Jacek, t. 2: 358
Łętowska Ewa, t. 1: 183, 185, 186, 188, 192, 584
Łuczak Aleksander, t. 1: 584
Łuczywo Helena, t. 1: 43, 48
Łukasiewicz Juliusz, t. 1: 13
Łybacka Krystyna, t. 2: 365

Macharski Franciszek, kard., t. 1: 574, 581, t. 2: 314
Machejek Jan, t. 2: 98, 99, 100, 104
Machejek Jerzy, t. 2: 98, 99, 100, 104
Machnacz Jerzy, t. 1: 225
Machno Władysław, t. 2: 114
Maciejkianiec Ryszard, t. 1: 428
Macierewicz Antoni, t. 1: 70, t. 2: 119, 339
Macmillan Harold, t. 2: 64
Madison Dolley, t. 1: 541
Mádl Ferenc, t. 1: 468
Majchrowski Jacek M., t. 1: 23, 160, 576, 580, 584
Majchrowski Jan, t. 1: 23
Majewski Alfred, t. 1: 562
Majkowski Andrzej, t. 1: 585, t. 2: 383, 428
Majmurek Jakub, t. 1: 21, 29, 34
Major John, t. 1: 409, 457, t. 2: 64
Makowski Julian, t. 1: 92, 438, 439
Malejczyk Konstanty, t. 2: 263
Małachowski Aleksander, t. 1: 31, 266, t. 2: 12, 169
Małkiewicz Andrzej, t. 2: 133
Małysz Adam, t. 1: 474
Mannheim Karl, t. 2: 52
Marciniak Jacek, t. 1: 99
Marciniak Piotr, t. 1: 69
Marcinkiewicz Kazimierz, t. 1: 444
Marczewska-Rytko Maria, t. 1: 34
Mariański Janusz, t. 1: 263
Markiewicz Władysław, t. 1: 30
Marks Karol, t. 2: 126, 131
Marody Mirosława, t. 2: 203
Marshall George, t. 1: 28, 29, 563
Materska-Sosnowska Anna, t. 1: 283, t. 2: 93, 95
Matylda, królowa Belgów, t. 1: 460
Mazowiecki Tadeusz, t. 1: 38, 43, 45, 47, 51, 60, 64, 69, 70, 73, 255, 262, t. 2: 12, 62, 72, 74, 83, 84, 98, 100, 219, 238, 245, 258, 273, 303, 304, 313–315, 338, 348, 367, 375, 382, 437, 438
Mazur Marek, t. 2: 196, 211
Mączeński Zdzisław, t. 2: 410
Mączyńska Elżbieta, t. 1: 268
McAleese Mary, t. 1: 457
Medwecka Zofia, t. 1: 566
Meller Stefan, t. 1: 444
Menand Louis, t. 2: 47, 48
Mencwel Andrzej, t. 1: 15
Menger Anton, t. 1: 190
Meri Lennart, t. 1: 471
Merkel Angela, t. 1: 441, t. 2: 64
Merkel Jacek, t. 1: 263
Mesić Stjepan, t. 2: 408

Messner Jewgienij, t. 1: 422
Messner Zbigniew, t. 2: 68, 233, 234, 257, 277
Meyerson Harold, t. 2: 141
Miaskowska-Daszkiewicz Katarzyna, t. 1: 91
Michalak Anna, t. 1: 141
Michalski Artur, t. 1: 380
Michałowski Jacek, t. 2: 410
Michiko, cesarzowa Japonii, t. 1: 475
Michnik Adam, t. 1: 38, 43, 44, 47, 48, 50, 51, 55, 56, 61, 68, 73, 254, t. 2: 73, 74, 82, 102, 105, 157, 169, 172, 238, 258, 280, 300, 335, 339, 340, 375, 380, 438
Miedwiediew Dmitrij, t. 1: 388, 402––404, 412
Mięsowicz Marian, t. 1: 569
Migalski Marek, t. 1: 76
Mijal Kazimierz, t. 1: 118
Mikołajczyk Stanisław, t. 1: 561
Mikułowski Pomorski Jerzy, t. 2: 52
Milczanowski Andrzej, t. 1: 427, t. 2: 263, 368, 369
Milewicz Ewa, t. 1: 556
Milewski Jerzy, t. 2: 296, 363
Miliband Ed, t. 2: 64
Miller Leszek, t. 1: 38, 249, 268–274, 359, 376, 444, 458, t. 2: 16, 19, 20, 53, 62, 74, 102–106, 119, 166, 179, 189, 205, 234, 241, 245, 251, 259, 263, 265, 269, 271, 273, 274, 279, 283, 292, 293, 300, 307, 309, 313, 318, 324, 335, 337, 338, 340, 341, 348, 349, 359, 374, 377, 438
Miodowicz Alfred, t. 1: 39, 41, 54, 59––62
Mitterrand François, t. 1: 409
Młyniec Eugeniusz, t. 1: 542
Moczar Mieczysław, t. 2: 94, 115, 116
Moczulski Leszek, t. 1: 71, t. 2: 154, 322, 375, 382
Modzelewski Karol, t. 1: 31, 68, 253, 254, 265, 273, t. 2: 12, 116, 336, 338
Mojak Ryszard, t. 1: 75, 76, 80, 81, 82, 91, 94, 95, 120, 585
Moo-Hyun Roh, t. 1: 476
Morawiecki Kornel, t. 2: 163
Morawski Jan, t. 1: 38
Morawski Kazimierz, t. 2: 364
Mordwiłko Janusz, t. 1: 228
Mosur Grzegorz, t. 2: 356
Mościcki Ignacy, t. 2: 284, 393, 401, 406, 408–410
Motyka Lucjan, t. 1: 562, 567, t. 2: 114
Mrozowska Kamila, t. 1: 15
Mulak Jan, t. 2: 365
Mull Stephen, t. 2: 366
Murnane Richard J., t. 1: 516
Musioł Karol, t. 1: 581
Muszyński Władysław, t. 1: 566

Najder Zdzisław, t. 1: 70
Nałęcz Tomasz, t. 1: 20, t. 2: 95, 96, 103
Nanetti Raffaella Y., t. 1: 510
Napieralski Grzegorz, t. 2: 20, 185, 294
Narutowicz Gabriel, t. 2: 217, 360, 398
Narzyński Janusz, bp, t. 1: 39
Nastula Paweł, t. 1: 547
Nazarbajew Nursultan, t. 1: 465, t. 2: 408
Neuhofer Hans, t. 1: 185
Niewalda Waldemar, t. 1: 566
Nikolski Lech, t. 2: 196, 206, 207, 210, 354, 360, 434
Nita Barbara, t. 1: 199
Nordlinger Eric A., t. 1: 151
Norwid Cyprian Kamil, t. 2: 223
Novak Miroslav, t. 2: 7
Nowak Krzysztof, t. 2: 355
Nowak Marek, t. 1: 282
Nowak-Jeziorański Jan, t. 2: 358
Nowakowska Agata, t. 1: 544
Nowicka Maria, t. 2: 354
Nykiel Józef, t. 1: 566

Obama Barack, t. 1: 395, t. 2: 135, 142

Obasanjo Arẹmu Olusegun, t. 1: 479
Oborska Irena, t. 2: 398
Oborski Marcin, t. 2: 407
Ochman Wiesław, t. 1: 571
Ogi Adolf, t. 2: 408
Okińczyc Czesław (Česlav Okinčic), t. 1: 428, 430
Okoński Zbigniew, t. 1: 167, t. 2: 368
Olczyk Eliza, t. 1: 547
Olczyk Jan, t. 2: 98, 99, 100, 104
Olczyk Tomasz, t. 1: 552
Olechowski Andrzej, t. 1: 436, 437, 555, t. 2: 86, 310, 321
Olejniczak Wojciech, t. 2: 21, 185, 189, 190, 294, 337, 382
Oleksy Józef, t. 2: 19, 106, 119, 158, 231, 257, 262, 263, 292, 293, 323, 350, 351, 361, 366, 368, 369, 374, 376, 382, 438
Oleszczuk Sławomir, t. 2: 396
Olier Catherine, t. 1: 344
Olszewski Edward, t. 1: 284
Olszewski Jan, t. 1: 239, t. 2: 119, 154, 165, 309, 316, 320, 437
Onyszkiewicz Janusz, t. 1: 171, t. 2: 319, 321, 439
Orliński Wojciech, t. 1: 178
Orłowski Witold M., t. 1: 301, 304, 585
Orłowski Wojciech, t. 1: 286
Orszulik Alojzy, ks., t. 1: 39, 45, 62, 64, 74
Orzechowski Marian, t. 2: 14, 15, 99, 100, 259
Osęka Piotr, t. 1: 50, 58
Osiatyński Wiktor, t. 1: 14, 31, 178, 289
Osmańczyk Edmund, t. 1: 38
Ossowska Maria, t. 2: 52
Ost David, t. 1: 31, 263
Ostrowski Jan J., t. 1: 566, 575, 581
Osuchowski Janusz, t. 1: 287
Owsiak Stanisław, t. 1: 269

Pacek Bogusław, t. 1: 585
Pacewicz Piotr, t. 1: 555
Padlewski Włodzimierz, t. 2: 401, 402
Pająk Lena, t. 2:356
Pakulski Jan, t. 2: 8
Palikot Janusz, t. 2: 214, 283, 304
Pałubicki Janusz, t. 2: 299
Panek Tomasz, t. 1: 273, 487
Paola, królowa Belgów, t. 1: 547
Papała Marek, t. 1: 194
Paradowska Janina, t. 1: 99, 550, 555, 556, 557
Paradysz Stanisław, t. 1: 258
Parys Jan, t. 2: 320
Pastusiak Longin, t. 1: 585, t. 2: 320, 321, 365
Pastuszka Stefan, t. 1: 289
Paszczyk Stefan, t. 2: 383
Paszyński Aleksander, t. 2: 258
Patoka Witold M., t. 1: 247
Pawelska Agnieszka, t. 2: 180
Pawlak Waldemar, t. 2: 17, 18, 154, 260, 261, 263, 350, 375, 376, 438
Pawłowicz Jacek, t. 1: 116, 118
Paynter Kristen, t. 1: 546
Peeters Guido, t. 1: 506
Pelinka Anton, t. 2: 8
Pełczyński Zbigniew, t. 1: 68
Peres Szimon, t. 2: 327, 329
Perry William, t. 1: 425, 426
Persson Göran, t. 1: 458, t. 2: 264, 327
Perzkowski Stanisław, t. 1: 51
Petrus Jerzy, t. 1: 575
Piasecki Andrzej K., t. 1: 285, 554, t. 2: 204, 206
Piasecki Bolesław, t. 2: 220
Piebalgs Andris, t. 1: 344, 345, 346
Pielecki Wojciech, t. 2: 169, 173
Pieńkowska Hanna, t. 1: 562
Pieronek Tadeusz, bp, t. 2: 186
Pietraszko Jan, bp, t. 1: 572
Pietrzak Jan, t. 2: 154
Pietrzak Michał, t. 1: 19
Pietrzyk Alojzy, t. 1: 38

Pietrzyk-Zieniewicz Ewa, t. 2: 196
Piętas Czesław, t. 1: 169
Pilawski Krzysztof, t. 1: 274
Piłsudski Józef, t. 1: 19, 158, t. 2: 222, 398
Pinochet Augusto, t. 1: 30, t. 2: 34
Piontek Dorota, t. 1: 552
Piotr I, car Rosji, t. 1: 17
Piotrowski Ryszard, t. 1: 76, 98, 184, 291
Piwnik Barbara, t. 2: 300
Piwowar Tadeusz, t. 2: 356
Płażyński Maciej, t. 1: 129
Płuska Ireneusz, t. 1: 566
Pobóg-Malinowski Władysław, t. 1: 114
Poiares Maduro Miguel, t. 1: 188
Polko Roman, t. 1: 169
Poręba Bohdan, t. 2: 94
Poręba Maciej, t. 2: 354
Posłuszny Jerzy, t. 1: 225
Potocki Przemysław, t. 1: 585
Powell Colin, t. 1: 166, 358
Poznański Kazimierz Z., t. 1: 34
Pratto Felicia, t. 2: 37
Preisner Artur, t. 1: 84
Primakow Jewgienij, t. 1: 394, 413
Prodi Romano, t. 1: 446, t. 2: 382
Prokopiuk Tadeusz, t. 1: 578
Pronaszko Andrzej, t. 2: 401, 402
Pruszyński Jan, t. 1: 25
Pruszyński Wiesław, t. 2: 434
Ptaszycki Tadeusz, t. 1: 581
Puchała Franciszek, t. 1: 245
Pułło Andrzej, t. 1: 81
Purchla Jacek, t. 1: 579
Pusz Krzysztof, t. 1: 46
Putin Władimir, t. 1: 364, 381, 389–392, 400–402, 421, 422, 462, t. 2: 39, 289, 342, 380
Putnam Robert D., t. 1: 509, 510
Pysz Piotr, t. 1: 264, 265, 268
Pyszczynski Tom, t. 2: 41

Quesada Fox Vicente, t. 1: 479
Quinyan Zheng, t. 2: 138

Rachmanow Emomali, t. 1: 465
Raciborski Jacek, t. 1: 556, t. 2: 52, 53, 67, 196–198, 200, 201, 203, 363, 439
Raczyński Edward, t. 2: 220
Radwański Kazimierz, t. 1: 566
Radziewicz Piotr, t. 1: 132, 133, 142, 143, 146, 149, 217
Raina Peter, t. 1: 42, 45
Rakowski Mieczysław F., t. 1: 44, 47, 48, 65, 67, t. 2: 14, 15, 81, 84, 93, 94, 97–99, 101–103, 119, 167, 189, 233, 234, 236, 239, 241, 245, 246, 257, 259, 277–281, 335, 338, 348, 352, 353, 357, 373, 374, 382
Rand Ayn, t. 2: 28
Rania, królowa Jordanii, t. 1: 547
Rapacki Adam, t. 2: 13, 114
Rasmussen Anders Fogh, t. 1: 405, 413
Rau Johannes, t. 1: 453, t. 2: 408
Reagan Ronald, t. 1: 272, 360, 362,
Regulski Jerzy, t. 1: 184
Reiff Ryszard, t. 1: 38, 51
Rey Nicholas, t. 2: 366
Reykowski Janusz, t. 1: 38, 43, 47, 48, 60, 61, 63, 73, 271, 280, t. 2: 14, 45, 46, 72, 338, 365, 434
Rifkin Jeremy, t. 2: 121
Ripert Georges, t. 1: 189
Robertson George, t. 1: 448
Robinson Mary, t. 1: 457
Rodowicz Maryla, t. 1: 547
Rogowicz Jerzy, t. 1: 92
Rokeach Milton, t. 2: 26
Rokita Jan W., t. 1: 555, 576, t. 2: 90, 92, 102, 103, 105, 154, 215, 300, 360, 370
Rola-Żymierski Michał, t. 1: 118
Romanowski Andrzej, t. 2: 434
Romańska Marta, t. 1: 103
Romney Mitt, t. 2: 48

Roosevelt Eleanor, t. 1: 540
Rosati Dariusz, t. 1: 444, t. 2: 340, 343
Rostowski Jacek (Jan Antony Vincent-Rostowski), t. 2: 343
Roszak Czesław, t. 1: 571
Rotfeld Adam D., t. 1: 387, 388, 391, 397, 398, 402, 406, 414, 415, 422, 424, 444, 483, 585, t. 2: 343
Roubini Nouriel, t. 2: 136
Rozmaryn Stefan, t. 1: 116, 121, 123, 124
Ruiz-Tagle Eduardo Frei, t. 1: 479
Rumsfeld Donald, t. 1: 376
Rüütel Arnold, t. 1: 471
Rybak Agnieszka, t. 1: 547
Rychard Andrzej, t. 2: 60
Rydzyk Tadeusz, o., t. 2: 162
Rykowski Zbysław, t. 2: 280
Rymanowski Bogdan, t. 2: 358
Rymkiewicz Jarosław M., t. 2: 34
Rymsza Marek, t. 1: 487
Rysiński Paweł, t. 1: 204
Ryszka Franciszek, t. 2: 365
Rywin Lew, t. 2: 274
Rzepiński Czesław, t. 1: 571
Rzepliński Andrzej, t. 1: 131, 133

Sacerdote Bruce, t. 1: 509
Sachs Jeffrey, t. 1: 265, 266, 272, t. 2: 138, 348
Sadowski Zdzisław, t. 1: 260, 266, 276
Safjan Marek, t. 1: 128, 130
Salus Dorota, t. 1: 382
Sampaio Jorge, t. 1: 459
Sampedro Jose L., t. 2: 131
Sandecki Maciej, t. 1: 74
Sandel Michael J., t. 1: 186, 187
Sanger David E., t. 1: 371
Sapieha Adam Stefan, kard., t. 1: 561
Sarnecki Paweł, t. 1: 75, 76, 77, 86, 94, 225
Sarotte Mary, t. 1: 414
Saudargas Algirdas, t. 1: 430
Sawic Tadeusz, t. 2: 257
Sawicka Beata, t. 1: 204
Scalfaro Oscar Luigi, t. 1: 458
Schaff Adam, t. 1: 49, t. 2: 116, 365
Scheffer Jaap de Hoop, t. 1: 448
Schröder (Schroeder) Gerhard, t. 1: 267, 446, 453, t. 2: 64, 180, 252, 380
Schulz Bruno, t. 2: 332
Schulz Winfried, t. 1: 551
Schuman Robert, t. 2: 382
Schumpeter Joseph, t. 1: 263
Sears David O., t. 2: 41
Secomski Kazimierz, t. 1: 570, 571
Séguéla Jacques, t. 2: 357–359
Sekuła Ireneusz, t. 1: 48
Semka Piotr, t. 2: 358
Sen Amartya, t. 2: 138
Sezer Ahmet Necdet, t. 1: 473
Sharma Shankar Dayal, t. 1: 476
Shleifer Andrei, t. 1: 509
Sidanius Jim, t. 2: 37
Siemiątkowski Zbigniew, t. 1: 283, t. 2: 97, 354, 435
Sienkiewicz Bartłomiej, t. 1: 175
Siennicki Piotr, t. 1: 285
Sierakowska Izabella, t. 2: 106, 231, 291, 292, 293, 347, 361, 365, 439
Siewiorek Robert, t. 2: 144
Sikorski Radosław, t. 2: 325, 342
Sikorski Władysław, t. 1: 457, 564, 572
Sikorzyńska Anna, t. 2: 42
Siła-Nowicki Władysław, t. 1: 39, 43
Simon Dennis M., t. 1: 540
Singer Izaak B., t. 2: 333
Singer Peter, t. 2: 138
Siwiec Marek, t. 1: 377, t. 2: 267, 347, 350, 353, 356, 357, 365, 383, 435
Skarga Barbara, t. 2: 52
Skarzyński Ryszard, t. 1: 259
Skarżyńska Krystyna, t. 1: 487, 503, t. 2: 53, 54
Skidelsky Robert t. 2: 130, 131
Skolicki Zbigniew, t. 1: 567

Skórzyński Jan t. 1: 53, t. 2: 169, 197
Skrzydło Wiesław, t. 1: 24, 32, 260, 286
Skrzypczak Waldemar, t. 1: 169, 171
Skrzypek Andrzej, t. 2: 180
Skubiszewski Krzysztof, t. 1: 429
Słomka Tomasz, t. 1: 76, 80, 81, 99
Słonecki Marian, t. 1: 563, 565, 566
Słowik Andrzej, t. 2: 163
Słowik Zdzisław, t. 1: 30
Smolar Aleksander, t. 1: 414, t. 2: 184
Smoleński Paweł, t. 1: 41
Smólski Janusz, t. 1: 566
Smyczek Leon, t. 1: 263
Smyk Katarzyna, t. 1: 303
Socha Bogusław, t. 2: 354
Soekarnoputri Megawati, t. 1: 477
Sokolewicz Wojciech, t. 1: 23, 170
Sokołowski Tadeusz, t. 1: 166
Solana Javier, t. 1: 386, 394, 404, 406, 413, 448, t. 2: 408
Solomon Sheldon, t. 2: 41
Sołozobow Jurij, t. 1: 406, 407
Sołtysiński Stanisław, t. 1: 178
Soroka Paweł, t. 1: 258
Sosnowski Romuald, t. 1: 39, 43
Sowa Agnieszka, t. 2: 151
Sowa Andrzej, t. 1: 123
Sowa Jan, t. 1: 14
Sólyom László, t. 1: 468
Spryszak Kamil, t. 1: 292
Spychalska Ewa, t. 1: 99, t. 2: 365
Stalin Józef, t. 1: 23, 51, 114, 396, 563, t. 2: 112, 113
Staniszkis Jadwiga, t. 2: 70
Staszewski Michał T., t. 2: 205
Staszewski Stefan, t. 2: 220, 221
Stawecki Piotr, t. 1: 155
Stebelski Stepan, t. 1: 251
Stelmachowski Andrzej, t. 2: 73
Stelzer Irwin, t. 2: 47, 48
Stembrowicz Jerzy, t. 1: 92, 147
Stepan Alfred, t. 2: 8
Stephanopoulos Constantinos, t. 1: 461
Stępień Jerzy, t. 1: 130
Stępień Stefan, t. 1: 34
Stępka Stanisław, t. 1: 42, 63, t. 2: 95
Stępkowski Aleksander, t. 1: 102
Stiglitz Joseph E., t. 2: 138
Stokłosa Henryk, t. 2: 198
Stomma Stanisław, t. 2: 215, 222
Stone Sweet Alec, t. 1: 184
Strelau Jan, t. 1: 506
Stroebe Wolfgang, t. 1: 506
Strybel Robert, t. 1: 382
Strzelecki Jan, t. 2: 13
Strzeszewski Michał, t. 1: 507, t. 2: 209
Subotić Małgorzata, t. 1: 544
Suchocka Hanna, t. 2: 85, 86, 217, 320
Sulikowski Adam, t. 1: 181
Sulowski Stanisław, t. 1: 42, 63, t. 2: 95
Svennilson Ingvar, t. 1: 21
Sylwestrzak Andrzej, t. 1: 122
Sylwia, królowa Szwecji, t. 1: 547
Szablowski Jerzy, t. 1: 562, 564
Szacka Barbara, t. 1: 11, 12
Szałajda Zbigniew K., t. 2: 181
Szarfenberg Ryszard, t. 1: 275
Szaruga Leszek, t. 2: 169
Szczepanik Krzysztof, t. 1: 250
Szczepański Marek S., t. 1: 13
Szczerbiak Aleks, t. 2: 195
Szczęsna Joanna, t. 1: 69
Szczupaczyński Jerzy, t. 2: 101
Szelestowska Krystyna, t. 1: 383
Szlajfer Henryk, t. 1: 386
Szmajdziński Jerzy, t. 1: 248, 252, 377, t. 2: 106, 265, 269, 365, 382
Szmulik Bogumił, t. 1: 91
Szmyt Andrzej, t. 1: 102, 207, 209, 211, 214, 217, 225, 586, 588
Szostkiewicz Adam, t. 1: 374
Szpak Jan, t. 1: 14
Sztompka Piotr, t. 1: 11, 181, 509
Szulkin Piotr, t. 2: 298
Szumlewicz Piotr, t. 1: 21, 34
Szumski Henryk, t. 1: 169

Szurmiej Szymon, t. 2: 330
Szustek Anna, t. 1: 42
Szuster Rudolf, t. 1: 467
Szwalbe Stanisław, t. 2: 13
Szwarc Karol, t. 2: 269
Szymanek Jarosław, t. 1: 25, 83
Szymanek-Deresz Jolanta, t. 2: 383, 419–425
Szymański Edward, t. 1: 577, 582, t. 2: 354, 383, 435
Szymczycha Dariusz, t. 2: 169, 173, 174, 435
Szymczycha Lucyna, t. 2: 383
Szyszko-Bohusz Adolf, t. 1: 561, t. 2: 401, 402

Śleńdziński Ludomir, t. 2: 396
Ślęzak-Tazbir Weronika, t. 1: 13
Światłowski Andrzej, t. 1: 199
Świderski Jerzy, t. 1: 53
Świszczowski Stefan, t. 1: 566

Taggart Paul A., t. 2: 195
Tajfel Henri, t. 2: 29
Tazbir Janusz, t. 2: 32, 33
Tencalla Constantino, t. 2: 394
Tencer Gołda, t. 2: 330
Tetlock Philip E., t. 2: 47
Tetłak Karolina, t. 1: 178
Thatcher Margaret, t. 2: 63, 64
Thorisdottir Hulda, t. 2: 42
Thun Róża, t. 2: 382
Tischner Józef, ks. t. 1: 47, 68, 73
Tismaneau Vladimir, t. 2: 91
Toeplitz Krzysztof Teodor, t. 2: 365
Tomaszewski Jerzy, t. 1: 20, 21, 28
Tomczak Łukasz, t. 1: 289
Torańska Teresa, t. 1: 43, 55, 74
Touré Amadou Toumani, t. 1: 479
Trejnis Zenon, t. 1: 152, 153, 163, 165, 169, 173, 247, 586, 588
Trembicka Krystyna, t. 1: 38, 43
Treter Bogdan, t. 1: 561
Truszczyński Jan, t. 2: 382
Trzciński Janusz, t. 1: 102, 104, 109, 586, 587
Trzeciakowski Witold, t. 1: 38, 43, 73
Trzpil Izabela, t. 1: 54
Tuleya Igor, t. 1: 204
Tułodziecki Wacław, t. 2: 114
Turlejska Maria, t. 1: 113
Turner John, t. 2: 29
Turowicz Jerzy, t. 1: 38, 42, 73, t. 2: 352
Tusk Donald, t. 1: 55, 197, 249, 441, t. 2: 39, 62, 213, 273, 291, 318, 340, 343
Tversky Amos, t. 1: 505
Tymiński Stanisław, t. 2: 154, 315
Tymoszenko Julia t. 1: 386

Ulicki Ryszard, t. 2: 361
Ulmanis Guntis, t. 1: 471
Ungier Marek, t. 1: 202, t. 2: 383, 435
Urban Jerzy, t. 1: 43, t. 2: 103, 231, 263, 277, 304, 376, 439
Urbańczyk Andrzej, t. 2: 169, 361

van Dijk Eric, t. 1: 506
van Knippenberg Daan, t. 1: 506
Verheugen Günter, t. 1: 446, t. 2: 307, 382
Vīķe-Freiberga Vaira, t. 1: 471
Vishny Robert W., t. 1: 509
Vranitzky Franz, t. 2: 264, 265

Wachowski Mieczysław, t. 2: 237, 262, 352
Walenciak Robert, 254, t. 1: 262, t. 2: 67, 77, 227, 233, 241, 249, 257, 267, 277, 285, 291, 295, 303, 313, 319, 327, 335, 436
Walendziak Wiesław, t. 2: 358
Walicki Andrzej, t. 1: 15, 26, 30, 67, t. 2: 27, 113
Wallerstein Immanuel, t. 1: 27
Wałęsa Danuta, t. 1: 541, 544, 545
Wałęsa Lech, t. 1: 37, 39, 41, 44–47, 49, 56, 61–62, 67–69, 71–74, 162, 167, 183, 246, 256–257, 425–427, 429,

436, 543–544, 553, 576–577, t. 2: 12, 14, 18, 73, 87, 90, 98, 100, 101, 130, 131, 154–158, 177, 199–201, 211, 220, 231, 237, 250, 258, 261–263, 268, 273, 277, 285, 295–297, 313, 314, 317, 318, 322–324, 328, 329, 348–350, 352, 353, 358, 360, 362––372, 374, 386, 387, 394, 395, 398
Waniek Danuta, t. 1: 72, 76, 165, 288, 586, t. 2: 106, 205, 211, 293, 351, 360, 365, 368, 373, 383, 436
Wańkowicz Melchior, t. 2: 339
Wasilewska Halina, t. 2: 269
Wasilewska Wanda, t. 1: 114, 564
Wasilewski Jacek, t. 1: 52
Wasilkowski Andrzej, t. 1: 82
Waskan Jan, t. 1: 66
Wassermann Zbigniew, t. 1: 550
Waszuk G., t. 2: 42
Watson Robert P., t. 1: 540, 541, 543
Wawrzyniak Jan, t. 1: 23, 24, 77, 217, 231
Weber Max, t. 2: 21, 22
Weihua Chen t. 2: 137
Weiss Szewach, t. 2: 327–329, 331, 439
Weizman Ezer, t. 1: 477, 478, 480
Wekkin Gary D., t. 1: 557, 558
Werblan Andrzej, t. 2: 436
Wesołowski Włodzimierz, t. 2: 8, 198
Węglarczyk Bartosz, t. 1: 383
Wiaecker Franz, t. 1: 190
Wiatr Jerzy J., t. 1: 26, 273, 283, 556, t. 2: 8, 9, 90, 93, 95, 97, 99, 100, 101, 105, 107, 169, 171, 174, 200, 321, 338, 365, 436
Wiatr Sławomir, t. 2: 297, 348, 356
Widacki Jan, t. 1: 586
Wielgosz Przemysław, t. 2: 187, 189, 191
Wielowieyska Dominika, t. 1: 544
Więzik Stanisław, t. 2: 395, 396
Wilczek Mieczysław, t. 2: 278
Wildstein Bronisław, t. 2: 169
Wilecki Tadeusz, gen., t. 2: 263, 323, 368
Wilk Ewa, t. 1: 546
Wilson Harold, t. 2: 64
Wilson Woodrow, t. 1: 352
Winczorek Piotr, t. 1: 23, 25, 50, 135
Winiarczyk-Kossakowska Małgorzata, t. 2: 356, 365
Wiśniewski Dariusz, t. 1: 376
Wiśniewski Jakub, t. 1: 303
Wiśniewski Wojciech, t. 1: 41
Witkowski Zbigniew, t. 1: 75
Wnuk-Lipiński Edmund, t. 1: 37
Wodyńska Jolanta, t. 2: 405
Wojciechowski Stanisław, t. 2: 284, 398
Wojcik Krystyna, t. 1: 542, 550
Wojciszke Bogdan, t. 1: 489
Wojtaszek-Mik Ewa, t. 1: 189
Wojtyła Karol (zob. Jan Paweł II)
Wolfson Adam, t. 2: 47, 48
Wolska Zofia, t. 2: 395, 410
Wołek Tomasz, t. 2: 358
Wołpiuk Waldemar J., t. 1: 25, 155
Woodward Bob, t. 1: 376
Woolcock Michael, t. 1: 509
Worchel Stephen, t. 2: 29
Woroszylski Wiktor, t. 1: 51
Woś Tadeusz, t. 1: 103, 104
Woźniak Grzegorz, t. 2: 355
Woźniak Karolina, t. 1: 382
Wörner Manfred, t. 2: 320
Wrona Marcin, t. 2: 358
Wronkowska Sławomira, t. 1: 84, 87, 185
Wróblewski Jerzy, t. 1: 87
Wróblewski Tomasz, t. 1: 373
Wrzeszcz M., t. 1: 66
Wrzodak Zygmunt, t. 2: 163
Wyrzykowski Mirosław, t. 1: 185, 286
Wysocki Dariusz, t. 1: 195
Wyszkowski Krzysztof, t. 1: 71

Young Owen D., t. 1: 28

Zacharski Marian, t. 2: 263, 369
Zacher Lech W., t. 1: 11
Zafón Ruiz Carlos, t. 2: 149, 188
Zagner Agnieszka, t. 1: 547
Zagorski Andriej, t. 1: 398, 402
Zagórski Krzysztof, t. 1: 507, t. 2: 209
Zagrodzka Danuta, t. 1: 254
Zajączkowski Wojciech, t. 1: 386
Zakrzewska Jadwiga, t. 1: 117
Zakrzewska Janina, t. 1: 76, 115, 285
Zalasiński Tomasz, t. 1: 84
Zalewski Władysław, t. 1: 566
Załubski Stanisław, t. 1: 566
Załuska Wojciech, t. 2: 184
Zamojski Andrzej, t. 1: 17
Zaniewska Xymena, t. 2: 365
Zaremba Piotr, t. 2: 358
Zarzycki Wiesław, t. 1: 565
Zawadzki Aleksander, t. 1: 114
Zawadzki Sylwester, t. 1: 258, t. 2: 125
Zdziennicki Bohdan, t. 1: 130, 131, 148
Zedler Feliks, t. 1: 178
Ziejka Franciszek, t. 1: 581
Zielińska Zofia, t. 1: 16
Zieliński Sławomir, t. 2: 358
Zieliński Tadeusz, t. 1: 260, t. 2: 154, 347, 365
Ziembiński Zygmunt, t. 1: 86, 87
Zieniewicz Andrzej, t. 2: 196
Zientarski Piotr, t. 1: 143
Zięba-Załucka Halina, t. 1: 217
Zimmermann Jan, t. 1: 186
Zin Wiktor, t. 1: 566, 568
Zinserling Irena, t. 1: 509
Ziobro Zbigniew, t. 1: 196
Ziółkowska Wiesława, t. 2: 259
Znaniecki Florian, t. 2: 32
Zofia, królowa Hiszpanii, t. 1: 54, t. 2: 408
Zoll Andrzej, t. 1: 148
Zubik Marek, t. 1: 207
Zwierzchowski Eugeniusz, t. 1: 82
Zych Józef, t. 2: 262

Żagan Wojciech, t. 2: 397
Żaki Andrzej, t. 1: 566
Żakowski Jacek, t. 1: 47, 56, 68, 69, 73, 272
Żebrowski Andrzej, t. 1: 247
Żółtkowski Wiesław, t. 1: 27, 258, t. 2: 57
Żuk Piotr, t. 1: 268, t. 2: 92
Żuławski Andrzej, t. 2: 298
Życiński Józef, abp, t. 2: 350

Spis treści

Część I. Na drodze ku socjaldemokracji. Przywództwo i partia

Jerzy J. Wiatr
Przywództwo polityczne lewicy: doświadczenie III RP 7

Janusz Reykowski
O naturze ideologicznego konfliktu 23

Krzysztof Janik
Korzenie współczesności – esej o pokoleniowej tożsamości 51

Człowiek z SZSP. Rozmowa z prof. Jackiem Raciborskim 67

Zawsze o krok do przodu. Rozmowa z Jerzym Koźmińskim 77

Zbigniew Siemiątkowski
Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej – partia postkomunistyczna czy neokomunistyczna? 89

Andrzej Werblan
Generacje polityczne Polski Ludowej.....109

Mariusz Gulczyński
Lewica wobec zadań trzeciej transformacji industrialnej cywilizacji 121

Stanisław Kwiatkowski
Pamięć o przeszłości w polityce SdRP/SLD (w latach 1990–2010) . 149

Lech Nikolski
Formidable campaigner 195

Andrzej Romanowski
Aleksander Kwaśniewski i polityka historyczna 215

Część II. Awers i rewers – rozmowy i wywiady

Świadectwa osobiste (*Danuta Waniek, Krzysztof Janik*) 227
Gdy chcemy ocenić polityka (*Robert Walenciak*) 229
Tylko on, i Mieczysław Rakowski, zostawili jakiś głębszy ślad w mojej pamięci i w mojej ocenie. Rozmowa z Wojciechem Jaruzelskim 233
Nie było tak źle… Rozmowa z Leszkiem Millerem 241
Raz do roku w Białym Domu. Rozmowa z Włodzimierzem Cimoszewiczem 249
Świat go nie peszy. Rozmowa z Józefem Oleksym..... 257
Czy można być większym szczęściarzem? Rozmowa z Markiem Belką 267
Jestem naprawdę przywiązany do Kwaśniewskiego. Rozmowa z Jerzym Urbanem 277
Gdzie tu obłość? Nie widzę jej. Widzę odwagę. Ale rozwagę też. Rozmowa ze Stanisławem Cioskiem..... 285
Lubię uczyć się od ludzi mądrych. Rozmowa z Izabellą Sierakowską 291
To był prezydent, jakiego chciałam… Rozmowa z Barbarą Labudą 295
Mój przyjaciel prezydent. Rozmowa z Arturem Balazsem 303
Może miał szczęście, że trafił na takie czasy? Rozmowa z Waldemarem Kuczyńskim 313
Całkiem dobrze się dogadywaliśmy. Rozmowa z Januszem Onyszkiewiczem..... 319
Śpiewałem *Jeszcze Polska nie zginęła*. Po polsku… Rozmowa z Szewachem Weissem..... 327
On jest jak człowiek, który w młodym wieku poleciał w kosmos. Rozmowa z Adamem Michnikiem 335

Część III. Gdyby tak cofnąć czas...

Danuta Waniek
Kampania prezydencka 1995 roku. Refleksja subiektywna 347

Dariusz Szymczycha
Aleksander Polski 373

Andrzej Barcikowski
Prezydent czasu przełomu – próba odtworzenia doktryny Aleksandra Kwaśniewskiego 385

Marcin Augustyn, Wiesław Pruszyński, Edward S. Szymański
Nieruchomości Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Przeobrażenia i zmiany w latach 1995–2005 391

Waldemar Dubaniowski
Jolanta Szymanek-Deresz: wojownik na korcie, ekspert z kodeksem, dama w polityce i Europejka z przekonania, ale przede wszystkim prawdziwy przyjaciel 419

Andrzej Majkowski
10 lat minęło... Pożegnanie Prezydenta przez pracowników Kancelarii 427

Marek Ungier
Przywódca 429

Notki zawodowe autorów 433

Indeks nazwisk 441

Redakcja merytoryczna: Danuta Waniek, Krzysztof Janik

Zdjęcie na okładce: Bartek Syta
Projekt okładki: Paulina Niebieszczańska

Foto galeria: Damazy Kwiatkowski, Eliza Radziszewska, Sławomir Kamiński,
Amadeusz Walke oraz Archiwum Fundacji *Amicus Europae*

Oprawa twarda
ISBN 978-83-940645-0-1 (tom 1)
ISBN 978-83-940645-1-8 (tom 2)

Oprawa miękka
ISBN 978-83-940645-2-5 (tom 1)
ISBN 978-83-940645-3-2 (tom 2)

©Copyright by: Autorzy & Fundacja Aleksandra Kwaśniewskiego *Amicus Europae*

Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani magazynowana
w sposób umożliwiający ponowne wykorzystanie,
ani też rozpowszechniana w jakiejkolwiek formie
za pomocą środków elektronicznych, mechanicznych, kopiujących,
nagrywających i innych, bez uprzedniej pisemnej zgody właściciela praw autorskich.

Na zlecenie:
Fundacji *Amicus Europae*

Prace redakcyjne i przygotowanie plików do druku OW AFM:

Redaktor prowadzący: Halina Baszak-Jaroń, współpraca Alicja Wargacka
Adiustacja: Kamila Zimnicka-Warchoł, Anna Siedlik
Korekta: Autorzy i zespół OW AFM
Indeks nazwisk: Małgorzata Bączyńska, Alicja Wargacka
Layout, koncepcja i realizacja: Oleg Aleksejczuk

Druk i oprawa: Drukarnia TOKAWI
Warszawa 2014

Wydawca:
Vi-Press Joanna Świerczyńska
Warszawa 2014

PRZYWÓDZTWO I KONTEKSTY



ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Urodził się 15 listopada 1954 roku w Białogardzie. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego. Działacz ruchu studenckiego i sportowego. Przewodniczący PKOL (1988–1991).

Uczestnik obrad Okrągłego Stołu po stronie rządowej, współtwórca Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej i pierwszy jej przewodniczący. Współorganizator Sojuszu Lewicy Demokratycznej. W latach 1991–1995 sprawował mandat posła na Sejm I i II kadencji oraz pełnił funkcję przewodniczącego Klubu Parlamentarnego SLD.

Zwycięzca wyborów prezydenckich w 1995 roku i w 2000 roku (53,9% głosów w pierwszej turze). Zaprzysiężony 23 grudnia 1995 roku jako Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Przewodniczył kampanii referendalnej na rzecz przyjęcia Konstytucji III Rzeczypospolitej Polskiej, którą współtworzył jako przewodniczący Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego i podpisał jako Prezydent RP 16 lipca 1997 roku.

Brał aktywny udział w działaniach na rzecz przyjęcia Polski do NATO. 26 lutego 1999 roku podpisał dokumenty ratyfikujące polskie członkostwo w Sojuszu. Aktywnie działał na rzecz dalszego poszerzenia NATO (szczyt w Pradze 2002) i kontynuowania polityki „otwartych drzwi".

Wielki zwolennik przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Inicjator i aktywny uczestnik kampanii proeuropejskiej poprzedzającej ogólnokrajowe referendum, w którym 77 procent głosujących Polaków opowiedziało się za przystąpieniem Polski do UE (czerwiec 2003).

Orędownik pojednania między narodami i współpracy regionalnej w Europie Środkowej i Wschodniej. Adwokat zbliżenia Ukrainy z Unią Europejską, przewodniczył międzynarodowej misji mediacyjnej podczas pomarańczowej rewolucji w Kijowie (2004).

Po zakończeniu prezydentury m.in. Honorowy Profesor w Programie Globalnego Przywództwa na Uniwersytecie Georgetown, członek Rady Powierniczej Międzynarodowej Grupy Kryzysowej (ICG), członek Rady Atlantyckiej Stanów Zjednoczonych, Fundator i Przewodniczący Rady Fundacji *Amicus Europae*. Przewodniczący Jałtańskiej Strategii Europejskiej na Ukrainie (YES) i współzałożyciel Europejskiej Rady ds. Tolerancji i Pojednania (ECTR). Do listopada 2013 roku wraz z Patem Coxem współkierował misją Parlamentu Europejskiego ds. monitorowania procesów karnych przeciwko więźniom politycznym na Ukrainie.

KSIĘGA JUBILEUSZOWA
W SZEŚĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ URODZIN
PREZYDENTA ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKIEGO